

PHILIPPA GREGORY

Biała królowa

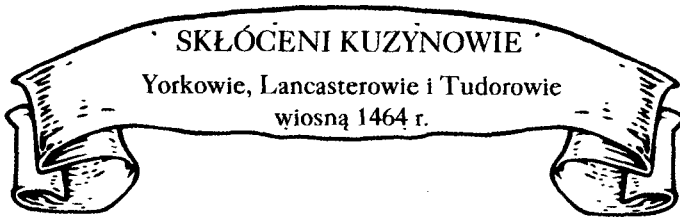
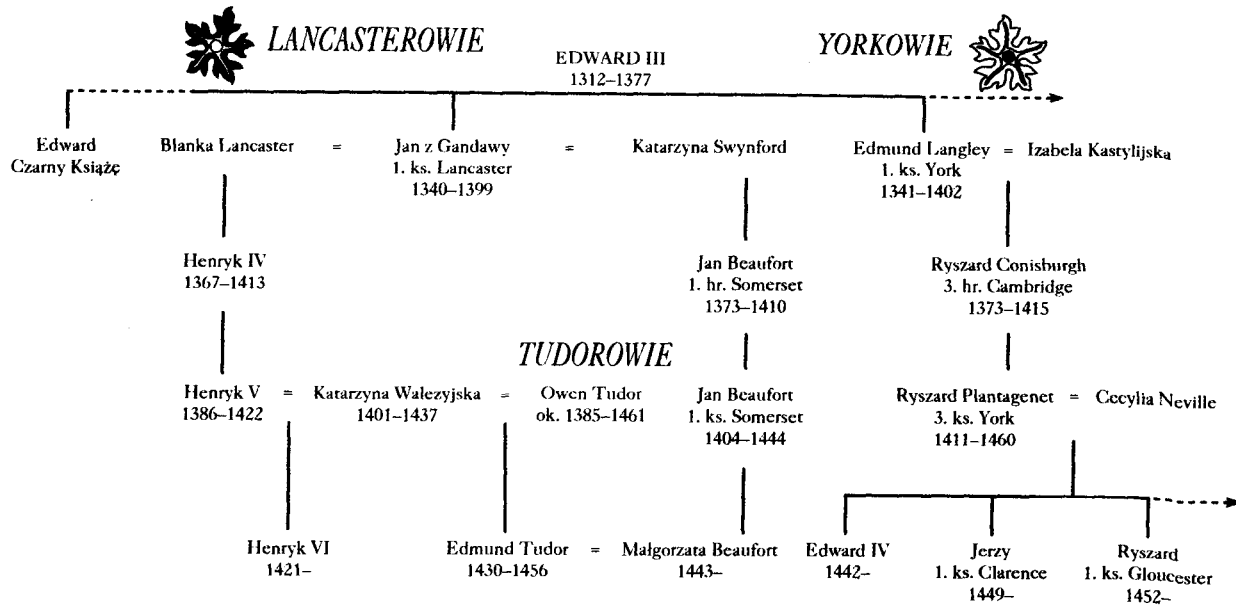


Przełożyła z angielskiego
Urszula Gardner

Wydawnictwo „Książnica”

BITWY WOJNY DWU RÓŻ,
ZWANEJ WOJNĄ KUZYNÓW





Młody rycerz dosłyszał pluskanie wody na długo przed tym, zanim we wszechogarniającym mroku puszczy dostrzegł promień księżycy odbity Wgładkim lustrze źródła. Już miał się pochylić, aby zanurzyć twarz w ożywym chłodzie i ugasić pragnienie, lecz w ostatniej chwili powstrzymał się z sapnięciem na widok czegoś ciemnego pod powierzchnią. W głębi naturalnej kamiennej misy mignął cień — na poły rybi, na poły trupi — poruszył się raz i drugi, a wtedy rycerz ujrzał w całej, przerażająco nagiej okazałości kąpiącą się niewiastę. Kiedy wstawała, pozwalając, by krople ściekały jej po ciele, patrzącemu na nią człowiekowi skóra zdawała się bielsza niż marmur, włosy zaś ciemniejsze od nocy.

Oto Meluzyna, boginka wody, znajdująca w leżących na uboczu źródłach i kaskadach wszystkich puszczy chrześcijaństwa, także tych w odległej Grecji, a nawet w mauretańskich fontannach. W północnych krainach, gdzie jeziora pokrywa lód pękający tylko wówczas, gdy budzi się ze snu, nosi inne miano, lecz wszędzie śmiertelnik może ją kochać dopóty, dopóki dochowuje sekretu i zostawia samą na czas kipieli. Ona czasem odwzajemnia uczucie, aż prędzej czy później mężczyzna łamie dane słowo, jak mężczyźni mają w zwyczaju — wtedy strąca go w głębinę swym węzowym ogonem i zamienia jego wiarołomną krew w wodę.

Prawdziwa tragedia Meluzyny, w jakimkolwiek języku opowiedziana, na jakąkolwiek melodię zaśpiewana, zasadza się na tym, że mężczyzna obiecuje więcej, niż może dotrzymać, niewieście, której nie jest w stanie zrozumieć.

WIOSNA 1464 ROKU



Moim ojcem jest sir Ryszard Woodville hrabia Rivers, angielski arystokrata, możnowładca, poplecznik prawdziwych królów tej ziemi, Lancasterów. Moja matka, Jakobina Luksemburska, wywodzi się od książąt Burgunda i przez to może się poszczycić kapką krwi w swoich żyłach pochodzącą od boginki Meluzyny, która przed wiekami założyła tamtejszy ród królewski z pomocą zauroczonego nią książęcego kochanka i nadal pojawia się w czasach trwogi, wykrzykując ostrzeżenie ponad dachami zamku, gdy syn i dziedzic cześnie, a ród ginie. Tak przynajmniej powiadają ci, którzy wierzą w podobne rzeczy.

Powołana do życia przez tak przeciwstawne siły: angielską ziemię i francuską wodę, mogłam okazać się wszystkim — czarodziejką bądź zwykłą niewiastą. Znajdą się tacy, którzy utrzymują, że jestem jednym i drugim. Wszelako dzisiaj, kiedy ze szczególną starannością czeszę się i układam włosy pod swym najwyższym kornetem, kiedy ujmuję za rączki moich dwóch osieroconych przez ojca chłopców i prowadzę ich ku traktowi wiodącemu do Northampton, oddałabym to, kim jestem, aby stać się — ten jeden raz — nieodparcie zniewalającą.

Muszę przyciągnąć uwagę młodzieńca wyruszającego na kolejną bitwę przeciwko wrogowi, którego nie można pokonać. Niewykluczone, że mnie nawet nie spostrzeże. Z pewnością nie będzie w nastroju do udzielania jałmużny czy flirtowania. A jednak muszę wywołać w nim współczucie dla mojego położenia, zrozumienie dla

moich potrzeb i pozostać w jego pamięci wystarczająco długo, aby zmienił pierwsze i zaspokoił drugie. Ani na chwilę nie zapominam, że jest to mężczyzna, który na każde swoje skinienie ma setki niewiast gotowych zlec z nim nocą i tyleż samo za dnia rościcieli łąsych na rozdawane przezeń zaszczyty.

Co więcej, jest uzurpatorem i tyranem, moim wrogiem i synem wroga mojego rodu, lecz ja dawno zarzuciłam lojalność wobec kogokolwiek poza synami i sobą. Mój własny ojciec brał udział w bitwie stoczonej pod Towton, a wymierzonej przeciwko temuż mężczyźnie, który teraz nazywa siebie królem Anglii, choć w istocie jest niewiele więcej jak zadufanym w sobie samochwałą; nigdy wcześniej nie widziałam człowieka tak załamane go jak papa, gdy wrócił z pola bitwy z prawym ramieniem krwawiącym pod dubletem, z pobielającą twarzą, mówiąc, iż ten młodzieniec, ten chłopiec niemalże jest dowódcą, jakiego świat nie pamięta, a nasza sprawa przegrana, my zaś pozostawieni bez nadziei, jak długo będzie nosił koronę. Na jego rozkaz pod Towton zostało wyciętych w pień dwadzieścia tysięcy dusz — krwawe żniwo, jakiego Anglia przedtem nie widziała. Papa ochrzcił je „żęciem Lancasterów”, nie regularną bitwą. Prawowity król Henryk i jego małżonka królowa Małgorzata Andegaweńska zbiegli do Szkocji, przybici stratami.

My, którzyśmy pozostali w Anglii, nie poddaliśmy się łatwo. Rozgrywały się bitwa za bitwą mające dać odpór tej latorośli Yorków. Mój własny mąż poległ w walce, dowodząc jazdą pod St. Albans za ledwie trzy wiosny temu. Odtąd jestem wdową, a ziemie i majątności — niegdyś moje — zabrała mi świekra za przyzwoleniem zwycięzcy i jego opiekuna, największego marionetkarza zwanego Twórcą Królów: Ryszarda Neville'a hrabiego Warwick, który uczynił królem tego próżnego młodziana, w chwili obecnej dwudziestodwuletniego, i który zamienia Anglię w piekło dla tych wszystkich, co wciąż chcą bronić sprawy Lancasterów.

Yorkiści przejęli każdą znacniejszą posiadłość w królestwie, zajęli każde znacniejsze stanowisko i to w ich gestii pozostaje rozdawanie zaszczytów i ściąganie ważniejszych podatków. Wynieśli na tron swojego króla i tworzą jego dwór. My, pokonani, staliśmy się żebrakami we własnych domach i obcymi we własnej ojczyźnie; nasz

król znalazł się na wygnaniu, nasza królowa zamieniła się znów w spiskującą cudzoziemkę, knującą pospołu z odwiecznym wrogiem Anglii — Francją. Udając, że godzimy się na warunki tyrana, nie ustajemy w modlitwach, aby Pan Bóg odwrócił się od Yorków, a prawowity władca poprowadził swoją armię na południe ku ostatecznemu zwycięstwu.

Tymczasem ja — podobnie jak wiele innych niewiast, których mężowie nie żyją, ojcowie zaś zostali haniebnie pokonani — muszę scalić na powrót swoje życie niczym szwaczka z mozołem zszywająca łątaninę różnych materii. Muszę odzyskać swój majątek, mimo że żaden krewny ani przyjaciel rodziny nie jest w stanie mi w tym pomóc. Wszyscyśmy zostali okrzyknięci zdrajcami. Wprawdzie darowano nam życie, lecz nikt się z nami nie liczy. Jesteśmy całkowicie pozbawieni jakichkolwiek wpływów. Zatem przyjdzie mi świadczyć za samą siebie, przedstawić własną sprawę i odwołać się do poczucia sprawiedliwości młodzieńca, który tak lekce sobie waży prawo, że śmiał podnieść rękę na kuzyna i namaszczonego monarchę. Cóż można powiedzieć takiemu gwałtownikowi, aby doń przemówić?

Moi synowie, Tomasz, który ma dziewięć lat, i Ryszard, który liczy osiem wiosen, są odziani w swoje najlepsze szaty i mają zwilżone i przygładzone włosy, a twarze czyste i zaczerwienione od długiego szorowania. Trzymam ich obu mocno za ręce, każdego z jednej strony, i nie puszczam, albowiem to prawdziwi chłopcy — przyciągają do siebie brud jakby cudem. Jeśli tylko na chwilę zdejmę z nich oko, jeden natychmiast przykurzy lśniące pantofle, a drugi rozedrze pluderki, obaj skończą z liśćmi we włosach i błotem na licach, a Tomasz jak nic wpadnie do strumienia. Dlatego stoją przykuci do mego boku i podskakują z nogi na nogę, nudząc się niemożliwie, a zamierają i prostują się tylko wtedy, gdy ich uspokajam sykiem, dodając, że słyszę tętent zbliżających się koni.

Z początku brzmi jak bębnienie kropel deszczu, wkrótce jednak przedzierzga się w grzmiot gromów. Pobrzękiwanie upręży i trzepotanie chorągwi, dźwięczenie kolczug i rzenie wierzchowców, odgłosy i woń setki nie oszczędzanych zwierząt i jazdy są tak przytłaczające, że choć zamierałam wytrwać na swojej pozycji pośrodku traktu, kulę się ze strachu i umykam na pobocze. Próbuję sobie

wyobrazić, jak to jest napotkać ich w bitwie, galopujących przed siebie z wyciągniętymi na całą długość włóczniami, zdających się litą ścianą końskich ciał, żelaza zbroi i zaostrego drewna? Czy jakkolwiek człowiek jest w stanie stawić im czoło?

Tomasz pierwszy dostrzega odkrytą blond głowę pośród tego zgiełku i wrzeszczy: „Hurra!!”, jak to mały chłopiec, którym przecież jest, a na dźwięk jego cieniutkiego głosu mężczyzna odwraca się, zbiera w dłoniach wodze i wydaje z piersi ryk: „Stać!”. Jego wierzchowiec zatrzymuje się w miejscu i wierzga w powietrzu przednimi kopytami, opierając się tylko na zadnich nogach, po czym cała kawalkada spowalnia i przystaje, tu i ówdzie ludzie klną na niespodziewany postój, wkrótce jednak otacza nas tylko cisza i wirujący wokół wzniecony z traktu kurz.

Wstrzymany nagle wierzchowiec parska, potrząsa łbem, lecz jeździec tkwi na jego wysokim grzbiecie niczym nieruchomy posąg. On spogląda wprost na mnie, ja na niego, a dookoła nas jest tak cicho, że słyszę drozda w rozłożystej koronie dębu w górze. Ptak śpiewa, ale jak, mój Boże! Jakby głosił chwałę, jakby zamknął w swoich trelach całą radość życia. Nigdy przedtem nie słyszałam czegoś podobnego — jakby z ptasiego gardziołka dobywało się wieszczenie szczęścia.

Postępuję krok do przodu, nie wypuszczając z uścisku rączek swoich synów, i już otwieram usta, aby przedstawić naszą sprawę, tak jak sobie zamierzyłam, lecz właśnie wtedy, w tej kluczowej chwili zapominam języka. A przecież dobrze się przygotowałam do tej przemowy. Ułożyłam ją starannie i wielokrotnie ćwiczyłam na głos, pozostałam jednak z niczym, z pustką w głowie. Wszakże chyba wcale nie potrzeba słów. Po prostu patrzę nań i czuję, że jakimś sposobem rozumię już wszystko — moje obawy o przyszłość i nadzieje związane z chłopcami, biedę i nieznośną litość papy czyniącą mieszkanie pod jednym dachem niemal niemożliwym dla mnie, chłód łoża nocą, pragnienie, by znów być matką, poczucie, że moje życie się skończyło... Dobry Boże, mam zaledwie dwadzieścia siedem lat, a już przegrałam, straciłam męża. Czy naprawdę mam stać się jedną z tych nieszczęśliwych ubogich wdów, które dożywają swoich dni przy cudzym kominku, robiąc co w ich mocy, aby nie

okazać się nazbyt kłopotliwym gościem? Czy już nigdy mam nie zaznać miłości, nigdy nie poczuć szczęścia? Przenigdy?

Ptak ponad naszymi głowami nadal śpiewa, jakby chciał zapewnić, że radość jest w zasięgu ręki — dla tych, którzy łakną jej wystarczająco mocno.

Młodzieniec wykonuje gest ręką i jadący u jego boku mężczyzna w sile wieku wyszczekuje komendę, na co żołnierze dają swoim wierzchowcom ostrogę, kierując je z traktu w stronę cienia drzew rosnących po obu stronach. Król zeskakuje z siodła, rzuca wodze giermkowi i zbliża się ku mnie i moim synom. Choć jak na niewiastę jestem dość wysoka, przerasta mnie o głowę; musi mierzyć dobrze ponad sześć stóp wzrostu. Chłopcy wykręcają sobie szyje, żeby spojrzeć mu w twarz — w ich oczach pewnie zdaje się gigantem. Ma jasne włosy, popielate oczy i opalone, szczere, roześmiane oblicze. Porusza się z naturalnym wdziękiem i z równą łatwością oczarowuje. Oto król, jakiegośmy jeszcze w Anglii nie widzieli, jakiego lud pokocha od pierwszego wejrzenia. I tenże król wpatruje się we mnie z natężeniem, jak gdybym posiadała jakowyś cenny dlań sekret, jak gdybyśmy znali się od niepamiętnych czasów, co wywołuje rumieniec na moich licach. Mimo to nie spuszczam wzroku.

Skromna białogłowa spogląda na czubki swoich prunelek, proszalnik pochyla się nisko i wyciąga drżącą dłoń po datki. Wszakże ja stoję wyprostowana na całą swoją wysokość i — przerażona własnym butnym zachowaniem — gapię się na króla niczym nieokrzesana chłopka, nie umiając oderwać spojrzenia od jego uśmiechniętych warg, od jego oczu wbitych we mnie i świdrujących mnie na wylot.

— Któż to taki? — pyta, spoglądając wprost na mnie.

— Za pozwoleniem waszej miłości, to pani matka, lady Elżbieta Grey — odpowiada grzecznie mój syn Tomasz, zrywając z głowy czapkę i przyklękając na jedno kolano.

Stojący po mej drugiej stronie Ryszard również przyklęka i mamrocze, sądząc, że tylko ja go usłyszę:

— To jaśnie pan? Naprawdę? Jest najwyższym człowiekiem, jakiegom widział w życiu!

Natomiast ja dygam głęboko, w dalszym ciągu nie odrywając spojrzenia od twarzy króla. Patrzę nań rozplómiionym wzrokiem, jak czyni niewiasta pałająca gorącym uczuciem do mężczyzny.

— Powstańcie — zezwała łaskawie chłopcom. Do mnie zaś cichszym głosem dodaje: — Chciałaś mnie widzieć?

— Chciałam prosić o twą pomoc — mówię. Formułowanie myśli przychodzi mi z najwyższym trudem. Czuję się tak, jakby miłosny dekolt, którym pani matka nasaczyła szarfę podtrzymującą mi kornet, upajał mnie, a nie jego. — Utraciłam swoje ziemie, które wniosłam w posagu, oraz dożywotnią rentę przysługującą mi po śmierci męża... — jąkam się w obliczu jego łagodnego zainteresowania. — Jestem biedną wdową. Nie mam za co żyć.

— Wdową?

— Moim mężem był sir John Grey. Poległ pod St. Albans — informuję. Jest to równoznaczne z przyznaniem się do zdrady i ze skazaniem na potępienie moich dwóch synów. Król bez wątpienia rozpozna miano dowódcy wrażej strony. Zagryzam wargę, zastanawiając się, co powiedzieć dalej. — Ich ojciec wypełniał swoją powinność, tak jak ją pojmował, wasza miłość. Pozostał wierny człowiekowi, którego miał za króla. Oni jednak są niewinni.

— Zostawił ci tylko ich dwóch? — pyta, uśmiechając się do chłopców.

— To wszystko co mam, a zarazem najlepsze z tego, co miałam — rzekę. — Moi synowie: Ryszard i Tomasz.

Kiwa im przyjaźnie głową, a oni patrzą na niego, jakby był rumakiem czystej krwi wywołującym mieszane uczucia podziwu i strachu. Następnie znów przenosi wzrok na mnie.

— Trapi mnie pragnienie — oznajmia. — Czy twój dom znajduje się gdzieś w pobliżu?

— To dla nas wielki zaszczyt, wasza miłość... — zerkam na jego ludzi. Jest ich setka, jeśli nie więcej. Król śmieje się pod nosem.

— Oni pojedą dalej — decyduje. — Hastings! — Mężczyzna w sile wieku wyprostowuje się w siodle i podjeżdża bliżej. — Jedźcie do Grafton. Dołączę tam do was. Zostaną ze mną Smollett i Forbes. Powinienem zjawić się niebawem.

Sir William Hastings obrzuca mnie uważnym spojrzeniem, **jak**-bym była kawałkiem materii na sprzedaż. W odpowiedzi patrzę na niego hardo, na co zdejmuję nakrycie głowy i kłania mi się lekko, po czym salutuje królowi i krzyczy do żołnierzy, by dosiadali wierzchowców i formowali szyk.

— Dokąd się udajesz, wasza miłość? — pyta w ogólnym rejwachu.

Młody król spogląda na mnie.

— Udamy się do domu mego ojca, hrabiego Rivers, sir Ryszarda Woodville'a — odpowiadam z dumą, mimo że miano papy bez wątpienia skojarzy się monarsze z poplecznikiem dworu Lancasterów walczącym w ich szeregach, a raz nawet przyjmującym na się ciężkie słowa króla, gdy Yorkowie i Lancasterowie znów stanęli w szranki. Jedni drugich znają na wylot, lecz dworna uprzejmość nakazuje, by w czasach pokoju zapominać, iżesmy okazywali lojalność wobec Henryka VI, nim ten został uznany za zdrajcę.

Sir William unosi brew na ten zaskakujący wybór miejsca gościny.

— Wątpię, byś zechciał zabawić tam dłużej, wasza miłość — rzecze oschłym tonem i daje koniowi ostrogę. Ziemia drży, gdy kawalkada zrywa się do galopu, lecz po paru chwilach znów otacza nas cisza i spokój, kiedy kurz osiada w ciepłym bezruchu.

— Mój ojciec zyskał przebaczenie i **swoi** stary tytuł — oznajmiam obronnie. — Sameś mu wybaczył po bitwie pod Towton, wasza miłość.

— Pamiętam oboje twoich rodziców — mówi łagodnie król. — Znałem ich jeszcze jako mały chłopiec, w czasach dobrych i złych. Tym bardziej dziwi mnie, że nigdy nie miałem okazji cię spotkać.

Ledwie pohamowuję chichot. Stojący przede mną młodzieniec jest znany ze swych uwodzicielskich skłonności. Żaden rozsądny rodzic nie pozwala swym córkom choćby zbliżać się do niego.

— Pójdziemy tą ścieżką — odpowiadam wykrętnie. — Do domu mego ojca nie jest stąd daleko.

— Chcecie przejechać się konno, chłopcy? — pyta moich synów. Głowy im podskakują niczym pisklętom domagającym się

rodzicielskiej uwagi. — Pojedziecie obaj — decyduje, po czym podnosi najpierw Ryszarda, a potem Tomasza i usadza ich w siodle. — Trzymajcie się mocno. Ty swojego brata, a ty... Tomaszu, zgadza się?... lęku siodła.

Bierze wodze w jedną rękę i podaje mi drugie ramię, i tak idziemy do mego domu, pomiędzy drzewami w cieniu ich liści. Wyczuwam ciepło bijące od jego ciała przez rozcięcie rękawa dubletu. Z trudem się powstrzymuję, aby nie przywrzeć do jego boku. Wyglądam domu pomiędzy pniami i odszukawszy wzrokiem okno matczynej komnaty, poznaję po delikatnym ruchu za gomółkami szybek połączonych w taflę, że wyczekiwała takiego widoku i siłą swojej woli starała się to sprawić.

Pani matka jest już w drzwiach frontowych, gdy podchodzimy bliżej, i wita nas z ochmistrzem u boku.

— Wasza miłość — dyga głęboko, lecz odzywa się takim tonem, jakby na co dzień podejmowała monarchów. — Wielceśmy radzi, mogąc cię gościć w naszych progach.

Stajenny podbiega na złamanie karku i ujmując rzucone wodze w locie, aby odprowadzić królewskiego rumaka na dziedziniec. Chłopcy ani myślą opuścić siodła przed tym, zanim im się wyraźnie każe, i przemierzają dumnie ostatnie jardy. Tymczasem pani matka cofa się o krok i z ukłonem zaprasza króla do środka domostwa.

— Wasza miłość raczy się napić warzonego u nas piwa czy raczej ma ochotę na wino prosto od mych kuzynów z Burgunda?

— Wolę piwo — odpowiada król, jakby nie chciał sprawiać kłopotu. — Jazda w siodle to męczące zajęcie, a w dodatku mamy nadzwyczaj upalną wiosnę. Dzień dobry, hrabino Rivers.

Wysoki stół w wielkiej sali jest już nakryty jak do uczyty i stoją na nim dzbany zarówno z piwem, jak i z winem.

— Spodziewaliście się gości? — pyta król.

Pani matka uśmiecha się do niego szeroko.

— Nie urodził się jeszcze mężczyzna, który by przejechał obojętnie obok mojej córki — odpowiada mu. — Gdym tylko od niej usłyszała, że zamierza wyłożyć ci swoją sprawę osobiście, zaordynowałam, żeby wytoczono z piwniczki beczkę najlepszego piwa. Domyśliłam się, że się zatrzymasz.

Król wybucha śmiechem na to dictum i odwraca się, by obdarzyć mnie ciepłym spojrzeniem.

— Zaiste, tylko ślepiec mógłby nie zwrócić na ciebie uwagi — rzecze.

Znowuż zamierzam się jakoś odezwać i czuję, że brak mi słów. Nasze oczy się spotykają, a ja mam pustkę w głowie. Zatem tylko stoimy, patrząc na siebie przez długą chwilę, aż w końcu pani matka podaje królowi kielich i życzy cicho:

— Na zdrowie, wasza miłość.

Król potrząsa głową, jakby właśnie się przebudził.

Czy pan domu jest na miejscu?

— Papa udał się z wizytą do sąsiadów — informuję. — Spodziewamy się go z powrotem na wieczерze.

Pani matka ujmuje jeden ze stojących na blacie kielichów i przyrzawszy mu się krytycznie, cmoka, jakby spostrzegła, że nie został wypolerowany jak należy.

— Wybaczcie mi na chwilę — mówi i zostawia nas samych.

Zostaję z królem sam na sam w wielkiej sali, do której przez okno nad wysokim stołem wpadają promienie wiosennego słońca. W całym domostwie panuje cisza, jakby wszyscy wstrzymali oddech i nasłuchiwali.

Król obchodzi długaśny stół dookoła i zajmuje miejsce pana domu.

— Usiądź, proszę — powiada, wskazując mi krzesło obok siebie. Zasiadam koło niego, jakbym była jego królową, po prawej ręce, i nie protestuję, gdy nalewa mi kielich piwa. — Przyjrzę się, co można zrobić w sprawie twoich majątków — obiecuje. — Twoim życzeniem jest mieszkać we własnym domu? — pyta. — Nie jesteś szczęśliwa, żyjąc tutaj, u matki i ojca?

— Rodzice są dla mnie dobrzy — zapewniam. — Lecz ja przywykłam już do prowadzenia własnego domu, do doglądania swojej ziemi. Poza tym moi synowie pozostałoby z niczym, gdybym nie odzyskała dla nich dziedzictwa ich ojca, które należy im się z prawa. Moim obowiązkiem jest bronić przyszłości swoich dzieci.

— Nastały ciężkie czasy — wzdycha król. — Ale jeśli tylko uda mi się zachować głowę i koronę na niej, zamierzam dopilnować, aby

prawo znów zaczęło obowiązywać jak Anglia długa i szeroka, a dzieci, także twoje dzieci dorastały bez trwogi, że nadciąga kolejna wojna.

Kiwam z powagą głową.

— Pozostajesz lojalna wobec króla Henryka? — zaskakuje mnie pytaniem. — Czy tak jak twoja rodzina popierasz Lancasterów?

Trudno zaprzeczyć naszej historii. Wiem, że w Calais odbyła się potężna awantura pomiędzy tym królem, podówczas zaledwie młodym synem jednego z Yorków, a moim ojcem, będącym wtedy najznaczniejszym ze zwolenników Lancasterów. Pani matka była pierwszą damą dworu na dworze królowej Małgorzaty Andegaweńskiej i z pewnością nie raz spotkała i potraktowała z góry młodego przystojnego syna Domu Yorków. Któż mógł przypuszczać, że świat wywróci się do góry nogami i że córka hrabiego Rivers będzie musiała zabiegać o łaski i zwrot majątków u tego właśnie młodzieńca?

— Choć moi rodziciele liczyli się na dworze króla Henryka, wszyscy akceptujemy teraz twoje panowanie, wasza miłość — odpowiadam.

Uśmiecha się do mnie.

— To bardzo rozsądne z waszej strony, zwłaszcza że wygrałem. Przyjmuję wasz hołd lenny.

Wrywa mi się krótki chichot, na co jego twarz i oczy nabierają jeszcze więcej ciepła.

— Bóg da, to się wkrótce skończy — mówi z powagą. — Henrykowi pozostała ledwie garstka zamków na dzikiej północy. Jak każdy wyjęty spod prawa, zdoła może zebrać jeszcze jakąś bandę, lecz nie stać go na powołanie armii z prawdziwego zdarzenia. A jego żona musi wreszcie zaprzestać sprowadzania do Anglii wrogów. Ci, którzy stanęli po mojej stronie, zostaną nagrodzeni, wszakże nawet ci, którzy walczyli przeciwko mnie, przekonają się, że będę sprawiedliwym zwycięzcą. I że moje władanie rozciągnie się aż do północnych krańców królestwa, aż po dotąd im wierne warownie, aż po same granice ze Szkocją.

— Wybierasz się teraz na północ, wasza miłość? — pytam, pociągając łyżeczek piwa, które wybornie udało się pani matce. Czuję na

języku posmak dodanych przez nią paru kropel nalewki, miłego dekoktu mającego zwiększyć pożądanie. Mnie nic takiego nie jest potrzebne, już czuję, że brak mi tchu w piersi.

— Anglii potrzebny jest pokój — odpowiada król. — Pokój z Francją, ze Szkocją, ale też pokój pomiędzy braćmi i kuzynami. Henryk musi się poddać. Francuzi muszą przestać przybywać na wezwanie jego królowej, aby się bić z Anglikami. Po co nam podziały na Yorków i Lancasterów? Wszyscyśmy powinni czuć się jeno Anglikami. Nie ma nic gorszego dla królestwa aniżeli bratobójcza wojna, która niszczy rodziny i zabija nas dzień po dniu. Dlatego powiadam: to musi się skończyć i skończy się, gdyż ja położę temu kres. Nim upłynie ten rok.

Ogarnia mnie lepki strach, od dekady odczuwany przez każdego mieszkańca tej ziemi.

— Szykuje się bitwa?

Król uśmiecha się do mnie.

— Uczynię co w mej mocy, aby odbyła się z dala od twego progu, milady. Ale w rzeczy samej zanosi się na bitwę, i to bitwę rozstrzygającą. Wybaczyłem księciu Somerset i obdarzyłem go swą przyjaźnią i zaufaniem, ów jednak ponownie zbiegł pod skrzydła Henryka, okazując się zdrajczykiem pozbawionym honoru jak wszyscy Beaufortowie. Ród Percych podburza przeciwko mnie całą północ, gdyż nienawidzi Neville'ów, ci zaś są moim najwierniejszym poplecznikiem. To coś jak taniec: tancerze zajęli już swoje miejsca i niecierpliwia się, by wykonać pierwszy krok. Bitwa jest nie do uniknięcia.

— Wojska królowej znów przejdą przez te ziemie? — pytam strwożona. Mimo że pani matka kochała ją szczerze i była pierwszą damą na jej dworze, muszę przyznać, że Małgorzata Andegaweńska stworzyła armię, która budzi w każdym, kogo znam, czyste przerażenie. W jej szeregach znaleźli się najemnicy, którym nie zależy na niczym poza łupami, Francuzi, którzy pałają do nas odwieczną nienawiścią, i dzikusy z północnych rubieży, dla których nasze ziemie, zamki i grody są dobre jeno do plądrowania. Ostatnim razem zaciągnęła nawet Szkotów, którym pozwoliła zatrzymać wszystko, co złupili w trakcie wyprawy. Równie dobrze mogła prosić o pomoc wilki.

— Nie pozwolę na to — zapewnia mnie król. — Stawię im czoło na północy i tam ich pokonam.

— Skąd to przekonanie? — wykrzykuje zaskoczona.

Gdy ponownie obdarza mnie ciepłym uśmiechem, tracę z wrażenia oddech.

— Stąd, że nigdy jeszcze nie przegrał bitwy. I wiem, że nigdy nie przegram. Jestem gibki, sprytny i odważny, a do tego sprzyja mi szczęście. Moje wojsko porusza się szybciej niż jakiegokolwiek inne; przymuszam żołnierzy do wysiłku w pełnym rynsztunku, co się opłaca. Prześcigam wroga w polu i w myśli. Po prostu nie zwykłem przegrywać. Szczęście dopisuje mi zarówno w wojaczce, jak i w miłości. Moje zwycięstwa są szeroko znane w świecie. Nie zamierzam więc przegrać w starciu z armią Małgorzaty Andegaweńskiej.

Parskam śmiechem na tę pyszałkowatość, jak gdybym nie była pod wielkim wrażeniem, lecz prawda jest taka, że czuję się olśniona.

Król dopija piwo i podnosi się na nogi.

— Dziękuję za gościnę — mówi.

— Opuszczasz nas, wasza miłość? Już?... — jąkam się.

— Spiszesz dla mnie swoje roszczenia?

— Tak. Ale...

— Podając nazwiska, daty i tak dalej? Wymieniając ziemie, które jak twierdzisz, są twoje, i udowodniając swoje prawo do nich?

Nieomal chwytam go za rękaw niczym jakaś żebraczka.

— Zrobię, jak każesz, wasza miłość, tylko że...

— Zatem bywaj, pani.

Nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłabym powiedzieć, aby go zatrzymać, i pozostaje mi liczyć tylko na to, że pani matka zawczasu okulawiła jego wierzchowca.

— Dziękuję za wszystko, wasza miłość. Gdybyś zechciał zostać jeszcze trochę, niebawem siądziemy do wieczerzy... A może...

— Nie, pilno mi w drogę. Mój przyjaciel William Hastings na mnie czeka.

— Oczywiście, oczywiście. Nie śmiałabym cię powstrzymać...

Odprowadzam go do wyjścia. Moje wnętrze rozdziera smutek na tak nieoczekiwane i rychłe pożegnanie, lecz naprawdę nie ma sposobu, aby sprawić, by został ze mną dłużej. W progu król przy-

staje i ujmuje mnie za rękę. Pochyla nisko jasnowłosą głowę i niesłychanie wymownym gestem odwraca mą dłoń, po czym przytyka rozgrzane wargi do zagłębienia, a następnie zgina mi palce tak, aby jego pocałunek pozostał bezpieczny. Gdy wyprostowuje się z uśmiechem, widzę w jego oczach pewność, że zawładnął mną całkowicie. Wiem, że on wie, iż do nocy będę trzymać tę dłoń zaciśniętą i dopiero znalazłszy się w swojej komnacie, przyłożę ją do ust.

Spogląda w dół, na moją oczarowaną twarz, na moją rękę, która wyciąga się ku niemu wbrew woli mego umysłu. I ustępuje.

— Osobiście odbiorę dokument, który przygotujesz, nazajutrz. Oczywiście, że tak. Chyba nie spodziewałaś się, że postąpię inaczej? Jakże mogłaś myśleć, że opuszczę cię i już nigdy nie wrócę?... Naturalnie, że wrócę. Jutro w południe. Czy zastanę cię w tym samym miejscu?

Niemożliwe, żeby nie usłyszał mojego sapania. Żeby nie zobaczył rumieńca palącego mi lica.

— Tak... Do jutra, wasza miłość...

— Przybędę w południe — przypomina mi. — I zostanę do wieczery.

— To dla nas wielki zaszczyt, wasza miłość.

Kłania się i oddala, przecina wielką salę i przez podwójne odrzwia otwarte na rozcież wychodzi prosto w jasne słońce dnia. Zakładam rękę z tyłu i opieram się o ścianę, albowiem nogi nagle odmówiły mi posłuszeństwa.

— Odszedł? — Pani matka wchodzi do wielkiej sali przez boczne drzwi nieopodal mnie.

— Wróci jutro — odpowiadam. — Obiecał, że wróci jutro. Przyjedzie specjalnie po to, żeby się ze mną zobaczyć.

Kiedy słońce zaczyna zachodzić, a moi synowie odmawiają wieczorną modlitwę, splótłszy dłonie i pochyliwszy blond główki nad swymi łóżeczkami, pani matka prowadzi mnie przez frontowe drzwi na zewnątrz i dalej, wijącą się ścieżką, ku drewnianemu mostkowi przerzuconemu nad rzeczką Tove. Pierwsza przechodzi na drugą stronę po chybotałej konstrukcji zbitej z płaskich desek, zaczepiając szczytem swego stożkowego kornetu o nisko zwieszające się

gałęzie drzew, i już z tamtego brzegu kiwa na mnie, bym podażyła w jej ślady. Gdy do niej dołączam, robi jeszcze parę kroków i dotyka dłonią pnia starego, wyniosłego jesionu. Wiodąc spojrzeniem za jej ręką, dostrzegam ciemną jedwabną nić owiniętą wokół spękanej, szorstkiej kory grubego pnia.

— Co to? — pytam zaciekawiona.

— Zwijaj nić — rzecze pani matka. — Zwijaj nić każdego dnia o łokieć.

Przykładam otwartą dłoń do kory i odnajduję kraniec nici, po czym pociagam delikatnie i odwijam pętlę z pnia. Poddaje się łatwo; wkrótce czuję, że na końcu nici musi być coś przywiązane, coś małego i lekkiego. Nie mam pojęcia, co to może być, ponieważ nić jest długa i poprzez trzciny sięga najgłębszego nurtu rzeczki.

— Czary — mówię głucho.

Papa zabronił czarów w swoim domu, prawo zabrania ich w całym królestwie. Czarownicy grozi kara śmierci przez utopienie bądź uduszenie przez kowala na rozstajach. Niewiasty takie jak pani matka nie mogą swobodnie praktykować swojej sztuki na terenie Anglii; zostałyśmy wyklęte i pozbawione czci.

— Czary — potwierdza pani matka ani trochę nie poruszona. — Potężne czary przywołane w dobrym celu. Warte ryzyka. Przychodź tu co dzień i odwijaj nić o łokieć — powtarza.

— Co znajdę? — dopytuję. — Co tkwi uwiązane u końca tego twojego wędziska? Jakaż to wielka ryba?

Pani matka uśmiecha się łagodnie i muska mi dłonią policzek.

— To, czego pragniesz całym sercem — odpowiada. — Nie chowałam cię na to, byś dożyła swoich dni jako uboga wdowa.

Odwraca się i odchodzi w stronę mostku, a ja posłusznie ciągnę nić, odmierzam czterdzieści pięć cali, przywiązuję na powrót do pnia i czym prędzej śpieszę ku domowi.

— Zatem na co mnie chowałaś? — pytam, kiedy idziemy ścieżką obok siebie. — Kim mam być?... Biorąc pod uwagę sytuację, to, że świat opętała wojna, którą najwyraźniej przegrywamy pomimo twych zdolności widzenia przyszłości i odprawiania czarów?

Nów się skończył, na nocnym niebie znowu pojawia się sierp księżycy. Bez słowa równocześnie wypowiadamy w myślach życze-

nie, dygamy płytko i z brzękiem przekładamy w mieszkach drobne monety.

— Na to, byś osiągnęła szczyt swoich możliwości — mówi pani matka. — Jakikolwiek by on był. Z pewnością jednak nie po to, byś była sama, byś ledwie mogła zapewnić bezpieczeństwo swoim synom, byś tęskniła do mężowskiego dotyku i trwoniła urodę na końcu świata.

— Amen — dopowiadam, nie spuszczać wzroku z sierpu księżyca. — Niech nadchodzący miesiąc przyniesie w moim życiu odmianę na lepsze.

Nazajutrz w południe mam na sobie zwykłą suknię i siedzę spokojnie w swojej komnacie, kiedy wpada zdyszana służąca z wiadomością, że król dociera do bram. Nie zrywam się i nie podbiegam do okna, aby go wypatrywać, ani nie pozwalam sobie na próżne zerknięcie w wytłaczane srebrne lustro, które znajduje się w komnacie pani matki. Po prostu odkładam robótkę i powoli schodzę szerokimi drewnianymi schodami, tak że akurat gdy otwierają się odrzwia i król przekracza próg wielkiej sali, ja pojawiaam się dystyngowanie, jak gdybym w ostatniej chwili została oderwana od codziennych zajęć, aby przywitać niespodziewanego gościa.

Zbliżam się doń z uśmiechem, a on wita mnie kurtuazyjnym cmoknięciem w policzek, dzięki czemu mogę poczuć ciepło jego ciała i zobaczyć przez półprzymknięte powieki miękkość loków wijących mu się na karku. Jego skóra pachnie czystością i jakąś ostrą przyprawą. Kiedy znów na siebie patrzymy, widzę w oczach króla pożądanie. Niechętnie wypuszcza moją dłoń ze swojej, a ja odstępuję odeń z najwyższym trudem. Dygam przed nim głęboko, gdy w sali zjawia się papa i moi dwaj najstarsi bracia, Antoni i Jan.

Rozmowa przy wieczerzy zdaje się wysilona, w czym nie ma niczego dziwnego. Choć cała moja rodzina okazuje szacunek nowemu królowi, nie da się ukryć, że ryzykowaliśmy swoje życie i majątek w walce przeciwko niemu, a mój mążonek nie był jedynym z naszego domostwa i rodu, który nie powrócił z pola bitwy. Lecz tak to już bywa na wojnie ochrzczonej mianem wojny kuzynów, w której brat zwrócił się przeciw bratu, a ich synowie i następcy trzymają się

uparcie jednej ze stron i oddają życie za jej sprawę. Tymczasem memu ojcu zostało wybaczone, braciom tak samo, i teraz ten, który ich pokonał, łamie się z nimi chlebem, jakby nigdy nie tryumfował w Calais, jakby papa nigdy nie zbiegł w trwodze i z podkulonym ogonem z zakrwawionego śniegu pod Towton.

Król Edward jest łatwy w obyciu. Zachowuje się po rycersku w stosunku do pani matki i przyjaźnie wobec Jana i Antoniego, a potem także reszty moich braci: Ryszarda, Edwarda i Lionela, którzy dołączają do nas nieco później. Przy stole zasiadają również trzy z moich siostr — żadna nie śmie się odezwać i tylko pożerają jego królewską mość wzrokiem, oniemiałe z podziwu. Żona Antoniego, Elżbieta jak ja, siedzi milcząca i wyniosła po lewej ręce pani matki. Król okazuje zainteresowanie papie i wypytuje go o zwierzyne w puszczy i plony z naszych ziem, ceny zboża i solidność dzierżawców. Do czasu gdy służba wnosi suszone owoce i słodkości, atmosfera rozluźnia się i król Edward zachowuje się jak przyjaciel rodziny, ja zaś nareszcie mogę usiąść wygodniej i bezpiecznie go obserwować.

— Czas przejść do interesów — oznajmia w pewnym momencie jego wysokość. — Lady Elżbieta poinformowała mnie, że straciła ziemie wniesione w posagu.

Papa potakuje ze smutkiem.

— Niezręcznie mi się z tym do ciebie zwracać, wasza miłość, ale nasze petycje skierowane do lady Ferrers de Groby i lorda Warwicka nie przyniosły rezultatu. Majętności zostały skonfiskowane... — odchrząkuje — po St. Albans, rozumiesz... Mąż Elżbiety poniósł tam śmierć, a ona straciła swoje dziedzictwo. Nawet jeżeli uznać Johna Greya za zdrajcę, moja córka jest niewinna i powinna przynajmniej zachować prawo do wdowiej renty.

Król przenosi spojrzenie na mnie.

— Spisałaś dokument, o który prosiłem?

— Tak — mówię i podaję mu zrolowany papier, który rozwija i pobieźnie czyta.

— Porozmawiam o tym z moim przyjacielem Williamem i poproszę, by dopilnował, aby ta sprawa znalazła dobre zakończenie — oznajmia. — Baron Hastings ujmie się za tobą.

Wszystko poszło jak z płatka. Jeśli rzeczywiście wszystko dobrze się skończy, za jednym zamachem zostaną wybawiona z biedy i odzyskam rodowe posiadłości, a przy tym moi synowie otrzymają dziedzictwo, ja zaś przestanę być ciężarem dla krewnych. Kiedy ktoś poprosi o moją rękę, będę miała co wnieść w posagu. Nie będę więcej potrzebowała ludzkiej litości. Nie będę musiała czuć wdzięczności za oświadczyzny ani dziękować mężczyźnie, który zechce mnie poślubić.

— To nadzwyczajna hojność z twojej strony, wasza miłość — mówi papa i kiwa na mnie głową.

Wstaję posłusznie i dołączam się do podziękowań.

— Dziękuję, wasza miłość — dygam głęboko. — Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

— Zamierzam być sprawiedliwym władcą — obwieszcza król Edward, patrząc na papę. — Moim pragnieniem jest, aby żaden Anglik nie ucierpiał od tego, że włożę koronę.

Widzę, iż papa z trudem hamuje cisnącą mu się na usta odpowiedź, że jak dotąd już ucierpiałoby wielu z nas. Pani matka także to widzi i ubiega go gładko:

— Jeszcze wina? Wasza miłość? Mężu?...

— Nie, na mnie już czas — odpowiada król. — Zbieramy wojsko w całym Northamptonshire i wiele zachodu kosztuje nas jego wyposażenie. — Odsuwa się z krzesłem od stołu i powstaje, na co my wszyscy: papa i moi bracia, pani matka, siostry i ja, zrywamy się jak poderwane ręką lalkarza kukiełki. — Zanim was opuszczę, czy oprowadzisz mnie po waszych ogrodach, milady?

— Z najwyższą rozkoszą — zapewniam.

Papa już otwiera usta, aby zaproponować i swoje towarzystwo, lecz czujna jak zwykle pani matka wtrąca prędko:

— Ależ tak, Elżbieto. Oprowadź dostojnego gościa.

Wymykamy się z wielkiej sali tylko we dwoje.

Na dworze jest ciepło niczym w środku lata, gdy przestępujemy próg, zostawiając za sobą mroczne wnętrza. Król podaje mi ramię i tak schodzimy po stopniach wiodących na tyły budynku — ja z czubkami palców opartymi na grzbiecie jego dłoni — w absolutnym milczeniu. Wybieram ścieżkę prowadzącą do ogrodu fran-

cuskiego i wszedłszy na nią, zwalniał kroku, byśmy mogli podziwiać równo przycięte krzewy i żywopłoty oraz schludnie rozmieszczone rabaty oddzielone białymi kamykami, aczkolwiek sama niewiele widzę. Król położył drugą rękę na mojej dłoni, przyciągając mnie bliżej do siebie, tak że teraz czuję ciepło bijące od jego ciała. Wokół nas rozkwita lawenda, jej charakterystyczny zapach przypominający mi woń kwitnących pomarańczy uderza mnie nagle w nozdrza.

— Mam niewiele czasu — odzywa się król. — Somerset i Percy zbierają siły przeciwko mnie. Henryk zamierza opuścić swoje schronienie i stanąć na czele armii, jeśli tylko będzie w stanie dowodzić, w czym jak wiadomo może mu znów przeszkodzić niedyspozycja umysłowa. Biedak, ponoć teraz jest przy zdrowych zmysłach, lecz przecież nieraz w przeszłości tracił je bez wyraźnego powodu. Jego królowa zapewne już ściągnęła armię z Francji i będziemy musieli stawić czoło Francuzom na własnej ziemi.

— Będę się za ciebie modliła — mówię.

— Śmierć grozi nam wszystkim — stwierdza z powagą Edward — wszakże to nieustający kompan władcy, który zdobył koronę na polu bitwy i wciąż jej broni... — Zatrzymuje się, a ja przystaję obok niego. Wokół nas panuje zupełna cisza, jeśli nie liczyć treli jakiegoś ptaszka. Twarz króla zdaje się ściągnięta smutkiem. — Milady, czuję do ciebie coś, czego nie czułem nigdy do żadnej niewiasty. Przyjdiesz do mnie? Proszę o to nie jako król, nawet nie jako żołnierz, którzy może polec w najbliższej bitwie, lecz jako zwykły mężczyzna, który stanął przed najurodziwszą damą tej ziemi. Przyjdź do mnie, zaklinam cię... Być może to moje ostatnie życzenie. Czy przyjdiesz do mnie dzisiejszej nocy?

Potrząsam przecząco głową.

— Proszę o wybaczenie, wasza wysokość, ale jestem cnotliwą niewiastą.

— Być może już nigdy cię o to nie poproszę. Bóg świadkiem, że mogę już nigdy nie poprosić o to żadnej białogłowy. Cóż w tym niecnotliwego? W przyszłym tygodniu może mnie nie być pośród żywych.

— Mimo wszystko.

— Nie czujesz się samotna? — Jego wargi nieomal muskają mi czoło, tak blisko siebie stoimy. Czuję ciepło jego oddechu na swojej twarzy. — Nie czujesz nic do mnie? Z ręką na sercu odpowiesz, że mnie nie pragniesz? Ten jeden raz? Teraz?...

Powoli, tak wolno, jak potrafię, podnoszę nań wzrok. Zawieszam spojrzenie na jego ustach, potem odszukuję jego oczy.

— Dobry Boże! Muszę cię mieć! — mówi z przejęciem.

— Nie mogę zostać twoją kochanką — odpowiadam. — Prędeży umrę, niż splamię swój honor. Nie wolno mi zhańbić mojej rodziny... — urywam. Nie chcę okazać się nazbyt odpychająca. — Bez względu na to, jakie są moje pragnienia — dodaję ciszej.

— Zatem pragniesz mnie? — cieszy się niczym mały chłopiec, a ja pozwalam sobie na pełen ciepła uśmiech.

— Hm... — szepczę. — Chyba...

Patrzy na mnie wyczekująco.

— Chyba nie powinnam mówić ci, jak bardzo.

Dostrzegam w jego oczach, rychło ukryty, błysk tryumfu. Już myśli, że wygrał.

— Zatem przyjdiesz do mnie?

— Nie.

— Mam więc odejść? Zostawić cię? Nigdy nie... — Nachyla się ku mnie, ja zaś wyciągam ku niemu szyję i... Pocałunek, którym mnie obdarza, jest delikatny niczym muśnięcie piórka. Rozchyłam lekko wargi i czuję, że cały drży, zupełnie jak rumak trzymany na zbyt krótkich wodzach. — Milady... Klnę się... Muszę...

Znów cofam się o krok w tym upajającym tańcu.

— Gdybyśmy tylko... — nie kończę.

— Przyjadę po ciebie jutro — rzuca nagle. — Wieczorem. O zachodzie słońca. Wyjdiesz mi na spotkanie tam, gdzieśmy się zobaczyli po raz pierwszy? Pod wielkim dębem? Będiesz tam na mnie czekać? Chciałbym się pożegnać, zanim udam się na północ. Muszę cię ponownie ujrzeć, Elżbieto. Chociażby tylko ujrzeć.

Kiwam głową w milczeniu i przyglądam się, jak obraca się na pięcie i pośpiesznie wspina po stopniach. Obchodzi budynek, kierując się ku stajniom, i po chwili na trakcie rozlega się tętent jego wierzchowca. Towarzyszą mu dwaj paziowie, którzy ledwie są

w stanie dotrzymać władcy tempa. Patrę za nimi do czasu, aż nikną mi z oczu, i dopiero wtedy udaję się za mostek na drugą stronę rzeki i odnajduję jesion obwiązany jedwabną nicią. Ostrożnie chwytam jej koniec i odwijam kolejny łokieć, po czym na powrót zaczepiam o splekaną korę drzewa. Następnie wracam do domu jakby nigdy nic.

Nazajutrz podczas wieczerzy odbywa się coś w rodzaju rodzinnej narady. Otrzymaliśmy od króla list z wiadomością: jego przyjaciel, sir William Hastings, wesprze moje starania o odzyskanie domu i ziem wokół Bradgate, tak więc mogę być pewna, że otrzymam z powrotem swoje majątkość. Papa wydaje się tym usatysfakcjonowany, wszelako moi bracia — Antoni, Jan, Ryszard, Edward i Lionel — nie dowierzają królowi ze zwykłą dla młodości nieufnością.

— Notoryczny lubieżnik z niego. W zamian będzie chciał zejść się z nią na tajemnej schadzce albo nawet zawezwie ją na swój dwór — grzmi Jan.

— Nie ma mowy, by zwrócił jej ziemie z czystej dobroci serca — wtóruje mu Ryszard. — Będzie oczekiwał zapłaty. Na jego dworze nie uchowała się ani jedna niewiasta, z którą by nie zległ. Czemu nie miałyby sięgnąć po naszą Elżbietę?

— To Lancaster — rzuca krótko Edward, jakby chciał przypomnieć o odwiecznym podziale i wzajemnej wrogości. Lionel potakuje mu skwapliwie skinieniem.

— Człowiek, któremu nie sposób odmówić... — stwierdza z zamyśloną miną Antoni. Jest znacznie bardziej światowy niż reszta mojego rodzeństwa; podróżował po ziemiach niemal całego chrześcijaństwa, pobierał nauki u znanych uczonych, toteż nawet rodzice zawsze słuchają, co ma do powiedzenia. — Elżbieta ma prawo czuć się zagrożona, w powinności wobec króla.

Wzruszam ramionami.

— Skądże znowu. Nie dostałam niczego, co już by do mnie nie należało. Zwróciłam się do królewskiego majestatu po sprawiedliwość i otrzymałam ją, tak jak każdy petent mający za sobą prawo.

— Tak czy siak, jeśli po ciebie pośle, nie udasz się na jego dwór — rozsądza papa. — Powszechnie wiadomo, że dawno uwiódł połowę angielskich niewiast, tę od Yorków, a teraz zaczął uwodzić resztę, tę od Lancasterów. To nie świątobliwy mąż, jakim był miłościwie nam panujący król Henryk...

Ani nie głupiec z poprzestawianymi klepkami, jak niegdyś nam panujący król Henryk — dodają w myślach, lecz na głos mówię potulnie:

— Oczywiście, papo. Będzie, jak sobie życzysz.

Spogląda na mnie ostro, zaalarmowany tą rzadką uległością z mojej strony.

— Chyba nie sądzisz, że jesteś mu coś winna? Uśmiech? Wdzięk? Znacznie więcej?

Ponownie wzruszam lekko ramionami i raz jeszcze mówię:

— Poprosiłam go o rozstrzygnięcie spornej sprawy, nie o przysługę. Poza tym nie jestem najemnikiem, którego można kupić, ani chłopem pańszczyźnianym przywiązany do ziemi. Jestem damą wysokiego rodu. Nad wszystko inne przedkładałam lojalność wobec własnej rodziny, mam zobowiązania, które cenię i honoruję. Nie jestem mu nic winna. Nie jestem nic winna żadnemu mężczyźnie.

Pani matka opuszcza głowę, aby ukryć uśmiech. Wywodzi się z Burgundii, jej przodkinią była Meluzyna, wodna boginka. Nigdy w życiu nie czuła się do niczego zobowiązana i z pewnością nie wyobraża sobie, by jej córka miała być coś komuś winna.

Papa spogląda ode mnie do niej i z powrotem i bezradnie wzrusza ramionami, dawno pogodziwszy się z zatwardziałą niezależnością niewiast pod swym dachem. Kiwa na Jana i mówi:

— Wybieram się do Starego Stratfordu. Pojedziesz ze mną?

Wkrótce potem obaj ruszają w drogę.

— Chcesz udać się na jego dwór? Podziwiasz go? Mimo tego wszystkiego, co się wydarzyło? — Antoni zasypuje mnie pytaniami, gdy pozostali bracia ociągając się, opuszczają wielką salę.

— To król Anglii — stwierdzam. — Oczywiście, że odpowiem na jego wezwanie, gdy takowe padnie. Cóż innego mi pozostanie?

— Może to, co przed chwilą rozkazał ci pan ojciec i co ja ci doradzałem?

- Słyszałam was obu — zbywam go.
 - No tak, w jaki inny sposób biedna wdowa może zyskać pozycję na tym niegodziwym świecie? — drażni się ze mną.
 - Właśnie.
 - A jednak popełnisz wielki błąd, sprzedając się tanio — ostrzeżę mnie.
- Rzucam mu spojrzenie spod opuszczonych rzęs.
- Nie zamierzam się sprzedawać — oświadczam. — Nie jestem kawałkiem wstążki. Ani udżcem dziczyzny. Nie jestem na sprzedaż.

O zachodzie słońca czekam na niego pod rozłożystym dębem, ukryta w szarzielonych cieniach kończącego się dnia. Oddycham z ulgą, gdy mych uszu dobiega tętent tylko jednego wierzchowca zmierzającego traktem. Gdyby nadjeżdżał ze strażami, wymknęłabym się chyłkiem i wróciła do domu z obawy o własne bezpieczeństwo. Jakkolwiek bowiem łagodny mógł się zdawać w zaciszu ogrodów mojego ojca, ani na moment nie zapomniałam, że to tak zwany król armii Yorków, która niewoli niewiasty i morduje mężczyzn, tratując wszystko po drodze. Z pewnością widział rzeczy, jakich żaden człowiek nie powinien być świadkiem; z pewnością dokonał czynów, które zaliczają się do najstraszliwszych grzechów. Jego serce niewątpliwie stwardniało na kamień — nie wolno mi więc obdarzyć go zaufaniem. Bez względu na to, jak ujmujący ma uśmiech i jak uczciwe spojrzenie; bez względu na to, jak wielce go sobie cenię, widząc w nim młodzieńca wyniesionego do najwyższej godności za sprawą własnej ambicji i własnego męstwa — nie wolno mi pod żadnym pozorem mu zaufać. Czasy nie sprzyjają ufności. Nie pora na szlachetnych rycerzy i piękne damy spotykających się przy leśnych źródłach i obiecujących sobie dozgonną miłość, opiewaną później w balladach po kres świata.

Tyle że on wygląda jak szlachetny rycerz, kiedy jednym zgrabnym ruchem zeskakuje z siodła w środku lasu i wykrzykuje:

- A więc przyszłaś!
- Nie mogę zabawić długo...
- Tak się cieszę, że przyszłaś! — Wybucha krótkim, radosnym śmiechem. — Czuję się przez ciebie jak mały chłopiec. Nie mogłem

spać w nocy, bo wciąż o tobie myślałem, a potem się zastanawiałem, czy się pojawisz, i oto proszę: jesteś tu ze mną! — Kręci ze zdumienia głową.

Zarzuca wodze na gałąź pobliskiego drzewa i zacisnąwszy pętlę, podchodzi do mnie i obejmuje ramieniem mą talię.

— Moja słodka... — szepcze mi do ucha. — Bądź dla mnie dobra. Zdejmij, proszę, czepek i rozpuść włosy...

Spodziewałam się usłyszeć wszystko, tylko nie coś takiego. Jego prośba tak mnie zadziwia, że odruchowo jej ulegam, sięgając do tasiemek podtrzymujących kornet na głowie.

— Wiem, wiem... To czyste szaleństwo... Ale przez cały dzień nie potrafiłem myśleć o niczym innym, tylko o tym, czy pozwolisz mi się ujrzeć z rozpuszczonymi włosami.

Zamiast odpowiedzi rozwiązuję supełki tasiemek mojego wysokiego stożkowatego kornetu i zdejmuję go, po czym odkładam ostrożnie na leśne poszycie i natychmiast odwracam się twarzą do króla. Z delikatnością, jakiej nie powstydziałaby się najlepsza z moich służek, przykłada mi dłonie do głowy i jedna po drugiej wyciąga z włosów szpilki z kości słoniowej, utykając je za podszewkę swego dubletu. Czuję subtelne pocałunki, które moje jasne miękkie loki składają na twarzy, opadając kolejno złocistą kaskadą. Kiedy wszystkie zostały już uwolnione, potrząsam włosami niczym gęstą grzywą i słyszę jęk pożądania.

Zdziera z pleców pelerynę i rozkłada ją u moich stóp.

— Siądź ze mną, proszę! — rozkazuje, mając raczej na myśli: „Zlegnij ze mną!”, o czym oboje doskonale wiemy.

Przysiadam niepewnie na skraju rozłożonej peleryny i zaraz podciągam kolana pod brodę, oplatając je ciasno rękoma i upewniając się, że bogata jedwabna suknia układa się wokół w równe fałdy. Edward gładzi moje rozpuszczone włosy, a jego palce z każdym ruchem zagłębiają się bardziej, aż w końcu opuszkami dotyka już samej szyi, po czym odwraca mą twarz ku sobie i obdarza przeciągłym pocałunkiem.

Poruszając się niezwykle delikatnie, zmienia pozycję, tak że teraz przyciska mnie swoim ciałem do ziemi. Leżę pod nim wyprostowana. Nagle czuję, jak niecierpliwa dłoń manipuluje przy sukni,

zadiera ją coraz wyżej... Przykładam mu obie dłonie do piersi i odpycham go delikatnie.

— Elżbieto... — wzdycha.

— Powiedziałam ci: nie — rzekę stanowczo. — Nie oszukiwałam wtedy.

— Ale przecież przyszystaś!

— Bo mnie prosiłeś! Czy mam już sobie pójść?

— Nie! Zostań, zostań koniecznie!... Nie uciekaj. Klnę się na Boga, że nie... Pozwól mi się tylko całować.

Serce w piersi bije mi tak mocno, jestem tak gotowa na jego dotyk, iż zaczynam myśleć: cóż może być złego w tym, że zlegnę z nim ten jeden raz, że pozwolę sobie na tę odrobinę przyjemności... Odrywam się jednak od niego i szepczę:

— Nie! Nie! Nie!

— Tak — odszeptuje prosto w moje usta. — Nie stanie ci się żadna krzywda, przysięgam. Zawezwę cię na dwór. Dostaniesz ode mnie, co zechcesz. Na Boga, Elżbieto! Okaż litość, muszę cię mieć, umieram z pragnienia, by cię pojąć... od chwili, gdy cię tu po raz pierwszy zobaczyłem...

Znów czuję jego ciężar, przytłacza mnie całym sobą. Odwracam głowę, lecz czuję jego wargi na swojej szyi, na piersi, czuję, że sama dyszę z namiętności, wszelako nagle ogarnia mnie gniew, kiedy uświadamiam sobie, że już mnie nie obejmuje, tylko przydusza, trzyma twardymi dłońmi, jak gdybym była zwykłą dziewczką przydybaną za stogiem siana. Zadziera mi spódnice jak jakiejś ladacznicy, wpycha mi kolano między uda, jakbym już uległa, dlatego wściekłość nieoczekiwanie dodaje mi siły, miotam się i ciskam, uderzając go w pierś raz po raz, bijąc piąstkami na oślep, aż natrafiam przypadkiem na rękojeść sztyletu zatkniętego za grubym skórzanym pasem z tyłu.

Suknię mam już niemal całkiem w górze, a on właśnie gmera przy zapięciu dubletu, przy troczkach pludrów, jeszcze chwila, a będzie za późno na próżne żale. Wyszarpuję sztylet z pochwy. Na świst metalu trącego o metal podrywa się do tyłu zszokowany, ja zaś gramolę się na nogi i odskakuję z odsłoniętym ostrzem, które pobłyskuje złowieszczo w dogasających promieniach słońca.

W okamgnieniu przybiera pozycję stojącą, czujny i gotów do ataku, urodzony wojownik.

— Mierzysz bronią w swego króla? — wyrzuca, wciąż dysząc.
— Czy słowo zdrada coś ci mówi, pani?

— Mierzę bronią w siebie, w swoją pierś — odpowiadam prędko i zmieniam ustawienie ostrza, tak że teraz czubkiem dosięgam miękkiego dołka między obojczykami. Widzę, jak oczy mu się niebezpiecznie zwięzają. — Przysięgam, że jeśli zbliżysz się choćby o krok, pchnę się tu, przed tobą i wykrwawię na śmierć u twych stóp, w miejscu, w którym chciałeś pozbawić mnie honoru!

— Udajesz! To tylko gra, nieprawdaż?

— Nie, wasza miłość. Dla mnie to nie jest gra. Nie mogę zostać twoją kochanką. Najpierw przyszedłam tutaj, szukając sprawiedliwości. Dziś zjawiłam się na twą prośbę, szukając miłości, i sama jestem sobie winna, proszę o wybaczenie za swą śmiałość. Lecz ja także nie mogę zmrużyć oka, nie mogę myśleć o niczym innym, jak tylko o tobie, panie, i od wczoraj drżałam z niepewności, czy przyjdziesz na umówione spotkanie... Mimo to... mimo to... nie wolno ci... nie powinieneś...

— W każdej chwili mogę odebrać ci ten nóż — informuje mnie z groźbą w głosie.

— Zapominasz, panie, że mam licznych braci. Jestem nawykła do zapasów, a ze sztyletami i mieczami mam do czynienia, odkąd pamiętam. Pchnę się, zanim zdążysz uczynić choćby ruch.

— Nigdy byś tego nie zrobiła. Jesteś niewiastą i brak ci męstwa.

— Zatem sprawdź mnie, panie. Sprawdź mnie. Nie masz pojęcia, ile mieści się we mnie odwagi. Ostrzegam jednak, że możesz pożałować tego, co się stanie.

Waha się przez moment, serce bije mu oszalałym rytmem spowodowanym na poły pożądaniem, na poły gniewem, lecz ostatecznie opanowuje się i unosi ręce w geście poddania. Robi krok do tyłu.

— Wygrałaś — obwieszcza. — Wygrałaś, pani. Niech ten sztylet będzie twoim trofeum wojennym. Proszę... — odwiązuje od pasa pochewkę i rzuca ją na ziemię. — Weź sobie i to, czemu by nie?!...

Cenne klejnoty oprawne w złoto pobłyskują w zapadającym przedko zmierzchu. Nie spuszczać króla z oczu ani na moment, schylam się i podnoszę pochwę.

— Odprowadzę cię do domu — mówi. — Dopilnuję, abyś bezpiecznie dotarła pod same drzwi.

Potrząsam głową w odmowie.

— Nie. Nie wolno mi pozwolić, aby ktoś nas zobaczył razem. Nikt nie może wiedzieć, że spotkaliśmy się ukradkiem. To by przyniosło mi wstyd.

Myślałam, że będzie polemizować, lecz on niemal od razu kładzie uszy po sobie.

— Zatem idź przodem — proponuje — a ja pójdę za tobą jak sługa. Zniknę, dopiero gdy znajdziesz się u swoich bram. Możesz rozkoszować się świadomością, że podążam za tobą niczym wierny pies. Skoroś potraktowała mnie jak głupca, będę ci służył jak głupiec, a ty czerp z tego radość.

Nie wydaje mi się, żebym słowami zdołała poskromić jego gniew, więc tylko kiwam głową i ruszam przodem, tak jak rozkazał. Idziemy w milczeniu. Z tyłu dobiega mnie szelest jego peleryny. Kiedy wychodzimy spośród drzew i znajdujemy się na otwartej przestrzeni, widoczni jak na dłoni z okien domostwa, zatrzymuję się i odwracam.

— Tu już nic mi nie grozi — mówię. — Raz jeszcze proszę o wybaczenie za moją śmiałość.

— Dostaniesz je, pod warunkiem że wybaczysz mi, iż użyłem wobec ciebie siły — odpowiada sztywno. — Chyba zbyt się przyzwyczaiłem, że wszyscy mi ulegają i spełniają moje zachcianki. Prawdą też jest, że nigdy nie zaznałem odmowy postawionej na ostrzu noża. W dodatku mojego noża.

Obracam sztylet w dłoniach i podaję mu go rękojęścią.

— Zechcesz przyjąć go z powrotem, wasza miłość?

Kręci głową.

— Zatrzymaj go na pamiątkę. To będzie jedyny prezent ode mnie. Pożegnalny prezent.

— Nie zobaczę cię więcej, wasza miłość?

— Nigdy — odpowiada krótko i z ukłonem odchodzi w ciemność.

— Wasza miłość! — wołam za nim. Obraca się i przystaje. — Za nic nie chcę rozstawać się z tobą w złości... — odzywam się cichutko. — Mam nadzieję, że nim odejdziesz, naprawdę mi przebacysz.

— Zrobiłaś ze mnie głupca — oświadcza lodowatym tonem. — Możesz sobie pogratulować, bo żadnej innej niewieście nie udało się jeszcze ta sztuka. Masz jednak moje słowo, że był to pierwszy i ostatni raz. Więcej nie dam się ośmieszyć.

Dygam przed nim głęboko, pochylając się kornie, i słyszę, jak obraca się z szumem peleryny zaczepiającej o gałązki krzewów, które rosną po obu stronach ścieżki. Podnoszę głowę, dopiero gdy nic już nie słyszę, ani szelestu materiału, ani odgłosu kroków, po czym wyprostowuję się i zaczynam iść w stronę domu.

Jakaś częścią siebie, tą, która stanowi o tym, że jestem wciąż młodą niewiastą, pragnę wbiec do środka, pognać do swojej komnaty i rzuciwszy się na łożo, wypłakać sobie oczy. Nie czynię tego jednak. Nie jestem taka jak moje siostry, które z równą łatwością płaczą, jak się śmieją. One są zaledwie dziewczętami, którym przytrafiają się różne wypadki i które wszystko bardzo przeżywają. Ja jestem kimś więcej niż tylko młodą niewiastą. Jestem potomkinią wodnej boginki. Jestem istotą, w której żyłach płynie woda, w której ciele drzemie potęga. To ja sprawiam, że następują wydarzenia. I nie zostałam jeszcze pokonana. Nie zostałam pokonana przez młodzieńca ze świeżo zdobytą koroną na głowie. Żaden mężczyzna nigdy ode mnie nie odejdzie pewien, że widział mnie po raz ostatni.

Dlatego nie udaję się prosto do domu. Kieruję się ku mostkowi nad rzeką, do jesionu ustrojonego nicią pani matki, gdzie starannie odmierzam kolejny łokieć cienkiego jak pajęczyna jedwabiu, po czym dopiero — opromieniona mdłym blaskiem księżycy — udaję się na spoczynek.

Czekam. Co wieczór przez kolejne dwadzieścia dwa dni przemierzam tę samą drogę na drugi brzeg rzeki i po kawałku wyciągam z wody nić, jakbym była sumienną wędkarką. Za ostatnim razem nić stawia opór i napręża się, kiedy coś — cokolwiek to jest — zaczepia się w przybrzeżne trzciny. Szarpię lekko, jakbym nie chciała spło-

szyc zdobywszy, i nagle czuję, jak nic znowu mięknie, i słyszę cichy plusk, gdy coś małego, lecz najwyraźniej ciężkiego opada z powrotem do wody, wirując w rwącym strumieniu, i na koniec zalega pośród wygładzonych kamyków na dnie.

Wracam do domu. Pani matka stoi na kładce przerzuconej ponad stawikiem z karpami, wpatrując się we własne odbicie w stojącej wodzie, która zdaje się srebrzyć w szarości zapadającego zmierzchu. Pod powierzchnią majaczy zarys rybiego kształtu lub kąpiącej się niewiasty. Niebo za plecami pani matki zachmurzyło się; wygląda jak bladoniebieski jedwab przystrojony białymi piórkami. Nad horyzontem wstaje księżyc, o tej porze miesiąca z każdym dniem go ubywa. Małe fale pluskają cicho o brzeg, jakby był przypływ. Kiedy stoję obok rodzicielki i opieram się o balustradę, można by pomyśleć, że obie wyłaniamy się z odmetów niczym duchy jeziora.

— Robisz, jak ci kazałam? — pyta mnie. — Wyciągasz nic?

— Tak.

— To dobrze. To bardzo dobrze. Dostałaś od niego wiadomość? Choć słowo?

— Niczego takiego się nie spodziewam. Rzekł mi, że nigdy więcej się nie zobaczymy.

Pani matka wzdycha.

— Ach tak.

Razem idziemy w stronę domu.

— Krażą słuchy, że zbiera wojsko w okolicach Northampton — podejmuje po drodze. — Król Henryk z kolei zbroi się na północy, w Northumberlandii, i zamierza wyruszyć na Londyn. Królowa dołączy do niego z francuską armią, która wylądowała w Hull. Jeżeli król Henryk wygra, to, co myśli lub mówi Edward, nie będzie miało najmniejszego znaczenia, gdyż martwi nie mają głosu. Na tronie znów zasiądzie prawowity władca.

Chwytam ją za rękaw w odruchowym proteście. Szybka niczym atakująca żmija, pani matka łapie moje palce i ścisza mocno.

— O co chodzi? Nie chcesz słuchać o jego przegranej?

— Nie mów tak. Nie mów tak o nim.

— Mam nie mówić czego?

— Nie mogę znieść myśli o jego przegranej. Nie mogę znieść myśli o jego śmierci. Poprosił mnie, bym z nim zległa jak z żołnierzem, który idzie na pewną śmierć.

Pani matka śmieje się drapieżnie.

— Oczywiście, że to zrobił. Który mężczyzna wybierający się na wojnę nie stara się obrócić sytuacji na swoją korzyść?

— Ale ja mu odmówiłam — kontynuuję. — Jeżeli Edward nie wróci, będę tego żałować do końca życia. Już tego żałuję. I nigdy nie przestanę.

— Żałować? A czego tu żałować? — judzi. — Przecież tak czy siak odzyskasz swoje ziemie. Albo za sprawą króla Edwarda, który obiecał ci pomoc, albo gdy on przegra i zginie, dzięki Henrykowi z Lancasterów, prawowitemu władcy. Wydawało mi się, że to jemu życzymy zwycięstwa, a trzymamy kciuki za przegraną uzurpatora.

— Nie mów tak — powtarzam. — Nie życz mu źle.

— Nie przejmuj się tym, co ja mówię, tylko lepiej sama się zastanów — radzi mi ostro. — Nasza rodzina popiera Lancasterów. Nie możesz, ot tak sobie, zakochać się w dziedzicu Yorków, chyba że faktycznie zasiądziesz na tronie i będziesz miała z tego coś więcej niż czułe słówka. Żyjemy w niełatwych czasach. Śmierć to nasz nieodłączny towarzysz, nasz krewniak nieomal. Nie wolno ci myśleć, że akurat tobie uda się utrzymać ją na dystans. Nie odstępuje cię na krok. Zabrała ci męża, zabierze ci ojca, braci i synów...

Wyciągam obie ręce, aby ją uciszyć.

— Sza! Mówisz jak Meluzyna, która ostrzega ród przed kolejnym zgonem męskiego dziedzica.

— Ostrzegam ciebie — odpowiada ponuro. — Zmuszasz mnie, abym była Meluzyną, gdy snujesz się z uśmiechem przyklejonym do twarzy, myśląc, że życie jest proste, myśląc, że możesz bezkarnie flirtować z uzurpatorem. Pamiętaj, żyjemy w trudnych czasach. Ty przeżyjesz swoje dni we wciąż podzielonym królestwie. Będziesz musiała znaleźć drogę pośród pożogi i krwi, poznasz, co to strata...

— Zatem nic dobrego mnie nie czeka? — pytam przez zaciśnięte zęby. — Nawet ty, kochająca matka, nie widzisz w mojej przyszłości niczego dobrego? Doprawdy nie musisz mnie przeklinać, gdyż i bez tego chce mi się płakać.

Nagle jej ostre rysy miękną i w miejsce przepowiadaczki przyszyłych losów znów pojawia się osoba, którą znam i kocham.

— Sądzę, że będzie twój, jeśli naprawdę go pragniesz — dodaje przystając.

— Pragnę go bardziej niż życia.

Śmieje się głośno, lecz jej twarz pozostaje łagodna.

— Och, nie mów tak, córko — upomina mnie. — Nic na tym świecie nie liczy się bardziej niż życie. Musisz się jeszcze wiele nauczyć i wiele doświadczyć, skoro jeszcze tego nie wiesz.

Wzruszam ramionami i ujmuję ją pod ramię, po czym wyrównując krok, idziemy dalej.

— Kiedy zawierucha przeminie, ktokolwiek będzie zwycięzcą, twoje siostry powinny się znaleźć na dworze królewskim — oznajmia rzeczowo pani matka. Nieustannie coś planuje. — Będą mogły zamieszkać z Bouchierami albo Vaughanami. Powinny były pojechać do Londynu wieki temu, ale nie umiałam się z nimi rozstać, kiedy w królestwie panuje niepokój, kiedy nie wiadomo, co przyniesie jutro, kiedy nawet nie wiadomo z całą pewnością, co wydarzyło się wczoraj. Wszelako po rozstrzygającej bitwie życie powinno wrócić w stare koleiny, z tą różnicą, że zamiast Yorka będzie władał Lancaster, a dziewczęta nareszcie będą mogły zamieszkać u swoich kuzynów, licząc na dobry start w życiu.

— Oczywiście.

— Twój Tomasz też niedługo będzie już mógł opuścić dom rodzinny. Powinien zamieszkać u krewnych, liznąć sztuki rycerskiej i dworskiej.

— Nie. — Mówię to z takim zdecydowaniem, z taką emfazą, że pani matka zatrzymuje się zaniepokojona i spogląda na mnie uważnie.

— Co znowu?

— Moi synowie zostaną ze mną — oznajmiam. — Nikt mi ich nie odbierze.

— Ależ im potrzeba ogłady. Muszą trafić, i to już niebawem, na dwór jakiegoś możnego lorda. Twój ojciec z pewnością dokona dobrego wyboru. Może nawet ich ojcowie chrzestni...

— Nie — powtarzam z mocą. — Nie, pani matko. Nawet nie biorę tego pod uwagę. Tomasz i Ryszard nigdzie nie pojedą.

— Córko? — Obraca mi lekko głowę do światła księżyca, jakby chciała wejrzeć w głąb mej duszy. — To niepodobne do ciebie, tak się zaperzyć w nieistotnej sprawie. Zwłaszcza że każda matka na tej ziemi musi się prędzej czy później rozstać z synami i pozwolić im zamienić się w mężczyzn.

— Moi synowie zostaną ze mną — mówię z uporem, słysząc, że głos mi drży. — Boję się... boję się o nich. Obawiam się, że może im się przytrafić coś złego, sama nawet nie wiem co. Wiem tylko, że nie mogę ich wypuścić w świat, oddać w ręce obcych ludzi.

Obejmuje mnie ciepłym ramieniem.

— No tak, to rozumiałyś... — rzecze z uczuciem. — Straciłaś męża, pragniesz więc za wszelką cenę chronić synów. Lecz kiedyś będziesz musiała ich od siebie puścić.

Nie poddaję się tej łagodnej perswazji.

— Ja się nie zaperzam. To coś znacznie więcej...

— Widzenie? — pyta mnie szeptem. — Widzisz, że spotka ich coś złego? Doznałaś widzenia, Elżbieto?

Potrząsam głową i zaczynam płakać.

— Nie wiem, sama nie wiem... Nie umiem powiedzieć na pewno... Myśl o tym, że zostaną mi odebrani, że kto inny będzie się nimi opiekował, że budząc się w nocy, będę wiedzieć, iż nie ma ich pod moim dachem, zaś wstając rano, nie usłyszę ich głosików... Myśl o tym, że mieszkają w obcym domu, u obcych ludzi, że nie mogę ich zobaczyć, kiedy przyjdzie mi ochota... Nie jestem w stanie znieść podobnej myśli.

Pani matka zamyka mnie w objęciach.

— Cii... — mówi. — Cii... Nie myśl więc o tym. Porozmawiam z twoim ojcem. Tomasz i Ryszard nie będą musieli nigdzie jechać, dopóki nie oswoisz się z tym pomysłem. — Ścisza mi rękę. — Jesteś zimna jak lód! — wykrzykuje zaskoczona. Przykłada mi dłoń do policzka i nagle nabiera pewności. — To rzeczywiście nie zwykłe zaperzenie, skoroś równocześnie gorąca i lodowata w świetle księżyca. To prawdziwe widzenie. Moja droga, właśnie otrzymałaś ostrzeżenie, że twoim synom grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Ponownie potrząsam głową.

— Nie jestem pewna. Wiem tylko, że nikt nie powinien ich ode mnie zabrać. Nie powinnam ich nigdy wypuścić spod swoich skrzydeł.

Pani matka potakuje.

— Zgoda. W końcu mnie przekonałaś. Twoim synom grozi niebezpieczeństwo, jeżeli zostaną ci odebrani. Zatem tak się nie stanie. Nie płacz już. Będiesz ich miała zawsze przy sobie, gdzie będą bezpieczni.

Nie przestaję czekać. Powiedział mi wyraźnie, że nigdy więcej go nie ujrzę, więc czekam nadaremno, wiedząc, że nic z tego czekania nie przyjdzie, a jednak nie umiem powstrzymać buzującej na dnie duszy nadziei. Śnię o nim bez ustanku — są to pełne namiętności, tęskne sny, z których budzę się w środku nocy w skotłowanej pościeli, złana potem, drżąca z pożądania. Papa dopytuje, czemu straciłam apetyt; Antoni kręci nade mną głową w udawanym współczuciu.

Pani matka rzuca mi jedno bystre spojrzenie i oświadcza głośno:

— Nic jej nie jest. Zaraz coś zje.

Siostry poszeptują po kątach i otwarcie pytają, czy usycham z tęsknoty za przystojnym królem Edwardem, na co odpowiadam ostro:

— A co by mi z tego przyszło?

I — oczywiście — nadal czekam.

Czekam przez następne siedem dni i siedem nocy, niczym dziewica uwięziona w wieży w jakiejś bajce, niczym Meluzyna pluskająca się w źródle w środku lasu — jedna i druga czekająca z utęsknieniem na swojego rycerza, który przebyłby nietknięte ludzką stopą ostępy, uratował ją i kochał po kres dni... Co wieczór zwijam kolejny łąkieć jedwabnej nici, aż w końcu ósmego dnia mych uszu dochodzi brzęk metalu o kamień i kiedy pochylam się i zaglądam w wodę, widzę błysk złota. Kucam, żeby wydobyć znak. To pierścień, cały ze złotego kruszcu, prosty, lecz nadzwyczaj urodziwy. Po jednej stronie jest gładki, ale po przeciwnej sroży się pięcioma wypustkami przypominającymi zęby korony. Kładę go na lewej dłoni, tej, którą król ucałował kiedyś namiętnie, i gdy wyciągam ją przed siebie,

spostrzegam, że pierścień naprawdę wygląda jak miniaturowa korona. Wsuwam go na wskazujący palec prawej ręki — nie śmiem kusić losu i nałożyć go na palec serdeczny — gdzie wydaje się doskonale pasować. Zaraz jednak ściągam go ze wzruszeniem ramion, jakby nie był to wykwintny wyrób burgundzkiej sztuki jubilerskiej. Przewlekam przezeń łańcuszek i zawieszam sobie na szyi, chowając sam pierścień głęboko między piersiami, gdzie będzie bezpieczny, po czym wracam do domu.

Tam zaś — bez najmniejszego ostrzeżenia — tuż przy drzwiach frontowych wpadam na jeźdźca. Ponad jego głową powiewa chorągiew Yorków z wyhaftowaną białą różą rozwijającą się i zwijającą na porywistym wietrze. Papa stoi w progu i czyta jakiś list. Słyszę, jak mówi:

— Przekaż jego wysokości, że to dla mnie zaszczyt. Stawię się pojutrze.

Jeździec kłania się w siodle, unosi dłoń do czoła w geście pozdrowienia na mój widok, po czym szarpie wozdami, zawraca wierzchowca i odjeżdża.

— Co to było? — pytam, idąc pod schodach.

— Wezwanie — odpowiada papa z ponurą miną. — Na wojnę.

— Nie! — krzyczę przerażona. — Tylko nie ty! Nie znowu...

— Bez obaw. Król zażądał, bym dostarczył dziesięciu chłopca z Grafton i pięciu ze Starego Stratfordu. Uzbrojonych i wyposażonych do walki z Lancasterem. Wychodzi na to, że mamy zmienić stronę. Jak się okazuje, za podjęcie króla na wieczerzy drogo musimy zapłacić.

— Kto ich poprowadzi? — Martwię się, że zaraz padnie imię jednego z moich braci. — Chyba nie Antoni? Ani Jan?

— Będą służyli pod rozkazami sir Williama Hastingsa — uspokaja mnie papa. — Wcieli ich do wyszkolonego oddziału.

Waham się, nim następne pytanie opuszcza moje usta.

— Czy w liście stało coś jeszcze?

— To było wezwanie! — irytuje się papa. — Nie zaproszenie na obchody świąteczne! Oczywiście, że nie napisał nic ponad to, że pojutrze rano będą przechodzili znów przez nasze ziemie i ludzie mają być wtedy gotowi.

Papa obraca się na pięcie i wchodzi do środka, zostawiając mnie na progu samą, z moimi myślami i pierścieniem w kształcie korony boleśnie wpijającym się w ciało.

Nazajutrz przy śniadaniu pani matka sugeruje, że moje siostry i ja, a także kuzynki, które przyjechały do nas z wizytą jakiś czas temu, powinniśmy pożegnać naszych chłopców idących na wojnę i zobaczyć przemarsz wojska.

— Doprawdy nie rozumiem czemu — odpowiada zezłoszczony papa. — Wydawało mi się, że widziały dość mężczyzn udających się na wojnę.

— Okazanie mu poparcia nie zaszkodzi — utrzymuje cicho pani matka. — Jeśli wygra, lepiej, by myślał, że wysłaliśmy swoich ludzi z własnej woli. Jeśli przegra, nikt nie będzie pamiętał, żeśmy go żegnali ze łzami w oczach, a gdyby nawet, zdołamy się tego wyprzeć.

— Opłacam ich, prawda? Zapewniam im broń, tak czy nie? Tęże broń, która mi została z czasów, kiedym sam wyruszał na wojnę ostatnim razem, tak się składa, że przeciwko niemu. Skrzykuję ich i odsyłam, kupuję buciory tym, którzy ich nie mają. Czy to nie wystarczające poparcie?!

— Owszem, lecz powinno wyglądać na dawane po dobroci — kończy dyskusję pani matka, a papa kiwa głową. Zawsze ustępuje jej w sprawach takich jak ta. Była księżną, żoną Jana Lancastera, księcia Bedfordu, w czasie gdy papa ledwie służył jej królewskiemu małżonkowi. Jest córką hrabiego de Saint-Pol, wywodzi się z panującej rodziny Burgundii i nie ma sobie równych na angielskim dworze. — Dlatego pojedziesz z nami — kontynuuje. — W skarbczyku z pewnością znajdzie się pękaty mieszek złota dla jego miłości.

— Mieszek złota! Mieszek złota! Żeby pomóc toczyć wojnę z królem Henrykiem!... Cóż to, zmieniliśmy się teraz w yorkistów?

Pani matka czeka chwilę, aż uniesienie papy minie.

— Musimy okazać swoją lojalność — mówi spokojnie. — Jeżeli uda mu się pokonać króla Henryka i powrócić do Londynu w glorii zwycięstwa, wszelkie bogactwo i apanaże będą wynikać z jego łaski i trafią do jego dworzan. Edward będzie rozdawał ziemie i tytuły i błogosławił związki małżeńskie. A w naszej rodzinie jest wiele panien na wydaniu, nie zapominaj o tym, Ryszardzie.

Wszyscy zamieramy ze zwieszonymi głowami, czekając na jeden ze sławetnych wybuchów ojca. Tymczasem on śmieje się wymuszenie.

— Niech Bóg czuwa nad tobą, złotousta — rzecze. — Masz rację, oczywista, jak zawsze masz rację. Uczynię, jak powiedziałaś, choć mi to nie w smak. Możesz kazać dziewczętom wpiąć we włosy białe róże, jeśli znajdą gdzieś jakie o tak wczesnej porze.

Pani matka podchodzi do niego bliżej i składa na jego policzku pocałunek.

— Dzikie róże puściły pąki w żywopłotach — oświadcza. — Nie są tak okazałe jak ogrodowe w pełni rozkwitu, lecz on pojmie nasz gest, a o to przecież tylko chodzi w gruncie rzeczy.

Przez resztę dnia moje siostry i kuzynki z zapamiętaniem przywierają suknie, układają włosy, wymieniają się wstążkami i szarfami oraz ćwiczą wdzięczne dygnięcia. Żona Antoniego, Elżbieta, i dwie najcichsze krewniaczki oświadczają, że zostaną w domu, lecz reszta towarzystwa aż buzuje z ekscytacji. Zobaczymy nie tylko króla, ale też wszystkich znaczniejszych lordów królestwa. Co za okazja, by wyrzucić jak najlepsze wrażenie na mężczyznach, którzy będą nowymi panami tej ziemi! Jeśli wygrają...

— Co włożysz? — pyta mnie Małgorzata, widząc, że trzymam się na uboczu.

— Popielatą suknię i szary welon.

— To strój, który nosisz w niedzielę. Czemu nie włożysz tej wspaniałej chabrowej sukni?

Wzruszam ramionami.

— Idę tam, skoro takie jest życzenie pani matki — odpowiadam. — Nie spodziewam się, by ktokolwiek poświęcał nam wiele uwagi... — Zdejmuję rzeczoną suknię z draga i strzepuję tkaninę. Jest smukłego kroju, ze skromnym półtrenem. Noszę ją zazwyczaj ze stalowej barwy gorsetem sięgającym daleko poniżej pasa. Nie mówię tego Małgorzacie, ale ta suknia leży na mnie o wiele lepiej niż wspomniana przez nią chabrowa.

— Po tym jak sam król przybył do nas na wieczerzę, gdy go zaprosiłaś? — wykrzykuje z niedowierzaniem moja siostra. — Dlaczegoż nie miałyby i teraz poświęcić ci swojej uwagi? Za pierwszym

razem nie umiał oderwać od ciebie oczu... Z pewnością przypadłaś mu do gustu, przyjął twoje zaproszenie i przywrócił ci odebrane ziemie. Spacerował z tobą po ogrodzie. Czemu nie miałby ponownie zaszczyścić nas swoją wizytą? Czemu nie ma cię stawiać ponad inne?

— Ponieważ tymczasem ja dostałam, co chciałam, a on nie — mówię wprost, rzucając suknię na łożo. — I daleko mu do szczodrości królów z ballad. Cena, którą wyznaczył za swą dobroć, okazała się wysoka. Zbyt wysoka dla mnie.

— Chyba nie chciał cię posiąść? — szepcze zatrwożona Małgorzata.

— Właśnie tego pragnął.

— O mój Boże... Elżbieto... Cóżes mu odpowiedziała? Cóżes uczyniła?

— Przeciwestawiłam mu się. Choć nie było to łatwe.

Moją siostrę ogarnia dreszczyk podniecenia.

— Próbował cię zmusić?...

— Nieledwie, lecz jakie to ma znaczenie? — mamrocę. — Byłam dla niego niczym więcej niż dziewczką spotkaną przy drodze.

— Może więc nie powinnaś jutro iść z nami — podpowiada. — Skoro poważył się nastawać na twój honor, skoro cię obraził... Powiesz pani matce, że źle się czujesz. Ja mogę jej to za ciebie powiedzieć, jeśli chcesz.

— Nie, nie trzeba. Nic mi się nie stanie, jeżeli z wami pójdę — rzekę, jakby było mi obojętne, co uczynię.

Rankiem jednak odchodzi mnie cała odwaga. Nieprzespana noc i parę okrucich chleba z mięsiwem na śniadanie w niczym nie poprawiają mego wyglądu. Jestem blada niczym marmur i choć Małgorzata naciera mi lica i wargi czerwona ochrą, w dalszym ciągu wydaję się wymizerowana, piękna zwiewną urodą duchów. Pomiędzy swymi wystrojonymi pstrokato siostrami i kuzynkami wyróżniam się — odziana w popielatą suknię i takiż kornet — niczym nowicjuszka w zakonie. A jednak pani matka na mój widok kiwa głową z aprobatą.

— Wyglądasz jak prawdziwa dama — stwierdza. — Nie jak wieśniaczka, która ubrała się, w co miała najlepszego, udając się na jarmark.

Jeśli słowa te były pomyślane również jako przygana pod adresem pozostałych dziewcząt, nie wywarły zamierzonego skutku. Wszystkie są tak zachwycone, iż będą żegnać żołnierzy udających się na wojnę, że nie przejęły się zbytnio krytyką swoich strojów. Razem wychodzimy na trakt do Grafton i widzimy przed nami, po obu stronach szerokiej drogi, rozproszoną kolumnę jakiegoś tuzina mężczyzn, z których jedni dzierżą wyrwane szczeble z drabiny, drudzy zaś zwykłe pałki. To zaciężni papy. Otrzymali od niego symbole białej róży i przypomnienie, że tym razem będą walczyć za Yorków. W przeszłości wchodzili w szeregi piechoty Lancasterów, lecz zmiana strony nie zrobiła na nich większego wrażenia. Są winni lojalność swemu panu i walczą z tym, kogo wskaże, ponieważ to on jest właścicielem ich poletek, ich chat, wszystkiego, co mają w zasięgu wzroku na co dzień. Do niego należy młyn, w którym miały swoje ziarno, i piwiarnia, gdzie przepijają zarobione na sprzedaży zboża monety pozostałe po opłaceniu dzierżawy. Niektórzy nigdy nie wystawili nosa poza jego teren. Większości z trudem przychodzi wyobrazić sobie świat, w którym „dziedzic” nie oznacza sir Ryszarda Woodville'a lub jego najstarszego syna. Kiedy sprzyjał Lancasterom, i oni byli lancasterami. Potem zyskał tytuł hrabi Rivers, lecz to niczego nie zmieniło w ich wzajemnych stosunkach — nadal byli jego, a on ich. Teraz wysyła ich z armią Yorków, a oni jak zwykle zrobią co w ich mocy, aby go zadowolić. Obiecano im zapłatę za dzielną walkę, a także to, że wdowy i dzieci po nich otrzymają opiekę i kąt, gdyby polegli na polu bitwy. Nic więcej nie muszą wiedzieć. Nie czyni to z nich oczywiście zapalonych żołnierzy, lecz stać ich na nierówny okrzyk wiwatu na widok papy i pełne uznania uśmiechy, gdy dostrzegłszy także nas, ściągają czapki i salutują, podczas gdy ich rodziny gną się przed nami w ukłonach.

Rozlega się dźwięk trąbek i głowy wszystkich obracają się w jedną stronę. Zza zakrętu drogi wyłaniają się jadący w zwartym szyku królewscy ludzie, najpierw ci dmący w trąby, następnie heroldowie, później gwardziści, za nimi zaś — w otoczeniu swoich dorad-

ców i dowódców — pośród ogólnego ryku i łopotania chorągwi: król we własnej osobie.

Przez moment wydaje mi się, że zaraz zemdleję, lecz podtrzymuje mnie pewna ręka pani matki, dzięki której udaje mi się ustać na nogach. Król unosi dłoń, dając sygnał do postoju, i cała kawalkada zamiera na tę komendę w bezruchu. Za wyróżniającym się przepychem centrum kolumny znajduje się długi, rozciągnięty na sporej przestrzeni ogon zwykłych żołnierzy, jeszcze dalej zaś tegoroczni rekruci wyglądający równie głupkowato jak nasi zaciężni, pochód zamykają natomiast wozy z żywnością, zapasami, orężem oraz wielka armata ciągniona przez cztery przysadziste perszerony. W oddali majaczą sylwetki mułów i ciurów oraz przemykający obiema stronami traktu niewiasty i łachudry, którzy zawsze podążają za armią. Sprawia to wrażenie miasteczka w ruchu, małej śmiertelnej osady zdążającej naprzód i tylko wypatrującej celu.

Król Edward zeskakuje z wierzchowca i w paru zamaszystych krokach zbliża się do papy, który skłania przed nim nisko głowę.

— Obawiam się, że to wszyscy, których udało nam się zebrać, wasza miłość — mówi doń papa. — Ale zaprzysięgli służyć wiernie twojej sprawie. A to przyjmij na wspomnienie swych wysiłków...

W tej samej chwili pani matka postępuje krok do przodu i wyciąga przed siebie ręce z ciężkim mieszkiem złota. Król odbiera go od niej, waży w dłoniach, po czym cmoka ją serdecznie w oba policzki.

— Bardzoście hojni — odzywa się głośno. — Nie zapomnę tego.

Jego spojrzenie wędruje ponad jej ramieniem do miejsca, w którym stoję razem z siostrami, na co wszystkie jak jedna dygamy głęboko. Kiedy się wyprostowuję, on wciąż patrzy na mnie i przez jedno uderzenie serca niknie cały hałas wojska, zwierząt i ludzi, i otacza mnie cisza, jak gdybyśmy byli tylko ja i on, samiuteńcy na świecie. Nie myśląc, co robię — zupełnie jakby zawołał mnie bezgłośnie do siebie — opuszczam dziewczynski szereg i zbliżam się ku niemu, mijam papę i panią matkę, aż wreszcie stoję tuż przed nim, tak że mógłby mnie pocałować, gdyby tylko chciał.

— Nie mogę spać — szepcze, tak by nikt inny go nie usłyszał. — Nie mogę spać. Nie mogę spać. Nie mogę spać...

— Ja również.

- Ty również?
- Tak.
- Naprawdę?
- Tak.

Wzdycha, jakby z nagłą ogarnęła go niewysłowiona ulga.

- Zatem to miłość?
- Tak sądzę.
- Nie czuję głodu.
- Ja również.

— Nie potrafię myśleć o niczym innym, tylko o tobie. Dłużej tego nie wytrzymam. Nie wolno mi w takim stanie wyruszać na wojnę. Jestem bezbronny jak mały chłopiec. Szaleję za tobą jak młodzik. Nie wyobrażam sobie, by spędzić bez ciebie choć chwilę; nie zamierzam spędzić choć chwili bez ciebie. Bez względu na koszty.

Czuję, jak rumieniec rozgrzewa mi lica, a także — po raz pierwszy od wielu dni — że znów się uśmiecham.

— Ja również nie potrafię myśleć o nikim innym, tylko o tobie — odszeptuję. — O nikim i niczym. Już myślałam, że to jakaś choroba...

Pierścień z koroną ciąży mi pomiędzy piersiami, kornet uciska skronie, lecz ja na nic nie zważam, nie widzę nic poza królem, nie czuję nic poza jego oddechem na swojej twarzy i ostrą wonią będącą mieszaniną końskiego potu, wyprawionej skóry siodła i subtelnych przypraw oraz wody różanej.

- Szaleję za tobą — powtarza.

Uśmiech otwarcie wypełza mi na twarz, kiedy unoszę na niego spojrzenie.

- A ja za tobą — odpowiadam cicho. — Z całego serca.
- W takim razie pobierzmy się.
- Słucham?
- Pobierzmy się. Nie ma innej rady.

Śmieję się nerwowo.

- Wasza miłość stroi sobie żarty...
- Nigdy nie mówiłem poważniej. Czuję, że umrę, jeśli nie będziesz moja. Czy wyjdiesz za mnie zatem?
- Tak — mówię z przydechem.

— Jutro o poranku. Przyjadę tak wcześnie, jak będę mógł. Pobierzemy się jutro rano w waszej kaplicy. Ja przywiodę księdza, ty sprowadzisz świadków. Wybierz kogoś, komu możemy zaufać. Przez jakiś czas będziemy musieli utrzymywać nasze małżeństwo w sekrecie. Zatem zgadzasz się?

— Tak.

Teraz on rozciąga wargi w uśmiechu, wyraźnie się odprężając. Zdaje mi się, że to promień słońca padł na jego szczerą, jasną przystojną twarz.

— Jutro... — szepczę.

— Jak najwcześniej — uzupełnia i odwraca głowę do papy.

— Czy możemy zaproponować poczęstunek waszej miłości? — mówi papa, wodząc wzrokiem od mojej rozplomienionej twarzy do roześmianych oczu króla.

— Nie teraz — pada odpowiedź. — Wszakże jutro chętnie spożyję z wami wieczerzę. Mam zamiar urządzić polowanie w lasach nieopodal i tuszę, że nie pokażę się z pustymi rękami. — Kłania się pani matce i mnie, unosi dłoń w geście pozdrowienia skierowanym do moich siostr i krewniaczek, po czym zwinnie wskakuje na siodło.

— Dołączcie do kolumny — rzuca głośniej do naszych ludzi. — Czekajcie was krótki marsz, walka w słusznej sprawie i gorący posiłek na każdym postoju. Bądźcie mi wierni, a zaznaczę mojej łaski. Możecie czuć się bezpieczni pod moim dowództwem, gdyż jeszcze nigdy nie przegrałem żadnej bitwy. Obiecuję wam wspaniałe łupy wojenne i bezpieczny powrót do domu.

Właśnie takie słowa zaciężni pragnęli usłyszeć. Natychmiast się rozpromieniają i szurając, zajmują swoje miejsce na końcu szeregu, podczas gdy moje siostry i kuzynki żegnają ich, machając nierozwiniętymi pąkami białych róż, a trębacze trąbią. Po paru chwilach kawalkada rusza dalej przed siebie. Edward rzuca mi ostatnie spojrzenie, już bez uśmiechu na twarzy, ja zaś unoszę dłoń w geście pożegnania, szepcząc:

— Do jutra...

Nie wierzę mu, nawet gdy rozkazuję paziowi papy, aby nazajutrz wstał wcześniej rano i przygotował kaplicę. Nie wierzę, nawet gdy

idę do pani matki i mówię jej, że król Anglii poprosił o moją rękę i pragnie pobrać się w sekrecie, i pytam, czy zostanie naszym świadkiem i przyprowadzi ze sobą swą wierną dworzkę Katarzynę. Nie wierzę, nawet gdy stoję odziana w chabrową suknię w wyziębionej nocnym chłodem kaplicy. Nie wierzę aż do chwili, w której rozlegają się jego szybkie kroki nawa i czuję jego ramię obejmujące mnie w talii, i ciepły pocałunek na ustach, i słyszę naglące słowa:

— Udziel nam ślubu, kapelanie. Spieszno mi.

Przejęty paź śpiewa psalm, ksiądz wymawia słowa przysięgi. Składam przyrzeczenie Edwardowi, a on mnie. Mgliście zauważam pokraśniałą z zadowolenia twarz pani matki i wszystkie kolory witraża rzucającego tęczę u naszych stóp na kamiennej posadzce kaplicy.

Wtedy znów odzywa się ksiądz.

— Teraz pierścień.

— Pierścień! — wykrzykuje król. — Co za głupiec ze mnie! Zapomniałem o pierścieniu. Nie mam ze sobą żadnego... — Odwraca się do pani matki. — Milady, czy zechcesz mi użyczyć swego pierścienia?

— Och, ja przypadkiem mam... — mówię cicho, zadziwając samą siebie. — Proszę...

Wyjmuję zza dekoltu łańcuszek z pierścieniem, który powoli i cierpliwie wyciągałam z nurtu rzeki; pierścień w kształcie korony opromieniony blaskiem złota i magii, która doprowadziła do spełnienia życzenia mojego serca. Król Anglii wkłada go na mój palec serdeczny. Odtąd jestem jego żoną.

I królową Anglii — czy też przynajmniej yorkistowską królową Anglii.

Królewskie ramię obejmuje mnie ciasno, kiedy paź wyśpiewuje modlitwę prośbłą, następnie władca znów zwraca się do pani matki:

— Milady, dokąd mogę zabrać oblubienicę?

Pani matka uśmiecha się i wręcza mu klucz.

— Nad rzeką znajdziecie chatę myśliwską — mówi. — Elżbieta wie, gdzie to jest. Kazałam ją dla was przyszykować.

Edward kiwa głową, bierze mnie na ręce i wynosi z kaplicy, po czym usadza w siodle swego wierzchowca i zaraz sam wskakuje na

koński grzbiet. Czuje, jak jego ramiona przylegają do mojego ciała, kiedy ujmuje wodze. Jedziemy stępa wzdłuż brzegu rzeki; gdy opieram się o jego pierś, jestem w stanie wyczuć bicie jego serca. Już z daleka widzę zarys chaty pomiędzy drzewami i dym unoszący się z komina. Kiedy docieramy na miejsce, Edward zeskakuje pierwszy, zsadza mnie z siodła i prowadzi wierzchowca do boksu za chatą, podczas gdy ja już otwieram drzwi frontowe. Wnętrze nie jest wyszukane, z otwartym paleniskiem, na którym teraz buzuje ogień, z dzbanem piwa miłości i dwoma kielichami na prostym drewnianym stole, z dwoma zydłami i zastawą dla dwojga oferującą skromny posiłek, składający się z chleba, sera i zimnego mięsiwa, oraz z ogromnym łożem zasłanym najdelikatniejszą pościelą. W pomieszczeniu robi się ciemno, kiedy król staje w progu; musi schylić głowę, aby nie uderzyć w nisko zawieszoną belkę.

— Wasza miłość... — zaczynam i zaraz się poprawiam: — Miłości moja... Panie mój... Mężu...

— Zono... — odpowiada mi z cichą satysfakcją. — Czas do łoża.

Ostre słoneczne światło, które kładło się jaskrawymi promieniami na belkach i bielonym suficie, kiedyśmy kładli się w pościeli, ozłaca wnętrze chaty ciepłym popołudniowym blaskiem, gdy król mówi do mnie:

— Dzięki niech będą Panience w niebiesiech, że twój ojciec zaprosił mnie na wieczerzę. Umieram z głodu. Nie mam już krzty sił. Wypuść mnie z łoża, ty czarownico.

— Proponowałam ci chleb i ser przed dwiema godzinami — przypominam — lecz ty nie pozwoliłeś mi przejść nawet trzech kroków do stołu.

— Bo byłem zajęty — odpowiada i przyciąga mnie z powrotem do nagiego ramienia. Na jego zapach i dotyk ponownie ogarnia mnie pożądanie i wkrótce znów poruszamy się w jednym rytmie.

Znacznie później, gdy w chacie pojawia się różana poświata zachodu, król opuszcza łożo.

— Muszę się obmyć — mówi. — Czy mam dla ciebie przynieść dzban wody z dziedzińca?

Głową sięga nieomal powały, ciało ma doskonałe. Przyglądam mu się z zachwytem, jakby był urodziwym ogierem, a ja kupcem. Jest wysoki i smukły, ma żelazne mięśnie, szeroką pierś, mocne barki. Uśmiecha się do mnie, a mnie serce fika koziołka z radości.

— Patrzysz na mnie tak, jakbyś chciała mnie zjeść — stwierdza.

— Bo tak jest. Sama już nie wiem, jak mam ugasić pragnienie ciebie. Chyba będę musiała uwięzić cię tutaj i zjadać po kawałeczku każdego dnia, aż nie zostanie nawet okruszek.

— Gdybym to ja ciebie uwięził, pochłonałbym cię na jeden raz, połykając w całości — śmieje się wesoło. — A uwolniłbym cię dopiero, gdybyś była przy nadziei.

— Och! — Po raz pierwszy nachodzi mnie ta cudowna myśl.

— Och, dam ci licznych synów, prawdziwych książąt!

— Staniesz się matką przyszłego króla Anglii i pierwszą damą dynastii Yorków, którzy jak Bóg da, będą władali w Anglii po wsze czasy.

— Amen — potakuję pobożnie. Nie czuję powiewu zimna, nie pada na mnie żaden cień ani nie ogarnia niepokój. — Niech Bóg cię prowadzi i przywróci mi całego i zdrowego po stoczonej bitwie.

— Wygraną mam we krwi — uspokaja mnie z niezachwianą pewnością siebie. — Nie martw się, Elżbieto. Nie stracisz mnie w walce.

— Będę królową — mówię raczej do siebie niż do niego. Dopiero teraz to rozumiem, dopiero teraz pojmuję naprawdę, że jeśli Edward wróci z wojny zwycięski, a poprzedni król, Henryk, będzie martwy, tenże młody mężczyzna, mój mąż, zostanie niekwestionowanym władcą Anglii, a ja zaiste będę pierwszą damą królestwa.

Po wieczerzy Edward żegna się z papą i udaje do Northampton. Kiedy jego giermek pobiegł do stajni sprawdzić, czy wierzchowce są napojone i wypoczęte, król nachyla się do mnie i zapewnia:

— Wrócę jutrzejszego wieczora. Za dnia muszę mieć oko na ludzi i dalej zbierać armię, lecz noce będę spędzał z tobą.

— Przyjdź do myśliwskiej chaty — odpowiadam szeptem.

— Będę czekać na ciebie z wieczerzą jak dobra małżonka.

— Bywaj. Do jutrzejszego wieczora — przyrzeka. Następnie odwraca się do moich rodziców i raz jeszcze dziękuje im za gościnę, odpowiada skinieniem na ich ukłony i wychodzi na zewnątrz, gdzie już czeka na niego wierzchowiec.

— Jego miłość jest dla ciebie niezwykle łaskaw — zauważa papa z przekąsem. — Uważaj, żeby nie przewróciło ci się od tego w głowie.

— Elżbieta to najpiękniejsza niewiasta w całej Anglii — rzecz gładko pani matka. — A król lubi się otaczać ładnymi buziami. Nie martw się, mężu, nasza córka zna swą powinność.

Znów przychodzi mi czekać. Przez cały wieczór, gdy bawię się z synami, przygotowuję ich do snu i wysłuchuję odmawianych przez nich paciorków. Przez całą noc, gdy nie mogę spać, mimo że jestem wymęczona i obolała. Przez następny dzień, gdy snuję się niczym we śnie, wyczekując zbliżającej się nocy, kiedy ponownie ujrzę go pochylonego w drzwiach chaty, kiedy ponownie przestąpi próg ciasnego pomieszczenia i zamknie mnie w objęciach ze słowami: „Żono, czas do łóża”.

Trzy noce z rzędu spędzamy w tej mgłę przyjemności, aż ostatniego ranka mówi mi:

— Miłości moja, muszę już jechać. Zobaczymy się znowu, kiedy będzie po wszystkim.

Czuję się tak, jakby chluśnięto mi lodowatą wodą w twarz. Z prychnięciem pytam:

— Jedziesz na wojnę?

— Zebrałem już dość wojska, a szpiedzy donoszą mi, że Henryk otrzymał od swej małżonki wezwanie, by spotkał się z jej armią na wschodnim wybrzeżu. Wyruszam natychmiast i zwiążę go walką, a pokonawszy jego, pomaszeruję dalej, aby stawić czoło jej żołnierzom, gdy tylko postawią stopę na angielskiej ziemi.

Chwytam się pół jego koszuli, kiedy ją na siebie wkłada.

— Ale chyba jeszcze nie teraz?

— Dziś — odpowiada, odpychając mnie delikatnie, i nie przestaje się ubierać.

— Ależ ja nie mogę zostać sama...

— Wiem. Wszakże musisz. Posłuchaj mnie...

Mam przed sobą innego mężczyznę niż ten zakochany młodzik z trzech poprzednich nocy. Ja całkiem straciłam głowę, niepomna na wszystko, co nie wiązało się z rozkoszą ciała, on jednak ani na chwilę nie przestał planować. To król mający za zadanie ocalić swoje królestwo. Zamieniam się w słuch, czekając, jakie rozkazy zaraz padną.

— Jeżeli wygram, a możesz mi wierzyć, że tak się stanie, wrócę tu po ciebie i tak prędko jak się da, ogłosimy nasze małżeństwo. Wielu ta nowina nie ucieszy, ale nic nie będą mogli poradzić, kłamka zapadła. Pozostanie im tylko pogodzić się z faktami.

Kiwam głową. Wiem, że jego główny doradca, Ryszard Neville, negocjuje już królewskie małżeństwo z francuską księżniczką, a wszem wobec wiadomo, że hrabia Warwick przywykł do powodowania moim młodym małżonkiem.

— Jeżeli zaś szczęście się ode mnie odwróci i zginę, nie puścisz pary z ust na temat naszego małżeństwa i ostatnich dni. — Unosi dłoń, by powstrzymać rodzący się w mojej piersi protest. — Ani słowa. Nic byś nie zyskała na przyznaniu się do tego, że jesteś wdową po uzurpatorze, którego głowa zawiśnie na bramach Yorku. To byłby twój koniec. Wszyscy wiedzą, że pochodzisz z rodziny oddanej Lancasterom, i niech tak wtedy zostanie. Będziesz wspominać mnie w swoich modlitwach, taką mam przynajmniej nadzieję. Lecz nasz związek pozostanie tajemnicą między Bogiem, mną i tobą. Dwoje na pewno będzie milczeć jak grób. Zwłaszcza że pierwszy to Najwyższy, a drugi nieboszczyk.

— Wie jeszcze moja matka...

— Twoja matka wie przede wszystkim to, że w razie czego trzeba będzie uciszyć pazia i dworkę. Tylko w ten sposób zapewni ci bezpieczeństwo. Nie tylko to rozumie, ale jest też przygotowana zrobić, co do niej należy. Ode mnie otrzymała dość złota...

Przełykam szloch.

— Skoro takie jest twoje życzenie... — mówię.

— Życzę sobie również, abyś ponownie wyszła za mąż. Wybierz jakiegoś przyzwoitego człowieka, który będzie cię kochał i troszczył się o twoich synów, i postaraj się być szczęśliwa. Zrób to dla mnie.

Zwieszam głowę obezwładniona smutkiem, który złapał mnie za gardło.

— Jeśli spostrzeżesz, że jesteś przy nadziei, opuść czym prędzej Anglię — ciągnie król. — Podziel się nowiną wyłącznie ze swoją matką. Rozmawiałem z nią już o tym i powiedziałem jej, jak postąpić w takim wypadku. Książę Burgundii ma pod swym władaniem Flandrię i tamże znajdzie się dla ciebie własny dom przez wzgląd na jego pokrewieństwo z twoją matką i miłość do mnie. Gdyby to była dziewczynka, odczekaj swoje, wystaraj się o przebaczenie u Henryka i wracaj do kraju. Rok powinien wystarczyć... Twoja sława cię wyprzedzi, a mężczyźni w Anglii oszaleją na twym punkcie. Będziesz cudną wdową po poległym pretendencie do tronu i nie omieszkaj z tego korzystać przez pamięć o mnie. Wszelako gdyby urodził się chłopiec, sprawa zacznie wyglądać zupełnie inaczej. Mój syn będzie następcą tronu Anglii z linii Yorków. Zaklinam cię, strzeż go jak żrenicy oka. Być może trzeba go będzie ukrywać aż do czasu, gdy osiągnie wiek, w którym odważy się upomnieć o swoje dziedzictwo. Nieważne, że spędzi część życia pod przybranym nazwiskiem i wśród niższego stanu. Pozbądź się fałszywej dumy. Chowaj go przed światem, aż stanie się dość silny, aby przedstawić swoje roszczenia do korony. Ryszard i Jerzy, moi bracia, będą dlań nie tylko wujami, ale też opiekunami. Możesz im zaufać, gdy przyjdzie do zapewnienia bezpieczeństwa memu synowi. Nie da się wykluczyć, że Henryk i jego potomek umrą młodo, a wówczas jedynym pretendentem do tronu Anglii będzie twój syn, gdyż Margaret Beaufort z Lancasterów nie zamierzam zawracać sobie głowy. Widział to kto, niewiasta na tronie?... Potraktuj to jako moje ostatnie życzenie, aby nasz syn włożył na skronie angielską koronę, jeśli tylko uda mu się ją zdobyć dla siebie bądź jeśli zdobędą ją dla niego moi dwaj bracia. Schronisz się we Flandrii i będziesz strzegła mojego syna, który ma szansę zasiąść na tronie jako następny król z dynastii Yorków. Przyrzekasz?

— Przyrzekam.

Zaczynam rozumieć, że mój smutek i strach o Edwarda nie są wyłącznie prywatną sprawą. Jeślibyśmy rzeczywiście poczęli dziecko w trakcie tych długich miłosnych nocy, nie jest to tylko dziecie

dwojga zakochanych, lecz także — a może przede wszystkim — kolejny pionek w odwiecznej grze pomiędzy rywalizującymi rodami Yorków i Lancasterów, pretendent do korony Anglii i być może następca tronu.

— Nie będzie ci łatwo, wiem... — mówi Edward łagodniej, dostrzegając wyraz mojej pobielełej twarzy. — Całym sobą pragnę, aby nigdy do tego nie doszło. Ale na wszelki wypadek pamiętaj, że we Flandrii znajdziecie schronienie ty i mój potomek. Twoja matka ma na to środki i wie, do kogo się zwrócić w potrzebie.

— Będę pamiętać — obiecuję. — Proszę, wróć do mnie...

Edward wybucha śmiechem. Nie jest to wymuszona wesołość, tylko radość młodego mężczyzny pewnego siebie, swoich umiejętności i dopisującego mu szczęścia.

— Wróć — odpowiada. — Miej we mnie ufność. Zamierzam wyzionać ducha we własnym łożu, najchętniej tuż po miłosnych zmaganiach z najpiękniejszą niewiastą w całej Anglii.

Wyciąga do mnie ramiona, a ja postępuję krok do przodu i pozwalam się zamknąć w jego ciepłych objęciach.

— Oby tak właśnie było — mówię. — A ja już dopilnuję, aby do końca twoich dni wydawać ci się najpiękniejszą ze wszystkich niewiast.

Składa na moich wargach pocałunek, przelotny, jakby myślami już krążył gdzie indziej, i oswabada się z czepiających się go kurczowo zaciśniętych palców. Opuszcza mnie na długo przed tym, zanim przestępuje przez próg, pochylając jak zwykle głowę, a ja już wcześniej słyszę, że jego giermek podprowadził wierzchowca pod drzwi chary.

Kiedy wybiegam na zewnątrz, aby pomachać mu na pożegnanie, już siedzi wierzchem, a jego koń — potężny kasztanek, pełen gracji i wytrwały — drobi w miejscu, niecierpliwąc się i aż rwąc do galopu. Napina szyję i próbuje stanąć dęba pod ściągniętymi wodzami trzymanymi pewną ręką Edwarda. Na moment sylwetka króla Anglii dosiadającego wielkiego ogiera przesłania słońce i mnie również ogarnia przekonanie, że nikt i nic nie jest w stanie pokonać mojego wybranka.

— Z Bogiem i niech szczęście ci sprzyja! — wołam, a on unosi dłoń w geście pożegnania i szarpie lekko wodzami. Tak opuszcza

dziedziniac prawowity król Anglii udający się na wojnę z drugim prawowitym królem Anglii, mając nadzieję, że to jemu przypadnie zwycięstwo, korona i królestwo.

Trzymam rękę wysoko tak długo, aż niknie mi z oczu jego chorągiew z białą różą Yorków, aż cichnie tętent końskich kopyt, aż naprawdę zostaję sama, aż... ku mojemu najszczerzszemu przerażeniu... przekonuję się, że mój brat Antoni, który musiał przyglądać się całej tej scenie z ukrycia, występuje z cienia drzew i podchodzi do mnie w paru zamaszystych krokach.

— Ty dziwko! — rzuca przez zaciśnięte zęby.

Wpatruję się w niego, jakbym nie rozumiała, co powiedział, jakby słowo, którym mnie nazwał, było mi całkowicie obce.

— Proszę?

— Dziwka. Okryłaś hańbą nasz dom i nasze nazwisko, i imię swego nieszczęsnego zmarłego męża, który poległ, walcząc z tym uzurpatorem. Niech Bóg ci przebaczy, Elżbieto, gdyż ja zamierzam o wszystkim powiedzieć panu ojcu, który umieści cię w klasztorze, o ile prędzej cię nie udusi własnymi rękoma.

— Nie! — doskakuję do niego i chwytam go za ramię, on jednak strząsa moją rękę.

— Nie dotykaj mnie, ladacznico! Sądzisz, że możesz mnie dotykać po tym, jak obmacywałaś jego?!

— Antoni, to nie tak, jak myślisz!

— Zatem oczy mnie mylą? — syczy, opryskując mnie kropelkami śliny. — Zatem byłem świadkiem oczarowania? Moja siostra jest Meluzyną, cudnej urody boginką kąpiącą się pośród puszczy, a ten, który odjechał, prawym rycerzem na jej usługach? Zatem to — zatacza ręką koło — jest Camelot, a was połączyło szlachetne uczucie? Zatem to poezja, a nie ryszotok?

— To co nas łączy, jest szlachetne — czuję się w obowiązku odpowiedzieć.

— Nie masz pojęcia, co znaczy to słowo. Jesteś zwykłą ladacznicą, która trafi do łóża sir Williama Hastingsa następnym razem, gdy będą tędy przejeżdżać. Taki los spotyka wszystkie ladacznice Edwarda!

— Edward mnie kocha!

— Edward kocha wszystkie niewiasty! Czy raczej tak im wszystkim mówi...

— Mnie kocha naprawdę! I obiecał do mnie wrócić!

— To samo obiecuje wszystkim innym!

Z wściekłością wyrzucam przed siebie lewą rękę, a Antoni uchyla się pewien, że go atakuję. W połowie ruchu dostrzega błysk na moim palcu serdecznym i wybucha rubasznym śmiechem.

— Cóż to? Pierścień? Może jeszcze mam być pod wrażeniem błyskotki podarowanej w przypływie namiętności?

— To nie błyskotka ani zwykły pierścień, tylko pierścień ślubny. Włożony na rękę podczas ceremonii zaślubin. Edward i ja pobraliśmy się... — mówię z tryumfem, lecz następne słowa Antoniego warzą mi humor.

— Dobry Boże, omamił cię... — odzywa się ze szczerym bólem. Przygarnia mnie do siebie i przyciska mą głowę do swojej piersi.
— Biedna siostrzyczko, głuptasie...

Wyrwam mu się.

— Puszczaj! Nie jestem głuptasem! Do czego zmierzasz?

Wciąż spogląda na mnie ze smutkiem, po chwili wargi wyginają mu się w gorzkim uśmiechu.

— Niech zgadnę... Odbyła się skromna ceremonia w naszej kaplicy. Nie było na niej żadnych jego przyjaciół ani dworzan. Wszystko zostało utrzymane w tajemnicy przed Warwickiem. Wszystko ma pozostać w sekrecie. Przykazał ci zaprzeczać, gdyby ktoś cię pytał...

— Tak, ale...

— Nie jesteś jego żoną. Elżbieto. Zostałaś wystrychnięta na dudka. To była szopka, nieważna w oczach Boga i ludzi. Oszukał cię za pomocą pierścienia z tombaku i udawanego kapłana, po to by zaciągnąć cię do łóża.

— Nie.

— Mówimy o mężczyźnie, któremu się roi, że jest królem Anglii. Tacy żenią się z księżniczkami krwi. Na co mu zubożała wdowa z obozu przeciwnika, którą spotkał w lesie, kiedy wyszła prosić go o zwrócenie jej majątku? Gdyby miał się ożenić z Angielką, wybrałby najznacznieszłą damę z dworu Lancasterów, najpewniej córkę Ryszarda Neville'a, Izabelę. Na pewno nie poślubił-

by biednej dziewczyny, której ojciec walczył przeciwko niemu. Z pewnością już układają jego małżeństwo z którąś z wielkich księżniczek Europy, infantką hiszpańską albo córką króla Francji. W ten sposób rozsiądzie się pewnie na tronie, umocni sojusze ze sprzymierzeńcami. Nie weźmie sobie za żonę ładnej buzi, choćby i mówił, że ją kocha. Hrabia Warwick nigdy by na to nie pozwolił. A Edward nigdy by nie postąpił wbrew własnemu interesowi.

— Edward nie musi słuchać się Warwicka! Jest przecież królem!

— Edward jest zaledwie kukiełką — paruje Antoni z okrucieństwem. — Hrabia zdecydował się go poprzeć, tak jak stary Warwick kiedyś poparł ojca twojego Edwarda. Bez pomocy Neville'ów ani jeden, ani drugi nie mógłby nawet marzyć o tronie. Nie na darmo powiadają o Ryszardzie Neville'u „twórca królów”. To on włożył koronę na głowę Edwarda. I masz moje słowo, że włoży ją też na głowę królowej. Warwick wybierze mu żonę, a on posłusznie ją pošłubi.

Zdumienie na moment odbiera mi mowę.

— Ale przecież tego nie uczynił. Nie może uczynić. Edward i ja jesteśmy małżeństwem.

— Tylko w twojej ślicznej główce. To była gra, zabawa, przedstawienie, nic więcej.

— Nieprawda. Pobraliśmy się w obecności świadków.

— Kogo?

— Pani matki, po pierwsze.

— Naszej matki?

Potakuję skinieniem.

— Pani matka i jej dworka Katarzyna były świadkami na naszym ślubie.

— Czy pan ojciec wie? Też tam był? — Kiedy potrząsam głową, Antoni dostaje do ręki kolejny argument. — Sama widzisz... Kto jeszcze widział, jak się pobieraliście?

— Tylko pani matka, lady Katarzyna, ksiądz i chłopak służący do mszy.

— Co za ksiądz?

— Nie znam go. Król przywiózł go ze sobą.

Antoni wzrusza ramionami.

— Więc nie możemy mieć pewności, że to był prawdziwy ksiądz. Bardzo prawdopodobne, że raczej jakiś aktor czy błazen wyświadczający Edwardowi przysługę. Zresztą nawet jeśli miał święcenia, Edward może się wszystkiego wyprzeć; pozostanie słowo trzech niewiast i pachółka przeciwko słowu króla Anglii. Wystarczy, by was wszystkich wtrącić do lochu na rok czy coś koło tego, do czasu aż się ożeni z podsuniętą mu księżniczką. Omamił was obie, ciebie i panią matkę.

— Przysięgam na wszystko, że mnie kocha.

— Być może... — zgadza się niechętnie Antoni. — Podobnie jak kocha każdą, z którą zległ, a wierz mi, że są ich setki. Co jednak się stanie po bitwie, gdy w glorii chwały będzie wracał do domu i spotka na swojej drodze inną ładną buzię, która wpadnie mu w oko? Zapomni o tobie raz-dwa.

Pocieram dłonią policzek i przekonuję się, że łzy płyną mi ciurkiem.

— Pójdę i powiem wszystko pani matce... — mówię cicho. To groźba, do której się uciekałam w czasach naszego dzieciństwa. Antoni nigdy nie przejmował się nią specjalnie.

— Chodźmy do niej oboje. Nie ucieszy jej wiadomość, że przyczyniła się do pozbawienia czci własnej córki.

Idziemy przez las w milczeniu. Zanim mijamy mostek i dostajemy się na drugą stronę rzeki, zerkam na wielki jesion. Owinięta wokół pnia nić zniknęła i nic nie wskazuje na to, by miała tu miejsce jakaś magia. Nurt, z którego wyciągnęłam pierścień, zamknął się na powrót. Nie umiałabym udowodnić, że doszło tutaj do czegoś tajemniczego ani że coś takiego jak magia w ogóle istnieje. Jedyne co mam, to pierścień wykuty w kształcie korony — przedmiot być może pozbawiony większego znaczenia.

Panią matkę znajdujemy w ogrodzie z ziołami. Kiedy spostrzeża nas razem idących w upartym milczeniu i na wyciągnięcie ręki, wyprostowuje się z koszykiem przełożonym przez przedramię i przygotowuje na złe wieści.

— Synu — wita Antoniego. Mój brat przykłęka przed nią na jedno kolano, a ona kładzie na jego płowej głowie rękę i z uśmie-

chem udziela mu błogosławieństwa. Antoni powstaje i ujmując jej dłoń w swoją, zaczyna mówić:

— Obawiam się, że król oszukał ciebie i Elżbietę — nie owija w bawełnę. — Ceremonia zaślubin była tak skromna, że nie ma nikogo o należytej autorytecie, kto by mógł ją poświadczyć. Moim zdaniem odbyło się przedstawienie na wasz użytek z myślą o przełamaniu oporu Elżbiety w wiadomym celu, a Edward wyprze się wszystkiego przy najbliższej okazji.

— Tak uważasz? — pyta go matka, czegoś nieporuszona.

— Owszem — potwierdza Antoni. — Zwłaszcza że nie pierwszy raz uciekł się do takiego sposobu. Jego wcześniejsza ofiara skończyła z bastardenem w kołysce i gołym serdecznym palcem.

Pani matka wzrusza wspaniałomyślnie ramionami.

— Co czynił w przeszłości, to jego sprawa — oświadcza. — Ja byłem świadkiem, jak poślubił i posiadał moją córkę, i mam pewność, że wróci po nią jako po swoją żonę.

— W życiu — nie zgadza się z nią Antoni. — Elżbieta została pozbawiona czci. Jeśli nosi jego dziecko, będzie zrujnowana do cna.

Pani matka uśmiecha się na widok jego rozzłoszczonej twarzy.

— Gdybyś miał rację i gdyby król w istocie zamierzał się wyprzec małżeństwa z Elżbietą, położenie twojej siostry rzeczywiście nie byłoby najlepsze.

Odwracam się od obojga. Zaledwie przed paroma chwilami mój mąż i kochanek mówił mi, co mam robić, by ocalić jego syna. Teraz tych dwoje nazywa go bastardenem i moją ruiną. .

— Idę zobaczyć się z chłopcami — oznajmiam chłodnym tonem. — Nie zamierzam dłużej słuchać waszego krakania. Pozostanę wierna królowi, a on mnie, wy zaś jeszcze pożałujecie, żeście kiedykolwiek w nas zwątpili.

— Zachowałeś się nieroztropnie — utrzymuje Antoni, na którym moje słowa nie wywarły żadnego wrażenia. — Bardzo tego żałuję. — Zwracając się do pani matki, dodaje: — Zagrałaś wysoko, niezwykle wysoko... Tyle że stawką w tej grze jest honor i szczęście Elżbiety uzależnione teraz od widzimisię znanego kręta.

— Być może — odzywa się spokojnie pani matka. — Uczony z ciebie człowiek, synu, prawdziwy filozof. Ale są sprawy, na których znam się lepiej od ciebie.

Oddalam się od nich pośpiesznie. Żadne nie próbuje mnie zatrzymać.

Muszę czekać, całe królestwo musi znowu czekać, aby się przekonąć, kogo okrzyknąć władcą, kto będzie panował. Mój brat Antoni wysłał na północ człowieka na przespiegi i wszyscy w domu uzbrajamy się w cierpliwość, oczekując jego powrotu, oczekując wieści, czy doszło do bitwy, czy szczęście dopisało królowi Edwardowi. W końcu, już w maju, sługa Antoniego wraca i opowiada, że dotarł tak daleko, jak się dało, aż w okolice Hexham, i tam wypytał 0 najświeższe wieści jakiegoś marudera. Rozegrała się bitwa, ciężka bitwa. Zatrzymuję się z wahaniem w progu komnaty — chcę poznać wynik, nie krwawe szczegóły. Nie muszę już mieć przed oczyma walki, aby umieć ją sobie wyobrazić; Anglia stała się jednym wielkim polem bitwy. Każdy chyba widział nadciągającą armię, atak i ucieczkę w popłochu oraz ma w pamięci niespokojną ciszę towarzyszącą przegrupowywaniu wojsk. Każdy zna kogoś, kto miał pecha i znalazł się w miejscowości plądrowanej przez żołdaków zdecydowanych rabować, gwałcić i hulać ile wlezie; każdy słyszał o niewiastach szukających schronienia w świątyni i wołających 0 pomoc. Wszyscy wiemy, że niekończąca się wojna dwu róż rozdarła królestwo na dwoje, sprzeniewierzyła jego bogactwo, zniszczyła przyjaźń między sąsiadami, podważyła zaufanie do obcych, stłumiła miłość między krewniakami, pozbawiła nas bezpiecznych traktów i serdeczności dla króla, a jednak trwa bez ustanku. Obie strony łakną zwycięstwa i tryumfującego władcy, który zaprowadzi na tej ziemi pokój, lecz niestety zwycięstwo nie nadchodzi, pokój nie nastaje i wciąż nie jest przesądzone, kto będzie nad nami panował.

Nareszcie wysłannik Antoniego przechodzi do rzeczy. Wygrana należy do Edwarda i jest miążdżąca. Siły Lancasterów zostały rozgromione, a król Henryk, biedny nieszczęsny zagubiony król Henryk, który nie wie, gdzie się znajduje, nawet gdy mieszka we własnym pałacu, zbiegł na wrzosowiska Northumberlandii, za jego

głową zaś została wyznaczona nagroda, jakby był zwykłym wyjętym spod prawa rabusiem — pozbawiony sług, odarty z przyjaciół, bez choćby jednego zwolennika; niczym nadgraniczny buntownik, dziki posępny wieszczek.

Jego żona, królowa Małgorzata Andegaweńska, niegdysiejsza najdroższa przyjaciółka pani matki, udała się dobrowolnie do Szkocji wraz z następcą tronu. Została pokonana, nim wkroczyła do akcji, wszyscy jednak wiedzą, że nie pogodzi się tak łatwo z klęską swoją i królewskiego małżonka, będzie knuła i spiskowała z myślą o dobru księcia, tak jak Edward mnie przykazał knuć i spiskować z myślą o naszym synu. Małgorzata nie ustanie w wysiłkach, dopóki nie powróci do Anglii i nie doprowadzi do następnej otwartej bitwy. Nie wycofa się, dopóki nie zginie jej mąż, dopóki nie umrze jej syn, dopóki nie zostanie jej nikt, kogo mogłaby osadzić na tronie. To właśnie oznacza bycie królową Anglii w dzisiejszych czasach. Tak musiała żyć przez minione dziesięć lat, odkąd jej król i małżonek utracił zdolność władania, a królestwo zaczęło przypominać przerażonego zająca rzuconego między rozszalałe psy myśliwskie, ciągnące każdy w swoją stronę. Co gorsza, nie inny los czeka teraz mnie, jeśli tylko Edward wróci bezpiecznie do domu i ogłosi mnie swoją żoną i królową, po czym powołamy na świat następcę tronu. Młody mężczyzna, którego pokochałam, zasiądzie na kiwającym się niepewnie tronie, a ja stanę się pretendentką do tytułu jedynej prawowitej królowej Anglii.

I wraca. Posyła przodem wiadomość, że odniósł zwycięstwo i przełamał opór obrońców królewskiego zamku w Bamburgu, i zamierza przybyć do nas z wizytą w drodze na południe kraju. W oficjalnym liście do papieża oznajmia, że zatrzyma się na wieczery, mnie zaś w nagryzmołonym pośpiesznym liściku informuje, że zostanie na noc.

Pokazuję liścik pani matce.

— Możesz powiedzieć ode mnie Antoniemu, że mój mąż pozostał mi wierny.

— Nic mu nie powiem — burczy.

Przynajmniej papa wydaje się zadowolony z zapowiedzianej wizyty zwycięzcy.

— Dobrześmy zrobili, oddając mu pod komendę swoich ludzi
— mówi do pani matki. — Niech Bóg cię błogosławi za mądrą radę, moja droga. Edward wygrał, a dzięki tobie znów znaleźliśmy się po właściwej stronie.

Pani matka uśmiecha się do niego.

— Do samego końca nie byłam zdecydowana, na kogo postawić
— rzecze. — Zważ, że to zasługa Elżbiety. To dla niej stracił głowę i do niej przyjeżdża teraz z wizytą.

— Czy aby na pewno mamy w spiżarni dość skruszałej wołowiny? — pyta papa, przechodząc do spraw gospodarskich. — Z Janem i chłopcami udam się na polowanie z sokołem i przyniosę do domu trochę dziczyzny.

— Wyprawimy wspaniałą ucztę — uspokaja go pani matka. Nadal jednak nie mówi papie, że prawdziwym powodem uroczystości powinno być moje zamążpójście. Czyżby i ona podejrzewała, że król może chcieć się wycofać z danego mi słowa?

Nic nie sposób wyczytać z jej twarzy, gdy wita króla głębokim ukłonem. Co więcej, nie okazuje zażyłości, jaką świekra jest w prawie okazywać swemu młodemu zięciowi. Zarazem jednak nie wydaje się wobec niego oziębła, a przecież z pewnością taka by była, gdyby uważała, że oszukał nas obie. W moich oczach wygląda to tak, że pani matka wita w swoich progach tryumfującego władcę, on okazuje jej szacunek jako wielkiej damie, niegdysiejszej księżnej, oboje zaś traktują mnie jak faworyzowaną pod każdym względem córkę tego domostwa.

Wieczera udaje się nad podziw, co jest zrozumiałe samo przez się, zważywszy, że papa nie ma sobie równych, gdy chodzi o przechwałki i rozrywki, pani matka jak zawsze poraża elegancją, siostry pozostają w zwykłym dla nich stanie nieukrywanej admiracji dla monarchy, a moi bracia milczą jak zakłęci, powściągając gniew. Wreszcie uczta dobiega końca i król żegna się z moimi rodzicami, po czym wyjeżdża na trakt, jakby zmierzał do Northampton, ja natomiast narzucam na ramiona pelerynę i chyłkiem wymykam się na ścieżkę wiodącą do myśliwskiej chaty.

Dociera do niej przede mną, co poznaję po tym, że jego ogier już stoi w swoim boksie w stajence, a giermek mości sobie miejsce do

spania na stryszku. Edward wita mnie w milczeniu szeroko rozpostartymi ramionami. Ja także się nie odzywam. Nie jestem aż tak głupia, by zasypać wracającego do domu mężczyznę wymówkami i oskarżeniami, a poza tym kiedy mnie bierze w objęcia, potrafię myśleć tylko o jego dotyku; kiedy mnie całuje — pragnę wyłącznie więcej pocałunków; kiedy otwiera usta, by coś powiedzieć, chcę usłyszeć najśłodsze ze wszystkich słowa: „Czas do łóża, żono”.

Rankiem czeszę się naprzeciwko małego posrebrzanego zwierciadła i starannie upinam włosy, gdy Edward stoi za mną, przyglądając mi się z natężeniem; od czasu do czasu wyciąga rękę i ujmuję złociste pasmo, które okręca sobie wokół palca, wydobywając zeń błyski światła.

— Bynajmniej mi nie pomagasz — śmieję się.

— Gdyż wcale nie mam takiego zamiaru. Przeciwnie, chcę ci przeszkodzić. Uwielbiam twoje włosy i lubię widzieć je rozpuszczone, moja miła.

— Kiedy ogłosimy, że jesteśmy mężem i żoną? — pytam, uważnie przypatrując się odbiciu jego twarzy.

— Jeszcze nie pora — odpiera prędko; zbyt prędko, odpowiedź zda się przygotowana. — Hrabia Warwick uparł się, by mnie wyswatać z księżniczką Boną Sabaudzką w celu zagwarantowania pokoju z Francją. Chwilę mi zajmie, zanim wyperswaduję mu ten pomysł. Muszę postępować z nim nader delikatnie, aby zdążył oswoić się z myślą, że jego plan nie dojdzie do skutku.

— Parę dni? — podpowiadam.

— Raczej tygodni — pragnie zyskać na czasie. — Neville'a czeka potężne rozczarowanie, a co gorsza, jest jeszcze sprawa darów, które przyjął, aby przyspieszyć sprawę tego małżeństwa...

— Darów? Warwick jest przekupny? Nielojalny?

— Nie, skądże. Brał francuskie złoto, lecz nie z myślą, by mnie zdradzić; on i ja to jedno. Znamy się od chłopięctwa. To on uczył mnie, jak się pojedynkować, od niego dostałem swój pierwszy miecz. Jego ojciec zastępował mi własnego rodziciela, kiedy tego przy mnie nie było. Doprawdy Ryszard jest dla mnie niczym starszy brat. Nigdy nie upomniałbym się o koronę, gdyby nie on. Starszy z Nevil-

le'ów otworzył drogę do tronu memu ojcu i uczynił mnie następcą, teraz zaś jego syn Ryszard popiera mnie. To mój mentor i przyjaciel. Wszystko co wiem o walce i władaniu królestwem, wiem od niego. Muszę być delikatny, muszę mu wytłumaczyć, że nie umiałem ci się oprzeć. Przynajmniej tyle jestem mu winien.

— Tak bardzo liczysz się z jego zdaniem?

— To najważniejszy człowiek w moim życiu.

— Ale wkrótce mu o nas powiesz i zawieszysz mnie do siebie na dwór? — pytam, starając się, by zabrzmiało to błaho i lekko.

— Przedstawisz wszystkim jako swoją żonę?

— Kiedy nadejdzie pora.

— Może mogłabym wyznać prawdę chociaż panu ojcu, aby wolno nam było spotykać się pod naszym dachem otwarcie?...

Edward śmieje się głośno.

— Równie dobrze mogłabyś wtedy powiedzieć o nas heroldowi. Nie, moja miła, jeszcze przez jakiś czas musimy zachować prawdę w sekrecie.

Ujmuję w obie dłonie swój strzelisty kornet i nakładam go bez słowa. Jego ciężar przyprawia mnie o ból głowy.

— Ufasz mi, Elżbieto, prawda? — upewnia się słodkim głosem.

— Oczywiście — kłamię. — Ufam ci całkowicie.

Antoni stoi u mego boku, kiedy król nas opuszcza. Dłoń trzyma wysoko uniesioną w geście pożegnania, na jego ustach widnieje uśmiech pełen fałszu.

— Nie jedziesz z nim? — pyta mnie półgębkiem, nie powstrzymując ironii. — Nie wybierasz się do Londynu po nowe suknie? Nie szykujesz się do przedstawienia dworzanom? Nie weźmiesz udziału w mszy dziękczynnej za zwycięstwo jako pełnoprawna królowa?

— Najpierw musi powiedzieć o nas hrabiemu Wąrwick — odpowiadam szeptem. — Musi mu przetłumaczyć...

— Ależ to hrabia Warwick przetłumaczy jemu! — nie wytrzymuje Antoni. — Wyjaśni mu, że król Anglii nie może się ożenić z prostytutką, z niewiastą, która w dniu ślubu nie jest dziewicą! Królowie nie żenią się z niewiastami niskiego rodu i kiepskiego majątku. Twój Edward zaś szybko zapewni, że ślub odbył się

w obecności zaledwie paru osób, z których żadna nie była możnowładcą ani dworzanie, że jego młoda żona nie powiedziała niczym nawet swoim bliskim i nosi pierścień na łańcuszku zawieszonym na szyi... Następnie obaj dojdą zgodnie do wniosku, że nie ma sobie czym zawracać głowy, że właściwie nic się nie stało. Nie po raz pierwszy i nie ostatni. Będzie mógł się tak zabawiać dopóty, dopóki nie zabraknie w królestwie naiwnych niewiast, czyli ile dusza zapagnie, gdyż to akurat nam nie grozi.

Obracam się ku niemu i dopiero na widok cierpienia w moich oczach Antoni milknie.

— Och, Elżbieto... Nie patrz tak na mnie.

— Głupcze, mam w nosie, czy mnie ogłosi swoją królową czy nie — wybucham. — Tu się nie rozchodzi o to, czy będę królową, nawet nie o szlachetne uczucie. Po prostu szaleję za nim, kocham go do obłędu. Poszłabym za nim, gdybym musiała stąpać boso po kamieniach. No dalej, powiedz mi, że nie jestem pierwsza! To też mam w nosie! Nie zależy mi na dobrym imieniu ani na honorze. Pragnę jedynie z nim być, choć raz jeszcze móc go kochać... Liczy się tylko to, że go znów zobaczę i usłyszę, jak mnie zapewnia o swojej miłości.

Antoni obejmuje mnie i klepie uspokajająco po plecach.

— Oczywiście, siostrzyczko, że pała do ciebie miłością... — szepcze. — Jakiż mężczyzna mógłby się tobie oprzeć? Gdyby się w tobie nie zakochał, byłby straszliwym głupcem.

— Kocham go — mówię bezradnie z twarzą wtuloną w pierś brata. — Kochałabym go, nawet gdyby był nikim...

— Wcale nie — zaprzecza łagodnie. — Jesteś córką naszej matki, nie zapominaj. Nie na darmo w twoich żyłach płynie krew boginki. Tobie jest pisane zostać królową i być może jeszcze wszystko się dobrze dla ciebie skończy. Może Edward naprawdę cię kocha i będzie przy tobie trwał...

Odchylam głowę do tyłu, aby spojrzeć mu w oczy.

— Nie wierzysz w to, co mówisz.

— Nie, nie wierzę — odpowiada uczciwie. — Jeśli mam być z tobą szczerą, pewnie widziałas go dziś po raz ostatni.

WRZESIEŃ 1464 ROKU



Dostaję od Edwarda list. Zwraca się w nim do mnie per „lady Elżbieta Grey” i „moja mila”, lecz ani razu nie używa określenia „żona” — zatem nie otrzymuję nic, co mogłoby mi posłużyć za dowód, na wypadek gdyby jednak postanowił się wyprzeć naszego małżeństwa. Píše między innymi, że zaprzęta go obecnie mnóstwo ważnych spraw, ale zaraz nadmienia, że pośle po mnie, kiedy tylko będzie mógł; na razie dwór przebywa w Reading, właśnie zbiera się rada królewska. Obiecuje mi, że porozmawia z Warwickiem w najbliższym czasie, gdy upora się z najpilniejszymi obowiązkami. Przegrany król Henryk nadal nie został pojmany i ukrywa się gdzieś pośród wzgórz Northumberlandii, wszelako jego małżonka zbiegła do swej ojczyzny — Francji — i tam poprosiła o pomoc, z czego wynika, że sojusz pomiędzy Anglią i Francją to sprawa najwyższej wagi, gdyż wyłącznie w ten sposób odetnie się królową Małgorzatę od sprzymierzeńców i wykluczy z grona liczących się osób. Tylko między wierszami czytam, że najprostszym rozwiązaniem byłoby jego małżeństwo z francuską księżniczką. Na koniec zapewnia mnie o swym niesłabnącym uczuciu i niegasnącej namiętności. To słowa zakochanego mężczyzny, czcze obietnice, nic wiążącego.

Ten sam posłaniec przynosi również list do papy, w którym król Edward wzywa sir Richarda Woodville'a do stawienia się na dworze w Reading. W jego treści nie ma nic osobistego, podobny list otrzymali w tym czasie wszyscy znacniejsi wielmoże w Anglii. Z papą mają pojechać moi bracia: Antoni, Jan, Ryszard, Edward i Lionel.

Kiedy dosiadają wierzchowców — a prezentują się w piątkę niczym mały oddział wojska spłodzony przez jedną niewiastę — pani matka zwraca się do papy z prośbą brzmiącą jak rozkaz:

— Napisz do mnie bezzwłocznie i o wszystkim powiedz.

— Z pewnością jedziemy tam po to, aby się dowiedzieć o jego zaręczynach z francuską księżniczką — gdera papa, poprawiając sprzączkę popręgu. — Jakby sojusz z Francją był nam potrzebny do szczęścia. Jakby kiedykolwiek przyniósł nam co dobrego. Choć jeśli w grę wchodzi uciszenie Małgorzaty Andegaweńskiej, nie ma lepszego sposobu... No i mogłabyś liczyć na zaproszenie na dwór królowej, skoro by to była twoja krewniaczka.

Pani matka bez zmrużenia oka wysłuchuje wyводу papy na temat nowej oblubienicy króla.

— Pisz o wszystkim, czego się dowiesz — poleca ponownie. — Niech Bóg cię prowadzi, mężu, i zachowa w zdrowiu.

Papa pochyla się w siodle, by ucałować jej dłoń, po czym szarpie wodze i kieruje konia ku traktowi wiodącemu na południe. Moi bracia strzelają z bicza, unoszą nakrycia głowy i krzyczą głośno na pożegnanie. Moje siostry machają im, szwagierka Elżbieta dyga przed Antonim, który spogląda na nią, potem na panią matkę i na mnie, cały czas z twarzą ponurą niczym chmura gradowa.

Lecz właśnie on pisze do mnie i to jego sługa przywozi mi pierwsze wieści, galopując na złamanie karku z Londynu.

Siostrzyczko!

Zatryumfowałaś, a ja cieszę się z tego całym sercem. Miałaś tutaj miejsce wstrząsająca posadami kłótnia pomiędzy Edwardem i Warwickiem, kiedy jego hrabiowska mość przedstawił królowi kontrakt małżeński z wyznaczoną na żonę księżniczką Boną Sabaudzką, jak wszyscyśmy się spodziewali. Tymczasem jego królewska wysokość, mając dokument przed oczyma i pióro w dłoni, jakby nigdy nic uniósł głowę i oznajmił Neville owi, że nie może się ożenić z księżniczką Boną ani z żadną inną, albowiem w istocie rzeczy jest już żonaty. Zapadła taka cisza, że usłyszałaś spadające na ziemię piórko albo i szeptające między sobą anioły. Klnę się na wszystko, że na własne uszy

słyszał łomoczące serce Warwicka, który z pozoru spokojnie poprosił króla, aby powtórzył to, co właśnie powiedział. Edward był blady niczym niewiasta, a jednak stawiał czoło hrabiemu (czego ja nigdy w życiu bym nie zrobił) i rzekł wyraźnie, że wszystkie jego plany i złożone obietnice są warte tyle co nic. Ryszard Neville ujął króla za ramię, jakby był niesfornym chłopaczyskiem, i pośpiesznie wyprowadził go za drzwi prywatnej komnaty, zostawiając nas wszystkich gotujących się z ciekawości i zdumienia niczym rzepy rzucone we wrzącą potrawkę.

Zdołałem jakoś wyłuskać pana ojca spośród tłumu i rzec mu w kącie, że moim zdaniem król zaraz ogłosi swoje małżeństwo z Tobą — chcąc oszczędzić poczciwcowi zaskoczenia, które stało się udziałem Warwicka — aczkolwiek Tobie mogę się przyznać, iż w głębi ducha drżałem, że Edward zaraz wymieni imię innej niewiasty, gdyż na dworze krążą słuchy o pannie szlachetnego rodu, wyżej stojącego niż nasz, która w dodatku powita mu już syna. Wybacz, Siostrzyczko, te słowa, ale nie zdajesz sobie nawet sprawy ze złej reputacji króla. Po tym obaj, pan ojciec i ja, zachowywaliśmy się jak marcowe zające; zrywaliliśmy się na najłżejszy szelest, lecz drzwi do komnaty prywatnej pozostawały zamknięte, a za nimi — ukryty przed nami król wraz z mężczyzną, który wyniósł go na tron i który — Bóg mi świadkiem — mógł w każdej chwili odebrać mu koronę.

Oczywista Lionel chciał wiedzieć, o czym tak szeptamy — podobnie jak Jan; szczęście w nieszczęściu, iż pozostali dwaj zawieruszyli się gdzieś z samego rana, tak że musiałem zdradzić Twój sekret tylko im, co przyszło mi o tyle z trudem, że żaden — zupełnie jak papa wcześniej — nie dawał wiary moim słowom. Ledwie udało mi się nad nimi zapanować. Zresztą na pewno umiesz to sobie wyobrazić.

Czas mijał, a nikt nie śmiał opuścić komnaty, nie poznawszy zakończenia tej pysznej historii. Siostrzyczko, wystaw sobie: najwięksi parowie królestwa szczali do kominków, byle tylko nic nie uronić z awantury pomiędzy dwiema potęgami. Wreszcie drzwi komnaty prywatnej otwały się i w pierw wyszedł przez

nie z lekka wstrząśnięty Edward, a za nim postępował z chmurną miną hrabia Warwick. Król ubrał twarz w swój najmilszy uśmiech i oświadczył: „Panowie, dziękuję za waszą cierpliwość. Mam przyjemność podzielić się z wami nowiną o swoim małżeństwie z lady Elżbietą Grey”, po czym skinął głową w stronę papy, posyłając mi — nie wymyśliłem sobie tego! — błagalne spojrzenie, abym powstrzymał pana ojca przed jakimkolwiek ruchem. Ucapiłem więc staruszka za ramię i oparłem się oń z całych sił, by zakotwiczyć go na miejscu, z drugiej strony to samo uczynił Jan, Lionel zaś przeżegnał się pobożnie, jakby już był co najmniej biskupem. Skłoniliśmy się równocześnie z panem ojcem, uśmiechając się do siebie głupkowato, jakbyśmy o wszystkim od dawna wiedzieli i tylko przez grzeczność nie napomknęli temu czy owemu, iż jeden z nas jest teraz świekreem króla Anglii, drugi zaś jego szwagrem.

W tej właśnie chwili jak na złość wparowali do komnaty Ryszard z Edwardem, którym musieliśmy wzrokiem przykazać milczenie i szepnąć na ucho, że świat stanął na głowie, ale masz moje słowo, że spisali się nadzwyczaj dobrze i nie zawiedli. Po prostu trwali oszołomieni u naszego boku, a ludzie wzięli ich oniemiałe oblicza za cichą dumę. Doprawdy stanowiliśmy sextet głupców robiących dobrą minę do złej gry. Bo nie wyobrażasz sobie nawet, co rozpętało się potem — wyrzekaniom, krzykom i skargom nie było końca. Nikt w zasięgu naszego słuchu nie odważył się zarzucić królowi, że popełnił mezalians, lecz wokół nas i za naszymi plecami nie brakowało takich, co byli tego właśnie zdania i długo jeszcze będą tak myśleć. Mimo to król trzymał głowę wysoko uniesioną i przeciwstawił hart ducha rodzącym się oszczerstwom, zaś papa i ja stanęliśmy po jego obu stronach, mając za sobą resztę męskiej części rodu. Nikt nie byłby w stanie zaprzeczyć, że prezentowaliśmy się godnie — wysocy i silni — i rzeczywiście nikt tego nie uczynił, toteż sprawa jest przesądzona i nie ma odwrotu. Możesz przekazać pani matce, że jej gra opłaciła się po tysiącokroć: zostaniesz królową Anglii, a my staniemy się najpierwszą rodziną w królestwie, nawet jeśli są tacy, którym to nie w smak.

Papa nie odzywał się dopóty, dopóki nie opuściliśmy królewskiego dworu, ale przysięgam, że oczy latały mu w czaszce niczym Głupiemu Jimowi ze Starego Stratfordu. Dopiero gdyśmy dotarli na naszą kwaterę, mogłem mu opowiedzieć ze szczegółami, co zaszło i jak — przynajmniej na tyle, na ile sam się orientowałem — na co zmartwił się setnie, gdyż jak stwierdził, byłby dochował sekretu nie gorzej niż my, a nie musiałby dzisiaj świecić oczami, jednakże myślę, że Ci wszystko przebaczy, zważywszy, że jest teraz świekrem króla Anglii, i nie będzie się zbyt srożył na panią matkę za to, żeście trzymały niewieście sprawy w tajemnicy. Chłopcy poszli się upić, gdy tylko ochłonęli, co jest chyba zrozumiałe w tej sytuacji. Lionel po powrocie zarzekał się, że sięgnie po papieską tiarę.

Twój królewski małżonek zdaje się nieco oszołomiony tempem wypadków i chyba trochę żałuje sprzeczeki ze swym mentorem, który ostentacyjnie spożyje wieczerzę w swoich komnatach i z którym w gruncie rzeczy lepiej by było nigdy nie zadzierać, gdyż to niebezpieczny przeciwnik i nikomu nie życzę takiego wroga. My wszakże będziemy dziś jedli w wielkiej sali przy wysokim stole, u boku króla, którego dobro jest naszym dobrem. Zaiste świat zmienił się dla nas, Woodville'ów, i z chwili na chwilę staliśmy się tak wielcy, że bez trudu będziemy pokonywać angielskie wzgórza. Oczywiście wszyscyśmy teraz po stronie Yorków, a papa już przebąkuje o sadzeniu białych róż w ogrodzie i noszeniu ich kwiatów przy bircie. Przekaż pani matce, że bez względu na to, jakiej magii się miała, aby do tego doprowadzić, jesteśmy dla niej pełni podziwu. Jeśli magia ta sprowadzała się wyłącznie do Twojej urody, w niczym nie umniejsza to jej zasługi ani naszego zachwytu.

Siostrzyczko, niebawem zostaniesz zawezwana na dwór tutaj, w Reading. Edward zapowiedział, że pchnie posłańca nazajutrz, a potem przedstawi Cię wszystkim jako swą żonę i królową. Posłuchaj mojej rady i zjaw się skromnie odziana i z niewielką eskortą. To nie stłumi zazdrości, ale po co pogarszać sprawy, które i tak przedstawiają się nie najlepiej. Uczyniliśmy sobie wrogów z każdej rodziny w Anglii. Ludzie, których

nawet nie znamy, będą przeklinali nasz łut szczęścia i życzyli nam rychłego upadku. Ambitni ojcowie z uroczymi córkami nigdy Ci nie wybaczą. Przez resztę życia wszyscy będziemy musieli mieć oczy dokoła głowy i strzec się na każdym kroku. To dla nas wielka szansa, ale także wielkie niebezpieczeństwo. Choć od dziś mogę się mienić szwagrem króla Anglii, moim największym marzeniem jest, aby umrzeć we własnym łóżu, będąc pogodzonym ze światem i w podeszłym wieku.

Twój brat Antoni.

PS. Myślę jednak, że zanim wyzionę ducha, poproszę króla, aby uczynił mnie księciem.

Pani matka przygotowuje naszą podróż do Reading i zwołuje krewnych z całej Anglii, jak gdyby była królową wojowniczką i planowała wyprawę wojenną. Każdy członek rodziny, który może odnieść jakąś korzyść z naszego nieoczekiwanego wywyższenia bądź przyczynić się do jeszcze większego sukcesu naszej sprawy, zostaje ściągnięty nawet z najodleglejszych zakątków królestwa. Co ważniejsi burgundzcy krewniacy otrzymują zaproszenie na uroczystość mojej koronacji, gdyż jak mówi pani matka, dodadzą mi splendoru i będą dowodem naszego wysokiego statusu i błękitnej krwi w moich żyłach, a poza tym w dzisiejszych czasach nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać możny poplecznik będący w stanie zapewnić schronienie w razie czego.

Pani matka zaczęła już także tworzyć listę dam i lordów stanowiących dobrą partię dla moich braci i sióstr i wyobrażać sobie zrodzone z tych stadeł arystokratyczne dzieci, które dostaną się pod skrzydła pary królewskiej i zostaną wychowane razem z księżętami i księżniczkami Anglii. Znając się na rzeczy jak nikt inny, wprowadza mnie w tajniki protektorstwa obowiązującego na angielskim dworze i uczy, na czym będzie polegać moja siła. Nie mogłabym marzyć o lepszej nauczycielce. Pani matka należała do rodziny królewskiej Lancasterów, będąc żoną księcia Bedfordu, a potem była drugą w kolejności damą królestwa na dworze Małgorzaty Andegaweńskiej. To dobrze, że dysponuje rozległą wiedzą o tym, jak orać to pole, które zwie się Anglia, skoro teraz

przyjdzie jej służyć nowej królowej, królowej z dynastii Yorków — czyli mnie.

Wysłała do Antoniego szereg instrukcji, jakich krawców i szwaczki ma zatrudnić, tak żeby czekały na mnie w Londynie gotowe suknie, lecz podobnie jak on uważa, iż powinniśmy wejść w naszą nową wspaniałą rolę po cichu i bez zbędnego szumu — my, niedawni zwolennicy pokonanego rodu Lancasterów, którzyśmy zamienili się w sojuszników i członków zwycięskiego rodu Yorków. Do Reading pojedą ze mną moje siostry, bratowa i kuzynki, tylko że będziemy musieli się obejść bez sztandarów i dźwięku trąb. Papa poinformował nas w liście, że wielu zazdrości nam powodzenia, lecz ci, których powinniśmy najbardziej się obawiać, to najbliżsi królowi Edwardowi: jego doradca sir William Hastings, jego sprzymierzeniec hrabia Warwick z rodziną — matką, siostrami i braćmi — gdyż oni właśnie mają najwięcej do stracenia, kiedy na dworze pojawią się nowi faworyci.

Pamiętam, że Hastings popatrzył na mnie, jakbym była wędrowną handlarką, kiedyśmy się spotkali po raz pierwszy na trakcie nieopodal naszego domostwa, i poprzysięgam sobie, że uczynię wszystko, aby już nigdy tak na mnie nie spojrział. Wydaje mi się, że z nim poradzę sobie najłatwiej. Szczerze kocha króla i akceptuje jego wybory, a nawet je popiera i broni przed innymi panami. Wszakże hrabia Warwick napawa mnie przerażeniem. To mężczyzna, który nie zawaha się przed niczym, byle osiągnąć swój cel. Będąc chłopcem, widział, jak jego ojciec buntuje się przeciwko prawowitemu władcy i ustanawia rywalizującą dynastię w imieniu Yorków. Kiedy stary Ryszard Neville zginął pod Wakefield razem z Ryszardem Plantagenetem, księciem Yorku, aspirującym do korony Anglii, jego syn dopatrzył, aby koronowano młodzieńczego, nieledwie dziesiętnastoletniego Edwarda. Warwick jest odeń o trzynaście lat starszy i od początku było wiadomo, że chce usadzić na tronie młodzika, by nim powodować i rządzić z jego cienia. Decyzja Edwarda, aby poślubić mnie, a nie podsuwaną mu przez Warwicką księżniczkę, to pierwszy przejaw samodzielności, którą hrabia z pewnością zechce ukrócić. Powiadają o nim „twórca królów”, a myśmy mówili, wciąż jeszcze stojąc po stronie Lancasterów, że Yorkowie to tylko kukieł-

ki w rękach potężnych Neville'ów. A teraz proszę, zostałam żoną kucielki Ryszarda Neviłle'a, który z pewnością będzie się starał mnie zmusić, abym tańczyła, tak jak on zagra. Mimo wszystko nie pozostaje mi nic innego, jak pożegnać się rzewnie z synami, wymusić na nich obietnicę posłuszeństwa wobec preceptora i opiekunek, wskoczyć na siodło przysłanego mi przez króla wierzchowca i wraz z panią matką i siostrami udać się w drogę do Reading, gdzie oczekuje mnie moja przyszłość.

Odwracam się do pani matki i mówię:

— Boję się...

Podjeżdża do mnie bliżej i zsuwa z twarzy kaptur podróźnej peleryny, abym mogła dostrzec jej uśmiech.

— Domyślam się — odpowiada. — Nie zapominaj jednak, że przebywałam na dworze królowej Małgorzaty. Nawet ty nie będziesz gorszą od niej władczynią.

Pomimo nerwów uśmiecham się lekko. I pomyśleć, że mówi to niewiasta, która w przeszłości była najbardziej zaufaną dworką Małgorzaty Andegaweńskiej!

— Śpiewasz na inną melodię...

— Owszem, ponieważ dostałam się do innego chóru. Co nie znaczy, że mijam się z prawdą. Niemożliwe, abyś była gorszą od niej królową, niech Bóg ma ją w swojej opiece, gdziekolwiek się teraz znajduje, nieszczęsna.

— Ale ona była żoną mężczyzny, który przez połowę czasu żył we własnym świecie.

— I bez względu na to, czy akurat był przy zdrowych zmysłach, zachowywał się jak święty czy jak szaleniec, zawsze robiła, co chciała. Wzięła sobie kochanka — dodaje radośnie, nie zważając na moje zgorszone sapnięcie. — A cóżes sobie myślała? Skąd indziej miała by syna? Przecie, że nie od króla Henryka, który pozostawał ślepy i głuchy na sprawy tego świata przez cały rok, w którym doszło do poczęcia i narodzin księcia. Dlatego spodziewam się, że ty poradzisz sobie o wiele lepiej. Ty także nie możesz w to wątpić. A Edward zwyczajnie nie ma wyjścia, jak sprawdzić się w roli króla, której nie sprostał nawiedzony obłąkaniec, niech Bóg nad nim czuwa. Jeśli chodzi o pozostałe sprawy, musisz dać swemu mężowi syna i następ-

cę tronu, troszczyć się o ubogich i skrzywdzonych oraz wspierać starania swojej rodziny. Niczego więcej się od ciebie nie wymaga, a na tyle na pewno cię stać. Każda ciamajda z szerokimi biodrami, dobrym serduszkiem, otwartą sakiewką i sprytnymi krewniakami dałaby sobie radę.

— Będę miała licznych wrogów — przypominam. — Wiele osób będzie pałać do nas nienawiścią.

Pani matka kiwa z powagą głową.

— Dlatego właśnie musisz dostać dla nas ziemie i stanowiska, których pragniemy, zanim zawistnicy zyskają przychylność króla —¹ odpowiada na to prosto. — Chodzi tylko o parę nadań dla twoich braci, o kilku notabli, którzy poślubią twoje siostry. Jeśli zdobędziesz to w pierwszym roku małżeństwa i panowania, nic nam już potem nie zagrozi. Nasza pozycja się umocni i będziemy gotowi na to, co przyniesie przyszłość. Cokolwiek się stanie, nawet gdy stracisz wpływ na jego wysokość, będziemy zabezpieczeni ze wszystkich stron.

— A Warwick... — zaczynam podenerwowana.

— To nasz największy wróg — zgadza się ze mną pani matka. Brzmi to jak zapowiedź wendety rodowej. — Nie spuszczań go z oka, bądź przy nim przezorna. Wszyscy musimy mieć się przed nim na baczności. Przed nim i przed królewskimi braćmi: Jerzym księciem Clarence, który sprawia takie czarujące wrażenie, i młodzieńcem Ryszardem księciem Gloucester. To też nasi wrogowie.

— Dlaczego?

— Dlatego, że twoi synowie ich wydziedziczą, że jako żona króla odciągniesz go od nich. Do tej pory stanowili nierozdzielny całość: trzech osieroceni chłopcy walczący ramię przy ramieniu o najwyższe trofeum. Nazywali się trzema rycerzami z Yorku, ponoć Edward zobaczył na niebie znak będący świadectwem ich trójcy. Ale teraz Edward będzie chciał mieć koło siebie żonę, nie braci. Ziemie i zaszczyty, które mogłyby przyspaść w udziale im, trafią do ciebie i w ręce twoich krewnych. Jerzy był następnym w kolejce do tronu w razie śmierci Edwarda, po nim zaś najmłodszy Ryszard. Z chwilą gdy przyjdzie na świat twój syn, obaj będą musieli ustąpić mu pierwszeństwa.

— Mam zostać królową Anglii — oburzam się — a ty przedstawiasz to tak, jakbym powinna się szykować do walki na śmierć i życie.

— Bo to będzie walka na śmierć i życie — oświadcza pani matka. — Tym właśnie jest królowanie w Anglii. Pamiętaj, żeś nie Meluzyna wyłaniająca się z wody na łatwe przyjemności, nie przepiękna niewiasta, której głowę zaprzęta tylko zabawa i magia. Droga, jaką obrałaś, oznacza ciągle spiskowanie i nieustanną walkę. Naszym zadaniem jako twojej rodziny jest zapewnić ci ostateczne zwycięstwo.

Dostrzegł ją w mroku puszczy i wyszeptanej imię — Wleluzyna... — a ona na jego wezwanie wynurzyła się z wody, tak że mógł się przekonać na własne oczy, iż od pasa w górę jest niewiastą cudnej urody, od pasa w dół zaś — istotą pokrytą rybimi łuskami 'Przyrzekła mu, że przyjdzie do niego i zostanie jego żoną, przyrzekła, że będzie z nią szczęśliwy jakże śmiertelniczka, przyrzekła, że dla niego poskromi swą dziką naturę, okiełzna przyptływy temperamentu, stanie się jak zwykła niewiasta, z której będzie mógł być dumny, pod warunkiem wszelako, iż pozwoli jej od czasu do czasu powracać do swej pierwotnej postaci i pierwotnego żywiołu. — wody, w której mogłaby zmyć z siebie trudy człowieczego życia i raz jeszcze, choćby na krótko, stać się wodną boginka. Wiedziała bowiem, że bycie niewiastą jakinne wywiera wpływ na serce, na stopy, na całe ciało i że będzie potrzebowała tych chwil samotnie spędzanych w wodzie i pod jej powierzchnią, kiedy drobne falki odbijają się będą w jej tuskpwatym ogonie. On zaś poprzysiągł, że da jej wszystko, pozwoli na wszystko, czego tylko zapragnie, jak często czynią zakochani na zabój mężczyźni. A ona uwierzyła mu wbrew własnej intuicji, jak często się zdarza zakochanym niewiastom.

Papa i bracia opuszczają Reading i wyjeżdżają nam na spotkanie, abym mogła przekroczyć bramy miasta w otoczeniu wszystkich swoich bliskich. Wzdłuż traktu wyległy tłumy gapiów i setki oczu patrzą chciwie, kiedy papa na mój widok zrywa nakrycie głowy, po czym zeskakuje z końskiego grzbietu i przykleka w pyle, aby uhonorować mnie jak królową.

— Wstań, ojcze! — proszę zaalarmowana tym przedstawieniem. Papa prostuje się wolno, lecz nie podnosi głowy. Zgięty w ukłonie mówi do mnie:

— Musisz przywyknąć do hołdów, wasza miłość.

Czekam z odpowiedzią, aż podejdzie wreszcie bliżej, cały w uśmiechach.

— Ojcze, nie musisz mi się kłaniać.

— Jesteś teraz królową Anglii, wasza miłość. Z wyjątkiem jednego człowieka każdy musi ci się kłaniać.

— Ale wciąż będziesz się do mnie zwracał po imieniu? — pytam zaniepokojona.

— Tylko wtedy, kiedy będziemy sami.

— I dasz mi swoje błogosławieństwo?

Jego ciepły uśmiech zapewnia mnie, że pod tym względem nic się nie zmieniło.

— Córkó, stanęło na tym, że musimy się bawić w królów i królowe. Jesteś świeżo poślubioną małżonką do niedawna najmniej prawdopodobnego moim zdaniem dziedzica tronu. W głowie nigdy mi nawet nie powstało, że wyjdiesz za króla. Jeszcze niedawno przez myśl by mi nie przeszło, że ten mężczyzna pokona swego rywala i włoży koronę na skronie. Na naszych oczach rodzi się nowy świat, tworzymy nową rodzinę królewską. Musimy być bardziej papiescy od papieża, jeśli chcemy, by nas szanowano i wierzono nam. Ja sam wciąż jeszcze nie wierzę...

Moi bracia jak na zawołanie zeskakują z siodeł, zrywają czapki z głów i jeden po drugim klękają w pyle na tracie. Spoglądam na pochylonego Antoniego, który zaledwie przed paroma dniami nazwał mnie ladaczną i kłamczucha.

— Nie mam nic przeciwko temu, abyś kłaniał mi się w pas i tarzał w kurzu — mówię do niego. — No, bracie, i kto teraz jest górą?

— Ty — odpowiada radośnie, wstając z kolan, by pocałować moją dłoń. Następnie pierwszy z powrotem dosiada swego wierzchowca. Przez ramię dodaje: — Gratuluję sukcesu.

Pozostali bracia także klębią się już wokół mnie i jeden przez drugiego składają dworne pocałunki na wierzchu mojej dłoni. Uśmie-

cham się do nich i czuję, że wszyscy jesteśmy na krawędzi wybuchu euforii.

— Kto by pomyślał? — kręci głową Jan. — Kto by śmiał o czymś takim choćby pomarzyć?

— Gdzie król? — przechodzę do rzeczy, kiedy wjeżdżamy przez otwarte bramy miasta. Na ulice wylegli mieszczanie, rzemieślnicy, czeladnicy; wszyscy wiwatują na moją cześć, wychwalając mą urodę, i stroją żarty z paradnego orszaku. Widzę, że Antoni czerwienieje, gdy gdzieś z boku rozlega się czyjaś sprośna uwaga, toteż uspokajającym gestem kładę mu dłoń na zaciśniętej pięści trzymającej się łąku siodła. — Sza! — napominam go cicho. — Ludzie będą szydzić. W końcu był to sekretny ślub, nie możemy temu zaprzeczyć. Jedyne co możemy, to znosić szyderstwa z podniesionym czołem, aż ścichną i odejdą w niepamięć. Nie przysłużysz się naszej sprawie, jeśli będziesz się płonił jak panienka i robił obrażone miny.

Natychmiast obleka twarz w swój najkoszmarniejszy grymas.

— Oto mój dworski uśmiech — mówi kącikiem wykrzywionych warg. — Nie rozstaję się z nim, gdy rozmawiam z Warwickiem i książętami krwi. Jak ci się podoba?

— Niezwykle szykowny — odpowiadam, z trudem pohamowując parsknięcie. — Dobry Boże... Sądziś, że uda nam się przez to przebrnąć?

— Owszem, i to śpiewająco — zapewnia mnie Antoni i dorzuca przestrozę: — Pod warunkiem że będziemy stać za sobą murem.

Wjeżdżamy na główną ulicę, gdzie z okien zwieszają się naprędcy przyszykowane proporce i haftowane obrazy świętych powyciągane ze skrzyń, aby mnie przywitać. Kierujemy się do opactwa i tam nareszcie, pośród dworzan i doradców, dostrzegam mojego Edwar-da odzianego w złotogłów, z narzuconą na ramiona purpurową peleryną i tego samego koloru czapką królewską. Nie sposób go przeoczyć, tak się wyróżnia wzrostem i urodą — jest najwyższy i najprzystojniejszy, jest niekwestionowanym królem Anglii. On także już mnie widzi, nasze spojrzenia się krzyżują i znów mam to wrażenie, że cały świat znika i jesteśmy tylko my: Edward i Elżbieta. Tak się cieszę, że go widzę, iż podnoszę rękę i macham doń jak mała dziewczynka, on zaś zamiast odczekać, aż zatrzymam wierzchowca,

zsiadę i podejść po czerwonym dywanie, wrywa się z ciasnego szeregu dworzan i biegnie do mnie, by pomóc mi zeskoczyć z siodła wprost w swoje ramiona.

Wokół rozlega się głośny okrzyk aprobaty zachwyconego tłumu i nie mniej wyraźna cisza skonsternowanych dworzan, którzy nie wiedzą, co myśleć o tak jawnym i pełnym namiętności złamaniu protokołu.

— Zono... — szepcze mi do ucha. — Na Boga, jakże się cieszę, że znów trzymam cię w objęciach!...

— Edwardzie — mówię — tak bardzo się o ciebie bałam!

! Nie daje mi powiedzieć nic więcej.

— Wygraliśmy. Odtąd już zawsze będziemy razem. Uczynię cię swoją królową, królową całej Anglii.

— A ja, Elżbieta, biorę ciebie Edwarda za mojego męża i ślubuję tobie chować wiarę małżeństwa świętego aż do mej śmierci, tako mi Bóg pomóż, Panna Maria i Wszyscy Święci — odpowiadam słowami starej przysięgi, po czym dodaję od siebie: — I uczynię cię szczęśliwym za dnia i w nocy.

— Gdzieś mam, co będziesz robiła w dzień! — rzecze na to Edward wulgarnie, a ja ukrywam twarz w zagłębieniu jego ramienia i śmieję się cicho.

Wciąż jeszcze nie poznałam jego matki, toteż Edward prowadzi mnie do niej przed wieczerzą. Nie było jej pośród witających mnie dworzan i możnych, co odebrałam jako pierwszy afront ze strony tej starszej niewiasty. Na domiar złego Edward zostawia mnie pod jej drzwiami samą, mówiąc:

— Życzyła sobie porozmawiać z tobą w cztery oczy.

— Czego powinnam się spodziewać? — pytam podenerwowana.

Edward pokazuje zęby w uśmiechu.

— Chyba się jej nie boisz? Co mogłaby ci zrobić?

— Właśnie to chciałabym wiedzieć, zanim tam wejść — odpowiadam rozgniewana, po czym wymijam go i przekraczam próg. Mam za sobą panią matkę i trzy moje siostry, które stanowią mój zaimprovizowany dwór, moje pierwsze dworki, i wszystkie wcho-

dzimy do komnaty gościnniej matki króla z równą chęcią jak czarownice prowadzone na własny proces po sabacie.

Księżna wdowa Yorku, Cecylia Neville, siedzi na wspaniałym krześle, do którego prowadzi ceremonialny dywan i nad którym rozpościera się iście królewski baldachim. Na sobie ma suknię wyszywaną szlachetnymi kamieniami u rąbka i na gorsecie, na głowie zaś ogromny kanciasty kornet, który mieni się niczym korona. Nie zadaje sobie trudu, aby wstać na mój widok. Doskonale, w końcu na razie jestem tylko żoną jej syna, a nie namaszczonej królową. Nie musi przede mną dygać. Znacznie gorsze jest to, że uważa mnie za stroniczkę Lancasterów i nieprzyjaciela swego syna. Kąt, pod jakim trzyma zwróconą do mnie lekko głowę, i chłód w jej oczach mówią aż nadto wyraźnie, że dla niej pozostałam plebejką. Jak gdyby ona mogła się poszczycić o wiele szlachetniejszą genealogią niż moja! Za krzesłem z wysokim oparciem stoją jej córki: Anna, Elżbieta i Małgorzatka, wszystkie ubrane skromnie, acz dystyngowanie, tak by nie przyćmić blasku rodzicielki. Najładniejsza z nich jest Małgorzatka — jasnowłosa i wysoka jak bracia. Tylko ona obdarza mnie, swą nową szwagierkę, nieśmiałym uśmiechem. Nikt nie wita mnie uściskiem ani nie całuje po macierzyńsku czy siostrzance mu w policzek, a w komnacie, zda się, panuje ziąb jak w środku zimy.

Kłaniam się nisko — lecz nie nazbyt nisko — księżnej Cecylii z szacunku dla rodzicielki mego małżonka i słyszę, jak pani matka dyga z szelestem sukni, najpewniej pokazując swój najelegantszy ukłon, po czym kątem oka widzę, jak podchodzi o krok do przodu i zamiera dumnie wyprostowana, z głową wysoko uniesioną, nieomal królowa, choć bez korony na skroniach.

— Nie będę udawać, że cieszy mnie ten sekretny ślub... — zaczyna opryskliwie księżna.

— Skromny — poprawia ją szybko moja pani matka.

Księżna Cecylia urywa w zdumieniu i unosząc idealny łuk brwi, pyta:

— Mówiłaś coś, milady?

— Ani moja córka, ani twój syn, pani, żadne z nich nie zapomniałoby się tak dalece, aby się pobierać w tajemnicy — rozwija

myśl pani matka, nagle pozwalając swemu burgundzkiemu akcentowi zabrzmieć wyraźniej. To sposób mówienia wyższych sfer całej Europy, lecz tylko nielicznym przychodzi naturalnie. Pani matka nie mogłaby celniej przypomnieć wszystkim obecnym, że jest córką hrabiego de Saint-Pol i wywodzi się z panującej rodziny Burgundii. Zwracała się po imieniu do poprzedniej królowej, którą wciąż nazywa „Margaret d'Anjou” z wielkim naciskiem na to „de” świadczące o jej prawdziwym tytule. Była księżną Bedfordu dzięki swojemu pierwszemu małżeństwu z Janem Lancasterem, ni mniej, ni więcej, tylko młodszym synem króla Henryka IV, i przewodziła dworowi Lancasterów, gdy siedząca przed nią teraz niewiasta mogła o sobie co najwyżej powiedzieć: „Jestem Cecylia Neville z zamku Raby w Durham”. — Zatem nie był to sekretny ślub. Znalazłam się na nim jako świadek, podobnie jak inne osoby. Po prostu jego królewska wysokość życzył sobie skromnej uroczystości.

— Milady, twoja córka jest wdową, i to o parę lat starszą od mojego syna — zauważa księżna, podejmując rękawicę.

— Trudno nazwać twego syna, pani, niedoświadczonym młokosem. Może się poszczycić niezliczonymi podbojami. Poza tym różnica, o której mówisz, to zaledwie pięć lat.

Z kręgu dam dworu otaczających księżną dochodzi syk wciąganego powietrza, a jej córki poruszają się niespokojnie. Najmłodsza Małgorzatka obdarza mnie współczującym spojrzeniem, jakby chciała mnie przygotować na upokorzenie, które bez wątpienia nadejdzie. Ja i moje siostry nie jesteśmy zdolne do najmniejszego ruchu, zupełnie jakbyśmy były tańczącymi czarownicami, na które ktoś rzucił nagłe zaklęcie. Tymczasem pani matka dopiero się rozgrzewa.

— Najważniejsze, że o obojgu wiadomo, iż są zdolni począć dziecko. Twój syn ma kilkoro bękartów, jak słyszałam, a chluba mojej córki jest dwóch uroczych, urodzonych z prawego łóża chłopców.

— W mojej rodzinie nigdy nie było z tym problemów — oświadcza księżna obronnym tonem. — Ja sama powiłam ośmiu synów.

Pani matka pochyła lekko głowę, a szarfa przyczepiona do jej kornetu nadyma się przy tym niczym żagiel, który złapał podmuch niewieściej dumy.

— W rzeczy samej — potwierdza. — Tyle że spośród tych ośmiu pozostało ci zaledwie trzech. To takie smutne... Mnie szczęście dopisało bardziej, mogę się pochwalić siedmioma córkami i pięcioma synami. Pięcioma. Elżbieta wywodzi się z niezwykle żywotnego królewskiego rodu. Jestem pewna, że możemy liczyć na to, iż Pan Bóg pobłogosławi parę królewską przychówkiem.

— Mimo wszystko nie została wybrana przeze mnie ani przez hrabiego Warwick — upiera się księżna drżącym głosem. — Nie miałoby to znaczenia, gdyby Edward nie był królem. Byłabym przymknęła oko na tę fanaberię, gdyby był trzecim albo czwartym synem...

— Być może. Ale o czym my tu mówimy? Edward jest królem, a król to król. Bóg świadkiem, że stoczył wystarczająco dużo bitew, w których udowodnił swoje roszczenia do korony.

— W każdej chwili mogę go pozbawić tej korony! — Księżna wyrzuca z siebie słowa pośpiesznie, emocje biorą nad nią górę, policzki okrywa jej szkarłat. — W każdej chwili mogę się go wyrzec, mogę zaprzeczyć jego prawu do tronu i osadzić na nim Jerzego. Jak by ci się to podobało, milady? Jak by ci się podobał taki skutek tego twojego skromnego wesela?

Dworki księżnej bledną jak na zawołanie, jej córki cofają się o krok z dłońmi przyciśniętymi do ust i tylko Małgorzatka, która darzy swego najstarszego brata wielką miłością, odważa się syknąć: — Matko! — lecz na więcej nawet jej nie stać. Edward nigdy nie był ulubieńcem Cecylii. Edmund, jej ukochany Edmund zginął wraz z ojcem pod Wakefield, a przebrzydli zwolennicy Lancasterów zatknęli ich odcięte głowy na murach Yorku. Drugi w kolejności Jerzy zajął jego miejsce w sercu matki, stał się ulubieńcem całej rodziny i dworu. Najmłodszy Ryszard to ciemnowłosy wyrzutek, najsłabszy w miocie. Mimo wszystko to niesłychane, że Cecylia mówi na głos o odsunięciu jednego syna i postawieniu w jego miejsce drugiego, wbrew prawu starszeństwa.

— Niby jak? — żąda odpowiedzi pani matka, czując, że księżna uciekła się do blefu. — Niby jak chciałabyś doprowadzić do upadku swego pierwszego syna?

— Gdyby nie był dzieckiem mego męża...

— Matko! — piskliwie krzyczy Małgorzatka.

— Doprawdy? — pyta pani matka, a jej głos zdaje się równie słodki jak trucizna. — Nazwałabyś własnego syna bękartem? Nazwałabyś siebie samą ladacznicą? Z czystej złośliwości, po to by pozbawić nas splendoru, zrujnowałabyś swą reputację i przyprawiła rogi nieboszczykowi małżonkowi? Kiedy przyczepiali jego głowę do murów Yorku, ozdobili ją koroną z żelaza. To nic w porównaniu z przyprawieniem mu rogów tyle lat po śmierci! Zniesła-wiłabyś własne imię? Zohydziłabyś męża bardziej, niż uczynił to wróg?

> Pośród niewiast rozlega się pisk, kiedy Małgorzatka się zatacza, jakby zaraz miała zemdleć i upaść jak długa. Ja i moje siostry zmieniłyśmy się już w syreny z rybimi ogonami, przestałyśmy wszystkie być sobą — wybałuszamy oczy, patrząc to na panią matkę, to na księżną, które zachowują się jak para osiłeków toczących walkę na topory ku uciecze gawiedzi, tyle że ich orężem są nie dające się pomieścić w głowie słowa.

— Znalazłoby się wielu takich, co by mi uwierzyli — zastrzega księżna.

— Tym gorzej dla ciebie — stwierdza pani matka gładko. — Pogłoski o tym, kto spłodził twego pierwородnego syna, dotarły aż do Anglii. Pamiętam, że broniłam twojego dobrego imienia, mówiąc, że dama tak wysokiego rodu nigdy by się nie zniżyła do tego stopnia. Ale słyszałam, wszyscyśmy tutaj słyszeli, że był jakiś łucznik, na którego wołali... jakże go wołali... — Udaje, że wyleciało jej to z głowy, i przykładą dłoń do czoła, jakby musiała sobie dopiero przypomnieć. — A, już mam. Blaybourne. Łucznik Blaybourne, z którym rzekomo połączył cię ognisty romans, pani. Mimo to ja uważałam... a królowa Małgorzata była tego samego zdania co ja... otóż uważałam i mówiłam głośno, że dama tego pokroju co ty nigdy by nie zległa z plebejuszem i nie podrzuciła bękarta do księżęcej kołyski.

Rzucone znienacka nazwisko upada na posadzkę komnaty niczym kula armatnia. Nieomal słychać, jak toczy się po podłodze i w końcu zamiera bez ruchu. Pani matka jak zwykle nie zawaha się przed niczym.

— A zresztą, jeśli ci się uda przy pomocy panów rady strącić z tronu króla Edwarda, jaką możesz mieć gwarancję, że ktokolwiek poprze Jerzego? Zaufasz swemu najmłodszemu, Ryszardowi, że nie zechce spróbować własnych sił w przepychance po koronę? Wierzysz, że hrabia Warwick, twój wielki przyjaciel, nie zapragnie władzy tylko dla siebie? Czemu nie mieliby waśnić się między sobą, tworzyć nowych koalicji, dzielić znów kraju, nastawiać brata przeciwko bratu, niszczyć pokoju, który twój syn zaprowadził w królestwie i pomiędzy skłóconymi rodami? Naprawdę zaryzykowałybyś tak wiele z niepohamowanej czystej złośliwości? Wszem wobec wiadomo, że Yorkowie są chorzy z ambicji, ale czy lud zdoła patrzeć spokojnie, jak wyrzynacie się nawzajem na podobieństwo kotów, które ze strachu zjadają własne młode?

Tego już za wiele dla uszu księżnej Cecylii. Królewska matka wyciąga rękę, jakby błagała, żeby skończył się ten strumień oskarżeń.

— Nie, nie, wystarczy...

— Przybywam jako twoja przyjaciółka — dodaje prędko pani matka, podstępna niczym wąż, śliska niczym rzeczny węgorz. — Nieroztropne słowa skierowane przeciwko królowi nie wyjdą poza ściany tej komnaty. Ani ja, ani moje córki nigdy byśmy nie powtórzyły podobnie skandalicznych, zdradzieckich pomówień. Puścimy w niepamięć to, co tutaj usłyszałyśmy. Ale jest mi prawdziwie przykro, że coś takiego w ogóle przemknęło ci przez głowę, pani. Zdumiewa mnie zaś, że ważyłaś się coś podobnego powiedzieć...

— Wystarczy — powtarza księżna. — Chciałam po prostu dać do zrozumienia, że to nieprzemyślane małżeństwo nie zyskało mojego poklasku. Aczkolwiek nie mam wyjścia, muszę je zaakceptować. Pokazałaś mi to wyraźnie. Bez względu na to jak bardzo uraża moją dumę, jak bardzo umniejsza zasługi i pozycję naszego rodu, muszę się pogodzić z faktami — wzdycha — i nieść swój krzyż.

— Król powziął decyzję, a naszym obowiązkiem jest okazywać mu we wszystkim posłuszeństwo. — Pani matka kuje żelazo póki gorące. — Twój syn sam wybrał sobie żonę, która zostanie królową Anglii oraz najpierwszą... bez żadnych wyjątków... damą w króle-

stwie. I niech nikt nie śmie wątpić, iż moja córka będzie najwspanialszą i najpiękniejszą królową, jaką nosiła ta ziemia.

Księżna Cecylia, której uroda była słynna w czasach, gdy zwano ją Różą zamku Raby, po raz pierwszy spogląda wprost na mnie i niechętnie przyznaje:

— Zaiste...

Dygam przed nią ponownie.

— Czy mogę mówić do ciebie „matko”? — pytam radośnie.

Ledwie skończyła się przeprawa z matką Edwarda, zaczynam się przygotowywać do przedstawienia mnie całemu dworowi. Stroje, które Antoni zamówił u londyńskich krawców, zostały wykonane na czas, toteż mam do wyboru nowiuteńką suknię w jasnopopielatym kolorze wykończoną perłami. Ma spory dekolot i gorset wyszywany perełkami miejsce koło miejsca oraz długie, powiewne jedwabne rękawy. Wkładam do niej swój najwyższy stożkowy kornet udekorowany popielatą szarfą. Ubiór ten jest zarazem przepysznie bogaty i urzekająco skromny, tak że kiedy pani matka wchodzi do mojej komnaty, aby sprawdzić, czy jestem gotowa, w mimowolnym odruchu ujmuje mnie za ręce i wyciska serdeczny pocałunek na obu policzkach.

— Wyglądasz przepięknie — mówi. — Nikt nie zwątpi, że to była miłość od pierwszego wejrzenia, zupełnie jak w balladach nunczonych przez trubadurów. Niech Bóg ma was w swojej opiece, moje dzieci.

— Czy czekają już na mnie? — pytam trwożliwie.

Pani matka ruchem głowy wskazuje drzwi prowadzące do mojej komnaty gościnniej.

— Wszyscy tam są: hrabia Warwick i książę Clarence, i co najmniej pół tuzina innych panów.

Biorę głęboki oddech, poprawiam dłonią kornet, by leżał prosto, i kiwam na służkę, która otwiera na rozcież podwójne odrzwia. Unoszę wysoko głowę jak prawdziwa królowa i przestępuję przez próg.

Hrabia Warwick, odziany cały na czarno, stoi nieopodal kominika — potężnej budowy mężczyzna pod czterdziestkę, z ramionami

szerokimi jak u zbira i surowym wyrazem twarzy nawet z profilu, kiedy wpatrzony jest w płomień. Na dźwięk otwieranych drzwi obraca się i obdarza mnie przeciągłym spojrzeniem, marszcząc brwi, a następnie przyobleka twarz w uśmiech.

— Wasza miłość... — odzywa się i kłania nisko.

Dygam przed nim, lecz nie uchodzi mej uwagi, że uśmiech, który dla mnie znalazł, nie sięga jego oczu. Z pewnością liczył, że Edward pozostanie mu powolny znacznie dłużej. Złożył już obietnicę królowi Francji, że poda mu jak na tacy świeżutkiego zięcia. Tymczasem z mojego powodu jego plany wzięły w łeb, nic nie poszło tak, jak sobie zamierzył, a ludzie już zaczynają szemrać, czy aby na pewno wciąż ma jakąś władzę czy też odtąd król Edward będzie podejmował decyzje samodzielnie.

Ukochany brat króla, Jerzy, stoi tuż obok niego i wygląda jak prawdziwy książę z rodu Yorków — płowowłosa, zawsze mający na podorędziu uśmiech i prezentujący się nader wdzięcznie, nawet gdy trwa bez ruchu — a zarazem jak idealna, tyle że delikatniejsza w konturach kopia mojego małżonka. Skłania się z gracją italskiego tancerza i poraża bielą odsłoniętych w uśmiechu zębów.

— Wasza miłość... — wita mnie. — Siostrze. Przyjm moje gratulacje na okoliczność tego niespodzianego małżeństwa i życzenia wszystkiego dobrego na dalszej drodze życia... — Podaję mu rękę, a on przyciąga mnie bliżej i całuje kordialnie w oba policzki. — Z głębi serca życzę ci wiele radości. Mój brat to szczęściarz, lecz i mnie się poszczęściło, że mogę cię nazywać swoją siostrą.

Znowu zwracam uwagę na hrabiego Warwick.

— Milordzie, wiem, że mój pan i małżonek wielce ci ufa jako przyjacielowi, a nawet bratu — mówię. — Jestem zaszczycona, mogąc cię poznać.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odpowiada lakonicznie. — Jesteś gotowa?

Zerkam za siebie; pani matka i moje siostry uformowały już mały orszak, który podąży za mną.

— Jesteśmy gotowe — potwierdzam i z księciem Clarence u jednego boku oraz hrabią Warwick u drugiego zmierzam wolno z komnaty do komnaty, z wielkiej sali do drzwi frontowych, a stam-

tań prostą do kaplicy opactwa. Ciężba ludzka rozstępuje się przed nami niczym wody Morza Czerwonego przed Mojżeszem.

Moje pierwsze wrażenie jest takie, że każdy, kogo kojarzę z dworem królewskim, znalazł się tutaj odziany w swoje najlepsze szaty, aby uhonorować mnie i ten dzień, lecz zaraz spostrzegam, że widzę również wiele nowych twarzy, które pojawiły się w Londynie wraz z nadejściem panowania Yorków. W pierwszych ławkach siedzą najznacniejsi lordowie królestwa z ramionami okrytymi pelerynami podbijanymi gronostajem, dalsze miejsca zajmuje arystokracja ze złotymi łańcuchami różnorakich urzędów na szyi i kosztownymi klejnotami zdobiącymi stroje. Są też rajcy miejscy z Londynu, pomiędzy nimi sam burmistrz, są ojcowie malutkiego Reading wyciągający szyję, aby coś dostrzec pośród pstrokatych czapek z piórkami, są członkowie gildii, są wreszcie szlachcice z całej Anglii. To wydarzenie wielkiej wagi; kto mógł sobie pozwolić na sprawienie nowego dubletu i pożyczanie konia, ten przybył, aby na własne oczy zobaczyć, czy to prawda, co powiadają o nowej gorszącej królowej. Muszę stawić czoło im wszystkim, osaczona przez wrogów, pożerana wzrokiem przez setki nienasyconych oczu, poczynając od obutych w prunelki stóp, a kończąc na zwieńczonej wysokim kornetem głowie i przezroczystym welonie. Czuję, jak spojrzenia moich rodaków błędzą po moim ciele, odnotowując liczbę pereł, elegancki krój sukni, doskonałość muślinu zakrywającego dekolt i ramiona, a zarazem podkreślającego idealną biel mojej cery. Z wolna, jakby powiała najdelikatniejsza bryza sięgająca czubków drzew, kolejno zdejmują nakrycia z głów i kłaniają mi się w pas, a ja zaczynam pojmować, że uznają mnie za swoją królową, za królową w miejsce Małgorzaty Andegaweńskiej, za królową Anglii, za najpierwszą niewiastę w królestwie — i że nigdy nic już nie będzie dla mnie takie samo. Rozdaję uśmiechy na prawo i lewo, odbierając błogosławieństwa i chłonąc szmer podziwu, lecz równocześnie bezwiednie zaciskam palce na ramieniu Warwicka, a on patrzy w dół i uśmiecha się szeroko, jakby cieszył go mój strach, po czym odzywa się cichym głosem:

— To naturalne, że czujesz się przytłoczona, wasza miłość...

A jakże, naturalne dla plebejki, wszelako nie dla księżniczki, którą nie jestem. Nie wiedząc, co mogłabym zrobić innego, odwzajemniam uśmiech, ani myśląc się bronić, nie znajdując żadnych słów.

Nocą w łożu, kiedyśmy zakończyli miłosne zmagania, mówię do Edwarda:

— Nie lubię Warwicka.

— Uczynił mnie tym, kim jestem — odpowiada bez ogródek.

— Musisz go polubić przez wzgląd na mnie.

— A Jerzego? A Williama Hastingsa?

Przewraca się na bok i szczyrzy do mnie.

— To moi druhowie i towarzysze broni — rzecze. — Można powiedzieć, że wysłaś za całą armię w stanie wojny. W taki czas nie wybiera się dowolnie przyjaciół, nie zawiązuje sojuszy wedle własnego widzimisię. Przychodzi cieszyć się z tego, co się ma. Pokochaj ich wszystkich, moja miła, tak jak kochasz mnie.

Kiwam głową, jak na posłuszną żonę przystało. W duchu jednak potrafię odróżnić przyjaciela od wroga.

MAJ 1465 ROKU



Edward postanawia, że moja koronacja ma przyćmić wszelkie poprzednie takie wydarzenia. Nie chodzi tylko o pusty gest.

— Uczynimy cię w ten sposób niekwestionowaną królową. Każdy lord ugnie przed tobą kolano, a moja matka... — urywa i krzywi się lekko. — Moja matka złoży ci w trakcie uroczystości hołd. Wtedy nikt nie będzie mógł zaprzeczyć, że jesteś moją żoną i królową. Zamknę usta tym, którzy uważają, że nasze małżeństwo nie ma mocy.

— Kto tak uważa? — domagam się odpowiedzi. — Kto śmie tak uważać?

Król uśmiecha się do mnie po chłopięcemu.

— Mam ci podać ich nazwiska, żebyś mogła pozamieniać wszystkich w żaby? Nieważne, kto paple przeciwko nam. To bez znaczenia, póki rozlegają się tylko szepty po kątach. Twoja szumna koronacja będzie także świadczyła o mojej sile. Każdy zobaczy, że prawdziwy król to ja, a nieszczęsny Henryk zebrze gdzieś w Kumbrii, podczas gdy jego małżonka ukrywa się na dworze swego ojca w Andegawenii.

— Szumna? — powtarzam za nim, nie do końca ciesząc się na tę perspektywę.

— Będiesz się uginać pod ciężarem klejnotów — zapewnia mnie Edward.

W istocie uroczystość jest jeszcze wspanialsza, niż obiecywał, niż ja potrafiłam sobie wyobrazić. Do stolicy wjeżdżam przez most Lon-

dyński, lecz stary zakurzony trakt zostaje odmieniony za sprawą dziesiątek wozów pełnych skrzącego się piasku, który wysypany na drogę sprawia, że przypomina ona raczej królewskie szranki do pojedynków rycerskich. Po drugiej stronie witają mnie mimowie poprzebierani za anioły, przystrojeni w pawie pióra, z przyczepionymi skrzydłami porażającymi oczy tysiącem odcieni błękitu, turkusów i indygo. Dalej grupa aktorów tworzy żywy obraz Najświętszej Pani i Wszystkich Świętych, napominający mnie, abym była tyleż cnotliwa co płodna. Ludowi zdają się królową wskazaną ręką samego Pana Boga. Rozlega się śpiew chórów, sypią się płatki białych róż. Nawet ja jestem symbolem — Angielka z rodu sprzyjającego Lancasterom, która zasiada na angielskim tronie wywalczonym przez Yorków — a symbolizuję pokój i jedność.

Noc poprzedzającą koronację spędzam w Tower, w królewskich apartamentach, które zostały urządzone od nowa specjalnie dla mnie. Nie czuję się tu dobrze; wzdygam się mimowolnie, kiedy niesiona w lektyce przekraczam bramy twierdzy, mając nad głową podciągniętą żelazną kratę. Jadący u mego boku Antoni spogląda na mnie niespokojnie.

— Co się dzieje? — pyta szeptem.

— Nie cierpię Tower, pachnie tu zgnilizną.

— Wybrednaś — stwierdza krótko. — Już się rozbestwiła, wystarczyło, że król dał ci na własność pałace w Greenwich i Sheen.

— Nie o to chodzi... — odpowiadam wolno, usiłując nadać imię swoim strachom. — Wydaje mi się, że otaczają mnie duchy. Czy moi synowie również będą tu nocowali?

— Tak — potwierdza Antoni. — Cała nasza rodzina zajmie królewskie apartamenty.

Krzywię się, czując potęgający się niepokój.

— Nie podoba mi się, że chłopcy tutaj są. To miejsce przynosi pecha...

Antoni zeskakuje z siodła i pomaga mi wysiąść z lektyki.

— Uśmiechnij się — szepcze.

Dowódca Tower już czeka z przyszykowanymi kluczami do twierdzy; to nie czas na widzenia ani wspominki na temat straconych tu książąt.

— Miłościwa pani, witaj — mówi do mnie, a ja ujmuję ramię Antoniego i uśmiecham się, jak mi kazano, słysząc, że tłum wokół wstrzymuje oddech z zachwytem, po czym tu i ówdzie rozlegają się okrzyki wysławiające moją nieprzeciętną urodę.

— To nic specjalnego — powiada na to Antoni zniżonym głosem, tak że tylko ja go słyszę. — Musielibyście zobaczyć choćby naszą matkę... — Pochylam głowę, aby ukryć chichot.

Nazajutrz odbywa się moja koronacja w kolegiacie Świętego Piotra w Westminsterze. Dla królewskiego herolda, wykrzykującego miana książąt, księżnych i hrabiów, oznacza to spory wysiłek przy wylczeniu wszystkich najznacześniejszych i najszlachetniejszych rodów Anglii i chrześcijaństwa. Dla pani matki, trzymającej mój tren razem z siostrami króla, Elżbietą i Małgorzatka, oznacza to upragniony tryumf. Dla Antoniego, człowieka obeznanego z szerokim światem, a zarazem ceniącego nade wszystko spokój zacisza domowego, oznacza to zamieszanie na podobieństwo tego panującego na statku głupców, od którego najchętniej trzymałby się z daleka. Dla Edwarda zaś oznacza to potwierdzenie jego bogactwa i władzy w kraju spragnionym rodziny królewskiej z prawdziwego zdarzenia, przytłaczającej zamożnością i potęgą. Dla mnie wreszcie oznacza to ciąg wymuszonych ceremoniałem kroków, wzmagających tylko mój niepokój, gdy muszę pamiętać o tym, by iść w określonym tempie, by zzuć pantofelki przed wstąpieniem na altembasowy dywan, by we właściwej kolejności przyjąć berło i jabłko, by podać pierś do nasmarowania świętymi olejami, by utrzymać ciężar złotej korony na głowie.

Mszę celebryje trzech arcybiskupów, w tym Tomasz Bouchier, uroczystość uświetnia opat i kilka setek duchownych, a równy tysiąc chórzystów wyśpiewuje pieśni pochwalne na moją cześć i wzywa Bożego błogosławieństwa. Otaczają mnie krewniaczki; jak się okazuje, mam ich bez liku. Na ich czele stoją krewnie króla, za nimi moje siostry i szwagierka, baronowa Scales, dalej angielskie kuzynki i burgundzkie kuzynki, a także niewiasty, których powinowactwo bądź pokrewieństwo z nami dostrzega tylko pani matka, wreszcie każda młoda i niebrzydka dziewczyna, która miała szczęście kiedyś

mnie poznać. Wszyscy chcą być na mojej koronacji; wszystkie łakną miejsca na moim dworze.

Zgodnie z tradycją, Edwarda nie ma obok mnie. Razem z moimi synami przygląda się uroczystości z za przepierzenia, tak że nawet go nie widzę i nie mogę czerpać otuchy z jego uśmiechu. Muszę przez to przebrnąć całkiem sama, pilnie obserwowana przez niezliczone pary oczu. Nic wszakże nie jest w stanie zepsuć tego wyjątkowego dnia, w którym ze szlachcianki przeistaczam się w królową Anglii, ze śmiertelniczki w pomazańca Bożego. Kiedy wkładają mi koronę i namaszczają krzyżmem, staję się nowym bytem, wybranką niebios wywyższoną ponad wszystkich ludzi, tylko o jeden stopień poniżej aniołów. Wyczekuję drżenia na myśl, że to Pan Bóg wyznaczył mnie na królową, ale czuję wyłącznie ulgę, że długa i męcząca ceremonia dobiega końca i że zaraz się zacznie wystawna uczta.

Biesiadników jest paręnaście setek, a każde danie składa się z co najmniej dwudziestu potraw. Do jedzenia muszę zdejmować koronę, którą wkładam ponownie na głowę w przerwach między kolejnymi częściami uczty. To zupełnie jak trwający w nieskończoność taniec, gdy najważniejsze jest nie zgubić kroku. Aby ochronić mnie przed ciekawskimi spojrzeniami, hrabina Shrewsbury i hrabina Kentu klękają po obu moich stronach i unoszą welon, kiedy jem. Kosztuję każdego dania przez uprzejmość, ale prawie nic nie przełykam. Korona uciska mi skronie i głowa pulsuje od bólu. Wiem, że osiągnęłam sam szczyt, lecz tęskno mi jedynie do męża i łoża.

W ciągu wieczoru jest taki moment, chyba tuż przed podaniem na stół dziesiątego dania, kiedy myślę w duchu, że to wszystko było jednym wielkim błędem, że byłabym szczęśliwsza w domu w Grafton, nie mierząc tak wysoko i nie zostając królową. Wszelako są to próżne żale. Mimo że z powodu zmęczenia nawet najwyśmienitsze potrawy smakują w moich ustach jak siano, nieustannie się uśmiecham i raz po raz wkładam na powrót ciężką koronę, posyłając rarytasy faworytom króla.

Pierwsza pyszność trafia do jego braci: złotowłosego Jerzego księcia Clarence i zaledwie dwunastoletniego Ryszarda księcia Gloucester, który popatruje na mnie nieśmiało i skłania w podzięce głowę, kiedy stawiają przed nim duszonego pawia. Najmłodszy

z Yorków różni się od braci tak bardzo, jak to tylko możliwe — jest ciemnowłosy, zamknięty w sobie i niewysoki oraz nie tak dobrze zbudowany, podczas gdy Edward i Jerzy przytłaczają każdego postawą i dumnym zachowaniem. Z miejsca zapałałam do niego sympatią i sądzę, że będzie dobrym towarzyszem zabaw dla moich dwóch chłopców, którzy są tylko nieco młodszy od niego.

Gdy uczta dobiega końca, pozwalam się odprowadzić do swych komnat dziesiątkom arystokratów i setkom duchownych, trzymając głowę wysoko, jak gdybym nie czuła się skonana i onieśmielona. Zdaję sobie sprawę, że dziś doznałam wywyższenia, że ze zwykłej śmiertelniczki zamieniłam się w istotę półboską, w boginię na podobieństwo mojej przodkini — Meluzyny, która z kolei narodziła się boginką, a zmarła jako niewiasta. Musiała twardo się targować z ludźmi i wiele poświęcić, aby przejść z jednego świata do drugiego. Utraciła wolność, którą dysponowała w swoim żywiole, wodzie, aby zyskać stopy i nogi i móc się poruszać na łądzie u boku swego małżonka. Nie mogę się nie zastanowić, co też mnie przyjdzie utracić, by zachować koronę.

Układają mnie w łóżu po Małgorzacie Andegaweńskiej w ogromnej królewskiej komnacie sypialnej, gdzie czekam — okryta złotogłowiec po czubek nosa — aż Edward będzie mógł zakończyć ucztowanie i do mnie dołączyć. W drodze na spoczynek towarzyszą mu druhowie i słudzy, którzy rozdzielają go do nocnego stroju. Król dostrzega moje rozszerzone ze zdziwienia oczy i śmiejąc się, wygania ich wszystkich za drzwi.

— Jesteśmy parą królewską, Elżbieto — mówi. — Z tym wiąże się podobnie uciążliwe ceremoniały.

Wyciągam do niego ramiona.

— Wszystko zniosę, pod warunkiem że to wciąż ty, nawet pod ciężką koroną.

Zrzuca z siebie długą koszulę i zbliża się całkiem nagi, z szerokimi barkami i gładką skórą, z poruszającymi się przy każdym kroku mięśniami na udach i brzuchu.

— To wciąż ja i jestem cały twój — odpowiada, wślizgując się pod przykrycie. Z tą chwilą zapominam, że jesteśmy królem i królową, i potrafię myśleć tylko o jego dotyku i swoim pożądaniu.

Nazajutrz odbywa się wielki turniej. Lordowie stają w szranki w przepięknych kostiumach, a ich potyczkom towarzyszą recytacje poezji. Moi synowie siedzą w królewskiej łoży razem ze mną, z otwartymi z zachwytu buziami chłonąc widok sztandarów i tłumów, nie mogąc się nadziwić wspaniałości pierwszego w ich życiu prawdziwego turnieju rycerskiego. Moje siostry i Elżbieta, baronowa Scales, również dotrzymują mi towarzystwa. To początek dworu samych piękności; ludzie już przebakują o elegancji i szyku niespotykanych wcześniej w Anglii.

Kuzynowie z Burgundii walczą dzielnie, zakuci w szlachetną stal i mający w zanadru wiersze o nieskazitelnym metrum. Wszystkich jednak bije na głowę Antoni, na którego punkcie dwór dosłownie oszalał. Mój brat dosiada imponujących rozmiarów wierzchowca, porusza się z gracją i z dumą trzyma na sercu moją szarfę, bez trudu łańcąc kopie tuzina uczestników turnieju. Nikt nie dorównuje mu też w poezji. Tworzy romantyczne strofy układane w stylu zrodzonym na południu Europy, opowiada w nich o radości zabarwionej odrobiną smutku, o ludziach, których stać na uśmiech pomimo dotykającej ich tragedii, o miłości skazanej na niepowodzenie, o nadziejach każących mężczyźnie przebyć pustynię, a niewieście morze. Nie dziwota, że każda dworka natychmiast traci dla niego głowę. Antoni uśmiecha się, zbiera kwiaty, które padają na ubitą arenę, kłania się z dłonią na sercu, lecz nie prosi żadnej z dam o szarfę.

— Znałem go, kiedy był tylko moim wujem — oznajmia Tomasz.

— Antoni został rycerzem dnia — mówię do papy, który właśnie wszedł do łoży królewskiej, aby ucałować moją dłoń.

— Ciekawe, co o tym sądzi — stwierdza kwaśno. — Za moich czasów po prostu zabijało się przeciwnika, a nie układało o tym wiersze.

Żona Antoniego wybucha śmiechem.

— Tak to się chyba robi w Burgundii.

— Nastały spokojniejsze czasy — przekonuję papę, nie mogąc powstrzymać uśmiechu na widok jego zdumionej miny.

Jednakowoż zwycięstwo w turnieju przypada Thomasowi Stanleyowi, nad wyraz przystojnemu mężczyźnie. Unosi przyłbicę i zmierza po trofeum, szczęśliwy z wygranej. Z powiewającej mu nad głową chorągwi dumnie krzyczy motto rodu Stanleyów: *sans changer*.

— Co to znaczy? — pyta Ryszard starszego brata.

— Niezmienny — odpowiada Tomasz. — Byłbyś to wiedział, gdybyś pilniej się uczył, zamiast tracić czas.

— Zaiste niezmienny? — pytam lorda Stanleya.

Patrzy na mnie — córę rodu, który nie mógł się bardziej zmienić, porzucając jednego króla i wspierając drugiego, niewiastę, która właśnie przestała być wdową i została królową Anglii — i z ukłonem odpowiada:

— Zaiste. Trzymam stronę Boga, mojego króla i swoją, w teje kolejności.

Uśmiecham się tylko. Nie ma sensu pytać go, skąd wie, jaka jest wola Najwyższego, który król jest prawowity i czyjego własne żądania na pewno są usprawiedliwione. Takie pytania są dobre w czas pokoju, a Anglia nazbyt długo pozostaje w stanie wojny, kiedy wszystko zdaje się proste.

— Wspaniale sobie poradziłeś w szrankach — chwale.

Obdarza mnie miłym uśmiechem.

— Ponieważ dopisało mi szczęście i nie musiałem walczyć z twym bratem Antonim. To dla mnie zaszczyt odbyć pojedynek przed tobą, miłościwa pani.

Wychylam się z łoża i podaję mu trofeum — olśniewający pierścień z rubinem, który wszakże okazuje się za mały na jego mocarną dłoń.

— Będziesz zatem musiał się ożenić z jakąś filigranową niewiastą — droczę się z nim. — Najlepiej z kimś cnotliwym i niełasym na klejnoty.

— Najpiękniejsza dama w królestwie jest już mężatką i nosi koronę... — skłania się dwornie. — Jakże my, którzyśmy musieli obejść się smakiem, zdzierżymy swoje nieszczęście?

Wybucham śmiechem, rozpoznając w jego słowach echa wierszy Burgundczyków, którzy uczynili z flirtu sztukę samą w sobie.

— Nie trać nadziei i nie ustawaj w wysiłkach — doradzam mu.
— Rycerz, który budzi taki respekt, z pewnością założy wspaniały nowy ród.

— Założę nowy ród, a ty, miłościwa pani, będziesz świadkiem, jak ponownie wygrywam — rzecz, na co ja z jakiegoś powodu czuję przebiegające mi po krzyżu ciarki.

Mam przed sobą mężczyznę groźnego nie tylko w szrankach. To człowiek, który sprawdzili by się także na polu bitwy, bez skrupułów dążąc do wyznaczonego sobie celu. Budzący respekt i grozę. Miejmy nadzieję, że pozostanie wierny swemu motto i nigdy nie przestanie być lojalny wobec nas, Yorków.

Kiedy boginką Meluzyna zakochała się w rycerzu, obiecał jej solennie, iż wychodząc za niego za mąż, nie będzie musiała rezygnować ze swej prawdziwej natury. Uradzili, że przyjmie niewieścią postać i zacznie żyć między ludźmi, lecz raz w miesiącu będzie jej wolno skryć się w swoich komnatach i zanurzyć w kąpieli, aby w tę jedną jedyną noc, tylko dwanaście razy w roku, powrócić do swej rybiej postaci. Jak postanowili, tak zrobili — i żyli w szczęściu przez długie lata. Albowiem rycerz kochał ją i wiedział, że niewiasta nie może przez cały czas zachowywać się tak jak by oczekiwał od niej mężczyzna.

Rozumiał, że jego żona nie będzie zawsze oddychać powietrzem tak jak on > chodzić po ziemi tak jak on ' myśleć tak jak on. Że jest od niego inna, gdzie indziej czująca się w swoim żywiole, słuchająca innych dźwięków, słyszająca co innego niż on. 'Nie miał nic przeciwko temu, by spędzała nieco czasu w samotności. Codzieli się z tym, by zanurzała się pod migocącą powierzchnią wody, poruszała zamiatając ogonem i oddychała przez skrzelą, zapominając o przyjemnościach i rozterkach ziemskiej żony — tylko na trochę, tylko raz w miesiącu. 'Dochowali się razem dzieci, które rosły zdrowo I zachwycały swoją urodą; oni zaś stawali się coraz zamożniejsi, a ich siedziba była znana na całą okolicę. "Krażyły słuchy o jego bogactwie i jej pięknie i zewsząd ściągali goście, aby zobaczyć wspaniały zamek pana na włościach i cudną tajemniczą małżonkę.

Tuż po koronacji przystępuję do umacniania pozycji rodziny; pani matka i ja stajemy się pierwszymi swatkami królestwa.

— Czy to nie wywoła fali nienawiści do nas? — pytam Edwarda.

— Pani matka przygotowała już listę kandydatów na mężów moich siostr.

— Tak trzeba — zapewnia mnie król. — Rozległy się skargi, że wywodzisz się z nie wiedzieć jakiego rodu. Musisz dodać mu splendoru, wydając swoje siostry za synów najznacześniejszych lordów.

— Ale nas jest wiele, mam tak liczne siostry... Może się okazać, że zajmiemy każdego liczącego się młodzieńca, pozostawiając niedostatek wolnych mężczyzn w wyższych sferach.

Edward zbywa moje obawy wzruszeniem ramion.

— Zbyt długo Anglia była podzielona na ziemie Yorków i Lancasterów. Spraw, aby powstał nowy wspaniały ród, który wesprze mnie, gdy Yorkowie osłabną albo Lancasterowie znów wzrosną w siłę. Oboje musimy się związać silniej z arystokracją, Elżbieto. Daj swej matce wolną rękę, gdyż Bóg świadkiem, że potrzeba nam sprzymierzeńców w każdym hrabstwie. Nadam tytuły szlacheckie twoim braciom i synom po Greyu, dzięki siostrom będziesz miała możnych szwagrów. Coś takiego zarówno doda ci splendoru, jak i siły.

Biorę go za słowo i natychmiast udaję się do pani matki, która zajmuje miejsce za stołem w mojej komnacie, obłożona drzewami genealogicznymi, kontraktami małżeńskimi i mapami, zupełnie jakby była dowódcą szykującym się do walnej bitwy.

— Widzę, że stałaś się boginią miłości — zauważam.

Podnosi na mnie wzrok, nie wypogadzając zafrasowanego czoła.

— To nie kwestia miłości, tylko interesów — odpowiada.

— Musisz zadbać o swoją rodzinę, Elżbieto, a najlepszym sposobem jest wydanie siostr za możnych lordów i pożenienie braci z bogatymi dziedziczkami. Twoim zadaniem jest wywieść genealogię naszą i naszych potomków. Jako królowa będziesz musiała bacznie pilnować arystokracji Anglii: aby żaden z lordów nie wzrósł zbyt w siłę i aby żadna dama nie upadła zbyt nisko. Wiem, o czym mówię; moje małżeństwo z twoim ojcem wymagało specjalnej aprobaty, przeprosin króla i uiszczenia kary.

— Myślałam, że stoisz więc raczej po stronie wolnego wyboru i miłości.

Pani matka śmieje się krótko.

— Kiedy w grę wchodzi moje małżeństwo i moje szczęście, tak. Kiedy rozchodzi się o twoje panowanie i twój dwór, nie.

— Z pewnością bardzo żałujesz, że Antoni już ma żonę, bo mogłabyś dlań znaleźć znacznie lepszą partię.

Dumna Jakobina Luksemburska marszczy brew.

— Żałuję tego, że jest bezpłodna i słabego zdrowia — rzecz bez ogródek. — Oczywiście możesz ją zatrzymać przy sobie na dworze jako jedną z panien dworskich, w końcu pochodzi z nie byle jakiego rodu, ale boli mnie, że nie da Antoniemu synów, a nam następców.

— Dochowasz się paru tuzinów wnucząt — przewiduję, zaglądając jej przez ramię i patrząc na sprokurowaną długą listę nazwisk połączonych strzałkami z imionami moich braci i siostr.

— A pewnie — odpowiada z zadowoleniem. — I żaden z moich wnuków nie będzie nosił tytułu niższego niż hrabiowski.

Nadchodzi miesiąc ślubów. Każda z moich sióstr wychodzi za możnowładcę, z wyjątkiem Katarzyny, dla której postarałam się lepiej, zaręczając ją z księciem. Ów na razie jest zaledwie naburmuszonym dziesięciolatkiem, a nosi miano Henry'ego Stafforda księcia Buckinghamu. Hrabia Warwick ostrzył sobie na niego zęby, widząc go w roli męża swej córki Izabeli, lecz chłopiec, będąc pod opieką dworu królewskiego, odkąd osierocił go ojciec, pozostaje w mojej wyłącznej dyspozycji. Do skarbcza królowej co roku trafia oficjalnie pewna kwota za okazywanie mu troski, *ergo teraz* wolno mi z nim zrobić, co mi się podoba. Zwłaszcza że nie okazuje mi należytego szacunku, uważa, że wywodzi się z wielkiego rodu, i obnosi się ze swoją dumą — tym większą przyjemność sprawia mi przymuszenie tego niedorośłego pretendenta do tronu do ślubu z Katarzyną. Niestety ma ją — a także nas wszystkich, w tym mnie — za niegodną czyszczenia mu pantofli i mniema, że straszliwie się zniża, wżenając w Woodville'ów; rozpowiada swym małoletnim przyjacielom, że pewnego dnia wyrzuci na nas zemstę, że jeszcze będziemy przed nim drzeć, a ja pożałuję, że naraziłam go na podobną

zniewagę. Rzecz jasna śmieję się z tych pogróźek, Katarzyna zaś jest zachwycona z tytułu księżnej, choćby i za sprawą dziecięcego małżonka.

Dwudziestojednoletni Jan, szczęśliwie wciąż kawaler, zostanie ożeniony z ciotką Warwicka, wdową po księciu Norfolk. To policzek dla hrabiego i wielka, przewrotna radość dla mnie, zwłaszcza że księżna ma chyba ze sto lat i młody mąż dla niej to żart najokrutniejszy ze wszystkich. Ryszard Neville przekona się na własnej skórze, kto teraz rządzi w Anglii, a mój brat wkrótce stanie się wdowcem i wolnym mężczyzną, a przy tym człowiekiem niewyobrażalnie majątnym.

Dla swego syna Tomasza kupuję młodziutką Annę Holland. Jej matka, księżna Exeter i rodzona siostra króla Edwarda, policzyła sobie cztery tysiące marek za ten przywilej, a ja przyjąłam cenę do wiadomości i wypłaciłam sumę co do pensa, gwarantując pierwotnemu fortunę Hollandów. Mój pierwszy syn będzie tak bogaty jak każdy inny książę w chrześcijańskim świecie. I tym razem obrabowuję hrabiego Warwicka, który planował ożenek Anny ze swym krewniakiem — wszystko było już przygadane i zabrakło tylko podpisów i pieczęci na kontrakcie małżeńskim, mnie zaś udało się podbić stawkę o tysiąc marek, królewską fortunę, na jaką ja mogę sobie pozwolić, a Warwick jak widać nie. Edward mianuje Tomasza markizem Dorset, żeby nie czuł się gorszy od przyszłej małżonki. Dla młodziutkiego Ryszarda także znajdę dobrą partię, jak tylko wydorosłeje któraś z majątnych dziedziczek, na razie kwilących w kołysce; tymczasem skupię się na tym, by jak najszybciej został nobilitowany i pasowany na rycerza.

Papa otrzymuje tytuł hrabiego Rivers. Antoni nie zostaje wprawdzie księciem, z czego sobie żartował, ale zyskuje władztwo na wyspie Wight, gdzie poprzedni panujący zwali się jeszcze niedawno królami. Moi pozostali bracia dołączają do rzeszy urzędników dworskich i kościelnych. Lionel zostaje biskupem, tak jak sobie wymarzył. Wykorzystuję swoją niebotyczną pozycję, aby przydać rodzinie znaczenia i mocy, co uczyniłaby każda niewiasta w moim położeniu. Nie będzie nam brakowało wrogów, toteż już teraz musimy zacząć splatać sieć sojuszów i przymierzy. Musimy być wszędzie.

Gdy wreszcie ustaje fala ślubów i nadań, żaden człowiek w Anglii nie może zrobić kroku, aby się nie natknąć na któregoś z moich krewnych — nie da się zawrzeć umowy, kupić ziemi, wygrać sprawy bez kontaktu z kimś z rodu Riversów lub z im podległą osobą. Jesteśmy wszędzie; jesteśmy tam, gdzie życzył sobie widzieć nas król. Jeśli przyjdzie taki dzień, że wszyscy inni zwrócą się przeciwko niemu, Edward się przekona, że Riversowie zasiedzieli się na swoich pozycjach i chronią go niczym fosa zamek. Jeśli straci swoich sprzymierzeńców, my nadal będziemy stali za nim murem. Tymczasem zaś jesteśmy przy władzy.

Pozostajemy mu wierni, a on jest lojalny w stosunku do nas. Co dzień i co noc wyznaję mu swą miłość, tak że może być pewien, iż żadna kobieta na świecie nie kocha go bardziej ode mnie. Papa z braćmi, siostry z mężami, kuzynowie i kuzynki — wszyscy przyrzekamy mu wierność bez względu na to, co przyniesie przyszłość, bez względu na to, kto zwróci się przeciwko niemu. Nie należymy ani do Lancasterów, ani do Yorków, jesteśmy rodziną samą w sobie, wyniesioną wraz z papą do hrabiostwa Rivers, i stoimy za naszym królem jak mur, jak woda... Być może mamy wielu wrogów, lecz to mnie nie martwi, gdyż nikt i nic nie jest w stanie nam zagrozić.

Edward przystępuje do rządzenia królestwem, które odwykło od ręki sprawnego króla. Wyznacza sędziów i szeryfów w miejsce tych poległych na polu walki, nakazuje im nieść prawo i zaprowadzić porządek w swoich hrabstwach. Panowie, którzy korzystając z zawieruchy wojennej, najechali sąsiadów, zostają zmuszeni do powrotu do domów. Żołnierze zwolnieni ze służby u jednej czy drugiej strony dostają żołd i krzyżyk na drogę. Rozbójnicy, których nigdy nie brakuje we wojnę, przekonują się, że czas terroru się skończył i teraz są co najwyżej ściganymi przez prawo wyrzutkami. Trakty znów są przejezdne i bezpieczne. Mój król i małżonek stara się na powrót uczynić Anglię krainą pokoju.

Wojna dobiega ostatecznie końca, kiedy zostaje pojmany poprzedni król, Henryk zagubiony na wzgórzach Northumberlandii i we własnej duszy. Edward rozkazuje go przywieść do Tower dla naszego i jego dobra. Henryk Lancaster tylko z rzadka jest przy zdrowych zmysłach, niech Bóg ma go w swojej opiece. Kiedy wpro-

wadzą się do swych komnat w twierdzy, zdaje się rozpoznawać otoczenie i cieszyć, że jego tułaczka dobiegła końca. Pędzi spokojne, bogobojne życie, zawsze mając przy swoim boku księdza. Nie wiemy, czy pamięta swoją żonę i syna, którego mu wmówiła; z pewnością nigdy o nich nie pyta ani nie prosi, aby przesłać im wiadomość do odległej Andegawenii. Trudno powiedzieć, czy w ogóle zdaje sobie sprawę, iż kiedyś był królem. Niedysiejszy Henryk VI jest stracony dla świata i chyba nawet nie żywi do nas pretensji o to, cośmy mu odebrali.

LATO 1468 ROKU



Edward powierza Warwickowi misję dyplomatyczną we Francji, a hrabia skwapliwie korzysta z okazji opuszczenia Anglii i dworu królewskiego, jako że z największym trudem przychodzi mu znosić wzrost naszej potęgi i własny powolny upadek. Chciałby zawiązać sojusz z królem Francji, przekonując go, że nadal ma decydujące słowo, gdy idzie o rządy w kraju, i że to on, nikt inny, wybierze małżonka dla siostry Edwarda, Małgorzatki. Są to jednak próżne nadzieje — wszyscy już wiedzą, iż dni, w których miał coś do powiedzenia i każdy się z nim liczył, odeszły dawno do przeszłości. Król Anglii słucha teraz pani matki, mnie i swoich innych doradców, którzy mówią mu prosto do ucha, że Francja to odwieczny wróg, podczas gdy Burgundia przez lata pozostała wiernym sojusznikiem i że kontynuowanie z nią przymierza przysłuży się rodzinie i wolnemu handlowi, a najlepszym gwarantem będzie małżeństwo księżniczki Małgorzatki z księciem Karolem, który dopiero co wstąpił na tron po ojcu.

Dobrze byłoby mieć Karola po swojej stronie. Książę Burgundii włada rozległymi ziemiami we Flandrii, jak również własnym księstwem burgundzkim, zarządzając nizinami na północy kontynentu, wąskim pasem pomiędzy Niemcami i Francją oraz niezwykle łakomym kąskiem położonym bardziej na południu. Do jego poddanych trafia angielskie sukno, jego kupcy handlują z nami z ożywieniem, jego porty znajdują się po przeciwległej stronie Kanału. Co więcej, z dziada pradziada waśni się z Francją i na rękę mu nasze

poparcie, podobnie jak nam — jego. Burgundczycy zawsze byli nastawieni do nas przyjaźnie, a obecnie stali się — dzięki mnie — powinowatymi króla Anglii.

Wszystko to dzieje się bez wiedzy samej zainteresowanej, oczywista. Mimo to Małgorzatka, zwiedziawszy się jakoś, podchodzi do mnie któregoś dnia, gdy spaceruję po ogrodach pałacu westminsterskiego, i cała zaaferowana pyta, czy to prawda, że jej zaręczyny z Dom Pedro Portugalskim mają ulec zerwaniu, a ona ma zostać zaproponowana wyżej urodzonemu kandydatowi, Ludwikowi XI Francuskiemu z myślą o którymś z książąt bądź samemu Karolowi Burgundzkiemu.

— Wszystko dobrze się ułoży, zobaczysz — mówię, biorąc ją za rękę, abymy znalazły się bliżej siebie i mogły rozmawiać bez ryzyka.

Małgorzatka ma tylko dwadzieścia dwa lata i nie była wychowywana na siostrę króla. Nie przywykła do myśli, że jej narzeczeni będą się zmieniać w zależności od tego, jak powieje wiatr na górze, a w dodatku jej matka — rozdarta pomiędzy rywalizującymi ze sobą synami — zawiodła wszystkie swoje córki.

Będąc małą dziewczynką, Małgorzatka sądziła, iż w swoim czasie wyjdzie za angielskiego lorda, zamieszka na angielskim zamku i urodzi angielskie dzieci. Krótko myślała o wstąpieniu do klasztoru, gdyż podziela miłość księżnej Cecylii do Kościoła. Nie uświadamiała sobie, kiedy najpierw jej ojciec upomniał się o tron, a potem koronę zdobył jej brat, że władza nad królestwem ma wysoką cenę, którą przyjdzie zapłacić także jej. Wciąż jeszcze nie wie, że choć to mężczyźni wybierają się na wojnę, niewiasty cierpią najbardziej.

— Nie wyjdę za Francuza! — oznajmia zapalczywie. — Nie znoszę Francuzów! Pan ojciec walczył z Francją i z pewnością nie życzyłby sobie, abym poślubiła jego wroga! Mój brat nie powinien nawet snuć takich planów. Nie rozumiem, czemu pani matka w ogóle rozpatruje coś podobnego. Przecież była we Francji razem z angielską armią, wie, do czego są zdolni Francuzi. Jestem Angielką, wywodzę się z Yorków. Nie chcę zostać Francuzką!

— Nie zostaniesz — uspokajam ją. — Takie były plany hrabiego Warwick, który utracił przychyłość króla. Owszem, wciąż przyj-

muje od Francuzów podarki i obiecuje im Bóg wie co, ale ja nalegam na swego męża, by zawiązał sojusz z księstwem Burgundii, co przyniesie korzyść i tobie. Pomyśl tylko! Będziemy krewniaczkami! Poślubisz księcia i zamieszkas w pięknym pałacu w Lille. Karol to długoletni sprzymierzeniec twojej rodziny oraz mój kuzyn ze strony matki. Będziesz mogła przyjeżdżać do nas z wizytami, a kiedy moje córki dorosną, wyślę je do ciebie, aby zakosztowały eleganckiego życia na burgundzkim dworze. Nie ma wspanialszego miejsca w całej Europie! Jako księżna Burgundii będziesz mogła trzymać do chrztu moich synów, a swoich bratanków. Jak ci się to podoba?

Wydaje się tylko po części przekonana.

— Jestem Angielką — powtarza. — Wolałabym zostać w Anglii. Przynajmniej do czasu, aż nie rozgromimy Lancasterów raz na zawsze. Poza tym chcę być obecna na chrzcinach twego pierworodnego, księcia Yorku. A później być świadkiem, jak otrzymuje godność księcia Walii...

— Przyjedziesz na chrzciny, gdy tylko mały książę pojawi się na świecie — obiecuję. — Dasz mu się poznać jako ulubiona ciotka i opiekunka. Ale w Burgundii też się możesz przysłużyć Yorkom. Zapewnisz sojusz między nami i gdyby Edward znalazł się w opałach, będzie wiedział, iż może liczyć na bogactwo i armię swego szwagra. Jeśli będzie potrzebował pomocy, zwróci się o nią prosto do ciebie. Spodoba ci się rola zamorskiego sojusznika. Staniesz się naszą bezpieczną przystanią...

Przechyla głowę i dotyka nią mego ramienia.

— Wasza miłość... siostró... — mówi cicho. — Tak trudno mi będzie was opuścić. Straciłam wcześniej ojca, a teraz nie mam pewności, czy mój brat nie jest w niebezpieczeństwie. Boję się, że pomiędzy Jerzym i Edwardem panuje wrogość, że Jerzy zazdrości Edwardowi, i obawiam się tego, co może uczynić hrabia Warwick. Naprawdę chciałabym zostać tutaj, z wami. Kocham swoich braci i panią matkę. Nie chcę ich opuszczać, nie chcę opuszczać domu...

— Wiem — odzywam się łagodnym tonem. — Lecz możesz się okazać niezastąpioną sojuszniczką i dobrą siostrą zarówno dla Edwarda, jak i dla Jerzego jako księżna Burgundii. Dzięki tobie będziemy wiedzieli, że jest ktoś, kto zawsze wyciągnie do nas po-

mocną dłoń. Że na tronie Burgundii zasiada księżniczka, która sprzyja sprawie Yorków. Nawet za granicą, gdy powijesz synów, będą to potomkowie Yorków.

— Myślisz, że mogłabym założyć burgundzką gałąź rodu Yorków? — pyta z nadzieją.

— Założysz nowy ród — zapewniam ją. — Nas zaś będzie cie szyła myśl, iż jesteś po drugiej stronie Kanału. Stamtąd nie jest daleko do domu.

Małgorzatka robi dobrą minę do złej gry, a Warwick przywdziewa maskę dwulicowości i odwozi ją do portu w Margate, gdzie wszyscy żegnamy młodziutką księżną, wiedząc, że spośród całego rodzeństwa Edwarda — niewiernego Jerzego, niedorośłego Ryszarda, licznych sióstr — odesłaliśmy najbardziej kochającą, najbardziej lojalną, najbardziej spolegliwą, najwierniejszą sprawie Yorków.

Dla Warwicka to kolejny policzek wymierzony mu przeze mnie i moją rodzinę; jeszcze jedna porażka. Naobiecował, że Małgorzatka wyjdzie za Francuza, a tymczasem osobiście musiał ją odeskortować do księcia Burgundii. Jego zamiarem było zadzierzgnięcie sojuszu z Francją, pokazanie, że wciąż ma decydujący głos w Anglii, a wyszło na to, że połączeniu ulegną domy królewskie Anglii i Burgundii, zacieśniając więzi rodzinne wynikające z pochodzenia pani matki. Wszyscy przekonali się naocznie, że ród Riversów ma ostatnie słowo, że król nam nadstawia ucha. Natomiast Warwickowi pozostało wyprawić Małgorzatkę w podróż do jej męża, co też czyni z twarzą skrzywioną, jakby ugryzł kwaśne jabłko. Śmieję się na to z cicha, zakrywszy usta dłonią; śmieję się na jego słabość i naszą siłę i wydaje mi się, iż znalazłam się poza zasięgiem jego knozań i niewczesnych ambicji.

LATO 1469 ROKU



Pomyliłam się, tak bardzo się pomyliłam. Wcale nie jesteśmy silni, a przynajmniej nie jesteśmy wystarczająco silni. Powinnam była wykazać się większą ostrożnością. Nie zastanowiłam się — ja, która obawiałam się Warwicka na długo przed tym, zanim go poznałam — a powinnam była się zastanowić i wziąć pod rozwagę jego zazdrość i nieprzychylność. Nie przewidziałam — ja, królowa z własnymi dorastającymi synami — a powinnam była przewidzieć, że Warwick i niezadowolona matka Edwarda zewrą szyki i pomyślą o osadzeniu na tronie drugiego Yorka w miejsce pierwszego, którego wyznaczili na króla. Powinnam była się domyślić, że Twórca Królów zapragnie powtórzyć swój gest.

Jednym słowem, powinnam była więcej myśli poświęcać Warwickowi, kiedy moja rodzina odbierała mu urzędy i ziemie, które mógł chcieć dla siebie. Powinnam była spostrzec, iż Jerzy, młody książę Clarence, zwrócił jego uwagę. Jerzy jest Yorkiem, jak Edward, lecz jest też bardziej podatny na wpływy, miękki, przekupny i nade wszystko — nieżonaty. Hrabia Warwick przyglądał się Edwardowi i mnie, temu, jak w siłę rosną Riversowie, którymi otoczyłam swojego męża, i zaczął rozważać powołanie na tron Anglii nowego króla, kogoś, kto byłby mu bardziej posłuszny.

Powiłam trzy piękne córki, w tym jedną całkiem niedawno, i właśnie z rosnącym niepokojem oczekujemy syna, kiedy do Edwarda docierają wieści o powstaniu w Yorkshire pod przywództwem niejakiego Robina z Redesdale, zwykłego bandyty z fantastycznym imie-

niem, które skradł legendarnej postaci. Ów Robin zbiera armię, rzuca oszczerstwa pod adresem mojej rodziny, domaga się sprawiedliwości i wolności i podobnych nonsensów, które co jakiś czas odrywają dobrych ludzi od owocnej pracy na ich polach i wiedzą prosto w ramiona śmierci. Król z początku nie przejmuje się nim zbytnio, a ja do czasu żyję w niewiedzy, raz jeszcze wykazując się niesłychaną naiwnością. Edward udał się w pielgrzymkę po kraju wraz z moimi synami po Greyu oraz swym młodszym bratem Ryszardem, aby pokazać się ludowi i zanieść podziękowanie Panu Bogu, ja zaś nareszcie wyruszam mu na spotkanie razem z dziewczynkami i choć pisujemy do siebie niemal codziennie, nie wspominamy w listach o rebelii, której nie przydajemy większego znaczenia.

Nawet gdy papa napomyka w rozmowie ze mną, że ktoś musi opłacać buntowników — bynajmniej nie są uzbrojeni w widły, noszą przyzwoite buty i umieją maszerować w szyku — bagatelizuję to. Nawet gdy parę dni później zauważa, że przecież ci „żołnierze” przynależą do kogoś: są czyimiś chłopami, dzierżawcami albo wasalami, puszczam mimo uszu mądrość wynikającą z ciężko zdobytego doświadczenia. Nawet gdy mówi wprost, że żaden człowiek nie porzywa kosa i nie udaje się na wojnę, ot tak sobie; że musi być ktoś, kto wydaje rozkaz — nawet wówczas ignoruję jego obawy. Co gorsza, nie zważam na słowa Jana, który przypomina mi, że w tamtej okolicy leżą ziemie Warwicka i że to jego ludzie mogą werbować powstańców. Nie interesuje mnie nic poza moją niedawno urodzoną córeczką; świat kręci się dla mnie wokół rzeźbionej pożącannej kołyski. Przemierzamy południowy wschód Anglii, gdzie wszyscy nas kochają, aura dopisuje nadzwyczajnie, a ja myślę sobie — jeśli już zaprzątam głowę sprawami królestwa — że buntownicy najpewniej rzucą broń i wrócą do domów akurat na czas, by zebrać plony z pól, i rebelia umrze śmiercią naturalną.

Żyję beztrąsko do czasu, aż znów przychodzi do mnie Jan i z ponurą miną oświadcza, że buntowników są już grube setki, jeśli nie tysiące, i że to musi być sprawka hrabiego Warwick, który znany jest z tego, iż miesza, ilekroć w kraju zrobi się spokojniej. Nikt inny nie byłby w stanie powołać pod broń takiej masy ludzi. Twórca Królów znów daje znać o sobie. Ostatnim razem uczynił królem

Edwarda w miejsce Henryka; tym razem chce zastąpić mojego męża jego bratem Jerzym księciem Clarence, drugim synem bez większego znaczenia. A przy tym strącić z tronu mnie i pozbawić moją rodzinę wszelkich wpływów.

Spotykamy się z Edwardem w Fotheringhay, jakeśmy się umówili, gotując się z żalu. Zamierzaliśmy odpocząć w tutejszej pięknej posiadłości i nacieszyć się ładną letnią aurą, po czym kontynuować podróż razem i ściągnąć do Norwich po królewsku, honorując w ten sposób to zamożne miasto. Chcieliśmy się zatrzymywać w każdym sanktuarium i ceremonialnie wkraczać przez bramy miast, rozdawać tytuły i złoto, sprawiedliwie rozsądzać spory — chcieliśmy, by postrzegano nas jak króla i królową uwielbianych przez poddanych, a nie dwoje szaleńców, z których jedno siedzi w Tower, drugie zaś chroni się we Francji.

— Będę musiał udać się na północ — skarży mi się Edward — i zająć się tym. Nowe oddziały rebeliantów zalewają kraj niczym powódzie na wiosnę. Sądziłem, że to kwestia jednego niezadowolonego włościanina, lecz wygląda na to, że cała północ się zbroi. To pewnie Warwick, to musi być on, choć słowem się nie zdradził. Zawezwiałem go do siebie, a on się nie pojawił. Uznałem to za dziwne, no ale z drugiej strony był na mnie zły... Dziś jednak się dowiedziałem, że on i Jerzy wsiedli na statek. Popłynęli razem do Calais. Niech ich wszyscy diabli!... Elżbieto, byłem łatwowiernym głupcem. Pozwoliłem wymknąć się z kraju Warwickowi i Jerzemu, którzy teraz zmierzają do najsilniejszej angielskiej twierdzy! Już od jakiegoś czasu byli nierozłączni, a teraz okazuje się, że ci wszyscy, którzy rzekomo służyli pod Robinem z Redesdale, w rzeczywistości są na usługach mojego brata i Warwick!

Jestem wstrząśnięta. Nieoczekiwanie królestwo, które zdawało się monolitem, rozpada się nam w rękach.

— Podejrzewam, że Warwick ucieknie się do tych samych sztuczek, które ja zastosowałem wobec Henryka — myśli głośno Edward. — Popiera Jerzego, tak jak kiedyś popierał mnie. Jeśli na tym nie poprzestanie, jeśli zechce doprowadzić swój plan do końca i wykorzystać twierdzę Calais jako punkt przerzutowy i stamtąd prowadzić inwazję Anglii, rozpocznie się bratobójcza wojna, tak jak przedtem

miała miejsce wojna między kuzynami. To godne potępienia, Elżbieto. Zwłaszcza że mówimy o człowieku, którego traktowałem jak starszego brata. Który pomógł mi zdobyć tron. Który jest moim krewniakiem i sprzymierzeńcem, i przyjacielem!...

Odwraca się ode mnie, abym nie dostrzegła na jego twarzy gniewu i smutku, a ja ledwie mogę zaczerpnąć tchu na myśl o tym, że Warwick, doskonały dowódca, zwrócił się przeciwko nam.

— Jesteś pewien? Jerzy popłynął razem z nim? Zmierzają do Calais? Warwick pragnie koronować twojego brata?

— Niczego nie jestem pewien! — krzyczy w desperacji. — Nigdzie nie ma śladu po moim przyjacielu i moim bracie. Walczyliśmy ramię przy ramieniu na polu bitwy, byliśmy nie tylko rodziną, ale także towarzyszami broni. Podczas bitwy pod Mortimer's Cross na niebie pokazały się trzy słońca; widziałem je na własne oczy. Wszyscy uważali, że to znak zesłany przez Boga dla Edwarda, Jerzego i Ryszarda, trzech synów domu Yorków. Jakże jeden z nich może teraz opuścić pozostałych? Kto jeszcze poważył się wystąpić przeciwko mnie? Skoro nie mogę ufać własnemu bratu... Nasza matka musiała o wszystkim wiedzieć, Jerzy to jej ulubieniec. Na pewno zwierzył się jej, że spiskuje przeciwko mnie, a ona to zatrzymała dla siebie. Jak mogła mnie zdradzić? Jak mogła?!...

— Twoja matka? — powtarzam w oszołomieniu. — Twoja matka popiera Jerzego przeciwko tobie? Ale dlaczego?...

Edward wzrusza ramionami.

— To stara historia. Bardzo wcześnie wypłynęła sprawa mojego pochodzenia. Czy aby na pewno jestem synem swojego ojca. Czy urodziłem się z prawego łoża, czy zostałem poczęty jako York. Jerzy zawsze twierdził, że nie, że bękart ze mnie, a dziedzictwo należy się jemu. Bóg jeden wie, czemu matka wzięła jego stronę. Może dlatego, że nie spodobało jej się moje małżeństwo z tobą, to, że faworyzuję ciebie i twoją rodzinę...

— Jakże ona śmie!

— Mogę ufać wyłącznie tobie i twoim bliskim — stwierdza Edward. — Każdy komu zawierzyłem, przeszedł na drugą stronę. Szeregi moich sojuszników topnieją w oczach. Ostatnio się dowie-

działem, że ten cały Robin z Yorkshire przygotował listę żądań, które mam spełnić, a Warwick ponoć ogłosił, że widział ją i uważa za rozsądną. Rozsądną!! Zapowiedział, że wyładuje na angielskiej ziemi razem z Jerzym i upomni mnie! Upomni!! Już ja dobrze wiem, co to znaczy! Czyż nie to samo zrobiliśmy Henrykowi? Czyż się nie orientuję, jak odbiera się władzę prawowitemu królowi? Czyż ojciec Warwicka nie przywiódł do Anglii mego ojca, aby upominać króla Henryka, zamierzając odciąć go od poparcia żony i reszty popleczników? Czyż stary Neville nie nauczył mego ojca, jak się to robi? A teraz jego syn zamierza uczynić to samo mnie! Naprawdę ma mnie aż za takiego głupca?

— A Ryszard?—pytam niespokojnie, mając na myśli jego młodszego brata, nieśmiałego chłopca, który zmienił się w spokojnego, zadumanego młodzieńca. — Po czyjej on jest stronie? Trzyma z matką?

Mój mąż uśmiecha się do mnie po raz pierwszy podczas tej rozmowy.

— Ryszard opowiedział się za mną, chwalić Boga. Ryszard zawsze opowiada się za mną. Wiem, że masz go za dziwaka, naburmuszonego młodzika. Wiem, że twoje siostry śmieją się z niego. Jednakże to Ryszard pozostał mi wierny i jest wobec mnie uczciwy, gdy tymczasem Jerzy zmienia front jak kogucik na dachu. To Jerzy jest niezadowolonym chłopcem, któremu wiecznie mało. Ciekawe, co też Warwick mu naobiecywał.

— To akurat mogę ci powiedzieć! — rzucam ze złością. — Twój tron! I dziedzictwo naszych córek!

— Niczego mu nie oddam — obiecuje mi Edward, ujmując moje obie dłonie i całując je szczerze. — Przysięgam, że wszystko to zatrzymam! Ty pojedziesz do Norwich, tak jak było planowane. Wypełnij swój obowiązek, odgrywaj dobrą królową, której nie trapią żadne kłopoty. Pokazuj pewną siebie i uśmiechniętą twarz. Ja zaś pojedę na północ i stłamszę spisek w zarodku niczym gniazdo pełne węży.

— Zatem ogłosili, że ich celem jest strącić cię z tronu, a nie tylko upomnieć?

Edward krzywi się lekko.

— Chcą nie tylko upominać, najdroższa. Zamierzają cię obalić, wygnąć z dworu twoich wszystkich krewnych. Najbardziej skarżą się na to, że dałem posłuch złym doradcom, że twoja rodzina niszczy mnie i doprowadza do upadku Anglię.

Sapię głośno.

— To potwarz!

— To przykrywka, gra — prostuje. — Nie bierz sobie tego do serca. Stara śpiewka o tym, że powstanie nie jest skierowane przeciwko prawowitemu władcy, tylko przeciw jego złym doradcom. Sam śpiewałem ją wcześniej, tak samo jak mój ojciec i jak stary i młody Neville w stosunku do Henryka. Wtedyśmy mówili, że wszystko co złe jest winą królowej i księcia Somerset. Teraz oni powiadają, że winę ponosisz ty i twoi panoszący się na dworze krewniacy. Łatwo jest obarczać winą żonę. Prościej przychodzi zarzucić królowej zły wpływ na władcę, aniżeli wystąpić otwarcie przeciwko namaszczoneму królowi. Najpierw więc zniszczą ciebie i twoich krewnych. Dopiero potem, gdy stanę przed nimi odarty z rodziny i przyjaciół, zgniotą mnie. Zmuszą, abym ogłosił, że nasze małżeństwo nigdy nie było ważne, że nasze córki urodziły się z nieprawego łoża. Sprawia, że wyznaczę Jerzego na swego następcę, może nawet przymusza, abym rzekł się korony na jego rzecz. Dlatego trzeba mi doprowadzić do tego, aby otwarcie się przyznali do swoich wrogich zamiarów, a potem stawić im czoło w walce i pokonać. Zaufaj mi, moja miła, włos ci nie spadnie z głowy.

Przykładam czoło do jego czoła.

— Żałuję, że nie dałam ci syna — mówię szeptem. — Wtedy nie byłoby wątpliwości, kto jest twoim następcą. Tak bardzo mi szkoda, że nie urodziłam księcia...

— Będiesz na to miała mnóstwo czasu — zapewnia mnie ze spokojem w głosie. — Córki nam się bardzo udały, wszystkie je mocno kocham. A syn pojawi się we właściwym czasie, nie wątpię w to ani przez chwilę. Jak również nie wątpię, że uda mi się zachować dla niego tron. Po prostu miej we mnie ufność.

Wypuszczam go ze swych objęć. Oboje mamy zadanie do wykonania. Edward opuszcza Fotheringhay za łopoczącym na wietrze sztandarem, otoczony przez gwardzistów gotowych mieczami wy-

ciosać sobie drogę do Nottingham, gdzie na wielkim zamku mój mąż będzie czekał, aż wróg odsłoni swe prawdziwe oblicze. Ja zmierzam do Norwich z córkami, aby udawać, że Anglia wciąż jest nasza, że w ogrodzie, w którym rośnie róża Yorków, nie zapanowała nagle przedwczesna zima. Nie czuję strachu. Zabieram ze sobą Tomasza i Ryszarda. Edward wprawdzie zaproponował, że weźmie obu ze sobą i poprowadzi na ich pierwszą bitwę, ja wszakże obawiam się o nich i wolę mieć ich z dziewczynkami przy sobie. Tym sposobem zostaję obarczona dwoma nadaśanymi młodzieńcami, lat niespełna piętnastu i trzynastu, i nic, ale to nic w drodze do hrabstwa Norfolk nie jest w stanie poprawić im humoru.

W Norwich czeka mnie powitanie godne królowej, ze śpiewem chórów i kwietnymi płatkami sypanymi pod nogi, z żywymi obrazami wychwalającymi moje zalety i urodę córek. Edward nie traci czasu w Nottingham, zwołując wiernych mu żołnierzy i czekając na pierwszy ruch przeciwnika.

W trakcie oczekiwania, gdy każde z nas gra swoją rolę, zastanawiając się, kiedy i z której strony nadciągnie wróg, dochodzą nas kolejne wieści. W Calais, za specjalnym pozwoleniem papieża, **O** które z pewnością wystąpili nasi arcybiskupi, Jerzy poślubił Izabelę Neville. Warwick został jego świekrem i teraz — jeśli hrabiemu uda się osadzić Jerzego na tronie — będzie mógł koronować córkę na królową, pozbawiając mnie władzy.

Parskam niczym rozzłoszczona kotka na myśl o naszych przeniewierczych arcybiskupach piszących w tajemnicy do Ojca Świętego, na myśl o Jerzym przy ołtarzu z Neville'ówną, na myśl o tłącej się wciąż ambicji hrabiego Warwick. Przywołuję w pamięci obraz Izabeli, jednej z dwu córek hrabiego — Warwick nie dochował się męskiego potomka, a teraz wszystko wskazuje na to, iż w ogóle nie może mieć więcej dzieci — i poprzysięgam w duchu, że póki we mnie życia, nie pozwolę, by nosiła moją koronę. Przywołuję wspomnienie Jerzego, który odwrócił się od swego brata i dał manipulować świekrowi jak młody głupiec, jakim jest w istocie, i zaciskając zęby, poprzysięgam zemstę im obydwóm. Czuję taką pewność, że rozegra się bitwa, zwycięska bitwa pomiędzy moim mężem i jego dawnym nauczycielem szermierki i wojaczki Warwickiem, że

całkowicie mnie zaskakuje — tak jak zaskakuje również Edwarda — kiedy hrabia przybija do brzegów Anglii bez ostrzeżenia, potyka się ze zbierającą się wciąż armią króla i rozgramia ją do szczytu pod Edgecote Moor nieopodal Banbury, zanim Edward zdąży opuścić zamek w Nottingham i udać się z odsieczą.

To dla nas katastrofa. Sir William Herbert, dopiero co wyniesiony do rangi hrabiego Pembroke, poniósł śmierć na polu walki; razem z nim poległ co najmniej tysiąc Walijczyków, a pozostający pod jego opieką młodzietki Henryk Tudor stracił opiekuna. Edward natychmiast wyruszył w drogę do Londynu, aby ostrzec stolicę i przygotować miasto do obrony przed Warwickiem, który nieopstrzeżenie wrócił do Anglii, lecz na trakcie przed nim wyrastają uzbrojone postacie.

Arcybiskup Yorku, najmłodszy brat Ryszarda Neville'a, zbliża się i aresztuje Edwarda, informując go, że jest otoczony, hrabia Warwick i księżę Clarence już są w Anglii, a królewska armia została rozbita w pierwszej potyczce. To koniec; Edward został pokonany, zanim doszło do walnej bitwy, zanim wypowiedziano wojnę, zanim zdążył dać rozkaz do siodłania koni. Bratobójcza wojna zwana wojną dwu róż, która jak myślałam, skończyła się wraz z zaprowadzonym przez nas pokojem, w rzeczywistości dobiega końca dopiero teraz, wraz z naszą przegraną, po tym jak Edward nawet nie zdążył dobyć miecza. Dynastię Yorków rozpocznie nie mój mąż, nie mój nienarodzony syn, tylko ta kukiełka w rękach Warwicka, Jerzy.

Nadal pozostaję w Norwich, siląc się na spokój, siląc się na królewski gest, gdy przynoszą mi ubłoconą wiadomość od mojego królewskiego małżonka. Pośpiesznie otwieram list.

Najukochańsza Żono!

Przygotuj się na złe wieści.

Twój ojciec i brat Jan walczyli dzielnie po naszej stronie, lecz zostali pojmani i znaleźli się w rękach Warwicka. Ja także jestem więźniem hrabiego na jego zamku w Middleham. Schwytali mnie, gdym byt w drodze do Ciebie. Wszyscy trzej jesteśmy cali i zdrowi.

Warwick okrzyknął Twoją matkę czarownicą, a nasze małżeństwo aktem czarostwa uskutecznianego przez nią i przez Ciebie. Ostrzegam Cię: obie znajdujecie się w wielkim niebezpieczeństwie! Moja świekra powinna opuścić Anglię tak szybko, jak to tylko możliwe, w przeciwnym razie grozi jej śmierć — uduszą ją gołymi rękami, jeśli tylko zdołają złapać. Ty również powinnaś się szykować na wygnanie z kraju.

Zabierz nasze córki i umykaj do Londynu, gdzie każ uzbroić Tower i zebrać obrońców miasta. Twierdza powinna wytrwać przez jakiś czas, Ty jednak nie mitręż, tylko od razu poszukaj z dziećmi schronienia we Flandrii. Oskarżenie o czary to nie przelewki, najdroższa. Czeką Cię proces i egzekucja. Musisz więc zadbać o siebie.

Jeżeli uznasz, że tak będzie lepiej, odeślij dziewczynki już teraz, w wielkiej tajemnicy, i umieść je u jakichś prostych ludzi. Porzuć dumę, Elżbieto, i wybierz takie miejsce, w którym nikomu nawet nie przyjdzie do głowy szukać. Musimy przeżyć ten kataklizm, jeżeli kiedykolwiek mamy znów się upomnieć o swoje.

Nic nie trapi mnie bardziej niż myśl, że naraziłem Cię na ryzyko. Już napisałem do Warwicka, żądając, aby podał wysokość okupu za bezpieczny powrót Twego ojca i brata. Tuszę, że uwolni ich szybko i odeśle pod eskortą do Ciebie, abyś mogła wypłacić ze szkatuły należną sumę.

*Twój mąż,
Jedyny prawowity król Anglii,
Edward Rex.*

Słyszę stukot obcasów na posadzce przed moją komnatą gościnną i nagłe otwarcie drzwi na całą szerokość powoduje, że zrywam się z miejsca na równe nogi, oczekując sama nie wiem czego: hrabiego Warwick we własnej osobie z naręczem chrustu, by spalić na stosie mnie i panią matkę, lecz okazuje się, że to tylko burmistrz Norwich, który witał mnie z takim ceremoniałem zaledwie parę dni temu.

— Wasza miłość, przynoszę pilne wieści — sapie. — Złe wieści. Dopraszam się łaski...

Zaczerpuję głęboko tchu, aby się uspokoić.

— Mów.

— Chodzi o twego ojca i brata...

Wiem już, co zaraz powie. Nie doznaję widzenia, wystarczy widok jego twarzy ściągniętej bólem na myśl o cierpieniu, którego mi przysporzy. Nie uchodzi też mojej uwagi grupka towarzyszących mu mężczyzn, zbitych w ciasną gromadkę, jak mają w zwyczaju robić posłańcy najgorszych wieści. Nie obracając się, słyszę, jak moje dworki wciągają ze świstem powietrze i postępują ku mnie parę kroków, po czym zamierają, gdy się odzywam.

— Nie! Nie... Zostali uwięzieni. Przetrzymują ich szlachetnie urodzeni, ludzie honoru. Lada dzień zostanie wyznaczony okup za ich głowy.

— Życzysz sobie, bym odszedł? — pyta. Spogląda na mnie tak, jakbym była chora. Nie ma pojęcia, jak się zachować w obliczu królowej, która wjechała do jego miasta w glorii, a opuści je w śmiertelnym niebezpieczeństwie. — Mam odejść i wrócić kiedy indziej?

— Mów, co masz do powiedzenia. Wyrzuć z siebie wszystko teraz, podziel się ze mną najgorszym, a ja jakoś to zniosę.

Zerka za moje plecy na dworki, szukając u nich pomocy, po czym na powrót przenosi na mnie pociemniałe spojrzenie.

— Dopraszam się łaski, wasza miłość. Czuję taki żal, że wprost nie sposób go wyrazić słowami. Ojciec waszej miłości, hrabia Rivers, i twój brat, sir John Woodville, zostali pojmani podczas bitwy... świeżo rozegranej bitwy pomiędzy najmniej spodziewanymi stronami: armiami króla Edwarda i jego brata Jerzego księcia Clarence... Wygląda na to, że książę sprzymierzył się z hrabią Warwick... o czym być może wiedziałaś?... i wystąpił przeciwko twemu królewskiemu małżonkowi i tobie. Twój ojciec i brat walczyli w waszej obronie, dostali się do niewoli i dali głowy. Obaj zostali ścięci. — Rzuca mi niespokojne spojrzenie. — Nie cierpieli — dodaje po chwili. — Egzekucja trwała mgnienie oka.

— Na jakiej podstawie? — dopytuję ledwie słyszalnie. Wargi mam zdrętwiałe, jakby ktoś uderzył mnie pięścią w twarz. — Walczyli w obronie króla z buntownikami. Kto śmiał im cokolwiek zarzucić? Jakie mogło paść oskarżenie?

Burmistrz potrząsa głową.

— Egzekucja odbyła się na rozkaz hrabiego Warwick — odpowiada cicho. — Nie było procesu, nie było zarzutów. Zdaje się, że nastały czasy, kiedy słowo hrabiego stanowi prawo. Kazał ich ściąć bez wyroku, bez dania sprawiedliwości. Czy mam wydać rozkazy wyjazdu do Londynu? Czy też raczej przygotować statek? Zostaniesz w kraju czy udasz się za granicę, wasza miłość?

— Pojadę do Londynu — oznajmiam. — Londyn to moja stolica, a Anglia to moje królestwo. Nie jestem francuską królową, która w czas zawieruchy zbiega do ojczyźnej Francji. Jestem Angielką. Urodziłam się tutaj i tutaj wyzionę ducha. — Natychmiast się poprawiam: — Urodziłam się tutaj i tutaj będę walczyć.

— Zechcesz przyjąć moje wyrazy najgłębszego współczucia, wasza wysokość? Skierowane do ciebie i do jego wysokości?

— Masz jakieś wieści od mojego męża?

— Liczyłem na to, że dowiem się czegoś od waszej miłości...

— Nic nie wiem — kłamię bez zmrużenia powieki. Nikt się ode mnie nie dowie, że król został uwięziony na zamku w Middleham, że jest pokonany. — Wyjadę jeszcze tego popołudnia, dopilnuj wszystkiego. Najpierw obronię Londyn, a potem całą Anglię. Król Edward nigdy nie przegrał bitwy. Jak zwykle zatryumfuje nad swoimi wrogami i przywiedzie zdrajców na szafot.

Burmistrz kłania mi się w pas, reszta mężczyzn także gnie się w ukłonach, po czym wszyscy wycofują się za drzwi. Siedzę w krześle sztywno wyprostowana, mając nad głową królewski baldachim, aż znikają mi z oczu. Wtedy zwracam się do swoich dworek:

— Zostawcie mnie samą. Przygotujcie wszystko do podróży.

Rozbiegają się z wahaniem. Chciałyby zostać przy mnie i zaofiarować mi swoje współczucie, lecz widząc niezgłębiony smutek na mojej twarzy, ostatecznie jedna po drugiej wymykają się na korytarz. Siedzę sama jak palec w rozjaśnionej światłem słonecznym komnacie i po raz pierwszy zauważam, że krzesło, które zajmuję, ma w wielu miejscach odpryski, a podłokietniki zostały nierówno wyrzeźbione. Baldachim ze złotogłowi jest matowy i przykurzony. Mój ojciec i brat nie żyją. Straciłam najłagodniejszego, najbardziej

kochającego ojca, jakiego kiedykolwiek miała niewiasta, i dobrego, przyzwoitego brata. Straciłam ich dla tego odłupanego miejscami krzesła i brudnego baldachimu. Moja namiętność do Edwarda i pragnienie korony postawiły nas — nas wszystkich — w pierwszej linii bitwy i kosztowały własną krew — szanowanego brata i ukochanego papy.

Pamiętam, jak sadzał mnie na mojego pierwszego kucyka i przykazywał, abym trzymała brodę wysoko, a dłonie nisko i mocno zaciskała palce na wodzach, pokazując konikowi, kto tu rządzi. Pamiętam, jak gładził po policzku panią matkę i zapewniał ją, że jest najbystrzejszą niewiastą w Anglii i że nigdy nie będzie przyjmował rad od nikogo innego, po czym postępował według własnego widzi-misję. Pamiętam, jak opowiadał, że zakochał się w niej, kiedy był tylko giermkim jej pierwszego męża, a ona już była wielką panią, która nigdy nie powinna nawet na niego spojrzeć. Pamiętam, jaki był dumny, mogąc powiedzieć, że wyszła za niego tuż po tym, jak owdowiała, nie przejmując się nakazami i zakazami, i że potem nazywano ich najurodziwszą parą królestwa, poślubioną sobie z mi-łości, na co mało kogo było stać. Pamiętam, jak zdaniem Antoniego wyglądał w Reading, udając, że o wszystkim wie i nie umiejąc zapa-nować nad rozbieganymi z ekscytacji oczyma. Pamiętam — i ledwie tłumię śmiech na to wspomnienie — jak oznajmił mi, że teraz bę-dzie mi mówić po imieniu tylko na osobności, do czego będziemy musieli oboje przywyknąć, gdyż tak wypada. Pamiętam, jak wypiął pierś, gdy mu rzekła, że jego syn ożeni się z księżną, a on zostanie hrabią.

Nagle zaczynam myśleć o pani matce, o tym, jak przyjmie tę stratę. Mnie przypadnie jej powiedzieć, iż papa umarł śmiercią zdraj-cy za to, że bił się w mojej sprawie po całym życiu spędzonym na bronieniu przeciwnej strony. Wspomnienia i myśli kłębią mi się w głowie, a ja czuję się znużona i chora do szpiku, bardziej niż kiedykolwiek w życiu, bardziej niż wtedy, gdy papa wrócił z pola bitwy pod Towton i oznajmił, że przegraliśmy, bardziej nawet niż wtedy, gdy mój pierwszy mąż nie zjawił się w domu po bitwie pod St. Albans i później się dowiedziałam, że poległ walecznie w szarży przeciwko Yorkom.

Czuję się gorzej niż kiedykolwiek, albowiem teraz już wiem, że łatwiej jest wzniecić w kraju wojnę, aniżeli ugasić ją i zaprowadzić pokój, i że czas wojny to zły czas do życia, a królestwo pogrążone w ciągłej walce to złe miejsce do wychowywania córek i oczekiwania przyjścia na świat syna.

W Londynie witają mnie jak bohatera wojennego, a miasto aż huczy od poparcia dla Edwarda, co jednak nie będzie miało żadnego znaczenia, jeśli ten rzeźnik Warwick ukatrupi mojego męża w niewoli. Rozgaszczam się w dobrze ufortyfikowanej twierdzy razem z córkami i synami — ci ostatni jakby spotulnieli i zrobili się grzeczni jak szczenięta, kiedy się przekonali, że nie każdą bitwę można wygrać i nie każdy ukochany syn wraca do domu. Są wstrząśnięci śmiercią dziadka i wuja Jana i co dzień pytają o bezpieczeństwo króla. Wszyscy jesteśmy pogrążeni w żałobie, nawet dziewczynki zdają sobie sprawę z grozy sytuacji i niepokoją się o ojca. Piszę list do swego krewniaka księcia Burgundii, w którym proszę go o przygotowanie we Flandrii bezpiecznej kryjówki dla mnie, moich synów i księżniczek. Dodaję, że trzeba znaleźć niepozorne miasteczko, pozbawione jakiegokolwiek znaczenia, i niezamożną rodzinę skłoną przyjąć pod swój dach dalekich krewnych z Anglii. Moim obowiązkiem jest znaleźć takie miejsce dla córek, gdzie nikt nigdy ich nie znajdzie.

Książę przyrzeka, że uczyni znacznie więcej. Ma zamiar bronić Londynu, jeśli tylko mieszkańcy staną po mojej stronie i po stronie dynastii Yorków. Chce przysłać swoją armię. Pyta mnie, co wiadomo o królu. Czy jest żyw i bezpieczny?

Nie wolno mi się zdradzić nawet przed nim. Wieści o Edwardzie nie powinny się roznieść. Jest teraz więźniem, zupełnie jak nieszczęsny król Henryk. Jak to możliwe? Jak do tego doszło? Jak długo to może trwać? Warwick wciąż przetrzymuje go na zamku w Middleham i równocześnie przekonuje lordów, aby zaprzeczyli, że kiedykolwiek był prawowitym władcą. Są tacy, którzy powiadają, że mojemu mężowi zostanie postawione ultimatum: albo abdykuje na rzecz swego brata, albo będzie musiał złożyć głowę na katowskim pieńku. Warwick nie spocznie, póki nie będzie miał

w rękę korony bądź głowy Edwarda. Inni znów twierdzą, że lada dzień okaże się, iż Edward zbiegł do Burgundii lub zaginał. Wysłuchuję plotek, gdyż nie docierają do mnie żadne sprawdzone wiadomości, i zastanawiam się, czy zostanę wdową tego samego miesiąca, w którym osierocił mnie ojciec i brat. I jeżeli tak — czy się po tym podźwignę?

Pani matka ściąga do mnie w drugim tygodniu wyczekiwania. Przybywa z naszego starego domu w Grafton bez jednej łyzy, lecz jakby przygarbiona po ciosie prosto w żołądek. W chwili gdy pada na nią mój wzrok, wiem, że nie muszę informować jej o tym, że jest wdową. Zdaje sobie sprawę, że utraciła miłość swego życia; ręką tłamsi szarfę sukni, jakby pod spodem znajdowała się śmiertelna rana. Przypuszczam, że wie tylko, iż jej mąż nie żyje, nie mając pojęcia, jak umarł ani dlaczego. Prowadzę ją do swej komnaty sypialnej, zamykam starannie drzwi, odgradzając się od dworek i dzieci, po czym z trudem odnajduję słowa, by opisać jej okoliczności śmierci jej małżonka i syna. A zginęli w niesławie, z ręki zdrajcy.

— Tak bardzo mi przykro — mówię. Klękam przy niej i ściskam jej dłonie. — Tak bardzo mi przykro, pani matko... Warwick zapłaci za to własną głową. Dopilnuję, żeby Jerzy także umarł.

Potrząsa w odpowiedzi głową. Spoglądam w górę, na jej twarz, i mogłabym przysiąc, że widzę zmarszczki, których wcześniej tam nie było. Pani matka utraciła otaczającą ją poświatę ukontentowanej z życia niewiasty, radość odeszła, bruźdząc jej twarz liniami smutku.

— Nie — odzywa się chrapliwie. Poklepuje dłonią moje splecione włosy i dodaje: — Nie mów tak. Twój ojciec by nie chciał, abyś pograżyła się w żałobie i myślach o zemście. Doskonale zdawał sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmuje. Bóg świadkiem, że stoczył w życiu dość bitew. Masz — podaje mi wyciągnięty skądś arkusik papieru. — To jego ostatni list do mnie. Przesyła mi w nim swoje błogosławieństwo i zapewnia o miłości do ciebie. Napisał go po tym, jak obiecali go wypuścić. Sądzę, że domyślał się prawdy.

Charakter pisma papy jest prosty i czytelny jak jego mówione słowa. Nie potrafię sobie wyobrazić, że już nigdy go nie usłyszę.

— Natomiast Jan... — urywa. — Śmierć Jana to wielka strata dla mnie i dla jego pokolenia. Twój brat miał całe życie przed sobą

— dodaje cicho. Po dłuższej chwili ciągnie: — Kiedy wychowuje się dziecko, towarzyszy człowiekowi nieustanny niepokój. Gdy syn wchodzi w wiek męski, matka zaczyna myśleć, że najgorsze już za nią, że zostanie jej oszczędzony ból złamanego serca. Gdy dziecko wychodzi obronną ręką z chorób, gdy zaraza zabiera przychówek sąsiadów, lecz oszczędza to najdroższe sercu, można pomyśleć, że nic mu nie grozi. Każdy mijający rok, zda się, oddala od niebezpieczeństwa i przybliża do dorosłości. Wychowywałam Jana, wychowywałam wszystkie swoje dzieci przepełniona nadzieją. Ożeniłam go z tą starą niewiastą dla tytułu i bogactwa i razem z wami śmiałam się, że ją przeżyje o wiek. Swietnieśmy się bawili na ich weselu: młodzieńca i staruchy jedną nogą w grobie. A tymczasem to ona go przeżyła, pochowała i zatrzymała swój majątek. Jak to możliwe?...

— Wzdycha głęboko, jakby zabrakło jej sił. — Powinam była wiedzieć. Ze wszystkich ludzi na świecie ja właśnie powinienam była to wiedzieć. Miewam widzenia, powinienam więc była to zobaczyć zawczasu, ale na nieszczęście niektórych spraw nie sposób przejrzeć, niektórych wydarzeń nie sposób przewidzieć. Nadeszły ciężkie czasy, Anglia zmieniła się w królestwo smutku. Żadna matka nie może mieć pewności, że nie pochowa swoich synów. Kiedy w kraju panuje wojna, kiedy kuzyn występuje przeciwko kuzynowi, kiedy brat zabija brata, żaden młody mężczyzna nie może czuć się bezpieczny.

Nadal klęczę u jej stóp.

— Matka króla, księżna Cecylia, zazna tego bólu. Poczujcie to samo, co ty czujesz teraz. Dowie się, jak to jest stracić syna, kiedy umrze Jerzy — wyrzucam z siebie pośpiesznie. — Klnę się... Będzie świadkiem, jak jej syn, książę Clarence, umrze śmiercią zdrajcy i kłamcy. Skoro ty utraciłaś syna, ona też go straci. Daję na to słowo.

— A skoro ona go straci, ty także... — przestrzega mnie pani matka. — Wendeta, oko za oko, ząb za ząb, życie za życie. Osieroceni ojcowie i owdowiałe oblubienice. Czy naprawdę chcesz opłakiwać kiedyś swego syna, tak jak ja dziś opłakuję Jana?

— Po tym jak wymierzę sprawiedliwość Jerzemu, będziemy mogli się znów pogodzić — ucinam. — Musi ich spotkać kara. Od

dzisiaj książę Clarence i hrabia Warwick to chodzące trupy. — Powstaję z kłęczek i podchodzę do stołu. — Oderwę róg tego listu — mówię. — Własną krwią podpiszę na nich wyrok śmierci.

— Błędzisz — stwierdza pani matka, lecz nie protestuje, kiedy oddzieram róg listu od papy i oddaję jej okaleczony arkusz.

Kiedy ktoś puka do drzwi, chcę wytrzeć dłonią oczy z łez, pozwalając pani matce krzyknąć: — Wejść! — jednakże zanim zdążymy w jakikolwiek sposób zareagować, oba skrzydła otwierają się na rozcież i przez próg przechodzi jak burza mój Edward, mój ukochany Edward, zupełnie jakby spędził dzień na polowaniu i postanowił zrobić mi niespodziankę, pojawiając się w moich komnatach wcześniej, niż zapowiedział.

— Dobry Boże! To ty, Edwardzie! To naprawdę ty?

— To ja — potwierdza. — Witam i pozdrawiam cię, lady Jakobino — zwraca się z szacunkiem do pani matki.

Rzucam mu się w ramiona, a on obejmuje mnie ciasno. Czuję jego znajomy zapach i miłą twardość piersi i zaczynam szlochać, macając go, jakbym chciała się upewnić, że nie jest duchem.

— Sądziłam, żeś wciąż w niewoli... Sądziłam, że grozi ci śmierć... Sądziłam, że Warwick...

— Opuściła go odwaga — rzecze krótko Edward, starając się równocześnie gładzić mnie po plecach i rozplatać warkocz. — Sir Humphrey Neville wzniecił powstanie w Yorkshire, występując z poparciem dla Henryka, a kiedy Warwick ruszył przeciwko niemu, nikt nie przyszedł mu z pomocą. Okazało się, że znów mnie potrzebuje, ponieważ nikomu się nie uśmiecha Jerzy na tronie Anglii, a ja nie mam zamiaru zrzec się korony. Czegoś takiego chyba się nie spodziewałem. Zabrakło mu śmiałości, by pozbawić mnie głowy. Prawdę powiedziawszy, nie znalazłby kata chętnego do wykonania zadania. Jestem namaszczonego władcą, nie można mnie ściąć, jakbym był drzewem. Moje ciało stało się świętością, stoję ponad wszystkimi śmiertelnikami. Nawet Warwick nie czuje się na siłach, by z zimną krwią pozbawić życia króla... Przyszedł wprawdzie z propozycją abdykacji, ale powiedziałem mu, że nie widzę takiej możliwości, zwłaszcza że niezwykle spodobało mi się na jego zamku: karmią tam doskonale, a piwniczka jest jeszcze lepsza. Oznajmiłem

nawet, że gdyby chciał mnie gościć dłużej, mogę się tam przenieść z całym dworem. W końcu dlaczego nie miałbym włączyć z Middleham na jego koszt? Bez względu na wszystko jednak nigdy nie wyprę się tego, kim jestem.

Śmieje się w głos swoim pewnym siebie śmiechem.

— Najdroższa, żałuj, że nie widziałas jego miny! Uważał, że ma mnie w garści, a koronę na wyciągnięcie ręki. A tymczasem ja ani myślałem ułatwiać mu zadania. Setnie się ubawiłem, patrząc, jak usiłuje wpaść na jakieś rozwiązanie; doprawdy było to lepsze od przedstawienia mimów. Odkąd zyskałem pewność, że znalazłaś się cała i zdrowa za murami Tower, niczego się już nie bałem. Miał nadzieję, że załamie się w niewoli, ja zaś nawet się nie ugiąłem. Miał nadzieję, że wciąż jestem tym młodym chłopcem, który jest dlań pełen podziwu. Chyba się nie spostrzegł, że zdążyłem dorosnąć. Tak czy inaczej, byłem idealnym gościem. Jadłem i prosiłem 0 więcej, a kiedy przyjeżdżał do mnie ktoś z wizytą, domagałem się, aby i jego podjęto po królewsku. Najpierw zażądałem spacerów w ogrodzie, a potem po parku. Następnie oznajmiłem, że chciałbym pojeździć konno, i stwierdziłem, że z pewnością nikt nie będzie miał nic przeciwko, jeśli udam się na polowanie. Wystaw sobie, że pozwolił mi na konne wycieczki! Któregoś dnia pojawiła się moja rada, prawie w komplecie, a on nie umiał odmówić ich wpuszczenia. Przyjąłem ich i wydałem jedno czy dwa zarządzenia, żeby wszyscy wiedzieli, że nadal panuję. Z wielkim trudem przychodziło mi nie drwić z niego w żywe oczy. Zamierzał mnie więzić, a tu proszę: musiał utrzymywać mój dwór. Miła moja, raz pewnego zażądałem muzykantów do wieczerzy, całego chóru, i proszę! już przygrywali do posiłku. Najmowałem artystów i tancerzy. Powoli zaczęło do niego docierać, że trzymanie króla na własnym zamku to jeszcze nawet nie połowa sukcesu; monarchę trzeba zniszczyć, a najlepiej zabić, chyba że odda co jego po dobroci. A ja nie dałem mu nic. I zrozumiał, że prędzej umrę, niż oddam co moje. Wreszcie, cztery dni temu, jego stajenni popełnili drobny błąd, dając mi rano na przejażdżkę mojego wierzchowca, Gniewa, który jak wiedziałem, zdoła prześcignąć wszystkie konie ze stajni Warwicka, także te najbardziej ręczne. Więc pomyślałem sobie, że tym razem wybiorę się

niecو dalej i nieco szybciej niż do tej pory. Pomyślałem sobie, że może uda mi się dojechać aż do ciebie, no i udało się!

— Zatem to koniec? — pytam, nie dowierzając. — Po prostu mu uciekłeś?

Szczerzy się z dumy niczym mały chłopiec, który wykazał się sprytem.

— Pokaż mi takiego rumaka, który doścignie Gniewa, gdy się rozpędzi. Mój ogier stał w stajni, pasąc się owsem, przez dwa tygodnie. W Ripon byłem, zanim zdążyłem mocniej odetchnąć. Nie umiałbym się zatrzymać, nawet gdybym chciał.

Wybucham śmiechem, dzieląc jego zachwyty.

— Dobry Boże, Edwardzie! Tak bardzo się o ciebie bałam! Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę! Ukochany mój, drżałam, że nigdy więcej cię nie zobaczę...

Całuje mnie w czoło i klepie po plecach.

— Czy nie przysięgałem ci, gdyśmy się pobierali, że zawsze będę do ciebie wracał? Czy nie obiecałem, że umrę we własnym łozu jako twój mąż? Czy nie przyrzekłaś mi dać syna? Naprawdę sądzisz, że jakieś tam więzienie byłoby w stanie mnie od ciebie oddzielić?

Wtulam twarz w jego pierś, jak gdybym chciała przeniknąć w głąb jego ciała.

— Miłości moja... Kochanie moje... — Unoszę lekko głowę. — Pojedziesz tam z powrotem i zakujesz go w kajdany?

— Nie. Na to jest zbyt potężny. Nadal ma pod sobą większość północy. Wolę się z nim ułożyć. Warwick wie, że jego rebelia spaliła na panewce. Wie, że przegrał. Ma na to dość sprytu i zdrowego rozsądku. Jerzy, Warwick i ja będziemy musieli dojść do jakiegoś porozumienia. Poproszą mnie o wybaczenie, a ja im wybaczę. Najważniejsze, że obaj zrozumieli, iż nie są w stanie mnie pojmać i utrzymać w niewoli ani zmusić do niczego. Jestem królem i nic tego nie zmieni. Hrabia i książę przysięgali mi wierność, tak jak ja przysięgałem sprawiedliwie władać Anglią. To przesądzone. To królestwo ma dość walk pomiędzy pretendentami do tronu, a ja nie chcę wojny. Ślubowałem, że przywrócę ład i sprawiedliwość.

Wyciąga mi z włosów ostatnie szpilki i rozpuszcza loki, przykładając twarz do mojej twarzy.

— Tęskno mi było za tobą — szepcze. — I za dziewczynkami. Przeżyłem chwile zwątpienia, kiedy zabrali mnie na jego zamek i wtrącili do komnaty bez ani jednego okna. Żałuję bardzo z powodu tego, co się stało z twoim ojcem i bratem...

Odrywa się ode mnie i spogląda na panią matkę.

— Żałuję bardziej, niż mógłbym wyrazić—zapewnia ją ze szczerością w głosie. — Takie są jednak koleje wojny, każdy mężczyzna wie, na co się pisze. Tyle że tym razem niepotrzebnie zginęło dwóch prawych ludzi.

Pani matka potakuje.

— Na jakich warunkach zawrzesz pokój z człowiekiem, który odebrał życie mojemu mężowi i synowi? Bo zakładam, że i to mu wybaczysz?

Edward krzywi się, słysząc twardą nutkę w jej głosie.

— Nie spodoba się wam to, co zaraz usłyszycie — przestrzega nas obie. — Uczynię księciem Bedford najbliższego krewniaka Warwicka, bratanka, który ma po nim dziedziczyć z racji braku męskiego potomka w linii prostej. Muszę mu dać jakiś udział w naszej rodzinie, w rodzinie królewskiej, muszę go do nas przywiązać.

— Nadasz mu tytuł księcia Bedford? — pyta z niedowierzaniem pani matka. — Miano mego pierwszego męża? Dla zdrajcy i mordercy?

— Jego bratanek może sobie zostać księciem — mówię pośpiesznie. — To Warwick zabił mego ojca i brata, nie jakiś niedorostek. Nic mi do niego.

Edward potakuje z wdzięcznością.

— Ale jest coś jeszcze — zaczyna ostrożnie. — Obiecuję na żonę młodego Bedforda naszą córkę Elżbietę. To małżeństwo umocni przymierze między naszymi rodami.

Odskakuję od niego jak oparzona.

— Elżbietę? Moją małą Elżbietę?

— Naszą Elżbietę — poprawia mnie. — Tak.

— Przyobiecasz ją na żonę, dziewczę lat niespełna czterech, rodzinie człowieka, który zamordował jej dziadka?

— Owszem. Skończyła się wojna kuzynów. Pojednanie także musi odbyć się w rodzinie. Nawet ty, najdroższa, mnie przed tym nie

powstrzymasz. Koniecznie muszę mieć Warwicka po swojej stronie. Podzielę się z nim znaczną częścią swojego bogactwa. Dam mu nawet szansę na to, by w pewnych okolicznościach tron Anglii mogli odziedziczyć jego potomkowie.

— Warwick jest zdrajcą i mordercą, a tobie chodzi po głowie wydanie mojej córeczki za jego bratanka?

— Zgadza się — potwierdza.

— Klnę się, że nigdy do tego nie dopuszczę! Co więcej: klnę się, że mój dar podpowiada mi, że to się nigdy nie stanie!

Edward uśmiecha się lekko.

— Chylę czoła przed waszą niezwykłą zdolnością przewidywania przyszłości — mówi i kłania się szeroko przed nami obiema.

— Czas pokaże, które z nas miało rację. Tymczasem, póki jestem królem Anglii będącym w prawie wydać swoją córkę za kogo tylko zechcę, dołożę też wszelkich starań, aby ochronić was przed oskarżeniem o konszachty z diabłem i utopieniem bądź uduszeniem na rozstajach jak parę zwykłych czarownic. Powiadam ci, żono, jako król i twój mąż, że jedyny sposób, aby zapewnić bezpieczeństwo każdej niewieście i każdemu dziecięciu w tym kraju, to położyć kres waśniom.

JESIEŃ 1469 ROKU



Warwick wraca na dwór jako ukochany przyjaciel i szanowany mentor króla. Mamy zdawać się rodziną, w której dochodzi do sporadycznych sprzeczek, lecz której członkowie darzą się uczuciem bez względu na wszystko. Ja witam hrabiego Warwick uśmiechem równie ciepłym jak woda skutego lodem źródła. Mam się zachowywać tak, jakby ten człowiek nie zamordował mego ojca i brata, jakby nie pojmał i nie uwięził mego królewskiego małżonka. Czynię, jak mi kazano; ani jedno gniewne słowo nie wymyka mi się z ust, choć Ryszard Neville bez wątpienia wie, że zyskał we mnie zaprzysiężonego wroga na resztę swoich dni.

Domyśla się, że nie wolno mi nic powiedzieć, i jego płytki ukłon, którym mnie wita, zdaje się przepełniony tryumfem.

— Wasza miłość — rzecze aksamitnym tonem.

Jak zwykle przy nim czuję się na straconej pozycji. Warwick jest najpotężniejszym lordem tego królestwa i układał się z Fortuną, kiedy ja wciąż jeszcze starałam się zadowolić lady Grey, swą siostrę, i potulnie słuchałam swego pierwszego męża. Patrzy na mnie, jakby uważał, że powinnam dalej pasać gęsi w Grafton.

Pragnę okazać mu oziębłość, jednakże chyba tylko okazuję niezadowolenie.

— Witaj z powrotem na dworze — mówię niechętnie.

— Jak zawsze szlachetna — stwierdza z uśmiechem. — Urodzona na królowę.

Mój starszy syn, Tomasz, wydaje z siebie zapalczywy okrzyk gniewu przystojący chłopcu, którym wciąż przecież jest, i pośpiesznie zabiera się z komnaty gościnnej.

Hrabia obdarza mnie szerszym uśmiechem.

— A, temperament młodości — rzuca jakby nigdy nic. — Świetnie zapowiadający się młody człowiek.

— Tym bardziej się cieszę, że nie był ze swym dziadem i ukochanym wujem pod Edgecote Moor — syczę, czując, jak przepełnia mnie nienawiść.

— Och, ja również! — odpowiada.

, Na razie może mnie traktować jak głupią bezsilną niewiastę, jednakże w swoim czasie zrobię tyle, ile będę mogła. W mojej szkatułce na najcenniejsze klejnoty kryje się medalion z patynowanego srebra, a w nim, zamknięty w wiecznym mroku, skrawek arkusika papieru z wypisanymi krwią imionami Ryszarda Neville'a i Jerzego Yorka. Ci dwaj to moi najwięksi wrogowie. Już dawno ich przekląłam. Teraz czekam na sposobność, by ujrzeć ich obydwóch martwych u moich stóp.

ZIMA 1469 ROKU



W najczarniejszą godzinę najdłuższej nocy w czas przesilenia zimowego idę z panią matką nad Tamizę, mroczną niby kir. Ścieżka biegnąca z pałacu westminsterskiego ściele się wzdłuż brzegu rzeki, lecz choć woda jest wyższa niż zazwyczaj, ledwie widzimy nurt nikiący w ciemnościach. Słyszymy jednak, jak fale poniżej uderzają o deski pomostu i rozbijają się o kamienne ściany murów, i czujemy ich czającą się obecność na podobieństwo ogromnego wijącego się zwierzęcia, potężną siłę odległego morza. To nasz żywioł. Wdycham woń lodowatej toni jak ktoś, kto z przyjemnością wciąga w płuca zapach rodzinnej ziemi po długiej rozłące.

— Muszę urodzić syna — mówię do pani matki.

Uśmiecha się do mnie i odpowiada:

— Wiem.

Wyciąga skądś trzy amulety na trzech niciach i zwinnym ruchem rybaka zarzucającego przynętę ciska je w odmęty, po czym podaje mi końce nici. Słyszę trzykrotne pluśnięcie, kiedy przedmioty wpadają do wody, i nie mogę nie wspomnieć złotego pierścienia, który przed pięcioma laty wydobyłam z rzeki nieopodal domu.

— Wybierz sama — poleca. — Wybierz, którą z nich chcesz. — Zamyka w mojej dłoni trzy końcówki nici, a ja kurczę odruchowo palce, aby żadnej nie wypuścić przedwcześnie.

Księżyc wyłania się zza chmury. Już jest po pełni, pozostał z niego tłusty srebrzysty kęs na niebie; na powierzchni ciemnej wody

rysuje się linia pomarszczonego światła. Nie namyślając się wiele, wybieram jedną z nici.

— Chcę tę — oznajmiam.

— Jesteś pewna?

— Tak.

Pani matka ujmuje w palce srebrny nożyk i przecina dwie pozostałe nici, tak że cokolwiek było do nich umocowane, znika na wieki na dnie Tamizy.

— Co?...

— To co się nigdy nie zdarzy; przyszłość, której nigdy nie poznamy. Dzieci, które się nie narodzą, ryzyko, którego nie podejmiesz; szczęście, które ci nie dopisze... — odpowiada. — Było, przepadło. Zobacz lepiej, co wybrałaś.

Pochyliam się i delikatnie zbieram nić w dłoniach, aż uczepony do niej przedmiot wynurza się z wody, ociekając kroplami. Jeszcze parę ruchów i widzę, że to srebrna łyżeczka, cudna srebrna łyżeczka dla małego dziecka, a kiedy chwytam ją w dłoń, dostrzegam w świetle księżycy wygrawerowaną koronę i imię „Edward”.

Święta Bożego Narodzenia wyprawiamy w Londynie, traktując je jak pojednanie, jakby uroczystości i uczyty mogły uczynić z Warwicka naszego przyjaciela. Przypominają mi się dawne czasy, kiedy nieszczęsny król Henryk starał się namawiać zaciekłych wrogów do podania sobie ręki, lecz wiem, że większość dworzan widzi w hrabim i księciu Clarence dostojnych gości, którzy śmieją się z nas w kułak.

Życzeniem Edwarda jest, aby obchody były niezwykle uroczyste, toteż w wieczór święta Objawienia Pańskiego zasiadają z nami do stołu dwa tysiące arystokratów, pośród których nie znajdzie się znaczniejszy od Ryszarda Neville'a. Ja i Edward wkładamy z tej okazji korony i stroje najnowszego kroju, ociekające bogatymi zdobieniami. Tej zimy noszę się wyłącznie na srebrno i złoto i wszyscy powiadają, iż jestem ucieleśnieniem Białej Róży Yorków.

Rozdajemy przywileje co najmniej połowie przybyłych, a każdemu dostaje się jakiś podarek. Warwick korzysta najbardziej, także ja odnoszę się doń z nadzwyczajną kurtuazją. Na rozkaz króla tań-

czę nawet ze swoim szwagrem Jerzym, podając mu rękę i uśmiechając się do jego urodziwej, chłopięcej wciąż twarzy okolonej złotoblond lokami. Po raz wtóry uderza mnie, jak bardzo jest podobny do mego męża — zupełnie jakby stanowił jego delikatniejsze odbicie. Wiem jednak, że o ile otrzymał od Opatrzności nieodparty urok Yorków, o tyle brak mu honoru króla. Nie zamierzam o tym zapomnieć ani mu przebaczyć.

Witam jego młodą żonę, Izabelę, córkę Warwicka, z łagodną uprzejmością. Zapraszam ją na swój dwór i życzę wszystkiego dobrego. W głębi ducha zaś żal mi biedactwa, chudego bladego dziewczęcia przerażonego przypisaną mu rolą w wielkim planie hrabiego. Ojciec wydał ją za najbardziej zdradzieckiego i niebezpiecznego mężczyznę w Anglii, wysłał na dwór króla, przeciwko któremu wystąpił razem z jej małżonkiem. Wyobrażam sobie, iż bardzo jej trzeba odrobiny dobroci, toteż na każdym kroku okazuję jej siostrzaną miłość. Pierwszy lepszy gość, który zjechał na nasz dwór w tę najmniej sprzyjającą ze wszystkich pór roku, mógłby pomyśleć, że naprawdę mam Izabelę za krewniaczkę. Że nie straciłam całkiem niedawno ojca i brata. Albo że postradałam pamięć przeszłych wydarzeń.

Ja jednak niczego nie zapomniałam. W szkatułce na precjoza skrywam medalion, a w nim oderwany róg arkusika, na którym papa napisał swój ostatni list. Wypisane moją krwią widnieją na nim imiona Ryszarda Neville'a hrabiego Warwick i Jerzego Yorka księcia Clarence. Nie zapomniałam i nie zapomnę, o czym pewnego dnia obaj się przekonają.

Warwick, pierwszy po Edwardzie w królestwie, pozostaje tajemniczy jak wiatr. Przyjmuje podarki, zaszczyty i nadawane mu przywileje z kamienną twarzą i wielką godnością, jak człowiek, któremu wszystko się należy. Jego współnik, Jerzy, zachowuje się jak nieposkromione szczenię ogara, łąsi się do wszystkich. Jego żona Izabela siedzi pomiędzy moimi dworkami i siostrami i z niesmakiem odwraca głowę, ilekroć książę Clarence rusza w tany albo hałaśliwie wznosi kolejny toast na cześć króla. Jerzy, jasnowłosy i kragłolicy, zawsze był ulubieńcem rodziny, a podczas tej świątecznej uczyty postępuje tak, jakby brat nie tylko mu wszystko wybaczył, lecz jakby także

w przyszłości miał mu okazywać wielkie serce. Doprawdy zepsuty dzieciak z niego, wydaje mu się, że za żadną przewinę nie spotka go kara.

Z kolei Ryszard książę Gloucester, obecnie siedemnastoletni i nad wyraz przystojny, aczkolwiek wciąż chłopięcej budowy ciała, choć najmłodszy z Yorków, nigdy nie był niczym ulubieńcem. Z całej trójki tylko on przypomina swojego ojca, tak samo ciemnowłosy i drobny, wydający się odmieńcem na tle roślących braci. W dodatku prowadzi bogobojne, spokojne życie; większość czasu spędza w posiadłości na północy Anglii, gdzie służy z oddaniem swemu ludowi. Zdaje się, że nasz olśniewający dwór wprawia go w zażenowanie. Chyba uważa, że chcemy w ten sposób przydać sobie znaczenia i wielkości, całkiem jak poganie obchodzący z przesadą nowe chrześcijańskie święta. Dałabym sobie głowę uciąć, że spogląda na mnie, jakbym była smoczycą pilnującą skarbu, nie zaś syreną w błyskotliwej wodzie. Coś mi podpowiada, że mój szwagier patrzy na mnie na poły ze strachem, na poły z pożądaniem. To jeszcze dziecko, drżące przed niewiastą, której nie jest w stanie pojąć. Przy nim moi synowie, nieco tylko młodsi, sprawiają światowe i o wiele radośniejsze wrażenie. Bez przerwy namawiają go, by udał się razem z nimi na polowanie, na hulanki po karczmach, na szaleństwa na ulicach Londynu, które przystoją księżętom tylko z zasłoniętą twarzą. Ryszard York jednak każdorazowo odmawia.

Wieści o tym, jak świętujemy to Boże Narodzenie, odbijają się szerokim echem w chrześcijańskim świecie. Powiada się, że nowy dwór królewski w Anglii jest najwspanialszym, najelegantszym, najobyczajniejszym, najłaskawszym dworem w całej Europie. Edward już dawno postanowił, że dwór Yorków dorówna pod wieloma względami Burgundczykom, także gdy idzie o modę i kulturę. Mój małżonek przepada za muzyką, toteż przy każdym posiłku towarzyszą nam wygrywane melodie i śpiewy chóru, a dworzanie uczą się starych tańców i układają nowe kroki. Antoni bryluje, mając szansę pochwalić się wiedzą zdobytą podczas podróży po Italii — rozwodzi się o odzyskującej znaczenie na tamtejszym dworze sztuce i nauce, o pięknie antycznej Grecji i starożytnego Rzymu, o tym jak osiągnięcia sprzed wieków mogą zostać przekute na nowo i wykorzystane

współcześnie. Namawia Edwarda, by ściągnąć z południa malarzy, poetów i muzyków, by szczerze sypnąć z królewskiej kiesy i założyć szkoły i uniwersytety, w których mogliby wykładać tamtejsi uczeni. Zachwyca się ideami renesansowego humanizmu, nowoczesnych nauk, arytmetyki i astronomii, sztuk pięknych i wszelakich innych nowinek. Opowiada o sposobie liczenia obejmującym tajemniczą cyfrę „zero” i próbuje wytłumaczyć, jak ona wszystko zmienia. Prawi o metodach zmierzenia niepojętych dystansów — uważa na przykład, że niebawem będzie możliwe podanie dokładnej odległości między Ziemią i Księżycem! Jego żona Elżbieta przypatruje mu się, nie kryjąc podziwu, i mówi, że to mag, wiedzący. Na naszym dworze panuje piękno, wdzięk i wiedza, a wszystko to za sprawą Edwarda i moją. Niczego sobie nie odmawiamy.

Od czasu do czasu zdumiewa mnie prawdziwy koszt prowadzenia takiego wystawnego dworu: koszt zamawianych przez nas pięknych przedmiotów, jadła, sług, ale także niekończących się żądań szlachty i dworzan, domagających się, aby ich wysłuchać, aby nadać im jakąś godność, aby przydzielić z wdzięczności skrawek ziemi, aby obarczyć urzędem, na którym powetują sobie własne powinności ściąganyymi podatkami, aby wreszcie rozsądzić spór o ojcowiznę ciągnący się od wieków czy dopiero powstały.

— Na tym polega królowanie — oświadcza Edward, załatwiając ostatnią tego dnia petycję i podpisując ostatni dokument. — Jako król mam we władaniu całą Anglię, jestem jej właścicielem. Każdy książę, hrabia i baron, cokolwiek ma, zawdzięcza to mnie, mojej łasce. Dalej są ich wasale: rycerze i włościanie, korzystający ze strumyków od płynącej szeroko rzeki. Zależni ode mnie są nawet znajdujący się na samym dole dzierżawcy, gospodarze, czynszownicy i zwykli chłopci. Muszę rozdawać ziemie i zaszczyty, aby nie tamować nurtu. Jeśli zablokuje go jakaś kłoda czy choćby grubszy konar, rozlegną się wołania, że na tronie powinien zasiadać Henryk, że za jego panowania było wszystkim lepiej. Albo że koronę powinien nosić syn Henryka bądź mój brat, gdyż jeden czy drugi okazałby się hojniejszy. Bądź też że należałoby dać szansę innemu pretendentowi, a tych... Bóg świadkiem... nie brakuje w tym kraju. Na przykład synowi Margaret Beaufort, Henry'emu, bo czemuż by dla odmiany

nie usadzić na tronie Lancastera? Nowy król z pewnością miałby szeroki gest. Dlatego chcąc się utrzymać przy władzy, muszę rozdzielać bogactwa i zaszczyty w starannie odmierzonych porcjach, nie za szybko i nie za wolno. Muszę zadowolić wszystkich, uważając, by nikt nie poczuł się poszkodowany.

— Oni nie znają umiaru — skarżę się. — Łakną tylko pieniędzy i tytułów, ich lojalność zmienia się w zależności od tego, kto zapłaci więcej. Kierują się wyłącznie własnym interesem. Nie myślą o niczym innym, tylko jak by tu zaspokoić swoją żądzę posiadania i panowania. Są gorsi od chłopów pańszczyźnianych.

Edward uśmiecha się do mnie.

— To prawda. Są tacy, jak mówisz, co do jednego. Każdy pragnie dostać kawałek ziemi i mały domek, tak jak ja pragnąłem tronu dla siebie, a ty posiadłości w Sheen i zaszczytów dla swoich krewniaków. Wszyscy chcą ziemi i bogactwa, które są w moim rozporządzeniu. Tym większą ostrożność muszę zachować...

WIOSNA 1470 ROKU



Gdy aura zaczyna się robić cieplejsza i słońce co rano wstaje wcześniej, a ptaki śpiewają radośnie w ogrodach pałacu westminsterskiego, zauszniczy Edwarda donoszą mu z Lincolnshire o kolejnej rebelii wznieconej w imieniu króla Henryka, zupełnie jakby ów nie został zapomniany przez wszystkich żyjących i nie spędzał dni w odosobnieniu w Tower raczej jako anachoreta aniżeli więzień.

— Będę musiał tam pojechać — oznajmia Edward, nie wypuszczając listu z dłoni. — Jeżeli przywódca buntu, kimkolwiek jest, został przysłany przez Małgorzatę Andegaweńską, trzeba mi go pokonać, zanim ona zdoła sciągnąć do Anglii ze swoją armią. Wygląda na to, że w ten sposób chce oszacować siły swoich zwolenników w kraju, pozwala swojemu człowiekowi podjąć ryzyko zbierania wojsk, by dopiero potem, kiedy się przekona, iż ma wystarczające poparcie, przybyć z Francuzami, stawiając mnie przed trudnym zadaniem, jakim będzie pokonanie połączonych sił.

— Dasz sobie radę? — pytam z niepokojem. — Pokonasz tego człowieka, który nie ma nawet dość przyzwoitości i odwagi, by odślonić swą tożsamość?

— Wygram jak zawsze — zapewnia mnie bez cienia wahania w głosie. — Tym razem jednak nie zostawię armii bez swego dowództwa. Muszę stanąć na czele.

— A twój wierny przyjaciel Warwick? — rzucam kąśliwie. — A twój zaufany brat Jerzy? Czy już prowadzą nabór do twojej armii? Czy już śpieszą, by walczyć u twego boku?

Edward obdarza mnie pobłażliwym uśmiechem.

— Mylisz się, moja mała królowo podejrzliwości. Otrzymałem też list od Warwicka, w którym oferuje swoich ludzi i proponuje, że spotka się ze mną w polu. Jerzy również nie zamierza mitrężyć.

— Miej się na baczności podczas bitwy — napominam go, bynajmniej nie uspokojona. — Nie byłoby pierwszymi, którzy przyprowadzili swoich żołnierzy i w ostatniej chwili zmienili barwy. Kiedy staniesz naprzeciwko nieprzyjaciela, rzuć okiem za siebie, aby sprawdzić, co na tyłach porabiają twoi dwaj najlojalniejsi słudzy.

— Obaj przyrzekli mi wierność — rzecze kojącym tonem.
— Zaufaj mi, najmilsza. Wiem, jak wygrywać bitwy.

— Nie wątpię w twoje umiejętności — odpowiadam prędko.
— Po prostu nie w smak mi myśl, że znowu musisz się zbroić i ruszać na pole walki. Kiedy to się wreszcie skończy? Kiedy ci zdrajcy przestaną wzniecać bunty w imię dawno przegranej sprawy?

— Niebawem — mówi krótko. — Gdy tylko się przekonają, że jesteśmy zjednoczeni i mocarni. Warwick przywiedzie ze sobą całą północ, a Jerzy udowodni, że jest godny miana prawdziwego brata. Ryszard stoi po mojej stronie jak zawsze. Wrócę do ciebie, jak tylko stłamszę bunt i ukaram przywódcę. Będę w domu, zanim się spostrzeżesz. Już w święto wiosny będziemy razem tańczyć, a na twoją twarz wypłynie znów uśmiech.

— Edwardzie, chyba nie umiem się pogodzić z twoim odejściem. Nie tym razem, nie teraz. Czy do zwycięstwa nie mógłbyś powieść twojej armii Ryszard przy pomocy Hastingsa? Czy nie mógłbyś jednak ze mną zostać? Ten jeden raz...

Ujmuje mnie za rękę i przyciska je do swoich warg. Nie wydaje się przejęty mymi obiekcjami, raczej rozweselony.

— Dlaczegoż to? Dlaczegoż właśnie tym razem? Skąd ta nagłość w twoim głosie? Czyżbyś miała mi coś do powiedzenia?...

Nie potrafię mu się oprzeć. Od razu uśmiecham się w odpowiedzi.

— Owszem, mam ci coś ważnego do zakomunikowania. Tyle że chciałam to jak najdłużej utrzymać w sekrecie.

— Wiem. Wiem. Sądzisz, że bym nie zauważył? No więc wyjawisz mi wreszcie tę tajemnicę, o której miałem nie mieć najmniejszego pojęcia?

— Ta tajemnica powinna cię przywieść z powrotem do domu całego i zdrowego — zaczynam. — Powinna cię przywieść z powrotem czym prędzej, a nie wysyłać w pole w szyku bojowym...

Edward nie przestaje się uśmiechać, czekając, aż oznajmię wielką nowinę. Czerpie z oczekiwania tyleż przyjemności, ile ja z odwlekania chwili, gdy wyjawię sekret.

— Ponownie spodziewam się dziecka — ogłaszam z dumą. — I tym razem mam pewność, że to będzie chłopiec.

Przyciaga mnie do siebie i zamyka w objęciach.

— Wiedziałem. Wiedziałem, że jesteś przy nadziei. Czułem to w kościach. Ale jakże możesz mieć pewność, że urodzi się syn? Moja ty czarodziejko, moja ty czarownico?...

Podnoszę na niego uradowany wzrok, ani myśląc zdradzać niewieścich tajemnic.

— Na cóż ci to wiedzieć? Dość, że masz moje słowo, iż tym razem urodzę ci chłopca. Nie wątp. Uwierz. Będziemy mieli syna.

— Syna... Małego księcia Edwarda...

Śmieję się w głos na wspomnienie malusiej srebrnej łyżeczki, którą wyciągnęłam z wód Tamizy w noc poprzedzającą przesilenie zimowe.

— Skąd wiesz, że nazwiemy go Edward?

— A jak inaczej? Postanowiłem to całe lata temu.

— Twój syn, książę Edward — powtarzam. — Zrób co w twojej mocy, aby wrócić do domu przed jego narodzinami. **1**

— Wiesz, kiedy to będzie?

— Na jesieni.

— Będę przy tobie, aby karmić cię brzoskwiniami i solonym dorszem albo tym warzywem... Co to właściwie było, kiedy nosiłaś Cecylię?

— Seler — odpowiadam ze śmiechem. — To miłe, że pamiętasz. Nigdy nie miałam go dość. Musisz być przy mnie, aby karmić mnie selerem czy czymkolwiek innym, czego będę łaknąć. W końcu

noszę chłopca, twojego syna i księcia. Musi dostać wszystko co najlepsze.

— Wrócę. A ty o nic się nie martw. Nie chcę, aby mój syn urodził się z marsem na czole.

— Będzie w czepku urodzony, zobaczysz. Pod warunkiem że ty będziesz uważał na Warwicka i swojego brata. Nie ufam im.

— Obiecuj mi, że będziesz uważać na siebie i chronić dziecko rosnące w twoim łonie.

— Obiecuję, jeśli ty przyrzekniesz, że do nas wrócisz i ochronisz dziedzictwo swego syna.

— Przyrzekam.

Pomylił się. Edward bardzo się pomylił. Nie w sprawie wyniku bitwy, dzięki Bogu, gdyż ten okazał się dobry, a walkę stoczoną pod Empingham ochrzczono rychło „potyczką bez płaszczy”, gdyż bosonodzy głupcy, co raz jeszcze wystąpili po stronie obłąkanego Henryka, uciekali z pola w takim popłochu, że porzucali broń i sztuki odzienia, byle tylko umknąć przed szarżą mego małżonka króla, który wyrąbywał sobie drogę pośród nieprzyjaciół, starając się dotrzymać obietnicy, że wróci do domu cały i zdrow i na czas, by karmić mnie brzoskwiniami i selerem.

Nie, pomylił się co do lojalności hrabiego Warwick i księcia Clarence, którzy jak się okazało, z własnej kiesy opłacili wzniecone przez siebie powstanie i zamierzali osobiście dopilnować, by tym razem Edward przegrał z kretelem. Planowali ni mniej, ni więcej tylko odebranie życia monarsze i osadzenie na tronie Jerzego. Brat i najlepszy przyjaciel Edwarda postanowili, że zamordują go podstępnie, wrażając mu sztylet w plecy podczas zgiełku bitwy, i byliby to niechybnie uczynili, gdyby nie rzucił się w wir walki na swym rączym bojowym rumaku, którego nikt nie jest w stanie doścignąć.

Zanim doszło do potyczki, baron Richard Welles, jeden z przywódców rebelii, padł przed Edwardem na kolana i wyznał prawdę na temat faktycznego planu, pokazując rozkazy Warwicka i złoto Jerzego. Został przekupiony, by dokonać zamachu stanu w imieniu odsuniętego od władzy króla Henryka, lecz w rzeczywistości był to tylko pretekst, aby związać walką Edwarda i pozbawić go życia.

Warwick okazał się pojętym uczniem. Zrozumiał, że nie można prowadzić na pasku męczyzny takiego jak mój Edward. Ze aby pokonać prawdziwego króla, trzeba go zabić. Jerzy natomiast przemógł swoje braterskie sentymenty. Był gotów poderżnąć starszemu bratu gardło, gdyby zaszła taka potrzeba, i rzucić się wplaw pośród przelanej krwi po strąconą koronę. Obaj, Warwick i Clarence, opłacili sownie nieszczęsnego barona, by wciągnął króla w pułapkę, im go wystawiając, po czym raz jeszcze się przekonali, że Edward przewyższa ich pod każdym względem. Mój mąż, zobaczywszy dowody ich winy na własne oczy, zavezwał Neville'a i Jerzego do swego boku jako druhów — przyjaciela będącego mu jak starszy brat i młodzika, z którym łączyły go więzy krwi — po czym gdy nie odpowiedzieli na jego wezwanie, wiedział już wszystko, co powinien wiedzieć, i zaraz posłał ludzi, by przywiedli ich przed jego oblicze jako zdrajców, lecz na to oczywiście było już za późno: i jeden, i drugi zniknęli jak sen jaki złoty.

— Oni muszą umrzeć — oświadczam pani matce, kiedy siedzimy w mojej komnacie w pałacu westminsterskim, kręcąc kołowrotkiem i zwijając włókna przędzy ze złotą nicią z przeznaczeniem na ozdobną pelerynkę dla mającego przyjść na świat chłopca. Będzie zrobiona z najdelikatniejszej jagnięcej wełny i najkosztowniejszej złotej nici, szata godna małego księcia, następcy najwspanialszego tronu w chrześcijańskim świecie. — Muszę zobaczyć ich martwymi. Nie ma znaczenia, co powiesz.

Jakobina Luksemburska wskazuje wrzecionem czesaną przędzę.

— Powstrzymaj się od rzucania złych życzeń, bo mogą wsiąknąć w spłot — przestrzega mnie.

Zatrzymuję człapiej.

— Proszę bardzo — mówię. — Pelerynka może zaczekać, urok nie.

— Wiesz, że Edward przyobiecał baronowi Wellesowi, że uniesie cało głowę, jeśli ujawni spisek, a potem, gdy ów w nadziei na łaskę wyznał wszystko jak na spowiedzi, król złamał dane słowo i kazał go stracić?

Potrząsam przecząco głową.

Twarz pani matki chmurnieje.

— Teraz Beaufortowie opłakują swego krewniaka Wellesa, a wrogowie Edwarda zyskali jeszcze jeden powód do nienawiści. Król złamał przyrzeczenie. Nikt mu więcej nie zaufa, nikt nie odważy się mu poddać. Edward dał się poznać jako człowiek niegodny zaufania. Wcale nie lepszy od Warwicka.

Wzruszam ramionami.

— Tak to już jest na wojnie. Margaret Beaufort wie o tym równie dobrze jak ja. Zresztą ona i tak byłaby niezadowolona, skoro pozostaje wierna Lancasterom, a my przymuszamy jej syna Henry'ego Stafforda, aby walczył po naszej stronie. — Śmieję się gorzko. — Nie zazdroszczę mu. Znalazł się między młotem matki a kowadłem króla.

Pani matka także nie umie ukryć uśmiechu.

— O, nie wątpię, że Margaret Beaufort ostatni czas spędziła na klęczkach — zauważa zjadliwie. — Chociaż jak na niewiastę, która utrzymuje, że jest za pan brat z Najwyższym, mało ma na to dowodów.

— Tak czy inaczej, baron Welles to człowiek bez znaczenia — kontynuuję przerwany temat. — Żyw czy martwy. Ważne jest to, że Warwick z Jerzym zbiegli i udadzą się do Francji, gdzie będą rozpowiadać o nas oszczerstwa i spróbują zebrać nową armię. Zyskaliśmy nowego wroga, w dodatku z własnego rodu, z własnej krwi! Yorkowie, cóż to za rodzina!

— Gdzie dokładnie są teraz? — interesuje się pani matka.

— Płyną do Calais, tak przynajmniej twierdzi Antoni. Izabela zrobiła się już gruba jak beczka, ale też z nimi płynie, mimo że ma do opieki tylko swoją matkę, hrabinę Warwick. Z pewnością liczą na to, że uda im się przekonać ludzi, by sięgnęli po broń. Wszyscy tam wielbią Neville'a. Jeżeli zajmą Calais, nie będziemy znali dnia ani godziny z wrogiem zagrażającym naszej flocie tuż po drugiej stronie Kanału, zaledwie pół dnia żeglugi od wybrzeży Anglii. Nie wolno nam pozwolić, by dotarli bezpiecznie do celu, musimy ich za wszelką cenę powstrzymać... Jest już jednak za późno na wysłanie za nimi pościgu...

Wstaję i zbliżam się do okna, za którym panuje ciepła, słoneczna aura. Tamiza w dole pobłyskuje niczym fontanna; jej wody są spo-

kojne. Spoglądam na północny zachód i widzę na widnokręgu ciemne chmury mogące świadczyć o sztormie na morzu. Układam wargi w ciup i gwizdzą cicho.

Słyszę, jak pani matka także odkłada wrzeciono i wstaje, by podejść do mnie statecznym krokiem. Nie odrywam wzroku od linii horyzontu, wypuszczając powietrze przez usta, co przypomina zawodzenie wichury. Czuję, jak pani matka obejmuje ramieniem moją pogrubiała talię. Teraz gwizdźmy już wspólnie, wzbudzając odległy potężny sztorm.

Wolno, lecz nieubłagane burzowe chmury zaczynają się kłębić jedna przez drugą, aż niebo w oddali zaciąga się całkowicie. Nawet tutaj powietrze staje się zimniejsze i robi się bardziej ponuro. Wzdrygam się na przejmujący chłód dobiegający od okna i odwracam plecami do ciemniejącego dnia. Wkrótce musimy umykać przed pierwszymi zacinającymi kroplami deszczu.

— Wygląda na to, że na morzu rozpętał się sztorm — stwierdzam.

Tydzień później pani matka zjawia się w mojej komnacie, trzymając w dłoni list.

— Dostałam wiadomość z Burgundii. Mój kuzyn donosi mi, że statek Warwicka i Jerzego został zepchnięty z kursu u wybrzeży Francji i nieomal poszedł na dno na zdradliwych wodach u wejścia do Calais. Ponoć błagali załogę fortów, aby im pozwoliła zawinąć do portu ze względu na odmienny stan Izabeli, ale dowódca odmówił i zablokował łańcuchami kanał. Przez wiatr, który się zerwał od morza, omal się nie roztrzaskali o mury wieży. Znaleźli się w impasie: broniono im wstępu, a spuszczenie szalup na wzburzone wody zakrawało na szaleństwo. Biedna Izabela zaczęła rodzić pośród szkwału. Fale miotały nimi całymi godzinami i nowo narodzone dziecko zmarło.

Czynię znak krzyża.

— Niech Bóg ma w opiece niewinną duszyczkę — mówię. — Nawet zaciekły wróg nie życzyłby śmierci niemowlęciu.

— Zaiste — potakuje pani matka. — Wszakże gdyby Izabela nie wsiadła na statek uwożący zdrajców, wydałaby dziecię na

świat na suchym lądzie, w otoczeniu akuszerek i przyjaznych dworek.

— Biedna Izabela... — powtarzam za panią matką, przykładając dłoń do nabrzmiałego brzucha. — Niewiele radości ją spotkało, odkąd wyszła za mąż za księcia. Pamiętasz? Robiła całkiem dobre wrażenie w czas Bożego Narodzenia...

— To nie koniec wieści — kontynuuje pani matka, jakby nie dosłyszawszy. — Warwick i Jerzy schronili się na dworze króla Ludwika Francuskiego, a co gorsza już się spotkali z Małgorzatą Andegaweską w jej rodzinnym Angers, gdzie zaczęli spiskować przeciwko nam, tak jak my tutaj spiskujemy przeciwko nim.

— Warwick nadal nie chce przymierza?

Pani matka krzywi się boleśnie.

— Rzeczywiście, zawzięty z niego człowiek. Podczas ucieczki był świadkiem, jak rodzi się i czeźnie jego wnuk, a mimo to prosto z omal wraku ruszył szukać nowych sojuszy i knuć. Wygląda na to, że nic go nie powstrzyma. Każdy dwa razy by się zastanowił, skąd sztorm z niebieskiego nieba, ale jemu nic nie daje do myślenia. Nawet to, że teraz nadskakuje Andegawence, choć jakiś czas temu występował przeciwko niej. Musiał długo przed nią klęczeć i błagać o wybaczenie... ja, niedawno swego największego wroga. Nie przyjęłaby go bez tego aktu skruchy. Niech Bóg jej przebaczy, że zawsze nosiła głowę wysoko.

— Co on twoim zdaniem planuje?

— Nie on, tylko Ludwik Francuski, gdyż to on pociąga teraz za sznurki. Warwick może sobie myśleć, że jest twórcą królów, lecz w istocie kukiełka z niego, nikt więcej. O Ludwiku Jedenastym powiadają Pająk, i słusznie, bo snuje swoją nić pracowicie, skrzętniej nawet niż my. Pragnie obalić twego męża, pomniejszyć znaczenie Anglii. Obecnie wykorzystuje do tego celu hrabiego Warwick i Andegawenkę. Syn Małgorzaty, Edward Westminster, tak zwany książę Walii, ma ponoć poślubić młodszą córkę hrabiego, Annę Neville, aby scalić pakt tych dwojga kłamiwych rodziców. Wyobrażam sobie, że później wrócą wszyscy do Anglii, aby oswobodzić Henryka z Tower.

Nie posiadam się ze zdziwienia.

— Oddadzą śliczną Annę temu potworowi Edwardowi, byle tylko zapewnić sobie lojalność jej ojca?

— Zrobią to bez mrugnięcia okiem — odpowiada pani matka.
— Poślubią dziewczę niespełna czternastoletnie młodzieńcowi, który od jedenastego roku życia ma prawo decydować, w jaki sposób umrą jeńcy wojenni. Człowiekowi, który został wychowany na diabła wcielonego. Przypuszczam, że Anna zastanawia się w duchu, czy dzięki temu zostanie wywyższona do roli królowej czy raczej strącona w otchłań piekielną.

— Ale to przecież przekreśla plany Jerzego — zauważam przytomnie. — Od biedy można było zrozumieć, że wystąpił przeciwko swemu bratu królowi, gdyż miał nadzieję go zabić i przejąć po nim koronę, lecz co może zyskać w takiej sytuacji? Dlaczego chce dalej walczyć z Edwardem, odkąd nie ma w tym dla niego korzyści? Dlaczego zamierza trzymać stronę Lancasterów przeciwko własnej krwi i przysłużyć się osadzeniu na tronie najpierw Henryka, a potem Edwarda Lancastera?

— Domyślam się, że nie przewidział takiego obrotu wypadków, kiedy kazał stawiać żagle i opuszczał Anglię z żoną bliską rozwiązania oraz świekrem gotowym na wszystko, byle odebrać Edwardowi Yorkowi koronę. Tymczasem zdążył stracić pierworodne dziecko, a jego świekier wciąż ma drugą córkę, z której może uczynić królową. Dobrze prawisz, szanse Jerzego drastycznie się odmieniły. Powinien mieć na tyle oleju w głowie, by to dostrzec. Lecz czy ma?...

— Ktoś musi mu doradzić, co robić — stwierdzam. Nasze spojrzenia spotykają się na moment i nie muszę mówić nic więcej; z panią matką rozumiemy się bez słów.

— Zechcesz złożyć wizytę królowej matce przed wieczerzą?
— pada pytanie.

Zdejmuję stopę z człapieja i dłonią zatrzymuję rozpędzony kółwrotek.

— Chodźmy do niej natychmiast — proponuję.

Królowa matka siedzi w otoczeniu swych dworek pochylona nad wyszywanym ornatem. Jedna z panien dworskich czyta głośno Biblię, której słowa mają być natchnieniem do pracy. Cecylia Neville

znana jest z przesadnej pobożności. Jej podejrzenie, że pani matka i ja nie dorównujemy jej w świątobliwości, a co gorsza, możemy być pogankami lub nawet czarownicami, jest tylko jednym z wielu zarzutów pod moim adresem. Upływ czasu w żaden sposób nie zmienił zdania księżnej Cecylii o mnie. W przeszłości nie chciała, abym poślubiła Edwarda, i pała do mnie niechęcią nawet teraz, gdy okazałam się dobrą żoną dla jej syna i dobrą matką dla jej wnuczek. W istocie była dla mnie tak nieuprzejma, że Edward podarował jej na własność Fotheringhay, byle tylko trzymać ją z dala od dworu przez większą część roku. Jeśli mam być szczerą, nie jestem najlepszego zdania o jej pobożności; gdyby naprawdę była taka bogobojna, wychowałaby Jerzego na dobrego człowieka. Gdyby Pan Bóg jej sprzyjał, nie utraciłaby przedwcześnie męża i ukochanego syna Edmunda. Dygam przed nią na powitanie, a ona powstaje, aby złożyć przede mną głęboki ukłon. Ruchem głowy poleca dworcom, by zabrały ornat i przeniosły się z pracą w przeciwną stronę komnaty. Doskonale wie, iż nie składam jej kurtuazyjnej wizyty, aby zapytać o zdrowie, nasze stosunki bowiem nie są i nigdy nie będą aż tak ciepłe.

— Wasza miłość... — mówi do mnie. — To wielki zaszczyt gościć cię w moich progach.

— Milady — odpowiadam z uśmiechem. — Cała przyjemność jest po mojej stronie.

Siadamy równocześnie, aby uniknąć roztrząsania kwestii, która z nas jest ważniejsza, po czym zapada cisza.

— Twoje dobro leży mi na sercu — zapewniam miódowym głosem. — Z pewnością bardzo się martwisz o Jerzego pozostającego z dala od domu, z piętnem zdrajcy na czole, pod wpływem zniesławionego hrabiego Warwick, oderwanego od brata i bliskich... Zwłaszcza że stracił pierworodnego, a i jego życie znalazło się w wielkim niebezpieczeństwie.

Księżna Cecylia mruga ze zdziwienia. Nie spodziewała się, że wyrażę troskę o jej ulubieńca.

— Oczywiście, że moim życzeniem jest, aby powrócił na łono rodziny — rzecz ostrożnie. — Zawsze wielkim smutkiem napawa wasń między braćmi...

— W dodatku Jerzy zdaje się teraz zdradzać własną krew — ciągnę płaczliwie. — Nie tylko brata, ale również ciebie, twoje dziedzictwo, ród Yorków.

Królowa matka rzuca spojrzenie w stronę towarzyszącej mi Jakobiny Luksemburskiej, oczekując szczegółowszych wyjaśnień.

— Przysłał na służbę u Andegawenki — rzuca krótko pani matka. — Twój syn, York, zamierza walczyć po stronie Lancastera. To godne pożałowania.

— Tym bardziej że przegra. Nie ma co do tego wątpliwości — mówię rzeczowo. — Jego wysokość król Edward odnosi zwycięstwo za zwycięstwem. Kiedy będzie po wszystkim, Jerzy da głowę jako zdrajca i przeniwierca. Jakże mój mąż mógłby go ocalić, jakże mógłby okazać mu braterską miłość po tym, jak Jerzy przywdzieje barwy Lancasterów? Milady, pomyśl tylko: twój syn umierający z czerwoną różą na piersi. Co za sromota! Jego ojciec z pewnością przewróci się w grobie...

Wydaje się, że moje słowa odnoszą zamierzony skutek — Cecylia Neville jest wstrząśnięta.

— To nieprawda — szepcze pobielającymi wargami. — Mój syn nigdy by nie przeszedł na stronę Małgorzaty Andegaweńskiej, największego wroga jego ojca...

— Małgorzata Andegaweńska kazała zawiesić głowę jego ojca na murach Yorku — przypominam w udawanym zamyśleniu — a on teraz chce walczyć w barwach Lancasterów. Nie widzę możliwości, aby Edward był w stanie to wybaczyć...

— To nieprawda — powtarza nieco pewniej. — Być może dał się skusić i przeszedł na stronę Warwicka. Ciężko jest być drugim synem, zawsze w cieniu i... — urywa. Wszystkie wiemy, że Jerzy jest strasznym zazdrośnikiem, ma pretensje do całego świata, a największe do swych braci, do Hastingsa oraz do mnie i moich krewnych. Wiemy też, tak jak tu siedzimy, że to ona nakładła mu do głowy myśli o tym, że Edward jest bękartem, a on, Jerzy, prawowitym dziedzicem i następcą tronu. — Poza tym co...

— Co mu to da? — wpadam jej w słowo. — To dobre pytanie. Nie dziwię się, że je zadajesz, w końcu będąc jego matką, znasz go najlepiej. Jerzy faktycznie nie robi niczego, co nie miałyby mu przy-

nieść korzyści, i nigdy nie przejmuję się sprawami takimi, jak honor, lojalność czy złożona przysięga. Hołduje zasadzie: każdy sobie rzepkę skrobie, ma za nic przynależność do rodu Yorków, myśli wyłącznie o swojej osobie...

Cecylia Neville rumieni się, słysząc moje słowa, lecz nie zaprzecza — nawet ona... zwłaszcza ona nie może zaprzeczyć, że Jerzy jest rozpuszczony jak dziadowski bicz i zdradliwy jak Judasz.

— Biorąc stronę Warwicka, sądził, że ów uczyni go królem — rzucam jej prosto w twarz. — Wkrótce obaj się przekonali, że nikt nie chce Jerzego na tronie, na którym zasiada Edward. Tylko dwoje ludzi w królestwie uważa, że Jerzy to lepszy człowiek niż mój mąż... — zawieszam głos, a ona wpija się spojrzeniem w moje wargi. — Jerzy i ty — precyzuję po chwili milczenia. — Zbiegł u boku Warwicka do Francji, gdyż nie miał śmiałości stanąć przed swoim bratem i królem, którego znów zdradził. Lecz teraz się dowiedział, że Warwick nie zamierza mu pomóc w zdobyciu korony, że ożeni Edwarda Lancastera z własną córką i uczyni panującym monarchą swego zięcia, tak czy inaczej zostając świekrems króla Anglii. Jerzy i Izabela przestali się liczyć w jego zamierzeniach, na pierwszy plan wysunęli się Edward Westminster i Anna Neville. Jerzy w najlepszym razie zostanie szwagrem uzurpatora, zamiast być tak jak dotąd bratem prawowitego władcy.

Królowa matka kiwa potakująco głową.

— Kiepski zysk — podsumowuję. — Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę podjęte ryzyko i włożony wysiłek... — Pozwalam, by te słowa zapadły jej głęboko w duszę. — Gdyby jednak obrócił się plecami do Warwicka i Andegawenki i nie poparł sprawy Lancasterów, za to wrócił skruszony do kraju i brata i poprzysiągł wierność królowi, Edward przyjąłby go z otwartymi ramionami — obiecuję. — Wybaczyłby mu.

— Czyżby?

Potwierdzam zdecydowanym skinieniem.

— Tak. Mogę zaręczyć, że tak właśnie by było.

Nie ma potrzeby napomykać, że ja nigdy mu nie wybaczę i że zarówno on, jak i jego mentor Warwick są dla mnie trupami od dnia, w którym się dowiedziałam, iż mój ojciec i brat dali głowy po

bitwie pod Edgecote Moor, i nic nie jest w stanie odmienić ich losu. Ryszard Neville i Jerzy York — te dwa miana spoczywają w ciemnościach mojej szkatułki na kosztowności i nie ujrzą światła dziennego dopóty, dopóki ci, którzy je noszą, sami nie spoczną w wiecznym mroku.

— Dobrze by się stało, gdyby Jerzy, młody mężczyzna pozbawiony serdecznych doradców, dowiedział się od kogoś w zaufaniu, w wielkiej tajemnicy przed innymi, że może bezpiecznie wracać do domu, do matki i brata — rzuca mimochodem pani matka, spoglądając w okno, za którym wysoko na niebie szybują z wiatrem chmury. — Młodzi ludzie potrzebują czasem pokierowania. Bywa, że ktoś musi im zwrócić uwagę, iż skręcili w złym miejscu i poszli złą drogą, lecz w każdej chwili mogą zawrócić i znowu się znaleźć na pewnym trakcie. Ktoś taki jak Jerzy nie powinien się hańbić popieraniem Lancasterów, nie powinien splamić rodzowego nazwiska śmiercią zdrajcy z przypiętą do kołnierza czerwoną różą. Ktoś taki jak on powinien być z rodziną, z braćmi, którzy szczerze go Kochają... — urywa, jakby wzruszenie schwyciło ją za gardło, dając czas księżnej na zastanowienie. Pięknie to rozgrywa, podziwiam w duchu. — Gdyby ktoś mu szepnął słówko, że droga powrotu jest otwarta, odzyskałabyś syna, a trzech Yorków znów stałoby ramię przy ramieniu, walcząc ze wspólnym wrogiem. Co najważniejsze, Jerzy byłby bezpieczny jako książę Clarence i królewski brat. Już my dopilnujemy, żeby przywrócono mu tytuły. W nich leży jego przyszłość — ciągnie pani matka. — W przeciwnym razie na wieki wieków pozostanie w ludzkiej pamięci jako... — robi pauzę, szukając w myślach słowa, którym określano by w przyszłości ulubionego syna Cecylii Neville. — Zostanie nazwany nikim.

Księżna wdowa powstaje, za nią podnosi się z miejsca pani matka. Ja nadal siedzę, uśmiechając się delikatnie i wodząc za nią oczyma.

— Rozmowy z wami dwiema to czysta przyjemność — oznajmia głosem drżącym z gniewu.

Upewniwszy się, że to wszystko co ma do powiedzenia, wstaję powoli z dłonią przyłożoną do pęczniejącego brzucha i czekam, aż złoży przede mną ukłon.

— Z tobą również, milady. Dobrego dnia — mówię i opuszczam jej komnaty.

I dzieje się po naszej myśli, z łatwością jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Bez dalszych zachęt, nawet bez wiedzy Edwarda, jedna z dworek królowej matki postanawia nagle, że złoży wizytę swej serdecznej przyjaciółce, małżonce Jerzego, Izabeli Neville. Dama owa, odziana w ciemną pelerynę i gęsty welon, wsiada na łódź i płynie do Francji, gdzie udaje jej się dotrzeć do Angers, odnaleźć Izabelę i nie tracąc czasu na wysłuchiwanie jej żalów i płaczu, pójść prosto do Jerzego, by go zapewnić o nieustającej matczynej miłości i trosce. Jerzy w odpowiedzi dzieli się z nią swoim narastającym niezadowoleniem z sojuszników, z którymi jest nie tylko sprzymierzony, ale również spowinowacony. Uważa, iż Pan Bóg nie pobłogosławił jego małżeństwa, skoro już na początku odebrał mu dziecię narodzone podczas szkwału, zwłaszcza że od dnia ślubu z Izabelą nie spotkała go też ani jedna dobra rzecz, co wręcz nie mieści się w głowie — przecież jest ulubieńcem wszystkich! A teraz w dodatku znalazł się pośród zapiekłych wrogów swojej rodziny oraz co najgorsze dla niego, ponownie na drugim miejscu. Zdrajczyk Jerzy posyła mojemu Edwardowi wiadomość, że powróci do Anglii z armią Lancasterów, lecz jak tylko postawi stopę w królestwie swego ukochanego brata, natychmiast zda raport z tego, gdzie wylądowali i w jakiej sile. Będzie udawał wiernego szwagra księcia Walii do chwili rozpoczęcia bitwy, po czym zaatakuje własne szeregi i przedrze się, by raz jeszcze dołączyć do swych braci i ponownie przejść na stronę Yorków. Zapewnia, że możemy na nim polegać. Obróci się przeciwko dotychczasowym przyjaciołom, a nawet rodzinie własnej żony — uczyni co w jego mocy, aby doprowadzić ich wszystkich do upadku. W głębi serca bowiem pozostał Yorkiem, w gruncie rzeczy zawsze nim był, jest i będzie.

Mój małżonek przynosi mi te podnoszące na duchu wieści nieświadom, iż zawdzięcza nieoczekiwaną braterską pomoc knowaniom niewiast, ich nieustającemu trudowi, którego nie zauważają mężowie wiecznie zajęci sprawami najwyższej wagi. Właśnie odpoczywam na leżance, wyczuwając dłońią energiczne ruchy dziecka w łonie.

— Czyż to nie cudowne? — pyta szczerze zachwycony. — Jerzy do nas wróci!

— Wiem, że go darzysz uczuciem — mówię — lecz chyba nawet ty widzisz, że to nicpoń, gad i przeniwierca nie umiejący dochować nikomu wierności.

Wspaniałomyślny jak zwykle Edward uśmiecha się kpiąco.

— Och, to przecież tylko Jerzy, nie bądź dla niego zbyt surowa. Wszyscyśmy go zawsze rozpieszczali, a on postępował tak, by siebie zadowolić.

Jakimś cudem zdobywam się na uśmiech.

— Nie jestem dla niego surowa. I cieszę się, że znowu będziecie razem — powiadam na głos. W duchu zaś powtarzam słowa złożonej przysięgi, że Jerzego spotka śmierć.

LATO 1470 ROKU



Biegnę za swoim małżonkiem, jedną ręką podtrzymując podskakujący brzuch i z mozołem pokonując długie kręte korytarze pałacu westminsterskiego. Za nami śpieszą słudzy niosący rozmaite przedmioty.

— Nie możesz jechać. Przrzekłeś mi, że przy mnie będziesz podczas narodzin dziecka. To ma być chłopiec, twój pierwszy syn. Musisz ze mną być!

Odwraca się do mnie z pociemniałą twarzą.

— Najmilsza, mój syn nie będzie miał czym władać, jeśli teraz nie pojedę. Szwagier Warwicka, Henry Fitzhugh, wzniecił bunt w Northumberlandii. Nie ma cienia wątpliwości, że Neville'owie uderzą z północy, podczas gdy Andegawenka będzie przybijać do naszych wybrzeży na południu. Stamtąd uda się prosto do Londynu, by uwolnić z Tower swego męża. Muszę wyruszyć, i to szybko. Muszę się rozprawić z buntownikami i wrócić, zanim Małgorzata zdąży ci zagrozić. Nie śmiem nawet przystanąć, aby uciąć sobie z tobą pogawędkę, choć Bóg mi świadkiem, że sprawiają mi przyjemność te nasze sprzeczkki.

— Ale co ze mną? Co ze mną i z dziewczynkami?

Edward na boku wydaje rozkazy, półgębkiem dyktuje coś swemu pisarczykowi biegnącemu z przenośnym pulpitem i korzystającemu z każdego postoju w drodze do stajni. Król wykrzykuje polecenia w stronę koniuszych, gwardziści pędzą do zbrojowni po napierśniki i miecze, na dziedzińcu zbiera się mały oddział. W ogólnym rozgwa-

rze rozlegają się ostre nawoływania dowódców. Służba ładuje na wozy płótno na namioty, broń, żywność i rozmaite narzędzia. Niezwyciężona armia Yorków szykuje się do wymarszu pod baczным okiem króla.

— Chcę, żebyś schroniła się w Tower — rzuca w moim kierunku. — Chcę mieć pewność, że nic ci nie zagrozi. Zabierz swoją matkę i dzieci i udaj się do królewskich apartamentów w twierdzy. Tam oczekuj przyścia na świat naszego syna. Masz moje słowo, że wrócę tak szybko, jak to będzie możliwe.

— Przecież wybierasz się na wojnę do Northumberlandii. Dlaczego mam się chronić w Tower, skoro walki odbędą się setki mil stąd?

— Dlatego, że diabeł jeden wie, gdzie przybiją do brzegu Warwick z Andegawenką — odpowiada krótko. — Przypuszczam, że rozdzielią się na morzu i wyślą na północ posiłki buntownikom, resztę swoich sił kierując do Kentu. Ale niczego nie jestem pewien. Nie otrzymałem żadnych wieści od Jerzego. Nie mam pojęcia, co zamierzają. Musimy być przygotowani i na to, że zaświta im popłynąć w górę Tamizy i tak dostać się do Londynu, podczas gdy ja będę związany walką w Northumberlandii. Bądź mi posłuszna, bądź odważna, bądź moją królową: schroń się z córkami w Tower i dbaj o siebie. Wtedy będę mógł w całości poświęcić się wojaczce, wygrać i wrócić do ciebie czym prędzej.

— A moi synowie? — pytam szeptem.

— Twoi synowie pojedą tym razem ze mną. Postaram się trzymać ich z dala od prawdziwego niebezpieczeństwa, lecz muszą odegrać swoją rolę w naszej wojnie, Elźbieto.

Dziecko w moim łonie porusza się gwałtownie, jakby w proteście, ja zaś milknę obezwładniona strachem.

— Edwardzie, czy to kiedykolwiek się skończy?...

— Owszem, wraz z moim ostatecznym zwycięstwem — rzecze z wielką pewnością w głosie. — Dlatego musisz mnie teraz puścić i pozwolić mi wygrać, najmilsza.

Puszczam go więc, wiedząc, że żadna siła na tym świecie nie byłaby w stanie powstrzymać mojego męża rwącego się do wojaczki, i zapowiadam dziewczynkom, że zamieszkamy w londyńskiej

Tower, jednym z ich ulubionych miejsc, na czas, w którym ich ojciec i bracia będą walczyli ze złymi poddanymi wciąż tęskniącymi za rządami starego króla Henryka, który żyje sobie spokojnie w twierdzy w apartamentach poniżej naszych. Przyrzekam córkom, że wkrótce znów będziemy wszyscy razem. Kiedy nocą budzą się z płaczem, przestraszone koszmarem o podłej królowej i szalonym królu, i złym wuju Warwicku, zapewniam je, że papa pokona niedobrych ludzi i rychło do nas wróci, przywodząc chłopców całych i zdrowych. Przecież mi to obiecał. Edward jeszcze nigdy mnie nie zawiódł, więc i tym razem pokładam w nim ufność.

Tyle że niesłusznie.

Tym razem bowiem Edward nie wraca.

Wraz z innymi — moim bratem Antonim, swoim bratem Ryszardem, ukochanym przyjacielem sir Williamem Hastingsem i pozostałymi wiernymi druhami — zostaje obudzony w środku nocy na zamku w Doncaster przez paru minstrela pozostających w służbie króla, a wracających właśnie z łajdaczenia się w lupanarze, którzy przypadkiem wyjrzeli za blanki i dostrzegli na trakcie poruszające się ogniki zapalonych pochodni. To widomy znak, że nieprzyjaciel zmienia pozycje pod osłoną nocy, że buntownikami dowodzi przebiegły Warwick, że wróg jest najwyżej o godzinę drogi od umocnień, że plan jest taki, by pojmać króla, zanim ten zdąży stanąć w polu. Przeciwko Edwardowi jest cała północ gotowa oddać życie za hrabiego Warwick, toteż życie króla znalazło się w strasliwym niebezpieczeństwie. Northumberlandia zawsze stała murem za Neville'ami, a teraz kiedy na ich stronę przeszli także brat i szwagier Warwick, popierający znów Henryka VI, Edward jest praktycznie bez szans. Wrogie siły podchodzą pod Doncaster i nikt nie ma wątpliwości, że tym razem Warwick nie będzie brał jeńców.

W pierwszym odruchu Edward odsyła moich synów do mnie, do Londynu, a następnie wraz z Ryszardem, Antonim i Hastingsem dosiada koni i cwałuje w noc, rozpaczliwie pragnąc uniknąć spotkania z Warwickiem i jego ludźmi, gdyż to by groziło doraźnym procesem i egzekucją całej czwórki. Ryszard Neville już raz pojmał Edwarda i trzymał go pod swoją kuratelą, tak jak my pojmailiśmy i trzymamy w Tower obłąkanego Henryka, lecz bardzo szybko się

przekonał, że tylko śmierć obecnego króla może zapewnić mu zwycięstwo. Z pewnością nie będzie się cackał i więził Edwarda, w nadziei że ten podda się i zrzeknie korony. Tym razem Warwick łaknie śmierci mego męża.

Wszyscy opuszczają Doncaster w takim pośpiechu, że nie ma czasu, by przesłać mi wiadomość, by wyznaczyć miejsce naszego spotkania, by choćby poinformować, dokąd się udają. Zresztą śmiem wątpić, czy w chwili ucieczki mają w ogóle jakiś plan. Po prostu uciekają przed pewną śmiercią. Czas na zastanowienie, co począć dalej, przyjdzie dopiero później, gdy ochłona i znajdą jakąś kryjówkę. Na razie, tej nocy, mój mąż stara się unieść cało skórę.

JESIEŃ 1470 ROKU



Wieści docierające do Londynu to mieszanina plotek i pogłosek, nieodmiennie złych. Warwick postawił stopę na angielskiej ziemi, tak jak spodziewał się Edward — mój mąż nie przewidział jednak tego, że większość lordów stanie po stronie zdrajcy i nagle przypomni sobie o uwięzionym w Tower królu, któremu pozwalali gnść w zapomnieniu przez pięć ostatnich lat. Do Warwicka dołącza hrabia Shrewsbury, Jasper Tudor — zdolny powołać pod broń niemal całą Walię, Thomas Stanley — ten sam, który przyjął ode mnie trofeum po turnieju rycerskim rozegranym z okazji mojej koronacji i zapewnił, iż pozostaje wierny rodowemu mottu brzmiącemu „Niezmienny”. W ślad za tymi wpływowymi możnowładcami i dowódcami idą zastępy drobnej szlachty, w efekcie zatem wróg zyskuje przytłaczającą przewagę, Edward zaś zostaje sam jak palec. Wszystkie rodziny sprzyjające Lancasterom wyciągają zabytkową broń i zabierają się do ostrzenia mieczy i polerowania zbroi, żywiąc nadzieję, że tym razem Twórca Królów poprowadzi ich ku zwycięstwu. Widzę, że mój mąż miał rację — trzeba było rozdawać bogactwo i zaszczyty szybciej, sprawiedliwiej i co najważniejsze: właściwszym osobom. Świeżo wyniesieni ponad innych członkowie mojego rodu nie zdążyli zapuścić korzeni, zyskać należytej potęgi. Niektórzy uwierzyli, że osiągną więcej pod rządami chciwego Warwicka i obłąkanego starego króla.

Edward dałby głowę w chwili, w której wpadłby im w łapy, lecz na szczęście udaje mu się umknąć pościgowi. Tyle przynajmniej

wiadomo na pewno. Nikt wszakże nawet się nie domyśla, gdzie zasył się król z obstawą. Nie ma dnia, by ktoś nie przychodził do mnie do Tower i nie zarzekał się na wszystkie świętości, iż na własne oczy widział, jak najjaśniejszy pan umiera od ran, wsiada na statek i zbiega do Francji bądź leży martwy na marach.

Moi synowie zjawiają się w Londynie zdrożeni po długiej jeździe w siodle oraz wściekli, iż nie dane im było wymknąć się razem z królem. Powstrzymuję się, by nie trzymać ich ciągle przy sobie i nie całować częściej niż rano i wieczorem, lecz w głębi ducha nie mogę się nadziwić, iż udało im się wrócić do domu w jednym kawałku. Takim samym zdumieniem napawa mnie to, iż mój mąż i brat nie zdołali tego uczynić.

Posyłam umyślnego do Grafton po panią matkę, która już dawno powinna być z nami w londyńskiej twierdzy. Łaknę jej towarzysstwa i potrzebuję jej rady, zwłaszcza jeżeli pogłoski o naszej przegranej okażą się prawdą i zaiste będę musiała uciekać poza granice królestwa. Nie wyobrażam sobie, bym mogła opuścić Anglię bez niej. Niestety posłaniec wraca z pustymi rękoma i strapioną miną.

— Nie zastałem matki waszej miłości — oznajmia.

— Gdzie ona może się podziewać?... — Dostrzegam u sługi rozbiegane spojrzenie, jak gdyby liczył na to, że kto inny przekaże mi złą nowinę. — Mów zaraz! — podnoszę głos, czując przemożny strach. — Gdzie jest moja matka?

— W areszcie — odpowiada niechętnie. — Z rozkazu hrabiego Warwick. Nakazał ją aresztować, a jego ludzie wypełnili polecenie co do joty. Zjawili się w Grafton i pojмали ją.

— Warwick trzyma w niewoli moją matkę? — pytam, słysząc, jak krew szumi mi w uszach. — Moja matka jest jeńcem?

— Tak — potwierdza krótko.

Rozlega się dźwięczący hałas — rozglądam się wokół i zauważam, że to moje dłonie zaczęły się trząść tak bardzo, że pierścienie uderzają o drewniane podłokietniki krzesła. Biorę głęboki wdech dla uspokojenia i zaciskam kurczowo palce, powstrzymując dygot ciała. Mój syn Tomasz zbliża się w paru krokach i zajmuje miejsce po mojej lewej stronie. Ryszard naśladuje brata i staje u mojego drugiego boku.

— Jaki postawiono jej zarzut?

Rozmyślałam gorączkowo. Na pewno nie zarzucono jej zdrady — każdy jest w stanie zaświadczyć, że służyła mi mądrą radą, dotrzymała towarzystwa koronowanej królowej i była dobrą świekrą dla namaszczonego króla Anglii. Nawet Warwick nie upadł tak nisko, by oskarżyć starszą niewiastę o zdradę i kazać ją ściąć tylko za to, że kochała swoją córkę. Choć z drugiej strony mam do czynienia z mężczyzną, który bez mrugnienia okiem pozbawił życia mego ojca i brata. Z człowiekiem, który żyje po to, aby sprawić mi ból i odrzec Edwarda ze wsparcia rodziny. Z kimś, kto zabije mnie, jeśli tylko będzie miał po temu sposobność.

— Dopraszam się łaski waszej miłości...

— Jaki zarzut? — powtarzam. W gardle mam sucho i muszę odchrząknąć, by odzyskać głos.

— Czarostwo.

W wypadku oskarżenia o czary nie ma w ogóle potrzeby przeprowadzania uczciwego procesu przed sądem — można podejrzaną niewiastę ukarać śmiercią na miejscu. Wszelako nawet kiedy odbywa się proces, rzadko się kończy wyrokiem uniewinniającym, jako że zawsze znajdzie się świadek chętny zeznać pod przysięgą, iż jego krowy wyzdychały albo koń go strącił z grzbietu, dlatego że oskarżona rzuciła na niego urok. Najczęściej jednak nikt nie zwraca sobie głowy dowodzeniem winy. Wystarczy ksiądz, który poświadczy, że w grę wchodzi konszachty z siłą nieczystą, albo w tym wypadku potężny lord, którego zdaniu nikt nie odważy się sprzeciwić. Mojej matce grozi śmierć przez uduszenie i pochówek na rozstajach dróg, z dala od ludzkich siedzib. Katem w takich razach jest zazwyczaj kowal, z racji swego zawodu mający mocarne dłonie. Pani matka, choć wysoka, jest filigranowej budowy ciała i słynie z urody i długiej łabędziej szyi, toteż pierwszy lepszy parobek byłby w stanie sprawić gołymi rękami, że wyzionęłaby ducha, nie musiałby to wcale być osiłek kowal. Którykolwiek z gwardzistów Warwicka z łatwością pozbawiłby ją życia, c h ę t n i e pozbawiłby ją życia, w jednej chwili, na skinienie swego pana. Wystarczyłoby jedno jego słowo.

— Gdzie ona jest? Dokąd ją zabrano?

— W Grafton nikt nie wie, dokąd pojechali — odpowiada pośpiesznie stuga. — Rozpytywałem wokół, ale się tylko dowiedział, że przyjechał mały oddział wojska i dowódca kazał matce waszej miłości usiąść za sobą w siodle, po czym skierował się na północ. Nikomu nie mówił, dokąd ją zabiera. Ogłosił tylko wyraźnie, że została aresztowana za czarostwo.

— Muszę napisać do Warwicka... — myślę na głos. Słudze polecam: — Zejdź do kuchni i posil się tam, po czym wybierz w stajniach świeżego konia. Będziesz musiał galopować ile sił. Kiedy najwcześniej wyruszysz?

— Kiedy jaśnie pani każe — zapewnia, kłania mi się i dziarsko wychodzi wypełnić rozkazy.

W liście do Warwicka żądam wypuszczenia pani matki z niewoli. Poza tym piszę jeszcze do wszystkich arcybiskupów, których konsekrowaliśmy, i do każdego, kto moim zdaniem mógłby się za nią ująć. Zwracam się nawet do dawnych przyjaciół Woodville'ów, tych do końca otwarcie się przyznających do sprzyjania Lancasterom. Po chwili namysłu kreślę w paru słowach wiadomość do Margaret Beaufort, która jako pretendentka do tronu z linii Lancasterów może mieć teraz coś do powiedzenia. Po zalakowaniu wszystkich listów udaję się do mojej kaplicy, gdzie spędzam na modlitwie całą noc, prosząc Najwyższego, aby nie pozwolił temu podłemu człowiekowi odebrać życia mojej matce, dobrej niewieście obdarzonej zdolnością widzenia przyszłości i znającą kilka pogańskich sztuczek, niewieście, której jedyną wadą jest całkowity brak poszanowania dla lepszych od siebie. O świtaniu wypisuję jej imię na gołębiu piórku, które następnie upuszczam przez okno do rzeki, aby ostrzec Meluzynę, iż jej córka znalazła się w potrzebie.

Potem mogę już tylko czekać. Oczekiwanie przeciąga się do tygodnia, w którego trakcie nie dochodzą mnie żadne pewne wieści, co powoduje tylko wzrost moich obaw. Nadal odwiedzają mnie poddani przynoszący wiadomości o Edwardzie—większość z nich twierdzi, że mój mąż nie żyje. Drzę, iż lada chwila ktoś powie to samo o pani matce. Przerażeniem napawa mnie myśl, że zostanę całkiem sama na tym świecie. Modłę się do Boga, szepczę do Meluzyny—jedno z dwojga musi uratować moją matkę. Wreszcie mych uszu

dochodzi wieść, że została wypuszczona z niewoli, i faktycznie — po paru dniach jest już ze mną w Tower.

Biegnę do niej i rzuca się jej w ramiona z płaczem, jak gdybym miała dziesięć lat. Pani matka obejmuje mnie ciasno i kołysze w przód i w tył, jak gdybym wciąż była jej malutką córeczką. Kiedy w końcu podnoszę wzrok i patrzę Jakobinie Luksemburskiej prosto w twarz, widzę na jej twarzy płynące ciurkiem łzy.

— Nic mi nie jest — mówi. — Nie skrzywdził mnie. Nie urządził procesu czarownic. Przetrzymał mnie przez jakiś czas i puścił wolno...

— Dlaczego?... Owszem, napisałam doń, napisałam do każdego, kto przyszedł mi do głowy, aby prosić o wstawiennictwo za tobą; modliłam się i rzucałam uroki, ale nie sądziłam, że Warwick okaże ci litość.

— Andegawenka — rzuca kwaśno w odpowiedzi na moje pytanie. — Spośród wszystkich ludzi na ziemi. Rozkazała mu uwolnić mnie, gdy tylko usłyszała, że znalazłam się w jego niewoli. Swego czasu łączyła nas zażyła przyjaźń, nigdy nie przestały łączyć więzy rodzinne. Widać nie zapomniała, że wiernie służyłam na jej dworze, i poleciła Warwickowi wypuścić mnie z uwięzienia. Ponoć zagroziła mu nieprzyjemnymi konsekwencjami, gdyby tego nie uczynił.

Śmieję się z niedowierzaniem.

— A on jej posłuchał?

— Małgorzata Andegaweńska jest dlań teraz świekrą jego córki oraz oczywista królową — przypomina mi pani matka. — On zaś jest jej zaprzysięgłym sojusznikiem, bardzo liczącym na wsparcie od morza, gdy będzie przejmował władzę w królestwie. Nie przestało mieć znaczenia, że towarzyszyłam jej podczas podróży do Anglii, którą odbyła jako przyszła panna młoda, i że byłam jej wierną towarzyszką przez długie lata królowania. Ani to, że wywodzę się z rodziny od wieków sprzyjającej Lancasterom, których popieraliśmy, dopókiś nie wyszła za Edwarda.

— Doprawdy bardzo ładnie z jej strony, że cię ocaliła — przyznaję.

— Doprawdy mamy do czynienia z bratobójczą wojną — stwierdza sucho pani matka. — Nie znajdziesz w królestwie rodziny, któ-

rej by nie podzieliła waśń; brat staje przeciwko bratu, kuzyn przeciwko kuzynowi, zdarza się, że trzeba przelać własną krew. Lecz czasami, jak widać, trzeba też okazać litość. Bóg świadkiem, że Andegawenka nie jest litościwa, a jednak postanowiła, że dla mnie będzie łaskawa.

Śpię niespokojnie w urządzonych z przepychem królewskich apartamentach twierdzy londyńskiej. Ilekroć otwieram oczy, widzę promień księżycy odbity od powierzchni Tamizy i tańczący na baldachimie łoża. Układam się na wznak, czując ciężar dziecka w łonie i ból w krzyżu, i nagle dostrzegam — na granicy jawy i snu, lecz tak wyraźnie jak opromienioną blaskiem księżycy tapiserię nad głową — twarz mego męża, zmizerowaną i postarzałą, przytuloną do grzywy galopującego w ciemnościach wierzchowca otoczonego przez jakiś tuzin jeźdźców.

Wydaję zduszony okrzyk i przewracam się na bok, przyciskając policzek do haftowanej poduszki. Zасыpiam ponownie i znów się budzę, a przed oczyma nadal mam postać Edwarda pędzącego ile sił przez mrok w nie znanej mi okolicy.

Powtarza się to niezliczone razy, aż w końcu budzę się spłakana i zapadając znowu w niespokojny sen, mam pod powiekami obraz małej rybackiej przystani oraz Edwarda, Antoniego, Ryszarda i sir Williama dobijających się do jakichś drzwi, kłócących się z gospodarzem, wynajmujących odeń łódź, bez ustanku oglądających się przez ramię ku zachodowi, w stronę, z której w każdej chwili może nadciągnąć wróg. Słyszę, jak obiecują kapitanowi wszystko—wszystko! — jeśli tylko podniesie natychmiast kotwicę i przewiezie ich do Flandrii. Edward ściąga z pleców wspaniałe futro i oferuje je jako zapłatę, mówiąc: „Bierz. Jest warte dwakroć tyle co twoja łajba. Bierz, nie wahaj się, a ja zapamiętam tę przysługę”.

— Nie... — szepczę przez sen. Edward chce mnie opuścić, chce opuścić Anglię mimo danego mi słowa, że będziemy razem się cieszyć z narodzin naszego syna.

Morze poza zatoczką jest wzburzone, ciemne fale wieńczą spienione bałwany. Stateczek wznosi się i opada, kolebie wzdłuż fal, podczas gdy woda zalewa pokład. Wydaje się niemożliwością, by

udało mu się pokonać kolejny grzbiet, a jednak znów się wspina i z trzaskiem leci w dół, ku wodnej niecce. Edward stoi na rufie, trzyma się kurczowo relingu dla podpory i pozwalając, by żywiół miotał nim razem z łupinką, spogląda na oddalający się brzeg ziemi, którą nazywał swoją, wypatruje ogników pochodni pościgu. Utracił Anglię. Wszyscyśmy ją utracili. Upomniał się o koronę, zdobył ją dla siebie i dla mnie, zasiedliśmy we dwoje na tronie i myślałam już, że nic nam nie zagrozi. Lecz choć Edward nigdy nie przegrał żadnej bitwy, Warwick okazał się dlań za bystry, za obłudny, za przebiegły. Teraz mój mąż udaje się na dobrowolne wygnanie, tak jak przedtem uczynił Ryszard Neville, by lizać rany. Edward IV, król Anglii, znalazł się w sztorm na morzu, uciekając z kraju, zupełnie jak wcześniej zdradziecki hrabia Warwick. Tyle że on się schronił u Ludwika Francuskiego, zapewnił sobie sojusznika i wsparcie i knował o powrocie. Nie potrafię sobie wyobrazić, co by musiał uczynić mój ukochany, aby do mnie wrócić.

Prawda jest taka, że Warwick przejął władzę w królestwie, czyniąc uciekinierów z mego męża, brata i szwagra, i Bóg jeden wie, jak bardzo musiałyby się zmienić wiatry, aby przyznać ich z powrotem do Anglii. Tymczasem ja, moje córki i dzieci rosnące mi w brzuchu staliśmy się nowymi zakładnikami, nowymi jeńcami. Na razie zajmuję królewskie apartamenty w Tower, lecz wkrótce znajdę się niżej, w komnatach o oknach zasłoniętych kratami, a w tym łożu, w którym teraz odpoczywam, znów będzie spał król Henryk, i to o mnie miłosierny lud zacznie powiadać, iż należy mi się uwolnienie, gdyż nie przystoi, by dawna królowa umierała w więzieniu, nie ujrzawszy więcej błękitu nieba.

— Edwardzie! — jęczę i widzę, jak podrywa głowę, zupełnie jakby mnie usłyszał. — Edwardzie!...

Nie wierzę, że mógłby mnie zostawić, że moglibyśmy przegrać naszą walkę o tron. Mój ojciec oddał życie, abym została królową; mój brat poświęcił dla mnie swoją przyszłość u jego boku. Naprawdę mamy się stać jednymi z wielu pretendentów odsuniętych od władzy po paru tłustych latach? Parą królewską, która zaryzykowała wszystko, sięgnęła po koronę i berło i straciła je, gdy opuściło ją szczęście? Czy na moich córkach ma zaciążyć klątwa zdrady? Czy

moje małe dziewczynki mają wyjść za drobnych szlachetków, zaszyć się na głębokiej prowincji i trzymać kciuki, by świat o nich zapomniał, by udało im się zmażyć przewiny rodziców? Czy pani matka będzie musiała witać na kolanach powracającą w chwale Andegawenkę i błagać ją o miłosierdzie? Czy mnie pozostanie wybór pomiędzy więzieniem i wygnaniem? I jaki los czeka mojego nienarodzonego jeszcze syna? Czy Warwick pozwoli mu żyć — on, który stracił własnego wnuka i dziedzica, kiedyśmy kazali zamknąć wejście do portu w Calais? Który patrzył na cierpienie rodzonej córki tracącej dziecię pośród szkwału zesłanego od lądu za nimi?

Wrzeszczę na cały głos:

— Edwardzie, nie zostawiaj mnie!

Donośny krzyk budzi mnie na dobre i wyciąga ze snu także panią matkę śpiącą w komnacie obok. Jakobina Luksemburska odpala świecę od tłących się drew na kominku i otwiera drzwi mojej komnaty sypialnej.

— To już? — pyta. — Dziecko się rodzi?

— Nie. Miałam sen... Miałam okropny sen...

— No, no, sen mara, Bóg wiara — mamrocze pani matka, skora jak zawsze, by mnie uspokoić i utulić. Zapala świece stojące wokół mego łoża, roznieca płomień na dogasającym kominku. — No, Elżbieto... Jesteś już bezpieczna.

— Nie jestem bezpieczna — zaprzeczam. — Nikt z nas nie jest bezpieczny. W tym właśnie problem.

— Co? Co takiego ci się przyśniło?

— Edward na pokładzie statku, na wezbranym morzu. Nocą, pośród sztormu. Nie mogę mieć nawet pewności, czy statek dopłynie do drugiego brzegu. Powiadają, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, ale ja nie widzę, jak Edwardowi może pomóc przywołany przez nas wiatr, który miał pokrzyżować szyki Warwickowi i Jerzemu. Nie ustał jeszcze i teraz zagraża mojemu mężowi. Edward drży z zimna odziany jak zwykły sługa, nie ma ze sobą zupełnie nic poza tym co na własnym grzbiecie. Oddał nawet futro... Antoni także zapodział gdzieś swoją pelerynę, a Hastings i najmłodszy York nie wyglądają wcale lepiej. To wszystko, co zostało z ich armii, to wszystko, co zostało... — Przymykam oczy, aby przy-

wołać rozwiewający się obraz. — Zostawiają nas, pani matko. Edward opuścił Anglię... opuścił mnie... nas... Przegrał. Przegraliśmy. Jesteśmy zgubieni...

Pani matka ujmuje mnie za dłonie i rozciera je palcami.

— Może to tylko sen — pociesza. — Zły sen... Niewiasty bliskie rozwiązanie często ponosi wyobraźnia, często śnią im się nad wyraz plastyczne obrazy...

Potrząsam zdecydowanie głową, odrzucam przykrycie.

— Nie. Czuję pewność. To nie był sen, to było widzenie. Edward został pokonany. Opuścił Anglię.

— Czy twoim zdaniem zbiegł do Flandrii? — dopytuje pani matka, dając wiarę moim słowom. — By schronić się u swej siostry Małgorzaty, księżnej Burgundii?

Potakuję skinieniem.

— Oczywiście. Oczywiście, że tak właśnie zrobił. I niebawem pośle po mnie, to więcej niż pewne. Kocha mnie i kocha swoje córki, przyrzekał, że nigdy nas nie opuści. Ale na razie go nie ma, pani matko... Andegawenka musiała już dotrzeć do naszych brzegów i teraz maszeruje w stronę Londynu, żeby uwolnić Henryka. Musimy uciekać. Muszę ukryć dziewczynki. Nie wolno nam tu zostać ani chwili dłużej, musimy zniknąć, zanim zjawi się armia. Jeśli nas tutaj znajdą, uwiężą i nigdy nie wypuszczą z lochu!...

Pani matka narzuca mi na ramiona pelerynę.

— Sądziś, że to dobry pomysł? Dasz radę podołać trudom podróży? Czy mam posłać przodem wiadomość, żeby szykowano statek?

Pod gradem jej pytań zaczynam się wahać. Boję się wyruszać w dalszą podróż teraz, gdy ma się urodzić mój syn. Z drżeniem przypominam sobie Izabelę krzyczącą z bólu pośród podmuchów lodowatego porywistego wiatru na miotanym we wszystkie strony statku. Nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc w czas połogu ani potem, kiedy dziecko umierało jej na rękach. Zabrakło nawet księdza, który ochrzciłby maleństwo. Nie wyobrażam sobie, abym miała przeżyć coś podobnego, krzywię się na samą myśl o trzeszczeniu desek i świszczeniu takielunku. Martwię się, że wiatr, który powołałam, wciąż dmie na morskich szlakach, nieusatisfakcjonowany śmier-

cią zaledwie jednego małego dziecka, i tylko czeka okazji, by na horyzoncie pojawiły się znów żagle, z którymi można by poigrać. Nie wątpię, że gdybyśmy ja i moja rodzina pojawili się na morzu, wiatr natychmiast zwróciłby się przeciwko nam i zatopił statek.

— Nie, nie podołam podróży morskiej — odpowiadam. — Zbyt-
nio się boję zabójczego wiatru. Schronimy się w sanktuarium. Uda-
my się wszystkie do opactwa westminsterskiego. Nie ważą się nas
tam skrzywdzić. Będziemy nareszcie bezpieczne. Londyńczycy nam
sprzyjają, a Małgorzata Andegaweńska nigdy by nie naruszyła świę-
tości Kościoła. Jeśli nieszczęsnemu królowi Henrykowi pozostała
choć odrobina rozsądku, on także nie poważy się podnieść ręki na
niewiasty pod opieką Boską. Henryk znany jest ze swej świątobli-
wości i ufności w Panu. Każe Warwickowi zostawić nas w spokoju.
Zabierzmy dziewczynki i moich synów i czym prędzej przenieśmy
się do sanktuarium. Będziemy się ukrywać przynajmniej do czasu
narodzin królewskiego potomka.

LISTOPAD 1470 ROKU



Kiedy w przeszłości słuchołam opowieści o szukających schronienia w świątyni desperatach, którzy na przykład uwieszali się klamki probostwa i wyrzaskiwali obelgi pod adresem zbójów bądź gnali nawą i dotykali całą dłońią ołtarza, zupełnie jakby grali w dziecięcą zabawę w zaklepane, wyobrażałam sobie, iż później muszą żyć **O** chlebie i wodzie, a w najlepszym razie o winie mszalnym i opłatku, śpią zaś na niewygodnych ławkach wyłożonych poduszkami z kłęczników. Przekonuję się, że rzeczywistość nie jest aż tak siermiężna. Zostaje nam przydzielone miejsce w krypcie kościoła pod wezwaniem świętej Małgorzaty stojącego na terenie opactwa. Przypomina to nieco mieszkanie w piwniczce z tą różnicą, że mamy widok na Tamizę przez małe okienka wychodzące na jedną stronę oraz na główny trakt po drugiej stronie za sprawą kratownicy w odrzwiach. Wiedziemy żywot biedaków zależnych od dobrej woli sprzymierzeńców Edwarda i londyńczyków, którzy zawsze okazywali serce rodzinie Yorków i nie odwrócili się od nas w tej godzinie próby, mimo że świat wokół raz jeszcze wywinął koziołka: Yorkowie muszą się ukrywać, a na tronie zasiada znów król Henryk.

Hrabia Warwick, morderca mojego ojca i brata i strażnik więzienny mego królewskiego małżonka, wraca do Londynu w glorii i w chwale, mając u swego boku skwaszonego zięcia, Jerzego, który albo szpieguje dla nas jego szeregi, albo ponownie zmienił barwy i liczy na okruchy ze stołu Lancasterów. Jakkolwiek przedstawia się prawda, nie otrzymuję odeń żadnej wiadomości, nie ma też naj-

mniejszej oznaki, iż mój szwagier zamierza coś uczynić, aby zapewnić mi bezpieczeństwo i nietykalność. Jerzy York pokazuje się wszędzie z Twórcą Królów, jakby nigdy nie miał brata ani szwagierki zasiadających na tronie, i najwyraźniej wciąż ma nadzieję, iż korona przypadnie mu kiedyś w udziale.

Tryumfujący Warwick wydostaje z Tower swego niegdysiejszego wroga, króla Henryka, i obwieściwszy, iż w pełni nadaje się do władania Anglią, ogłasza go panującym monarchą, przywróconym na tron zgodnie z wolą poddanych. Odtąd jest oswobodzicielem i wybawcą, a w kraju panuje powszechna radość. Z początku Henryk zdaje się nieco skonfundowany nagłym obrotem wypadków, lecz co dzień ktoś mu tłumaczy, powoli i od nowa, że znowuż jest królem, a jego kuzyn i rywal, Edward z Yorków, odszedł na zawsze. Chyba się również dowiaduje, że najbliżsi Edwarda IV ukrywają się w opactwie westminsterskim, gdyż wydaje rozkaz — a może to nasi wrogowie wydają ów rozkaz w jego imieniu — aby uhonorowano świętość schronienia w kościelnych przybytkach, dzięki czemu czujemy się w miarę bezpieczni, pozostając w murach dobrowolnego więzienia.

Każdego dnia rzeźnicy posyłają nam świeże mięsa, piekarze wypieki, mleczarki z podlondyńskich wsi dwojaki z mlekiem dla dziewczynek, a gospodarze z Kentu najlepsze owoce — wszystko to bracieśkowie znajdują na progu opactwa co rano. Dobrzy ludzie mówią furtianom, że dary przeznaczone są dla „biednej królowej w tę ciężką dla niej godzinę...”, po czym gdy przypomną sobie, że stara nowa królowa, Małgorzata Andegaweńska, tylko czeka, aby postawić żagle i dobić do brzegów Anglii, potykają się o własne słowa, kończąc pośpiesznie: „Dobrze wiecie, o kim mowa. I dopilnujcie, żeby wszystko trafiło tam gdzie trzeba, bo niewiasta bliska rozwiązania potrzebuje samych najlepszych rzeczy. To uczyni połóg łatwiejszym. Przekażcie jej, że tu byliśmy, życzymy jej dobrze i będziemy wracać”.

Z trudem przychodzi mi utrzymywać córki w niewiedzy co do kolei losu ich ojca, jeszcze trudniej zaś — utrzymać je w paru ciasnych pomieszczeniach, skoro urodziły się w zbytku i są przyzwyczajone do luksusów. Dotąd mieszkaliśmy zawsze we wspaniałych pałacach z rozległymi ogrodami, gdzie nie brakowało miejsca do

zabawy. Nagłe odcięcie od świata i uwięzienie w czterech ścianach wpływa na nie przygnębiająco. Mogą co najwyżej, stojąc na ławeczce, wyglądać za okno na rzekę, po której nie tak dawno temu królewskie barki woziły je w tę i w tę od jednego pałacu do drugiego, bądź gdy ten widok im się znudzi, przysunąć krzesło do drzwi i na zmianę zerkać na londyńską ulicę, po której zwykli jeździć w lektyce i zbierać błogosławieństwa od poddanych wychwalających ich urodę i szyk. Elżbietka, moja najstarsza, choć ma dopiero cztery latka, pojmuję, że nadeszły dla nas czasy wielkiego smutku i trudów. Nigdy nie pyta o oswojone ptaszki ani o służące, które spełniały każdą jej zachciankę, zabawiały ją i pieściły, nigdy nie prosi o miniaturową złotą tiarę księżniczki ani o ulubionego pieska czy zabawki. Zachowuje się tak, jakby urodziła się i wychowała w tym miejscu, i zajmuje młodszymi siostrzyczkami, jakby była ich niańką pouczoną, by oblekała twarz w uśmiech w ich obecności. Jedyne o co wierci mi dziurę w brzuchu, sprowadza się do prostego pytania: „Gdzie jest papa?”. Nie mam wyjścia — muszę przywyknąć do tego, że co rusz zadziera główkę i spoglądając mi prosto w oczy, ze zmarszczonym czołkiem i zafrasowaną pulchną twarzyczką pyta:

— Czy jego wysokość król, mój ojciec, już wrócił, pani matko?

Najtrudniej jednak strzymać to moim synom, którzy krażą po ciasnej przestrzeni niczym zamknięte wbrew woli lwiątko, sycząc i rzucając się na siebie z pazurami, tak że moja matka musi wymyślać im zabawy i ćwiczenia — układanie i zapamiętywanie wierszy, walkę na miecze za pomocą kijów od szczotek, zapasy i podskoki powtarzane co dnia z wielką chęcią, gdyż to daje im nadzieję na tężyźnię fizyczną konieczną w bitwie, której nie mogą się już doczekać. Rywalizują ze sobą po rycersku, obmyślając plan przywrócenia Edwarda na tron.

W miarę jak dni stają się krótsze, a noce wydłużają w nieskończoność, wiem, że zbliża się czas rozwiązania i niebawem dziecko przyjdzie na świat. Przerażeniem napawa mnie myśl, że umrę tutaj w połogu i pani matka pozostanie sama z kilkorgiem mojego przychówku, otoczona przez wrogów w nieprzychylnym jej mieście.

— Wiesz, co będzie? — pytam ją bez ogródek. — Miałaś widzenie? Wiesz, jaki los czeka moje dzieci?

Dostrzegam w jej oczach czającą się świadomość przyszłości, lecz widzę też zwrócone ku sobie niestrapione oblicze.

— Nie umrzesz, jeśli o to ci chodzi — mówi wprost, nie bawiąc się w owijanie w bawełnę. — Jesteś młodą niewiastą, w dodatku wieloródką, a rada królewska przyśle ci lady Scrope i parę akuserek do pomocy. Nie ma więc powodu do strachu większego niż przed urodzeniem poprzednich dzieci. Wierzę, iż przeżyjesz połóg i nie będzie to twoje ostatnie...

— A dziecko? — wpadam jej w słowo, starając się przejrzeć zasłonę.

— Sama wiesz najlepiej, że rośnie zdrowo — odpowiada z uśmiechem. — Kto poczuł, jak szelma kopie, nie ma wątpliwości, iż chłopiec jest silny. Powtarzam raz jeszcze: nie masz powodów do obaw.

— Ale jest coś jeszcze — mówię z nagłym przekonaniem. — Widzisz przyszłość mego syna, mojego księcia Edwarda...

Pani matka przypatruje mi się przez długą chwilę, po czym postanawia niczego przede mną nie taić.

— Nie widzę, aby miał zostać królem — rzecze głucho. — Zastępowałam w karty i zerkałam w odbicie księżycy na wodzie. Pytałam kryształowej kuli i wpatrywałam się w dym. Jednym słowem, uciekłam się do każdego znanego mi sposobu niezabronionego przez Boga i dozwolonego w tym świętym miejscu. Powiadam ci więc prawdę: nie widzę, aby miał zostać królem.

Śmieję się z ulgą.

— To wszystko? Tylko tyle? Dobry Boże, przecież nawet jego ojciec przestał być królem, mimo że był koronowany i namaszczoney! Sama nie widzę, abym miała znów być królową, choć trzymałam w rękach berło i jabłko! Nie zależy mi na księciu Walii, chcę po prostu zdrowego syna. Niech się urodzi bez kłopotu i wyrośnie na mężczyznę, a to mi w zupełności wystarczy. Nie musi zostawać królem Anglii. Bylebyśmy wszyscy to przetrwali...

— Och, przetrwamy... — zapewnia mnie, wykonując ręką szeroki gest obejmujący ciasne zagracone pomieszczenia w katakumbach, łóżeczka dziewczynek w jednym kącie, sienniki służących w drugim, ubogie wyposażenie, piwniczny chłód, wilgoć murów, dymiący kominek, nawet nieustraszoną moich pociech, które zdają

się powoli zapominać, że zagnały innego życia i urodziły się do lepszych rzeczy. — To wszystko nic. Widzę, że znów się podniesiemy...

— Jakże to? — pytam z niedowierzaniem w głosie.

Nachyla się ku mnie i przykładła usta do mego ucha.

— Twój mąż nie zajął się w Burgundii uprawą winorośli i tłoczeniem wina. Nie przędzie wełny i nie uczy się tkactwa. Szykuje wyprawę, pozyskuje sojuszników swojej sprawy, zbiera fundusze, przymierza się do inwazji na Anglię. Nie tylko londyńczycy wołają Yorków od Lancasterów. A Edward jeszcze nigdy nie przegrał bitwy, pamiętasz?

Potakuję z wahaniem. Mimo że został pokonany i zmuszony do ucieczki za granice królestwa, to szczerą prawdą, iż nigdy nie przegrał żadnej potyczki.

— Skoro tak — ciągnie pani matka — kiedy już uderzy na siły Henryka, nawet gdy znajdą się pod dowództwem Warwicka i z błogosławieństwem Andegawenki, będzie musiał wygrać.

Moje odosobnienie nie wygląda tak, jak powinno wyglądać w wypadku królowej, która na sześć tygodni przed rozwiązaniem wycofuje się z życia dworskiego do niewieściej komnaty z zaciągniętymi kotarami w oknach i ciężkim zapachem kadzidła.

— Bzdura! — wykrzykuje pani matka. — Dobrowolnie się ukryłaś przed całym światem, pozbawiłaś światła słonecznego! Odosobnienie? — prycha. — Chyba żadna twoja poprzedniczka nie znalazła się w czas połogu w takim odosobnieniu jak ty teraz! A może znasz jakąś, która powiła królewskiego potomka w schronieniu za bramami klasztoru?

Połówg też nie przebiega w zgodzie z tradycją, w obecności trzech akuszerki i dwu mamek, z piastunkami, wysoko urodzonymi matkami chrzestnymi i przełożoną komnaty dziecinnej czekającymi za drzwiami komnaty niewieściej oraz z ambasadorami niecierpliwymi się z rękoma pełnymi darów. Lady Scrope zjawia się w opactwie na rozkaz dworu Lancasterów i ma za zadanie dopilnować, aby niczego mi nie brakowało, co odbieram jako wspianałomyślny gest ze strony hrabiego Warwick. A jednak trudno mi się pogodzić

z myślą, że wydam dziecię na świat w samotności, bez męża i dworzan oczekujących dobrej nowiny, a rodzicami chrzestnymi księcia zostaną nie najmożniejsi lordowie Anglii ani zamorscy monarchowie, którzy często trzymają do chrztu dzieci swoich królewskich braci, tylko opat i lady Scrope, jedyni ludzie towarzyszący mi przy tym ważnym wydarzeniu, tak samo jak ja kaprysem losu uwięzieni w tym zimnym lochu.

Nadaję synowi imię Edward, tak jak życzył sobie mój mąż i tak jak zostało zapisane na srebrnej łyżeczce, którą wyciągnęłam z reki. Andegawenka, której flotę zatrzymały u wybrzeży Francji silne sztormy na morzu, zdażyła przesłać mi wiadomość, aby chłopca ochrzcić Jan. Będąc matką Edwarda, nie życzy sobie, by w Anglii pojawił się rywalizujący książę Edward. Ignoruję jej prośbę. Czemu miałabym zwracać uwagę na to, czego pragnie Małgorzata Andegawenka? Mój królewski małżonek już dawno wybrał imię dla swego pierworodnego, a potwierdził je amulet wyciągnięty z nurtu Tamizy. Zatem narodził się Edward, książę Walii, nawet jeżeli pani matka się nie myli i mój syn rzeczywiście nigdy nie zasiądzie na tronie Anglii.

Między sobą mówimy o nim po prostu Maleństwo. Nikt nie używa oficjalnego tytułu, a ja odpływając w sen po połogu, z maleńkim ciepłutkim ciałkiem w ramionach, na poły pijana od piwa położnic, które podano mi, gdy zaczęły się bóle, myślę sobie, że być może mój syn faktycznie nie włoży korony. Nie wystrzelono z armat, by ogłosić jego przyjście na świat, na wzgórzach nie rozpalono ognisk, by poniosły wiadomość dalej w głąb królestwa. Nie wytoczono beczek z piwem na ulice, z fntmann nie trysnęło wino, poddani nie szaleją z radości, posłańcy nie wiozą dobrej nowiny na dwory Europy. Zupełnie jakby się urodził zwykły chłopiec, a nie książę. Może więc zaiste będzie z niego zwykłe dziecko, a ja na powrót stanę się zwykłą niewiastą. Może przestaniemy być wywyższonymi nad wszystkich i wybranymi przez Boga ludźmi, a zacniemy być zwyczajnie szczęśliwi.

ZIMA 1470 ROKU



Boże Narodzenie spędzamy w sanktuarium. Londyńscy rzeźnicy przynoszą nam rano tłustą gęś na wieczerzę, po której do późnej nocy gram z synami i Elżbietką w kości, dokładając starań, by pozwolić rozochoczonej dziewczusce wygrać złotego florena i odesłać ją na spoczynek zachwyconą myślą o tym, że świetnie sobie radzi z grzechoczącym kubkiem, wiele ryzykując i obstawiając wysoko. Świątujemy aż do Epifanii, wymyślając z panią matką coraz to nowe zabawy dla dzieci, szyjąc dla nich kostiumy, urządając rodzinne maskarady i rzucając zaklęcia. Opowiadamy im też legendę o Meluzynie, cudnej urody niewieście — na poły dziewczęciu, na poły wodnemu stworzeniu — którą można spotkać w źródłach pośród puszczy i która zakochuje się w śmiertelniku. W ramach inscenizacji owijam się prześcieradłem, które pani matka związuje w dole, tak że wyglądam, jakbym nie miała nóg, tylko rybi ogon, rozpuszczam luźno włosy i gdy węzowym ruchem podnoszę się z posadzki, dziewczynki piszczą z uciechy, a chłopcy biją głośno brawo. Wtedy na scenę wkracza pani matka dosiadająca kija od szczotki zwieńczonego szmacianą końską głową, odziana w kubrak odźwiernego i papierową koronę. Najmniejsze dzieci nie poznają jej w tym przebraniu i oglądają przedstawienie z fascynacją, jakbyśmy we dwie pobiły mimów występujących na dworach Europy. Snujemy z wolna opowieść o boginie adorowanej przez człowieka, o zalotach, o tym, jak mężczyźnie udaje się ją namówić, by opuściła leśne źródło i spróbowała szczęścia w szerokim świecie. Nie mówimy jednak wszystkie-

go; poprzestajemy na tym, że Meluzyna mieszka z zakochanym w niej mężem, daje mu piękne dzieci i wszyscy żyją długo i szczęśliwie.

Oczywiście prawdziwa historia przedstawia się nieco inaczej. Wszakże ja nie chcę nawet myśleć o parach połączonych miłością, a potem rozdzielonych przez los. Nie chcę myśleć o niewiastach, którym niełatwo jest żyć w świecie rządzonym przez mężczyzn. Nie chcę myśleć o boginie, porzucającej swoje źródło i pozwalającej się zamknąć w murach zamku, akurat teraz, gdy sama jestem zamknięta w sanktuarium, gdy my wszystkie, potomkinie Meluzyny, zostałyśmy uwięzione w miejscu, w którym nie możemy być wierne swojej naturze.

Śmiertelnik, który poślubił Meluzynę, szczerze ją kochał, mimo iż wprawiała go w konsternację. Wszelako nie pojmował jej obcej natury i z czasem przestało mu się podobać, że mieszka pod jednym dachem z niewiastą, która pozostaje dlań tajemnicą. (Pozwolił się więc namówić do jej szpiegowania. Ukrył się za draperiami oddzielającymi jej komnatę sypialną od miejsca, w którym zażywała kapteli, i z przerażeniem spostrzegł, że jego żona zanurza się pod wodę, że pod powierzchnią migoczą łuski i drga rybi ogon. (Prawda była taką, że jego wiarna, kochająca małżonką pozostała na poły istotą ludzką, na poły wodnym stworzeniem. Mężczyzna nie mógł znieść myśli o tym, kim ona jest, ona zaś nie umiała się zmienić. Stało na tym, że ją opuścił, gdyż nie potrafił sobie poradzić z dwoistością jej natury — nieszczęsny nie wiedział, że wszystkie niewiasty są takie właśnie: rozdarte. (Rzekomo najbardziej go bolało, że małżonką Wildzie sekretne życie, które przed nim ukrywa, lecz w rzeczywistości nie umiał się pogodzić z tym, że Meluzyna poznała nieznaną głębiny, że porusza się w nich swobodnie jak to swoim żywiole.

(Kpniec kpńców Meluzyna, która przez długi czas bardzo się starała być dobrą i przykłądną żoną, musiała powrócić do puszczy i swojego źródła, albowiem życie na ziemi okazało się dla niej zbyt trudne. (Podobnie jak wiele niewiast nie zdołała zadowość swego małżonką. (Próbowała chodzić jego ścieżkami, ale jej delikatne stopy krwawiły. (Pragnęła dla niego tańczyć, lecz sprawiało jej to niewysłowny ból Meluzyna to

przodkjni żeńskiej Cinil burgundzkiego domu królewskiego, a my — jej córzy i wnuczki — nadal usiłujemy kroczyć drogą wytyczoną przez mężczyzn i wciąż się przekonujemy, że czasem jest to nazbyt bolesne, jeśli nie niemożliwe.

Dochodzą mnie słuchy, że nowy dwór hucznie obchodzi święta. Król Henryk ponoć odzyskał zmysły, a Lancasterowie pławią się w poczuciu tryumfu. Z naszych okien widać kursujące po Tamizie barki przywożące lordów na uczyty i uwożące ich do londyńskich pałacyków. Widzę barwy lorda Stanleya — tego samego, który całował moją dłoń po turnieju rycerskim i zapewniał, iż pozostaje wierny swemu rodowemu mottu, a jako jeden z pierwszych złożył hołd Warwickowi przybytemu znów na angielską ziemię. Wyszło na to, że Lancaster z niego na wskroś; być może pozostał niezmienny w stosunku do nich.

Dostrzegam też barkę Beaufortów z powiewającym na dziobie sztandarem czerwonego walijskiego smoka. To Jasper Tudor, potęga w Walii, wiedzie swego młodego bratanka Henryka Tudora na dwór z wizytą u króla będącego ich krewniakiem. W równych częściach wygnaniec i książę, Jasper powrócił w chwale do swej ojczyzny, a lady Małgorzata Beaufort z radości wylała morze łez na widok swego czternastoletniego syna, z którym musiała się rozstać, kiedyśmy przydzielili mu statecznych opiekunów wiernych domowi Yorków, niejakiich Herbertów. Zanośliło się nawet na to, że młodziutki Henryk będzie musiał poślubić jedną z córek Wilhelma Herberta zwanego Czarnym. Tymczasem wiatr zadał z innej strony, Czarny Wilhelm poległ w naszej służbie, a Henryk Tudor znów zbliżył się do matki. Teraz Małgorzata Beaufort popycha go ku dworowi, po zaszczyty i przywileje. Z pewnością marzy jej się odzyskanie wszystkich tytułów i ziem, przywrócenie synowi dziedzictwa zagrabionego przez samego księcia Clarence. Nie wątpię, że wiele czasu spędziła na klęczkach, zarażem knując i spiskując, gdyż jest z niej nadzwyczaj ambitna niewiasta i gotowa na wszystko matka. Przypuszczam, że nim minie rok, odzyska dla syna nawet tytuł hrabiego Richmond, zabierając go Jerzemu, i jeśli tylko zdoła, sprawi, że Henryk zostanie wyznaczony

na kolejnego następcę tronu po księciu Walii, Edwardzie Westminsterze.

Jednakże najbardziej przyciąga wzrok barka Warwicka, poruszająca się płynnie dzięki miarowym wyrzutom ramion wiosłarzy, którym rytm nadaje uderzanie w bęben zawieszony na rufie — majestatycznie pruje spokojne wody rzeki, jakby nic nie mogło jej powstrzymać, nawet przeciwny nurt Tamizy. Potrafię stąd wypatrzeć sylwetkę hrabiego: Warwick stoi na dziobie dumnie wyprostowany, jak gdyby chciał narzucić swoją wolę żywiołowi, który go niesie ku pałacowi królewskiemu; zdjął nakrycie głowy i wystawia okołoną ciemnym zarostem twarz na chłodne zimowe powietrze. Już ściagam wargi, aby zagwizdać i wezwać silniejszy wiatr, lecz zaraz rezygnuję. Jego spóźnienie na ucztę nie uczyniłoby najmniejszej różnicy.

Niewykluczone, że starsza córka Warwicka, Izabela, siedzi ramię w ramię z moim szwagrem, księciem Clarence, w tyle barki, kiedy ta przepływa tuż za oknami mego podziemnego więzienia. Być może jeszcze pamięta tamto Boże Narodzenie, gdy pojawiła się na dworze jako ociągająca się oblubienica, a ja okazałam jej dobroć; równie dobrze mogła wyrzucić z pamięci czasy, w których panowałam na dworze jako Biała Królowa Yorków. Jerzy musi wiedzieć, że tu jestem — ja, żona jego brata i niewiasta, która pozostała wierna, gdy on zdradził — żyjąc w wiecznym półmroku i ubóstwie. Tak, na pewno to wie, może nawet czuje na sobie moje spojrzenie, gdy zwięzając powieki, usiłuję go wypatrzeć na pokładzie — Yorka będącego teraz ulubionym dworzaniem króla Henryka z Lancasterów.

Pani matka kładzie mi **Uteń** na ramieniu.

— Nie życz im źle — przestrzega — ponieważ czasem złe życzenia wracają do tego, kto je wymówił. Uzbrój się w cierpliwość. Edward szkuje się do powrotu. Czuję to. Ani przez moment nie straciłam wiary w niego. Te dni odejdą w niepamięć, będą ci się zdawać koszmarem, cieniem na ścianie wedle słów Antoniego. Liczy się tylko to, aby Edwardowi udało się zebrać armię wystarczająco silną do pokonania Warwicka.

— Jak? — pytam, rozglądając się po mieście, teraz już jawnie stojącym po stronie Lancasterów. — Jak miałyby to zrobić?

— Nie stracił kontaktu ze swymi braćmi, krewniakami i popiecznikami. Już powołuje ludzi pod broń. Nigdy nie przegrał żadnej bitwy, pamiętasz?

— Nigdy też nie walczył z Warwickiem — odpowiadam. — A to Warwick nauczył Edwarda wszystkiego, co mój mąż wie o walce.

— Ale Edward jest królem — przypomina mi pani matka. — Nawet jeżeli teraz niektórzy twierdzą, że to epizod bez znaczenia. Twój mąż został koronowany, namaszczony świętymi olejami, nikt nie może mu tego odebrać. Co z tego, że na tronie zasiada inny koronowany i namaszczony mężczyzna? To Edwardowi dopisuje szczęście, nie Henrykowi. Może w gruncie rzeczy tylko o to chodzi: czy ma się szczęście czy nie. A Yorkowie zawsze je mieli... — Uśmiecha się. — Teraz zaś Edward ma jeszcze nas. Powinniśmy trzymać za niego kciuki i życzyć mu zwycięstwa, nigdy jeszcze nie zaszkodził taki niewinny urok. Jeśli zaś tym razem nie pomoże, to sprawa zaiste jest stracona...

WIOSNA 1471 ROKU



Pani matka warzy w kociołku nad kominkiem dekokt, po czym wychyla się przez małe okienko i wylewa go prosto do rzeki, mamrocząc słowa, których nikt nie rozumie, a potem ciska w płomienie garść ziół, zmieniając barwę ognia na zielonkawą i wywołując mnóstwo duszącego dymu. Nawet gdy przyrządza dzieciom owsiankę, szepcze coś pod nosem; przed pójściem spać dwukrotnie strzepuje poduszki, a zanim włoży pantofle, postukuje jednym o drugi, żeby przepędzić pecha.

— Czy to naprawdę działa? — pyta mnie Ryszard, kątem oka popatrując na babkę, która właśnie splata tasiemki w warkocz, mrużąc coś do siebie.

Wzruszam ramionami i niechętnie przyznaję:

— Czasami tak.

— Ale to przecież czarostwo — zauważa nerwowo mój syn.

— Tylko czasami.

W marcu pani matka nagle obwiesztta mi w zaufaniu:

— Edward nadciąga. Tym razem nie ma co do tego wątpliwości.

— Miałaś widzenie?

Pani matka chichocze.

— Nie, rzeźnik mi powiedział.

— Co mówił? Londyn aż huczy od plotek...

— Owszem, ale on dostał pewne wieści od człowieka w Smithfieldzie, który obsługuje statki udające się do Flandrii. Ów człek na

własne oczy widział niewielką flotę żeglującą na północ pomimo niesprzyjającej aury na morzu. Jeden ze statków miał na proporcu *splendor solis*, herb Yorków.

- Edward rozpoczął inwazję?
- Na to wygląda.

W pewien wieczór w początkach kwietnia, po tym jak już położyliśmy się spać, z zewnątrz dochodzą radosne okrzyki i wiwaty, które wyciągają mnie z łoża. Gdy stoję przy drzwiach, starając się wypatrzyć coś w mroku przez gęstą kratownicę, z drugiej strony rozlega się donośne pukanie. Po chwili służka przydzielona nam do pomocy przez opata wpada zdyszana do środka i papie:

— Wasza miłość! Wasza miłość! To on. Król. Nie król Henryk, tylko drugi król. Twój król, pani. Król Yorków. Król Edward!...

Otulam się szczelniej peleryną i odruchowo sprawdzam ręką włosy.

— Tutaj, teraz? To z jego powodu lud wznosi okrzyki?

— Okrzyki, pochodnie, wszystko! — potwierdza dziewczucha.
— Oświetlają mu drogę. Śpiewają i rzucają mu złote monety pod stopy. Jemu i jego żołnierzom. Niechybnie idzie tutaj...

— Pani matko! Elżbietko! Tomaszu, Ryszardzie, dziewczęta! — wołam. — Wstawajcie i odziewajcie się! Ojciec wraca. Wraca do nas... — Chwytam służkę za ramię. — Naszykuj mi gorącej wody, a chyżo, i podaj moją najlepszą suknię. Ostawże to palenisko w spokoju, kto by chciał siedzieć w tej norze przy tłącym się ogieńku? — Wypycham ją za drzwi i właśnie rozplatom nocny warkocz, kiedy do pomieszczenia wpada Elżbietka z oczyma rozszerzonymi podnieceniem.

— Co się dzieje? Czy to zła królowa do nas idzie? Pani matko, czy zła królowa chce nam zrobić krzywdę?

— Nie, serce moje. Jesteśmy ocaleni. Wrócił król Edward, twój ojciec. Nie słyszysz, jak poddani wiwatują na jego cześć?

Stawiam ją na zydlu, żeby mogła wyjrzeć na ulicę, sama zaś ochlapuję twarz wodą i układam włosy pod czepkiem. Służka już przyniosła moją suknię, pomaga mi ją włożyć i zaciąga sznurówki gorsetu, gderając na małe dziurki, kiedy nagle ktoś łomocze do

drzwi, na co Elżbietka piszczy i zeskakuje z zydła, by na mój znak otworzyć. Na widok gościa cofa się skulona. Mężczyzna jest jakby wyższy i chmurniejszy, niż go zapamiętała, ja jednak rozpoznaję go od razu i biegnę doń, tak jak stoję, w niedopiętej sukni i boso, i już wpadam w jego ramiona.

— Gdzie mój syn? — dopytuje, gdyż już mnie przytulił, ucałował i podrapał mi lica kłującą szczecina. — Gdzie on? Czy aby dobrze się miewa? Czy aby silny?...

— Jest silny i zdrow jak ryba. Niebawem będzie miał pięć miesięcy — mówi pani matka, pojawiając się z zawiniątkiem na rękę i kłaniając nisko. — Witaj w domu, zięciu Edwardzie. Wasza królewska wysokość.

Mój mąż łagodnym gestem odsuwa mnie od siebie i w paru krokach znajduje się przy pani matce. Nieomal zapomniałam, z jaką gracją się porusza, jaki taneczny ma krok. Bierze dziecko z jej rąk i choć szepcze do niej podziękowanie, nawet na nią nie patrzy, tak jest zaaferowany. Podchodzi z synem na rękę do kominka, a mały Edward otwiera granatowe oczęta i ziewa, otwierając szeroko różane usteczka, po czym wpatruje się z natężeniem w twarz ojca, jakby chciał odwzajemnić spojrzenie wlepionych w niego szarych oczu.

— Mój syn... — Król Edward nie posiada się z podziwu. — Miła moja, wybacz, że musiał przyjść na świat w takich warunkach. Oddałbym wszystko, by to zmienić.

Kiwam głową na znak, że wybaczam i rozumiem.

— Został ochrzczony i nosi imię Edward, tak jak chciałem?

— Tak.

— I chowa się zdrowo?

— Niedawno zaczął przyjmować stałe pokarmy — odpowiada z dumą pani matka. — I bardzo to sobie chwali. Nie marudzi, przespia całą noc i już okazuje bystrość. Elżbieta wykarmiła go własną piersią, nie mógłby mieć lepszej mamki. Trzymasz w dłoniach małego księcia, wasza miłość.

Edward nareszcie przenosi na nią wzrok.

— Dziękuję ci za opiekę nad nim — mówi wzruszony — i za to, że zostałam przy Elżbiecie i moich córkach. — Spogląda w dół.

Elżbietka, Maria i Cecylia skupiły się wokół niego i popatrują w górę, jakby był jakąś mityczną istotą, jednorożcem na przykład, i przez przypadek zawitał do ich komnaty dziecinnej. Delikatnie przykłęka, aby nie przytłaczać ich swoim wzrostem, przez cały czas nie rozstając się ze swoim synem. — Wszystkie jesteście moimi księżniczkami — rzecze do nich cicho. — Pamiętacie mnie jeszcze? Nie było mnie z wami długo, ponad pół roku, ale co dnia myślałem o was i o waszej pięknej matce i raz po raz ślubowałem, że będziemy znów razem i że przywrócę nam to, co zostało odebrane naszej rodzinie. Pamiętacie swego ojca?

Dolna warga Cecylii zaczyna lekko drżeć, lecz Elżbietka odzywa się odważnie:

— Ja pamiętam, bo jestem najstarsza, moje siostry są na to za małe. — Kładzie Edwardowi dłoń na ramieniu i spogląda mu w twarz bez strachu. — A ty mnie pamiętasz? Pamiętasz swoją najstarszą córkę Elżbietkę? Księżniczkę Elżbietkę? Któregoś dnia zostanie królową Anglii, zupełnie jak moja matka.

Wybuchamy na to cichym śmiechem, po czym Edward podnosi się z przykłęku i podaje niemowlę pani matce, by znów wziąć mnie w ramiona. Tomasz i Ryszard wychodzą z cienia i schylają głowy w oczekiwaniu na królewskie błogosławieństwo.

— Moi dzielni chłopcy... — wita ich ciepło. — Musieliście się tutaj czuć strasznie stłamszeni.

Tomasz zdobywa się na odwagę i potakuje skinieniem.

— Żałuję, że nas rozdzielono, ojcze.

— Dopilnujemy, by to się więcej nie powtórzyło — składa mu obietnicę król.

— Od jak dawna jesteś w Anglii? — pytam, czując, że sięga do moich loków i bawi się nimi. — Przywiodłeś ze sobą armię?

— Mam ze sobą twego brata Antoniego i wiernych druhów — odpowiada — Ryszarda i Hastingsa. Ci trzej udali się ze mną na wygnanie, a później z powrotem tutaj. Inni już ściągają. Jerzy opuścił Warwicka i dołączył do nas. Trzej Yorkowie wymienili braterski uścisk pod murami Coventry, tuż pod nosem hrabiego. Clarence przyprowadził ze sobą lorda Shrewsbury, a sir Wilhelm, młodszy ze Stanleyów, przeszedł na naszą stronę z własnej woli. Za nimi przyjdą

inni... — To za mało, myślę, przed oczyma mając potęgę Warwicka i pozostałych sprzymierzeńców Lancastera oraz armię Andegawenki, którą ta bez wątpienia zdążyła zebrać i wyposażyć. — Dzisiejszą noc spędzimy razem — oznajmia król. — Nie mogłem udać się na wojnę, nie zobaczywszy się pierwej z tobą.

Nie wierzę własnym uszom.

— Chyba nie chcesz wyruszyć już jutro?

— Miła moja, wiele ryzykowałem, przedzierając się tutaj do ciebie. Warwick zaszył się w Coventry i ani myśli się poddawać czy stawać do walki, ponieważ wie, iż Małgorzata nadciąga ze swym wojskiem, a ich wspólne siły trudno byłoby pobić komukolwiek. Mamy wprawdzie Jerzego i jego wasali, lecz to nie wystarczy. Będę musiał znowu uwięzić Henryka i zmierzyć się z armią jego żony. Nieprzyjaciel liczy, że ma zagwarantowane zwycięstwo bez walki, lecz ja zamierzam stanąć na polu bitwy i jeśli szczęście mi dopisze, pokonam Warwicka, zanim Andegawenka zdąży się choćby zbliżyć do Londynu.

Czuję suchość w ustach na myśl, że mój mąż będzie musiał stawić czoło najzdolniejszemu angielskiemu dowódcy, a potem być może rzucić się do walki z nieustraszoną armią Małgorzaty Andegawenkiej.

— Królowa przywiedzie za sobą Francuzów? — pytam z drżeniem.

— Rzecz w tym, że żaden jej człowiek nie postawił jeszcze stopy w Anglii. Byliśmy gotowi do wypłynięcia w morze w tym samym czasie. Zapowiadało się na morderczy wyścig do brzegów Anglii. Warunki na morzu uniemożliwiały nam postawienie żagli od lutego. Andegawenka usiłowała opuścić port w Hornfleur już miesiąc temu, ale raz po raz musiała rezygnować z powodu zrywających się sztormów. Przestało wiać na zaledwie jeden dzień chyba tylko cudownym zrządzeniem losu. Wyglądało to na czary, najmiłsza, kiedyśmy płynęły pchani sprzyjającym wiatrem ku brzegowi Yorkshire. Efekt jest taki, że mam szansę zmierzyć się z nimi pojedynczo, a nie z połączonymi siłami naraz.

Zerkam na panią matkę, gdy Edward wspomina o sztormie, lecz nie widzę na jej twarzy nic poza łagodnym uśmiechem.

— Miła moja, mogę z tobą spędzić tylko tę jedną noc. Czy chcesz ją całą przegadać?

Pani matka zagarnia dzieci przed sobą niczym kwoka kurczęta, a Edward kopnięciem zatrzaskuje za nią drzwi. Następnie zamyka mnie w objęciach i poleca swoim zwyczajem:

— Czas do łoża, żono.

Bierze mnie gwałtownie jak zawsze, niczym człęk gaszący palące pragnienie. Jest w nim wszakże coś jeszcze. Zapach jego skóry i włosów nie zmienił się nic a nic i to wystarcza, bym łaknęła męzowskiego dotyku jak wody, ale po tym jakeśmy już się złączyli, nie wypuszcza mnie z ramion, jakby tym razem sama przyjemność go nie zadowoliła. Jakby tym razem chciał ode mnie czegoś więcej.

— Edwardzie? — mruczę. — Dobrze się czujesz?

W odpowiedzi wtula twarz pomiędzy moją szyję i ramię, jak gdyby ciepło mego ciała mogło odgradzić go od świata.

— Miła moja, bałem się... — szepcze. — Tak okrutnie się bałem...

— Czego się bałeś? — pytam człowieka, który musiał uciekać za granicę, by ratować życie, i na wygnaniu skrzykiwać ludzi pod swój sztandar, teraz zaś miał stanąć oko w oko z potęgą chrześcijaństwa.

Edward obraca się i układa na wznak, jednym ramieniem wciąż przyciskając mnie do siebie, tak że przylegam doń od mostka po czubki palców u stóp.

— Kiedy mi doniesiono, że Warwick nadchodzi, a wraz z nim mój brat Jerzy, wiedziałem, że tym razem nie pojmą mnie w niewolę, że tym razem czeka mnie śmierć. Nigdy wcześniej nie myślałem nawet, że mogę zginąć z ręki drugiego człowieka, ale wtedy dotarło do mnie, że Warwick jest do tego zdolny, a co gorsza, że Jerzy nie stanie w mojej obronie.

— A jednak udało ci się im wyrwać.

— Uciekłem — przyznaje. — To była zwykła ucieczka, nie manewr strategiczny. Gnałem przed siebie na złamanie karku, byle ratować skórę, i przez cały czas miałem się za tchórza. Opuściłem Anglię i opuściłem ciebie.

— Nie jest tchórzostwem wymknąć się nieprzyjacielowi — pocieszam go. — Zwłaszcza gdy później wraca się, by stawić mu czoło.

— Opuściłem ciebie i nasze córki — powtarza Edward, jakby mnie nie dosłyszał. — Nie mogę mieć o sobie dobrego zdania. Nie ruszyłem na Londyn z odsieczą, nie stawiłem oporu wrogowi. Po prostu zbiegłem do najbliższego portu i wsiadłem na statek.

— Każdy by tak zrobił na twoim miejscu. Ani przez chwilę cię nie winiłam. — Opieram się na łokciu i spoglądam mu w twarz. — Musiałeś wydostać się z Anglii, by zebrać armię i wrócić do nas. Wszyscy to wiedzą. Był przy tobie Antoni, mój brat, i młody Ryszard York. Obaj uznali, że nie ma innego wyjścia.

— Nie mam pojęcia, co sobie myśleli, uciekając niczym ścigana zwierzyna, wiem jednak, co ja myślałem i czułem. Byłem przerażony jak mały chłopiec, którego goni wściekły byk.

Nie odzywam się. Nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłoby go pocieszyć i wyrwać z ponurych rozmyślań.

Po dłuższej chwili ciszy Edward wzdycha.

— Walczę za królestwo lub w obronie własnego życia, odkąd pamiętam. Ani razu nie naszły mnie wątpliwości. Nigdy nie wątpiłem w wygraną, nigdy się nie bałem pojmania w niewolę, nigdy nie drżałem przed śmiercią. To dziwne, prawda? Ktoś mógłby powiedzieć, że głupiec ze mnie, zadufany w sobie głupiec. A jednak przez cały ten czas, nawet gdy byłem świadkiem, jak ginie mój ojciec i brat Edmund, myśl o własnej śmierci nie miała do mnie dostępu. Nawet mi się nie śniło, że moja odrąbana głowa może zawisnąć na murach miasta ku przestrodze innym. Uważałem, że jestem niezwyciężony, nieustraszony.

Przysłuchuję się jego słowom w milczeniu.

— Tymczasem przekonałem się, że to nieprawda — podejmuje i ścisza głos do szeptu. — Nikomu o tym nie mówiłem, nikomu nie powiem z wyjątkiem ciebie, moja miła... Nie jestem już tym mężczyzną, za którego wyszłaś. Poślubiłaś młodzieńca nie znającego strachu. Sądziłem, że brak obaw przesądza o odwadze. Ale teraz już wiem, że wcale nie byłem odważny, po prostu dopisywało mi szczęście. Aż do teraz. Dorosłem z chwilą, gdy dopadł mnie strach i musiałem przed nim uciekać.

Już mam na końcu języka słowa pocieszenia, słodkie kłamstwa, lecz nieoczekiwanie dla samej siebie postanawiam powiedzieć memu mężowi prawdę.

— Tylko głupiec niczego się nie boi, Edwardzie. Odważnego poznaje się po tym, że wie, co to strach, i umie się z nim zmierzyć. Uciekłeś, ale przecież wróciłeś. Czy chcesz zrezygnować z jutrzejszej bitwy?

— Na Boga, nie! — wykrzykuje zduszonym głosem.

Uśmiecham się.

— Zatem wciąż jesteś tym człowiekiem, którego poślubiłam. Przysięgałam wierność odważnemu młodzikowi, a ciebie nadal przepełnia odwaga. Mój młody mąż nie wiedział, co to strach, ale nie miał też syna i nie poznał smaku miłości. Z wiekiem wiele się uczymy, nasze doświadczenia nas zmieniają, aczkolwiek nie na gorsze.

Edward wpija się we mnie spojrzeniem.

— Naprawdę tak myślisz?

— Naprawdę — potakuję. — Wyznam ci coś jeszcze... Ja także bardzo się bałam, ale wszelka obawa mnie odeszła, kiedy wróciłeś.

Przyciąga mnie do siebie.

— Spijmy już — mówi, uspokojony niczym mały chłopiec, a ja obejmuję go delikatnie, jak gdyby był moim dzieckiem.

O poranku budzę się z uczuciem zachwytu nad przepełniającą mnie radością, nad jedwabistą miękkością skóry, nad ciepłem rozlewającym się w podbrzuszu, nad tą rezurekcją i powrotem do życia, a potem jeszcze Edward porusza się lekko obok mnie i wiem już, że jestem znowu bezpieczna, że mój małżonek jest cały i zdrow, że ponownie mamy siebie nawzajem i że właśnie dlatego otworzyłam oczy, czując na cerze pieszczotę słonecznych promieni. Niemal natychmiast przypominam sobie, że król musi dziś odejść. A choć też już nie śpi, nie uśmiecha się do mnie ciepło. Otrząsam się, jakby wylano na mnie kubeł zimnej wody. Mój Edward, zawsze tak pewny siebie, tego ranka ukazuje mi zaniepokojoną, poważną twarz.

— Nie próbuj mnie zatrzymywać — oznajmia, wstając z łoża i narzucając pośpiesznie odzienie. — Dość, że sam nie mogę znieść myśli o rozstaniu, o tym, że zostaniesz sama. Jeśli powiesz choć

stów, klnę się, że ulegnę... Zatem życz mi z uśmiechem powodzenia, najmiłsza. Potrzebne mi twoje błogosławieństwo. Potrzebna mi twoja odwaga.

Przełykam dławiający mnie za gardło strach.

— Masz moje błogosławieństwo — mówię z przymusem. — Tak jak zawsze. A także wszystko szczęście, jakie jest na tym świecie. — Robię co mogę, by mój głos brzmiał radośnie, lecz nawet ja słyszę, że drży. — Wyjeżdżasz bezzwłocznie?

— Najpierw jadę po mężczyznę, którego okrzyknęli królem — oświadcza. — Zabiorę go ze sobą jako zakładnika. Widziałem się z nim wczoraj w Tower tuż przed tym, zanim zjawiłem się u ciebie. Poznał mnie. Rzekł, że pojedzie ze mną bez obaw, wiedząc, że przy kuzynie nie może go spotkać żadna krzywda. Zachowywał się jak dziecko, nieszczęsny. Zdaje się, że nie miał pojęcia, że znowu został królem.

— Jest tylko jeden król Anglii — mówię z mocą — odkąd koronowano ciebie, najdroższy.

— Zobaczymy się za parę dni — zapewnia mnie. — Pozwól mi odejść, nie żegnając się ze świekrą i córkami. Tak będzie lepiej. Pozwól mi odejść jak najprędzej...

— Nie zjesz ze mną? — Choć nie chcę go powstrzymywać ani zawodzić jak słaba niewiasta, z trudem przychodzi mi się pogodzić z jego rychłym odejściem.

— Zjem ze swoimi ludźmi.

— Oczywiście — nadaję głosowi radośniejszy ton. — Z moimi synami także?

Kiwa głową.

— Zabieram ich. Przydadzą się jako posłańcy. Dołożę starań, aby włos nie spadł im z głowy.

Serce podchodzi mi do gardła na myśl, że wszyscy moi mężczyźni znajdują się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

— Oczywiście — powtarzam. — Przecież wrócisz, nim minie tydzień, prawda?

— Jak Bóg da — odpowiada.

Nie poznaję mężczyzny, który jeszcze niedawno zapewniał mnie, że umrze we własnym łóżu po miłosnych zapasach ze mną. Który

nigdy wcześniej nie użył zwrotu: „Jak Bóg da”. Dotąd zawsze liczyła się tylko jego wola, nie wola Najwyższego.

Edward zatrzymuje się w progu i z wahaniem dodaje:

— Jeżeli zginę, zabierz dzieci i uciekajcie do Flandrii. W mieście Tournai stoi skromne domostwo, którego gospodarz jest mi winien przysługę. To jakiś kuzyn z nieprawego łoża spokrewniony z twoją matką. Obiecał mi, że w razie potrzeby przyjmie was pod swój dach, zawczasu wymyślił już historyjkę, która zamydli oczy pościgowi. Rozmawiałem z nim osobiście i wszystkośmy ustalili. Został sownie wynagrodzony, a tu masz zapisane jego miano. Przeczytaj, zapamiętaj dobrze i spal papier. Zatrzymaj się u niego przez czas jakiś, rok albo dwa, a gdy burza przeminie, załóż własne domostwo. Mojego syna wychowaj na księcia. Kiedy dorośnie, być może upomni się o swoje dziedzictwo...

— Nie kracz — przerywam mu. — Nigdyś nie przegrał bitwy. Ufam, że będziesz z powrotem, nim minie tydzień.

— To prawda — mówi zamyślony. — Nigdy nie przegrał bitwy... — Skupia na mnie wzrok i ciągnie: — Ale też nigdy nie stawał naprzeciw Warwicka. Nie ma czasu, by zwołać armię z prawdziwego zdarzenia. Wszystko w rękach Boga; jeśli Najwyższy chce naszego tryumfu, wygram.

Z tymi słowami przestępuje próg i znika z moich oczu.

Nadchodzi Wielka Noc. O zmroku rozlegają się różnorakie tony wszystkich londyńskich dzwonów, mieszając się w ogólnej kakofonii. Poza tym w mieście panuje spokój i wciąż uroczysta atmosfera po niedawnych modłach z okazji Wielkiego Piątku. Wyczuwa się też bojaźń — stolica, która zaledwie parę dni temu miała dwóch królów, dziś nie ma ani jednego, po tym jak Edward zabrał z Tower Henryka i wyruszył na wojnę. Jeśli zginą obaj, cóż stanie się z Anglią? Jaki los czeka Londyn? Co będzie ze mną i z moimi, śpiącymi teraz, dziećmi?

Pani matka i ja spędziłyśmy cały dzień na szyciu, zabawach z dziećmi i sprzątaniu naszych czterech izdebek. Odmówiłyśmy modlitwy przewidziane na Wielką Sobotę, ugotowały i pomalowały kraszanki, przygotowały podarki świąteczne. Wysłuchałyśmy mszy

i przyjęły komunię. Gdyby ktoś nas szpiegował z rozkazu Warwicka, hrabia dowiedziałyby się tylko tyle, że jesteśmy spokojne, zajęte zwykłymi sprawami i czemuś pewne siebie. Lecz późnym popołudniem, gdy światło na zewnątrz szarzeje, stojemy, dotykając się ramionami, przy małym okienku wychodzącym na Tamizę. Pani matka przesuwa baskwil i pcha okiennice, by wpuścić do środka szmer rzeczno nurtu, jakby mogła w nim usłyszeć wieści na temat postępów armii Edwarda, jakby mogła się przekonać, że tej wiosny syn domu Yorków rozkwitnie niczym wielkanocna lilia, tak jak rozkwitł już raz w przeszłości.

Wiemy, że Warwick opuścił warownię w Coventry i zdecydował się na forsowny marsz do Londynu, przekonany, iż zdoła pobić Edwarda. Lordowie sprzyjający od zawsze Lancasterom dołączają doń w drodze, tak że ma już poparcie połowy kraju — pozostali panowie czekają na przybycie do południowej Anglii armii królowej Małgorzaty Andegaweńskiej. Zdaje się, że wiatry, któreśmy powołały z panią matką, ścichły w końcu, umożliwiając przeprawę wrogowi i pozostawiając nas bezbronnymi.

Tymczasem Edward przeprowadził nabór w stolicy i podlondyńskich wsiach, by następnie wyruszyć na północ na spotkanie sił Warwicka. Obaj jego bracia — i Ryszard, i Jerzy — są razem z nim i co dzień przesuwiają się wzdłuż kolumny żołnierzy, przypominając im, że armia Yorków jeszcze nigdy nie przegrała bitwy, mając na czele króla. Prości żołnierze oszaleli na punkcie Ryszarda, który jest młody jak na dowódcę — ma zaledwie osiemnaście lat. Jerzemu towarzyszy lord Shrewsbury ze swoimi ludźmi, a wiadomo też o innych możnowładcach, którzy przyłączą się w miarę marszu wojsk przez kraj; ich wasalom jest obojętne, po czyjej walczą stronie, byle nie wystąpili przeciwko swemu lordowi. Koniec końców Edward ma pod sobą jakieś dziewięć tysięcy chłopów. Na przedzie kolumny po prawicy Edwarda jedzie sir William Hastings, wierny niczym pies. Tyły zamyka mój brat Antoni, jak zawsze ostrożny i oglądający się przez ramię.

Robi się ciemno i dowódcy powoli zaczynają myśleć o rozbiciu obozu na noc, kiedy z kładących się nisko cieni wyłaniają się Ry-

szard York i Tomasz Grey, wysłani wcześniej przez Edwarda na przespziegi wielkim traktem, i z daleka krzyczą:

— Są tutaj!...

— Wasza miłość — mówi mój syn do króla. — Warwick nadciąga w pełnej sile, zbliża się w bojowej formacji do Barnet, gdzieśmy zauważyli spore wzniesienie biegnące z zachodu na wschód. Nie ma mowy, żebyśmy się przez nich przedarli. Z pewnością spodziewa się nas i szykuje do walnej bitwy. Jesteśmy straceni...

— Cichaj, chłopcze — syczy sir William. — Nie ma potrzeby rozgłaszać tego wszem wobec. Ilu ich jest?

— Nie wiem dokładnie. Zmierzchało, gdyśmy się na nich natknęli. Bez wątpienia jednak więcej niż nas.

Edward wymienia szybkie spojrzenia z Hastingsem.

— Wielu więcej? — dopytuje sir William.

Do rozmawiających zbliża się spieszony Ryszard.

— Być może nawet dwakroć — odpowiada za Tomasza. — Albo i trzykroć.

Hastings wychyla się z siodła w jego stronę.

— Ty też trzymaj język za zębami — upomina królewskiego brata. Ruchem głowy odprawia obu młodzików, po czym zwraca się do króla: — Wycofujemy się i czekamy do rana? A może wycofujemy się do Londynu? Moglibyśmy umocnić twierdzę i odpierać oblężenie w nadziei na posiłki z Burgundii.

Edward kręci głową.

— Maszerujemy dalej.

— Jeżeli ci dwaj mają rację i Warwick rzeczywiście stanął na wzniesieniu z armią dwakroć silniejszą od naszej, a w dodatku wyczekuje naszego nadejścia... — nie musi kończyć swej ponurej przepowiedni. Jedyłą szansą Edwarda na zwycięstwo było zaskoczenie. Tak walczył zawsze dotąd: poruszał się błyskawicznie i uderzał znienacka, o czym Warwick doskonale wie, gdyż to on przysposabiał go do wojaczki i dowodzenia wojskiem. Dlatego właśnie teraz jest dlań godnym przeciwnikiem. W polu spotkają się uczeń i nauczyciel, który zna wszystkie sztuczki dawnego podopiecznego.

— Maszerujemy dalej — powtarza niezniechęcony Edward.

— Za pół godziny nie zobaczymy, gdzie leżemy — przypomina mu Hastings.

— Otóż to — podchwytuje król. — Wróg nie ma lepszych oczu niż my. Każ ludziom poruszać się w absolutnej ciszy. Wydaj rozkaz milczenia pod karą śmierci. Ustaw ich w szyku bojowym, niech będą gotowi do walki w każdej chwili. Chcę, żeby do starcia doszło o brzasku. Przekaż wszystkim moje słowa. Później pokażę się żołnierzom i szeptem zagrzeję ich do walki.

Sir William Hastings, Jerzy i Ryszard Yorkowie oraz mój brat Antoni kiwiają w posłuchu głowami i udają się wzdłuż szeregów wydawać rozkazy. Zapada cisza jak makiem zasiał, w której rozlegają się szeptane słowa przykazujące stanąć naprzeciwko armii Warwicka rozciągniętej na skraju wzniesienia. Kiedy kolumna żołnierzy Edwarda znów rusza, ciemności gęstnieją i widoczny jeszcze przed paroma chwilami krajobraz zlewa się z zawieszoną nad nimi płachtą nieba. Księżyc jeszcze nie wstał; wszystko wokół robi się najpierw szare, a potem całkiem czarne.

— Dobrze... — mamrocze Edward na poły do siebie, na poły do Antoniego. — Ledwie ich widzimy, mimo że stoją na wzgórzu i za sobą mają zachodzące słońce. Oni z pewnością nie widzą nas wcale, spoglądając w zalesioną dolinę będącą dla nich jedną ciemną plamą. Jeśli dopisze nam szczęście i rano wstanie mglisty, nawet się nie zorientują, żeśmy się do nich podkradli. Przyczaimy się w niecce spowici przez całun mlecznego oparu i będziemy ich mieć jak na dłoni, wystawionych na strzał niczym gołębie na dachu stodoły.

— Sądysz, że zostaną na swoich pozycjach i będą czekać aż do rana? — pyta z powątpiewaniem Antoni. — Że pozwolą się wystrzelać jak głupie ptaki? ^

Edward potrząsa głową.

— Ja bym tego nie zrobił. Warwick też nie zrobi...

Jakby na potwierdzenie jego słów przerażająco blisko rozlega się ogłuszający ryk tysięcy gardeł i w ciemnościach rozbłyskują ognie towarzyszące wystrzałom armatnim, rozświetlając długim żółtym językiem mocarną armię górującą nad nimi.

— Dobry Boże, ich jest chyba ze dwadzieścia tysięcy! — szepcze Edward. — Powtórz ludziom: ani mru-mru. Żadnego ognia w od-

wecie. Mają siedzieć cicho jak mysz pod miotłą. Jak przyczajona do ataku mysz...

Dochodzi ich stłumiony chóralny śmiech, kiedy jakiś żartowniś wydaje z siebie mysi pisk, po czym syknięcie dowódcy uciszające podwładnych jak nożem uciął.

Huk dział rozlega się znowu, a równocześnie wyrasta przed nimi sylwetka jeźdźca. To Ryszard York na wierzchowcu czarnym niczym smoła, niemal nieodróżnialnym od nocnego otoczenia.

— Czy to ty, bracie? Ciemno choć oko wykol... Chwalić Boga, kule armatnie padają daleko na tyłach. Warwick nie ma pojęcia, że jesteście tak blisko. Mierzy dobre pół mili za nami.

— Przypilnuj, żeby wszyscy trzymali gęby na kłódkę — poleca Edward — a wróg nie dowie się o nas do świtu. Ryszardzie, to twoje zadanie: żadnych ognisk, żadnych rozmów, zupełnie nic. — Królewski brat kiwa głową i odjeżdża w mrok, Edward zaś zwraca się do Antoniego. — Weź obu Greyów i cofnij się o dobrą milę, rozpalcie tam trzy ogniska w trójkącie, jakbyśmy stanęli obozem, po czym natychmiast wracajcie. Niech Warwick ma do czego mierzyć, niech myśli, że nas dosięgnął. Płomienie pewnie szybko zgasną niepodtrzymywane, ale nie zważajcie na to. Nie możecie dać się ranić. Po drodze tutaj skrzęsajcie jeszcze ogień w paru miejscach, byle nie za blisko naszych tyłów. Chcę, żeby nieprzyjaciel myślał, że mamy jeszcze spory kawałek do przejścia...

Antoni potakuje skinieniem i niezwłocznie wykonuje rozkaz.

Król zeskakuje z grzbietu Gniewa, a jego giermek podbiega i chwyta w locie rzucone wodze.

— Rozsiódłaj go, wyjmij mu wędzidło z pyska, ale zostaw tranzelkę, nakarm i napój — wydaje rozkazy Edward. — Uprząż trzymaj przy sobie i ani się waż zmrużyć oka, trudno powiedzieć, ile zostało nam z nocy. Odpocznij, chłopcze, i bądź gotów na moje skinienie. Będę potrzebował Gniewa z powrotem, zanim słońce zacznie wstawać.

— Jak rozkażesz, najjaśniejszy panie — odpowiada przejęty giermek. — Żołnierze zaczęli już oporządzać swoje konie...

— Przypomnij im, że mają być cicho — dorzuca król.

Giermek kiwa zamasyżycie głową, po czym zabiera królewskiego rumaka poza zasięg słuchu i wzroku wielkich panów.

— Wystaw strażę! — poleca krótko Edward Hastingsowi. Jego słowa zagłusza ryk dział. Obaj weterani wielu bitew podskakują w miejscu, gdy nad ich głowami rozlega się świst kul armatnich, a wkrótce także dające się odczuć pod stopami tąpnięcie, kiedy pociski trafiają w ziemię setki jardów za dobrze ukrytą w ciemnościach armią, zbyt daleko na wschód. Król śmieje się w kułak. — Może nie zaznamy wiele snu tej nocy, lecz oni wcale nie pójda spać — stwierdza. — Zbudź mnie przed jutrznią.

Niczym prosty żołnierz zrywa z ramion pelerynę i rozkłada ją wprost na ziemi. Ległszy na niej na wznak, zakrywa twarz futrzaną czapą. W parę uderzeń serca, mimo grzmotów dział i świstu kul, zasypia snem sprawiedliwego. Hastings zdejmuje własną pelerynę i gestem łagodnym jak matczyńy otula nią śpiącego Edwarda. Następnie odwraca się do rozstawionych wokół druhów.

— Będziemy czuwać na zmianę — ogłasza. — Ja biorę pierwszą wartę, po mnie będą Ryszard z Jerzym, którzy na swojej warcie dogładną żołnierzy i wyślą czujki na przeszpiegi, a na koniec wartę obejmiesz ty, Antoni. — Wszyscy trzej wymienieni z imienia skinęli z powagą głowami.

Kiedy Antoni i Hastings zostają sami, pada ciche pytanie:

— Ryszard i Jerzy na jednej warcie?

— Jerzemu ufam tak dalece, jak jestem w stanie cisnąć kota — odpowiada sir William — ale młodemu Ryszardowi zawierzyłbym życie. Wiem, że utrzyma brata po naszej stronie do chwili, kiedy rozpocznie się bitwa, da Bóg, że wygrana.

— Wszystko sprzysięgło się przeciwko nam — zauważa Antoni.

— To prawda — zgadza się Hastings i nieco radośniej dodaje: — Ale prawo jest po naszej stronie, a Edward to dowódca urodzony pod szczęśliwą gwiazdą. Co więcej, trzej synowie domu Yorków są razem. Z łaską Najwyższego, wyjdziemy obronną ręką z tej próby.

— Amen. — Antoni czyni znak krzyża i kładzie się spać obok króla, otulając się ścielnie peleryną.

— Poza tym — mówi do siebie Hastings — zostaliśmy postawieni pod ścianą.

W sanktuarium w Westminsterze ani ja, ani pani matka nie jesteśmy w stanie zasnąć. Czuwamy przez całą noc, aż w końcu nieco przed świtaniem — kiedy robi się najciemniej i najbardziej przejmująco — Jakobina Luksemburska otwiera na oścież okiennice i stajemy obok siebie, spoglądając na toń przepływającej mimo Tamizy. Nabieram powietrza do płuc, po czym wydmuchuję je powoli, a mój oddech na zimnie zamienia się w obłok pary. Pani matka również głęboko wzdycha — jej mgiełka łączy się z moją i wirując, unosi na wietrze. Nasze piersi poruszają się rytmicznie, wznosząc i opadając, a nad rzeką zaczyna się snuć gęsty opar — szarość na tle wody, mleczny całun na tle panujących wokół ciemności. Pani matka wzdycha mocniej i już nie widać zza mgły drugiego brzegu rzeki. Kłęby nieprzejrzanego powietrza unoszą się, przesłaniając blask gwiazd, biorą w posiadanie londyńskie ulice i rozchodzą się z wiatrem ku północnemu zachodowi, przetaczają po lesistych dolinkach, wspinają na zbocza wzgórz, oplatają wokół pni drzew i trzymają nisko, tak że choć niebo rozjaśnia się z wolna, bliżej ziemi wciąż niczego nie widać i kiedy ludzie Warwicka, budząc się tuż przed brzaskiem z niespokojnego snu na wzniesieniu nieopodal Barnet, nadaremno próbują przebić wzrokiem zawieszisty kożuch w poszukiwaniu wroga, zamiast niego widzą tylko nieskończone morze bieli, która łączy się z chmurami sunącymi majestatycznie w stronę gór; nic nie świadczy o tym, że poniżej, ukryta i milcząca, czai się niezwyciężona armia Edwarda IV.

— Odprowadź Gniewa — rzecze cicho Edward do giermka — i podaj mi topór wojenny oraz miecz. Będę walczył spieszony.

Pozostali lordowie — mój brat Antoni, książę Clarence, książę Gloucester i sir William — już są przygotowani do morderczej walki. Ich wierzchowce zostały odprowadzone poza linię strzału i czekają osiodłane i wypoczęte, na wypadek — czego nikt nie odważy się powiedzieć głośno — przegranej bądź też dla odmiany tryumfu — na co wszyscy rzecz jasna liczą.

— Gotowi? — Edward zwraca się z tym pytaniem do Hastingsa.

— Jak nigdy przedtem — odpowiada sir William.

Król zerka w górę, ku szczytowi wzniesienia, i po chwili milczenia mówi:

— Chryste, ocal nas...

— Co? — pytają jeden przez drugiego wielcy panowie.

W mgłę pojawiła się niewielka przerwa, dzięki której Edward dojrzał, iż nie stoją dokładnie naprzeciw armii Warwicka, tylko są dość znacznie przesunięci w jedną stronę, tak że niemal całe prawe skrzydło hrabiego jest nieosłonięte. Równie dobrze król mógłby przywieść ze sobą o trzecią część ludzi mniej. Ci bowiem okażą się beзуżyteczni, gdy rzucają się szturmem do przodu i spotkają pustkę zamiast przeciwnika, łamiąc szyk i w żaden sposób nie pomagając towarzyszom broni, którzy z kolei z drugiej strony napotkają zwiększony opór.

— Za późno na przegrupowanie — podejmuje decyzję Edward. — Chryste, miej nas w swojej opiece. Niech zadną w trąbki, ruszamy do ataku!

Chorągwie unoszą się i łopoczą przez chwilę, by zaraz zmięknąć pod wpływem wilgotnego powietrza i skulić się wokół drzewc, które wyrastają nagle z mgły niczym bezlistny las. Rozlega się dźwięk trąbek, głuchy i stłumiony. Wciąż jeszcze nie świta, a wszechobecna mgła czyni wszystko nierzeczywistym i mylącym.

— Do boju! — krzyczy król Edward, mimo że jego armia ledwie dostrzega zarys szeregów wroga; zapada chwila ciszy, kiedy żołnierze tak jak on zdają się przytłoczeni przez wciskające się do nozdrzy i płuc gęste powietrze, zmrożeni do szpiku przez lodowatą mgłę, chorzy z przemożnego strachu. — Do boju!! — ryczy Edward i rzuca się przed siebie, w górę zbocza, a za nim podrywają się jego przybocznicy, dowódcy i zwykli żołnierze, pVący prosto na armię Warwicka. Ludzie hrabiego, wyrwani ze snu przez nagły wrzask i chrzęst zbroi, rozwierają powieki, wysilają wzrok, próbując przepatrzeć mgłę, słyszą nadciągającego nieprzyjaciela i tylko od czasu do czasu widzą coś w przerwach pomiędzy pasmami mgły, lecz niczego nie mogą być pewni, aż w końcu, zupełnie jakby przeniknęło przez litą ścianę, wyrasta przed nimi wojsko króla Edwarda z samym monarchą na czele, zadziwiająco wysokim, wywijającym nad głową toporem wojennym, zupełnie jakby był uosobieniem giganta z legend.

W środkowej części, tam gdzie naciera król z przybocznymi, Lancasterowie szybko oddają pole, cofają się i padają pod uderzeniami zabójczej broni, lecz po lewej stronie, naprzeciw odsłoniętego prawego skrzydła Warwicka, to wróg zyskuje przewagę, przewyższając liczebnie walczących żołnierzy Edwarda, rzucając się w stu chłopa na jednego zbrojnego. Pod osłoną ciemności i mgły walczący za Yorków ludzie, skazani na niepowodzenie nim jeszcze rozpoczęła się bitwa, ulegają pod naporem nieprzyjaciela biegnącego ławą w dół zbocza, wrażliwego ostrza w piersi, roztrzaskującego czaszki pałkami, z wyciem odcinającego głowy mieczami, napierającego coraz bliżej i bliżej centrum pola bitwy, wgrzyzającego się w główne siły króla Anglii. Jakiś oszołomiony nawałą żołnierz przystaje, okręca się na pięcie i rzuca do ucieczki, lecz nie udaje mu się ująć nawet kilku kroków, gdyż jego głowy sięga wyrzucony na łańcuchu kiścień. Wszakże ten jeden ruch w tył wywołuje istną lawinę. Osamotnieni żołnierze armii Yorków robią odwrót i po parunastu krokach giną we mgle, znajdując kryjówkę w przyjaznej teraz ciemności i gęstwie. Ten i ów próbuje wciąż walczyć, ale gdy któryś ze śmiałków ginie rozplątany niemal na dwoje, jego kamraci z twarzami pobielającymi ze zgrozy podejmują przerwana ucieczkę. Jak szereg długi, poszczególne rzędy przeżywają chwilę wahania, ważą swoje szanse, oglądają się za siebie, na kuszącą bezpieczeństwem spowitą mgłą ciemność, po czym odrzucają precz ciężką broń i zrywają się do biegu. Ścigają ich odgłosy walki i ryki nieprzyjaciela, który — choć widzi nie dalej niż na wyciągnięcie ręki — czuje zapach krwi i strachu. Niepowstrzymane prawe skrzydło Warwicka mknie w dół zbocza, gdzie rejteruje słaby oddział Yorków umykający niczym ścigana zwierzyna, rozpraszający się w panice.

Hufiec hrabiego Oksford, stronnika Lancasterów, natychmiast podejmuje pościg niczym chmara wietrzących posokę psów gończych, gdyż w utrzymującej się mgle nadal nic nie widać i można się kierować wyłącznie węchem. Do boju zagrzewa lord Jan de Vere, który traci rezon, dopiero gdy odgłosy bitwy pozostają daleko w tyle, po yorkistach nie ma ani śladu, a jego ludzie rozbiegają się chaotycznie po okolicy, chowając miecze do pochew, chełpiąc się łatwo odniesionym zwycięstwem i szukając najkrótszej drogi do

karczem Barnet. Hrabia musi wrazić ostrogi w boki swego wierzchowca, dogonić ich galopem, zastawić im drogę szeroką końską pierśią i skorzystać z bata. Razy padają gęsto, dowódcy wywrzaskują przekleństwa, zaganiając dezertarów do kupy, lecz sytuacja jest jako tako opanowana dopiero wtedy, gdy Jan de Vere nachyla się w siodle i przeszywa pierś jednego wyjątkowo pyskatego żołnierza, po czym gromkim rykiem poskramia i powstrzymuje w miejscu pozostałych.

— Bitwa trwa, wy sukinkoty! — wrzeszczy ile sił w płucach. — Edward York wciąż dycha, tak samo jego młodszy brat Ryszard i ten sprzedawczyk Jerzy! Przysięgaliście wszyscy, że nie zejdziecie z pola, póki nie polegna! Dalej! Dalej, do broni! Posmakowaliście krwi wroga, widzieliście, jak przed wami umyka! Wracajcie i dokończcie dzieła! Wracajcie i pokonajcie resztę. Pomyślcie o bogatych łupach! Pomyślcie o tym, że zwycięstwo już jest wasze... Rozgońcie ich na cztery wiatry, zmuscie ich do szaleńczej ucieczki niczym ogary zające! Dalej, chłopcy...

Przywołani do porządku i wtłoczeni na powrót w szeregi lancasterzy niechętnie go słuchają, a zadowolony z siebie hrabia Oksford pędzi ich jak bydło z Barnet z powrotem na pole bitwy, poprzedzany uniesionym wysoko przez chorążego sztandarem z emblematem płonącego słońca. Twarz oblepia mu mgła, a umysł wypełnia pragnienie dalszej walki u boku Warwicka, który obiecał niezmierzone bogactwo każdemu, kto stanie dziś po jego stronie i przyczyni się do zwycięstwa. Wszelako Jan de Vere, hrabia Oksford — stojąc na czele swoich dziewięciu setek ludzi — nie wie, że bitwa toczy się teraz w innym miejscu. Zmiażdżenie jednego skrzydła yorkistów spowodowało, że walki przeniosły się w dâ na wielki trakt.

Król Edward nadal pozostaje w centrum wydarzeń, lecz zaczyna dopuszczać do siebie myśl o przegranej, kiedy z każdą chwilą musi ustępować pola pod naporem żołnierzy Warwicka nacierających coraz silniej. Czuje w ustach smak klęski i to jest dla niego coś nowego, coś bardzo bliskiego strachowi. Nie widzi w ciemnościach i wszędobylskiej mgle niczego z wyjątkiem napierającego wroga, który wyłania się jeden za drugim, nieprzerwanie, i nie pozostaje mu nic, jak tylko reagować instynktownie, niczym ślepiec na nagły

ruch koło siebie, z równym uporem, raz po raz unosząc topór albo miecz, albo sztylet.

Nachodzi go myśl o żonie i nowo narodzonym synu, którzy wyczekują jego powrotu, uzależniają swą przyszłość od jego zwycięstwa. Nie zastanawia się nad tym, co ich spotka, jeżeli dzisiaj przegra, jeżeli zawiedzie. Raczej wyczuwa, niż dostrzega, że otaczający go żołnierze ustępują, rozwierając szyki przed wdzierającą się klinem masą ludzi Warwicka. Czuje, że i jego ogarnia znużenie na ten niekończący się atak, na nieustającą konieczność unoszenia ramienia, wyrzucania broni przed siebie, dźgania i zabijania — lub oczekiwania na własną śmierć. Wpadłszy w trans spowodowany nie-ludzkim wysiłkiem, doznaje czegoś na kształt wizji — tak wyraźny jest obraz, który z nagłą staje mu przed oczyma w miejsce kłębiącego się oparu i natłoku ludzkich ciał. Widzi swego brata Ryszarda robiącego mieczem, przesywającego piersi wroga, prącego uparcie przed siebie, lecz słabnącego z każdą chwilą i ostatecznie przegrywającego. Myśl o Ryszardzie osamotnionym na polu bitwy, pozbawionym jego pomocy, szukającym wzrokiem przyjaznej twarzy i przekonującym się, że jest całkiem sam, wywołuje w nim nową falę gniewu. Edward krzyczy:

— W imię domu Yorków! W imię Pana Boga i domu Yorków!!!

Tymczasem Jan de Vere, przybywający truchtem z odsieczą, wydaje rozkaz do ataku. Tuż przed nim majaczy linia walk, jest więc pewien, że rzuca swoje siły na odwoły yorkistów, ma nadzieję siać spustoszenie pod osłoną mglistego oparu, szczęśliwym zbiegiem okoliczności sprowadziwszy świeże posiłki nie mniej groźne, niż gdyby w tym miejscu zastawili zasadzkę. Jego podkomendni poruszają się zwinnie po omacku, dobywają broni i zatapiają ją w ciałach — nie żołnierzy Edwarda Yorka, tylko własnych, należących do armii Lancasterów, która zmieniła pozycję i opuściła wzniesienie w tumultcie bitwy.

— Zdrajca!... Zdrada!... — wykrzykuje człowiek z wrażonym między łopatki mieczem, gdy odwróciwszy się, widzi hrabiego Oksford.

Jeden z dowódców Warwicka rzuca spojrzenie za siebie i widzi najgorszą rzecz z możliwych: nieznużonych potyczką żołnierzy na-

cierających na tyły. W oblepiającej wszystko mgłę nie może dostrzec wyraźnie emblematu na chorągwi, lecz jest przekonany, że to *splendor solis* powiewa nad głowami wyłaniających się z nicości ludzi, którzy nadbiegają od strony Barnet, nastawiają miecze, biorą zamach toporami wojennymi, otwierają szeroko usta do bojowego okrzyku. Dowódca popełnia haniebną pomyłkę, biorąc emblemat płonącego słońca hrabiego Oksford za herb Yorków. Jego ludzie od dawna walczą z wrogiem napierającym od czoła, siekącym na osłep jak każdy, kto nie ma nic do stracenia z wyjątkiem własnego życia, a teraz w dodatku rzuca się na nich armia widm — to znacznie więcej, niż ktokolwiek potrafi znieść.

— Odwrót! Odwrót! — woła ktoś w panice.

— Przegrupować się! Przegrupować! W tył zwrot! — krzyczy ktoś inny.

Rozkazy są właściwe, lecz nie wiedzieć do kogo skierowane, i ogarnięci przerażeniem lancasterowie jak jeden mąż pokazują plecy szarżującym na nich nieubłagane yorkistom, nie umiejąc rozpoznać sojusznika przed sobą. Sądzą, że zostali otoczeni i zaraz polegą zgnieceni przytłaczającą siłą wroga, i duch walki uchodzi z nich jak powietrze z płuc.

— De Vere! — wykrzykuje hrabia Oksford, widząc, że dochodzi do bratobójczej rzeźnianiny. — De Vere! Za Lancastera! Stój! Stój! W imię Boga, stój, mówię!...

Wszakże jest już za późno. Ci, co w końcu rozpoznają emblemat płonącego słońca i widzą hrabiego Oksford, który wywija mieczem pośród zamętu bitewnego, wzywając jednych i drugich do opamiętania, uznają, że de Vere zmienił barwy w trakcie walki, co można często robić, i pierwsi z brzegu — tak się składa, że jego najbliżsi przyjaciele — zwracają się przeciw niemu, szczerząc zęby niczym wściekłe psy, i łakną jego śmierci bardziej niż śmierci wroga, ponieważ zdradził na polu bitwy. Stojący w dalszych szeregach wiedzą tylko, że zostali wzięci w dwa ognie; przed sobą mają nieznanego wroga wyłaniającego się z mgły, za sobą zaś napierający uparcie oddział, a kto wie, co czai się po obu stronach traktu w ciemności i ścielącym się przy ziemi oparze. Kto wie, ilu chłopów nadejdzie od rzeki? Kto wie, jakie jeszcze okropieństwa zgotował im ten cały

Edward poślubiony czarownicy, której żywiołem jest woda i para, i mgła? Wiedzą tyle, ile słyszą, a słyszą szcęk broni i jęki rannych. Stracili z oczu swoich dowódców, przestali się orientować, czyją stronę biorą lordowie. Przed sobą mają nieziemski widok wstającego nad polem bitwy świtu i nie są nawet w stanie powiedzieć, kto swój, a kto wróg. Setki rąk równocześnie wypuszczają broń, setki par nóg naraz zaczynają tupać w panicznej ucieczce. Wszyscy dobrze wiedzą, że w tej wojnie nie bierze się jeńców. Przegrać znaczy umrzeć.

Król Edward bez ustanku tnie i dźga, dźga i tnie w samym sercu bitwy; sir William Hastings po jego lewej, z dobytym mieczem i sztyletem w drugim ręku, woła na całe gardło: „Śmierć Lancastrom! Zwycięstwo dla domu Yorków! Hurra!!!”, a jego żołnierze dają wiarę tym słowom i zachęceni nimi znajdują w sobie resztki sił do ostatniego ataku, odwrotnie niż zwolennicy króla Henryka, którzy przekonani o przegranej, pozbawieni dowódcy, już tylko się opędzają od wyskakujących z szarości świtu i bieli mgły przeciwników świadomi, że potężny hrabia Warwick wyrzaskuje rozkazy do swego giermka, aby podał mu konia, po czym wskakuje na siodło i rzuca się do szaleńczego galopu.

Na ten sygnał bitwa zamienia się w tysiąc pojedynków wręcz.

— Konia! — przekrzykuje zgiełk Edward. — Przyprowadzić mi Gniewa!

Hastings składa dłonie i pomaga królowi dosiąść wierzchowca, chwytając za uzdę podprowadzonego rumaka, gramoli się nań samodzielnie i rzuca w pogoń za swym suzerenem, dowódcą i najdroższym przyjacielem; zaraz wszyscy lordowie gnają na złamanie karku za Warwickiem, przeklinając go w żywy kamień za to, że zdołał im się wymknąć w ostatniej chwili.

Pani matka prostuje się z westchnieniem i we dwie przyciągamy okiennice, aby odgrodzić się od rzeki. Słaniamy się na nogach od czuwania przez całą noc.

— Już po wszystkim — mówi Jakobina Luksemburska z wielką pewnością. — Twój wróg nie żyje. Twój najpierwszy i najgroźniejszy nieprzyjaciel. Warwick nie uczyni już królem nikogo. Będzie za to

musiał stanąć przed majestatem Króla w Niebiesiech i wytłumaczyć się z tego, co uczynił temu nieszczęsnemu królestwu tutaj, na ziemi.

— A moi synowie?

— Są cali i zdrowi, nie mam co do tego wątpliwości.

Dłonie trzymam rozczapierzone niczym łapy rozżłoszczonego kota.

— A księżę Clarence? — dopytuję. — Co z nim? Chcę usłyszeć, że również poległ na polu bitwy!

Pani matka uśmiecha się lekko.

— Księżę Clarence jak zwykle znalazł się po stronie zwycięzców. Król Edward wygrał bitwę, a Jerzy jako lojalny brat stoi oczywiście u jego boku. Być może będziesz musiała zrezygnować z zemsty za śmierć swego ojca i brata. Być może ja będę musiała zawierzyć Boskiej sprawiedliwości. Jerzy pozostanie przy życiu. Było nie było, to królewski brat. Ważyłabyś się podnieść rękę na księcia? Zdobyłabyś się na to, aby pozbawić życia następcę tronu z dynastii Yorków?

Sięgam po szkatułkę na kosztowności i ukryty w niej poczerńiały klejnot. Odciągam paznokciem misterny zameczek i rozkładam otwarty medalion na dłoni. W środku widnieją dwa miana: Jerzego Yorka i Ryszarda Neville'a, wypisane na skrawku oddartym z ostatniego listu papy. Listu, który hrabia Rivers napisał przepełniony nadzieją, że wykupi się z niewoli, nawet przez chwilę nie dopuszczając do siebie myśli, że ci dwaj: księżę Clarence i hrabia Warwick, znani mu od długich lat, skażą go na śmierć z czystej zawziętości. Przedzieram skrawek na pół i kawałek z imieniem Ryszarda zgniatam w dłoni. Nie zadaję sobie nawet trudu, aby cisnąć go w płomień — upuszczam na posadzkę, wiedząc, że obróci się tam w proch tak samo jak noszący to imię mężczyzna. Drugą połówkę, tę z imieniem Jerzego, umieszczam na powrót w medalionie, a medalion w szkatułce.

— Jerzy nie może pozostać przy życiu — stwierdzam matowym głosem. — Nawet gdybym musiała własnoręcznie trzymać poduszkę na jego twarzy, gdy będzie spał pod moim dachem zaproszony w dobrych zamiarach, podlegający ochronie swego królewskiego brata. Nie pozostanie przy życiu. To, że wywodzi się z Yorków, nie

oznacza jeszcze, że jest nietykalny. Dopilnuję, aby umarł. Może spać w piernatach w swoich książęcych apartamentach w Tower, a i tak śmierć go nie ominie.

Spędzam z Edwardem dwa dni, po tym jak wraca z pola bitwy, i w ciągu tych dwóch dni przeprowadzamy się do królewskich apartamentów w Tower, w pośpiechu wysprzątanym i pozbawionym osobistych rzeczy nieszczęsnego Henryka, który zostaje przeniesiony do swego starego lokum z kratami w oknach, gdzie niezbyt poruszony zmianą, natychmiast oddaje się modlitwie. Edward jest głodny jak wilk, jak gdyby nie miał nic w ustach od wielu tygodni, pławi się w kąpieli niczym Meluzyna, bierze mnie, gdy przyjdzie mu ochota, bez dostojności, bez delikatności, całkiem jak złąkniony niewieściego dotyku żołnierz, po czym śpi jak kamień. Budzi się tylko po to, by ogłosić londyńczykom, że pogłoski o ucieczce Warwicka są nieprawdziwe — na własne oczy widział zwłoki zdrajcy. Hrabia zginął, zbiegając z pola bitwy, uciekając jak tchórz, lecz mimo to król postanawia wystawić jego ciało w katedrze Świętego Pawła, aby każdy mógł się przekonać, iż Ryszard Neville, „twórca królów”, nie żyje.

— Nie pozwolę, by go zbezczeszczono — zapowiada Edward.

— Ale on i jego zgraja zawiesili głowę naszego ojca na bramach Yorku — przypomina bratu Jerzy. — Przystroili mu okrwawione skronie koroną z pozłotki. Powinniśmy nadziać łeb Warwicka i zawiesić na moście, a jego poćwiartowane członki rozesać po całym królestwie.

— Ładnie chcesz potraktować swego zmarłego świekra — zauważam. — Nie sądzisz, że coś takiego wywołałoby wzburzenie twej małżonki? Poza tym, jak mi się zdaje, ślubowałaś mu wierność i lojalność?

— Warwick zostanie pochowany z wszelkimi honorami przez własną rodzinę w Bisham — obwieszcza Edward tonem nieznoszącym sprzeciwu. — Nie jesteśmy barbarzyńcami. Nie walczyliśmy z umarłymi.

Spędzamy ze sobą dwa dni i dwie noce, lecz mój mąż przez cały czas wypatruje posłańca i utrzymuje armię w gotowości. Kiedy

w końcu dochodzą nas wyczekiwane wieści, okazuje się, że Małgorzata Andegaweńska przybiła do wybrzeży Anglii w Weymouth, wprawdzie za późno, aby wesprzeć swego sojusznika, lecz na czas, by stanąć w obronie własnej sprawy. Niemal natychmiast otrzymujemy raporty o buntujących się hrabstwach. Lordowie i ich wasale, którzy nie zdecydowali się poprzeć Warwicka, uważają za swój obowiązek bronić królowej przybyłej z armią gotową do bitwy i jej męża Henryka przetrzymywanego przez nas. Lud zaczyna mówić, że to będzie rozstrzygająca potyczka, że jej wynik przesądzi o wszystkim. Hrabia Warwick nie żyje, nie ma trzeciej strony w tym starciu. Do walki stanie królowa z Lancasterów i król z Yorków, zmierzą się dwie równoprawne dynastie, i każdy wolny człowiek w Anglii musi się opowiedzieć za jednym albo za drugim. Wielu wybiera Andegawenkę.

Edward wzywa swoich sprzymierzeńców spośród możnowładców, aby stawili się z oddziałem wymaganej liczebności i w pełnym rynsztunku, nawołuje miasta do wystawienia swoich ludzi i pokrycia kosztów wyprawy wojennej, nikogo nie zwalnia z obowiązku służenia koronie.

— Idę — oznajmia mi o poranku trzeciego dnia. — Cokolwiek się stanie, ratuj mego syna.

— Ratuj siebie — odpowiadam — cokolwiek się stanie...

Kiwa na to głową, ujmuje mnie za rękę i przykładą wewnętrzną stronę dłoni do swoich ust, od razu zaginając moje palce wokół złożonego pocałunku.

— Wiesz, że cię kocham — mówi cicho. — Ale czy wiesz, że dziś kocham cię równie mocno jak wtedy? gdy ujrzałem cię po raz pierwszy pod tamtym dębem?...

Potakuję skinieniem, nie umiając dobyć głosu. Jego słowa brzmią jak ostatnie pożegnanie.

— To dobrze — stwierdza krótko. — Gdyby coś poszło nie tak, zabierz dzieci do Flandrii. Zapamiętałaś, jak nazywa się ten człek w Tournai, który przyjmie was pod swój dach?

— Tak. Ale wszystko pójdzie dobrze...

— Jak Bóg da — odpowiada Edward i z tymi słowy na ustach obraca się na pięcie i wyrusza na następną bitwę.

Dwie armie ścigają się, jedna siedząc na karku drugiej — Andegawenka zmierza ku Walii po posiłki; Edward depcze jej po piętach, próbując odciąć drogę. Siły Małgorzaty, dowodzone przez Edmunda Beaufort księcia Somerset, oraz młodego, zawziętego Edwarda Westminstera mającego pod swoją komendą oddzielną drużynę, cwałują na zachód, do marchii walijskiej, gdzie Jasper Tudor poderwie do walki swoich rodaków oraz napotka Kornwalijczyków. Z chwilą gdy połączone siły Lancasterów schronią się w górach, nic ich nie pokona. Jasper Tudor i młodziutki Henryk Tudor zapewnią im osłonę i walecznych żołnierzy. Nikt nie zdoła ich wyłuskać z twierdz obronnych, gdzie będą mogli w leniwym tempie szkolić wojsko i planować strategię, a poczuwszy się pewniej, przypuścić zmasowany atak na Anglię.

Z Andegawenką podróżuje filigranowa Anna Neville, druga córka hrabiego Warwick, młodziutka żona księcia Walii, nadal nie mogąca uwierzyć w śmierć ojca i zdradę szwagra, księcia Clarence, oraz porzucenie przez rodzoną matkę, Annę de Beauchamp, która schroniła się w klasztorze, aby opłakiwać poległego męża. Niewiasty te stanowią zaiste tragiczne trio, którego przyszłość wisi na włosku i jest w całości uzależniona od wyniku zbliżającej się bitwy, która może zarówno przekreślić, jak i rozniecić nadzieje wszystkich trzech.

Edward, pędzący co koń wyskoczy od bram Londynu i zbierający po drodze kolejne oddziały swojej armii, rozpaczliwie pragnie stanąć do boju na tym brzegu rzeki Severn, zanim wróg się znajdzie po walijskiej stronie. Wszelako jest to praktycznie niemożliwe. Dzieli ich zbyt duży dystans, a w dodatku ludzie mojego męża, zdrożeni po niedawnej walce pod Barnet, nie są w stanie dotrzymać kroku wypoczętemu wojsku Małgorzaty Andegawęńskiej.

Pierwszy bród w okolicach Gloucester okazuje się nieprzebyty. Posłańcy Edwarda ponieśli bowiem przodem wiadomość, by za wszelką cenę uniemożliwić Andegawence przeprawę na drugi brzeg, i twierdza w Gloucester spełnia rozkaz co do joty, broniąc brodu do upadłego. W dodatku rzeka, jedna z największych i najpotężniejszych w Anglii, wezbrała i grozi porwaniem w odmęty każdego śmiał-

ka, który próbowałby ją przebyć w pław. Cieszy mnie myśl, że wody Anglii stawiają opór francuskiej królowej.

Nieprzyjaciel musi zrezygnować i ruszyć wzdłuż brzegów na północ, szukając innego miejsca przeprawy. W tym czasie Edward nadrabia straty i teraz wojska dzieli już tylko dwadzieścia mil. Armia porusza się truchtem niczym gończe psy, a król i jego młodszy brat Ryszard nie szczędzą słów zachęty i bata. Którejś nocy wróg rozbija obóz w ruinach zamku pod Tewkesbury, szukając schronienia przed siekącym deszczem i wyczekując rana z nadzieją na pomyślną przeprawę na drugi brzeg lub na potyczkę z wyczerpanymi siłami Yorków, którzy prowadzą swoich ludzi prosto od jednej bitwy do drugiej, zmuszając żołnierzy do nieprzerwanego truchtu przez trzydzieści sześć mil w ciągu jednego tylko dnia. Edward ma szansę doścignąć nieprzyjaciela, lecz prawda jest taka, że jego armia została wyprana z woli walki. Nawet jeśli stanie naprzeciwko Małgorzaty Andegaweńskiej i jej syna, będzie miał do dyspozycji złamane szyki nie nadających się do niczego ludzi.

3 MAJA 1471 ROKU



Królowa Małgorzata i jej nieszczęsna synowa, Anna Neville, rekwirują pobliski majątek zwany Payne's Place i wyczekują rozebrania się bitwy, która jak wierzą, umocni pierwszą na tronie Anglii, a z drugiej uczyni pełnoprawną księżną Walii. Anna spędza niemal całą noc na klęczkach, modląc się za duszę swego ojca, którego doczesne szczątki wystawiono na schodkach wiodących do ołtarza londyńskiej katedry Świętego Pawła zgodnie z życzeniem króla Edwarda. Młode dziewczę zanosi również modły w intencji swojej matki, która tuż po zejściu na ląd w Anglii, jeszcze zanim obeszła z morskiej soli na twarzy, dowiedziała się, że jej mążonek przegrał z kretesem, zbiegł z pola walki i został pozbawiony życia, ostawiając ją wdową. Owdowiała hrabina Warwick odmówiła towarzyszenia dalej armii Lancasterów i schroniła się za murami opactwa cystersów w Beaulieu, porzucając obie córki na pastwę ich mężów pozostających zagorzałymi przeciwnikami. Między innymi dlatego filigranowa Anna wstawia się także za swą starszą siostrą Izabelą, poślubioną przeniewiercy Jerzemu, a zatem obecnie znowu księżną wypatrującą zwycięstwa Yorków w nadchodzącej bitwie. Jak zwykle nie zapomina prosić Boga, aby zesłał światło na jej mążonka Edwarda Westminstera, który z każdym dniem staje się większym okrutnikiem i dewiantem, a także błaga Najwyższego, by czuwał nad nią podczas zbliżających się walk i sprawił, że wróci do domu. Aczkolwiek straciła już rozeznanie i sama nie wie, gdzie też znajduje się jej dom.

Armią Edwarda IV dowodzą jego najzaufańsi towarzysze: dwaj bracia, przy których boku jest gotowy oddać życie, jeśli taka będzie wola Pana Boga. Strach nie opuszcza mojego męża nawet na chwilę; poznał smak klęski i nigdy go nie zapomni, wie jednak, iż nie ma sposobu na uniknięcie potyczki — musi tylko dopaść wroga, wyciskając z ludzi i zwierząt wszystko. Wolno mu się bać, ale jeżeli chce zachować koronę, nie może zrezygnować z walki — a tym razem będzie musiał przejść samego siebie, postarać się bardziej niż kiedykolwiek. Książę Gloucester dowodzi awangardą, prowadząc całość armii z młodzieńczą werwą i niezachwianą odwagą. Sir William Hastings, który oddałby życie, byle uchronić swego króla przed zasadzką, osłania tyły. Król uplasował się pomiędzy nimi, przewidziawszy specjalne zadanie dla Antoniego Woodville'a.

— Weź ze sobą Jerzego i mały oddział kopijników i ukryjcie się w lesie po naszej lewej — rozkazuje memu bratu cichym głosem. — Upieczemy w ten sposób dwie pieczenie przy jednym ogniu. Po pierwsze, dopilnujesz, żeby Somerset nie wysłał z ruin oddziału, który by nas zaatakował z lewej flanki, a po wtóre, będziesz bacznie przypatrywał się bitwie i wkroczysz do akcji wtedy, kiedy uznasz za najbardziej stosowne.

— Ufasz mi do tego stopnia? — pyta zdziwiony Antoni pamiętający czasy, kiedy on i Edward byli wrogami, nie szwagrami.

— Owszem — potwierdza król. — Martwi mnie tylko to, że jesteś uczony w filozofii i możesz mieć śmierć i życie za jedno.

Antoni krzywi się boleśnie.

— Ledwie liznałem filozofii, a do swego żywota jestem przywiązany jak mało kto — odpowiada. — ónybam jeszcze nie gotów się z nim rozstawać, miłościwy panie.

— Ja również nie — podchwytuje Edward z zapałem i na fali uniesienia dodaje wulgarnie: — Ani mi się śni nie móc poruszać fujarą, bracie. Dlatego dołóż starań, by twoja siostra mogła jeszcze nie raz wypełnić królewską kołyskę. Ocal królewskie jaja, Antoni!

Mój brat wybucha śmiechem i unosi zaciśniętą pięść w prześmiewczym geście.

— Dasz sygnał, gdybyś potrzebował pomocy?

— Bez trudu zobaczysz, żem w potrzebie. Sygnałem niech będzie to, że ustępuję pola — odpowiada Edward ponuro. — Nie zwlekaj tak długo... to wszystko, o co proszę.

— Zrobię co w mojej mocy — obiecuje Antoni i odwraca się, by powieść dwie setki kopijników do kryjówki.

Edward czeka wystarczająco długo, aby mogli zająć upatrzone pozycje i schronić się przed wzrokiem lancasterskich sił rozmieszczonych wciąż w ruinach, po czym wydaje komendę:

— Ognia!

Równocześnie łucznicy pod komendą Ryszarda wypuszczają deszcz strzał. Kule armatnie dosięgają walących się murów zamku i wkrótce do odgłosu wystrzałów dołącza huk kamieni spadających wraz z ciężkimi pociskami na głowy żołnierzy ukrytych poniżej. Rozlega się przeraźliwy wrzask, kiedy jeden z nieprzyjaciół zostaje trafiony strzałą prosto w twarz, po czym niemal od razu tuzin kolejnych, wydanych ostatnim tchnieniem z przebitych gardeł i płuc. Zamczysko okazuje się morzem ruin, nie twierdzą. Za rozsypującymi się w oczach murami brak innych kryjówek, a same bloki kamienia raczej stanowią zagrożenie, niż dają możliwość schronienia. Żołnierze idą w rozsypkę, niektórzy podejmują atak w dół niewielkiego wzniesienia, zanim padnie rozkaz, inni natomiast podkuliwszy ogony, kierują się na Tewkesbury. Somerset grzmi, rozkazując podwładnym stanąć w szyku i nacierać na wroga u podnóża pagórka, całkiem niepotrzebnie zresztą.

Wrzeszcząc wniebogłosy i nabierając tempa z każdym wydłużonym krokiem, armia Lancasterów gna jak błyskawica w dół zbocza, mierząc prosto w centrum armii Yorków, gdzie czeka już na nich król z hełmem oplecionym złotą koroną. Po twarzy Edwarda poznać, że przepełnia go nieznająca litości radość, której zasmakował we wczesnej młodości podczas swoich pierwszych bitew. Ledwie dopada go frontowy szereg wroga, jest gotów przywitać nieprzyjaciela uniesionym wysoko pałaszem w jednym ręku i toporem wojennym w drugim. Długi czas spędzony w szrankach na ćwiczeniach, praktyka zdobyta w boju przydają się teraz i ruchy Edwarda są szybkie i zwinne, naturalne jak u dzikiej bestii: wypad, sztych, obrót, blokada, pchnięcie. Co rusz pojawia się nowy przeciwnik, lecz król nie gubi kroku, nie traci

rytmu. Tnie przez nieosłonięte gardła, uderza z góry w cienkie hełmy, od dołu odcina dzierzące broń ramiona, wykorzystując nieosłonięte zbroją pachy. Bez żenady kopie kolanem krocza, a gdy ofiara zwija się wpół z bólu, król roztrzaskuje jej toporem czaszkę.

Kiedy natarcie wymusza na yorkistach ustąpienie pola, jak spod ziemi wyrasta Ryszard ze swoim oddziałem i rozpoczyna się bezlitosna jatka, sieczenie i rżnięcie, z młodym księciem w centrum wydarzeń — mizernej postury, lecz zabójczym tytanem śmierci. Nieustępliwa postawa ludzi pod dowództwem Ryszarda powstrzymuje szarżę lancasterów, którzy przez parę uderzeń serca nie wiedzą, co dalej. Jak zawsze podczas walki wręcz następuje chwila przerwy, kiedy nawet najsilniejsi wojownicy muszą zaczerpnąć powietrza — jednakże tym razem yorkiści nie pozwalają sobie na odpoczynek, tylko podejmują atak z królem na czele wspieranym na flance przez księcia Gloucester. Krok po kroku spychają wroga na pierwotne pozycje.

Nagle przetacza się ogłuszający ryk, przerażający okrzyk bojowy żołnierzy pozostawionych w lesie po lewej, tam gdzie wróg nie spodziewał się zagrożenia. W okamgnieniu dwie setki — choć zdaje się, że jest ich dwa tysiące — kopijników, uzbrojonych w śmiercionośne włócznie, lecz poza tym lekkobrojnych, nadciąga biegiem ku oszłomionym lancasterom; prowadzi ich największy rycerz królestwa, Antoni Woodville. Spragnione krwi wroga, wyciągnięte na całą długość włócznie sięgają daleko przed dzierzących je żołnierzy, żelazcami szukając celu, tak że kiedy stronnicy Andegawenki podnoszą głowy, odrywając się na moment od zamierającej z wolna bitwy, przed oczami miga im las drewnianych, zakończonych metalem błyskawic. Śmierć nadchodzi zbyt szjifcko, aby można jej uniknąć.

Rozpierzchają się na cztery wiatry, nic innego nie mogą zrobić. Kopijnicy w sile dwustu chłopca dosięgają wroga niczym jeden organizm wyposażony w jedną broń o dwu* setkach ostrzy. W powietrzu słychać przerażający świst tuż przed wrzaskami ranionych i ginących, kiedy groty sięgają celu. Ocalali lancasterzy rzucają się do panicznej ucieczki w górę wzniesienia, lecz Ryszard postępuje za nimi niczym anioł śmierci nie znający litości. Do akcji wkracza Antoni, którego ludzie wyrzynają nieprzyjaciela w pień. Niedobitki kierują się ku rzece i próbują pokonać nurt wpław, ale większość

ginie wciągnięta pod powierzchnię przez ciężkie zbroje, zaplątana w przybrzeżnych trzcinach. Ci, którym udało się przedrzeć i którzy właśnie umykają między drzewa, napotyka ją na swej drodze czekającego spokojnie Hastingsa. Ludzie sir Williama zacieśniają krąg i wybierają jednego po drugim zupełnie jak kosiarze pod koniec zniw, kiedy ostaje się tylko jedna kępa niezżętego zboża, gdzie schroniły się drżące ze strachu zające. Ten i ów usiłuje umknąć w stronę miasteczka, lecz nic nie uchodzi uwagi Edwarda — król z przybocznymi rzuca się za nimi w pogoń niczym za sarnami i rychło ich dopada, by odebrać życie. Pomiedzy uciekinierami jest młodzieniec, którego zowią księciem Walii, Edward Westminster z Lancasterów — jego także dopadają u bram miasta i ścinają w pełnym pędzie, unosząc łyskające krwią miecze i nie zważając na wykrzykiwane błagania o zmiłowanie i litość.

— Oszczędź mnie! Oszczędź! Jam Edward Lancaster, urodzony, by włożyć koronę, z matki... — Reszta wypowiedzi ginie pośród gulgotu królewskiej krwi, kiedy jeden z żołnierzy, człowiek niskiego stanu, przykładą ostrze do gardła młodego księcia i przejeżdża nim bez drgnienia ręki, tym samym przekreślając nadzieje Małgorzaty Andegaweńskiej; odbiera życie jej synowi i wszystkim jego synom, całej linii Lancasterów zrodzonej z lędźwi Henryka VI, ponieważ spodobał mu się lśniący pas i miecz z rzeźbioną rękojeścią.

Podrzynanie gardeł to nie zajęcie dla króla, toteż Edward York opiera się na mieczu wbitym w ziemię, wyciera starannie sztylet i tylko się przygląda, jak jego ludzie wrażają ostrza w bezbronne, zakryte gołymi dłońmi ciała, patroszą wnętrzności, roztrzaskują czaszki, łamią nogi i ręce, aż wreszcie to co zostało z armii Lancasterów, leży w pyle i zawodzi jęcząc, a bitwa, przynajmniej ta bitwa, kończy się zwycięstwem Yorków.

Żadna bitwa jednak nie kończy się gładko, dowódcę zwycięskiej strony czeka jeszcze niemiłe zadanie. Wszelako euforia, która ogarnęła Edwarda w początkach walki, nie sięga aż do tej chwili, kiedy trzeba zabijać jeńców i torturować pojmanych. Król — w przeciwieństwie do wielu mu współczesnych i równych pozycją — nie żywi upodobania nawet do ceremonialnego skracania o głowę zdrajców, co można uczynić w majestacie prawa. Tymczasem ci ze sprzyjają-

cych Lancasterom lordów, którzy unieśli cało głowę z bitwy, ukryli się za murami pobliskiego klasztoru. Edward wie, że nie może pozwolić, aby tam zostali i wrócili bezpiecznie do domów.

— Wykurz ich stamtąd — poleca opryskliwie swemu bratu, Ryszardowi, z którym łączy go pragnienie, by raz na zawsze położyć kres niekończącej się wojnie. Następnie zwraca się do swych pasierbów, Tomasza i Ryszarda Greyów: — Wróćcie na pole bitwy i odszukajcie każdego żywego lorda. Zabierzcie mu broń i oddajcie go strażom.

— Schronili się w świątyni — zauważa Hastings. — Są na terenie klasztoru. Uciekli się pod opiekę Ukrzyżowanego. Twoja żona przeżyła tylko dlatego, że wróg uhonorował świętość opactwa westminsterskiego. Twój syn mógł przyjść na świat tylko dlatego, że wróg uszanował sanktuarium.

— To była niewiasta i niemowlę — ucina dyskusję Edward. — Sanktuaria są dla bezbronnych. Książę Somerset z całą pewnością się do nich nie zalicza. Jest podstępny, zdradziecki, zadającym śmierć z ukrycia szcurem. Mój brat Ryszard wydobędzie go zaraz z nory, w której się schował, choćby to był klasztor, i zaciągnie na szubienicę ustawioną na rynku w Tewkesbury. Prawda, Ryszardzie?

— Tak — odpowiada Ryszard krótko. — Mam większy szacunek dla naszego zwycięstwa niż dla jakiegokolwiek sanktuarium. — To powiedziawszy, kładzie dłoń na głowicy miecza i kieruje się do klasztoru, gdzie każe wyważyć drzwi, mimo iż przeor łapie go za prawe ramię i zaklina na wszystkie świętości, aby się powstrzymał i nie bezcześcił domu Pańskiego.

Ani Ryszard, ani jego ludzie nie znają miłosierdzia. Pewne uczynki nie podlegają wybaczeniu. Najmłodszy z braci Yorków dopilnowuje, aby ze świątyni na terenie klasztoru wyciągnięto każdego opierającego się i błagającego o łaskę przeciwnika. Potem Ryszard i Edward przypatrują się w milczeniu, jak na klasztornym dziedzińcu ich żołnierze zakłuwają jednego po drugim jeńców obiecujących wysoki okup, chwytających się płyt nagrobnych i wołających na pomoc zmarłych, dopóki nie zalega martwa cisza. Stopnie do świątyni są śliskie od krwi, w powietrzu unosi się zapach juchy, zupełnie jak na straganie rzeźnika, zupełnie jakby nie było już żadnej świętości. Zaiste, nic już nie ma świętego w Anglii.

14 MAJA 1471 ROKU



Od dawna wyczekujemy wieści za murami londyńskiej twierdzy, gdy wreszcie na ulicach rozlegają się wiwaty i wiem już, że mój mąż wraca do domu. Zbiegam kamienną klatką schodową, stukając obcasami, za mną pędzą dziewczynki niemogące się doczekać powrotu ojca, lecz gdy otwierają się wewnętrzne bramy i na dziedziniec wysypują się jeźdźcy, nie ma pomiędzy nimi Edwarda, tylko mój brat Antoni, który uśmiecha się do mnie szeroko.

— Bądź pozdrowiona, siostrze, i wiedz, że twój mąż jest cały i zdrow i wygrał wielką bitwę. Pani matko — zwraca się do Jakobiny za moimi plecami — daj mi swoje błogosławieństwo, gdyż bardzo go potrzebuję.

Antoni zeskakuje z siodła, kłania mi się, po czym zrywając nakrycie głowy, klęka na jedno kolano przed panią matką, ona zaś kładzie mu na ciemieniu dłoń. Zapada długa chwila ciszy, kiedy go dotyka. To prawdziwe błogosławieństwo, nie czczy gest, jakże chętnie powtarzany w innych rodzinach. Serce Jakobiny wyrwa się ku niemu, ku jej ukochanemu, najbardziej utalentowanemu dziecku. Antoni skłania jasnowiącą głowę niżej, zamiera na moment i dopiero wstaje, by znów skierować swoje słowa do mnie.

— O wszystkim ci opowiem, na razie wiedz tylko, że stoczył wspaniałą bitwę i odniósł zwycięstwo. Andegawenka dostała się do naszej niewoli. Jej syn nie żyje, Henryk i Małgorzata nie mają następcy. Nadzieje Lancasterów zmieszały się z krwią i błotem. Edward byłby już do ciebie przyjechał, ale musiał się udać na północ, gdzie

wybuchają powstania w imię Neville'ow i Lancasterów. Obaj twoi synowie są przy nim i także mają się wybornie. Wszyscy są dobrej myśli. Ja zostałem przysłany, aby bronić ciebie i Londynu, gdyby zaszła taka potrzeba. Hrabstwo Kentu z Thomasem Neville'em na czele występuje przeciwko nam. Połowa jego ludzi to przyzwoici poddani, których zwiódł na manowce, lecz pozostali są zwykłymi grabieżcami tylko czekającymi okazji na łatwy łup. Najmniejszą, choć zarazem najgroźniejszą część stanowią ci, którzy uważają, że mogą uwolnić króla Henryka i pojmać ciebie, co uroczyste ślubowali. Bastard Fauconberga już jest w drodze do Londynu, łodem i wodą, ma na swych usługach małą flotę. Mam przejąć dowodzenie i pokierować burmistrzem i rajcami, organizując obronę wedle swego uznania.

— Zaatakują Londyn?

Antoni potakuje skinieniem.

— Zostali pokonani, stracili nadzieję na następstwo tronu, a jednak chcą dalej prowadzić wojnę. Już wyznaczili kolejnego w sukcesji Lancastera: Henryka Tudora. Poprzysięgli nam zemstę. Edward przysłał mnie, abym cię obronił lub w ostateczności ukrył.

— Jakie mamy szanse?

— Niewielkie, siostró... Thomas Neville ma statki i poparcie Francji, a Edward zabrał całą armię na północ. Przykro mi. — Kłania mi się ponownie i odwraca w stronę zabudowań, wołając po drodze do dowódcy twierdzy, że chce się natychmiast widzieć z burmistrzem, po czym niezwłocznie wysłucha raportu na temat gotowości Tower do oblężenia.

Przybyli szpiedzy potwierdzają informacje o tym, że Thomas Neville ma statki stojące na kotwicy u wybrzeży Kentu i że poprzysiągł wesprzeć siły lądowe, żeglując w górę Tamizy i atakując Londyn. Chociaż nie opadł jeszcze kurz na polu bitwy pod Tewkesbury, chociaż z naszych rąk poległ następca tronu, chociaż powinniśmy być bezpieczni, nadal wisi nad nami wielkie zagrożenie.

— Po co on to robi? — pytam, rozmyślając na głos. — Przecież to koniec. Edward Westminster nie żyje, jego krewniak Warwick nie żyje, Andegawenka została pojmana i jest przetrzymywana w niewoli, Henryk od dawna jest naszym więźniem tutaj, w Tower...

Po co temu pói-Neville'owi statki nieopodal Gravesend, po co mu zdobywać Londyn?...

— To wcale nie koniec — wtrąca pani matka. Spacerujemy po blankach; ja niosę niemowlę, żeby się nawdychało świeżego powietrza, dziewczynki idą gęsiego za nami. Tylko pani matka i ja sięgamy zębów blanek i widzimy, patrząc w dół, jak Antoni nadzoruje przecaczanie dział i ustawianie ich lufami w stronę rzeki. Już wcześniej zarządził, by worki z rzeczonym piaskiem osłoniły wszystkie drzwi i okna Białej Wieży. W oddali ludzie w pocie czoła wydobywają z dna Tamizy piasek i ustawiają na podorędziu cebry z wodą w obawie przed pożarami, gdy statki Neville'a podążą w górę rzeki.

— Jeżeli temu bastardowi uda się zająć twierdzę, a Edward przegra na północy, wszystko zacznie się od nowa — kontynuuje pani matka. — Neville może uwolnić Henryka. Andegawenka może się przeprosić z królem, a nawet począć z nim kolejne dziecko. Dlatego jedynym sposobem na położenie kresu wojnie jest wytrzebić cały ród Lancasterów. Henryk Szósty musi umrzeć. Zabiliśmy jego syna, teraz przyszedł czas na niego.

— Ale przecież Henryk, żywy czy martwy, ma innych następców — przypominam. — Stracił syna, zgoda, lecz wciąż jest Małgorzata Beaufort...

Jakobina Luksemburska wzrusza ramionami.

— Niewiasta... Nikt nie będzie się narażał, żeby usadzić na tronie niewiastę. Tego kraju nie utrzyma w ryzach nikt, kto by nie umiał toczyć bitew.

— Małgorzata Beaufort ma syna, Henryka Tudora. On może zostać pretendentem do tronu.

Pani matka ponownie zbywa moje domysły wzruszeniem ramion.

— Tym bardziej nikt nie będzie się narażał dla jakiegoś wyrostka. Henryk Tudor się nie liczy. Ktoś taki jaki Henryk Tudor nigdy nie zostanie królem Anglii. Chyba nie sądzisz, że znalazłby się choć jeden żołnierz gotowy oddać życie za nieopierzonego Tudora, kiedy do wyboru ma dojrzałego Plantageneta, w dodatku już koronowanego na króla. Tudorowie są tylko po części królewskiej krwi, a i to w większości francuskiej. To żadne zagrożenie dla ciebie — uspokaja mnie i spogląda w dół białej ściany ku okratowanym oknom, za

którymi zapomniany król Henryk powróci! do swoich modlitw. — Zatem wraz z jego śmiercią umrze cała linia Lancasterów i sukcesja Yorków będzie pewna.

— Któż jednak poważyłby się podnieść nań rękę? Wszak to nieszczęśnik niespełna rozumu. Któż miałby tak twarde serce, by pozbawić go życia, kiedy pozostaje naszym więźniem? — Mimowolnie ściszam głos, apartamenty Henryka znajdują się dokładnie pod nami. — Całe dni spędza na klęczkach zatopiony w modlitwie bądź patrzy niewidzącym wzrokiem przez okienko. Zabić go, to jak zamordować Bogu ducha winnego wioskowego idiotę. A są tacy, co twierdzą, że Henryk Szósty jest Bożym głupcem albo nawet świętym. Któż miałby odwagę zamordować świętego?

— Mam nadzieję, że twój mąż — rzecze pani matka bez ogródek. — Ponieważ tylko tak można zapewnić pokój w Anglii i sukcesję twojemu synowi: przykładając temu nieszczęśnikowi poduszkę do twarzy i trzymając tak długo, aż zaśnie snem wiecznym.

Słońce zasnuwa chmura, a ja, czując nagły chłód, przyciskam małego Edwarda do piersi, aby za wszelką cenę go chronić przed podobnymi gorzkimi radami. Drzę, jak gdyby pani matka przepowiadała moją śmierć.

— O co chodzi? — pyta jak zwykle czujna. — Zmarłaś? Może powinnymy już **wEaeac?**

— O Tower — odpowiadam z irytacją. — Nigdy nie cierpiałam Tower. Nie mogę też znieść tego, co mówisz: żeby zamordować bezbronного więźnia, któregośmy sami tutaj umieścili! Nie powinnaś o tym nawet myśleć, nie w obecności księcia! Pragnę, aby to wszystko nareszcie się skończyło i abyśmy mogli wrócić do pałacu.

Spoglądam w dół i widzę, że Antoni macha do nas z uśmiechem, dając znać, że działa są przygotowane i jesteśmy gotowi do obrony.

— Niebawem tam wrócimy — zapewnia mnie pani matka. — Zwycięski król Edward ściągnie do Londynu, a ty, książę i księżniczki będziecie nareszcie bezpieczni.

Lecz jeszcze tej samej nocy rozlega się bicie na alarm. Wyskakuję z łoża, łapię niemowlę, dziewczynki już są koło mnie, kiedy otwierają się drzwi mojej komnaty sypialnej i do środka wpada Antoni.

— Odwagi! Są już niedaleko i lada chwila rozpocznie się ostrzał. Trzymajcie się z dala od okien!

Zamykam okiennice, przesuwam baskwile, zaciągam kotary i z wszystkimi dziećmi ukrywam się pod grubym baldachimem otulającym łożę z czterech stron. Nasłuchujemy. Grzmią działa, kule armatnie świszczą w powietrzu, po czym upadają z hukiem w wodę; po chwili pierwsze pociski dosięgają murów Tower. Elżbietka, moja pierworodna, zwraca ku mnie pobielałą twarzyczkę i pyta:

— Czy to zła królowa nas atakuje?

— Twój ojciec król pokonał i uwięził złą królową, tak jak przedtem starego króla — wyjaśniam, myśląc o Henryku w komnatach poniżej i zastanawiając się, czy ktoś pamiętał, aby zatrzasać tam okiennice i przykazać mu, by nie zbliżał się do okien. Neville by się doigrał i zdjął nam kłopot z głowy, gdyby dzisiejszej nocy zabił swojego króla, celując doń z armaty.

Ilekroć kanonierzy odpalają nasze działa, których lufy skierowano ku rzece, przez szpary w okiennicach dochodzi do nas blask ognia. Elżbietka drży z przerażenia i przytula się do mnie.

— To nasze armaty — tłumaczę jej radosnym tonem. — Zatapiają wrogie statki. Dowodzi nimi kuzyn Warwicka, Thomas Neville, który jest na tyle głupi, że nie wie, iż wojna już się skończyła naszą wygraną.

— Ale czego on chce? — pyta mnie córka cienkim głosem.

— Chce rozpętać ją na nowo — odpowiadam z goryczą. — Lecz to mu się nigdy nie uda, ponieważ twój wuj Antoni jest przygotowany na każdą ewentualność i ma na swoje skinienie londyńczyków. Murów Tower bronią bitni strażnicy, a w mieście aż roi się od czeladników tylko szukających, komu by tu nabić guza. Poza tym twój ojciec już zmierza nam z pomocą.

Elżbietka patrzy na mnie wielkimi szarymi oczyma. Temu dziecku zawsze kłębi się w głowie więcej myśli, niż ma na niej włosów. Zna wojnę od kołyski, rozumie, że jest tylko pionkiem na szachownicy, którą stała się Anglia. Wie, że ma swoją wartość i że w odpowiednim momencie zostanie drogo sprzedana; wie, że od urodzenia znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie.

— A kiedy papa wróci, wszystko się wreszcie skończy? — dopytuje.

— Tak — obiecuję, spoglądając w jej wąpiące oczęta. — Kiedy papa wróci, wszystko wreszcie się skończy.

Oblężenie trwa trzy dni — najpierw nieustanna wymiana ognia, potem równoczesny szturm piechoty z Kentu i floty Neville'a na siły pod wspólnym dowództwem Antoniego i naszego krewniaka Henry'ego Bouchiera hrabiego Essex. Do Tower płynie niepowstrzymany strumień naszych bliskich i sojuszników: żona Antoniego, moje siostry z mężami, dawne dworki—wszyscy są zdania, że twierdza to najbezpieczniejsze miejsce w całym Londynie, do czasu gdy Antoni oznajmia, iż ma pod sobą dość ludzi, by kontratakować.

— Jak daleko stąd jest Edward? — pytam podenerwowana.

— Kiedy otrzymałem ostatnie wieści, znajdował się o cztery dni drogi — odpowiada mój brat. — Za daleko. Nie możemy czekać tak długo. Moim zdaniem poradzę sobie sam.

— A jeśli nie?

Śmieje się do mnie.

— Wtedy, moja siostro i królowo, będziesz musiała stać się królową wojowniczką i wziąć sprawy w swoje ręce. Osobiście pokierujesz obroną Tower. Ta twierdza wytrzyma wiele dni. Musimy tylko odepchnąć ich teraz, by przez jakiś czas nie podchodzili bliżej. Jeżeli zacieśni oblężenie, skupią się na Białej Wieży i wzmocnią ostrzał artyleryjski albo nie d'aj Boże, przedrą się przez obronę, zginiesz, nim ujrzysz znowu swego męża.

Kiwam wolno głową.

— W takim razie realizuj swój plan — mówię przyzwalająco, choć wbrew sobie. — Rzuć swoich ludzi do ataku.

Antoni kłania mi się.

— Teraz mówisz jak prawdziwy yorkista. Jak niewiasta z rodu Yorków. Wszyscy oni są złaknieni krwi, zrodzeni i wychowani na polu walki. Miejmy tylko nadzieję, że kiedy nareszcie wygrają, nie pozabijają się z przyzwyczajenia i dla czystej przyjemności.

— Zaprowadźmy najpierw pokój, potem będziemy się martwić o gorące głowy trzech braci Yorków.

Nazajutrz o świcie Antoni jest gotów do ataku. Strażnicy na murach są nie tylko świetnie wyszkoleni, ale również dobrze uzbro-

jeni. Londyn pozostaje w gotowości bojowej od szesnastu lat; każdy czeladnik ma jakąś broń i umie się nią sprawnie posługiwać. Oddziały z Kentu rozłożyły się obozem półkołem wokół twierdzy i murów miejskich, lecz akurat wtedy gdy uchyla się tylna brama Tower, śpią jak zabici i nie widzą wymykających się na zewnątrz ludzi Antoniego. Własnymi rękoma trzymam skrzydło bramy. Henry Bouchier wychodzi ostatni.

— Wasza miłość, kuzynko, zasuń dobrze rygle i wracaj do Białej Wieży — prosi.

— Nie, będę czekać tutaj. Jeśli coś pójdzie nie tak, otworzę bramę memu bratu i tym, którzy z nim wrócą.

Bouchier uśmiecha się do mnie.

— Cóż, mam nadzieję, że powrócimy wszyscy, przynosząc wieść o zwycięstwie.

— Z Bogiem! — ponaglam go.

Powinnam, tak jak mi kazał, zamknąć i zaryglować bramę, lecz tego nie robię. Stoję i patrzę za nimi. W duchu mam się za heroinę z jakiejś legendy, piękną królową, która wysłała swoich rycerzy na wyprawę, by czuwać nad ich bezpieczeństwem niczym anioł.

Z początku wszystko wskazuje, że są bezpieczni. Mój brat, z gołą głową, zakuty tylko w wytłaczany napierśnik, zakrada się do obozu wroga z pałaszem w rękę, za nim zaś bezszelestnie przemykają jego podkomendni, nasi wierni przyjaciele, krewni i powinowaci. W świetle księżycy wyglądają jak rycerze ruszający na krucjatę; w tle połyskuje rzeka, na niebie migoczą prowadzące ich gwiazdy. Rebelianci obozują na błoniach nad Tamizą, część rozłożyła się w wąskich brudnych uliczkach w pobliżu twierdzy. Większość to biedacy; tylko nieliczni mają pałatki służące im za namioty — gros leży pokotem tuż przy wygasłych ogniskach. Ulice okalające mury miasta wypełnione są karczmami i piwiarniami, toteż spora część ludzi Thomasa Neville'a jest pijana. Na moich oczach oddział Antoniego formuje się w trójki i nagle, zapewne na rozkaz, wszystko się zmienia. Jak jeden mąż przywdziewają hełmy, dobywają mieczy, zwalniają łańcuchy kiścieni, przestacząją się z mężczyzn z krwi i kości w stwory ze stali.

Jakimś cudem wyczuwam zachodzącą w nich zmianę, stojąc daleko przy bramie, i choć wydałam pozwolenie na atak, choć to mnie

bronią, nachodzi mnie przeczucie, że zaraz wydarzy się coś bardzo złego, morderczego.

— Nie... — szepczę, jakbym mogła tym powstrzymać ich marsz przechodzący w trucht, a potem w bieg, uniesienie i wymachy ramion.

Śpiący gdzie popadnie ludzie zrywają się z ziemi z okrzykiem przerażenia zamierającym na wargach, gdy ostrze przeszywa im serce lub topór spada na głowę. Niebezpieczeństwo pojawiło się bez ostrzeżenia; prosto ze snów o słodkim zwycięstwie albo o domu przechodzą do zimnej nocnej rzeczywistości, chwytają słabnącymi dłońmi zimną stal i oddają ducha Bogu. Przysypiający wartownicy budzą się i wszczynają alarm, lecz głos nie opuszcza ich podciętych gardeł. Mogą tylko na osłep młócić mdlejącymi rękami. Jakiś człowiek wpada tyłem w tłacę się ognisko i wzbudza płomień, krzycząc przeraźliwie jak żywa pochodnia, ale nikt nie przystaje, aby go ratować. Żołnierze Antoniego rozkopują buciarami żarzące się drwa i momentalnie iskry przeskakują na płótno pałatek i wełnę koców, wzbudzając popłoch wśród ludzi i zwierząt. Konie rżą i stają dęba na widok buchającej płomieniem paszy w korytach. Naraz budzi się całe obozowisko ogarnięte pandemonium. Podkomendni mojego brata sprawują się cicho i skutecznie, niczym niewidzialni zabójcy. Dźgają nożami leżących, powalają na ziemię próbujących wstać, wrażliwą ostrza w bebechy bezbronnym, odcinają ręce sięgające po broń. Armia przytyła z Kentu otrząsa się z szoku i snu i rzuca do ucieczki. Ci co przeżyli jatkę, łapią, co wpadnie im w ręce, i gnają na osłep przed siebie. Niektórzy zbierają swoich poza obozowiskiem i małymi grupkami wracają na pole walki. Antoni i reszta podnoszą zasłony hełmów i wydają okrzyk bojowy, po czym szarżują na nich, tak jak stoją, z mieczami spływającymi krwią ich druhów. Buntownicy, przeważnie chłopcy z pól Kentu, rejterują na ten widok.

Ten i ów wyrywa się z szeregów Antoniego i podejmuje pościg, lecz mój brat przyzywa wszystkich do siebie. Nie zamierza pozostawić twierdzy bez obrońców. Wszakże posyła zaufany pododdział do doków, aby dokonać abordażu i przejąć statki Neville'a. Tymczasem pozostali już wracają za mury Tower. Ich podniecone głosy niosą się echem w rześkim porannym powietrzu. Przechwalają się, jak to któryś zasztyletował śpiącego, jak inny pozbawił głowy nie-

wiastrę staczającą się z chędożącego żołnierza, jak ten czy tamten widział, że spłoszony koń skręca sobie kark, usiłując uniknąć płomieni.

Otwieram szerzej tylną bramę pomyślaną specjalnie dla takich wypadów jak ten, którego byłam świadkiem. Nie chcę ich witać, nie chcę już nic więcej widzieć ani słyszeć. Odwracam się i idę do Białej Wieży, prosto do swoich apartamentów, odszukuję panią matkę, dziewczynki i niemowlę, zabieram wszystkich do swej komnaty sypialnej i barykaduję drzwi, jakbym się obawiała własnej armii. Nasłuchiwałam się historii o wielu bitwach tej toczony między kuzynami wojny dwu róż, lecz zawsze była w nich mowa o heroizmie, męstwie, braterstwie, szale bitewnym i o honorze. Nasłuchiwałam się ballad i wierszy o boju, pięknie szarzy i szlachetności dowódców. Nie miałam więc pojęcia, że wojna to w głównej mierze jatka, równie brutalna i dzika jak szlachtowanie wieprzka, kiedy to podrzyna się zwierzęciu gardło i zostawia, aby się wykrwawiło, gdyż wtedy mięso jest lepsze w smaku. Nie miałam pojęcia, że styl szranków i gracia turniejów rycerskich nie ma nic wspólnego z prawdziwą walką, która przypomina raczej uganianie się za kwiczącym świniakiem po zagrodzie, kiedy ma się ochotę na tłustą szynkę. Przede wszystkim jednak nie miałam pojęcia, że wojna tak wpływa na mężczyzn — że wracają do domu jak rozochoceni żakowie, którym wybornie udał się figiel, tyle że na rękach mają krew, a na pelerynach flaki, z głów wciąż im dymi, a twarze wykrzywia okrutny grymas.

Teraz już rozumiem, czemu po bitwie często dochodzi do bezczeszczenia klasztorów i sanktuariów, czemu żołnierze biorą gwałtem bezbronne niewiasty, czemu dowódcy każą ścigać do upadłego i zabijać nawet jeńców. Wojaczka wzbudza w mężczyznach niezdrowe podniecenie, okrutne i rozpustne żądze, które przystoją raczej bestiom niż ludziom. Wcześniej wszakże nie miałam pojęcia, czym naprawdę jest wojna. Wyrzucam to sobie i mam się za głupią, skoro się wychowała w królestwie od lat pograżonym w bratobójczym konflikcie, w domu człowieka pojmanego w czas bitwy, a dorosłe życie wiodła pod dachem rycerza, w istocie bezlitosnego żołdaka, później zaś jako wdowa i sierota. Teraz już jednak wszystko to wiem.

21 MAJA 1471 ROKU



Kiedy Edward wjeżdża do Londynu, wygląda jak prawdziwy zwycięzca, jak król wracający z wojny w chwale — nic w jego postawie, końskim rzędzie, błyszczącej zbroi nie wskazuje na to, że stoczył morderczą bitwę. Na flankach ma swoich braci, Ryszarda i Jerzego; z tyłu — moich synów przejętych do szpiku. Trzej Yorkowie odzyskali, co im się od samego początku należało, i znów stanowią jedność. Londyńczycy szaleją z radości na ich widok. W orszaku znalazło się trzech książąt, sześciu hrabiów i szesnastu baronów, a każdy z nich jest zagorzałym yorkistą, zaprzysiężonym obrońcą sprawy mego męża. Kto by pomyślał, że mamy tak wielu przyjaciół? Z pewnością nie ja, dla której sanktuarium zdawało się raczej więzieniem i która musiałam wydać na świat następcę tronu w mroku i strachu, i samotności.

Za czołem pochodu posuwa się bladolica i poważna jak sama śmierć Małgorzata Andegaweńska usadzona w wozie ciągnionym przez muły. Wprawdzie nikt nie związał jej rąk ani nóg, nikt nie włożył srebrnego łańcucha na szyję, lecz dla wszystkich jest jasne, iż ta niewiasta została pokonana i już nigdy nie podźwignie się z kolan. Idąc naprzeciw Edwardowi, którego zamierzam przywitać u bram Tower, zabieram ze sobą Elżbietkę, chcąc, by na własne oczy zobaczyła, i to z bliska, „złą królową” będącą powodem jej koszmarów przez pierwsze pięć lat życia i zrozumiała, że teraz już jesteśmy bezpieczni, że ta, której tak bardzo się bała, nie jest w stanie nam więcej zagrozić.

Edward wita mnie sztywno na oczach wiwatującego tłumu, lecz do ucha szepcze mi:

— Wprost nie mogę się doczekać chwili, kiedy znajdziemy się sam na sam.

Nie nastąpi to prędko. W uznaniu zasług podczas obrony Londynu pasował na rycerzy połowę mieszczan, z której to okazji trwa wielka uczta uświetniająca ich wywyższenie. W istocie wszyscy mamy powody do radości i świętowania. Edward ponownie wywalczył i zatrzymał dla siebie koronę, ja nadal jestem żoną króla, który nie przegrał ani jednej bitwy. W odpowiedzi na jego namiętne słowa przykładam wargi do jego ucha i odszeptuję:

— Ja również nie mogę się tego doczekać, mężu.

Kładziemy się spać późno w jego prywatnych komnatach, zostawiając jedną połowę dworu pijaną do nieprzytomności, drugą zaś pijaną szczęściem, że na powrót jest w łaskach króla. Edward ciągnie mnie za sobą na łożo i bierze z pasją podobną do tej, którą przejawiał w myśliwskiej chacie nad rzeką, gdyśmy byli świeżo sobie poślubieni, ja zaś tulę się do niego jak do mężczyzny, który mnie ochronił przed ubóstwem, a królestwo przed ciągłą wojną, i serce mi rośnie, kiedy raz po raz szepcze do mnie: „Żono moja, najmilsza żono...”.

W pewnej chwili, nie wypląawszy się z objęć, mówi wprost w moje włosy:

— Byłaś przy mnie, kiedy okazałem słabość, moja miła. Dzięki ci za to. Po raz pierwszy ruszałem w bój, wiedząc, że mogę przegrać. Ta świadomość napawała mnie strachem.

— Ja też widziałam walkę... — odpowiadam cicho. — Nie regularną bitwę, tylko rzeź niewiniątek. — Przykładam czoło do jego piersi. — Wojna to straszna rzecz, Edwardzie. Nie miałam pojęcia...

Układa się na wznak, wciąż obejmując mnie ramieniem, i widzę, że twarz ma znów ponurą.

— Wojna jest straszna — przyznaje. — Nikt nie wie tego lepiej od żołnierza. Dlatego zaprowadzę w królestwie pokój. Przysięgam, że tak zrobię bez względu na środki, jakie będę musiał przedsięwziąć. Trzeba wreszcie położyć kres ciągłym walkom i swarom. Trzeba zakończyć tę wojnę.

— Wojna jest ohydna — mówię. — Nie ma nic wspólnego z honorem.

— Wkrótce będzie po wszystkim — zapewnia mnie. — Dopilnuję tego.

Zapada cisza, oczekuję więc, że król zaraz zaśnie, lecz on tylko zmienia pozycję — leży teraz z rękoma pod głową, wpatrzony w baldachim nad nami — na co pytam:

— O co chodzi, Edwardzie? Czy coś cię kłopotuje?

Milczy przez chwilę, zanim odpowiada wolno, z namysłem:

— Nie. Po prostu jest coś, czym muszę się zająć przed pójściem spać, jeśli chcę zaznać spokojnego snu.

— Chcesz, żebym ci pomogła?

— Nie, najmilsza. To męskie sprawy.

— Co takiego? — dopytuję.

— Nic. Nic, czym musiałybyś zaprzętać swoją śliczną główkę. Naprawdę. Śpij już. Niedługo wrócę.

Jego słowa bynajmniej mnie nie uspokajają. Siadam wyprostowana.

— Edwardzie, co się dzieje? Wyglądasz, jakby... Sama nie wiem... Powiedz mi, w czym rzecz? Jesteś chory?

Odrzuca przykrycie i zdecydowanie wstaje z łoża, po czym zaczyna się odziewać.

— Nie trwóż się, najmilsza. Pójdę coś załatwić, a kiedy wrócę, nareszcie będę mógł przyłożyć głowę do poduszki bez obaw. Uwinę się, obiecuję. Odpoczywaj teraz, bo jak wrócę, na pewno będę chciał posiąść cię ponownie.

Śmieję się cicho i kładę posłusznie, lecz gdy Edward ubrawszy się całkiem, wymyka się z komnaty ukradkiem, wyslizguję się z łoża i narzucam na plecy pelerynę. Boso, aby nie robić hałasu, zakradam się do komnaty gościnnej. Gwardziści stoją wyprężeni jak struna przy drzwiach, krzyżując halabardy; bez słowa kiwam im lekko głową, na co robią mi przejście. Przystaję u szczytu schodów i spoglądam w dół. Klatka schodowa przypomina studnię: jest wąska i spiralna, toteż widzę jeszcze Edwarda, jak z ręką na balustradzie ostrożnie schodzi po wysokich stopniach piętro niżej, tam gdzie ma swoje apartamenty stary król. Kiedy wychylam się mocniej, dostrzegam

ciemnowłosą głowę Ryszarda Yorka, który stoi przed drzwiami, jakby się szykował do wtargnięcia do środka, a także słyszę przyciszony głos Jerzego odbijający się od kamiennych ścian:

- Już myśleliśmy, że zmieniłeś zdanie...
- Nie. To trzeba zrobić.

Wtedy dociera do mnie, co zamierzają ci trzej złoci bracia domu Yorków, którzy stoczyli i wygrali swoją pierwszą bitwę pod trzema słońcami na niebie, którym sprzyja sam Pan Bóg, nie dopuszczając do ich przegranej w polu. Mimo to nie wołam, aby ich powstrzymać. Nie zbiegam na dół, aby schwytać Edwarda za ramię i zaklinać go, żeby się opamiętał. Choć wiem, że jest w rozterce, nie przeważam szali na korzyść współczucia i pokojowego współistnienia z wrogiem, i zawierzenia Najwyższemu i Jego planowi. Nie myślę nawet: „Skoro to zrobią, co może kiedyś spotkać n a s?”. Spostrzegam błysk klucza w ręku Edwarda, słyszę chrzęst zamka i zgrzyt zawiasów, kiedy drzwi do komnaty Henryka VI stają otworem, i pozwalam wypadkom toczyć się swoim torem; pozwalam trzem Yorkom przekroczyć próg, jakby mnie tam wcale nie było.

Henryk, szalenciec czy święty, to namaszczony monarcha. Jego ciało jest nietykalne. On sam znajduje się w stolicy swego królestwa, w swojej twierdzy — z pewnością czuje się bezpiecznie. Pozostaje w pieczy przyzwoitych ludzi. Oddał się w niewolę szlachetnie urodzonym kuzynom. Nic mu nie może zagrażać. Stary król ufa nam bez granic, być może nawet myśli, że jest na własnym dworze.

Stary król to żaden przeciwnik dla trzech młodych wojowników. Jakże mogliby nie okazać mu miłosierdzia? Przecież to ich krewniak, ich kuzyn — wszyscy trzej swego czasu przysięgali mu wierność i oddanie. Śpi ufnie niczym dziecko, kiedy Edward, Jerzy i Ryszard wchodzi do jego komnaty. Jaki los czeka nas wszystkich, jeśli ci trzej są zdolni zamordować z zimną krwią niewinnego człowieka stanowiącego takie samo zagrożenie jak mały chłopiec?

Już wiem, czemu zawsze nienawidziłam Tower. Już wiem, czemu mroczny pałac nad Tamizą wywoływał we mnie złe przeczucia. Ta śmierć splamiła moje sumienie na długo przed tym, zanim stała się faktem. Jak bardzo będzie mi ciężka odtąd, wie tylko Pan Bóg — i wiem ja w głębi duszy. Nikt nie może przewidzieć, jaką cenę

przyjdzie mi zapłacić za milczący współudział, za przyglądanie się i przysłuchiwanie bez jednego słowa protestu.

Nie wracam do łóża Edwarda. Nie chcę, by dotykał mnie dłońmi cuchnącymi śmiercią. Nie chcę tutaj zostać ani chwili dłużej, nie chcę, by mój syn musiał spędzać noce w Tower, rzekomo najbezpieczniejszym miejscu w całej Anglii, gdzie uzbrojeni mężczyźni mogą wkroczyć do komnat niewinnego człowieka i przytknąć mu poduszkę do twarzy. Udaję się do swoich komnat, rozniecam żar na palenisku i zasiadam przed kominkiem, szukając ciepła, gdyż wiem już, że dynastia Yorków właśnie wstąpiła na drogę wiodącą prosto do piekła.

LATO 1471 ROKU



Siedzimy z panią matką na niedużej górcie porośniętej rumiankiem, czując upajający zapach tego zioła, w ogrodach należących do posiadłości w Wimbletonie, którą otrzymałam w wianie już jako królowa i nieodmiennie uważam za najmiłsze miejsce spośród wszystkich swoich siedzib położonych na prowincji. Wspólnie wybieramy kolory haftu, nad którym pracuje pani matka. Dzieci są nad rzeką, gdzie karmią kaczki pod czujnym okiem opiekunki. Nawet stąd słyszę ich piskliwe głosiki, kiedy wołają ptaki po imieniu, a następnie robią im burę za to, że nie reagują. Od czasu do czasu dochodzi mnie radosny głośny okrzyk zachwytu mojego najmłodszego syna. Ilekroć się rozlega, serce mi rośnie na myśl, że urodziłam królewskiego syna, że mały książę chowa się zdrowo i jest szczęśliwym dzieckiem; pani matka, doskonale wiedząc, o czym myślę, uśmiecha się do mnie i z zadowoleniem kiwa głową w milczeniu.

W królestwie zapanował taki pokój i porządek, że można by pomyśleć, iż nigdy nie było rywalizującego o tron króla ani armii maszerujących sobie naprzeciw, by zetrzeć się w walce. Wszyscy z ulgą powitali powrót mego męża do kraju i do Londynu. Każdy chce przede wszystkim żyć w spokoju pod sprawiedliwym władcą i nareszcie zapomnieć cierpienia i straty poniesione w ostatnich szesnastu latach. Och, oczywista, że jest parę wyjątków. Syn Małgorzaty Beaufort, nie mający żadnych szans na koronę, broni się wciąż na zamku Pembroke w Walii wspierany przez swego wuja, Jaspera Tudora, lecz nikt nie daje im więcej niż parę niedziel. Świat wokół

nich się zmienił, toteż raczej prędzej niż później będą musieli się poddać i wyciągnąć rękę do zgody. Nawet mąż Małgorzaty Beaufort, Henryk Stafford, przeszedł na naszą stronę i walczył za Edwarda już pod Barnet, z czego by wynikało, że ta uparta niewiasta, mająca się za męczenniczkę sprawy, i jej niemądry syn są ostatnimi Lancasterami, jakich nosi ta ziemia.

Rozkładałam na okrytych białą suknią kolanach tuzin odcieni zielonej nici, starając się dokonać najważniejszego wyboru, podczas gdy pani matka usiłuje nawlec igłę, unosząc obie ręce pod słońce, aby lepiej widzieć, i to przybliżając, to oddalając dłonie od oczu. Chyba pierwszy raz w życiu widzę słabość swojej rodzicielki.

— Nie potrafisz nawlec igły? — pytam z dobrotliwym śmiechem.

Dumna Jakobina Luksemburska odwraca się do mnie i ani trochę zła odpowiada:

— Zawodzi mnie nie tylko wzrok, córko. Nie widzę znacznie więcej niż tylko cienkiej nitki. Za granicą sześćdziesięciu lat wszystko zlewa mi się w jedną plamę. Przygotuj się, Elżbieto...

Czuję się tak, jakby nagle zaszło słońce i zrobiło się zimno.

— Sześćdziesiąt lat! — wykrzykuję ze zgrozą. — Tylko tyle? Coś cię boli? Dlaczego nic nie mówiłaś? Może powinnaś dać się zbadać medykowi? Pojedźmy zaraz do Londynu...

Pani matka potrząsa głową i wzdycha.

— Nie, medyk niczego nie wypatrzy i chwalić Boga, żaden cyrulik nie znajdzie niczego, co mógłby wyciąć swoim nożem. Chodzi o moje serce, Elżbieto. Słyszę je, jak bije. Gubi rytm, milknie na chwilę, a potem z mozołem podejmuje pracę. Nie wydaje mi się, by miało znów zabić jak dzwon w młodej piersi. Nie spodziewam się dożyć następnego lata.

Jestem tak osłupiała, że nawet nie okazuję smutku.

— Ale jak ja sobie bez ciebie poradzę? — pytam, przykładając rękę do brzucha, w którym rozkwita nowe życie. — Pani matko, nie wolno ci nawet myśleć o śmierci! Co ja sama pocznę...

— Nauczyłam cię wszystkiego — odpiera pani matka z łagodnym uśmiechem. — Przekazałam ci wszystko, co sama wiem i w co wierzę. Niewykluczone, że część z tego to szczerą prawdą. W dodat-

ku moim zdaniem ty i Edward siedzicie pewnie na tronie. Twój mąż ma Anglię i księcia następcę tronu, a ty nosisz kolejne dziecko... — Przechyliła głowę, jakby wsłuchiwała się w ledwie słyszalny szept. — Nie mam pewności, lecz nie wydaje mi się, aby to był drugi syn. Nie trap się, córko. W przyszłości urodzisz jeszcze chłopca. I co to będzie za chłopiec!

— Musisz być przy mnie podczas narodzin drugiego syna! — protestuję. — Życzyłabyś sobie zobaczyć, jak chrzczą i intronizują księcia Yorku... — Z mojego głosu przebija żałosna, błagalna nuta, jakbym proponowała jej coś w zamian za to, że jednak ze mną zostanie. — Mogłabyś być jego matką chrzestną, mogłabyś sprawować nad nim pieczę. Mogłabyś nawet wybrać dla niego imię.

— Ryszard — mówi szybko. — Nazwij go Ryszard.

— Wyzdrowiej i doczekaj się narodzin twego wnuka Ryszarda — namawiam gorąco.

Pani matka uśmiecha się ponownie, a ja nareszcie dostrzegam znaki, które wcześniej przeoczyłam. Zmęczenie bijące od niej, nawet gdy siedzi prosto; ciastowaty kolor twarzy; ciemne kręgi pod oczyma. Jak mogłam być tak ślepa? Przecież kocham ją całym sercem i co rano całuję ją w policzek, przyklękając po błogosławieństwo. Dlaczego nie widziałam, jak chudnie i zostaje z niej tylko cień?

Strącam z kolan nici i przyklękam wprost na trawie u stóp pani matki, chwytając ją za obie ręce — kościste i upstrzone starczymi plamami. Podnoszę wzrok na jej znużoną twarz.

— Przetrwałaś ze mną wszystko, dobre i złe koleje losu. Chyba nie opuścisz mnie teraz?

— Gdybym miała coś w tej sprawie do powiedzenia, zostałabym z tobą, córko — rzecze mi. — Wszakże czuję ten ból w piersi już od wielu lat i wiem, że mój koniec jest bliski.

— Od wielu lat? — powtarzam gniewnie. — Odkąd dokładnie?

— Odkąd umarł twój ojciec — odpowiada z opanowaniem. — W dniu, w którym powiedzieli mi, że nie żyje, że został stracony za zdradę, poczułam, jak coś głęboko w środku przesuwają się, jakby złamano mi serce, i już wtedy chciałam być razem z nim, choćby i w śmierci.

— Ale to by znaczyło, że zostanę sama! — krzyczę samolubnie. Następnie chytrze dodaję: — Przecież nigdy byś nie zostawiła Antoniego...

Jakobina Luksemburska śmieje się dźwięcznie.

— Oboje jesteście dorośli — stwierdza. — Oboje poradzicie sobie beze mnie. Musicie sobie poradzić... Antoni uda się z pielgrzymką do Jeruzalem, czego zawsze pragnął. Ty będziesz patrzeć, jak twój syn wyrasta na mężczyznę. Zobaczysz, jak nasza Elżbietka wychodzi za króla i wkłada na skronie koronę.

— Nie jestem gotowa! Nie zostawiaj mnie! — proszę niczym niepokieszone dziecko.

Dotyka dłonią mojego policzka.

— Na to nikt nigdy nie jest gotowy — mówi łagodnie. — Lecz wiem, że ty dasz sobie radę beze mnie. Ja zaś dzięki tobie i twoim dzieciom powołam nową dynastię królów Anglii. I zdaje się, że królowych także.

WIOSNA 1472 ROKU



Jestem bliska rozwiązania, a dwór przebywa w uroczym pałacyku w Sheen, idealnym na tę porę roku, kiedy wszystkich nas zaskakuje niesłychana, skandaliczna wiadomość o ożenku królewskiego brata, Ryszarda. Nasze zdumienie jest tym większe, że nikt nie podejrzewał Glouceстера o buntowniczą naturę. Clarence'a owszem — Jerzy zawsze dbał tylko o własny interes i był gotów na naprawdę wiele, by osiągnąć zamierzony cel; jego uczynki to woda na młyn plotkarzy, którzy nie mieliby o czym mleć ozorami, gdyby drugi brat króla widział dalej niż koniec własnego nosa. Jerzego nic, ale to nic — ani honor, ani lojalność, ani uczucie — nie jest w stanie powstrzymać przed zrobieniem sobie dobrze.

Pod tym względem mój mąż bardzo go przypomina: Edward również chadza własnymi drogami i nie dba o to, co mówią inni. Ale żeby Ryszard?!... Ryszard to najlepsze pisklę w gnieździe, pracowity, uczony, pobożny, nie oszczędzający siebie w próbie zyskania siły, ślęczący nad księgami, by osiągnąć mądrość, odwiedzający dom Boży, aby zapewnić sobie przychylność Najwyższego, i przede wszystkim nieustannie robiący co w jego mocy, aby przypodobać się swojej matce, mimo iż od urodzenia pozostaje w cieniu starszych braci. Ryszard wywołujący skandal to zupełnie jak pies gończy oświadczający przed polowaniem, że nie będzie gonił zwierzyny. Coś całkowiec sprzecznego z naturą rzeczy.

Bóg świadkiem, że staram się darzyć Ryszarda miłością, skoro okazał się wiernym przyjacielem mego męża i dobrym bratem. Po-

winnam go kochać — w końcu stał przy Edwardzie murem, kiedy musieli uciekać z Anglii na łupince rybaka, a potem znosił trudy wygnania i wrócił do kraju i Londynu, co najmniej tuzin razy ryzykując życie. Król zawsze powtarza, że kiedy poruczy Ryszardowi lewe skrzydło, może mieć pewność, że lewe skrzydło nie ugnie się i przyczyni do zwycięstwa, a kiedy Ryszard broni tyłów, armii nie grozi podstępny atak na ariergardę. Edward ufa mu jako swemu najmłodszemu bratu i lojalnemu wasalowi i szczerze go kocha — dlaczegoż ja więc nie umiem? Co jest takiego w tym młodym mężczyźnie, co sprawia, że pragnę zwięzać oczy w szparki, ilekroć nań patrzę, jak gdyby miał jakąś skazę, która umyka mojej uwadze w zwykłych warunkach? Tymczasem to ludzkie szczenię, ten młodzik niespełna dwudziestoletni stał się bohaterem, jakiego opiewają ballady.

— Kto by pomyślał, że mały nudziarz Ryszard przejawia żywsze uczucia? — pytam retorycznie Antoniego siedzącego u mych stóp w altance z widokiem na rzekę. Dokoła nas spacerują damy dworu i dworzanie; jedni śpiewają, drudzy grają w *jeu de paume*, wszyscy zaś trwonią czas i flirtują. Ja jestem zajęta splataniem wianka z prymulek, który ozdobi skronie zwycięzcy w mającym się odbyć później wyścigu.

— Ryszard nie jest płytki — oświadcza Antoni, wywołując swymi słowami chichot mego szesnastoletniego syna. Ryszard Grey dławi się od śmiechu.

— Sza! — napominam go. — Okaż swemu wujowi należny szacunek. I przydad się na coś, nazbieraj kwiatków.

— Jest głęboki i uczuciowy — kontynuuje Antoni. — A my wszyscy braliśmy go za zwykłego nudziarza. Czyż to nie zdumiewające?

— To prawda, że wuj jest uczuciowy — potwierdza mój syn. — Trudno to poznać, ponieważ jest cichy i nie tak wspaniały jak pozostali bracia Yorkowie.

Tomasz Grey siedzący po mojej drugiej stronie potakuje zgodnie. Antoni unosi brew na tę niezamierzoną krytykę króla.

— Wy dwaj, zamiast mówić o rzeczach, o których nie macie pojęcia, zaczynajcie się lepiej przygotowywać do wyścigu. — Odsyła ich gestem.

Anna Neville, młoda wdowa po księciu Edwardzie Westminsterze, wywołała niezłe zamieszanie na dworze. Pojawiła się w Londynie w ogonie tryumfalnego orszaku po zwycięstwie pod Tewkesbury i natychmiast zwróciła uwagę chciwego Jerzego, który upatrywał w niej klucza do całej fortuny pozostałej po hrabim Warwick. Jako że matka dziewczęcia, nieszczęsna hrabina wdowa, pograżyła się w rozpacz za murami klasztoru, książę Clarence zaczął sobie ostrzyć zęby na jej majątek. Już wszedł w posiadanie połowy dóbr Warwicka z chwilą ożenku z Izabelą Neville, po czym z wielką pompą objął swoją braterską opieką Annę. Złożył jej kondolencje z powodu śmierci ojca i wycofania się matki do klasztoru, pogratulował szczęśliwego końca małżeństwa z potwornym Lancasterem i zaproponował zamieszkanie razem z siostrą, a jego żoną, pod wspólnym dachem, dzięki czemu mógłby położyć swoje lepkie łapy na jej bogactwie.

— To było bardzo rycerskie z jego strony — zauważa Antoni po to tylko, aby mnie zirytować.

— To była świetna okazja i żałuję, że sama jej w porę nie dostrzegłam — prostuję.

Anna Neville, pionek w rozgrywce jej ojca o władzę, wdowa po potworze w ludzkiej skórze, córka zdrajcy, miała nieledwie piętnaście lat, kiedy się znalazła pod opieką starszej siostry i jej męża Jerzego księcia Clarence. Nie mogła mieć większego pojęcia, jak się uchować przy życiu w kraju pełnym wrogów, niż mysz otoczona przez zgraję kociąt. Z pewnością uważała Jerzego za swego zbawcę.

Nie trwało to jednak długo.

Nikt nie wie do końca, co nastąpiło później, lecz faktem jest, że przebiegły plan Jerzego, by trzymać pod swoją kuratelą obie Neville'owny, musiał wziąć w łeb. Niektórzy twierdzą, że Ryszard York, odwiedzając dom brata, wpadł znów na towarzyszkę dziecięcych zabaw i tym razem oboje zakochali się w sobie bez pamięci, on zaś wybawił ją z opresji niczym rycerz z bajki, uwalniając od przedłużającej się wizyty, która nie była niczym innym jak uwięzieniem. Krażą słuchy, że Jerzy kazał jej się przebrać za zwykłą służącą bądź że zamknął ją na klucz w komnacie, aby ukryć ją przed bratem Ryszardem. Jednakże jak to mówią: *amor vincit omnia*. Młody ksią-

żę i owdowiała księżniczka padli sobie w objęcia pomimo przeskód. Ta wersja historii jest niebywale romantyczna i naiwni bez względu na wiek i pozycję bardzo ją sobie chwalą.

— Podoba mi się ta opowieść — komentuje Antoni bez zmrużenia oka. — Trubadurzy z pewnością ułożą na jej podstawie chwytające za serce dwunastowersowe rondele.

Wszelako ja przychyliam się do drugiej wersji. Są bowiem ludzie, którzy tak jak ja doceniają Ryszarda księcia Gloucester i uważają, że dostrzegł w świeżo owdowiałym dziewczęciu szansę na zdobycie popularności na północy królestwa, pałającej ciepłymi uczuciami do rodu Neville'ow, na równi z rozległymi ziemiami sąsiadującymi z tymi, które już otrzymał od Edwarda, a także niebagatelnego posagu, gdyby tylko udało mu się wyrwać go ze szponów matki Anny. Dostrzegł w niej samotną młodkę niemającą przyjaznej duszy i doradcy, a więc taką, jaką łatwo powodować. Osobę tak przywykłą do robienia tego, co jej się każe, że aż gotową wystąpić przeciwko własnej matce. Ci, którzy rozpowiadają drugą wersję tej samej historii, utrzymują, iż Anna Neville, uwięziona w domostwie jednego z braci Yorków, została porwana i zmuszona do małżeństwa przez drugiego.

— Ta nie jest już tak romantyczna — drażnię się z Antonim.

— Byłaś władna temu zapobiec — rzecze mój brat w przypływie charakterystycznej dlań szczerości i nachodzącej go co jakiś czas niezwykłej powagi. — Gdybyś wzięła ją pod swe skrzydła, gdybyś przypilnowała, aby Edward nie dopuścił do tego, że Jerzy z Ryszardem pokłócili się o nią jak głodne psy o kość.

— Powinnam była zrobić, jak mówisz — przyznaję. — Głównie po to, żeby zapobiec sytuacji, w której Ryszard ma jedną Neville'owne i część fortuny Warwicka wraz z poparciem północy, a Jerzy drugą. To stwarza zagrożenie.

Antoni unosi brew.

— Powinnaś była zrobić, jak mówię, ponieważ tak nakazuje zwykła ludzka przyzwoitość — karci mnie pompatycznym tonem starszego brata, który zjadł wszystkie rozumy. — Ale jak widzę, ty wciąż myślisz tylko o władzy i zysku.

KWIECIEŃ 1472 ROKU



Potwierdza się zdolność Jakobiny Luksemburskiej do przepowiadania przyszłości. Mniej niż rok od dnia, kiedy mnie przestrzegła, że jej serce długo już nie wytrzyma, zaczyna się skarżyć na okrutne zmęczenie i przestaje opuszczać swoje komnaty. Dziecko, które nosiłam w łonie podczas rozmowy z nią w ogrodach Wimbledonu, wybiera się na świat przedwcześnie i po raz pierwszy muszę się udać do komnaty niewieściej pozbawiona towarzystwa rodzicielki. Posyłam jej wiadomości z mrocznego dusznego pomieszczenia, w którym oczekuję przyjścia na świat następnego potomka Edwarda IV, a ona odpowiada mi w radosnym tonie. Jednakże gdy wątła dziewczuszka w końcu przychodzi na świat i idę pokazać ją pani matce, ta okazuje się zbyt słaba, aby podnieść się z łoża. Co dzień po południu odwiedzam ją w jej zaciszu, zabierając niemowlę i układając je w ramionach babki. Przez jedną czy dwie niedziele obydwie przyglądają się, jak słońce zachodzi za krawędzią parapetu wysokiego okna, po czym pewnego dnia obie nikną jak złote światło, opuszczając mnie na zawsze.

W ostatni dzień kwietnia o zmierzchu moich uszu dobiega krzyk podobny do tego, jaki wydaje płomykówka; podchodzę do okna, wypycham okiennice na zewnątrz i spoglądam w górę. Chmura właśnie odsłania księżyc, nieomal biały na tle czarnego nieba. On także powoli znika, zupełnie jakby ktoś odgryzł zeń solidny kęs. Opromieniona jego chłodnym światłem słyszę odległy śpiew i wiem już, że to nie nawołujące się do godów sowy, nie słowiki ani minstre-

le, jeno Meluzyna. Boginka i przodkini naszego rodu wieszczą śmierć swej córy, Jakobiny Luksemburskiej.

Stoję tam chwilę i przysłuchuję się przyprawiającemu o ciarki zawodzeniu, po czym zatraskuję okiennice i udaję się do komnaty pani matki. Nieśpieszno mi. Wiem już, że nigdy nie będę się musiała śpieszyć do swojej matki. Niemowlę leży w jej ramionach z małą główką przyciśniętą do policzka. Obydwie są blade niczym marmur, obydwie mają oczy zamknięte, obydwie zdają się pogrążone w głębokim, spokojnym śnie. Tarcza księżycy odbita w pomarszczonej powierzchni rzeki za ścianami pałacu rzuca ruchliwe cienie na bielony sufit komnaty, tak że można odnieść wrażenie, iż obydwie znalazły się pod wodą, gdzie pływają w towarzystwie Meluzyny. Ja wszakże wiem, iż obydwie mnie opuściły, a nasza przodkini i boginka wody prowadzi je swoim głosem na drodze ku odwiecznemu głębokiemu źródłu będącemu domem.

LATO 1472 ROKU



Ból wywołany przez śmierć pani matki nie kończy się wraz z jej pogrzebem, nie zostaje zaleczony przez długie, wlokące się miesiące, które przychodzą po nim. Każdego ranka, kiedy się budzę, tęsknię za nią równie silnie jak pierwszego dnia. Co dzień od nowa muszę sobie przypominać, że nie będę mogła spytać jej o radę ani nawet posprzeczać się z powodu różnicy zdań, roześmiać na sardoniczną uwagę czy uciec się dzięki niej do czarów. Z każdym mijającym dniem coraz silniej oskarżam Jerzego księcia Clarence o śmierć swego ojca i brata. Jestem przekonana, że to przyniesiona Jakobi nie Luksemburskiej wiadomość o śmierci męża na rozkaz pozostającego na jego usługach Warwicka sprawiła, że pękło jej serce i że gdyby obaj, Ryszard i Jan Woodville, nie zostali wtedy podstępnie pozbawieni życia, moja matka nadal by żyła.

Nadeszło lato, czas bezmyślnych przyjemności, lecz ja zamykam się w kokonie smutku i zabieram cierpienie ze sobą, gdziekolwiek się udajemy podczas tegorocznego objazdu królestwa, podczas postojów i uczt pod gołym niebem, na które z nieba spogląda księżyc w pełni. Edward nadaje mojemu synowi Tomaszowi tytuł hrabiego Huntingdon, ale to nie poprawia mi humoru. Nie rozmawiam o swej żalości z nikim z wyjątkiem Antoniego, który także utracił ukochaną matkę. Wszelako rzadko ją wspominamy — chyba nie umiemy się zmusić, by mówić o niej w czasie przeszłym, jako o umarłej, a nie stać nas na to, byśmy udawali, iż nic się nie stało i Jakobina Luksemburska wciąż żyje. W głębi ducha całą winą obar-

czam Jerzego księcia Clarence, który przyczynił się do tego, że jej serce przestało bić.

— Nienawidzę Jerzego bardziej niż kiedykolwiek — oświadczam swemu bratu, kiedy jedziemy konno traktem do Kentu, gdzie czeka nas wspiania łauczta, a potem tydzień przejażdżek po upstrzonej sadami okolicy. Powinno mi być lekko na duszy na myśl o czekających nas uciechach, lecz smutek jest mi nieodłącznym towarzyszem, niczym sokół na rękawicy sokolnika.

— To dlatego, że jesteś zazdrosna — odpowiada prowokująco Antoni, jedną ręką trzymając wodze, drugą zaś prowadząc mego synka Edwarda na kucyku. — Jesteś zazdrosna o każdego, kogo darzy uczuciem twój mąż. Nawet o mnie, nawet o sir Williama. Nie cierpisz wszystkich, z którymi król się bawi, z którymi wyprawia się łajdaczy, z którymi upija się w sztok.

Wzruszam ramionami, nie reagując na zaczepki. Już dawno się przekonałam, że picie do upadłego i łajdaczenie się to druga natura Edwarda. Nauczyłam się to znosić, zwłaszcza że w końcu i tak trafia do mego łóża i za każdym razem jest tak, jakbyśmy dopiero co się pobrali w sekrecie tamtego ranka. Mój mąż walczył daleko od domu i miał na swoje skinienie zastęp ładacznicy; przebywał na wygnaniu, gdzie wysoko urodzone niewiasty śpieszyły nieść mu ukojenie; teraz zaś jest królem Anglii, na którego ma ochotę każda mieszkanka Londynu — w istocie podejrzewam, że polowa z nich już go zaznała. Edward jest panującym królem. Ani przez moment się nie łudziłam, że wychodzę za mąż za zwykłego mężczyznę o poskromionych apetytach. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że będzie warował u mych stóp. Jako król ma pełne prawo chadzać własnymi ścieżkami i forsować swoją wolę.

— Mylisz się, bracie. Łajdaczenie się Edwarda nie spędza mi snu z powiek. Jest królem i może czerpać przyjemność, kiedy i z kim zechce. Ja zaś jestem jego królową i zawsze będzie do mnie wracał. To jasne jak słońce.

Antoni potakuje skinieniem, przyznając mi rację.

— W takim razie nie rozumiem, skąd u ciebie ta nagła nienawiść do Jerzego. Wszyscy krewni Edwarda są siebie warci. Jego matka darzy cię niechęcią, odkąd zjawiłaś się w Reading, a Ryszard

York zachowuje się dziwacznie i bardziej gburowato w miarę upływu czasu. Najwyraźniej pokój mu nie służy...

— Nie służy mu nic, co ma związek z nami — zauważam cierpko. — W dodatku tak bardzo różni się od braci. Wiotki i ciemnowłose, i tak bardzo przejęty swoim zdrowiem i swoją pozycją, dbający o sprawy ciała i duszy, zawsze wypatrujący okazji do zbicia majątku i zbawienia.

— Edward prowadzi takie życie, jakby miał nie dożyć jutra. Ryszard takie, jakby nie zależało mu na tym, co będzie jutro. Jerzy zaś hołduje przekonaniu, że jutro zwyczajnie mu się należy i ktoś powinien podsunąć mu je pod nos.

Śmieję się krótko.

— Cóż, darzyłabym Ryszarda większym afektem, gdyby był bardziej podobny do Edwarda i Jerzego i reszty waszej bandy — rzucał w przyпіływie szczerości. — Odkąd się ożenił, zrobił się jeszcze bardziej zadufany. Zawsze miał w pogardzie nas, Riversów, a teraz także traktuje protekcyjnie Clarence'a. Właśnie tej jego pyszałkowatości i świętoszkowatości nie umiem w nim znieść. W dodatku czasem patrzy na mnie, jakbym była...

— Kim?

— Tłustą żoną rybaka.

— Nooo... — przeciąga złośliwie mój brat. — Gwoli uczciwości, nie robisz się wcale młodsza, a przy pewnym świetle...

Uderzam go w kolano rączką biczu, na co się śmieje i puszcza oko do księcia Edwarda dosiadającego dumnie kucyka.

— Nie podoba mi się, że Gloucester zawładnął całą północą. Nie podoba mi się, że Edward uczynił zeń konstabla Anglii i mianował go swym reprezentantem w Walii. Przez to Ryszard stał się udzielnym księciem. To zagrożenie dla nas i dla naszych potomków. To pierwszy krok do podziału królestwa.

— Król musiał go jakoś wynagrodzić. Gloucester raz po raz kładł na szali własne życie, biorąc na siebie ciężar ryzyka podejmowanego przez Edwarda. Można powiedzieć, że to on odbił za niego królestwo. Coś takiego nie może się obejść bez nagrody.

— Ale po co od razu dawać mu tyle władzy? Równie dobrze mógł zostać okrzyknięty królem północnej Anglii i południowej Walii.

— Nikt nie wąpał w jego lojalność z wyjątkiem ciebie.

— Nie twierdzą, że nie służy wiernie Edwardowi i Yorkom. Jednakże ma za nic mnie i Riversow. Zazdrości mi wszystkiego, kpi z mojego dworu. Co to oznacza dla moich dzieci? Czy gdy nadejdzie czas, stanie po stronie mego syna, ponieważ ów jest też synem jego brata?

Antoni wzrusza lekko ramionami.

— Prawdą jest, żeśmy wysoko poszybowali. Niektórzy powiadają, że znacznie wyżej, niżby wskazywały nasze zasługi, i że wszystkim zawdzięczamy twoim przydrożnym czarom.

— Nie podoba mi się, że Ryszard poślubił Annę Neville — drażę temat.

Mój brat wybucha gromkim śmiechem.

— Elżbieto, mało komu się spodobało, że najzamoźniejszy mężczyzna w Anglii ożenił się z najbogatszą młodką, ale wiesz, ciebie bym nigdy nie podejrzewał, że weźmiesz stronę Clarence'a! — Ociera łzy wierzchem dłoni.

Śmieję się wbrew sobie. To, że najmłodszy z Yorków wykradł bogatą dziedziczkę spod nosa własnemu bratu, wywołując nieskrywaną wściekłość Jerzego, bawiło wszystkich na dworze przez ponad pół roku.

— Tak czy inaczej — ciągnie Antoni, uspokoiwszy się na dobre — Ryszard zawdzięcza wszystko twemu mężowi. Mógł poślubić Annę z miłości i w rewanżu dostać tylko płomienne uczucie młodej niewiasty. Tymczasem król wspaniałomyślnie zdecydował, że fortuna Warwicka zostanie odebrana wdowie po nim i rozdzielona równo pomiędzy obie córki. Nie kto inny, tylko miłościwy pan ogłosił śmierć prawną starszej Anny Neville, hrabiny Warwick... mimo że jak się zdaje, niewiasta ta z uporem godnym lepszej sprawy utrzymuje, iż pozostaje przy życiu, a nawet zamierza odzyskać odebrane jej ziemie... po czym obdarował jej majątkiem Izabelę i Annę, tak się dogodnie składa, żony jego dwóch braci.

— Prosiłam, aby tego nie robił — parskam — lecz nie posłuchał mej rady. Gdy przychodzi do jego braci, zawsze bierze ich stronę... W istocie jest bardziej za Ryszardem niż za Jerzym.

— W tym akurat wypadku ma rację, choć nie powinien łamać praw własnego królestwa — komentuje Antoni już poważnie. — Nie tak powinien postępować władca. Nie godzi się obrabować bezbronną wdowę choćby z miedziaka, a on uczynił właśnie to, tyle że na znacznie większą skalę. W dodatku to żona jego poległego wroga, która znalazła schronienie w klasztorze. Powinien był okazać jej miłosierdzie i pański gest. Gdyby był prawy jak dawni rycerze, zachęciłby ją do opuszczenia sanktuarium, zwrócił jej ziemie, bronił córki i ukrócił chciwość swoich braci.

— Prawa w królestwie są takie, jak mówi król — ripostuję z lekką irytacją — i nigdzie nie można czuć się do końca bezpiecznym, nawet w sanktuarium. Gdybyś nie był marzycielem zatopionym w legendach o Camelocie, już byś to wiedział. Przecież walczyłeś pod Tewkesbury. Widziałeś na własne oczy, jak zbezczeszczono klasztor, z którego powyciągano ukrywających się lordów, by pozabawić ich życia na stopniach świątyni. Stanałeś wtedy po stronie uciśnionych? Raczej nie, skoro doszły mnie słuchy, żeście jak jeden mąż wyrznęli bezbronnych mężczyzn wychodzących z mieczami w pochwach niesionymi na wyciągniętych dłoniach.

Antoni spuszcza wzrok.

— To prawda — rzecze cicho — że napatrzyłem się dość, aby wiedzieć, jakie reguły obowiązują na tym świecie. Ale być może marzy mi się lepszy świat. Czasem to panoszenie się Yorków mnie przytłacza, Elżbieto... Nie mogę znieść tego, jak Edward wywyższa jednego lorda, uwłaczając drugiemu bez powodu, tylko dlatego, że dzięki temu jeszcze zwiększy się jego władza i umocni panowanie. Ty także zachowujesz się jak feudał: rozdajesz zaszczyty i lenna swoim faworytom, nie zaś tym, którzy na to zasługują. W ten sposób oboje przysparzacie sobie wrogów. Ludzie już szemrzą, że dbamy tylko o własne dobro. Kiedy widzę, jak postępujemy, znalazłszy się u władzy, czasem żałuję, że w ogóle walczyłem z białą różą u kołnierza. Myślę sobie, że Lancasterowie sprawiliby się równie dobrze, a z pewnością nie gorzej.

— W takim razie chyba zapomniałeś już o rządach Andegawenki i jej obłąkanego męża — syczę. — Nasza własna matka powiedziała mi tego dnia, gdyśmy wyruszali do Reading, że nawet ja nie będę gorszą od niej władczynią, i miała stokrotną rację.

Nie może temu zaprzeczyć.

— Zgoda. Ty i twój mąż nie jesteście gorsi od szaleńca i tej jędzy. Brawo.

Zadziwia mnie smutek w jego głosie.

— Taki jest ten świat, bracie — wzdycham. — Nie zapominaj, że ty również skorzystałeś, otrzymując od Edwarda i ode mnie zaszczyty i ziemie. Jesteś hrabią Rivers i szwagrem króla, na miłość boską. Twój siostrzeniec zostanie następnym królem Anglii.

— Sądziłem, że chodzi o coś więcej niż napełnianie mieszkań — odparowuje Antoni. — O coś więcej nawet niż wyniesienie na tron króla i królowej, którzy okażą się tylko odrobinę lepsi niż ich najgorsi poprzednicy. Wiesz, siostrzo, czasem wolałbym chyba przywdziać biały płaszcz z czerwonym krzyżem i udać się na pustynię walczyć w imię Boże.

Wspominam słowa pani matki, która przestrzegła mnie, iż ostatecznie u Antoniego weźmie górę jego strona duchowa, pokonując pazerność Woodville'ow i Riversow, i że wtedy mnie opuści.

— Och, nie mów tak... Potrzebuję cię przy sobie. Kiedy mały Edward podrośnie, również będzie cię potrzebował w swej radzie książęcej. Nie potrafię sobie wyobrazić kogoś lepszego w tej roli, będziesz dlań doskonałym nauczycielem i przewodnikiem. W całej Anglii nie ma bardziej czytanego rycerza. W całym królestwie nie znalazłby lepszego poety, który umie tak robić mieczem jak ty. Nie gróż mi, że odejdiesz, Antoni. Wiesz przecież, że musisz zostać. Nie mogłabym być królową bez ciebie. Nie mogłabym być sobą bez ciebie...

Skłania głowę z tym swoim uśmieszkiem, ujmuje mnie za dłoń i składa na niej lekki pocałunek.

— Nie opuszczę cię dopóty, dopóki będziesz mnie potrzebowała — obiecuje. — Nigdy nie odejdę z własnej woli. Poza tym z pewnością czekają nas lepsze czasy.

Uśmiecham się z nadzieją, mimo że jego tchnące optymizmem słowa brzmią raczej jak lament.

WRZESIEŃ 1472 ROKU



Edward bierze mnie na stronę po jednej z wieczerzy mających miejsce w zamku windsorskim.

— Czego sobie życzysz, mój mężu? Czyżbyś chciał ze mną zańczyć? — pytam z uśmiechem.

— Owszem — odpowiada. — A po tańcach upiję się do nieprzytomności.

— Z jakiegoś konkretnego powodu?

— Bez powodu. Po prostu dla przyjemności. Wszelako wcześniej pragnę cię prosić o przysługę. Zdołasz przyjąć na swój dwór jeszcze jedną **dworkę**?

Natychmiast wzmagam czujność, podejrzewając, że Edward upatrzył sobie kolejną młodkę, z której chce zrobić damę dworu, aby tym łatwiej móc z nią flirtować i ostatecznie uwieść ją tuż pod moim nosem. Obawy te muszą znajdować odzwierciedlenie w mojej twarzy, ponieważ król wybucha śmiechem i uspokaja mnie rozbawiony.

— Nie sroż się. Nie zamierzam narzucać ci się ze swoimi ładacznicami. Stać mnie, by rozlokować je poza dworem. Nie, żono. Miałem na myśli damę nieskazitelnego rodu. Samą Małgorzatę Beaufort, ostatnią z linii Lancasterów.

— Życzysz sobie, by mi służyła? — nie posiadam się ze zdziwienia. — Pragniesz widzieć ją w moim otoczeniu?

Edward potakuje skinieniem.

— Mam swoje powody. Chyba słyszałaś, że niedawno poślubiła sir Thomasa Stanleya?... Ów jest naszym zadeklarowanym sprzy-

mierzeńcem. Podczas bitwy pod Blore Heath wyczekał do ostatniej chwili i przeszedł na stronę yorkistów, mimo że wierność obiecywał Andegawence. Przy jego bogactwie i wpływach sprawą pierwszorzędną wagi jest, aby się od nas nie odwrócił. Wystąpił o pozwolenie na ten ożenek, dopiął swego, a teraz pragnie wprowadzić małżonkę na dwór królewski. Pomyślałem więc sobie, że znajdziesz dla niej miejsce. Ja już przygotowałem krzesło dla sir Thomasa w swojej radzie.

— Czyż ona nie jest przesadnie pobożna? — pytam, grając na zwłokę.

— To szlachetnie urodzona dama. Przystosuje się do zwyczajów panujących na twoim dworze. — Edward na wszystko ma odpowiedź. — Potrzebuję jej męża u swego boku, Elżbieto. To niebagatelny sprzymierzeniec, który liczy się teraz i będzie się liczył w przyszłości.

— Skoro tak ładnie prosisz, muszę ci ulec — uśmiecham się do niego. — Tylko nie wiń mnie, jeśli okaże się nieznośnie nudna.

— Nie będę na nią patrzył, jak i na żadną inną niewiastę, kiedy ty jesteś w pobliżu — szepcze. — Nie kłopotz się więc o to, jakie wrażenie zrobi lady Małgorzata. A gdy z czasem nabierze śmiałości i napomknie o swym synu, chcąc go ściągnąć do ziemi ojczystej, wyrazimy zgodę, pod warunkiem że okaże nam swoją lojalność, i będziemy mogli wybić buńczucznemu Henrykowi Tudorowi marzenia o koronie. Cała ich rodzina będzie nam wiernie służyć i niebawem wszyscy w Anglii zapomną, że kiedykolwiek byli przeciwko nam. Ożenimy go z jakąś miłą dziewczyną z naszego rodu, którą sama dla niego wybierzesz, i tym sposobem dynastia Lancasterów przestanie istnieć.

— Napiszę do niej z zaproszeniem — obiecuję.

— Najpierw każ muzykantom zagrać coś skoczniejszego, to zatańczymy.

Odwracam się i gestem wydaję polecenie grajkom, którzy konferują przez chwilę przejęci, po czym uderzają równocześnie w struny i już płynie najnowsza melodia prosto z Burgundii, gdzie siostra Edwarda, Małgorzatka, podtrzymując tradycję Yorków, prowadzi wesoły dwór, zarazem zaś podpatruje modę i zwyczaje moich kuzy-

nów. Ten taniec nazwano nawet galiardą księżnej Małgorzaty. Edward porywa mnie w ramiona i okręca, i już poruszamy się w żywym tempie, a dworzanie otaczają nas kręgiem i miarowo klaskają do taktu, by zaraz się włączyć do korowodu tancerzy.

Gdy muzyka cichnie na moment, wirowym ruchem oddalam się ku najbliższemu zacisznemu kąтови, gdzie Antoni już czeka na mnie z kielichem słabego piwa. Piję łąpczywie.

— No więc? Czy wyglądam jak tłusta żona rybaka? — pytam swojego brata.

— Oho! Zalazło ci to za skórę, co? — pokazuje zęby w uśmiechu i obejmując mnie jednym ramieniem, zapewnia: — Wyglądasz przecudnie i dobrze o tym wiesz. Tak jak nasza matka, z wiekiem tylko zyskujesz na urodzie. Zmieniłaś się z ładnej młódki w piękną dorosłą niewiastę o posagowych kształtach i rysach twarzy. Kiedy śmiejąc się, tańczysz z Edwardem, można ci dać góra dwadzieścia lat, zaś gdy zamierasz w bezruchu i się zamyślasz, nabierasz cech figur, od jakich roi się w Italii. Nic dziwnego, że inne niewiasty cię nienawidzą.

— W przeciwieństwie do mężczyzn — odwzajemniam przewrotny uśmiech.

STYCZEŃ 1473 ROKU



W środku zimy Edward wchodzi do moich komnat, gdzie siedzę umieszczona naprzeciwko kominka ze stopami uniesionymi wysoko na podnóżku i rękoma splecionymi na podolku. Widząc, że pozostają beczynna — co jest do mnie raczej niepodobne — odwraca się przez ramię i ruchem głowy odprawia towarzyszących mu mężczyzn, po czym mówi do moich **dworek**:

— Zostawcie nas samych.

Niewiasty opuszczają komnatę w wielkim zamieszaniu, starając się jak zwykle zwrócić uwagę Edwarda, pośród nich nowo przybyła na dwór lady Stanley, uważana za niemal świętą Małgorzata Beaufort.

Król odprowadza je wszystkie spojrzeniem, po czym gdy drzwi nareszcie się zamykają, pyta:

— I jak się sprawuje lady Stanley? Czy jest wesołą i miłą towarzyszką?

— Nie mam jej nic do zarzucenia — odpowiadam z uśmiechem. — Obie wiemy, że przepłynęła barką pod oknami mego schronienia w opactwie westminsterskim i cieszyła się swoją chwilą tryumfu. Żadna z nas nie ma wątpliwości, kto teraz jest górą. Ani na moment o tym nie zapominamy. Nie zachowujemy się jak nieokrzesani mężczyźni, którzy klepią niedawnego wroga po plecach ze słowami: „Co było, to było!”. Wszelako rozumiemy też, że świat wokół nas się zmienił, a my wraz z nim. Lady Stanley ani myśli sugerować, że jej syn powinien zostać uznany za następcę tronu z linii Lancasterów, pozbawiając szans na koronę małego księcia Yorków.

— Właśnie o nim chciałem z tobą porozmawiać — wtrąca Edward. — Wszelako coś mi mówi, że ty powinnaś zacząć...

Otwieram szeroko oczy, nie przestając się uśmiechać.

— Nie rozumiem, mój mężu...

Śmieje się cicho i strąciwszy poduchę z siedziska, opada za nią na podłogę, aby znaleźć się tuż koło mnie. Świeżo rozrzucone zioła pod wpływem jego ruchu wydzielają zapach mięty wodnej.

— Czyżbyś miała mnie za ślepcę? A może za głupca?

— Ani za jednego, ani za drugiego. Chyba że powinnam?...

— dodaję z uwodzicielskim błyskiem w oku.

Odkąd cię znam, zawsze przybierasz królewską postawę, której nauczyła cię twoja matka. Siedzisz wyprostowana, z rękoma na podłokietnikach i złączonymi stopami. Czyż nie tak kazała ci siadać Jakobina Luksemburska? Zupełnie jakby przez cały czas wiedziała, że zostaniesz koronowaną królową.

Uśmiecham się szerzej.

— Pewnie tak właśnie było...

— A teraz proszę: siedzisz rozleniwiona, ze stopami opartymi na podnóżku... — Nachyla się i unosi skraj sukni, aby odsłonić moje boscie stopy. — Bez pantofelków! Co za skandal... Robi się z ciebie kocmołuch. Na królewskim dworze rządzi flejtuch i niedbaluch, przed którym przestrzegała moja mać.

— No i? — pytam, bynajmniej nie zbulwersowana.

— No i stąd mam pewność, że jesteś przy nadziei. Gdyż pozwalasz sobie na zrucie pantofelków i uniesienie stóp tylko wtedy, gdy spodziewasz się dziecka. Dlatego właśnie zapytałem cię, czy masz mnie za ślepcę czy tylko za głupca.

— Mam cię za byczka rozplodowego, jeśli mam być całkowicie szczerą! — wybucham. — Co roku noszę twoje dziecko.

— Tomasza i Ryszarda też urodziłaś w odstępie roku — zauważa bez cienia skruchy. — Nie zapominaj o tym. Zatem kiedy szczęśliwe rozwiązanie?

— Latem — odpowiadam. — A w dodatku...

— Tak? — przysuwa się bliżej.

Obejmuję jego jasnowłosą głowę obiema dłońmi i szepczę mu wprost do ucha:

— Czuję, że to chłopiec.

Podrywa się, twarz rozjaśnia mu radość.

— Naprawdę? Są pewne oznaki?

— Miewam niewieście zachcianki — mówię, wspominając panią matkę z przechyloną głową jakby nasłuchującą tupotu małych **stopek** w jeździeckich butach z ostrogami po sklepieniu nieba. — Ale przecucie jest bardzo silne. Wierzę, że to będzie chłopiec.

— Syn zesłany Yorkom w czas pokoju — rozmarza się Edward.

— Och, najmiłsza, jesteś dobrą żoną. Piękna moja, ukochana moja, jedyna moja...

— A co ze wszystkimi innymi?

Oddala myśli o swoich kochanicach i bastardach gwałtownym machnięciem ręki.

— Zapomnij o nich. Ja już zapomniałem. Liczysz się tylko ty. Teraz i zawsze... — Całuje mnie delikatnie, trzymając na wodzy swoje żądze ogarniające go zawsze w okamgnieniu niczym płomień. Nie wolno nam oddawać się miłości do przyjsia na świat jego dziecka i ceremonii oczyszczenia po połogu. — Miła moja... — szepcze nabrzmiałymi wargami.

Przez parę chwil siedzimy w milczeniu, spoglądając w strzelający ogień.

— Z czymże to do mnie przyszedłeś? — pytam w końcu.

— A, właśnie... Zamierzałem odesłać małego księcia Walii do Ludlow, gdzie mógłby objąć panowanie. Tuszę, że nie masz nic przeciwko temu?...

Potrząsam lekko głową. Taka jest kolej rzeczy. Taki jest los księcia. Moja najstarsza ukochana córka, Elżbietka, może pozostać ze mną do dnia swoich zaślubin, lecz syn musi odbyć praktykę jak każdy przysły monarcha. Musi zamieszkać w Walii, ponieważ jest księciem Walii, i tamże nauczyć się władać przy pomocy swojej rady.

— Tylko że on ma ledwie trzy latka — protestuję słabo.

— To w sam raz — osądza król. — Możesz udać się w podróż razem z nim, jeśli czujesz się na siłach, i na miejscu urządzić wszystko wedle własnej woli, dopilnowując, by dostał towarzyszy i preceptorów, jakich chętnie byś widziała u jego boku. Wyznaczę cię na głównego doradcę księcia, tak że będziesz mogła osobiście wybrać

pozostałych członków rady i nadzorować edukację mego syna do dnia jego czternastych urodzin.

Ponownie przyciągam do siebie głowę Edwarda i całuję go prosto w usta.

— Dziękuję.

Jestem wdzięczna, że pozostawia chłopca pod moją opieką, choć większość monarchów uznałaby, że trzylatek powinien przebywać wyłącznie w męskim towarzystwie, zabrany spod matczynych skrzydeł. Tymczasem Edward czyni mnie oficjalnym opiekunem księcia, honoruje moje uczucie do niego i ufa mi, zarówno gdy chodzi o wiedzę, jak i o sądy. Łatwiej zniosę odseparowanie od syna, jeśli nadal będę miała wpływ na jego życie i wolno mi będzie go często odwiedzać.

— Wszystkie święta i ważniejsze uroczystości będzie spędzał z nami — obwieszcza mój mąż. — Bo wiesz, ja też będę za nim tęsknił. Ale zadaniem księcia jest władać swoim księstwem. Mały Edward musi nauczyć się rządzić, a Walia musi poznać swego nowego pana i pokochać go. Jego poddani żyją się z nim lepiej, jeśli będzie tam mieszkał od dziecka. Tylko w ten sposób zapewnimy sobie ich wierność.

— Wiem... — mówię cicho. — Wiem.

— Zwłaszcza że Walia od wieków była wierna Tudorom — dodaje Edward, jakby czyniąc dygresję. — Moim życzeniem jest, aby wyparto ich z pamięci raz na zawsze.

Długo rozważam, kto powinien wychowywać mego syna w Walii i przewodzić jego radzie do czasu, gdy mały Edward osiągnie pełnoletność i będzie mógł samodzielnie zarządzać Marchią Walijską, i w końcu po przeciągających się deliberacjach mój wybór pada na osobę, która przysłała mi do głowy na samym początku, bez zastanowienia. Jako kandydat oczywisty. Komuż innemu powierzyłabym swój najcenniejszy skarb?

Udaję się do komnat swego brata Antoniego, leżących w pewnym oddaleniu od głównej klatki schodowej, za to posiadających wspaniały widok na pałacowe ogrody. Drzwi strzeże zaufany sługa, który z szacunkiem schodzi mi z drogi i niegłęboko obwieszcza moje

przybycie. Przycinam komnatę gościnną, pukam do drzwi komnaty prywatnej i nie czekając na zaproszenie, wchodzę do środka.

Antoni siedzi za stołem umieszczonym tuż przed kominkiem, który grzeje mu plecy. W dłoni trzyma kielich z winem, przed sobą ma półtuzin zaostrzonych gęsich piór i płachty kosztownego, ręcznie czerpanego papieru z widocznymi pojedynczymi włókienkami. Jest zajęty pisaniem jak każdego popołudnia od dłuższego już czasu, gdy wczesny zimowy zmierzch zapędza wszystkich w mury pałacu. Antoni nie nadąża ze spisywaniem poezji, których nie recytuje jak kiedyś podczas turniejów rycerskich, tylko zachowuje dla siebie i swoich najbliższych, albowiem są dlań aż tak ważne.

Podnosi spojrzenie i widząc, że to ja mu przeszkadzam, uśmiecha się i czym prędzej ustawia mi przy kominku drugie krzesło oraz podnózek. Nie musimy nic mówić, mój brat także zgadł, iż jestem przy nadziei — jego uwadze nic nie umknie, ma nie tylko naturę, ale i oko prawdziwego poety.

— To dla mnie zaszczyt — odzywa się pierwszy. — Masz dla mnie rozkazy, wasza miłość, czy też postanowiłaś mi złożyć prywatną wizytę?

— Chciałam cię o coś prosić... — zaczynam. — Król postanowił, że czas odesłać małego Edwarda do Walii, by założył tam swój dwór. Moim życzeniem jest, abyś towarzyszył księciu jako jego główny doradca w moim imieniu.

— A czy król nie widzi w tej roli raczej sir Williama?

— Nie. Dał mi wolną rękę, gdy idzie o wyznaczanie panów rady... — urywam na chwilę. — Antoni, Walia to morze korzyści, potrzebuje jednak silnej ręki, a ja wolałabym, aby się znalazła pod naszymi rządami. Nie wyobrażam sobie, by miał się tam panoszyć Gloucester czy Hastings. Drugiego nie lubię i nigdy nie polubię, a pierwszy ma już nazbyt rozległe ziemie na północy Anglii. Nie wolno nam pozwolić, by położył łapę także na zachodzie.

Antoni się waha.

— Przecież mamy dość bogactw i wpływów, czyż nie?

— Bogactwa i władzy nigdy za wiele — odpowiadam, stwierdzając to, co oczywiste. — Zresztą mnie zależy najbardziej na tym, byś czuwał nad bezpieczeństwem małego Edwarda.

— Chyba powinnaś przestać go nazywać małym Edwardem, skoro został księciem Walii, a teraz ma rozpocząć panowanie — delikatnie zwraca mi uwagę mój brat. — Przeprowadzi się na własne włości, będzie miał własny dwór, własną radę, będzie księciem całą gębą. Wkrótce zaczniesz szukać dlań odpowiedniej księżniczki na wydaniu.

Uśmiecham się na tę myśl, nie odrywając wzroku od płomieni.

— Wiem, wiem... Już się powoli zastanawiam nad tą kwestią, choć trudno mi w to uwierzyć. A lubię nazywać go małym Edwardem, bo to przypomina mi, że dopiero niedawno wyrósł z niemowlęcych koszulinek, choć już od jakiegoś czasu nosi dorosłe ubrania i nawet umie jeździć na swoim kucyku, a każdego dnia jest wyższy o ćwierć cala. Nie nadażam ze sprawianiem mu nowych butów jeździeckich...

— To rzeczywiście wspaniały chłopiec — zgadza się ze mną Antoni. — Chociaż wrodził się w ojca, czasem zdaje mi się, że dostrzegam w nim wspomnienie jego dziada. Na oko widać, że to Woodville, jeden z nas.

— Dlatego wyznaczam ciebie na jego opiekuna — powtarzam. — Mój syn musi zostać wychowany na Riversa pośród Riversów. Hastings to żołądek i brutal, a żadnemu z braci Edwarda nie powierzyłabym nawet opieki nad swoim pieskiem. Jerzy myśli wyłącznie o sobie, Ryszard zaś jest nazbyt młody. Chcę, aby księżę Walii uczył się od ciebie, Antoni. Ty chyba także nie życzysz sobie, by kto inny wywarł wpływ na twego siostrzeńca i przyszłego króla Anglii?

W odpowiedzi potrząsa zamasyżuje głowę.

— Istotnie lepiej będzie, jeśli wszystko pozostanie w rodzinie... Jednakże nie byłem świadom, że król postanowi go wysłać do Walii tak wcześnie.

— Jeszcze tej wiosny — precyzuję. — Sama nie wiem, jak zniosę rozstanie...

Antoni zamyśla się na parę chwil.

— Nie mogę zabrać ze sobą żony — odzywa się wreszcie — nawet jeżeli już widziałas ją w roli pani na zamku w Ludlow. Baronowa Scales jest wątłego zdrowia, a tego roku zdaje się słabsza niż zwykle.

— To nic — uspokajam go. — Może zostać na moim dworze, a niczego jej nie zabraknie. Ty jednak nie będziesz się na nią oglądał, prawda?

Znów kręci przecząco głową.

— Nie, choć Bóg świadkiem, że dobrze jej życzę.

— Zatem postanowione? Pojedziesz z moim synem do Walii?

— Pojadę, a ty będziesz musiała koniecznie złożyć nam wizytę — odpowiada dwornie, wczuwając się w rolę.

— Z pewnością szybko się nauczysz walijskiego i zostaniesz bardzo — rewanżuję się, by mu osłodzić zesłanie na rubieżę.

— Bez względu na wszystko mogę ci obiecać, że wychowam twego syna tak, że nikt z nas nie będzie musiał się za niego wstydzić — oświadcza. — Dopilnuję, by równo dzielił czas pomiędzy ćwiczenie ducha i ciała. Nauczę go, jak być dobrym królem z dynastii Yorków. To nie byle jakie zadanie: wychować przyszłego króla. Pozostawię po sobie wspaniałe dziedzictwo: panującego monarchę.

— Czy to zrekompensuje ci fakt, że znów będziesz musiał odrozczyć pielgrzymkę do Ziemi Świętej?

— Wiesz dobrze, że nigdy bym ci nie odmówił, siostrze. Zwłaszcza że twoje słowo to królewski rozkaz, któremu nikt nie śmie się sprzeciwić. Szczera prawda jest jednak taka, że z przyjemnością zaopiekuję się młodym Edwardem. Wychowanie go na godnego króla to wspaniałe wyzwanie. Poza tym na pewno spodoba mi się na dworze księcia Walii.

— Naprawdę tak go muszę odtąd nazywać? Już nie może być dla mnie moim maleństwem?

— Naprawdę — rzecze z mocą Antoni, oficjalny opiekun następcy tronu.

WIOSNA 1473 ROKU



Książę Walii w towarzystwie wuja, Ryszarda Greya hrabiego Rivers, z łaski króla i ojczyma sir Ryszarda, oraz moim wolno objeżdża swoje dominium, aby zobaczyć jak największą część księstwa i dać się poznać poddanym. Jego ojciec, a mój mąż jest zdania, iż tak właśnie zapewnimy sobie niezakłócone panowanie — pokazując się ludowi, demonstrując nasze bogactwo i potęgę, zaświadczać o płodności i wspaniałości tego dworu, utwierdzamy wszystkich w przekonaniu, że są bezpieczni pod naszymi rządami.

Często robimy postoje. Młody Edward jest silnym chłopcem, lecz to zaledwie trzylatek, którego męczy całodzienna jazda w siodle. Zatrzymujemy się na nocleg już po południu, a ja nalegam, by książę kładł się spać wcześniej w moich komnatach. Cieszy mnie to leniwe tempo, gdyż mogę dosiadać wierzchowca po niewieścieniu, bokiem, co jest szczególnie istotne z tego względu, iż krągłość brzucha staje się z wolna widoczna. Docieramy do uroczego miasteczka Ludlow bez najmniejszych przygód, a ja decyduję, iż zostanę przy swym pierworodnym przez co najmniej półroczce, aby dopilnować organizacji jego dworu i zapewnić mu wygodę i bezpieczeństwo, dokładając starań, by czuł się tutaj szczęśliwy.

Edward nie sprawia żadnych kłopotów; nie kaprysi. Tęskni trochę za siostrami, ale ma przecież nas, tak że ciągłe towarzystwo jego przyrodniego dużego brata Ryszarda oraz ukochanego wuja Antoniego rekompensuje mu wszelkie smutki. W dodatku zdaje się

zachwycony tym, że nagle się znalazł w centrum uwagi wszystkich jako samodzielny książę. Podczas wypraw za mury zamku poznaje okolice — głębokie doliny i strzeliste góry. Troszczą się oń ci sami słuźący, których zna od wczesnego dzieciństwa, lecz zmienili się towarzysze jego zabaw — są to dzieci przybyłe na dwór księcia, aby razem z nim bawić się i uczyć. Niczego mu nie brakuje pod czujnym okiem mego brata i to ja cierpię na bezsenność przez tydzień, zanim wybieram się w drogę powrotną do Londynu. Antoni niczym się nie martwi, Ryszard zdaje się bardzo zadowolony, a mój syn wprost tryska radością i entuzjazmem.

Wszakże to oczywiste, że nie umiem się z nim rozstać. W końcu nigdy nie stanowiliśmy typowej królewskiej rodziny, w której dominowałby chłód i dystans. Edward przyszedł na świat w sanktuarium, kiedy nam wszystkim groziła śmierć. Przez pierwszych kilka miesięcy swego życia spał razem ze mną w łozu — rzecz niesłychana w wypadku następcy tronu! Nie miał mamki, wykarmiłam go więc własną piersią, i to moje palce chwycił, stawiając pierwsze niepewne kroki. Ani on, ani żadne z pozostałych dzieci nie zostało nigdy odesłane do osobnego pałacu, gdzie zajmowałiby się nimi opiekunowie. Król pragnął bliskości dzieci i dopiero dla księcia Walii uczynił wyjątek, kiedy przyszła pora, by ów podjął swe obowiązki. Kocham go całym swoim sercem; mały Edward (wciąż nazywam go tak w duchu) jest moim złotowłosym chłopczykiem, moim upragnionym synem, który utwierdził mą pozycję jako królowej i zapewnił swemu ojcu, podówczas nie więcej niż yorkistowskiemu pretendentowi, pełniejsze prawo do tronu. Książę Walii to ukońronowanie naszego małżeństwa i naszych nadziei, to gwarant naszej przyszłości.

Król zjawia się w Ludlow w czerwcu, pod koniec mojego pobytu, aby dotrzymać mi towarzystwa przez ostatni miesiąc. Przywozi ze sobą smutne wieści na temat żony Antoniego, baronowej Scales, która oddała ducha Bogu. Całymi latami gnębiła ją jakaś wycieńczająca choroba, która w końcu odebrała jej życie. Mój brat zamawia mszę w intencji zmarłej żony, ja zaś — w sekrecie i z niejakim wstydem — zastanawiam się, któż niedługo zajmie jej miejsce.

— To wciąż otwarta sprawa — zbywa mnie na razie król. — Wszelako twój brat będzie musiał nagiąć uczucia do racji stanu. Niewykluczone, że poślubi którąś z francuskich księżniczek. Potrzebni mi silni sojusznicy.

— Lecz chyba nie zamierzasz odesłać go za granicę? — pytam spłoszona. — Chyba nie pozbawiłbyś naszego syna wymarzonego opiekuna?

— Oczywiście, że nie — uspokaja mnie Edward. — Widzę, że rozgościł się w Ludlow i czuje się tutaj jak w domu. Poza tym książe Walii musi mieć na miejscu kogoś zaufanego, gdy my wrócimy do Londynu. Wyruszymy za cztery niedziele.

Wypuszczam wstrzymywane powietrze, jakby ta wiadomość mnie zaskoczyła. A przecież od zeszłego roku wiedziałam, że ta chwila prędzej czy później nadejdzie.

— Będziemy doń przyjeżdżać — obiecuje, widząc moje strapienie — a on do nas. Nie rób takiej rozpaczliwej miny, najmilsza. Twój syn wdraża się w obowiązki, jak na księcia z dynastii Yorków przystało. Kuje swoją przyszłość. Powinnaś się cieszyć ze względu na niego.

— Cieszę się — mówię tonem wypranym z przekonania.

Gdy przychodzi do rozstania, muszę się szczypać w policzki, aby nadać im żywszej barwy, i zagryzać wargi, żeby powstrzymać płacz. Antoni się domyśla, ile mnie kosztuje pokazywanie uśmiechniętego oblicza, wszelako młody Edward na nic nie zważa, pewien, iż niebawem odwiedzi nas w Londynie, zachwycony nagłą wolnością i ważnością. Z tego wszystkiego pozwala mi się przytulić i nawet nie wierci się w moich objęciach. Całuję go na do widzenia, a on szepcze mi do ucha: „Kocham cię, pani matko” i opada na jedno kolano, aby odebrać moje błogosławieństwo. Gdy powstaje, jego głowę zaprzątają już inne sprawy.

Antoni podsadza mnie na siodło, a ja niezgrabnie zajmuję miejsce za plecami swego koniuszego, uczepiając się jego szerokiego pasa. Jestem niezręczna, niedługo już pozostało do rozwiązania, i może dlatego moje myśli zasnuwa ciemna, ponura chmura niepokoju. Wiodę wzrokiem od brata do moich synów i czuję, jak obręcz strachu ściska mi pierś.

— Bądź greczny — mówię do młodego Edwarda, po czym niemal bezgłównie poruszając wargami, dodaję w stronę Antoniego: — Opiekuj się nim dobrze. Pisz często. Nie pozwól mu brać przeszkód na kucyku. Dbaj, żeby nie zmarzył. Pilnuj, aby nie czytał po zmroku. Przede wszystkim jednak trzymaj go na dystans od każdego, kto by choć kichnął. Na najłżejszą wieść o zarazie wywieź go na prowincję... — Sama już nie wiem, przed czym jeszcze powinnam ich przestrzec. Niepokój wręcz mnie zalewa, gdy z natężeniem wpatruję się w uśmiechnięte twarze wszystkich trzech. — Po prostu... — milknę na chwilę. — Po prostu troszcz się o niego jak o własnego syna, Antoni. Strzeż go jak źrenicy oka.

Mój brat zbliża się do wierzchowca i dłonią chwyciwszy mnie za stopę, potrząsa nią lekko.

— Wasza miłość... — mówi, spoglądając mi w oczy. — Doprawdy... Przyjechałem tu, aby się nim opiekować, i to właśnie zamierzam robić. Uchronię go od złego. Przy mnie będzie bezpieczny.

— Ty też uważaj, Antoni... — szepczę do brata. — Czuję przełożony strach, lecz nie wiem, czego się bać. Nie wiem, co więcej powiedzieć. Chciałabym cię przestrzec, ale nie mam pojęcia przed czym... — Przenoszę wzrok na sir Ryszarda Greya, który opiera się niedbale o otwarte wrota. Mój syn z pierwszego małżeństwa wyrósł na postawnego i przystojnego młodego mężczyznę. — Dbaj również o mego drugiego syna, Ryszarda. Z jakiegoś powodu drzę o was wszystkich.

Antoni odstepuje o krok i wzrusza lekko ramionami.

— Sostro... — mówi z uczuciem. — Niebezpieczeństwo czai się na każdym kroku. Wraz z twymi synami zachowamy się jak mężczyźni i stawimy czoło zagrożeniu, gdy się pojawi. Nie trap się wyimaginowanymi strachami. Szerokiej drogi i łatwego rozwiązania! — żegna mnie. — Wszyscy liczymy, że na świat przyjdzie drugi książę zdolny dorównać swemu bratu.

Edward daje rozkaz i kawalkada rusza stępa; przed nim jedzie chorąży unoszący wysoko królewski proporzec, wokół zgromadzili się strzegący go gwardziści. Orszak rozwija się niczym szkarłatna

wstążka poza bramy zamku — oczy poraża czerwień liberii i powiewających chorągwi. Odzywają się trąbki, na których dźwięk ptaki zrywają się do lotu i robiąc kółka na niebie, oznajmniają światu, że król i królowa pozostawiają tutaj swego drogiego syna. Nie wolno mi powstrzymywać marszu, toteż tego nie robię. Patrząc jednak za siebie przez ramię — na obu synów i brata — aż stołp, a potem zewnętrzne mury zasłaniają mi całkiem widok, gdy trakt nagle opada, i nie potrafię już dostrzec żadnego. Kiedy tracę ich z oczu, duszę wypełnia mi taki mrok, że zdaje mi się, iż zapadła noc i już nigdy nie wstanie świt.

LIPIEC 1473 ROKU



W drodze do Londynu w ostatnich dniach lipca stajemy w Shrewsbury, gdzie w gościnnych komnatach klasztoru szukam odosobnienia, by móc wydać na świat następnego królewskiego potomka. Ulgą napawa mnie ukrycie się w chłodnych murach, za którymi panuje gorąc i palący skwar środka lata. Nakazałam, by w rogu pomieszczenia ustawiono małą fontannę i teraz kapanie wody działa uspokajająco na moje napięte jak postronki nerwy, kiedy za zamkniętymi szczelnie okiennicami leżę i czekam na narodziny kolejnego dziecka.

Shrewsbury to miasteczko wzniesione wokół studni walijskiej świętej, Wenefrydy, i kiedy tak przysłuchuję się kapaniu zaczerpniętej z niej wody oraz biciu dzwonów wzywających wiernych na modlitwy, rozmyślam o duchu tej podmokłej ziemi, pogańskim i chrześcijańskim, o Meluzynie i Wenefrydzie, jak również o tym, że studnie, źródła, strumienie i rzeki przemawiają do rodzaju ludzkiego, do mężczyzn, lecz nade wszystko do niewiast, które własnymi ciałami odczuwają odwieczny ruch wody. Niemal każde sanktuarium w Anglii powstało w bliskości studni lub źródła; niemal wszystkie chrzcielnice napełnia wypływająca głęboko spod powierzchni woda, która następnie wraca pobłogosławiona, skąd przyszła. To raj dla Meluzyny, boginka byłaby w swoim żywiole tu, gdzie wszechobecna woda szumi w powietrzu, przecina ziemię, a nawet toczy swój nurt pod litą powierzchnią.

Bóle dopadają mnie w połowie sierpnia i natychmiast odwracam głowę ku szeleszczącej fontannie, próbując wychwycić matczyzny głos

spośród szumu. Dziecko nie nastęcza trudności podczas połogu, wyślizguje się ze mnie łatwo jak ryba z sieci i tak jak się spodziewałam, jest to chłopiec. Pani matka się nie pomyliła.

Edward odwiedza mnie w komnacie niewieściej, mimo że żaden mężczyzna nie powinien mieć do mnie dostępu, póki nie przejdę ceremonii oczyszczenia w świątyni.

— Musiałem się z tobą zobaczyć. Musiałem zobaczyć swego syna. Następny syn! Niech Bóg ci błogosławi i zachowa was oboje w zdrowiu. Najmilsza, dzięki ci za twoje cierpienie, które zaowocowało kolejnym księciem.

— Zdaje się, że twierdziłeś, iż to bez różnicy, czy narodzi się chłopiec czy dziewczynka — drażnię się z nim.

— Kocham swoje córki — mówi szybko król. — Lecz dla dobra dynastii musiał się urodzić drugi syn. Księciu Walii przyda się towarzysz i przyjaciel.

— Mogę ochrzcić go Ryszard?

— Myślałem, że nazwiemy go Henrykiem.

— Henryk będzie następny — obiecuję. — Tego nazwiemy Ryszardem. Tak przepowiedziała pani matka.

Edward pochyła się nad kołyską, w której śpi nowo narodzone niemowlę, i dopiero po chwili dociera do niego znaczenie moich słów.

— Twoja matka przewidziała, że urodzisz mi drugiego syna?

— Owszem — potwierdzam. — Albo przynajmniej udawała, że umie to przewidzieć. Znałeś ją, więc wiesz, jaka była. W równych częściach odwoływała się do czarów i do niewieściego bajdurzenia.

— A czy mówiła coś o następnych dzieciach? Czy będziemy mieli więcej synów? Co ty o tym sądzisz? — dopytuje Edward.

— Sądzę, że bez trudu dochowamy się jeszcze jednego syna — odpowiadam, zasypiając. — Jeśli tylko nadal mnie pragniesz. Jeśli znów będziesz dzielił ze mną łożo. Jeśli jeszcze ci się nie znudziłam. Jeśli nie czujesz się mną zmęczony. Jeśli nie wolisz ode mnie innych niewiast...

Prostuje się znad kołyski i podchodzi do mnie w paru krokach. Wsuwa dłoń pod moje łopatki, by mnie unieść, i mówi prosto w moje usta:

— O, nadał cię pragnę i nigdy pragnąć nie przestanę...

WIOSNA 1476 ROKU



Ja również przewiduję poprawnie i Ryszard nie jest naszym ostatnim dzieckiem. Edward nie przestaje być jurny niczym byczek rozplodowy, co mu w żartach zarzuciłam. Dwa lata po narodzinach naszego drugiego syna znów jestem w odmiennym stanie i późną jesienią, w listopadzie, rodzę dziewczynkę, której na chrzcie nadajemy imię Anna. Król nagradza mój niewieści trud, nadając memu starszemu synowi po Greyu tytuł markiza Dorset, ja zaś żenię wyniesionego do tej godności Tomasza z miłym dziewczęciem, a przy tym dziedziczką nie lada fortuny. Mój mąż wielce liczył na kolejnego księcia, któremu koniec końców postanowiliśmy nadać imię Jerzy, nie Henryk, aby w ten sposób powołać młodszą trójcę Yorków noszących te same imiona co książęta z poprzedniego pokolenia, a przy tym uhonorować księcia Clarence. Wszelako Jerzy nie okazuje cienia wdzięczności za te plany. Jako młodzieniec był rozpuszczonym chciwcem, a wyrósł na zgorzkniałego, porywczego mężczyznę. Teraz zbliża się do trzydziestki, jego wiecznie skrzywiona twarz obnosi wyraz pogardy. Swego czasu, kiedy jeszcze był pełnym nadziei chłopięciem, szczyił się swym pochodzeniem i więzami krwi łączącymi go z królem Edwardem; potem za poduszczeniem hrabiego Warwick sam zaczął marzyć o koronie, lecz przegrał swoją sprawę, kiedy wszechmocny Neville zaczął znów faworyzować Lancasterów. Następnie, gdy Edward odzyskał panowanie w Anglii, Jerzy z racji urodzenia był drugi w kolejce do korony, wszakże szybko utracił to miejsce na rzecz naszego pierwszego syna, księcia

Walii. Od narodzin Ryszarda Shrewsbury'ego spadł nawet jeszcze dalej i obecnie jest trzeci, gdy idzie o następstwo tronu. W rzeczy samej ilekroć wydaję na świat syna, księżę Clarence oddała się od upragnionego celu i popada głębiej w zgorzknienie. A że król świata poza mną nie widzi, ja zaś jestem nad wyraz płodna, Jerzy nie mógłby być dalszy od objęcia władzy w królestwie. Można rzec, iż z księcia Clarence przeistoczył się w księcia Gbura.

Drugi królewski brat, Ryszard księżę Gloucester, mniej dba o sprawy sukcesji, więcej zaś o kwestię pokoju z Francją zawartego nie w wyniku walki, lecz negocjacji, po tym jak armia Yorków wróciła z kontynentu, nie stoczywszy żadnej potyczki, a jednak zwycięska. Najjaśniejszy pan, podobnie jak każdy mężczyzna, każda niewiasta i każde dziecko w królestwie, raduje się z powodu pokoju zadziergniętego pomiędzy dwoma mocarstwami na lata i bogactwa płynącego do naszego skarbcza za to, że przestaniemy się domagać zwrotu leżących za Kanałem ziem. Wszyscy co do jednego cieszymy się na myśl, iż udało nam się uniknąć długiej i kosztownej, toczonej poza granicami kraju wojny — to znaczy, wszyscy z wyjątkiem księcia Gloucester, młodzieńca wychowanego na polu bitwy i znającego na pamięć odpowiednie ustępy traktatów, na których mocy moglibyśmy żądać francuskich terytoriów, kurczowo chwyającego się pamięci o walecznym ojcu, który większość życia spędził na wojaczce i biciu Francuzów, i bliskiego rzucenia królowi w twarz, że jest podłym tchórzem, jakiemu nie chce się opuścić pałacowych pieleszy, by powieść swą armię ku wspaniałemu zwycięstwu.

Edward śmieje się dobrodusznie na zaciętość brata i puszcza mimo uszu zawołane zniewagi, lecz Ryszard i tak pozbawia nas swego towarzystwa, ostentacyjnie wracając na północ i zabierając ze sobą swą oddaną żonę Annę Neville. Pomimo ponawianych zaproszeń Gloucester odmawia zjechania na południe i uparcie tkwi w przekonaniu, że jest jedynym godnym następcą Ryszarda Plantageneta znanego z nienawiści do Francuzów.

Wszelako nic nie jest w stanie zmaćcić dobrego nastroju mego królewskiego małżonka. Uśmiechając się od ucha do ucha, odnajduje mnie w stajniach, gdzie podziwiam swoją nową klacz — podarunek od króla Francji mający przypieczętować pokój między

naszymi królestwami. To wspaniały koń czystej krwi, tyle że pode-
nerwowany długą morską podróżą i nieznanym otoczeniem. Klacz-
ka ani myśli podejść do mnie, mimo że kuszę ją smakowitym jabł-
kiem na otwartej dłoni.

— Dostałem dziś od twego brata list, w którym prosi, aby wolno
mu było udać się na pielgrzymkę i pozostawić księcia Walii pod
opieką jego przyrodniego brata, sir Ryszarda.

Wycofuję się ze stajni i zamykam starannie wrota, aby nic nie
niepokoiło mej nowej klaczy.

— Na pielgrzymkę? — powtarzam z marsem na czole. — Chyba
nie do Ziemi Świętej?

— Nie. Do Rzymu — odpowiada Edward. — Powiada, że
łaknie odpoczynku od zgiełku świata... — Wygina wargi w niesyme-
trycznym uśmiechu. — Wygląda na to, że w Ludlow rozsmakował
się w samotności i chyba teraz mu się marzy, aby zostać świętym.
Mnie powiedział, że wciąż nie znalazł w pokładach swojej duszy
poezji, której szuka nieprzerwanie. Twierdzi, że może to uczynić
tylko w ciszy, z dala od dworskiego życia. Że wróci mądrzejszy.

— Och, bzdura! — wykrzykuję z siostrzaną pogardą. — Odkąd
pamiętam, przebąkuje o wyjeździe. Pielgrzymkę do Ziemi Świętej
planował już jako mały chłopiec. Antoni to wagabunda, któremu się
wydaje, że starożytni Grecy i Arabowie posiadli wszelką wiedzę.
Być może rwie się do tułaczki, lecz nie wypełnił swego zadania na
miejscu. Nie daj mu swego pozwolenia, każ mu zostać.

Edward waha się, co odpowiedzieć.

— On bardzo tego pragnie, Elżbieto — mówi wreszcie. — I jest
największym rycerzem w Anglii. Nie sądzę, by ktokolwiek zmógł go
w szrankach, kiedy ma dobry dzień. Pisze poezje, które w niczym
nie ustępują dokonaniom bardów. Ma rozległą wiedzę i zna więcej
języków niż każdy inny uczony w Anglii. To nie jest zwykły człowiek,
żono. Być może jego przeznaczeniem jest opuścić rodzinną ziemię
i dowiedzieć się więcej. Służył nam wiernie, najwierniej ze wszyst-
kich, a skoro teraz Pan Bóg zdaje się go wołać na wyprawę do
świętego miasta, nie powinniśmy stawać mu na drodze.

Zaciekawiona naszymi podniesionymi głosami klacz zbliża się
do uchylonych górą drzwiczek stajni i dotyka chrapami mojego ra-

mienia. Kamienieję, nie chcąc jej spłoszyć. Ciepłe, pachnące owsem powietrze z jej pyska owiewa mi policzek.

— Bardzoś dla niego łaskawy — odzywam się cichym, niskim w tonie głosem. — Skąd u ciebie ten nagły szacunek dla mojego brata? — pytam podejrzliwie.

Edward wzrusza ramionami, a ja na ten gest — jak każda żona — wiem już wszystko. Postępuję do przodu i ujmuję go za obie dłonie, aby nie był w stanie uniknąć mego bacznego spojrzenia.

— No więc? Kim ona jest?

— Co? Nie wiem, o czym mówisz...

— Kim jest twoja nowa ładacznicą? Ta, której przypadły do gustu wiersze Antoniego? — wyrzucam z siebie gorzkie słowa. — Sam nigdy nie czytasz poezji. Wcześniej było ci obojętne wykształcenie mojego brata, nie przejmowałeś się też jego losem. Przypuszczam, że ktoś cię oświecił. Co więcej, mam pewność, że tym kimś jest ona! Najważniejsze zaś jest to, iż poznała poezje Antoniego z jego ust. Hastings z pewnością także ją zna i wszyscy uważacie, że jest cudowna. Lecz to ty z nią zlegniesz, pozostali będą musieli obejść się smakiem, wężąc z otwartymi ustami niczym psy goniące sukę. Przygruchałeś sobie nowe ladaco i to rozumiem. Wszelako jeśli sądzisz, że będziesz mnie karmił jej opiniami, grubo się mylisz! Odpraw ją...

Król odwraca wzrok; patrzy na swoje buty, w niebo, w oczy kładzie.

— Która to? — pytam. — Tyle przynajmniej jesteś mi winien.

Pociąga mnie ku sobie i zamyka w objęciach.

— Nie złość się, najmiłsza — szepcze mi do ucha. — Wiesz, że liczysz się ty. Tylko i zawsze ty...

— Ja i banda innych — kontruję z irytacją, lecz nie wyrwam się z uścisku. — Przewijają się przez twoje łóżko niczym procesja z okazji Bożego Ciała.

— Nie — mówi z mocą Edward. — Naprawdę dla mnie liczysz się wyłącznie ty. Mam tylko jedną żonę. Mam, jak to ujęłaś, bandę ładacznic, są ich może setki. Ale tylko jedną żonę — powtarza. — To chyba coś?

— Twoje kochanice są w takim wieku, że mogłyby być moimi córkami — pry cham gniewnie. — A ty nie masz wstydu i uganiasz

się za nowymi po całym Londynie. Mieszczanie skarżą się, że ich małżonki i córki nie są bezpieczne nawet we własnych domach.

— Bo nie są — potwierdza król z próżnością młodego urodzonego mężczyzny. — Jestem pewien, że żadna niewiasta nie jest mi się w stanie oprzeć. Jednakże nigdy nie biorę żadnej siłą, Elżbieto. Po prawdzie ty jedna mi się sprzeciwiłaś. Pamiętasz ten sztylet, którego dobyłaś na mnie, gdy...

Uśmiecham się mimowolnie na to wspomnienie.

— Oczywiście, że pamiętam. Pamiętam też, że powiedziałeś, iż pochwa po sztylcie to pierwsze i ostatnie, co od ciebie dostałam.

— Nie ma takiej drugiej jak ty... — Całuje mnie w brwi, zamknięte powieki, wreszcie w usta. — Na całym świecie nie ma drugiej jak ty. Ty i tylko ty, będąc moją żoną, trzymasz moje serce w sieci swych pięknych dłoni.

— No więc? Jak ona ma na imię? — mruczę, podczas gdy obsypuje mnie pocałunkami, chcąc ułagodzić. — Jak ma na imię twoja nowa ładaczka?

— Jane Shore — szepcze z wargami na mojej szyi. — Lecz to bez znaczenia.

Antoni pojawia się w moich komnatach, gdy tylko dociera na dwór po podróży z Walii, ja zaś na powitanie oświadczam, że kategorycznie się nie zgadzam, aby opuścił Anglię.

— Ależ droga sestro... — odpowiada mi natychmiast. — Musisz mnie puścić. Przecież nie pojedę do Jeruzalem, przynajmniej nie tego roku, wybieram się zaledwie do Rzymu, by oczyścić swą duszę z ziemskich grzechów. Pragnę się oddalić od królewskiego dworu na czas jakiś i dla odmiany rozważyć sprawy istotnej wagi, a nie te tracące codziennością. Chcę pielgrzymować od klasztoru do klasztoru, wstawać ze słońcem na pierwsze modły i kłaść się na spoczynek po niesporach, a gdy na mojej drodze nie stanie świątyni, gdzie mógłbym złożyć głowę, spać na gołej ziemi pod gwiazdami i szukać Boga w ciszy.

— A nie będziesz za mną tęsknił? — pytam po dziecięcemu. — Nie będziesz tęsknił za księciem Walii?

— Owszem, będę, i właśnie dlatego nie wybieram się na krucjatę. Nie wyobrażam sobie rozłąki dłuższej niż parę miesięcy. Wiedz, że twój syn Edward świetnie się czuje w Ludlow w towarzystwie swych kompanów i preceptorów, a młody Ryszard Grey stanowi dlań odpowiedni wzór do naśladowania, zapewniając mu doskonałą opiekę. Mogę bez szkody dla niego wyjechać na krótko. Czuję prężne pragnienie, by wstąpić na tę drogę, i muszę go posłuchać.

— Nieodrodny syn Meluzyny... — Próbuję się uśmiechnąć.
— Mówisz zupełnie jak ona, kiedy ciągnęło ją do jej żywiołu.

— Właśnie — podchwytuje. — Przyjmij, że to fala mnie porywa i że wfóćę do brzegu razem z przyplływem.

— Zatem nic nie zmieni twojej decyzji?

Kręci głową z powagą.

— Nic. Muszę znaleźć się sam na trakcie, by usłyszeć głos Boga. Muszę znaleźć się w ciszy, by móc tworzyć. Muszę się wyciszyć tutaj, wewnątrz... — przykładą dłoń do piersi.

— Przrzekasz, że wrócisz? — pytam.

— Zobaczysz mnie znowu, obiecuję.

Wyciągam do niego ręce, a on ucałowuje najpierw jedną, potem drugą.

— Pamiętaj, musisz do mnie wrócić.

— Wrócę — zapewnia. — Obiecałem ci, że tylko śmierć rozdzieli mnie z tobą i twoimi dziećmi.

LIPIEC 1476 ROKU



Antoni dotrzymuje słowa i wraca z wyprawy do Rzymu akurat na czas, by dołączyć do nas w Fotheringhay w lipcu. Ryszard York zaplanował i zorganizował uroczysty ponowny pochówek swego ojca i brata Edmunda, którzy polegli w walce, a po śmierci zostali zbezczeszczeni i ledwie przysypani ziemią. Każdy żyjący członek dynastii ściąga na pogrzeb i mszę żałobną, a ja cieszę się, że mój brat zdążył przywieźć księcia Walii, który ma okazję uczcić swego dziada.

Mój brat jest śniady niczym Maur i sypie opowieściami jak z rękawa. Kiedy wymykamy się tylko we dwoje do ogrodów, dowiaduję się, że obrabowano go na trakcie i groziło mu, że nie ujdzie z tej przygody z życiem. Ze którąś noc spędził w lesie nieopodal źródelka i nie mógł zmrużyć oka, taką miał pewność, iż Meluzyna wyłoni się z wody.

— I co ja bym jej powiedział? — pyta mnie żałośnie. — Co by było, gdybym się zakochał w naszej praprapra... i tak dalej... babce?...

Spotkał się z Ojcem Świętym, pościł przez cały tydzień i doznał wizji, a później postanowił, że kiedyś znów opuści rodzinne strony, lecz tym razem uda się znacznie dalej. Od dnia powrotu do Anglii pielgrzymka do Ziemi Świętej nie schodzi mu z myśli.

— Gdy księżę Walii dorośnie, gdy naprawdę obejmie panowanie w swoim księstwie, gdy skończy szesnasty rok życia, wtedy pojedę — zapowiada.

Uśmiecham się ciepło.

— Zgoda. To wciąż odległa przyszłość. Równa dekada.

— Może ci się wydawać, że to odległa przyszłość, siostró, ale lata bieżą bardzo szybko.

— Czy po tę wiedzę wyprawiałeś się aż do świętego miasta? — pytam z przekąsem.

— Owszem — potwierdza. — Zanim się obejrzyś, Edward będzie młodym mężczyzną przewyższającym cię wzrostem, a nam przyjdzie się zastanowić, jakim zostanie królem, gdy odziedziczy koronę. Prośmy Boga, aby przejął panowanie pokojowo, władał Anglią sprawiedliwie jako Edward Piąty i zapewnił królestwu następcę tronu.

Całkiem bez powodu czuję na ciele gęsią skórę.

— Co się stało, siostró? — pyta z niepokojem Antoni.

— Nic... Nie wiem... Przeszyło mnie nagłe zimno... To nic takiego. Jestem pewna, że Edward będzie wspaniałym władcą. To godny następca swego ojca i urodzony Woodville. Żaden chłopiec nie mógłby mieć lepszego startu w dorosłe życie.

GRUDZIEŃ 1476 ROKU



Nadchodzą święta i mój drogi syn, książę Edward, ściaga do Westminsteru na bożonarodzeniową ucztę. Wszyscy są zachwyceni tym, jak wyrósł. Ma już sześć lat, jest chłopcem dumnej postawy i nad wyraz urodziwym ze swymi kręconymi blond lokami, co odziedzyczył po ojcu, a w dodatku szczyci się niesłychanie bystrym umysłem — to z kolei zawdzięcza w dużej mierze wujowi.

Antoni przywodzi do mnie obu moich synów: Ryszarda Greya i Edwarda Yorka, abym mogła dać im swoje błogosławieństwo, po czym zwalnia ich spod nadzoru, posyłając ku rodzeństwu.

— Tęskniłam za wami trzema — mówię. — Bardzo.

— A ja za tobą, sestro — odpowiada Antoni i z uśmiechem dodaje: — Doskonale wyglądasz, Elżbieto.

Krzywię się na jego komplement.

— Chciałeś powiedzieć: „Doskonale wyglądasz jak na niewia-
stę, którą co rano targają nudności”.

Mój brat się ożywia.

— Znów spodziewasz się dziecka?

— Owszem. Wszyscy oczekują, że to będzie kolejny syn, sądząc po tych nudnościach.

— Król musi bardzo się cieszyć.

— Mogę tylko snuć domysły na ten temat. Jeżeli radość przejawia się flirtowaniem z każdą białogłową w promieniu stu mil...

Antoni śmieje się serdecznie.

— Cały Edward!...

Hrabia Rivers jest szczęśliwy. Poznają to już na pierwszy rzut oka po rozluźnionych ramionach i wygładzonych zmarszczkach na twarzy.

— A co u ciebie? Czy nadal dobrze się czujesz w Ludlow?

— Wszystkośmy urządzili po swojej myśli z księciem Edwardem i sir Ryszardem — rzecze z powagą. — Nasz mały dwór skupia się na studiowaniu ksiąg, sztuce rycerskiej, turniejach i polowaniach. Wymarzone życie dla każdego z nas.

— Mój syn chętnie się uczy?

— Tak jak pisałem ci w listach. To bystry chłopiec. I rozważny.

— Mam nadzieję, że nie pozwalasz, by podejmował zbędne ryzyko?

Antoni pokazuje wszystkie zęby w uśmiechu.

— Oczywiście, że mu na to pozwalam! Chybabyś nie chciała, abym wychował księcia Walii na tchórza? Musi wykazać się odwagą w szrankach i w siodle podczas pościgu za zwierzyną. Musi poznać smak strachu, umieć rzucić mu wyzwanie i koniec końców go przewyciężyć... Anglii potrzeba męznego króla, nie strachliwego. Nie przysłużyłbym się nikomu, gdybym chronił księcia przed niebezpieczeństwem i hołubił w nim niezdecydowanie.

— Wiem, wiem... — wzdycham. — Nie zmienia to jednak faktu, że boję się o niego. Jest dla mnie taki cenny...

— Wszyscy jesteśmy dla kogoś cenni — oświadczają Antoni. — Wszyscy także wiemy życie naszpikowane trudnościami. Uczę Edwarda pewnie dosiadać każdego wierzchowca ze stajen i nie drzeć w obliczu przeciwnika. To sprawi, że w przyszłości będzie bezpieczniejszy, niż gdybym go teraz sadzał na podjezdkach i trzymał z dala od pojedynków wręcz... Ale, ale... Umyka nam to, co naprawdę ważne. Co za prezent masz dla mnie z okazji świąt? I czy nazwiesz to dziecko po mnie, jeśli faktycznie urodzi się chłopiec?

Przygotowania do obchodów świąt Bożego Narodzenia toczą się ze zwykłą w takich razach ekstrawagancją. Edward zamawia nowe stroje dla wszystkich członków rodziny królewskiej jako część widowiska, którego oczekuje Europa od najwspanialszego dworu. Ja spędzam z księciem Walii tyle czasu, ile tylko mogę. Uwielbiam

patrzyć na niego, kiedy śpi, i przysłuchiwać się wieczorem, jak odmawia paciorek, a także spożywać w jego towarzystwie pierwszy posiłek każdego dnia. Mój mały Edward wyrósł na poważnego chłopca, który nieprzymuszany proponuje, że poczyta mi w grece, po łacinie albo francusku, aż w końcu nie mam wyjścia i muszę przyznać, iż jego wiedza znacznie przekroczyła moją. Księżę wykazuje się cierpliwością w stosunku do swego młodszego brata Ryszarda, który jest weń wpatrzony jak w obrazek i chodzi za nim wszędzie jak cień, przebijając pulchnymi nóżkami, natomiast dla najmłodszej siostrzyczki Anny ma nadzwyczajną czułość i spędza u jej kołyski mnóstwo czasu, podziwiając maleńkie rączki.

Co dzień odbywa się jakaś atrakcja — a to przedstawienie, a to maskarada, a to polowanie. Co noc ciągnie się uroczysta wieczerza z muzyką i tańcami. Poddani powiadają, że dwór Yorków jest pełen cudów, że rodzina królewska prowadzi czarowne życie, i nie sposób temu zaprzeczyć.

Tylko jedno rzuca cień na radosne świąteczne dni: Jerzy, księżę Gbur.

— Moim zdaniem twój brat dziwaczeje z dnia na dzień — skarżę się mężowi, gdy przychodzi do mych komnat, by powieść mnie na ucztę.

— O którym z nich mówisz? — pyta rozkojarzony. — Bo jak wiesz, moje panowanie nie podoba się żadnemu. Można by pomyśleć, iż powinni się cieszyć, że na tronie zasiada York, w chrześcijańskim świecie zapanował wreszcie trwały pokój, a my wyprawiamy najwspanialsze obchody Bożego Narodzenia w historii. Ale nie... Ryszard ostentacyjnie opuszcza dwór i udaje się na północ, okazując niezadowolenie z tego, że nie kontynuujemy wojny z Francją, a Jerzy po prostu się dąsa bez przerwy i bez powodu.

— Właśnie te jego dąsy martwią mnie najbardziej.

— Czemu? Czyżby cię w jakiś sposób uraził?

— Oznajmił podstolemu, że nie będzie jadł niczego, co zostanie mu przysłane od naszego stołu — mówię. — Zarządził, by przynoszono mu posiłek do jego komnat, po tym jak wszyscy zakończymy ucztę. Gdybyśmy z uprzejmości kazali zanieść mu jakieś wyjątkowe danie, odmówi jego spożycia. Grozi, że odeśle je w ramach otwartej

zniewagi. A podczas oficjalnej wieszery będzie siedział nad pustym talerzem i przy pustym kielichu. Doprawdy, Edwardzie... Musisz coś z tym począć.

— Gdy Jerzy odmawia napitku, to coś więcej niż zniewaga. To cud! — śmieje się król. — Mój brat nie byłby zdolny odmówić sobie wina, nawet gdyby zostało zaoferowane przez samego szatana!

— Nie ma się z czego śmiać — rzekę kwaśno — kiedy księżę Clarence znieważa nas przy naszym stole.

— Tak, wiem... Już z nim o tym mówiłem—poważnie Edward. Odwraca się do orszaku lordów i dam za nami i prosi: — Dajcie nam chwilkę — po czym ciągnie mnie ku wnęce okiennej, gdzie możemy kontynuować rozmowę bez ryzyka, że zostaniemy podsłuchani. — W istocie jest gorzej, niż przypuszczasz. Jerzy rozsiewa 0 nas podłe plotki.

— Plotki? Jakie?

Uraza Jerzego do starszego brata nie umarła wraz z nieudanym powstaniem i łaską królewską. Żywiłam nadzieję, że stanie się najpotężniejszym księciem Anglii i takimże sojusznikiem mego męża; że zadowoli go bladolica Izabela i jej niesłychany majątek; że przeboleje utratę kontroli nad drugą z Neville'ówien, która wbrew niemu poślubiła Ryszarda. Nadaremno. Jak każdy skąpiec o wybujałych ambicjach skrzętniej liczy straty niż zyski. Zazdrości Ryszardowi filigranowej Anny i fortuny, którą wniosła mężowi w posagu. Ma żal do Edwarda o to, że dał zgodę na ten ślub. Chytrym okiem śledzi każdy ruch mego męża, który szerokim gestem obdarowuje moich najbliższych i powinowatych. Chyba prowadzi rejestr nadanych ziem i tytułów, które przeszły mu koło nosa. Można by pomyśleć, że jego zdaniem Anglia jest małym poletkiem, na którym utrata jednej miedzy to już katastrofa.

— Cóż on może nam zarzucić? — ponawiam pytanie. — Po tym jak okazałeś mi swą wspaniałomyślność i szczodrobliwność...

— Znowu twierdzi, że nasza matka zdradziła ojca i że zostałem poczęty z nieprawego łoża — szepcze mi na ucho.

— Wstydziłby się wyciągać tę starą historię!

— Ponadto utrzymuje, że zawarł z Warwickiem i Andegawenka pakt, na którego mocy po śmierci Henryka Szóstego to on powinien

zostać królem. Czyli że to on, nie ja, jest prawowitym pretendentem wyznaczonym na następcę.

— Ale przecież sam zamordował Henryka! — wykrzykuje.

— Sza! — ucisza mnie Edward. — O tym ani słowa!

Potrząsam głową ze wzburzenia, wywołując gwałtowny ruch welonu przytwierdzonego do kornetu.

— Zgoda, nie powinniśmy mówić o tym nawet między sobą, nawet półgębkiem. Swego czasu oświadczyłeś, że serce starego króla przestało bić we śnie, i wszystkim ta wersja bardzo odpowiadała. Mimo wszystko nie przystoi, aby Jerzy teraz się zarzekał, że jest jego prawowitym spadkobiercą, skoro sam przyłożył rękę do jego śmierci!

— To nie wszystko — dodaje ostrzegawczo mój mąż.

— Czyżby zarzukał też coś mnie? — pytam, domyślając się już. Edward potakuje lekkim skinieniem.

— Powiada, że... — urywa nagle i rozgląda się wokół, sprawdzając, czy na pewno nie ma nikogo w zasięgu słuchu. — Powiada, że jesteś cz... — nie jest w stanie wymówić słowa do końca.

Wzruszam ramionami i kończę za niego.

— Czarownicą?

Kiwa głową.

— Cóż, nie on pierwszy i zapewne nie ostatni. Dopóki jesteś królem Anglii, dopóty nie jest w stanie mi zaszkodzić.

— Nie podoba mi się, że rozpowiada o tobie takie rzeczy. Nie tylko ze względu na twoją reputację, ale również na bezpieczeństwo. Podobne oskarżenie rzucone na niewiastę to poważne zagrożenie dla niej i nie ma znaczenia, kto jest jej mężem. A w wypadku naszego małżeństwa od początku była mowa o oczarowaniu. To prowadzi wprost do podważenia prawomocności związku między tobą i mną...

Parskam jak rozzłoszczona kotka. Nie dbam o swoją reputację; pani matka dawno mi wpoiła, że każda wyróżniająca się niewiasta, a zwłaszcza taka, za którą stoi siła, jest narażona na szkalowanie. Wszelako ci, którzy podważają prawomocność mojego małżeństwa, chcą uczynić z moich synów bękartów, co wiedzie prosto do wydziedziczenia i odsunięcia od sukcesji po Edwardzie.

— Zatem musisz go uciszyć.

— Rozmawiałem z nim i napomniałem go, ale coś mi się wydaje, że mimo to dalej będzie wszczynął niepokoje. Ma zwolenników, coraz więcej zwolenników każdego dnia, i chyba nawet kontaktuje się z królem Francji.

— Zawarliśmy pokój z Ludwikiem Francuskim — przypominam.

— Jak widać, nie przeszkadza mu to knować przeciwko mnie. Podejrzewam, że będzie mi zagrażał do końca swego życia. Jerzy jest wielkim głupcem, że go słucha, bierze odeń pieniądze i dostarcza mi kłopotów.

Wychylam się z wnęki — dworzanie zaczynają się niecierpliwić.

— Musimy rozpocząć ucztę — mówię. — Co zamierzasz począć z tym fantem?

— Porozmawiam z nim ponownie. Tymczasem powstrzymaj się przed posyłaniem mu dań ze swego stołu. Nie chciałbym, aby zyskał okazję do zrobienia przedstawienia.

— Zawsze posyłam dania faworytom. Jerzy nie jest moim faworytem i nigdy nie był.

Król śmieje się cicho i całuje mnie w dłoń.

— Dobrze by było, gdyby nie zmienił się w ropuchę, moja ty czarodziejko — szepcze.

— To akurat mu nie grozi. Od dawna ma ropusze serce.

Edward nie dzieli się ze mną informacją na temat tego, jak przebiegła jego rozmowa z Jerzym, tym najtrudniejszym z braci, i nie po raz pierwszy żałuję, że nie ma przy mnie pani matki. Potrzebna mi jej rada. Po kilku tygodniach dąsów i regularnego spożywania posiłków w swoich prywatnych komnatach, stapania po pałacu, jakby za każdym rogiem czaiło się niebezpieczeństwo, i unikaniu mnie niczym ognia, zupełnie jakby samo moje spojrzenie mogło zamienić go w kamień, Jerzy oznajmia, iż jego żona Izabela, chodząca już ze sporym brzuchem i coraz bliższa rozwiązaniu, źle się poczuła w atmosferze Londynu, tak więc musi ją czym prędzej stąd zabrać.

— Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło — rzecze sentencjonalnie Antoni, gdy rankiem wracamy z mszy. Moje dworki

kroczą za nami, jeśli nie liczyć pobożnej lady Stanley, w dalszym ciągu klęczącej w kaplicy, niech jej Bóg błogosławi. Zachowuje się tak, jakby zgrzeszyła przeciwko Duchowi Świętemu, lecz ja wiem, że jest bez zmyzy. Nawet nie dzieli łoża ze swym małżonkiem, całkiem jakby nie trapiły jej ludzkie żądze. Albo, co bardziej prawdopodobne, jej zakute w celibat serce jest w stanie poruszyć tylko ambicja. Przystaję myśleć o tej ostatniej damie domu Lancasterów i nadstawiam ucha na to, co ma do powiedzenia mój brat. — Wszyscy są ciekawi, co takiego uczynił Edward, że wzbudził w nim gniew. Niczyjej uwagi nie uszło jego obelżywe zachowanie wobec was obojga. Po dworze krążą rozsiane przez niego plotki. Ludzie się zastanawiają, czy księżę Walii na pewno przypomina ojca i skąd można mieć pewność, że to jego syn, skoroś wydała go na świat w sanktuarium bez wymaganych ceremoniałem świadków. Zwróciłem się do króla z prośbą, aby pozwolił mi wyzwać Jerzego na pojedynkę. Chciałem bronić twego dobrego imienia. Nie wolno mu mówić o tobie w taki sposób...

— Co na to król?

— Odparł, iż lepiej puścić zniewagi mimo uszu, niż rozdmuchać je swoim zainteresowaniem i poważnym traktowaniem. Jestem innego zdania. Jerzy stanowi zagrożenie dla naszej rodziny, szarga twoje dobre imię i rzuca oskarżenia na panią matkę...

— To nic w porównaniu z tym, co czyni własnej krwi — wtrącam. — Naszą matkę zwie czarownicą, ale swoją nazywa sprzedajną dziewczką. Ma niewyparzoną gębę. Aż dziw, że księżna Cecylia nie przywołuje go do porządku.

— Sądzę, że próbowała, lecz ani to, ani reprimenda jego wysokości nie odniosły zamierzonego skutku. Jerzego przepełnia nienawiść do całego świata.

— Nie ma tego złego... — powtarzam w zamyśleniu. — Teraz, kiedy zniknął z dworu, przynajmniej nie będzie więcej szeptał po kątach i odmawiał jedzenia i tańczenia z nami.

— Pod warunkiem — zauważa trzeźwo Antoni — że powstrzyma się od spiskowania przeciwko nam. Znalazłszy się z dala od Londynu pod własnym dachem i w otoczeniu swoich wasali, będzie mógł wzywać do siebie każdego, kogo zechce, a Edward nie dowie

się o niczym, aż będzie za późno, Jerzy stanie w polu i znów przyjdzie tłumić rebelię.

— Och, o to bym się nie bała — odrzekę z właściwą mi przenikliwością. — Edward nie spuści go z oka. Ma tuzin ludzi, którzy szpiegują dlań Clarence'a. Nawet ja przekupiłam sługę w jego siedzibie. Będziemy wiedzieć, co planuje, nim uda mu się wprowadzić plan w życie.

— Kim jest ten sługa?

Uśmiecham się pod nosem.

— To ona, nie on. Nie trzeba być mężczyzną, aby patrzeć, rozumieć i przesyłać raporty. Pewna niewiasta mówi mi o wszystkim, co się dzieje pod dachem Jerzego.

Owa służąca, Ankarette, posyła mi wiadomości co niedziela i stąd wiem, że Jerzy zaiste wymienia korespondencję z królem Francji Ludwikiem, naszym wrogiem. Jeszcze przed Nowym Rokiem dowiaduję się o złym stanie zdrowia Izabeli, która rodzi swemu mężowi czwarte dziecko, lecz sama nie odzyskuje już sił i nim zakończy się jej odosobnienie w komnacie niewieściej, odwraca się od spraw tego świata i poddawszy się, oddaje ducha Stwórcy.

Modłę się za zmarłą Izabelę ze szczerym żalem. Mało dobrego spotkało ją w życiu. Jej ojciec, hrabia Warwick, przepadał za nią i myślał, że zrobi z niej wielką księżnę, a potem nawet królową. Jednakże jej mąż okazał się nie przystojnym królem z dynastii Yorków, tylko wiecznie niezadowolonym młodszym bratem, który zmienił barwy nie raz, a dwa. Po tym jak urodziła martwe dziecko w trakcie diabelskiego szkwału u wybrzeży Calais, wydała na świat jeszcze dwójkę: córkę i syna. Teraz oboje będą musieli radzić sobie bez matki. Margaret to zmyślna dziewczuszka, wszelako Edward zdaje się powolny, może nawet upośledzony. Niech Bóg ich ma w swojej opiece, odkąd ich jedynym opiekunem został Jerzy. Gdy tylko na dwór docierają oficjalne wieści, posyłam mu list z kondolencjami i odziewam się w żałobną czerń, by oddać hołd zmarłej hrabiance i księżnej.

STYCZEŃ 1477 ROKU



Podczas gdy w Londynie panuje żałoba po Izabeli Neville księżnej Clarence, jej mąż, ledwie ją pochowawszy i zdmuchnąwszy gromnice, przybywa w pośpiechu na dwór, pełen planów o nowym ożenku. Tym razem mierzy jeszcze wyżej. Karol Burgundzki, mąż zónek naszej Małgorzatki, poległ w bitwie, pozostawiając najbogatsze księstwo chrześcijaństwa swej córce z poprzedniego małżeństwa, księżniczce Marii.

Małgorzatka, yorkistka na wskroś, nieszczęśliwie ślepa na niedostatki niektórych swoich krewnych, sugeruje, aby Jerzy, fortunnie znów wolnego stanu, poślubił jej pasierbicę, czym dba o dobro raczej swego brata niż podopiecznej — przynajmniej w moim mniemaniu. Jerzego natychmiast rozpala ambicja. Oświadcza Edwardowi, że ożeni się albo z Marią, albo z którąś ze szkockich księżniczek.

— Niedoczekanie! — wybucha Edward. — Jest dość wiarołomny, gdy siedzi na swoim księstwie, które mnie zawdzięcza! Gdyby stał się udzielnym księciem, dysponującym własną fortuną, nikt z nas nie mógłby czuć się bezpieczny. Pomyśl tylko, jakich kłopotów by nam narobił w Szkocji! Pomyśl, jak by traktował Małgorzatkę! Ledwie owdowiała, a biedna Maria ledwie straciła ojca. Prędeż poślę do nich krwiożerczego wilka anizeli swego brata!

WIOSNA 1477 ROKU



Jerzy ciężko przeżywa odmowę brata w kwestii swego drugiego ożenku, wycofawszy się znów z dworu, po czym znieścacka dochodzą nas wieści tak niesłychane, że traktujemy je z początku jak przesadzoną plotkę, nie dając im wiary. Otóż ksiązę Clarence ponoć twierdzi, że jego żona nie zmarła wskutek gorączki popołogowej, tylko w wyniku otrucia, i trzyma winowajcę w lochu!

— Jakże to? — wołam wzburzona. — Czy on oszalał? Któż ważyłby się skrzywdzić Izabelę? Kogo podejrzewa? Na jakiej podstawie?

— To coś znacznie gorszego niż podejrzewania — oświadcza głucho Edward, z niedowierzaniem wpatrując się w trzymany w ręku list. — Mój brat chyba postradał zmysły. Postawił tę służącą przed trybunałem, któremu nakazał uznać ją za winną morderstwa, i już wykonano wyrok na nieszczęsnej niewieście. Zginęła, mając przeciwko sobie tylko słowo Jerzego, jakby na tej ziemi nie obowiązywało prawo! Jakby ksiązę Clarence stał ponad prawem, ponad królem nawet! Jerzy zachowuje się tak, jakbym zezwolił na podobną tyranję.

— Jak się nazywa... jak się nazywała — poprawiam się zaraz — ta nieszczęsna służąca?

— Ankarette Twynho — odpowiada mój mąż, odczytując nazwisko z wniesionej skargi. — Sędzia pisze mi, że Jerzy im groził i wymusił na nim wydanie wyroku skazującego, mimo iż nie było żadnych dowodów świadczących o winie podsądnej, jeśli nie liczyć

oskarżeń mego brata. Nikt nie śmiał mu się sprzeciwić i tak niewinna osoba trafiła na szafot. Księżę Clarence zarzucił jej trucicielstwo i paranie się magią, a także pozostawanie na usługach przepotęźnej czarownicy... — Podnosi wzrok i patrzy wprost w moją pobielełą twarz. — Przepotęźna czarownica? Czy coś ci o tym wiadomo, Elżbieto?

— Ta dziewczyna była moim szpiegiem pod dachem Jerzego — odpowiadam prędko. — Nikim więcej. Nie miałam powodu odbierać Izabeli życia. Co by mi z tego przyszło? A oskarżenia o czarostwo to czysty nonsens. Czemu niby miałabym rzucać na szwagierkę uroki? Nie przepadałam za nią ani za jej siostrą, lecz nigdy żadnej źle nie życzyłam.

Król kiwa głową.

— Wiem. To oczywiste, że nie ty stoisz za śmiercią Izabeli Neville. Powstaje jednak pytanie, czy mój brat wiedział, że opłacasz jego służącą i dostajesz od niej wiadomości.

— Nie można tego wykluczyć. Na jakiej innej podstawie by ją oskarżył? Cóż innego mogła uczynić, by go tak srodze rozgniewać? Czyżby Jerzy dawał mi w ten sposób ostrzeżenie? Czyżby nam groził?

Edward ciska list na stół.

— Bóg jeden wie! Ale co Jerzy chciał przez to osiągnąć? Śmierć niewinnej służącej tylko wzbudzi plotki i spowoduje kłopoty. Będę musiał przedsięwziąć jakieś kroki, Elżbieto. To nie może mu ująć płazem.

— Co zamierzasz?

— Clarence'a otacza grupka zaufanych doradców: niebezpiecznych, niezadowolonych mężczyzn. Jeden z nich to praktykujący wróż, jeśli nie co gorszego. Aresztuję ich. Postawię przed sądem. Uczynię im to, co on uczynił twojej służącej. Niech to będzie dlań przestroga. Jerzy nie może występować przeciwko nam i naszym ludziom, nie licząc się z konsekwencjami. Oby to zrozumiał.

— Nie są groźni? Ci mężczyźni? — dopytuję nieprzekonana.

— Zagrażają tylko temu, kto jak mój brat uważa, iż posiadli tajemne moce i są w stanie rzucać uroki.

Uśmiecham się, chcąc ukryć nagły strach. Ponieważ wierzę, że ci ludzie są w stanie rzucić na nas urok, że w istocie już to zrobili...

Moje obawy nie są bezpodstawne. Edward wtrąca do lochu znanego z parania się czarnoksięstwem Thomasa Burdetta oraz dwóch innych „doradców” księcia Clarence, którzy stojąc przed sądem, wypływają z siebie mieszaninę opowieści o czarnej magii, gróźb i zaklęć.

Pewnego popołudnia Antoni znajduje mnie nad Tamizą, gdy stoję, opierając ciężący do ziemi brzuch o wysoki murek, i spoglądam w nurt rzeki. Za mną, w pałacowych ogrodach dzieci kijem i piłką bawią się w ludową grę *creag*. Po donośnych okrzykach oburzenia i piskach młodszego rodzeństwa wnoszę, że mały Edward przegrywa i ucieka się do swej pozycji jako księcia Walii, aby wyrównać stawkę.

— Co robisz? — pyta mnie mój brat.

— Życzę sobie, aby ta rzeka była fosą zdolną oddzielić mnie i moją rodzinę od wrogiego świata na zewnątrz.

— I co? Meluzyna odpowiada na twoje wezwanie i wynurza się z wód Tamizy, gdy prosisz ją o pomoc? — Zdaje się sceptyczny.

— Gdyby tak było, poprosiłabym ją, żeby Jerzy zawisnął obok swego czarownika, i to natychmiast, zanim popłyną dalsze oszczercze słowa.

— Chyba nie wierzysz w to, że człowiek jest w stanie cię skrzywdzić, w duchu źle ci życząc? Z tego Burdetta jest żaden czarnoksiężnik. Na świecie nie ma magii, Elżbieto. To bajka opowiadana dzieciom, aby wziąć je w ryzy. — Ogląda się na książątka, które właśnie się odwołały do najstarszej siostry, by oceniła, czy odbicie ich brata było udane.

— Nieważne, w co ja wierzę. Liczy się to, że Jerzy ufa temu człowiekowi. Wynagrodził go sownie za przepowiedzenie śmierci króla, a potem sypanął jeszcze złotem, by napomknął o tym we właściwej chwili, niby mimochodem. Clarence wziął go do siebie na służbę i teraz tylko czeka naszej zguby. Czary Burdetta kołują w powietrzu, wsiąkają w ziemię, unoszą się na wodzie...

— Bzdura! Z niego jest taki czarownik jak z ciebie czarownica.

— Nie twierdzę, że jestem czarownicą — mówię cicho — lecz nie na darmo w moich żyłach płynie krew Meluzyny. Wiesz, co mam

na myśli. Posiadam dar, tak samo jak nasza matka. Jak moja córka Elżbietka. Świat śpiewa swą pieśń, a ja ją słyszę. Doznaję widzeń, moje życzenia się spełniają. Śnią mi się wieszczę sny. Umiem rozpoznać znaki i omeny. Zdarza się, że wiem, co się wydarzy. Mam zdolność przepowiadania przyszłości.

— Równie dobrze może to być zdolność zesłana przez Najwyższego — rzecze pewnie Antoni. — A oblekające się w ciało życzenia mogą być skutkiem modlitwy. Ubrdałaś sobie, że posiadałaś dar Meluzyny. Ot, niewieście bajdurzenia...

Uśmiecham się lekko.

— Oczywiście, że mój dar pochodzi od Boga, jak wszystko. W to nie wątpię. Tyle że Pan Bóg przemawia do mnie przez rzekę.

— Heretyczka z ciebie i poganka — gani mnie po bratersku Antoni. — Historia o Meluzynie to duby smalone, a za Panem Bogiem i Jezusem Chrystusem stoi Kościół, którego jesteś wierną córą. Ufundowałaś świątynie, kaplice i szkółki parafialne w imieniu Ojca i Syna. Tymczasem twoje zamiłowanie do rzek i strumieni to zabobon wyspany z mlekiem matki, odległe echo dawnych wierzeń. Nie wolno ci mieszać jednego z drugim i kuć z obu nowej religii na własne potrzeby, a tym bardziej samej się straszyć powołanymi przez się bluźnierstwami.

— Masz rację, Antoni — mówię ze spuszczonej oczyma. — Jesteś uczony, musisz mieć rację.

— Przestań! — woła ze śmiechem. — Nawet nie próbuj zaczynać! Nie wdam się z tobą w debatę. Wiem, że stworzyłaś na swój użytek własną teologię, czerpiąc pełnymi garściami z Biblii i baśni, a luki wypełniając mierzwą bez żadnego znaczenia. Tylko wyświadc mi przysługę i dla dobra nas wszystkich zachowaj ją dla siebie! Uczyni z niej swoją wielką tajemnicę. I nie szukaj wrogów tam, gdzie ich nie ma.

— Ale moje sny naprawdę się sprawdzają.

— Skoro tak mówisz...

— Bracie, całe moje życie jest dowodem, że magia istnieje, że potrafię zobaczyć przyszłość.

— Podaj choć jeden przykład.

— Czyż nie poślubiłam króla Anglii?

— Czyż na własne oczy nie widziałem, jak stoisz na trakcie niczym bezwstydnica, którą w istocie jesteś?

Mój głośny okrzyk protestu zagłusza śmiech Antoniego.

— Nie tak było! Wcale nie tak! Zresztą jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, pierścień otrzymałam od Meluzyny.

Antoni ujmuje mnie za obie dłonie i składa na nich kolejno pocałunek.

— To wszystko mara — rzecze łagodnie. — Nie ma innej Meluzyny poza tą, która występowała w na poły zapomnianej opowieści snutej wieczorami przez panią matkę układającą nas do snu. Nie ma czarów poza tymi, które prowokowała ku twojej ucieście. Nie ma mocy płynącej skądinąd niż od Pana Boga. Nie jesteś wieszczką. Wszyscy jesteśmy tylko śmiertelnikami i grzesznikami starającymi się zadowolić Stwórcę. Thomas Burdett także. Jedyne czym dysponuje, to pokłady złej woli i kunszt namolnego kramiarza.

— Jak się skończyła opowieść o Meluzynie? — pyta mnie tego samego wieczora mój syn Edward po zmówionym paciorku. Dzieli komnatę sypialną z trzypółletnim młodszym bratem, który wpatruje się we mnie z równą nadzieją jak on, pragnąc przeciągnąć chwilę zgaszenia świec i udania się na nocny spoczynek.

— Dlaczego chcesz wiedzieć? — Podchodzę do kominka i przysiadam na krześle, układając obie stopy na podnóżku. Niemal bez przerwy czuję wierzące się w mym łonie dziecko. Choć do rozwiązania mam już bliżej niż dalej, wydaje mi się, że od połogu dzieli mnie cała wieczność.

— Słyszałem, jak rozmawialiście o niej z wujem Antonim — odpowiada rezolutnie. — Jestem ciekaw, co się z nią stało, po tym jak wyszła z wody i poślubiła tego rycerza.

— Ta opowieść ma smutne zakończenie... — mówię. Gestem daję im znak, że pora wskakiwać do łóżeczek, a oni słuchają mnie bez protestów i zaraz spod przykrycia wystają tylko dwie pary wielkich lśniących oczu. — Właściwie nikt nie wie, jak było naprawdę. Jedni powiadają, że pod dachem Meluzyny i jej męża gościł zdrożony wędrowiec, który zadał sobie trud szpiegowania jej i przekonał się, że gospodyni podczas kąpieli zamienia się w rybę. Drudzy

twierdzą, że to rycerz nie dotrzymał słowa i podglądał ją w kąpieli, której powinna była zażywać sama, i zrozumiał, że nigdy nie stała się w pełni niewiastą.

— Ale dlaczego mu to przeszkadzało? — dopytuje Edward.

— Przecież od samego początku wiedział, że Meluzyna nie jest zwykłą niewiastą!

— Bo widzisz, ten rycerz się łudził, że uda mu się ją zmienić w zwykłą niewiastę, taką, jakiej pragnął. Bywa bowiem tak, że mąż kocha żonę, lecz mimo to chciałby, aby była trochę inna. Być może tak właśnie było w wypadku rycerza i Meluzyny.

— A czy w tej opowieści jest mowa o jakichś pojedynkach? — pyta niewyraźnie Ryszard, kiedy głowa opada mu na poduszkę.

— Nie — odpowiadam bez zastanowienia. Podchodzę do Edwarda i całuję go w czoło, po czym prostuję się z bólem krzyża i odwróciwszy się, składam pocałunek na przymkniętych powiekach mojego drugiego syna. Obaj pachną jak niemowlęta tym charakterystycznym, trudno uchwytnym zapachem rozgrzanej skóry i mokrych włosków. Są czyściutcy i wciąż zaróżowieni od zabawy na świeżym powietrzu.

— Co się stało, kiedy rycerz się dowiedział, że jego żona nadal jest w połowie rybą? — woła za mną Edward, gdy kieruję się do drzwi.

— Wtedy Meluzyna zabrała swoje dzieci i opuściła rycerza. Nigdy się już nie spotkali.

Zdmuchuję świece na gzymsie kominka. Płonące szczapy drewna dają dość światła i ciepła. W komnacie jest przytulnie i bezpiecznie.

— To naprawdę smutne zakończenie — stwierdza księżę Walii z żalem. — Szkoda, że rycerz nie mógł więcej zobaczyć żony i dzieci.

— Być może jest inne zakończenie, którego nikt nie zna. Być może Meluzyna mu wybaczyła i wróciła do domu. Być może on zamienił się w rybę z miłości do niej i popłynął za nią. To tylko opowieść, synu...

— Tak, pani matko. — Jakże łatwo pocieszyć mojego syna, któremu niczego nie brakuje. — Dobranoc, pani matko.

— Dobranoc. Niech Bóg nad wami czuwa.

OQedy ją dojrzał, jak się pluska z głową zanurzoną pod powierzchnią wody, zażywając kffpiełi w odosobnionym miejscu, które jej zapewnił — nie po to jednak by przedzierzgata się w rybę — ogarnęło wstręt, jaki mężczyźni często czują, gdy zaczynają rozumieć, iż niewiasta rzeczywiście jest odmienną istotą. Choć słaba jak chłopię, nie jest chłopięciem. Choć uczuciowa niczym głupiec, nie jest także głupcem. Choć potrafi długo chować urazę, nie sposób o niej powiedzieć: nikczemna. Ani też: święta, choć przejawia czasem wspaniałomyślność. 9jje opisuje jej żadna z cech przynależnych męskiemu rodowi. Tb po prostu niewiasta, byt sam w sobie. Dlatego rycerz największe przerażenie poczuł nie na widok rybich łusek lecz na widok jestestwa, które było na wskroś niewiastą.

Wrogie zamiary Jerzego względem króla wychodzą na jaw w trakcie procesu Burdetta i współkonspiratorów. W mozolnym procesie dochodzenia prawdy i szukania dowodów winy odsłonięciu ulega mroczny splot obietnic i gróźb, na światło dzienne wychodzą przepisy na trucizny, nasączone zdradliwymi substancjami peleryny, aksamitne mieszki z tłuczonym drobno szkłem, potworne kłatwy. W papierzyskach Burdetta sędziowie natrafiają nie tylko na horoskop z dokładną datą śmierci króla, lecz także na zaklęcia mające do niej doprowadzić. Kiedy Edward mi to wszystko pokazuje, zaczynam drżeć jak osika. Dygoczę niby w gorączce, nie umiejąc przestać. Nawet jeśli zaklęcia Burdetta są bezużyteczne, ze starożytnych rycin na pociemniałym papierze emanuje złowieszcza moc.

— Wywołują u mnie ciarki — skarżę się. — Bije od nich wilgoć i chłód. I zło...

— To na pewno zły omen dla Burdetta i jego kompanów — zgadza się ze mną Edward z marszem na czole. — W najgorszych koszmarach nie wyobrażałem sobie, by Jerzy posunął się aż tak daleko. Byłem gotów przychylić mu nieba, byle pozostał ze mną w pokojowych stosunkach albo przynajmniej chował swą nienawiść pod korcem. Ale on oczywiście musiał znaleźć sobie takich pomagierów jak ci trzej i teraz każdy już wie, że własny brat spiskował przeciwko mnie. Co z tego, że Burdett zadynda na szubienicy, uznany za winnego przedstawianych mu zarzutów? I tak wszyscy się

dowiedzą, że działał na zlecenie księcia Clarence. Choć Jerzy jest również winny zdrady, nie mogę mu przecież wytoczyć procesu!

— Dlaczego? — pytam ostro. Siedzę na niskim, wyłożonym poduszkami krześle ustawionym nieopodal kominka w swojej komnacie sypialnej, mając na sobie tylko nocne gieszło i podbijaną futrem pelerynę zarzuconą na ramiona. Edward i ja sypiamy osobno od dnia, w którym powiedziała mu, że spodziewam się następnego dziecka, lecz tego wieczora nie spieszo mu do jego uciech. Tylko ze mną może się podzielić trapiącymi go zmartwieniami. Oślizłe czarnoksiężskie zaklęcia nie uczyniły krzywdy ciału mego męża, lecz spowodowały zamęt w jego duszy. — Dlaczego nie miałbyś wytoczyć Jerzemu procesu i skrócić go o głowę jak podłego zdrajcę? Przecież sobie na to zasłużył.

— Kocham go — odpowiada Edward z prostotą. — Kocham go tak samo jak ty swego brata Antoniego. Nie mogę kazać go ściąć. Clarence to mój młodszy brat. Walczył u mego boku na polu niejednej bitwy. W jego żyłach płynie moja krew. Jest ulubieńcem matki. To nasz Jerzyk...

— Walczył też przeciwko tobie, i to nie raz — przypominam bez litości. — Zdradził ciebie i swoją krew więcej niż raz. Byłby świadkiem twojej śmierci, gdyby razem z Warwikiem zdołali cię złapać, gdybyś nie okazał się od nich sprytniejszy i szybszy. Mnie nazywa czarownicą, wydał rozkaz pojmania mojej matki i przyglądał się beczynnemu, jak ginęli mój ojciec i brat. Nie dba ani o więzi rodzinne, ani o prawo, lecz wyłącznie o swój interes. Dlaczego więc jeszcze się wahasz?

Edward, usadowiony na drugim, wyższym krześle po przeciwnej stronie kominka, nachyla się ku mnie. W pełgającym świetle ognia wygląda staro. Po raz pierwszy dostrzegam w nim brzemię lat i królowania.

— Wiem... Wiem, że powinienem być dla niego surowszy. Nie umiem się jednak na to zdobyć. To beniaminek matki, nasz złotowłosy skarb. Wprost nie mogę uwierzyć, że jest tak...

— Nienawistny — podpowiadam. — Wasz skarb to wredny nienawistnik. Wasz beniaminek wyrósł na okrutnika. W czym nie ma niczego dziwnego, bo od dziecka mu folgowano, pozwalając

się troszczyć tylko o siebie. Prędzej czy później będziesz musiał położyć temu kres, Edwardzie. Zapamiętaj moje słowa. Jeśli okażesz mu teraz łaskę, on znowu cię zdradzi.

— Być może — wzdycha król. — A być może nareszcie wyniesie lekcję.

— Jerzy nigdy niczego się nie nauczy! — wykrzykuję z desperacją. — Uwolnisz się od jego knowań z chwilą jego śmierci, nie wcześniej. Musisz to zrobić, najmilszy. Pozostaje ci tylko wybrać miejsce i czas.

Edward wstaje, przeciąga z trzaskiem zastałe kości i podchodzi do łoża.

— Pozwól się otulić przed snem, nim udam się do swoich komnat. Nie mogę się doczekać narodzin dziecka i tego, byśmy znowu spali razem.

— Daj mi jedną chwilkę... — proszę.

Pochylam się ku płomieniom i wpatruję w języki ognia. Jestem potomkinią boginki wody, wróżenie z innego żywiołu zawsze przychodziło mi z trudem. Przenoszę wzrok na popiół i pośród szaroczerwonych płatków wypatruję nadąsaną twarz Jerzego i coś za nim, jakby strzelisty budynek... nie, wieżę. Tower ukrytą w mroku. Widok twierdzy zawsze wywołuje we mnie dreszcze, mam ją za zwiastuna nieszczęścia i śmierci. Wzruszam ramionami. Być może to nic nie znaczy...

Podnoszę się ociężale, kładę do łoża i pozwalam, by mąż opatulił mnie przykryciem. Kiedy ujmuję mnie za dłoń i całuje na dobranoc, dziwi się:

— Jesteś przemarznięta do szpiku. Sądziłem, że kominek daje dość ciepła.

— Nie cierpię tego miejsca — mamroczę.

— O czym ty mówisz? Jakiego miejsca? — pyta skonfundowany Edward.

— Londyńskiej twierdzy — odpowiadam. — Nie cierpię Tower.

Zausznik Jerzego, ten zdrajczyk Burdett, nawet pod szubienicą chce zapewniać o swej niewinności, lecz i tak zostaje powieszony przy donośnych gwizdach gapiów nad londyńskim strumieniem

Tyburn, skąd Clarence, nie wyniósłszy lekcji, tak jak przewidziałam, galopem opuszcza Londyn i znalazłszy się na zamku windsorskim, przerywa posiedzenie rady królewskiej, by rzucić argumenty skazańca prosto w twarz Edwardowi.

— Nie! — sapię z oburzenia na ten skandal.

— Tak! Tak! — potwierdza raz po raz Antoni, tłumiąc śmiech przez wzgląd na dworki siedzące w komnacie gościnnej, podczas gdy my dwoje rozmawiamy sam na sam w mojej komnacie prywatnej, gdzie spijam wieści z jego ust. — Wystaw sobie swojego męża z wściekłości sięgającego niemal sklepienia. Wystaw sobie panów radę o pobiełałych z szoku twarzach. Żałuj, że nie widziałeś miny sir Thomasa Stanleya, który rozwarł usta jak ryba wyciągnięta z wody! Nasz brat Lionel chwycił zawieszony na szyi krzyż, jakby chciał odżegnać złego. Wreszcie wystaw sobie Clarence'a, jak naciera na króla, recytując z pamięci zawczasu przygotowane przemówienie. Oczywiście, połowa królewskich doradców nie wie, co się dzieje, nie mają bowiem pojęcia, że słyszą słowa skazańca z ust Jerzego, jakby był wędrownym aktorem. A kiedy mówi: „Jam jest starym człowiekiem, wiedzącym”, wszyscy jak jeden mąż popadają w konsternację.

Piszczę ze śmiechu.

— Antoni! To nie może być prawda!

— Przysięgam, że tak było. Do czasu nikt nawet się nie domyślał, o co chodzi, z wyjątkiem Edwarda i Jerzego, rzecz jasna. A na koniec Clarence oskarżył króla o to, że jest tyranem!

Śmiech zamiera mi na wargach.

— Na oczach jego własnej rady?

Mój brat potakuje skinieniem i dodaje:

— Tyranem i mordercą!

— Nazwał króla Anglii mordercą?

— Tak. Prosto w oczy. Kogo mógł mieć na myśli? Warwicka?

— Nie — odpowiadam krótko. — Znacznie gorzej.

— Edwarda Westminstera? Młodego księcia, nadzieję Lancasterów?

Potrząsam głową.

— Westminster zginął w boju.

— Chyba nie starego króla?

— Tego nie mówi się na głos. Nigdy. Przy żadnej okazji.

— Cóż, najwyraźniej Jerzy uznał, że okazja właśnie nadeszła. Wygląda na kogoś, kto ma jeszcze wiele do powiedzenia. Wiedziałaś, że jego zdaniem Edward nie jest synem z prawego łóża? Że został poczęty z jakimś łuczniakiem... jakże mu było... Blaybourne'em? I że w takim razie prawowitym następcą tronu jest on, księżę Clarence?

Kiwam głową.

— To się musi skończyć. Edward musi zamknąć mu usta.

— Twój mąż musi to zrobić natychmiast — oznajmia z nadspodziewaną powagą Antoni. — W przeciwnym razie Jerzy doprowadzi do tego, że Edward, ty, twoi synowie... cała dynastia Yorków... przepadnie z kretesem. Jest tak, jak myślałem. Waszym emblematem nie powinna być biała róża, tylko starożytny symbol wieczności.

— Wieczności? — powtarzam z nadzieją, że zaraz padną jakieś słowa pocieszenia, coś, co by niosło otuchę w ten najciemniejszy dla mojej rodziny czas.

— Tak. Wąż pożerający własny ogon. Yorkowie niszczą się nawzajem, bracia doprowadzają się do zguby, wujowie mordują bratanków, ojcowie pozbawiają głów swoich synów. W tym rodzie ważna jest tylko krew; jeśli nie mają komu jej utoczyć, zabierają się do przelewania własnej.

Zakrywam dłońmi brzuch, chcąc ochronić rosnące we mnie dziecię przed tak ponurą przepowiednią.

— Przestań, Antoni. Nie mów takich rzeczy. Nawet ich nie myśl!

— Dlaczego nie, skoro to prawda? — pyta mnie chmurnie.

— Dynastia Yorków nie przetrwa bez względu na to, co zrobimy ty czy ja. Ich przeznaczeniem jest pozjadać się nawzajem.

Kiedy ukrywam się w komnacie niewieściej przed mającym przyjść rozwiązaniem, sprawa nadal pozostaje nierozstrzygnięta. Edward nie umie się na nic zdecydować. Nielojalny brat to nic nowego na dworze Anglii, to nic nowego w rodzinie Yorków, lecz dla mojego męża oznacza katusze.

— Odłóż to do czasu, aż wyjdę z odosobnienia — mówię mu na progu komnaty niewieściej. — Wciąż jest szansa, że Clarence zma-

drzeje i poprosi cię o wybaczenie. Gdy urodzę ci dziecko, razem postanowimy, co z nim zrobić.

— Odwagi, żono... — ściska mnie za rękę, zerkając na mroczne pomieszczenie za moimi plecami. Okiennice już zamknięto, rozpalono ogień na kominku i pozdejmowano wszystkie obrazy ze ścian, aby ani położnica, ani mające przyjść na świat dziecko nie zapatrzyli się na wizerunki. Edward nachyla się do mojego ucha. — Będę cię odwiedzał — obiecuje szeptem.

Uśmiecham się do niego. Król zawsze łamie narzuconą tradycją samotność niewiasty przed połogiem.

— Przynieś mi wina i łakoci — wymieniam dwie zakazane rzeczy.

— Dobrze, ale ty mnie pocałuj...

— Edwardzie, wstydziłbyś się!

— To chyba znaczy, że będę musiał poczekać, aż stąd wyjdiesz — wzdycha i przewraca oczyma.

Następnie odstępuję ode mnie i gromkim głosem życzy mi wszystkiego dobrego na oczach całego dworu. Kłania mi się, a ja dygam przed nim, po czym wchodzę do środka. Drzwi zamykają się przed ciekawskimi spojrzzeniami dworzan, a ja zostaję tylko z wybranymi dworkami, akuszerkami i mamkami. Nie pozostaje mi nic innego, jak czekać, aż dziecko pośpieszy się na świat.

Przechodzę długi, wyczerpujący połóg, którego owocem jest mój mały skarb, kolejny książę. Rodzi się wykapany York, z rzadkimi jasnymi włoskami i oczętami tak błękitnymi jak jaja drozda. Chłopiec jest mały i prawie nic nie waży, kiedy wkładają mi go w ramiona. Ogarnia mnie strach, który musi być widoczny na mej twarzy, gdyż akuszerka zapewnia mnie szybko:

— Urośnie, miłościwa pani. Takie okruszynki szybko nabierają ciała.

Uśmiecham się do mojego syna i dotykam opuszką palca jego malusiej rączki, a on zwraca ku mnie główkę i mlaszcze usteczkami.

Postanawiam karmić go własną piersią przez pierwsze dziesięć dni, po czym przekazuję niemowlę rozłożystej zdrowej mamce. Widząc, z jaką pewnością siebie przykładła małego księcia do piersi, mam pewność, że będzie o niego dbała jak o rodzone dziecko.

Podczas ceremonii chrztu nadajemy mu imię Jerzy na cześć jego wiarołomnego wuja. Kiedy po paru tygodniach wychodzę z komnaty niewieściej na jasne światło lata, przekonuję się, że pod moją nieobecność ta nowa dziwka Edwarda, Jane Shore czy jak jej tam, rozpanoszyła się na moim dworze. Król zarzucił hulaszczę wyprawy do Londynu i sprawił jej pałacyk nieopodal naszej siedziby, by móc regularnie jadać z nią i sypiać. Przebywanie w jej towarzystwie sprawia mu wyraźną przyjemność, co wkrótce staje się jasne dla każdego.

— Odprawisz ją jeszcze tego wieczora — mówię mojemu mężowi, kiedy składa mi ceremonialną wizytę w apartamentach królowej odziany w olśniewającą szatę ze szkarłatu przesytego złotą nicią.

— Kogo takiego? — pyta niewinnie, sięgając po kielich wina postawiony na gzymsie kominka. Macha wolną dłonią, odprawiając sługi, które omal nóg sobie nie połamia, uciekając z komnaty. W powietrzu wisi kłótnia.

— Tę całą Shore — odpowiadam spokojnie. — Naprawdę sądziłeś, że nie znajdzie się życzliwy, który by mnie przywitał plotką, gdy tylko wystawię nos za drzwi komnaty niewieściej? Mnie dziwi tylko to, że udało im się utrzymać język za zębami aż tak długo. Właśnie opuszczałam kaplicę, gdym zobaczyła tumult dworek rwących się do podzielenia nowinami. Najbardziej współczująca była oczywiście Małgorzata Beaufort.

Edward śmieje się w kułak.

— Wybacz. Do głowy mi nie przyszło, że to co porabiam, kogoś interesuje.

Przemilczam tę oczywistą nieprawdę. Czekam.

— Miła moja, sporo czasu upłynęło. Wiem naturalnie, że schroniłaś się w komnacie niewieściej, by wydać na świat mojego syna, i napracowałaś się dla mnie i królestwa w pocie czoła. Myślami byłem przy tobie. Moje serce aż się do ciebie rwało. Ale wiesz... mężczyzna potrzebuje zagranego łoża.

— Połóg się skończył, twój syn kwili w kołysce — mówię twardo. — Jednakże zamiast zagranego łoża znajdziesz łożo z lodu, poduszki ze szronu, a przykrycie ze śniegu, jeżeli ona jutro rano jeszcze tu będzie.

Wyciąga do mnie rękę, a ja podnoszę się i zbliżam, by stanąć obok niego. Niemal od razu obezwładnia mnie jego zapach i dotyk jego warg na skórze, kiedy nachyla się, by mnie pocałować w szyję.

- Powiedz, że się na mnie nie gniewasz, najmilsza — grucha.
- Nie mogę. Dobrze wiesz, że się gniewam.
- W takim razie powiedz, że mi wybaczasz.
- Dobrze wiesz, że zawsze to robię...
- Zatem powiedz jeszcze, że zlegniesz ze mną i dasz mi radość.

Świetnie się spisałaś, rodząc następnego księcia. Aż miło na ciebie patrzeć, gdy wychodzisz z komnaty niewieściej taka szczęśliwa, pulchna i złakniona mnie. Nawet nie wiesz, jak cię pragnę... Powiedz, że będzie nam ze sobą dobrze jak kiedyś...

- Nie. To ty mi coś powiedz.

Wślizguje się palcami pod rękaw sukni i zaczyna wodzić opuszkami po delikatnej skórze na łokciu. Jak zawsze jego dotyk wydaje się równie intymny jak sam akt miłości.

- Zgoda. Cokolwiek sobie zażyczysz.

- Powiedz, że jutro już jej tu nie będzie.

— Jutro już jej tu nie będzie... — Wzdycha. — Ale wiesz, miła moja, gdybyś ją tylko poznała, na pewno byście się polubiły. To wesoła młoda niewiasta, a do tego ocytana. Wspaniała towarzyszka. W dodatku ma najłagodniejszą naturę, z jaką się zetknąłem...

— Jutro już jej tu nie będzie — powtarzam, nie ulegając urokowi Jane Shore. Cóż mnie obchodzi jej ocytanie i czar? Cóż jego one obchodzą? Edward nie zwraca uwagi na takie niuanse, nie zastanawia się nad naturą niewiast. Uganiam się za nimi jak napalony zapchlony kundel za suką w rui, nie dbając o ich elokwencję i temperament. — Z samego rana! — dodaję.

- Z samego rana — godzi się potulnie mój mąż.

LATO 1477 ROKU



W środku lata Edward każe pojmać Jerzego i uwięzić go za zdradę, po czym postawić przed radą królewską. Chyba tylko ja jedna wiem, ile kosztuje mojego męża publiczne oskarżenie młodszego brata o knucie przeciwko niemu i życzenie mu śmierci, albowiem skrzętnie ukrywa swój żal, smutek i wstyd przed wszystkimi innymi ludźmi. Podczas obrad nie zostają Clarence'owi przedstawione żadne dowody—wystarcza słowo Edwarda. Skoro sam król mówi, że ksiązę Clarence dopuścił się zdrady, znaczy to, że tak było. Nikt nie śmiałby się sprzeciwić królewskiemu osądowi w tak poważnej sprawie. Zresztą wśród członków rady nie znalazłby się chyba człowiek, którego Jerzy nie ucapił za rękaw w ciasnym korytarzyku i któremu nie sączył do ucha swych przeniewierczych podejrzeń i oskarżeń, który nie słyszał obietnic wywyższenia, jeśli tylko przyłączy się do spisku. Wszyscy byli świadkami, jak Clarence odmawiał spożycia dań odsyłanych mu z mojego stołu i przyrządzanych na moje życzenie, jak wysypywał sól za lewe ramię przed zajęciem swojego miejsca, jak krzyżował palce w geście mającym chronić przed urokiem, kiedy przechodziłam мимо niego. Nie ma zatem człowieka, który by nie był przekonany, iż Jerzy jest winien wszystkiego z wyjątkiem spisania kolei swej zdrady i ostatecznej spowiedzi stanowiącej potwierdzenie wszelakich potworności. Nikt jednak nie wie, co Edward zamysła uczynić w tej sprawie. Tak więc rada jednogłośnie stwierdza, że Jerzy York ksiązę Clarence jest winien zarzucanych mu czynów, lecz nie wyznacza kary. Żaden człowiek w Anglii nie ma pojęcia, jak daleko posunie się król, chcąc ukarać swojego brata, którego wciąż kocha.

ZIMA 1477 ROKU



Nadchodzą kolejne święta. Dziwnie jest obchodzić Boże Narodzenie bez Jerzego przy stole i z księżną Cecylią obecną, lecz niczym chmura gradowa. Książę Clarence oskarżony o zdradę znalazł się za murami Tower, gdzie niczego mu nie brakuje — może jeść i pić, ile dusza zapagnie, i nie wątpię, że to robi. Ochrzczony na jego cześć mały książę Bedford radośnie gulgocze w komnacie dziecinnej i to jedyny Jerzy, którego mile witamy w swoim otoczeniu. Mam przy sobie wszystkie pozostałe dzieci, z czego czerpię wielką radość: Edward York i Ryszard Shrewsbury przyjechali razem z Ludlow, Ryszard i Tomasz Greyowie powrócili z wyprawy do Burgundii, dziewczęta jeszcze nigdy nas nie opuściły i chowają się zdrowo.

W styczniu dochodzi do związania węzłem małżeńskim dwu najwspanialszych fortun w Anglii — zaręczają się Anna de Mowbray i mój mały Ryszard. Zaledwie czteroletnie książętko i niewiele odeń starsza księżniczka, spadkobierczyni księcia Norfolk, zostają podsadzeni na stół podczas uczyty z tej okazji. Odziani w olśniewające szaty, miniaturowe repliki dorosłych ubrań, trzymają się za ręce jak para lalek. Oczywiście pozostaną w swoich rodzinnych domach do czasu, aż osiągną wiek odpowiedni do prawdziwego małżeństwa, lecz to wielka ulga dla mnie — wiem, że zapewniłam swemu drugiemu synowi pewną, dostatnią przyszłość. Mój mały Ryszard zostanie największym księciem Anglii, ustępującym bogactwem tylko swemu bratu, następcy tronu.

W okolicach Epifanii król odwiedza rano wieczorem w mojej komnacie i oznajmia, że rada naciska nań, by postanowił coś wreszcie w sprawie swego brata Jerzego.

— Co zamierzasz? — pytam go. Mam złe przeczucia. Nie mogę przepędzić spod powiek obrazu moich trzech synów: tego drugiego Edwarda, drugiego Ryszarda i drugiego Jerzego. Co by było, gdyby kiedyś zwrócili się przeciwko sobie?

— Zamierzam przeprowadzić tę sprawę do końca — odpowiada ze smutkiem mój mąż. — Karą za zdradę jest śmierć. Nie mam wyboru.

WIOSNA 1478 ROKU



— Nawet nie myśl o egzekucji! — Księżna Cecylia mija mnie, wpadając do prywatnej komnaty Edwarda, tak jej spieszo porozmawiać z królem.

Wstaję i składam zdawkowy ukłon.

— Milady...

— Pani matko, sam nie wiem, jak powinienem postąpić. — Edward przykłęka na jedno kolano, by odebrać matczyne błogosławieństwo, a księżna Cecylia z nieobecną miną kładzie mu na głowie dłoń pustym gestem. Nie ma w sobie ciepładła najstarszego syna, potrafi teraz myśleć wyłącznie o Jerzym. Dyga płytko, patrząc na mnie przelotnie, po czym znów odwraca się do króla.

— To twój brat. Nie zapominaj o tym.

Edward wzrusza ramionami. Minę ma nietęgą.

— W gruncie rzeczy Jerzy twierdzi co innego — przypominam obojgu. — Rozgłasza, że Edward jest zaledwie jego przyrodnim bratem jako twój bękart spółdzony przez jakiegoś łuczника. Spotwarza tym tyleż ciebie co nas. Sypie pomówieniami jak z rękawa. Nie waha się rzucać najstraszniejszych oszczerstw. Mnie nazywa czarownicą, a ciebie ladacznicą.

— To kalumnie — sprzeciwia się ostro księżna wdowa.

— Pani matko, to szczerza prawda. — Edward staje w mojej obronie. — Jerzy posuwa się do obelg pod adresem moim i Elżbiety.

Jej spojrzenie mówi, że nie uważa tego za zły pomysł.

— Szkaluje dobre imię dynastii Yorków — stwierdzam z mocą.
— A w dodatku ma na swoich usługach czarnoksiężnika, który źle życzy jego wysokości.

— Jerzy to twój brat — powtarza z uporem królowa matka.
— Będziesz musiał mu przebaczyć.

— Jerzy to zdrajca — kontruje otwarcie. — Będzie musiał dać głowę. Co innego nam pozostaje? Czyżby spiskowanie przeciwko królowi zasługiwało na przebaczenie? To by była czysta zachęta dla niedobitków Lancasterów, dla szpiegów z Francji. Nawet zwykły rozbójnik z traktu mógłby uznać, że wolno mu się zacząć na dumę Yorków.

— Twój młodszy brat czuje się rozczarowany. — Cecylia zwraca się bezpośrednio do Edwarda, ignorując mnie i moje słowa.
— Gdybyś był mu pozwolił ożenić się z tą Burgundką albo którąś ze szkockich księżniczek, do niczego takiego by nie doszło.

— Nie ufam mu, pani matko — mówi stanowczo mój mąż.
— Nie mam cienia wątpliwości, że gdyby Jerzy stał na czele własnego królestwa, wypowiedziałyby mi wojnę. Gdyby miał dość bogactwa, opłaciłby armię, aby odebrać mi koronę Anglii.

— Narodził się do wielkich rzeczy — oznajmia sucho księżna wdowa.

— Narodził się po mnie. — Wzburzony Edward jest gotów wygarnąć matce prawdę. — Ma prawo upomnieć się o koronę, dopiero kiedy umrę ja, kiedy umrze mój pierworodny i następca tronu Edward, a po nim mój drugi syn Ryszard i trzeci Jerzy. Czy tego właśnie byś chciała, matko? Czy życzysz śmierci mnie i moim trzem droгим synom? Aż tak wysoko stawiasz swojego Jerzego? Aż tak przypominasz w swych niecnym pragnieniach tego czarnoksiężnika, którego opłacił mój brat? Czy gotowaś rozkazać, by dosypano mi tłuczonego szkła do mięsiwa albo roztarte liście naparstnicy?

— Nie — odpiera szybko — oczywiście, że nie. Jesteś synem i dziedzicem swego ojca, zdobyłeś tron w walce. Twoim następcą będzie twój najstarszy syn. Lecz Jerzy to też moje dziecko. Nie jest mi obojętny.

Edward zgrzyta zębami, ścierając na miał słowa pochopnej odpowiedzi, odwraca się do kominka i zastyga w milczeniu, ze zgar-

bionymi ramionami. Cisza trwa dopóty, dopóki król znów nie przemówi.

— Jedyne co mogę zrobić dla ciebie i dla niego, to pozwolić mu wybrać, w jaki sposób zginie. Jerzy musi umrzeć, lecz jeśli zażyczy sobie francuskiego mistrza malodobrego, sprowadzę go. Zresztą wcale nie musi to być kat, równie dobrze możemy się uciec do trucizny, którą zażyje w zaciszu własnej komnaty, lub do sztyletu położonego obok nakrycia podczas ostatniej wieczerzy. Mój brat może odebrać sobie życie sam, w samotności. Obiecuję, że nie będzie tłumy, nie będzie gapiów. Wolno mu się pożegnać z tym światem w apartamentach w Tower w obecności co najwyżej księdza, gdy takie będzie jego życzenie. Położy się w piernatach i otworzy sobie żyły.

Księżna Cecylia sapie głośno. Nie spodziewała się usłyszeć czegoś takiego. Stoje bez ruchu, bacznie przyglądając się matce i synowi. Ja również nie sądziłam, że Edward posunie się tak daleko.

Król patrzy jej prosto w oczy.

— Pani matko, łączę się z tobą w bólu po twojej stracie.

Starsza niewiasta blednie na twarzy.

— Przebaczysz mu...

— Chyba sama rozumiesz, że nie mogę tego uczynić.

— Rozkazuję ci. Jestem twoją matką. Musisz mnie posłuchać.

— A ja jestem królem. Nikt nie może mi się sprzeciwić. Jerzy umrze.

Królowa matka obraca się gwałtownie ku mnie.

— To wszystko twoja sprawa!

Wyciągam przed siebie rękę.

— Milady, Jerzy sam wydał na siebie wyrok. Nie możesz winić **0** to ani mnie, ani Edwarda. Brat nie zostawił jego wysokości wyboru. To zdrajca i spiskowiec, zagrożenie dla naszego panowania i naszego potomstwa. Z pewnością wiesz, jaki los czeka uzurpatorów. Ród Yorków nieraz w przeszłości musiał sobie z nimi radzić...

Moja świekra nic nie mówi. Podchodzi do wnęki okiennej i opiera czoło o mur. Patrzę na jej sztywno wyprostowane plecy i zastanawiam się, jak czuje się matka, która wie z niezachwianą pewnością, iż jej dziecko niebawem umrze. Kiedyś poprzysięgłam jej cierpienie i żałobę po synu. Dokonało się...

— Nie zniosę tego — odzywa się głosem pełnym napięcia i żalu.
— Mówicie o moim synu, moim ukochanym synu. Jak mogliście choćby pomyśleć o tym, aby mi go odebrać? Wolałabym umrzeć, niż dożyć jego śmierci. Jerzy, najdroższy Jerzy... Nie mieści mi się w głowie, by ktoś chciał postać go na śmierć!

— Przykro mi — rzecze ponuro Edward — lecz nie widzę innego sposobu.

— Będzie mógł zdecydować, jak umrze? — upewnia się księżna Cecylia. — Nie oddasz go w ręce kata?

— Będzie mógł zdecydować, jak umrze — potwierdza król — ale musi umrzeć. Postawił sprawę na ostrzu miecza: albo on, albo ja. To oczywiste, że musi dać głowę.

Matka trzech synów domu Yorków odwraca się i bez słowa wychodzi z komnaty. Przez chwilę, zaledwie przez jedną chwilę znajduję dla niej współczucie.

Jerzy, ten głupiec, wybiera śmierć głupca.

— Chce zostać utopiony w beczce wina — oznajmia Antoni, powróciwszy z obrad rady królewskiej i odnalazłszy mnie w komnacie dzieciennej, podczas gdy kołyszę małego księcia Jerzego, życząc sobie w duchu, aby jego imiennik i wuj nareszcie zszedł z tego świata i aby było już po wszystkim.

— To ma być żart z twojej strony?

— Nie, raczej z jego.

— Ale o co mu chodzi?

— Przypuszczam, że właśnie o to. Chce zostać utopiony w beczce wina.

— Naprawdę tak powiedział? Naprawdę tego pragnie?

— Obrady dopiero co się zakończyły. Jerzy, skoro ma umrzeć, chce zostać utopiony w beczce wina — powtarza po raz trzeci Antoni.

— Wybrał śmierć opoja — szepczę, nie umiejąc się pogodzić z tą myślą.

— Podejrzewam, że chce sobie zakpić z brata.

Poprawiam dziecko leżące w moich ramionach i gładzę maleńkie plecki, jak gdybym pragnęła chronić swego najmłodszego syna przed okrucieństwem tego świata.

— To nie najgorszy sposób — zauważa Antoni. — Byłbym w stanie wymienić straszniejsze.

— A ja umiem nazwać mniej straszne — odpowiadam z wzdrygnięciem. — Chyba już bym wolała zawisnąć na szubienicy, niż zaślawić się winem.

Antoni wzrusza ramionami.

— Pewnie chce ośmieszyć Edwarda i wydany przezeń wyrok śmierci. Być może liczy na łaskę króla, który raczej mu przebaczy, niż pozwoli umrzeć śmiercią opijusa. A może ma nadzieję na protesty Kościoła, przez co cała sprawa się odwlecze, on zaś zachowa głowę.

— Nie tym razem — mówię twardo. — Jego szczęście ochlapusa go opuściło, czemuż nie miałyby umrzeć z twarzą w winie? Gdzie zostanie wykonany wyrok?

— W jego komnacie w Tower.

Przechodzi mnie dreszcz.

— Niech Bóg mu wybaczy... Co za okropny sposób na odejście z tego świata...

Potrzebny jest kat. Potężny mężczyzna o mocarnych dłoniach i w czarnym kapturze na głowie. Odkłada na bok topór i wraz z pomocnikiem wtacza do książęcej komnaty beczkę małmazji. Ten głupiec Jerzy żartuje sobie na ten widok i śmieje się głośno z szeroko otwartymi ustami, jakby już brakowało mu powietrza. Twarz ma pobielała ze strachu.

Ktoś odbija wieko beczki, ktoś inny znajduje skrzynię, na której mógłby stanąć skazaniec, aby było mu łatwiej nachylić się nad przelewającą się połyskliwą powierzchnią wina. Ciężki słodki zapach wypełnia całe pomieszczenie. Jerzy wpatruje się w swoje pomarszczone odbicie w płynie, po czym mamrocze „Amen”, gdy ksiądz robi przerwę w modlitwie.

Następnie przybliży twarz do ciemnorubinowej powierzchni takim ruchem, jakby kładł głowę na katowskim pieńku, i zaczyna chęptać napój, który wszakże co najwyżej może przytłumić strach, z całą pewnością nie jest w stanie zażegnać zagrożenia. W końcu rozkłada ręce na boki w geście przyzwolenia, na co dwaj zakaptu-

rzeni mężczyźni chwytają go za włosy i kołnierz i zanurzają mu głowę w winie, na poły unosząc całego ze skrzyni, tak że majta nogami w powietrzu, najpierw wykonując ruchy pływaka, a potem szarpiąc się gwałtownie w próbie oswobodzenia i rozlewając cenny trunek na posadzkę. U ich stóp zbiera się coraz większa kałuża, w miarę jak z płuc Jerzego wyciskane są ostatnie bańki powietrza, czemu towarzyszą odgłosy krztuszenia się i parskania. Duchowny postępuje krok do tyłu, nie chcąc sobie powalać skraju sutanny, i dalej recytuje monotonnym tonem ostatnie wersy modlitwy za umieryających, okazując tyleż opanowanie co szacunek, gdy tymczasem oprawcy trzymają pod powierzchnią miotającą się głowę skazańca, najgłupszego z synów Ryszarda Plantageneta, aż w końcu jego ciało więdnie, nogi przestają wierzczać i nie ma już więcej baniek, za to pomieszczenie capi jak nie przymierzając, najpodlejszy szynk.

Tej samej nocy, gdy dzwony wybijają godzinę duchów, podnoszę się ze swego łoża w pałacu westminsterskim i przechodzę do wnęki, w której trzymane są moje stroje. Na najwyższej półce nad rozwieszonymi równo futrami znajduje się szkatułka z moimi drobiazgami. Otwieram ją i wyciągam na wierzch medalion, którego srebro tak pociemniało ze starości, że zdaje się czarne niczym heban. Odciągam zmyślne zapięcie i rozkładam medalion, z którego wypada skrawek papieru oddarty z dołu ostatniego listu papy, a potem przerwany raz jeszcze na dwoje. Na nim wypisane krwią — moją krwią — widnieje imię Jerzego księcia Clarence. Mną świstek w palcach i ciskam go w dogasający żar kominka, gdzie najpierw zwija się pod wpływem ciepła, a następnie bucha niespodziewanie wysokim płomieniem.

— Odejdź — szepczę, przypatrując się, jak imię Jerzego zmienia się w smugę dymu i wypełnia się moja kłątwa. — I obyś był ostatnim z dynastii Yorków, który zginął w murach londyńskiej twierdzy. Niech na tym się zakończy zemsta, tak jak obiecałam pani matce. Niech na tym to się skończy...

Żałuję, iż nie zapamiętałam lekcji, której nauczyła mnie Jakobi-na Luksemburska: łatwiej jest uwolnić zło, niż je wziąć w ryzy. Pierwszy lepszy głupiec potrafi wzbudzić wiatr, lecz kto umie nad nim zapanować i przewidzieć, w którą stronę zawieje i kiedy przestanie dąć?

LATO 1478 ROKU



Przyzywam mego drogiego syna Edwarda, jego opiekuna Ryszarda Greya oraz czuwającego nad nimi dwoma hrabiego Rivers do swoich komnat, aby się z nimi pożegnać. Nie jestem w stanie znieść pożegnań na oczach świadków. Nie chcę, by widziano, jak rozpaczam z powodu czekającej nas rozłąki. Pochyliłam się, aby objąć małego Edwarda, jak gdybym nigdy nie miała wypuścić go z uścisku, a on podnosi na mnie spojrzenie swych przepełnionych ciepłem orzechowych oczu, wyciąga rączki, by dotknąć mojej twarzy, i mówi cicho:

— Nie płacz, pani matko. Nie ma powodu do płaczu. Przyjadę znów na Boże Narodzenie. A ty będziesz mogła mnie odwiedzać w Ludlow, przecież wiesz.

— Wiem.

— Jak przywieziesz ze sobą malutkiego Jerzego, nauczę go jeździć w siodle — obiecuje. — Możesz mi też powierzyć opiekę nad małym Ryszardem.

— Wiem — powtarzam, starając się mówić wyraźnie, mimo że szloch dławi mi gardło.

Ryszard Grey oplata mnie ramionami w talii. Jest tak wysoki jak ja; w istocie to już młody mężczyzna.

— Będę na niego uważał — szepcze. — Ale koniecznie nas odwiedź. Przywieź ze sobą wszystkie siostry i wszystkich braci księcia. Spędź z nami letnie miesiące...

— Tak zrobię, tak zrobię... — mamrocze i odwracam się do swego brata.

— Zaufaj nam, potrafimy o siebie zadbać — odzywa się, zanim rozpoczynam stałą listę prośb i napomnień wynikających z mych obaw. — Zobaczysz go znowu w przyszłym roku. Nie opuszczę księcia Walii nawet po to, by pojechać z pielgrzymką do Jerozolimy. Będę przy nim do czasu, aż sam mnie odprawi. Zgoda?

Kiwam głową, przełykając łyzy. Niepokoi mnie wizja Antoniego opuszczającego mojego małego Edwarda. Czuję się tak, jakby padł na nas mroczny cień.

— Nie mam pojęcia dlaczego, ale zawsze okrutnie się o niego boję, ilekroć przychodzi do pożegnania. Najchętniej zatrzymałabym go przy sobie...

— Będę go bronił własną pierśią — przyrzeka Antoni. — Księżę Walii jest mi równie drogi jak własne życie. Nie spotka go żadna krzywda, dopóki jest pod moją opieką. Masz na to moje słowo.

Kłania się i zwraca ku drzwiom. Stojący obok Edward kopiuje elegancki oszczędny gest. Ryszard Grey przykłada pięść do serca w geście mającym oznaczać: „Kocham cię, pani matko”.

— Nie smuć się — dorzuca przez ramię mój brat. — Obaj są ze mną bezpieczni.

Zostaję sama.

WIOSNA 1479 ROKU



Moje najmłodsze dziecko — Jerzy — od maleńkości bardzo chorowite, zaczyna niknąć w oczach przed swymi drugimi urodzina-
mi. Medycy nie domyślają się przyczyn tej nagiej słabości, opiekun-
ki z komnaty dziecinniej są w stanie tylko doradzać częste karmienie
owsianką na mleku. Robimy co możemy, lecz mały księżę Bedford
nie odzyskuje sił.

Elżbietka, jego trzynastoletnia siostra, bawi się z nim codzien-
nie, stawia go na pałakowatych nóżkach i trzymając za wiotkie rącz-
ki, pomaga stawiać kroki, wymyśla dlań opowieści, byle tylko zjadł
kolejną łyżkę owsianki, ale pośród tych wszystkich zabiegów nawet
ona widzi, iż chłopiec mizernieje. Nie nabiera ciała, nie rośnie,
kończyny ma jak patyki.

— Sprowadźmy medyka z Hiszpanii — proszę Edwarda.
— Antoni twierdzi, że wśród Maurów znajdują się najbardziej ucze-
ni mężowie.

Twarz mego męża poprzecinały bruzdy smutku i niepokoju
o zdrowie naszego najmłodszego dziecka.

— Możesz sprowadzić, kogo tylko chcesz, skądkolwiek ci się
zamarzy — odpowiada. — Lecz Elżbieto, znajdź w sobie odwagę.
To chłopiec słaby, chorowity od urodzenia. Wyśmienicie się spisa-
łaś, zachowując go przy nas tak długo.

— Nie mów tak! — protestuję, potrząsając głową. — Polepszy
mu się. Wiosna minie, po niej przyjdzie lato. Latem nasz Jerzy
będzie już czuł się lepiej, zobaczysz.

Mnóstwo czasu spędzam w komnacie dziecinniej, trzymając synka na kolanach, karmiąc go pożywną owsianką, przykładając ucho do jego miniaturowej piersi, by wsłuchiwać się w słabe bicie serduszka.

Wszyscy mi mówią, że zostaliśmy pobłogosławieni dwoma silnymi księciami, dzięki którym sukcesja Yorka na tronie jest zapewniona. Nie zniżam się do odpowiedzi. Nie troszczę się o malutkiego Jerzego w imię dynastii, tylko z miłości. Nie zależy mi, by przeżył po to, aby zostać potężnym księciem. Chcę po prostu, by żył i był zdrow.

Jerzy jest moim najmłodszym, ukochanym dzieckiem. Nie wyobrażam sobie, abym miała go stracić jak jego maleńką siostrzyczkę przed siedmioma laty. Nie wyobrażam sobie, aby miał umrzeć w moich ramionach, tak jak tamta dziewczuszka umarła w ramionach pani matki. Nawiedzam komnatę dziecinną co dnia, zaglądam do niej nawet nocą, aby się przyglądać śpiącemu dziecku. Niestety nabieram coraz większej pewności, że mojemu synkowi się nie polepsza.

Któregoś marcowego popołudnia Jerzy śpi u mnie na kolanach, a ja kołyszę go i nucę, sama nie zdając sobie z tego sprawy, na wespół zapomnianą burgundzką kołysankę zapamiętaną z dzieciństwa.

Kołysanka kończy się i zapada głucha cisza. Przestaję się kołysać i zamiera nawet szelest mojej sukni. Przykładam ucho do piersi dziecka, by posłuchać bicia jego serduszka, lecz nic nie słyszę. Dotykam policzkiem jego noska i ust, wciąż ciepłych od jego oddechu, lecz nic nie czuję. Jerzy wciąż jest rozgrzany i mięciutki, jak ciałko małego ptaszka. Ale jego już nie ma. Straciłam swego najmłodszego syna.

Wtem słyszę melodię nuconej przed chwilą kołysanki, teraz cichą niczym spokojna bryza, i już wiem, że Meluzyna przejęła moją rolę, że to ona kołysze małego księcia. Straciłam Jerzego, swego najmłodszego syna.

Mówią mi, że powinnam być wdzięczna za dziewięcioletniego Edwarda, silnego i strzelającego w górę niczym młode drzewko. Mówią mi, że powinnam być wdzięczna za sześćioletniego Ryszarda. Uśmiecham się, gdyż jestem wdzięczna za nich obu. Wszelako to w niczym nie zmniejsza mojego żalu po stracie małego Jerzego z jego błękitnymi oczętami i czupryną jasnych włosów.

Pięć miesięcy później znów jestem zamknięta w komnacie niewieściej, oczekując narodzin kolejnego potomka. Nie spodziewam się chłopca, nie wierzę bowiem, by jedno dziecko mogło zastąpić drugie. Wszakże Katarzynka pojawia się w dobry czas, by nas pocieszyć. Kołyska Yorków przestaje stać pusta, mamy nową księżniczkę, komnatę dziecienną dalej wypełnia płacz i gaworzenie. Zaledwie rok później rodzę jeszcze jedno dziecko, śliczniutką Brygidkę.

— To chyba nasze ostatnie — oznajmiam Edwardowi ze smutkiem, opuściwszy komnatę niewieściami.

Obawiałam się, że to otworzy mu oczy na mój wiek, na to, że zestarzałam się przy nim, lecz on tylko się do mnie uśmiecha, całuje moją dłoń i mówi słodko:

— Żaden mężczyzna nie mógłby prosić o więcej. Zaś żadna królowa nie napracowała się ciężiej. Dałaś mi wspaniałą rodzinę, najmiłsza. Dobrze więc, że to nasze ostatnie.

— Nie pragniesz kolejnego syna?

Potrząsa w odpowiedzi głową.

— Chcę brać cię dla przyjemności — rzecze — trzymać w ramionach z czystej namiętności. Pragnę, byś wiedziała, że to twoich pocałunków łaknę, a nie następcy tronu. Byś miała pewność, że kocham cię i przychodzę do twego łóża dla ciebie, a nie dla dziedziców. Że nie jesteś tylko rozplodową klaczką Yorków.

Odchyłam głowę i spoglądam na swego męża spod na wpół opuszczonych rzęs.

— Zamierzasz brać mnie dla miłości, a nie dla potomstwa? Czy to nie grzech?

Edward obejmuje mnie w talii, a potem przesuwa dłonie wyżej i dotyka kciukami moich piersi.

— Zrobię co w mojej mocy, by wydawało się to nam obojgu grzeszne do granic — obiecuje.

KWIECIEŃ 1483 ROKU



Aura zrobiła się nietypowa jak na tę porę roku — jest przenikliwie zimno, a poziom wody w rzece wysoki. Wielkanoc obchodzimy w pałacu westminsterskim, skąd wyglądam na rwącą w dole Tamizę, rozmyślając o moim synu Edwardzie przebywającym poza linią rzeki Severn w Walii, daleko ode mnie. Zdaje mi się, że Anglia to jedna wielka sieć cieków wodnych, strumieni, rzek i jezior. Meluzyna musi się tu czuć jak u siebie.

Mój małżonek Edward, normalnie przywiązany do ziemi, zniecka nabiera ochoty na wędkowanie i opuszcza mnie ze swą świtą na cały dzień, by wrócić w wybornym nastroju pomimo strug wody lejących mu się po twarzy i ciele. Przemoknięty do suchej nitki nalega, byśmy na wieczrę spożyli złowionego przezeń łososia. Przyrządzona po królewsku ryba zostaje wniesiona na wielką salę na wysokości ramion podstolego przy wtórze fanfar.

Tej samej nocy król zaczyna gorączkować. Łaję go za to, że przemókł i przemarzł na wskroś, jakby był małym chłopcem, który może sobie pozwolić na podejmowanie takiego ryzyka. Nazajutrz czuje się jeszcze gorzej; wprawdzie wstaje na krótko, lecz zaraz kładzie się z powrotem, gdyż czuje się niezwykle słaby. Następnego dnia jego medyk oznajmia, iż trzeba mu upuścić krwi, na co Edward reaguje przekleństwami, zarzekając się, że nie pozwoli się choćby tknąć łapiduchowi. Pozostaje mi tylko udobruchać lekarza i przekonać, że słowo króla jest prawem również w sprawach dotyczących jego zdrowia. Wieczorem zakradam się do komnat męża, by przyj-

rzeć mu się podczas snu i przekonać samą siebie, iż to mijająca słabość, a nie żadna zaraza czy zdradliwa gorączka. Edward jest silnym mężczyzną, nietrapionym przez choroby. Po prostu się przeziębiał i wróci do sił najdalej za tydzień.

Wszelako w nadchodzących dniach nie ma poprawy. W dodatku król zaczął się skarżyć na szarpiące bóle brzucha i potworne fale gorąca. Przed upływem tygodnia od niefortunnej wyprawy na ryby cały dwór drży o jego życie, a mnie przerażenie spędza sen z powiek. Medycy na nic się nie przydają — nie są nawet w stanie stwierdzić, co dolega monarsze, nie mają pojęcia, co wywołało utrzymującą się gorączkę ani tym bardziej czym ją leczyć. Edward przyjmuje pokarmy, lecz niczego nie przyswaja. Zwraca wszystko, co zje, a z bólem brzucha walczy, jakby to był jego największy wróg. Czuwam przy nim w jego komnacie, mając za towarzyszkę naszą najstarszą córkę, Elżbietkę. Pozwalam zbliżać się doń tylko najzaufańszym sługom. Sir William Hastings, przyjaciel z młodzieńczych lat króla i jego kompan w każdym podjętym działaniu, także w tej przekłętej wyprawie na ryby, chodzi niespokojnie w tę i w tę w komnacie gościnnej. Ta ładacznicza Jane Shore, jak mi donoszą, nie wstaje z kolan i nie opuszcza kościoła, drżąc o życie mężczyzny, którego rzekomo kocha.

— Chcę go zobaczyć — prosi po raz setny Hastings.

Obdarzam go lodowatym spojrzeniem.

— Nie. Jest zbyt słaby. Niepotrzebny mu kompan od picia, łajdaczenia się i tracenia pieniędzy. Zatem jesteś tu zbędny. Zdrowie króla uległo rujnacji przez ciebie i tobie podobnych. Teraz ja sprawuję nad nim pieczę i jeśli tylko wyzdrowieje, postaram się, aby już nigdy cię nie wezwał.

— Chcę go zobaczyć — prosi po raz setny i pierwszy. Nawet nie broni się przed moimi zarzutami. — Chcę go tylko zobaczyć. Nie zniosę myśli, że nie ujrzę go więcej żywego.

— Waruj tu jak pies — mówię okrutnie — albo zabieraj się do tej ładaczniczy Jane Shore, która może od teraz rozkładać uda dla ciebie, gdyż miłościwy pan skończył z wami obojgiem.

— Zaczekam tutaj — odpowiada sir William. — Prędzej czy później pośle po mnie. Będzie chciał mnie widzieć. Wie, że jestem tuż za drzwiami.

Mijam go i wchodzę do komnaty sypialnej króla, zamykając starannie wszystkie drzwi, by nie mógł choćby zerknąć na człowieka, którego wielce szanuje, a który obecnie walczy o każdy oddech pod ciężkim, bogato zdobionym baldachimem.

Edward otwiera oczy, kiedy stoję u wezgłowia.

— Elżbieto...

Schylam się i ujmuję jego dłoń.

— Tak, najmiłszy?

— Pamiętasz, jak wróciłem do domu i powiedziałem ci, że się boję?

— Pamiętam.

— Teraz także się boję...

— Wyzdrowiejesz — zapewniam go szeptem. — Wyzdrowiejesz, mój mężu.

Przymyka powieki, na poły gwoli potwierdzenia moich słów, na poły z ogarniającego go zmęczenia, po czym odzywa się ponownie:

— Czy Hastings tu jest?

— Nie — odpowiadam.

Uśmiecha się lekko.

— Chciałbym się z nim widzieć.

— Nie teraz... — Głaszczę go po głowie. Czoło ma rozpalone, więc sięgam po zwój lnu, moczę materię w wodzie lawendowej i ocieram spoconą twarz Edwarda. — Wciąż nie jesteś dość silny, by przyjmować gości.

— Elżbieto, sprowadź Hastingsa i każdego członka mojej rady, który jest w pobliżu. Poślij po mego brata, księcia Gloucester.

Przez parę uderzeń serca myślę, że zaraziłam się od niego — tak potworny ból brzucha czuję. Szybko jednak uświadamiam sobie, że to strach.

— Nie musisz się z nimi widzieć, Edwardzie. Powinieneś odpoczywać i nabierać sił.

— Sprowadź ich!

Odwracam się i rzucam parę przyciszonych słów do służącej, która natychmiast biegnie ku drzwiom i przekazuje je gwardziście. Wiadomość, że król wzywa swych najbliższych doradców, lotem błyskawicy dociera do uszu każdego dworzanina — teraz wszyscy są

już przekonani, że Edward IV leży na łożu śmierci. Podchodzę do okna i stoję plecami do rzeki w dole. Nie chcę patrzeć w wodę, nie chcę dojrzeć błysku łusek na rybim ogonie, nie chcę usłyszeć, jak Meluzyna nuci swoją pieśń, ostrzegając przed zbliżającą się śmiercią. Pojedynczo i parami lordowie królestwa przekraczają próg komnaty króla. Jest wśród nich Stanley, jest kardynał Tomasz Bourchier i oczywiście Hastings, są moi bracia, kuzyni, szwagrowie i z pół tuzina innych — co jeden to znaczniejszy, a wszyscy służący memu mężowi od najwcześniejszych lat bądź, tak jak Stanley, zawsze umiający się znaleźć po wygrywającej stronie. Wiodę po nich kamiennym spojrzeniem, a oni skłaniają przede mną głowy z ponurymi minami.

Służący pomogli Edwardowi podnieść się nieco, tak że teraz spoczywa w pozycji półleżącej. Na ten widok w oczach Hastingsa wzbierają łzy, jego wargi wykrzywia grymas żałości. Król wyciąga ku niemu dłoń i sir William chwyta ją z taką zaciekłością, jakby mógł dzięki temu utrzymać druha przy życiu.

— Obawiam się, że nie pozostało mi wiele czasu — odzywa się Edward. Głos ma zgrzytliwy, ledwie słyszalny.

— Nie, nie mów tak — szepcze doń Hastings. — Nie...

Edward odrywa odeń spojrzenie i spoglądając na pozostałych, ciągnie:

— Zostawiam syna, który wciąż jest jeszcze chłopcem. Bóg świadkiem, że miałem nadzieję przyglądać się, jak wkracza w wiek męski. Bóg świadkiem, że chciałem pozostawić po sobie następcę, który byłby dojrzałym mężczyzną. Tymczasem przychodzi mi powierzyć wam opiekę nad moim małoletnim synem.

Muszę włożyć pięść do ust, by nie rozplakać się głośno.

— Nie...

— Hastings! — wyrzuca z siebie król.

— Miłościwy panie?...

— I wy wszyscy... Ty także, Elżbieto, moja królowo...

Zbliżam się do jego łoża, a on łapie mnie za rękę i złącza ją z dłonią Hastingsa, jakby miał zamiar udzielić nam ślubu.

— Musicie działać razem. Musicie zapomnieć o dzielących was sprawach, o zazdrości, nienawiści i rywalizacji. Mimo że macie ze sobą na pieńku, mimo że piecze was wspomnienie doznanych krzywd.

Puśćcie wszystko w niepamięć. Dla dobra mojego syna, którego bezpieczeństwa będziecie strzec jak źrenicy oka i którego uczynicie swoim królem. Proszę was o to, żądam tego od was, leżąc na łożu śmierci. Przyrzekacie?

Myślę o długich latach, kiedym pałała nienawiścią do Hastingsa, najdroższego przyjaciela mego męża i wiernego towarzysza zarówno hulank, jak i walk. Wciąż dobrze pamiętam, jak sir William Hastings od pierwszej chwili poczuł do mnie niechęć i obrzucił mnie dumnym spojrzeniem z wysokości grzbietu swego wierzchowca, gdy stałam przy trakcie, a potem wiecznie oponował przeciwko nadawaniu moim krewnym zaszczytów i usilnie namawiał króla, by słucał innych doradców i otaczał się innymi dworzanami. Teraz patrzy wprost na mnie i choć łyzi ciurkiem ciekną mu po twarzy, spojrzenie ma twarde. Nadal uważa, iż stojąc tam, na trakcie, rzuciłam zaklęcie na młodzieńca, by przywieść go do zguby. Nie rozumie i nigdy nie zrozumie, co wtedy zaszło pomiędzy młodym mężczyzną i młodą niewiastą. Owszem, tam, w puszczy, zadziałała magia. Jej imię było miłość.

— Będę działać wspólnie z sir Williamem, aby zapewnić bezpieczeństwo twemu synowi — przyrzekam pierwsza. — Będę działać wspólnie z wami wszystkimi i puszcę w niepamięć wyrządzone mi zło, byle tylko twój syn mógł zasiąść na tronie.

— Przyrzekam — odpowiada na pytanie króla Hastings, a za nim kolejno pozostali lordowie:

— Przyrzekam.

— Ja także.

— I ja.

— Na lorda protektora wyznaczam swego brata Ryszarda Yorka — ciągnie z wysiłkiem Edward.

Wzdragam się i byłabym wyrwała się z uścisku, gdyby nie mocarny chwyt Hastingsa.

— Będzie, jak sobie życzysz, miłościwy panie — rzecze sir William, nie spuszczać ze mnie twardego jak stal spojrzenia. Dobrze wie, że nie darzę Ryszarda sympatią i obawiam się jego siły zdobytej na północy Anglii.

— Antoni, mój brat... — szepczę, podpowiadając królowi inny wybór.

— Nie — odpowiada z uporem Edward. — Mój brat Ryszard, książę Gloucester, zostanie lordem protektorem i regentem królestwa do czasu, aż książę Walii obejmie panowanie.

— Nie... — szepczę ponownie.

Gdybym tylko mogła zamienić z królem słowo na osobności, przekonałabym go, iż z Antonim jako lordem protektorem my, Riversowie, zdołalibyśmy utrzymać w królestwie pokój. Nie uśmiecha mi się, że moje wpływy zblakną pod wpływem władzy Ryszarda Yorka. Pragnę, aby mój syn miał wokół siebie samych przyjaciół i najbliższą rodzinę. Nie życzę sobie w jego radzie ani jednego starego lorda wiernego Yorkom. Chcę, aby na tronie Anglii zasiadł młodziwiec z rodu Riversów.

— Przrzekacie? — domaga się zapewnienia Edward.

— Przrzekamy — odpowiadają jak jeden mąż panowie rada. Hastings spogląda mi prosto w oczy.

— Czy przrzekasz, milady — rzecze wolno — uznać Ryszarda księcia Gloucester jako lorda protektora i regenta królestwa, tak jak my przrzekamy przekazać koronę twemu synowi?

Nie. Oczywiście, że nie. Ryszard York nie zalicza się do moich przyjaciół, w dodatku i tak już panuje nad połową Anglii. Czemu miałabym ufać, że doprowadzi do koronacji mego syna, skoro sam jest księciem z dynastii Yorków i następcą tronu? Czemu nie miałabym podejrzewać, że wykorzystując okazję, postara się zdobyć tron dla siebie, zwłaszcza że ma syna z tą swoją Neville'ówną, Edwarda Middlehama, który mógłby zastąpić w roli księcia Walii mojego syna? Czemu nie miałabym uważać, że Ryszard York, który stoczył półtuzin bitew w imieniu Edwarda IV, ruszy do boju we własnej sprawie?

Twarz Edwarda jest szara od wysiłku.

— Przrzeknij, Elżbieto — prosi wysilonym szeptem. — Ze względu na mnie. Ze względu na swego syna.

— Naprawdę sądzisz, że nasz syn będzie wtedy bezpieczny?

Przymyka powieki dla potwierdzenia i zaraz znowu je otwiera.

— Tylko wtedy będzie bezpieczny. Bezpieczeństwo zapewni mu zgoda między lordami, tobą i moim bratem.

Czuję, że znalazłam się w pułapce.

— Przrzekam — mówię w końcu.

Edward cofa rękę, którą trzymał na naszych splecionych dłoniach, mojej i Hastingsa, i opada niżej na łożu. Sir William wyje jak pies przeczuwający śmierć swego pana, przykładając twarz do okrycia, a Edward — poruszając z trudem ręką — na oślep odnajduje głowę starego przyjaciela i dotyka jej jakby w geście błogosławieństwa. Panowie rada jeden po drugim wymykają się z komnaty, gdzie pozostajemy tylko ja i Hastings, i gasnący między nami król.

Nie mam czasu na żałobę, na rwanie włosów z głowy i ocenianie bezmiaru swojej straty. Czuję, jak serce mi pęka z rozpaczy i tęsknoty za mężczyzną, którego pokochałam całą sobą, którego kochałam przez całe życie, którego zawsze będę kochać. Za młodzieńcem, który zjawiał się, ilekroć nań czekałam. Za Edwardem, moim umiłowanym. Nie mam jednak czasu o tym wszystkim myśleć, kiedy przyszłość mojego syna i mojej rodziny zależy od tego, czy okażę się wystarczająco twarda i czy zdołam powstrzymać łzy.

Jeszcze tej nocy piszę list do Antoniego.

Bracie!

Król nie żyje. Przywieź młodego króla Edwarda do Londynu tak szybko, jak to możliwe. Zbierz tylu ludzi, ilu zdołasz powołać pod broń, i weź ich ze sobą jako gwardię królewską — przeczuwam, że nie obejdzie się bez pomocy zbrojnych. Mój mąż w swej naiwności wyznaczył na lorda protektora i regenta królestwa Ryszarda księcia Gloucester, który nienawidzi Ciebie i mnie za to, żeśmy zdobyli miłość jego brata i wzrosli w siłę. Trzeba natychmiast koronować mego syna na króla Anglii i bronić jego praw przeciwko wujowi, który po dobroci nie rozstanie się z wyznaczoną mu funkcją. Powiększaj armię w miarę marszu do Londynu, zrób użytek z ukrytych arsenałów. Szykuj się do bitwy, by chronić swego siostrzeńca i króla, jedyne legalnego następcę tronu. Opóźnię rozsyłanie wieści o śmierci Edwarda tak długo, jak długo się da, żeby Ryszard York, wciąż pozostający na północy, żył dalej w niewiedzy. Zaklinam Cię, śpiesz się!

Elżbieta.

Nie mam pojęcia, że Hastings wysłał do Ryszarda podobny list, poplamiony łzami, lecz wystarczająco czytelny, by donieść Gloucesterowi, iż Riversowie zbierają siły wokół swego księcia i jeśli on, Gloucester, zamierza się sprawdzić w roli lorda protektora, jeśli pragnie chronić młodego księcia Walii przed zachłannością jego krewnych, musi przybyć do Londynu bezzwłocznie, i to z okazałym oddziałem swoich ludzi zebranych w sercu północy, w przeciwnym razie następcą tronu zostanie porwany przez własnych krewnych.

Miłośniwy pan pozostawił wszystko Tobie i Twojej ochronie — swe majątki, swego następcę, swe królestwo. Zapewnij bezpieczeństwo naszemu władcy, jego wysokości królowi Edwardowi V, i ścigaj do Londynu, nie tracąc chwili, zanim Riversowie zaleją nas falą.

Nie mam również pojęcia o tym — a gdybym je miała, bałabym się choćby dopuścić do siebie podobną myśl — że przeżywszy znaczną część życia w strachu przed niekończącymi się walkami o koronę Anglii, właśnie sama rozpoczynam nową wojnę, w której stawką jest dziedzictwo, a nawet życie mojego drogiego syna Edwarda.

Porywa go.

Ryszard okazuje się szybszy, lepiej uzbrojony i bardziej zdeterminowany, niż ktokolwiek z nas był w stanie przypuszczać. Działa zdecydowanie i sprawnie, zupełnie jak jego brat Edward, i tak samo jak on jest bezwzględny. Napada z zasadzki na orszak mego syna w drodze do Londynu, rozpuszcza Walijszyków, którzy stanęli murem za swoim księciem i za mną, bierze w niewolę mego brata Antoniego i mego syna Ryszarda Greya, a także jednego z naszych kuzynów, szambelana Tomasza Vaughana, po czym przejmuje — jak to nazywa — opiekę nad księciem Edwardem. Mój syn ma nieledwie trzynaście lat, na miłość Boga! To tylko mały chłopiec, z wciąż piskliwym głosem i brodą gładką niczym u dziewczęcia, tylko nad górną wargą widać delikatny jasny puszek, pod warunkiem że człowiek dobrze mu się przypatrzy z profilu pod światło.

Kiedy Ryszard York pozbawia go wiernych sług, jego wuja, poza którym świata nie widzi i którego ma za ideał, jego przyrodniego brata, którego szczerze kocha, mój mały Edward wstawia się za nimi, łamiącym się głosem tłumacząc, że nie może być wątpliwości, iż jego ojciec król wyznaczył na jego opiekunów i kompanów samych dobrych ludzi, toteż on wolałby nadal mieć ich przy sobie.

Lecz to tylko mały chłopiec. Chłopiec, który stawia czoło mężczyźnie zaprawionemu w boju, nie wahającemu się przed niczym. Mimo to kiedy Ryszard York żąda, by mój brat Antoni, będący przyjacielem, opiekunem i preceptorem księcia od najmłodszych lat, oraz mój młodszy syn po Greyu odstąpili od jego boku, najdroższy Edward, nieodrodny syn swego ojca, sprzeciwia się temu. Mówi głośno i wyraźnie, że jego wuj Antoni to dobry człowiek i spolegliwy opiekun, a Ryszard Grey jest mu nie tylko bratem, ale także najbliższym towarzyszem i kompanem. Dowodzi, że hrabia Rivers nigdy by nie postąpił niezgodnie z kodeksem rycerskim, że ziemia nigdy nie nosiła godniejszego lorda. Jednakże księżę Gloucester informuje go, że wszystko zostanie wzięte pod rozwagę we właściwej chwili, a tymczasem to on, Ryszard York, i księżę Buckingham — mój dawny podopieczny, za którego wydała swą siostrę Katarzynę wbrew jego woli, a który niespodziewanie występuje u boku mego szwagra — będą towarzyszyli następcy tronu w dalszej drodze do Londynu.

To tylko chłopiec... Zawsze obchodzono się z nim łagodnie. Nie może wiedzieć, jak postąpić w obliczu zacięcia swego wuja Ryszarda, odzianego w czerń i straszącego twarzą niczym chmura gradowa, mającego za sobą dwa tysiące uzbrojonych ludzi gotowych do walki. Nie wiedząc, co mógłby zrobić innego, ustępuje i pozwala, by rozdzielono go z Antonim i Ryszardem Greyem. Niby jak miałyby ich ocalić? Wszakże gorzko przy tym płacze. Tyle się potem dowiaduję. Że mój mały Edward płakał jak zagubione dziecko, kiedy nikt go nie słuchał, lecz koniec końców pozwolił, aby ich zabrano.

MAJ 1483 ROKU



Elżbietka, moja siedemnastoletnia córka, nadbiega pośród krzyków i ogólnego chaosu panującego w pałacu westminsterskim.

— Pani matko! Co się dzieje?

— Musimy się ukryć w sanktuarium—rzucam krótko.— Żwawo, zabierz co chcesz dla siebie i stroje dla dzieci. Dopilnuj, żeby zostały zdjęte kobierce i tapiserie z komnat królewskich. Niech wszystko przeniosą do opactwa. Znów się tam schronimy. Nie zapomnij o swoich klejnotach i futrach. Na koniec przejdź się po pałacu i sprawdź, czy każda wartościowa rzecz została zabrana.

— Ale dlaczego? — pyta mnie drżącymi bladymi wargami.
— Co takiego się stało? Czy mały Edward...

— Twój brat król został pojmany przez twego wuja, lorda protektora — odpowiadam rzeczowo. Moje słowa są jak noże, które trafiają ją prosto w serce. Elżbietka zawsze miała wuja Ryszarda w wielkim poważaniu i sądziła, że dobrze się o nas zatroszczy, gdy zajdzie potrzeba. — Twój ojciec w ostatniej woli nadał prawo do opieki nad księciem Walii swemu bratu, a mojemu wrogowi. Wkrótce się przekonamy, jakim to opiekunem okaże się Gloucester dla Edwarda. Wszelako lepiej nam się wszystkiemu przyglądać z zacisza sanktuarium. Opuszczamy pałac jeszcze dzisiaj, jak najprędzej.

— Pani matko... — Elżbietka wykonuje kilka niezgrabnych gestów, nie wiedząc, co robić ani co myśleć. Zdaje się przepełniona strachem. — Może powinniśmy się wstrzymać, odwołać do rady

królewskiej? Może powinniśmy czekać w pałacu na małego Edwar-
da? Co będzie, jeśli wuj Ryszard zwyczajnie wiedzie go do Londynu
pod eskortą, zapewniając bezpieczeństwo?... W końcu jest lordem
protektorem, do jego obowiązków należy roztoczenie opieki nad
księciem Walii.

— Twój brat przestał być księciem wraz ze śmiercią Edwarda
Czwartego. Teraz to król zarówno dla ciebie, jak i dla mnie. Posłu-
chaj mnie, córko... Kiedy zbliżają się wrogowie, tylko głupiec czeka
z założonymi rękoma w nadziei, że okażą się przyjaciółmi. Dlatego
zamierzam poszukać schronienia w sanktuarium, by włos nie spadł
nam z? głowy. Zabierzemy ze sobą twego drugiego brata, księcia
Ryszarda Shrewsbury, by zapewnić mu bezpieczeństwo. A kiedy
lord protektor w końcu pojawi się w Londynie, będzie mnie musiał
długo przekonywać, iż nic nam nie grozi poza murami opactwa.

Próbuję natchnąć odwagą swoją dzielną dziewczynkę — teraz
już właściwie młodą niewiastę, której życie nagle legło w gruzach,
gdy wraz z nieoczekiwaną zmianą na dworze z pierwszej księżniczki
Anglii przeistoczyła się w uciekinierkę szukającą azylu w świątyni
— lecz prawda wygląda tak, że nasze położenie prezentuje się dość
kiepsko, gdy jak dawniej barykadujemy drzwi krypty kościoła pod
wezwaniami świętej Małgorzaty i zostajemy sami: mój brat Lionel,
biskup Salisbury, mój dorosły syn Tomasz Grey i wszystkie moje
pozostałe przy życiu córki: Elżbietka, Cecylia, Anna, Katarzyna
i Brygida. Kiedyśmy poszukali tutaj schronienia po raz pierwszy,
nosiłam w łonie swego pierwszego syna i miałam wszelkie podstawy
podejrzewać, że pewnego dnia w przyszłości sięgnie on po koronę
po swym ojcu. Podówczas żyła jeszcze moja matka, która była mi
zawsze najlepszą towarzyszką i przyjaciółką — w jej obecności
nigdy nie czułam prawdziwego zagrożenia, zwłaszcza jeżeli swoim
zwyczajem układała plany wyjścia z sytuacji i rzucała uroki, za nic
mając własne ambicje. Również mój królewski małżonek pozosta-
wał przy życiu, choć znalazł się na wygnaniu, ja zaś nie wątpiłam, że
powróci do Anglii zwycięski. Pamiętałam, że nie przegrał ani jednej
potyczki, i miałam pewność, że wróci, odniesie zwycięstwo nad na-
szymi wrogami, po czym uwolni nas z dobrowolnego odosobnienia.

Zdawałam sobie sprawę, że nadeszły gorsze czasy, lecz wierzyłam w odmianę losu na lepsze.

Teraz, gdyśmy znaleźli się tu ponownie, trudno nawet o nadzieję. Mimo że jest początek lata, moja ulubiona pora roku, zazwyczaj wypełniona przejażdżkami, ucztami na wolnym powietrzu i turniejami. W ciemnej krypcie nie czuć powiewu lata, mrok jest przytłaczający. Wydaje mi się, że zostaliśmy żywcem pogrzebani. Także fakty nie napawają otuchą. Mój najstarszy syn, następca tronu, znalazł się w rękach nieprzychylnego mi człowieka; moja matka od dawna nie żyje; mój mąż spoczął dopiero co w grobie. Przystojny zwycięski młody król nie zastuka do tych drzwi; stając w progu, nie przesłoni światła swą barczystą sylwetką; nie zawoła mego imienia. Jego dziedzic i następca tronu, poprzednio nowo narodzone dziecko w mych ramionach, teraz chłopiec lat dwunastu i pół, dostał się w niewolę wroga. Najstarsza księżniczka, Elżbietka, w tamtych dniach bawiąca się wesoło ze swymi młodszymi siostrami, wyrosła na siedemnastoletnią pannę. Właśnie gdy o tym myślę, zwraca ku mnie spojrzenie i pyta, co pocniemy. Przed niespełna trzynastu laty wiedziałam, że jeśli tylko uda nam się przeżyć, zostaniemy wybawieni z opresji. Tym razem niczego nie jestem pewna.

Przez niemal tydzień nasłuchuję u małego okienka w drzwiach. Od świtu do zmroku wyzieram przez kratownicę i nastawiam ucha na odgłosy dobiegające z londyńskiej ulicy. Opuszczam posterunek przy drzwiach tylko po to, by przejść pod okno wychodzące na rzekę, gdzie z kolei przyglądam się przepływającym łodziom, wypatruję królewskiej barki, staram się wyczuć obecność Meluzyny.

Co dzień wyczekuję posłańców donoszących o losie mego brata, syna i króla. Co dzień łudzę się, iż zobaczę lordów królestwa powstających w naszej obronie, zasłaniających nas własnymi piersiami obleczonymi w budzące szacunek i strach liberie. Nadaremno. Dopiero piątego dnia moich uszu dochodzi narastający zgiełk, donośne wiwaty wznoszone przez czeladników i cichszy dźwięk, przenikliwszy, coś jakby gwizdy. Następnie rozlega się ogłuszający stukot końskich podków na bruku. To Ryszard książę Gloucester, mój szwagier, któremu zmarły król powierzył opiekę nad nami wszystkimi, wraz ze swą armią wkracza do Londynu pośród wiwatów i gwiz-

dów świadczących o mieszanych reakcjach tłumu. Wyglądając przez okno na rzekę, widzę, że przy brzegu pojawił się łańcuch łodzi pod banderą Glouceстера — unosząca się na falach Tamizy flota odgradza nas od świata, powodując, że ani z pałacu westminsterskiego, ani do niego nikt się nie prześlizgnie.

Nagle grzmia wystrzały i głośne krzyki. Zastanawiam się, czy gdybym powołała londyńczyków pod broń, gdybym wypowiedziała Ryszardowi Yorkowi wojnę od pierwszych chwil, teraz bym mogła stawić mu czoło, zamiast kryć się w katakumbach kościoła. Natychmiast wszakże nachodzi mnie myśl o moim synu Edwardzie i o Riversie i Greyu przetrzymywanych w charakterze zakładników, by zagwarantować sobie moje dobre sprawowanie. Nie umierająca nigdy nadzieja podpowiada, że może jednak nie mam się czego obawiać. Doprawdy sama już nie wiem... Mój złotowłosy chłopiec jest albo nowym królem, prowadzonym z wszelkimi honorami we wspnianym orszaku na uroczystą koronację, albo tylko porwanym i uwięzionym dzieckiem. Nawet tego nie wiem na pewno.

Kładę się spać z pytaniem dźwięczącym mi w uszach niczym echo werbli. Nie rozdziewam się do snu i ani na chwilę nie mrużę oka. Wiem, że tej nocy gdzieś w pobliżu czuwa bezsennie mój najstarszy syn. Jak każda niewiasta drżąca o życie rodzonego dziecka, rozpaczliwie pragnę znaleźć się przy nim, zobaczyć go i zapewnić, że jest już bezpieczny, że nic mu nie grozi. Nie mogę uwierzyć, iż będąc córą Meluzyny, nie potrafię przecisnąć się między kratami i rzucić wpływ, byle doń dotrzeć. To mój syn, obecnie w strachu, może nawet w niebezpieczeństwie. Dlaczego nie jestem razem z nim?

Nie mam wszakże wyjścia, pozostaje mi leżeć bez ruchu i czekać, aż niebo zmieni barwę z głębokiej czerni w szarość zlewającą się z kolorem okiennych gomółek. Dopiero wtedy pozwalam sobie podnieść się z łoża i podejść do drzwi, gdzie przykładam nos do kratownicy, by widzieć jak najwięcej. Z dojmującym uciskiem w sercu uzmysławiam sobie, że nikt nie chwycił za broń, by stanąć za Edwardem, by uwolnić jego i nas. Poddani pobuczeli trochę na widok lorda protektora ciągnącego za sobą w ogonie młodego króla, tu i ówdzie może powstały drobne zamieszki, ten i ów może

wywalczył coś dla siebie, lecz nikt nie zwołał armii i nie wydał rozkazu do ataku na pałac. Minionej nocy ja jedna w całym Londynie nie zmrużyłam oka, drżąc o dobrostan nowego króla i zamartwiając się do białego rana.

Miasto zamarło w oczekiwaniu na to, co uczyni lord protektor. Wszystko od tego zależy. Czy Ryszard York książę Gloucester, ukochany lojalny brat zmarłego króla, zamierza wypełnić wolę wyrażoną przez monarchę na łożu śmierci i dopilnować osadzenia na tronie Anglii jego syna? Czy zamierza, wierny jak zawsze, działać jako lord protektor i chronić swego bratanka do dnia koronacji? Czy też Ryszard książę Gloucester, fałszywy jak każdy z rodu Yorków, postanowił raczej wykorzystać władzę nadaną mu przez brata, wydziedziczyć następcę tronu i samemu włożyć na skronie koronę, by księciem Walii uczynić swego syna? Na razie nikt nawet się nie domyśla, co Gloucester ma w planach, a większości jak zwykle zależy na tym, by znaleźć się po stronie zwycięzcy. Wszyscy musimy czekać, aby się przekonać, co będzie dalej. Chyba tylko ja jedna uderzyłabym nań, gdybym mogła, aby zapewnić sobie i swojej rodzinie bezpieczeństwo.

Znowu podchodzę do okienka z widokiem na Tamizę i patrzę na rzekę, która przepływa niemal na wyciągnięcie ręki. Przy wodnej bramie do opactwa widzę kołyszącą się na fali łódź z uzbrojonymi mężczyznami. Strzegą mnie pilnie, utrzymując na dystans sojuszników, jakich mogłabym mieć. Ktokolwiek chciałby tą drogą znaleźć się za murami opactwa, zostanie zawrócony i odesłany precz.

— Zawłaszczy sobie koronę — mówię cicho rzece, Meluzynie, mojej nieżyjącej matce. Nasłuchują mnie spośród nurtu. — Gdybym miała postawić na to całe swoje bogactwo, zrobiłabym to bez wahania. Ryszard York zawłaszczy sobie koronę mego męża i syna. Wszyscy z tego rodu byli chorzy z ambicji, a najmłodszy Ryszard niczym się od nich nie różni. Mój Edward ryzykował życie rok po roku, walcząc o koronę lub chcąc ją zatrzymać. Jerzy książę Clarence wolał dobrowolnie włożyć głowę do kadzi z winem, aniżeli złożyć przyrzeczenie, że nigdy się nie upomni o tron. A teraz Ryszard wjechał do Londynu na czele tysięcy zbrojnych. Na pewno nie

robi tego dla dobra swego bratanka. Jako ksiązę z dynastii Yorków sam wyciągnie ręce po koronę Anglii. Poda setki powodów, aby uprawomocnić swoje roszczenia, a ludzie latami wciąż będą się zastanawiali, czy postąpił słusznie. Moim zdaniem sięgnie po koronę Anglii z tej prostej przyczyny, że nie umie się przed tym powstrzymać, tak jak przed nim Jerzy nie umiał powstrzymać swojej głupoty, a Edward bohaterstwa. Mój szwagier, Ryszard York, obejmie panowanie w Anglii, odsuwając od władzy mnie i moich bliskich.

Robię pauzę na krótki rachunek sumienia.

— W mojej naturze leży walczyć o swoje przywileje — kontynuuję cichym głosem. — Dlatego gotuję się do walki. Aby nie dać się zaskoczyć, już spodziewam się najgorszego. Będę musiała się pogodzić z utratą syna Ryszarda Greya i brata Antoniego, tak jak kiedyś się pogodziłam z utratą ojca i brata Jana. Żyjemy w ciężkich czasach, bywa, że za ciężkich jak dla mnie. Lecz nie poddam się bez walki. Zamierzam wystąpić w obronie dziedzictwa swego najstarszego syna.

W tej samej chwili gdy podejmuję to postanowienie, u drzwi sanktuarium pojawia się niespodziany gość, dając znać o swoim przybyciu najłżejszym pukaniem z możliwych, po którym następuje kolejne, równie ciche. Zbliżam się do zabarykadowanych drzwi powoli, ważąc każdy krok i powściągając ogarniający mnie strach. Otwieram okienko zasłaniające kratownicę w drzwiach i staję oko w oko z tą ladacznicą Jane Shore w narzuconym głęboko na głowę kapturze, by ukryć grzywę złotopłowych włosów i powieki zaczerwienione od nieustannego płaczu. Ona widzi moją pobladłą twarz wyzierającą zza krat i zdającą się twarzą więźnia.

— Czego chcesz? — pytam oziębłe.

Podskakuje w miejscu na dźwięk mego głosu. Chyba myślała, że mam na swoich usługach ochmistrza dworu i z tuzin służących oraz halabardników strzegących wierzei.

— Wasza miłość! — wykrzykuje zdumiona.

— We własnej osobie. Czego chcesz, Shore? — w moim tonie pojawia się opryskliwość.

Znienawidzona niewiasta znika mi z oczu, kiedy opada w dygu tak głębokim, że czubek jej głowy znajduje się daleko poniżej dolnej

krawędzi kratownicy, i przez moment dostrzegam komizm całej tej sytuacji, lecz oto znów mam przed sobą jej pełne oblicze wyrosłe równie nagle jak krągły księżyc nad widnokregiem.

— Przybywam z podarkami, wasza miłość — mówi wyraźnie. Następnie, zniżając głos do szeptu, dodaje: — Iz wieściami. Proszę, przyjm mnie przez wzgląd na króla.

Obruszam się wewnątrz na to, że śmie o nim wspominać, jednakowoż po chwili dociera do mnie, iż ta osoba uważa się za wciąż pozostającą w służbie jego wysokości i mojej, jako swej królowej. Odciągam ciężkie sprząty i odsuwam rygle, by otworzyć drzwi, które niemal natychmiast mogę zamknąć z powrotem, gdyż Jane Shore wpada do środka jak wystrzelona z procy.

— Słucham? — odzywam się głucho. — Z czym do mnie przychodzisz? I to nieproszona...

Niewiasta stoi tuż za progiem, nie śmiać postąpić kroku dalej w głąb mego sanktuarium. Schyla się i stawia na posadzce koszyk, który przyniosła niczym zwykły kocmołuch z królewskich kuchni. Obrzucam go szybkim spojrzeniem i dostrzegam wędzoną szynkę i pieczone kurczę.

— Przysyła mnie sir William Hastings — odpowiada, z pośpiechu łykając końcówki. — Przekazuje przeze mnie pozdrowienia dla waszej miłości i zapewnienie o swej lojalności.

— Och, czyżbyś zmieniła utrzymanka? Teraz jesteś jego dziwką?

Unosi wyżej głowę i patrzy mi prosto w twarz, a ja z trudem pohamowuję sapnięcie z wrażenia na jej dumne i dostojne piękno. Jane Shore ma stalowe oczy i jasne włosy. Przypomina mnie sprzed jakichś dwu dekad i moją córkę Elżbietkę: jest piękna angielską urodą, istna róża Anglii. Powinnam znieawidzić ją za to bardziej, lecz jakoś nie mogę się na to zdobyć. Myślę sobie, że gdyby przed dwudziestu laty Edward był już żonaty, nie okazałabym się od niej wiele lepsza — wolałabym zostać jego nałożnicą, niż nie zaznać go w ogóle.

Mój syn Tomasz Grey wyłania się z cienia krypty i stając u mego boku, skłania przed nią głowę, jakby była damą. Jane posyła mu słaby uśmiech, jak gdyby byli dobrymi przyjaciółmi i nie potrzebowali słów.

— Tak, teraz jestem utrzymanką sir Williama — przyznaje cicho. — Świętej pamięci król Edward odesłał mego małżonka za granicę i unieważnił moje małżeństwo. Krewni z obu stron ani myślą przyjąć mnie z powrotem pod swój dach. Utraciłam wszelką ochronę z chwilą śmierci jego wysokości. Sir William zaoferował mi dach nad głową, a ja skwapliwie skorzystałam z propozycji, ciesząc się na odrobinę bezpieczeństwa.

Kiwam wolno głową.

— No i?

— Poprosił mnie, bym została jego posłańcem, gdyż nie może cię odwiedzić osobiście, wasza miłość. Zbyt obawia się wszechobecnych szpiegów księcia Ryszarda. Kazał mi przekazać, żebyś nie traciła nadziei, ponieważ jego zdaniem wszystko skończy się dobrze.

— Dlaczego miałabym ci wierzyć?

W tej chwili do rozmowy włącza się Tomasz.

— Wysłuchaj jej, pani matko — mówi z perswazją w głosie. — To godna szacunku niewiasta. Szczerze miłowała twego męża i nie przysłałaby do ciebie z fałszywą radą.

— Zejdź mi z oczu — napadam na syna. — Porozmawiam z nią na osobności. — Odwracam się na powrót do Jane. — Twój nowy opiekun jest moim wrogiem, odkądśmy się poznali. Nie rozumiem, czemu nagle miałby przejść na moją stronę. To on doprowadził do tego, że Gloucester pojmał mego syna. Moim zdaniem nadal go popiera.

— Sądził, że w ten sposób ochroni młodego króla — kontruje Jane Shore. — Chodziło mu wyłącznie o bezpieczeństwo następcy tronu. Życzył sobie, byś to usłyszała, i prosił, abyś była dobrej myśli.

— Doprawdy? — burczę, choć jestem pod wrażeniem wiadomości, cóż z tego, że przekazanej przez podłego posłańca. Czyżby Hastings rzeczywiście okazał się lojalnym przyjacielem mojego męża nawet po jego śmierci? Jeżeli faktycznie nie widzi zagrożenia, jeśli szczerze nie wątpi w bezpieczeństwo mego syna, zaiste wszystko powinno się skończyć dobrze. — Skąd u niego ta pewność siebie?

Jane Shore zbliża się do mnie o pół kroku, by móc zniżyć głos do szeptu.

— Młody król zamieszkał w pałacu biskupim — rzece konfidencjonalnie. — Tutaj, w pobliżu. Jednakże rada królewska nalega, by został przeniesiony do królewskich apartamentów w Tower i koronowany. Twój syn Edward ma objąć panowanie jako następny król Anglii.

— Gloucester pozwoli na jego koronację?

Jane potakuje skinieniem.

— Królewskie apartamenty już są dlań szykowane, a krawcy dokonują przymiarek szat koronacyjnych. Trwają przygotowania opactwa westminsterskiego do uroczystości. Są zamawiane widowiska i zbierane fundusze na wielką ucztę koronacyjną. Zostały już rozesłane zaproszenia do lordów... Wszystko odbywa się jak należy — zawiesza głos — aczkolwiek w pośpiechu. Kto mógł przypuszczać, że...

Urywa raptownie. Widać obiecała sobie, że nie okaże przede mną żałości. Jakżeby śmiała? Królewska ladacznica płacząca przed królową z powodu utraty kochanka i króla — kto to widział? Dlatego nie mówi nic więcej i tylko mruganiem stara się przepędzić łzy z oczu. Ja również milczę i także czuję wilgoć pod powiekami, więc szybko odwracam od niej spojrzenie. Nie zamierzam się poddać sentymentom. Byłam jego żoną i królową, ona zaś tylko kochanicą! Lecz Bóg świadkiem, że obie żałujemy go równie mocno. Dzielimy tęsknotę za Edwardem, tak jak kiedyś dzieliłyśmy otrzymaną odeń radość.

— Wiesz, co mówisz? — dopytuję ledwie słyszalnie. — Szatniczy dobywają stroju koronacyjnego? Wszystko wskazuje na rychłą koronację mego syna?

— Ustalono już nawet datę. Koronacja odbędzie się dwudziestego piątego dnia czerwca i mają być na niej obecni wszyscy możnowładcy Anglii. Nie ma cienia wątpliwości co do planów Ryszarda — zapewnia mnie Jane. — Dlatego sir William prosił, byś nie traciła ducha. Niedługo zobaczysz swego syna na tronie Anglii. Obiecał również, iż wielkiego dnia z samego rana zjawi się tu po ciebie, by eskortować cię do opactwa, gdzie na własne oczy zobaczysz, jak

twój pierworodny wkłada na głowę koronę. Będziesz prominentną osobą w świecie młodego króla.

Chwytam się tej nadziei jak tonący brzytwy. Z wolna zaczyna do mnie docierać, że to co mówi mi Jane Shore, może być prawdą, i że niepotrzebnie uciekłam do sanktuarium niczym zając zmykający przed nieistniejącymi ogarami, który przypada do ziemi w zagłębieniu między z uszami gładko położonymi po sobie, podczas gdy obława zacieśnia krąg na sąsiednim polu.

— A Edward Plantagenet, młodzian hrabia Warwick, został odesłany na północ do domostwa Anny Neville, małżonki księcia Gloucester.

Teraźniejszy Warwick to chłopiec osierocony przez beczkę małmazji. Ma zaledwie osiem lat i jest nie więcej jak przestraszonym głupcem, nieodrodnym synem swego ojca Jerzego księcia Clarence. Mimo to stoi w kolejce do tronu Anglii tuż po moich synach, a przed swoim wujem, księciem Gloucester, który pragnie zapewnić mu bezpieczeństwo w swoim domu.

— To sprawdzona wiadomość? — dociekam. — Młody Warwick trafił pod skrzydła żony Ryszarda?

— Mój opiekun uważa, iż księżę Gloucester obawia się ciebie, wasza miłość, i potęgi twoich krewnych, lecz nigdy by nie wystąpił przeciwko własnej krwi, przeciwko własnym bratankom. Wszyscy ci chłopcy nie mają się zatem czego bać.

— A czy twój opiekun wie coś o losie mego brata Antoniego i Ryszarda Greya?

Jane kiwa głową i podejmuje relację:

— Rada królewska nie wyraziła zgody na to, by obciążyć hrabiego Rivers oskarżeniem o zdradę. Wszyscy jak jeden mąż potwierdzili, że zawsze wiernie i z oddaniem służył miłościwemu panu i jego następcy. Księżę Gloucester zarzucał mu porwanie młodego księcia, ale nikt nie dał temu wiary. Oskarżenie upadło. Panowie rada oddalili obawy Ryszarda Yorka, a on pogodził się z ich werdyktem. Mój opiekun jest zdania, iż zarówno twój brat Antoni, jak i twój syn Ryszard Grey zostaną uwolnieni tuż po koronacji.

— Zatem Gloucester ułoży się z nami?

— Sir William twierdzi, iż ksiązę Gloucester jest przeciwny tobie i twoim krewnym, wasza miłość, lecz pozostaje lojalny wobec młodego Edwarda przez wzgląd na swego brata Edwarda Czwartego i jego pamięć. Rozkazał mi, aby ci przekazać, iż możesz mieć pewność, że twój syn zasiądzie na tronie Anglii.

Potakuję w zamyśleniu.

— Odpowiedz Hastingsowi — zacznę mówić wolno, starannie dobierając słowa — że nie mogę się doczekać tego dnia, lecz tymczasem pozostanę w ukryciu. Mam jeszcze drugiego syna i pięć córek i wolałabym ich nie wystawiać na niebezpieczeństwo. Jakoś nie umiem zaufać swemu szwagrowi.

— Sir William powiedział, że sama także nie jesteś godna zaufania — dyga głęboko i pochyła głowę, by nie patrzeć mi w oczy, znieważając. — Powiedział też, że nigdy nie uda ci się pokonać księcia Gloucester. Będziesz musiała pójść z nim na układ. Mój opiekun pragnie ci przypomnieć, miłościwa pani, że to twój mąż wyznaczył swego brata na lorda protektora i regenta królestwa, a panowie rada chętniej widzą jego wpływy niż twoje. Proszę o wybaczenie, wasza miłość, lecz mój opiekun chciał także, abyś się dowiedziała, że jest wielu takich, co nie darzą twojej rodziny sympatią i woleliby widzieć młodego króla uwolnionego spod wpływu licznych wujów ze strony matki, zaś Riversów wykurzonych ze świeżo nadanych ziem i zamków. Nie przeszło bez echa to, żeś skradła klejnoty królewskie i zabrała je ze sobą do sanktuarium razem z wielką pieczęcią, jak również to, że twój brat Edward Woodville, lord admirał, wywiódł całą flotę w morze.

Zgrzytam zębami na rzucane mi w twarz zniewagi mające poniżyć mnie i całą moją rodzinę, szczególnie Antoniego, który wywarł wielki wpływ na następcę tronu, który kocha swego siostrzeńca jak rodzonego syna i który dziś tkwi w niewoli z jego powodu.

— Przekaż Hastingsowi, że Gloucester musi bezzwłocznie uwolnić mego brata, oczyszczając go z wszelkich zarzutów — wyrzucam z siebie. — Możesz dodać, że przypominam i jemu, i całej radzie królewskiej o pozycji i zasługach Riversów dla królestwa i królowej wdowy. Niech nikt nie zapomina, iż wciąż jestem królową Anglii. Ten kraj widział już królowe walczące w swojej sprawie, niech to

będzie dla wszystkich ostrzeżeniem. Ryszard York porwał mojego syna i wjechał do Londynu pod bronią. W swoim czasie będzie musiał za to przede mną odpowiedzieć.

Jane Shore blednie ze strachu. Najwyraźniej nie uśmiecha jej się rola pośrednika między dworzaninem myślącym tylko o swojej karierze i królową, której myśli nie opuszcza zemsta. Lecz takie właśnie zadanie przed nią stoi i będzie musiała je wykonać, czy jej się to podoba czy nie.

— Przekażę twoje słowa memu opiekunowi, wasza miłość — zapewnia niechętnie, dyga głęboko i kieruje się ku drzwiom. Przystanąwszy w progu, odwraca się i rzecze: — Czy wolno mi złożyć swoje szczerze wyrazy współczucia z powodu śmierci króla i twojego małżonka? To był wspaniały mężczyzna. Traktowałam jako największy honor to, iż mogłam go kochać.

— On ciebie nie kochał — wypływam z siebie z gwałtownością, o jaką bym się nie podejrzewała, i z satysfakcją widzę, jak jej lica bieleją.

— Nie, to prawda... Nigdy nie kochał nikogo poza tobą — mówi głosem tak słodkim, że nie mogę nie poczuć wzruszenia. Na jej wargach błąka się słaby uśmiech, lecz oczy ponownie wezbrały łzami. — Ani przez chwilę nie wątpiałam, że jest tylko jedna królowa w Anglii i w jego sercu. Nie pozwalał mi o tym zapomnieć. Wszyscy wiedzieli, że świata poza tobą nie widział...

Przesuwa rygiel i otwiera mniejsze drzwi we wrotach prowadzących do krypty.

— Ty też byłaś mu droga — powiadam wbrew sobie pod wpływem impulsu, chcąc oddać jej sprawiedliwość. — Byłam o ciebie zazdrosna, ponieważ wiedziałam, iż jesteś kimś ważnym w jego życiu. Powiedział mi raz, żeś najweselszą z jego ładacznic.

Twarz rozświetla jej się, co wygląda tak, jakby ciepły płomień zapalił się wewnątrz lampionu.

— Cieszę się, że tak o mnie myślał i że znalazłaś w sobie dość przyzwoitości, by mi o tym powiedzieć — rzecze z powagą. — Nigdy nie zależało mi na zaszczytach ani dworskich intrygach. Po prostu go miłowałam, uwielbiałam przebywać w jego towarzystwie i sprawiać mu przyjemność.

— Cóż... no tak... wyśmienicie — bąkam, czując, że opuszcza mnie wspaniałość. — Z Bogiem.

— I Bóg z tobą, wasza miłość — żegna mnie Jane Shore. — Być może znów zostanę przysłana z wiadomością. Czy mogę liczyć, że i wtedy mnie przyjmiesz?

— Ciebie czy kogoś innego, nie robi mi to różnicy. Bóg świadkiem, że jak Hastings zacznie używać swoich ladacznic jako posłańców, przewiną się ich przed moim nosem setki — powarkuję z irytacją, dostrzegając przewrotny uśmiech na jej obliczu tuż przed tym, zanim wymyka się za uchylone drzwi, a ja na powrót barykaduję się w swoim sanktuarium.

CZERWIEC 1483 ROKU



Zapewnienia Hastingsa nie powstrzymują mnie w pół ruchu. Wypowiadam wojnę Ryszardowi Yorkowi. Zamierzam go zniszczyć, uwolnić mego syna i brata oraz oswobodzić spod wujowskiej wątpliwej kurateli następcę tronu. Ani myślę czekać potulnie, jak radzi sir William, aż Gloucester raczy koronować Edwarda na króla Anglii. Nie ufam mu, tak jak nie ufam już radzie królewskiej i londyńczykom, którzy tylko patrzą, po czyjej stronie stanąć i jak ocalić skórę. Postanawiam wziąć swego wroga przez zaskoczenie i w ten sposób pokonać.

— Wyślij wiadomość do swego wuja Edwarda — przykazuję Tomaszowi. — Przekaż mu, by stawiał żagle i szykował flotę do walki, podczas gdy my opuścimy sanktuarium i wzniesimy bunt przeciwko lordowi protektorowi. Gloucester i księżna wdowa Cecylia zajęli zamek Baynarda. Zadaniem Edwarda będzie zaatakować siedzibę Yorków, gdy tymczasem my wędzemy się do Tower i uwolnimy księcia Walii.

— A jeśli wuj Ryszard naprawdę ma zamiar go koronować? — wysuwa wątpliwość pierworodny. Pod wpływem mojego spojrzenia pochyla głowę i zaczyna mozolnie szyfrować wiadomość, korzystając z ustalonego zawczasu kodu. Poślaniec już czeka, by co koń wyskoczy powieźć rozkazy do admirała stojącego na kotwicy na głębokiej wodzie u wybrzeży Kentu.

— To i tak zginie, a my koronujemy Edwarda sami — odpowiadam butnie. — Być może zabijemy lojalnego stronnika i księcia

panującej dynastii, ale nad tym będziemy się zastanawiać później i wyprawimy mu ładny pogrzeb, gdy zajdzie potrzeba. Nie możemy stracić swojej szansy. Nie możemy pozwolić mu, by złapał Londyn pewniejszą ręką. Pół królestwa jeszcze nie wie, że umarł król Edward Czwarty. Zakończmy panowanie księcia Gloucester, nim na dobre się rozpanoszy.

— Byłoby dla nas korzyścią, gdybyśmy przeciągnęli na swoją stronę niektórych przynajmniej lordów — zauważa mój syn.

— Zobacz, co da się zrobić w tej sprawie — mówię bez specjalnego przekonania. — Od lady Stanley wiem, że jej mąż jest za nami, mimo że to stary przyjaciel Ryszarda. Postaraj się to potwierdzić. Wszelako ci wszyscy, którzy nie stanęli w naszej obronie, gdy Gloucester wkroczył do stolicy, mogą szczeznąć razem z nim, mnie to za jedno. Zdradzili mnie i pamięć mego królewskiego małżonka. Nawet ci, którzy przeżyją walki, zostaną postawieni przed sądem za zdradę i poniosą słuszną karę.

Tomasz spogląda na mnie niespokojnie.

— Rozniecasz na nowo płomień bratobójczej wojny, pani matko — rzuca mi prosto w twarz. — My, Riversowie, nasi kuzyni, protegowani i poddani przeciwko zasiedziałym lordom Anglii z księciem Gloucester, twym szwagrem, na czele. York przeciwko Yorkowi... — kręci z niedowierzaniem głową. — Zapowiada się niełatwa walka, którą jeszcze trudniej przyjdzie zakończyć i wygrać.

— Nie mam wyjścia — odpowiadam ponuro — jak tylko ją wygrać.

Ladacznica Jane Shore nie jest jedyną osobą, która zjawia się w sanktuarium, by przekazywać mi szeptane wieści zza murów. Moja siostra Katarzyna, żona napuszonego księcia Buckingham, mego niegdysiejszego podopiecznego, przybywa z krewniaczą wizytą, przynosząc ze sobą dobre jadło i wino oraz wczesne maliny ze swoich ziem.

— Wasza miłość, droga siostró — wita się ze mną, dygając.

— Księżno, siostró — witam ją równie sztywno.

Poślubiliśmy ją Buckinghamowi, gdy był naburmuszoną sierotą lat dziewięciu. Zdobyliśmy dla niej tysiące akrów urodzajnych ziem

i najznaczniejszy tytuł w całej Anglii, ustępujący tylko księżniczce krwi. Pokazaliśmy dumnemu chłystkowi, że choć nosi wspaniałe nazwisko, znacznie wspanialsze od naszego, jesteśmy władni wybrać mu żonę, ożenić go z moją siostrą, która odtąd jest księżną Buckingham. Katarzyna miała wiele szczęścia, że zapewniłam jej to księstwo. Jednakże fortuna kołem się toczy i teraz, po latach, moja siostra nie jest zamężna z niezadowolonym chłopięciem, tylko z mężczyzną zbliżającym się do trzydziestki, a przy tym najlepszym przyjacielem lorda protektora i regenta Anglii, ja zaś stałam się owdowiałą królową szukającą azylu po kościołach, ukrywającą się przed swym największym wrogiem.

Katarzyna bierze mnie pod ramię, tak jak często robiła, gdyśmy jeszcze były dziewczynkami w domu rodzinnym w Grafton, i równym krokiem podchodzimy do okna, by wyjrzieć na leniwe wody Tamizy.

— Krążą słuchy, że uwiodłaś króla za pomocą czarostwa — mówi, prawie nie poruszając wargami. — Poza tym jest ponoć ktoś gotów poświadczyć, że Edward był żonaty, zanim ożenił się z tobą.

Obracam lekko głowę i napotykam jej zaniepokojone spojrzenie.

— To plotki wyciągnięte z lamusa. Nie zaprzęłam sobie nimi głowy.

— Proszę. Wysłuchaj mnie. Być może jestem tu pierwszy i ostatni raz. Mój mąż zyskuje na władzy i znaczeniu. Zdaje się, że zamierza odesłać mnie na prowincję, czemu nie będę mogła się sprzeciwić. Dlatego pozwól mi powiedzieć, co wiem. Robert Stillington, biskup Bath i Wells...

— To przecież nasz człowiek... — przerywam jej, zapominając, że nie może już być mowy o żadnych „nas”.

— To b y ł twój człowiek — prostuje Katarzyna. — Już nim nie jest. Za panowania Edwarda pełnił funkcję lorda kanclerza, lecz teraz przeszedł na stronę księcia Gloucester, z którym pozostaje w wielkiej przyjaźni. I zapewnia go, jak wcześniej zapewniał jego brata Jerzego księcia Clarence, że Edward York był żonaty z niejaką Eleonorą Talbot, po mężu lady Butler, zanim w ogóle zainteresował się tobą, i że to ona pierwsza urodziła mu prawowitego potomka.

Odwracam głowę. Oto cena, jaką przychodzi mi płacić za niewierność mego męża.

— Po prawdzie chyba obiecywał jej małżeństwo... — szepczę zakłopotana. — Może nawet odbyła się jakaś ceremonia przypominająca zaślubiny. Antoni kiedyś tak powiedział...

— To jeszcze nie wszystko.

— Nie?

— Powiadają też, że Edward wcale nie był synem Ryszarda Plantageneta, tylko został mu narzucony przez wiarołomną żonę.

— A, ten stary skandal!

— Ten stary skandal — potwierdza moja siostra.

— Któż odgrzewa te zimne mięsa?

— Książę Gloucester we własnej osobie oraz mój mąż książę Buckingham. Co gorsza, twoja świekra, a matka króla jest gotowa oświadczyć publicznie, że Edward Czwarty nie był synem z prawego łoża, lecz bękartem. Sądzę, że posunęłaby się znacznie dalej, byle tylko pomóc swemu ostatniemu synowi, Ryszardowi, włożyć koronę i odsunąć od sukcesji twego syna. Gloucester z Buckinghamem rozgłaszają, gdzie mogą, że król Edward był bastardem i uzurpatorem, więc młody Edward nie może być prawowitym następcą tronu. Co czyni z Ryszarda nowego króla.

Kiwam głową, zastanawiając się gorączkowo nad tym, co usłyszałam. No tak. No tak. Oczywiście. Coś takiego skończy się naszym wygnaniem i rządami Ryszarda Yorka, który uczyni księciem Walii swego syna o obliczu niczym serwatka.

— Ostatnia wiadomość jest taka — Katarzyna zniża głos do szeptu — że książę podejrzewa cię o gromadzenie własnej armii. Przestrzegł już panów radę, że zamierzasz doprowadzić go do upadku wraz z całym angielskim możnowładztwem. Na tej podstawie posłał do Yorku po wierne mu oddziały. Z północy nadciąga jego wojsko.

Bezwiednie zaciskam palce na jej ramieniu.

— To prawda, że gromadzę armię — potwierdzam. — Kiedy można się spodziewać jego ludzi z północy?

— Dopiero niedawno po nich posłał — odpowiada z wahaniem. — Z pewnością nie zjawią się prędzej niż za kilka dni. Może nawet za tydzień. Czy możesz poderwać swoich ludzi do walki już teraz?

— Nie — sapię przejęta. — Jeszcze nie...
— Nie rozumiem, co możesz osiągnąć, siedząc w tej norze — zatacza wolną dłońią koło. — Nie powinnaś stąd wyjść i stanąć przed radą królewską? Czy w ogóle komunikujesz się z kimś z panów rady? Masz jakiś plan?

Potakuję zdecydowanym skinieniem.

— O, tak. Możesz być pewna, że mamy plan. Zamierzam uwolnić Edwarda i zaraz potem oswobodzić Ryszarda Greya i naszego brata Antoniego. Już przekupiłam gwardzistów z Tower, by chronili mojego syna. Młody król jest otoczony przez dobrych ludzi. Ufam, że we właściwej chwili będą patrzyli w drugą stronę. Dwaj księżęta zostaną dobrze ukryci. Z kolei Tomasz uda się niebawem do wioski Sheriff Hutton, gdzie wypuści na wolność swego brata i wuja, po czym wszyscy wrócą tutaj, już pod bronią, i wzniesą powstanie naszych stronników. Jestem pewna, że nam się uda.

— Ale najpierw oswobodzisz synów króla?

— Mój mąż zaplanował to lata temu, kiedy obaj byli jeszcze w kołysce. Przysięgam na swoje życie, że bez względu na wszystko zawsze będę miała na uwadze przede wszystkim ich dobro. Nie zapominaj, że Edward i ja rozpoczęliśmy panowanie w efekcie wygranych walk; żadne z nas nigdy nie czuło się dość pewnie na tronie. Zagrożenie towarzyszyło nam niby cień. Nawet gdyby Gloucester nie miał zamiaru ich skrzywdzić, nie mogę pozwolić, by rozprowadzał na prawo i lewo, że są synami z nieprawego łoża. Pomoże nam Edward, wielki admirał, który sprowadzi flotę i zaatakuje siły Glouceстера. Jeden z jego statków uwięzie chłopców do naszej Małgorzatki we Flandrii, gdzie będą bezpieczni...

Teraz to ona chwyta mnie palcami za rękę, wbijając paznokcie głęboko w ciało.

— Siostró droga... Elżbieto! Na Boga! To ty nic nie wiesz?

— Czego nie wiem?

— Nasz brat Edward jest bezsilny. Jego marynarze zbuntowali się przeciwko niemu, biorąc stronę lorda protektora.

Przez uderzenie serca jestem zmartwiała jak trup.

— Nasz brat Edward?... — ucapiam się jej obiema dłońmi.

— Co z nim? Nie żyje? Zamordowali naszego brata Edwarda?

Katarzyna potrząsa bezradnie głową.

— Nie wiem nic na pewno. Chyba nikt nie wie. Nikt nie ogłosił oficjalnie jego śmierci. Raczej więc nie został poddany egzekucji...

— Kto podburzył jego ludzi przeciwko niemu?

— John Howard — podaje mi nazwisko szlachetki zyskującego na znaczeniu dzięki temu, że poparł Ryszarda Yorka, licząc na profity. — Od niego rozpoczął się bunt. Marynarze nie byli chętni wyruszać w morze, zdążyli się już odwrócić od Riversów. Mało kto z poddanych darzy naszą rodzinę sympatią.

— Bezsilny... — powtarzam słowo, którego Katarzyna użyła w stosunku do Edwarda, niedawnego admirała floty. Nie jestem jeszcze w stanie ogarnąć rozmiaru klęski. — Nie ma Edwarda, nie ma floty, nie ma skarbu, który mu powierzyłam... Na nim zasadzał się mój plan. Tak bardzo liczyłam, że w połączeniu z siłami Antoniego i Ryszarda Greya uda mu się nas uratować. Złoto znajdujące się na jego statku miało nam kupić armię we Flandrii i opłacić sojuszników w Anglii. Okręty miały zasypać Londyn bombami i wziąć miasto szturmem od strony rzeki.

Moja siostra robi niewyraźną minę, jak gdyby biła się z własnymi myślami, po czym nagle — zupełnie jakby tchnęła ją do tego desperacja w moim głosie — sięga pod kornet i wyciąga ledwie widoczny skrawek materii. Wręcza mi go.

— Co to?

— Kawałek serwety księcia Gloucester, której używał podczas uczy z moim mężem — odpowiada. — Trzymał go w prawym ręku, ocierał nim usta. — Zniża głos i spojrzenie. Zawsze odczuwała strach przed mocą pani matki i nigdy nie pragnęła osiąść jej zdolności. — Pomyślałam, że może ci się przydać — dodaje. — Pomyślałam, że może zechcesz zrobić z niej użytek. — Waha się przez chwilę. — Musisz powstrzymać Gloucestera. Jego władza staje się większa z każdym dniem. Pomyślałam, że mogłabyś nań sprowadzić chorobę...

— Odcięłaś kawałek serwety księcia Gloucester? — pytam z niedowierzaniem. Katarzyna zazwyczaj stroniła od czarów. Kiedyśmy były małe, nie chciała nawet wysłuchiwać wróżb Cyganek na wiejskim targu.

— Dla Antoniego — potwierdza wściekłym szeptem. — Tak bardzo się o niego boję... Wiem, że zrobisz wszystko, by ochronić swoich synów. Wiem, że ich ukryjesz. Ale Gloucester ma w swoich łapach także Antoniego, a obaj... i Ryszard, i Henry... serdecznie go nienawidzą. Zazdroszczą mu oczytania i odwagi, i miłości i obawiają się go, a ja tak strasznie go kocham! Musisz powstrzymać Gloucestera — powtarza nagłaco. — Naprawdę, Elżbieto, musisz to zrobić. Musisz ocalić Antoniego.

Wsuwam skrawek materii za rękaw, tak by nikt — nawet moje dzieci — nie widział, że weszłam w jego posiadanie.

Zostaw to mnie — mówię szybko. — Przestań o tym w ogóle myśleć. Z twojej twarzy można czytać jak z księgi, Katarzyno. Masz serce na dłoni. Wszyscy się domyśla, do czego się przymierzam, jeśli natychmiast nie wyrzucisz z myśli tej sprawy.

Katarzyna chichocze nerwowo.

— Nie umiem kłamać...

— Po prostu o tym zapomnij.

Podchodzimy do drzwi.

— Idź z Panem Bogiem — żegnam ją. — Módl się za mnie i za chłopców.

Uśmiech spełza z jej twarzy.

— Nastają ciemne dni dla nas, Riversów — szepcze. — Będę się modliła o to, żebyście ty, siostrzo, i moi siostrzeńcy nie zaznali więcej krzywd.

— Jeszcze pożałuje, że to rozpętał! — wygrażam, chcąc ją pocieszyć, i znienacka muszę urwać, gdyż przed oczyma staje mi wyraźny obraz Ryszarda Yorka wyglądającego jak mały zagubiony chłopiec, potykającego się o własne nogi pośród pola bitwy, niosącego ciężki miecz w opuszczonej, znużonej dłoni. Rozgląda się za przyjaciółmi, lecz wszyscy go zostawili. Rozgląda się za koniem, lecz jego wierzchowiec odbiegł. Rozgląda się, skąd by tu zaczerpnąć sił, lecz jest ich całkiem pozbawiony. Wyraz jego twarzy wywołałby współczucie u najzaciętszego wroga.

Mrugam powiekami, kiedy Katarzyna dotyka delikatnie mojej ręki i pyta:

— O co chodzi? Co zobaczyłaś?

— Zobaczyłam, jak bardzo pożałuje tego, że ważył się to rozpętać — odpowiadam cicho. — To będzie ostateczny koniec jego i jego dynastii.

— A my? — pyta moja siostra, zaglądając mi w oczy, jak gdyby w ten sposób mogła zobaczyć to, co ja przed chwilą widziałam.

— Boję się, że nasz także.

O północy, kiedy robi się ciemno choć oko wykol, wstaję z łóża i sięgam po skrawek materii przyniesiony mi przez Katarzynę. W blasku docierającym od rzeki widzę ciemniejszą plamę tłuszczu w miejscu, którym Gloucester otarł sobie usta po posiłku. Przykładam kawałek lnu do nosa i wciągam powietrze. Chyba jadł mięso, choć wstrzemięźliwy z niego człowiek, gdy idzie zarówno o jedzenie, jak i o picie. Zwijam materiał w wąski pasek i obwiązuję nim prawe ramię tak ciasno, że niemal tracę w ręku czucie. Kładę się z powrotem spać, a kiedy rano się budzę, widzę, że biel ciała zmieniła się w tym miejscu w brzydki siniec. Przez dłoń i palce przebiegają mi mrówki. Jęczę z bólu, odwijając pasek lnu, lecz nawet po długiej chwili całe ramię mam słabe. Ciskam kawałek serwety w płomienie, mrużąc:

— Osłabnij jak ja. Utrać siły. Niech cię zawiedzie prawe ramię niezdolne unieść miecz do ciosu. Zaczepnij tchu i uwięź oddech w piersi, z każdym kolejnym zacznij się krztusić i dusić. Osłabnij i poczuj znużenie. Spłoń jak ogień... — Len pali się gwałtownie, a ja przyglądam się, dopóki nie zostanie sam popiół.

Nad ranem odwiedza mnie mój brat Lionel.

— Otrzymałem list od rady królewskiej. Lordowie proszą nas, byśmy opuścili sanktuarium i odesłali księcia Ryszarda Shrewsbury do Tower, by mógł towarzyszyć bratu w przygotowaniach do koronacji.

Odwracam się do okna i patrzę na rzekę, jak gdybym oczekiwała od niej odpowiedzi.

— Sama nie wiem... — mówię z niezdecydowaniem. — Wolałabym, żeby nie znaleźli się obaj w gestii Glouceстера.

— Nie ma już wątpliwości, że koronacja się odbędzie — ciągnie Lionel. — Wszyscy znaczni parowie królestwa stawili się w Londynie, opactwo westminsterskie zdaje się gotowe do uroczystości, speq'alnie na tę okazję uszyto nowe szaty koronacyjne... Powinniśmy się pokazać ludowi i zająć należne nam miejsce. Ukrywając się tutaj, podsuwamy poddanym myśl, że czujemy się winni.

Przygryzam dolną wargę.

— Gloucester to nieodrodny syn Yorków — stwierdzam. — Na własne oczy widział trzy płonące słońca, kiedy wyruszyli we trzech do zwycięskiej bitwy. Chyba nie sądzisz, że ot tak, zrezygnuje z możliwości władania Anglią? Chyba nie łudzisz się, że przekaże władzę w ręce małego chłopca?

— Uważam, że zechce rządzić królestwem poprzez twojego syna, jeśli nie uczynisz niczego, by temu zapobiec — wypala prosto z mostu Lionel. — Usadzi go na tronie i zrobi z niego swoją kukiełkę. Pójdzie w ślady Warwicka, twórcy królów. On wcale nie chce korony dla siebie, zadowoli się rolą lorda protektora i regenta królestwa. Będzie panował, sterując twoim synem.

— Edward będzie panującym monarchą z chwilą koronacji! — utrzymuję. — Przekonamy się, kogo będzie wtedy słucał!

— Gloucester ma prawo odmówić przekazania pełni władzy do czasu osiągnięcia przez Edwarda dwudziestego pierwszego roku życia. Będzie mógł sprawować władzę przez osiem kolejnych lat. Musimy być u boku króla, zasiadać w jego radzie królewskiej, aby móc bronić swoich interesów.

— A ja muszę mieć pewność, że mojemu synowi nie spadnie włos z głowy.

— Gdyby Ryszard zamierzał się pozbyć rywala, zamordowałby księcia Walii w Stony Stratford, tam gdzie go pojmał razem z Antonim i Ryszardem Greyem, za świadka mając tylko Buckingham — tłumaczy mi Lionel. — Nie zrobił tego jednak. Zamiast tego uklęknął przed młodym królem i złożył mu przysięgę na wierność, po czym przywiódł z wszelkimi honorami do Londynu. Teraz to my zdajemy się niegodni zaufania. Przykro mi to mówić, siostrze, ale chodzi o ciebie... Nigdy w życiu z tobą nie polemizowałem, wiesz to dobrze. Tym razem wszakże muszę otworzyć ci oczy. Mylisz się.

— Och, łatwo ci mówić! — wybucham. — Mam siedmioro dzieci, którym muszę zapewnić bezpieczeństwo, i królestwo, którym trzeba pokierować.

— Więc do dzieła — zachęca mnie mój brat. — Zajmij królewskie apartamenty w Tower i przypilnuj koronacji swego syna. Zasiądź na tronie i wydawaj rozkazy księciu Gloucester, który jest nikim więcej jak twoim szwagrem i opiekunem Edwarda Piątego.

Rozważam to w duchu. Być może Lionel ma rację, być może powinnam się znaleźć w samym środku przygotowań do koronacji, zdobywać stronników w imieniu młodego króla, obiecywać zaszczyty i stanowiska na nowym dworze. Gdybym wyszła teraz z ukrycia wraz ze swoimi uroczymi dziećmi i powróciła do pałacu, mogłabym władać Anglią przy pomocy mego syna. Być może powinnam upomnieć się o to, co się nam z prawa należy, a nie strachliwie chować się w krypcie. Być może tak właśnie powinnam postąpić, zamiast wszczynać wojnę o koronę. W końcu jestem panującą królową, królową ukochaną przez lud. Poddani tylko czekają, abym znów zasiadła na tronie — staną za mną murem. Muszę im się tylko pokazać. Zatem — być może — powinnam opuścić sanktuarium i wyjść na światło słoneczne tego lata, i wziąć to co moje.

Ktoś skrobie do drzwi. Z korytarzyka za nimi dobywa się męski głos.

— Spowiednik do królowej wdowy.

Ostrożnie otwieram kratownicę. Po drugiej stronie stoi dominikanin w kapturze zasłaniającym twarz.

— Przysłano mnie, bym wysłuchał twojej spowiedzi — rzecze.

— Wejdz, ojcze — mówię i otwieram drzwi na rozcież.

Duchowny wślizguje się do wewnątrz, skórzane sandały nie czynią żadnego hałasu na kamiennej posadzce. Kłania się przede mną i milczy dopóty, dopóki nie zamkną się za nim drzwi.

— Przychodzę od biskupa Mortona — odzywa się cicho. — Gdyby ktokolwiek o to pytał, powiesz, że wysłuchał twej spowiedzi, w której wyznałaś grzech smutku i nadmiernej żałości, ja zaś pouczyłem cię, byś nie poddała się rozpacz. Rozumiesz?

— Tak, ojcze.

Wtedy podaje mi złożony we czworo papier.

— Odczekam parę chwil i wyjdę — dodaje. — Nie wolno mi zabrać twej odpowiedzi.

Siada na zydlu przy drzwiach, odliczając w duchu upływające chwile. Ja zbliżam się do okna wychodzącego na rzekę i przy wtórze szemrania fal odczytuję wiadomość. Papier jest zalakowany pieczęcią Beaufortów. List podpisała lady Małgorzata Stanley, moja niegdysiejsza dama dworu. Mimo że urodziła się w domu sprzyjającym Lancasterom i wydała na świat ich ostatniego pretendenta do tronu, przez minione jedenaście lat pozostawała wierna drugiej stronie. Niewykluczone, że nie odwróci się od nas i teraz. Niewykluczone, że wraz ze swym małżonkiem Thomasem Stanleyem poprze mnie, a nie Glouceстера. W gruncie rzeczy moja sprawa to jej sprawa. Od dawna liczyła na to, że Edward da parol jej synowi, wybaczy płynącą w jego żyłach krew Lancasterów i zezwoli mu wrócić z wygnania w Bretanii. Nieraz, gdyśmy rozmawiały o dzieciach, wyrażała swą głęboką miłość do syna i matczyną nadzieję, że niebawem znów będzie go mieć przy sobie. Ja zaś obiecywałam, że tak się na pewno stanie. Lady Stanley nie ma powodów kochać księcia Gloucester. Ma za to pełne prawo uważać, iż przysłuży się swemu synowi lepiej, gdy pozostanie ze mną na przyjacielskiej stopie i okaże mi swoje poparcie.

Wszelako w jej liście nie znajduje się ani jedno słowo na temat spisku czy poparcia. W istocie skreśliła tylko parę linijek:

Anna Neville nie przybędzie do Londynu na koronację. Nie zarządziła przygotowania koni ani straży na podróż. Nie zamówiła nowych sukni na uroczystość. Uważam, że powinnaś o tym wiedzieć. M. S.

Trzymam papier w wyciągniętej dłoni. Anna jest chorowita, jej syn słabowity. Nie ma nic dziwnego w tym, że woli zostać w domu na prowincji. Lecz Małgorzata Beaufort nie zadałaby sobie tyle trudu, aby poinformować mnie o czymś tak oczywistym. Moja dawna dworka pragnie, abym się dowiedziała, iż żona księcia Gloucester nie śpie-

szy do Londynu na koronację, gdyż nie ma powodów do pośpiechu. Skoro zostaje w domu, czyni to na rozkaz swego małżonka, Ryszarda. On zaś wie, iż nie będzie żadnej uroczystości, w której powinna by wziąć udział. Zatem Ryszard nie wezwał swej żony do stolicy na czas, by zdążyła na koronację, najważniejsze wydarzenie podczas panowania każdego króla, dlatego że doskonale zdaje sobie sprawę, iż żadnej koronacji nie będzie.

Patrzę na wody Tamizy przez długi, długi czas, zastanawiając się, co to oznacza dla mnie i moich drogiego synów królewskiej krwi. Następnie odwracam się, przechodzę parę kroków i klękam przed dominikaninem.

— Pobłogosław mnie, ojcze — proszę.

Duchowny przykłada delikatnie dłoń do mojej głowy.

Służka, która co rano wymyka się za bramy opactwa, by kupić dla nas chleb i mięsa, tego dnia wraca z pobieloną twarzą i szeptem mówi coś do mojej najstarszej córki. Elżbietka natychmiast przychodzi z tym do mnie.

— Pani matko, muszę z tobą porozmawiać. Czy mogę?...

Wyglądam właśnie przez okienko na rzekę, przepatrując jej leniwy nurt jakby w nadziei, że Meluzyna wynurzy się z odmetów i udzieli mi jakiejś rady.

— Oczywiście, dziecko. O co chodzi? — pytam łagodnie, odwracając się do niej. Zaczynam czuć niepokój na widok jej spiętej twarzy.

— Nie rozumiem, co się dzieje, pani matko... Jemma wróciła z targu i przyniosła wieści o jakowejś kłótni pośród panów rady, ponoć doszło do rękoczynów i ktoś znalazł się pod dozorem... pomyśleć tylko: bijatyka w pałacu królewskim!... A sir William... — urywa, gdy brakuje jej tchu.

— Sir William Hastings? — upewniam się, że chodzi o najbliższego przyjaciela Edwarda, zaprzysiężonego obrońcę jego syna, mego nowo odnalezionego sojusznika.

— Tak, on. Pani matko, ludzie na targu mówią, że został stracony!

Muszę przytrzymać się kamiennego występu pod oknem, kiedy pomieszczenie wokół mnie zaczyna wirować.

— To niemożliwe... Służka musiała coś przekreślić...

— Powiedziała, że księżę Gloucester wykrył spisek zawiązany przeciwko jego osobie, pojmał dwóch wielkich panów i skrócił o głowę sir Williama!

— Na pewno się myli. Hastings to jeden z najpotężniejszych ludzi w Anglii. Nie mógłby zostać stracony bez procesu.

— Ale ona tak powiedziała... — powtarza szeptem Elżbietka. — Że go złapali, powiedli na dziedziniec Tower i tam ścięli na kłocu drewna bez żadnego ostrzeżenia, bez procesu, bez oskarżenia nawet.

Kolana się pode mną uginają i Elżbietka musi mnie złapać, żebym nie upadła. Na uderzenie serca wszystko wokół ciemnieje, po czym znów widzę swoją córkę — w przekrzywionym na bok czepku, w rozpuszczonych częściowo włosach — swoją uroczą córkę, jak zagłada mi w twarz i pyta:

— Pani matko... Mamo... Odezwij się... Dobrze się czujesz?

— Nic mi nie jest — odpowiadam. Leżę jak długa na posadzce z głową uniesioną na ramieniu Elżbietki. Gardło mam suche niczym wiór. — Nic mi nie jest, kochanie. Ale zdawało mi się, że powiedziałaś... że mówiłaś... Czy naprawdę twierdziłaś, że sir William Hastings nie żyje?

— Takie wieści przyniosła z targu Jemma, pani matko. A ja sądziłam, że wcale go nie lubiłaś...

Podnoszę się do pozycji siedzącej, mimo że w głowie mi się kręci.

— Dziecko, czasem lubienie nie ma nic do rzeczy. Ten człowiek jest największym obrońcą twego brata, jako jedyny zwrócił się do mnie z zapewnieniem o lojalności. To prawda, że nigdy nie darzył nas sympatią, lecz mimo to byłby gotów oddać życie, byle usadzić na tronie młodego Edwarda i dotrzymać słowa danego zmarłemu królowi. Jeżeli naprawdę zginął, straciliśmy największego sprzymierzeńca.

Elżbietka potrząsa lokami w zdumieniu.

— Czy to możliwe, że uczynił coś strasznego? Coś, co srodze uraziło lorda protektora?

Nagle rozlega się pukanie do drzwi, na co obie zamieramy bez ruchu.

— *C'est moi!* — wola ktoś po francusku.

— To niewiasta — mówię. W pierwszej chwili myślałam, że to kat Ryszarda przyszedł po nas z toporem wciąż ociekającym krwią Hastingsa. — Możesz otworzyć drzwi.

Na moje słowa Elżbietka odzyskuje zdolność ruchu i biegnie odsuwać rygle i otwierać mniejsze drzwi w drewnianych wrotach. Do środka wkracza Jane Shore okryta peleryną narzuconą na bogato zdobioną brokatem suknię i z kapturem na burzy jasnych włosów. Dyga przede mną, mimo że wciąż półożę na posadzce.

— Zatem już wiesz, wasza miłość...

— Hastings żyje?

Jane kręci przecząco głową. Choć oczy ma wypełnione łzami, odpowiada lakonicznie:

— Jest martwy. Dlatego tu przyszedłam. Został oskarżony o spiskowanie przeciwko księciu Ryszardowi.

Moja córka opada na kolana i ujmuje mnie za lodowate dłonie.

— Księżę Ryszard zarzucił sir Williamowi knowanie mające na celu doprowadzenie do jego śmierci. Twierdził, że sir William miał na swoich usługach czarownicę opłaconą, by działała na jego szkodę. Nawet teraz utrzymuje, że szybciej niż zwykle traci oddech, czuje się chory i słaby. Przed radą królewską oznajmił, że niemoc dopadła jego prawe ramię, po czym aby to udowodnić, obnażył się od dłoni do barku i podetknąwszy rzeźbione ramię pod nos memu opiekunowi, spytał, czy sam nie widzi, że ciało na nim usycha. Uważa, iż wrogowie rzucili nań urok.

Nie spuszczam wzroku z jej twarzy, nawet nie zerkam na kominiek, gdzie spłonął kawałek lnu z serwety, po tym jak przewiązałam materiał na swoim ręku, przeklęłam Glouceстера i odebrałam mu siły i oddech, czyniąc jego robiące mieczem ramię równie słabe jak u garbusa.

— Czy wymienił miano tejże czarownicy? — pytam.

— Tak, podał twoje imię. — Czuję, że Elżbietka wzdraga się na tę odpowiedź. — Jak również moje.

— Twierdzi, że działamy pospołu?

— Owszem — potwierdza. — Dlatego przysłałam cię ostrzec. Jeśli uda mu się przekonać panów radę, że jesteś czarownicą, będzie mógł złamać świętość sanktuarium i zabrać stąd ciebie i dzieci. Prawda?

Potakuję skinieniem. Rzeczywiście, w takim wypadku Gloucester mógłby to zrobić.

Poza tym nazbyt dobrze pamiętam, co się zdarzyło po bitwie pod Tewkesbury, kiedy to mój własny mąż włamał się do sanktuarium bez dania racji i słowa wyjaśnienia, powyciągał na zewnątrz rannych i urządził jatkę na schodach klasztoru, po czym wtargnął do środka i zamordował paru innych przy ołtarzu, tak że trzeba było potem szorować z krwi posadzkę prezbiterium i ponownie święcić to miejsce skalane śmiercią niewinnych.

— Prawda — potwierdzam na głos. — W przeszłości działały się gorsze rzeczy.

— Muszę już iść... — odzywa się Jane, nie tając strachu. — Książę ma wszędzie szpiegów. Sir William życzyłby sobie, abym uczyniła wszystko co w ludzkiej mocy, by ochronić ciebie i twoje dzieci, lecz Bóg świadkiem, że nic więcej nie mogę zrobić. Wiedz jeszcze, że lord Stanley starał się uratować Hastingsa. Przestrzegł go, że książę wystąpi przeciwko niemu. Śniło mu się, że obaj zginą rozsieczeni przez dzika o okrwawionych szablach. Upowiedział mego opiekuna. Ów jednak nie sądził, że sprawy potoczą się tak szybko... — Łzy płyną otwarcie po jej policzkach, głos ma schrypnięty. — Co za niesprawiedliwość — dodaje szeptem. — Co za nikczemność rozprawić się w ten sposób z przyzwoitym człowiekiem. Pozwolić, by gwardziści siłą wyciągnęli go z komnat rady... Kazać odjąć mu głowę bez spowiedzi... Nie było przy nim księdza, nikt nie zmówił nawet modlitwy...

— To był przyzwoity człowiek — przyznaję.

— Odkąd go nie stało, jesteś zdana na własne siły — stwierdza. — Wszyscyście teraz w wielkim niebezpieczeństwie. Podobnie jak ja... — Narzuca kaptur na głowę i odwraca się do wyjścia. W progu mówi jeszcze: — Życzę jak najlepiej tobie i twoim dzieciom. Synom Edwarda. Jeżeli nadarzy się okazja, bym ci się jakoś przysłużyła, nie

zawaham się. Wszelako nie powinnam tu więcej przychodzić. Nie ważę się ryzykować...

— Zaczekaj — powstrzymuję ją nagle. — Mówiłaś, że lord Stanley pozostał wierny młodemu królowi.

— On, biskup Morton i arcybiskup Rotherham znaleźli się w lochu na rozkaz księcia Gloucester pod zarzutem, iż pomagają tobie i twojej rodzinie. Księżę cierpi na manię prześladowczą. W radzie królewskiej pozostali tylko ci, którzy posłusznie robią, co im każe.

— Czy on całkiem oszalał? — wybucham. — Czy Ryszard ze szczętem postradał zmysły?

Jane Shore potrząsa głową.

— Moim zdaniem podjął już decyzję o tym, by zasiąść na tronie Anglii — odpowiada szczerze. — Pamiętasz, jak król Edward powiadał, że jego brat zawsze dotrzymuje obietnic? Że jeśli Ryszard coś przyrzeknie, można być pewnym, że to zrobi... bez względu na koszt?

Nie podoba mi się, że ta ładacznica cytuje mego męża, lecz nie mogę jej odmówić racji.

— Dlatego właśnie uważam, że sięgnie po koronę... On to sobie poprzysiągł. Uznał, że najlepiej dla niego i dla Anglii będzie, gdy na tronie zasiądzie silny monarcha, a nie dwunastolatek. A co postanowił, wprowadzi w życie. Nie licząc się z kosztami. Bez względu na wszystko.

Uchyła drzwi i wygląda na zewnątrz. Podnosi z ziemi koszyk i przekłada go przez zgięte ramię, aby mogła się zdawać niewiastą dostarczającą nam prowiant. Rzuca ostatnie spojrzenie za siebie.

— Król uważał, że gdy Ryszard się na coś uweźmie, nic go od tego nie odwiedzie — dodaje na odchodnym. — Jeśli rzeczywiście jest gotów na wszystko, ani ty, ani twoje dzieci nie jesteście bezpieczni. Przez wzgląd na pamięć Edwarda mam nadzieję, że potrafisz zadbać o siebie i swoje potomstwo... potomstwo króla. — Dyga płytko i szepcze na koniec: — Niech Bóg cię chroni... — Drzwi się zamykają i Jane Shore, być może ostatnia przyjazna mi dusza, znika.

Nie tracę ani chwili. Zupełnie jakby uderzenie topora, który rozrąbał szyję Hastingsa na dziedzińcu londyńskiej twierdzy, było sygnałem trąbki do rozpoczęcia wyścigu. Nagrodą w tym wyścigu jest bezpieczeństwo mego syna uwolnionego spod kurateli Glouceстера, który najwyraźniej wkroczył na wojenną ścieżkę. Mam całkowitą pewność, że mój szwagier jest gotów zabić obu moich synów, aby oczyścić sobie drogę do tronu. Nie wróżę też dobrze synowi Jerzego, gdziekolwiek się teraz znalazł. Na własne oczy widziałam, jak Ryszard bez wahania przestąpił próg komnaty śpiącego Henryka VI, by odebrać bezbronnemu życie tylko dlatego, że jego prawa do korony Anglii nie ustępowały prawom Edwarda. Nie mam wątpliwości, że książę Gloucester użyje obecnie tej samej logiki, którą tamtej nocy zastosował u boku swych dwóch braci. Uświęcony namaszczeniem stary król stał zawadą pomiędzy nimi i tronem — więc go zabili. W tej chwili zawadą dla pozostałego przy życiu Ryszarda jest mój syn. Wiem, że zamorduje go, jeśli tylko zdoła, a ja być może nie będę mogła uczynić nic, aby uratować pierworodnego mego męża i następcę tronu. Klnę się jednak, że nie pozwolę mu choćby tknąć mego młodszego syna.

Przygotowywałam go na to od dawna, lecz gdy znienacka mówię mu, że będzie musiał uciekać jeszcze tej nocy, mój mały Ryszard zdaje się zdumiony nagłym obrotem wypadków. Cały kolor odpływa z jego twarzy wraz z krwią, jednakże chłopięca brawura sprawia, że jest zdolny trzymać głowę wysoko, choć musi zagryzać wargi, aby się nie rozpłakać. Mimo iż ma tylko dziewięć lat, został wychowany na prawdziwego księcia z rodu Yorków. Został nauczony, jak okazywać odwagę. Całuję go w czubek jasnowłosej głowy i przykazuję, aby był grzeczny i pamiętał o tym wszystkim, co mu mówiłam, po czym kiedy robi się wystarczająco ciemno, prowadzę go przez katakumby, w dół po schodach, w głąb podziemi Świętej Małgorzaty, gdzie musimy się przeciskać między kamiennymi sarkofagami i nisko sklepiionymi niszami funeralnymi, mając za wszystko światło tylko jedną pochodnię niesioną przez zaufanego człowieka przed nami i kaganek w rękę Ryszarda. Płomyk świeci równo. Mój syn nie drży, nawet gdy przechodzimy obok ukrytych

w cieniu grobów; idzie dziarsko u mego boku, nie opuszczając głowy.

Ta droga prowadzi do dobrze zamaskowanej żelaznej bramy, za którą rozciąga się mała przystań z unoszącą się na falach rzeki niewielką łódką. Jest to barka napędzana wiosłami, jedna z setek podobnych, które kursują po Tamizie, przewożąc ludzi i towary. Miałam nadzieję odesłać młodego Ryszarda na okręcie wojennym, pod eskortą jego wuja Edwarda zawiadującego uzbrojonymi ludźmi, którzy przysięgali na wierność nowemu królowi, lecz Bóg tylko wie, gdzie jest mój brat admirał tej nocy. Wszem wobec jednak wiadomo, że flota zwróciła się przeciwko nam i jeśli postawi żagle, zrobi to dla Glouceстера. Nie mam do dyspozycji ani jednego statku z prawdziwego zdarzenia, toteż będzie musiała wystarczyć zwykła łódź. Ryszard Shrewsbury opuści Londyn w towarzystwie dwóch lojalnych służących i z matczynym błogosławieństwem. W Greenwich czeka na niego jeden z zaufanych ludzi nieżyjącego króla, niejaki Edward Brampton, który szczerze miłował mego męża. Przynajmniej mam taką nadzieję. Niczego bowiem nie mogę już być pewna.

Dwaj mężczyźni oczekują w milczeniu naszego przybycia, utrzymując barkę w bezruchu za pomocą liny przerzuconej przez metalowe koło wbite pomiędzy kamienne stopnie nabrzeża. Popycham Ryszarda w ich stronę, a oni wyciągają ręce i uniósłszy chłopca wysoko w powietrze, stawiają suchą nogą na pokładzie. Nie ma czasu na czułe pożegnania, zresztą cóż mogłabym powiedzieć? Szepczę więc tylko modlitwę za bezpieczeństwo mego syna, jej słowa dławia mnie w gardle. Łódź odbija od brzegu, a ja macham ręką zawzięcie, spoglądając na malejącą w mroku twarzyczkę skrytą pod za dużą czapą. Para wielkich oczu wpatruje się we mnie i niknie na samym końcu.

Starannie zamykam za sobą żelazną bramę, po czym odbywam tę samą wędrówkę co przed paroma chwilami, tylko w odwrotnym kierunku — przez podziemia, mimo grobowców, w górę po kamiennych schodach, aż wreszcie znajduję się w swoim azylu, gdzie natychmiast podchodzę do okna z widokiem na rzekę, akurat na czas, by zobaczyć, że barka z młodym Ryszardem włącza się w nocny ruch

na Tamizie. Dwaj mężczyźni wiosłują zaciekle, a drobna postać siedzi przycupnięta na rufie. W polu widzenia znajduje się tuzin podobnych łodzi, w sumie ich setki krążą po rzece we wszystkich kierunkach, wioząc mężczyzn zajętych załatwianiem swoich spraw i nedorostków na posyłki. Wypycham okiennice na zewnątrz, lecz nie wołam. Nie wolno mi zawołać go z powrotem. Chcę tylko, by mnie dostrzegł, jeśli podniesie spojrzenie; by poczuł, że nielekką przyszło mi się z nim rozstać, że byłam z nim do ostatniej chwili. Pragnę, aby wiedział, że wypatruję go w ciemnościach, i aby miał pewność, że nie przestanę tego robić do końca swego życia, do własnej śmierci, nawet p o śmierci, podczas gdy rzeka będzie szepać do mnie jego imię.

Mój syn nie podnosi wzroku. Zachowuje się tak, jak mu przykazałam. To dobre dziecko, odważne dziecko. Wie, że musi trzymać głowę opuszczoną i mieć czapę naciągniętą nisko na czoło, aby ukryć swe płowe loki i gładką cerę. Wie, że musi reagować na przybrane imię Piotr i że nikt nie będzie się przed nim gwał w ukłonach. Nadszedł czas, by zapomniał o dworskich przedstawieniach i innych rozrywkach, o lwach trzymanyh w klatkach za murami Tower i o błaznie fikającym koziołki, byle przywołać twarz na uśmiech księcia. Do przeszłości należą wiwatujące na jego cześć tłumy i śliczne siostry, które bawiły się z nim i uczyły go łaciny i francuskiej mowy, a nawet paru słówek języka germańskiego. Nie zobaczy już swego brata, którego nie odstępował na krok od maleńkości, a który miał zostać królem. Jego przeznaczeniem jest stać się jak ptak, jak jaskółka, która zimą chroni się pod powierzchnię wód, gdzie skuwa ją lód, pozbawiając zdolności lotu i śpiewu, i która nie pojawia się znów na niebie wcześniej jak z nadejściem wiosny zdejmującej mroźne zaklęcie z rzek i strumieni i pozwalającej im na powrót płynąć. Właśnie jak ten mały ptaszek mój syn musi pozwolić, by rzeka go połknęła, musi się oddać pod opiekę boginie Meluzynie czuwającej nad naszą rodziną od pokoleń. Musi ufać, że rzeka powiedzie go do bezpiecznej kryjówki, której ja już nie byłam w stanie mu zapewnić.

Patrzę za nim z okna mojego azylu i dość długo widzę go wyraźnie, jak siedzi na rufie oddalającej się łodzi niesionej miarowymi

ruchami wiosłarzy. Następnie łódź wpływa w zwąwszy nurt i nabiera prędkości pośród roju innych łodzi, barek, łódek rybackich, stateczków handlowych, promów pomiędzy przeciwległymi brzegami, nawet drewnianych tratew. Wreszcie nadchodzi chwila, gdy tracę mego syna z oczu całkowicie i muszę go powierzyć opiece Meluzyny i rzeki. Pozostaję sama, opuszczona przez drugiego następcę tronu, czując się tak, jakbym ugrzęzła na mieliźnie.

Ostatni z moich synów, dwudziestosześcioletni Tomasz Grey, odchodzi tej samej nocy. Wymyka się za bramy opactwa przebrany za stajennego i wtapia w uliczki Londynu. Potrzebny nam ktoś poza murami sanktuarium, ktoś, kto by przesyłał nam wiadomości i zbierał wiernych nam poddanych. Wciąż są setki ludzi lojalnych wobec nas i tysiące takich, co chętnie wystąpią przeciwko uzurpatorowi. Wszelako ktoś musi ich zorganizować i przejąć nad nimi dowodzenie. Tomasz Grey idealnie nadaje się do tej roli. Tomasz Grey jest jedynym, który może się jej podjąć. Zdaję sobie sprawę, że narażam go na niebezpieczeństwo, być może nawet na śmierć.

— Bóg z tobą — mówię mu na pożegnanie, gdy klęka, by odebrać ode mnie błogosławieństwo. Kładąc dłoń na jego głowie, pytam: — Dokąd się udasz?

— Do najbezpieczniejszego miejsca w całym Londynie — odpowiada ze smutnym uśmiechem. — Do miejsca, w którym kochano twego męża króla i w którym książę Gloucester nigdy nie znajdzie sojusznika. Do najuczciwszego interesu w stolicy.

— To znaczy?

— Do lupanaru — odpowiada, szczerząc zęby.

Po chwili i jego sylwetka niknie w narastających ciemnościach.

Nazajutrz wczesnym rankiem Elżbietka przyprowadza do mnie młodziutkiego pazia. Chłopak służył nam na zamku windsorskim i zgodził się pozostać u nas na służbie. Moja córka trzyma go za rękę z dobroci serca, choć wonieje stajniami, w których śpi.

— Będziesz odpowiadał, kiedy cię zawołają. Ryszard Shrewsbury książę Yorku — instruuję go. — Nie będziesz się dziwił, gdy

ludzie będą do ciebie mówili: milordzie i wasza miłość. Nie bąkniesz nawet słowem. Co najwyżej skiniesz głową. Czy to jasne?

— Tak, wasza miłość — mamrocze.

— Do mnie zaś będziesz się zwracał: „pani matko”.

— Tak, wasza miłość.

— „Tak, pani matko”.

— Tak, pani matko — powtarza posłusznie.

— A teraz weźmiesz kąpiel i włożysz czyste odzienie.

Nareszcie podnosi na mnie wzrok i w jego oczach widzę strach.

— Nie! Nie mogę się myć! — protestuje.

Elżbietka jest zbulwersowana.

— Ależ wszyscy się połapia!

— Możemy powiedzieć, że jest chory — improwizuję. — Ogłosimy, że się przeziębził i cierpi na ból gardła. Obwiążemy mu szyję welurem, zakrywając też usta. Tym sposobem nie będzie go korciło, aby się odzywać. Poza tym to potrwa tylko parę dni. Ot tyle, że-
byśmy zyskali przewagę czasu.

— Mimo wszystko namówię go na kąpiel — ofiarowuje się moja córka.

— Będziesz potrzebowała pomocy Jemmy — przestrzegam.
— I pewnie któryś ze służących będzie musiał przytrzymać go w balii.

Uśmiecha się blado, lecz jej oczy pozostają zasnutę smutkiem.

— Pani matko, naprawdę sądzisz, że mój wuj księżę Gloucester uczyniłby krzywdę swemu bratankowi?

— Sama nie wiem, co sądzić — odpowiadam. — Dlatego właśnie odesłałam stąd swego drugiego syna królewskiej krwi, a Tomaszowi Greyowi każę wychodzić ukradkiem na ulice Londynu. Nie umiem przewidzieć następnych kroków Ryszarda Yorka.

Służka Jemma prosi mnie, aby mogła wyjść w niedzielne popołudnie i na własne oczy zobaczyć, jak ta ladacznica Jane Shore odprawia pokutę.

— Co zobaczyć? — pytam zdumiona.

Dziewczyna dyga przede mną głęboko, schylając głowę, lecz i tak widzę, że tak jej spieszo być świadkiem upokorzenia Jane, iż jest gotowa mnie obrazić.

— Dopraszam się łaski, wasza miłość, wasza królewska mość, królowo, ale Jane Shore ma chodzić po mieście w samym gieźle, trzymając w ręku zapaloną świeczkę, tak żeby każdy zwrócił na nią uwagę. W ten sposób będzie pokutować za grzechy, za to, że nisko upadła i kupczyła własnym ciałem. Pomyślałam sobie, że mogłabym przychodzić wcześniej i zostawać dłużej aż do niedzieli i wtedy wasza miłość pozwoli mi...

— Jane Shore? — upewniam się.

Jemma zadziera głowę i patrzy na mnie, powtarzając, co zasłyszała na ulicy:

— Ta bezwstydną ładacznica. Sam lord protektor wyznaczył jej pokutę za grzech rozpusty.

— Możesz iść — wyrzucam z siebie zgodę. Jedno więcej ciekawskie spojrzenie w ciżbie nie zrobi różnicy. Mimowolnie wyobrażam sobie tę młodą niewiastę, którą kochał Edward, którą kochał Hastings, przemierzającą londyńskie ulice boso i w samej bieliźnie, z kopącym ogarkiem w ręku osłanianym przed wiatrem, by nie zgasł na wietrze, podczas gdy ludzie będą wykrzykiwać pod jej adresem obelgi i nawet pluć na nią. Edwardowi by się to nie spodobało i przez wzgląd na niego, jeśli nie na nią, byłabym temu zapobiegła, gdybym tylko mogła. Jednakże nie jestem władna uczynić niczego w jej obronie. Książę Gloucester ukazał swoje prawdziwe, zawistne oblicze i teraz nawet piękna niewiasta musi odcierpieć swoje za to, że była miłowana.

— Została ukarana za swoją urodę — oznajmia mój brat Lionel, przysłuchując się dobiegającym z zewnątrz pomrukom tłumu wyrażającego swą aprobatę, gdy nieszczęsna Jane potykając się, wędruje wzdłuż miejskich murów. — Oraz dlatego, że Gloucester podejrzewa, iż dała schronienie twemu synowi Tomaszowi. Ukryła go dobrze, gdy ludzie księcia przeszukiwali każdy zakamarek, po czym wyekspediowała w dalszą drogę.

— Niech Bóg jej za to sprzyja — wtrącam.

Lionel uśmiecha się pod nosem.

— Najwyraźniej kara odnosi skutek odwrotny od zamierzonego. Zdaje się, że nikt nie rzuca jej obelg w twarz ani kłód pod nogi. Niewiasty współczują jej i wołają o pomstę do nieba, a mężczyźni z przyjemnością jej się przyglądają. Nie co dzień widzi się na ulicy taką ślicznotkę w samym gieźle. Na własne uszy słyszałem, jak ktoś krzyczał, że Jane Shore jest jak nagi anioł, piękna i upadła.

Również rozciągam wargi w uśmiechu.

— Anioł czy dziwka, niech Bóg jej sprzyja za to, co zrobiła dla mojego syna.

Mój brat, biskup Kościoła, wzdycha.

— Jeśli nawet zgrzeszyła, to przez miłość, nie złą wolę — stwierdza. — W czasach takich jak te wyłącznie to się liczy.

17 CZERWCA 1483 ROKU



Przysyłają mego krewniaka, kardynała Tomasza Bourchiera, a wraz z nim półtuzin innych lordów z rady królewskiej z poruczeniem, by przemówili mi do rozsądku. Witam ich jak na królową przystało, w swej najlepszej sukni, w klejnotach królewskich wyniesionych w ostatniej chwili ze skarbcza, siedząc na wysokim krześle zastępującym mi tron. Mam szczerą nadzieję, że prezentuję się dostojnie i po monarszemu, aczkolwiek prawda jest taka, że targa mną żądza mordy. Oto panowie rada zawdzięczający swoją pozycję memu mężowi. To Edward IV uczynił ich tym, czym są dzisiaj, a jednak mają śmiałość przyść do mnie i mówić mi, czego oczekuje ode mnie książę Gloucester. Elżbietka stoi za oparciem krzesła, za nią w rządku ustawia się reszta moich córek. Nie ma przy mnie synów ani braci. Żaden z lordów nie mówi, że Tomasz Grey opuścił sanktuarium i krąży po Londynie, a ja ani myślę zwracać ich uwagę na jego nieobecność.

Informują mnie, iż oficjalnie ogłosili Gloucestera lordem protektorem i opiekunem księcia Walii oraz regentem królestwa, a także zapewniają, iż trwają przygotowania do koronacji mego syna Edwarda. Namawiają, żebym zwolniła księcia Ryszarda Shrewsbury, aby mógł dołączyć do swego starszego brata w królewskich apartamentach Tower.

— Książę Gloucester będzie lordem protektorem jeszcze tylko przez parę dni, do koronacji — obwieszcza Tomasz Bourchier z twarzą tak szczerą, że nie mam innego wyjścia, jak mu uwierzyć.

Jest to mężczyzna, który niemal całe życie podporządkował próbom przywrócenia w Anglii pokoju. Koronował mego świętej pamięci małżonka na króla, a mnie na królową właśnie dlatego, że ufał, iż nasze panowanie przyniesie pokój. Wiem więc, że nigdy by mnie nie okłamał. — Z chwilą koronacji cała władza przejdzie w ręce młodego króla, ty zaś zajmiesz należne ci miejsce jako królowa wdowa i królowa matka — tłumaczy dalej, po czym prosi: — Wróc do swego pałacu, wasza miłość, i bądź obecna na koronacji. Poddani zaczynają się zastanawiać, czemu cię nigdzie nie widać, i z pewnością nie wygląda to najlepiej w oczach zagranicznych ambasadorów> Wypełnijmy przyrzeczenie dane królowi Edwardowi w godzinie śmierci: ustanówmy twego syna nowym królem i współdziałajmy dla dobra Anglii, odkładając na bok wzajemne animozje. Niech jak każe tradycja, cała rodzina królewska zamieszka w Tower, skąd wyjdzie pokazać się ludowi w dzień koronacji, zaświadczać o swej potędze i wspianłości.

Na krótką chwilę rozwiewa moje obawy i niemal mnie przekonuje. Co więcej, słowa kardynała brzmią w mych uszach kusząco. Zaczynam wierzyć, że wszystko naprawdę może się dobrze skończyć. Zaraz jednak wracają mi na pamięć twarze Antoniego i Ryszarda Greya uwięzionych na zaniku Pontefract, wywołując we mnie wahanie. Muszę się zastanowić, muszę pomyśleć... Muszę zapewnić im obu bezpieczeństwo. Dopóki znajduję się w murach sanktuarium, dopóty bezpieczeństwo moje i mego drugiego syna po królu stanowi równowagę dla życia mego brata i syna po Greyu. Ci dwaj stali się zakładnikami wymuszającymi na mnie dobre sprawowanie, lecz zarazem Gloucester nie waży się ich tknąć ze strachu, co mogłabym uczynić w rewanżu. Aby pozbyć się Riversów, Gloucester musiałby mieć nas wszystkich w garści. Trzymając się odeń na dystans, chronię tych, których już pojmał, jak również tych, którzy szczęśliwie wciąż pozostają na wolności. Moim obowiązkiem jest dopilnować, by żaden z wrogów nie zagroził Antoniemu. To w tej chwili mój priorytet. Na tym polega moja kruczata — w przeciwieństwie do tej, na którą nie pozwoliłam mu się wyprawić. Jeśli zapewnię mu bezpieczeństwo, sprawię, że nadal będzie światłem życia mego i innych ludzi.

— Nie jestem w stanie wydać wam księcia Ryszarda — odzywam się głosem przepełnionym udawanym żalem. — Był ostatnio bardzo niezdrow. Nie zniósłabym myśli, że troszczy się o niego ktoś obcy. Wciąż jeszcze nie wydobrzał ani nie odzyskał głosu, a nawrót choroby, gdyby takowy nastąpił, z pewnością okazałby się znacznie gorszy od pierwotnej niedyspozycji, która go zmogła. Jeżeli tak wam zależy, by obaj bracia pozostawali razem, przyślijcie tutaj Edwarda, abym mogła troszczyć się o obydwoch, mając pewność, że nic im nie grozi. Okrutnie tęsknię za swym starszym synem po królu i chciałabym się przekonać na własne oczy, że nic mu nie jest. Zaklinam was, odeślijcie go do mnie, pod opiekuńcze skrzydła matki. Na koronację może się udać stąd tak samo jak z Tower.

— Cóż to za wymysły, wasza miłość — odzywa się kpiąco John Howard, pokazując rogi byczka, którym jest w istocie. — Czy umiesz podać choć jeden powód, który wywołuje twoje obawy co do bezpieczeństwa obu książąt?

Przyglądam mu się bacznie. Czyżby sądził, że tak łatwo przyznam się do nienawiści, którą żywię od zawsze do Glouceстера?

— Wszyscy moi bliscy znaleźli się albo w lochu, albo w dobrowolnym ukryciu — rzekę matowym głosem. — Czemu miałabym sądzić, że akurat moim synom nic nie zagraża?

— *Pax, pax* — włącza się znów kardynał, uciszając Howarda spojrzeniem. — Każdy kto znalazł się w lochu, zostanie osądzony przez siebie równych w majestacie prawa, a wszelakie oskarżenia będą musiały zyskać potwierdzenie. Panowie rada jednomyślnie ustalili, że twemu bratu Antoniemu hrabi Rivers nie zarzuci się zdrady. Już to powinno ci pokazać, że mamy dobre zamiary. Chyba nie podejrzewasz, wasza miłość, że ja spośród wszystkich ludzi przychodzącym do ciebie ze złymi intencjami?

— Eminencjo, w ciebie nigdy nie zwątpiłam.

— Zatem uwierz mi, kiedy dam ci słowo, że twój drugi syn będzie ze mną bezpieczny — podejmuje kolejną próbę. — Zaprowadzę go do starszego brata do Tower, gdzie żadnemu nie spadnie włos z głowy. Nie ufasz księciu Ryszardowi, on zaś nie ufa tobie... co napawa mnie wielkim smutkiem, ale rozumiem, że oboje macie swoje ważne powody... lecz ja mogę przysiąc, że ani Gloucester, ani

nikt inny nie skrzywdzi książąt krwi, że mieszkając razem, do dnia koronacji będą bezpieczni, a miody Edward wkrótce zostanie królem.

Wzdycham, jakbym już dała się przekonać.

— Co będzie, jeśli odmówię? — pytam.

Kardynał zbliża się do mnie i mówi cichym głosem:

— Obawiam się, wasza miłość, że wówczas możecie zostać zabrani z sanktuarium siłą i żaden lord nie stanie w waszej obronie, uważając, iż Gloucester przymuszony będzie miał pełne prawo tak postąpić. Nikt nie uznaje twego prawa do azylu w tej sytuacji, wasza miłość. To skorupa, w której się zamknęłaś, a nie królewska sadyba. Wypuść stąd księcia Ryszarda Shrewsbury, a sama tkwij tu dalej, skoro takie jest twoje życzenie. Ale jeżeli zdecydujesz zatrzymać go tutaj wbrew logice, zostaniecie jedno po drugim wyciągnięci niczym pijawki ze słoja. Bądź też ktoś postanowi roztrzaskać słoje.

Elżbietka, która od dłuższej chwili musiała wyglądać przez okno na rzekę, nachyla się do mnie i mówi szeptem:

— Pani matko, na Tamizie jest gęsto od barek Glouceстера. Zostaliśmy otoczeni.

Przez uderzenie serca nie widzę zmartwionej twarzy kardynała, nie widzę butnego spojrzenia Johna Howarda, nie widzę półtuzina lordów, którzy z nimi przyszli. Widzę za to swego małżonka, jak przekracza bramy sanktuarium pod Tewkesbury z obnażonym mieczem, i pojmuję, że od tamtej pory żaden azyl w tym kraju nie zapewnia bezpieczeństwa. Tamtego dnia Edward zaprzepaścił szansę swego syna na ocalenie — i nawet o tym nie wiedział. Lecz ja wiem to teraz. Bogu niech będą dzięki, że jestem przygotowana.

Przykładam do oczu chusteczkę.

— Wybaczcie niewieścią słabość — mówię. — Po prostu nie potrafię się z nim rozstać. Czy naprawdę nie może mi to zostać oszczędzone?

Kardynał klepie mnie po dłoni.

— Książę musi udać się z nami. Przykro mi.

Odwracam się do Elżbietki i szepczę:

— Przyprowadź go, przyprowadź mojego małego chłopca...

Elżbietka przechodzi do drugiego pomieszczenia ze spuszczoną głową.

— Wciąż nie czuje się dobrze — zwracam się do kardynała.
— Jeszcze przez jakiś czas powinien się ciepło ubierać.

— Miej ufność — odpowiada. — Pod moją opieką niczego mu nie zabraknie.

Moja córka wraca, prowadząc za rękę przebranego młodzieńczego pazia. Jest odziany w szaty mojego Ryszarda, szyję ma obwiązaną welurowym szalem, który zakrywa znaczną część twarzy. Kiedy go przytulam, moich nozdrzy dolatuje delikatny zapach prawdziwego księcia. Całuję jego jasne włoski. Zdaje się chucherkiem w moich objęciach, a jednak trzyma się prosto, tak jak książe powinien. Elżbietka świetnie się spisała jako nauczycielka.

— Idź z Bogiem, synu — mówię do niego. — Zobaczymy się za kilka dni podczas koronacji twego brata.

— Tak, pani matko — odpowiada jak szkolony ptak, niewiele głośniejszy od szeptu, lecz dość wyraźnie, by wszyscy usłyszeli.

Ujmuję go za rączkę i prowadzę do Bouchiera. Kardynał widział mego syna na dworze, aczkolwiek nigdy z bliska, a teraz patrzy na chłopca, który ma na głowie wielką czapę wysadzaną ciężkimi klejnotami i grubym szalem omotaną szyję i brodę.

— Oto mój syn — odzywam się głosem drżącym z emocji.
— Oddaję go pod twoją opiekę. Od tej chwili życie obu książąt spoczywa w twoich rękach. — Kładę chłopcu dłoń na ramieniu i mówię wprost do niego: — Żegnaj, najdroższe dziecko. Niech Bóg cię chroni.

Ufnie unosi ku mnie twarzyczkę ukrytą pośród warstw różnych materii i moje serce przeszywa niekłamane wzruszenie, kiedy całuję go w ciepły policzek. Cóż z tego, że wystawiam na niebezpieczeństwo obce dziecko zamiast rodzonego syna, skoro to wciąż małe dziecko i prawdziwe niebezpieczeństwo. Mam w oczach łzy, gdy wkładam małą rączkę w pulchną dłoń kardynała, mówiąc ponad dziecięcą głową:

— Troszcz się o to dziecko, o moje dziecko, eminencjo. Nie pozwól, by stała mu się krzywda.

Moje córki i ja przyglądamy się, jak lordowie wyprowadzają chłopca z krypty. Nawet gdy ostatni z nich przestąpił próg, w pomieszczeniu nadal utrzymuje się ciężki zapach ich szat. To woń świeżego powietrza, końskiego potu, gotowanych mięs, koszonej trawy i siana.

Elżbietka zwraca ku mnie poblądłą twarzą.

— Wydałaś im pazia, ponieważ sądzisz, że nie byłoby rozsądne wydać im mojego brata — zauważa.

— Tak — potwierdzam.

— Zatem mój drugi brat, Edward, także nie jest bezpieczny w Tower.

— Nie wiem... Tak. Tego właśnie się obawiam.

Energicznie zbliża się do okna i tym jednym ruchem przypomina mi moją matkę, a swoją babkę. Cechuje ją to samo zdecydowanie co Jakobinę Luksemburską. Teraz na przykład widzę, jak ze zmarszczką na czole rozważa naszą sytuację i najlepsze wyjście. Dociera do mnie, że Elżbietka wyrosła na niewiastę, z którą trzeba się liczyć. Przestała być moją małą dziewczuszką.

— Uważam, że powinnaś posłać do wuja Ryszarda i zaproponować mu układ — mówi wolno. — Mogłabyś się zgodzić, aby został królem, pod warunkiem że na swego następcę wyznaczy naszego Edwarda.

Kręcę odmownie głową.

— Mogłabyś — upiera się. — To wuj Edwarda, honorowy człowiek. Z pewnością zależy mu na przełamaniu impasu tak samo jak nam.

— Nie zrzeknę się tronu w imieniu Edwarda — rzekę sucho. — Jeśli Gloucester tak pragnie korony, będzie musiał ją odebrać mojemu synowi, hańbiąc się przy tym.

— A jeśli to właśnie zrobi? — podnosi głos Elżbietka. — Co się wówczas stanie z Edwardem? Co się stanie z moimi siostrami? Co się stanie ze mną?...

— Nie wiem... — odpowiadam niepewnie. — Być może trzeba nam będzie walczyć, być może trzeba nam będzie upominać się o swoje. Wszelako nie wolno nam się poddać. Toteż się nie podamy.

— Tamten chłopiec... — brodą wskazuje drzwi, za którymi zniknął prowadzony przez lordów paż z szyją obwiązaną welurem, z zasłoniętymi ustami, by nie przyszło mu do głowy zbyt wiele mówić. — Odebrałyśmy go ojcu, wykapały i odziały w książęce szaty, przykazując milczenie, po czym jakby nigdy nic posłałyśmy na niemal pewną śmierć. Czy tak właśnie chcesz walczyć, pani matko? Używając małych dzieci jako swojej tarczy? Posyłając chłopców na śmierć?

NIEDZIELA, 25 CZERWCA 1483 ROKU, DZIEŃ KORONACJI



— Co? — pryham w stronę spokojnego nieba o poranku, jakbym była kotką, której nocą odebrano kocięta, by wrzucić je w worku do rzeki. — Żadnych królewskich barek? Żadnych salw armatnich z blanków Tower? Żadnego wina i piwa lejących się strumieniami na ulicach Londynu? Żadnych werbli ani śpiewów czeladników chwających swoje gildie? Żadnych muzykantów? Żadnych okrzyków? Żadnych wiwatów?... — Wypycham okiennice na zewnątrz i przyglądam się zwykłemu o tej porze ruchowi na Tamizie: jak co dzień za murami sanktuarium przetaczają się tylko łódki, barki i tratwy. Odzywam się znowu, tym razem swoje słowa kierując do matki i Meluzyny: — Najwyraźniej nie zanosi się na koronację. Czyżby mój syn miał umrzeć, zamiast zostać królem?...

Przymykam powieki i przywołuję obraz swego syna, następcy tronu, jakbym malowała jego portret, zamiast pędzla używając myśli. Myślę więc o prostej linii jego nosa wciąż zaokrąglonego na końcu jak u małego dziecka; myślę o pyzatych policzkach wypełnionych dziecięcym tłuszczem; myślę o przejrzystych niewinnych oczach. Myślę o krzywiźnie jego potylicy, idealnie pasującej do mojej dłoni, kiedy go gładziłam po głowie, oraz o szlachetnej linii karku, który nachylał, ślęcząc nad księgami. To dzielny chłopiec, od najmłodszych lat sposobiony przez wuja Antoniego do tego, by bez wahania wskakiwać na siodło i pewnie ruszać w szranki turnieju. Mój brat obiecał mi, że młody Edward będzie nieustraszony dzięki temu, że wcześniej pozna, co to strach, i nauczy się nad nim pano-

wać. To chłopiec darzący gorącym uczuciem swoje królestwo; szczególnym uczuciem zapałał do Walii i zamku w Ludlow, gdzie mógł galopować przez wzgórza, obserwować kołujące wysoko sokoły i pływać w zimnych wodach rzek — Antoni powiadał, że mój syn potrafił docenić piękno krajobrazu, co jest rzadką cechą w tak młodym wieku. To chłopiec, którego czekała wspaniała przyszłość. Zrodzony w czas wojny, by żyć w czas pokoju. Zostałby — nie mam co do tego cienia wątpliwości — wielkim królem z dynastii Plantagenetów i zarówno jego ojciec, jak i ja bylibyśmy zeń bardzo dumni.

Już myślę o nim jak o zmarłym, gdyż czuję pewność, że zostanie pozbawiony życia w sekrecie, tak jak William Hastings został wyciągnięty na oczach wszystkich z sali rady królewskiej i skrócony o głowę na dziedzińcu Tower, na przypadkowym klocu drewna, przez kata w pośpiechu wycierającego ręce po niedojezdzonym śniadaniu, od którego go oderwano. Dobry Boże, mając przed oczyma gładką skórę na szyi mego syna i ostrze katowskiego topora, czuję taką słabość, że sama mogłabym oddać ducha.

Odwracam się od okna, by nie patrzeć na rzekę, która płynie swoim rytmem, obojętna na wszystko, jak gdyby mój syn nie stanął twarzą w twarz z największym zagrożeniem w swoim krótkim życiu. Odziewam się starannie i upinam wysoko włosy, po czym przemierzam komnatę sanktuarium niczym jedna z lwic zamkniętych w klatce na terenie Tower. Dodaję sobie otuchy knowaniem w myślach. Nie jesteśmy jeszcze całkiem pozbawieni przyjaciół, wciąż jest nadzieja... Mój syn Tomasz Grey z pewnością spotyka się w wielkiej tajemnicy z tymi, którzy gotowi są chwycić za broń i stanąć w naszej obronie. W Anglii musi być sporo osób zaniepokojonych tym, w jaki sposób Gloucester pojmuje swoją funkcję lorda protektora. Lady Stanley, od której otrzymałam tamten lakoniczny liścik, też jest po naszej stronie, podobnie jak jej mąż, który przestrzegł Hastingsa. Moja szwagierka, księżna Małgorzatka, działa na naszą korzyść w Burgundii. Nawet Francuzi powinni się zainteresować moim położeniem choćby po to, by pokrzyżować szyki Gloucesterowi. We Flandrii dobrzy ludzie powitali małego chłopca, którego uczą teraz, jak wtapiać się niepostrzeżenie w ciżbę Tournai.

Gloucester być może ma nad nami przewagę w chwili obecnej, lecz ma także wielu wrogów, którzy go nienawidzą, jak kiedyś nienawidzili Riversów. Natomiast o mnie lud będzie myślał z tym większą przychylnością, w im większym niebezpieczeństwie się znajdę. Przede wszystkim jednak liczą się możnowładcy radzi widzieć na tronie raczej syna Edwarda niż jego najmłodszego brata.

W korytarzyku rozlega się głośny tupot, toteż zwracam się ku nadchodzącemu zagrożeniu, aby się przekonać, że to tylko moja córka Cecylia biegnie przez kryptę i otwierając na rozcież drzwi do mojej komnaty, woła z poszarzałą ze strachu twarzą:

— Coś jest przy wejściu! Coś straszego!...

— Co takiego? — pytam ze zniecierpliwieniem. Oczyma wyobraźni widzę oczywiście odzianego w czerń kata.

— Coś jak człowiek, tylko wyższe i wygląda jak sama Śmierć.

Zarzucam welon na twarz, podchodzę do drzwi odgradzających nas od zewnętrznego świata i odsłaniam kratownicę. W rzeczy samej, po drugiej stronie zdaje się czaić Śmierć. Staję oko w oko z mężczyzną odzianym w czerń od stóp do głów — na tyle, na ile mogę to ocenić — i ze spiczastym nosem dominującym w białym obliczu. To medyk, który twarz zasłonił maską wypełnioną wonnymi ziołami chroniącymi przed wyziewami zarazy. Kiedy zwraca na mnie spojrzenie oczu nie szerszych niż szparki, przechodzi mnie dreszcz.

— Nikt z nas nie cierpi od zarazy — mówię.

— Jestem doktor Lewis z Caerleonu, lekarz lady Stanley — przedstawia się niewyraźnie, gdyż gruba maska tłumi głos.
— Moja pani twierdzi, że cierpisz na niewieście bolączki, i przysłała mnie, abym ulżył ci w niedoli.

Otwieram drzwi.

— Wejdz, proszę. Rzeczywiście nie czuję się dobrze — rzekę głośno na użytek ewentualnych szpiegów. W chwili gdy zamykam za nim drzwi, zmieniam ton. — Nic mi nie dolega. Po co tu przyszedłeś?

— Lady Beaufort... znaczy, chciałem powiedzieć, lady Stanley także miewa się świetnie, niech Bóg nad nią czuwa. Jej życzeniem było skontaktować się z tobą, a że ja jestem jej dalekim krewnym,

a przy tym wiernym poddanym waszej miłości, wybór posłańca nie nastreczył większych trudności.

Kiwam głową.

— Zdejmij maskę.

Posłusznie ściąga maskę z twarzy i odrzuca na plecy kaptur, odsłaniając twarz. Mam przed sobą szczupłego ciemnowłosego mężczyznę o budzącym zaufanie psotliwym spojrzeniu.

Doktor Lewis kłania mi się nisko i kontynuuje:

— Moja pani pragnie wiedzieć, czy opracowałeś plan ratunku dwóch książąt z Tower. Chce cię również zapewnić, że zarówno ona, jak i jej małżonek lord Stanley pozostają do twojej dyspozycji, natomiast książę Buckingham zaczyna się wahać, czy wyjdą mu na dobre wygórowane ambicje księcia Gloucester. Jej zdaniem młody Stafford jest gotów zmienić barwy.

— Buckingham przyczynił się do tego, że Gloucester znalazł się tam, gdzie jest teraz — burczę. — Czemuż miałby przejść na drugą stronę tuż przed tym, zanim osiągnie ostateczne zwycięstwo?

— Lady Stanley wierzy, że może wpłynąć na młodego Stafforda, przeważając szalę — odpowiada, nachylając się, by mówić mi prosto do ucha. — Obecnie książę Buckingham nie jest jeszcze zdecydowany, ale ma poważne wątpliwości co do Gloucestera. Moja pani uważa, że młody Stafford połaszy się na zaszczyty i profity większe od tych, które jest w stanie zagwarantować mu lord protektor. Burzy się przeciwko myśli, że Gloucester mógłby sam zasiąść na tronie i skrzywdzić twoich synów. Jest twoim szwagrem, książęta w Tower są także jego rodziną. Martwi go ich przyszły los. Lady Stanley rozkazała mi przekazać, że sługi w twierdzy da się przekupić, i zapytać, jakie dokładnie kroki zamierzasz przedsięwziąć, by uwolnić księcia Edwarda i księcia Ryszarda.

— To nie Ryszard... — zaczynam mówić, gdy w drzwiach wychodzących na rzekę pojawia się błada niczym duch Elżbietka w zmozonej sukni.

— Dziecko, na Boga? Co ty wyprawiasz?

— Wyszłam na zewnątrz, by posiedzieć nad Tamizą — odpowiada mi. Jej twarz zdaje mi się dziwna, obca. — Z samego rana było tam spokojnie i pięknie, ale potem wszczął się ruch, jakiegom

jeszcze nie widziała. Ciekawe dlaczego?... Przez chwilę miałam wrażenie, że rzeka sama mi to powie, lecz... — Nagle zauważyła obecność doktora Lewisa. — Kto to? — pyta.

— Posłaniec od lady Stanley — mówię krótko. Nie spuszcza wzroku z jej mokrego trenu, ciągnącego się za nią niczym oślizgły rybi ogon. — Wyglądasz jak nieboskie stworzenie. Jakaś zdołała tak się zmoczyć?

— Ochlapała mnie fala od przepływających barek. — Czyżbym dostrzegła w jej oczach wrogi błysk? — Wszystkie sunęły w kierunku zamku Baynarda, który książę Gloucester uczynił siedzibą swego wspaniałego dworu. Wywołana przez nie fala zalała schody na nabrzeże, gdzie stałam. Co tu się dzisiaj dzieje? Połowa Londynu zdaje się udawać do siedziby księcia, podczas gdy miał to być dzień koronacji mego brata na króla Anglii!

Doktor Lewis wydaje się zmieszany.

— Właśnie miałem zamiar do tego przejść, wasza miłość...

— Rzeka powiedziała mi to pierwsza — przerywa mu opryskliwe moja córka. — Zamoczyła mi stopy, by zwrócić moją uwagę. Zresztą nie sposób się nie domyślić...

— Nie sposób się nie domyślić czego? — żądam odpowiedzi.

— Panowie rada osądzili, że książę Gloucester jest prawowitym następcą tronu — rzecze cicho doktor Lewis, lecz jego słowa i tak odbijają się echem w pustym pomieszczeniu, jakby wykrzyczał mi je prosto w twarz. — Uznano, że twoje małżeństwo z Edwardem Czwartym zostało zawarte bez wymaganej zgody parów królestwa i że wymusiłaś je na nim czarostwem przy pomocy swojej matki. Oraz że król był już wcześniej żonaty.

— Czyli że ty byłaś zwykłą ladacznicą, a my wszyscy jesteśmy bękartami — dodaje chłodno Elżbietka. — Zostaliśmy pokonani i zhańbieni. Wszystko przepadło, wszystko... Czy możemy już zabrać Edwarda i Ryszarda i sobie pójść?

— O czym ty mówisz? — napadam na nią. Zdumiewa mnie to jej nowe wcielenie w sukni zmoczonej niby rybi ogon, jakby była syreną czy rusałką, która dopiero co opuściła swój żywioł, na równi z wiadomością, że Gloucester objął panowanie, strącając nas w nicłość. — O czym ty mówisz? Coś sobie wykoncypowała nad brze-

gicm rzeKi? Córko, dziwnie się zachowujesz. Mów zaraz, o co chodzi!

— Sądzę, że jesteśmy przekłęci — zarzuca mi. — Jesteśmy przekłęci... Rzeka wyszeptła mi tę klątwę, a ja sama winię ciebie i ojca za to, żeście sprowadzili nas na ten świat i postawili w takim położeniu, zaślepieni ambicją, lecz nie dość silni, by zapewnić nam wygraną i uczynić życie radosnym.

Chwytam ją mocno za wyziębione dłonie i trzymając, żeby nie odpłynęła ode mnie jeszcze dalej, mówię stanowczo:

— Nie jesteś przekłeta, dziewczyno. Jesteś najwspanialszym, najcudowniejszym ze wszystkich moich dzieci, jesteś najurodziwszą, najukochańszą córką. Dobrze o tym wiesz. Jakaż klątwa mogłaby cię dosięgnąć?

Spojrzenie, którym mnie obdarza, jest pociemniałe z przerażenia, zupełnie jakby zerknęła śmierci w twarz.

— Ty nigdy się nie poddasz, nigdy nie pozwolisz nam żyć normalnie. Twoja chorobliwa ambicja doprowadzi do śmierci moich braci, a potem do koronowania mnie na królową. Dla ciebie tron jest ważniejszy od życia rodzonych synów, więc kiedy oni umrą, zrobisz wszystko, abym to ja na nim zasiadła. Kochasz koronę Anglii bardziej niż własne dzieci.

Potrząsam głową, żeby zaprzeczyć sile bijącej z jej słów. To przecież Elżbietka, moja córeczka, moje maleństwo, dziecko, które przysporzyło mi najmniej kłopotów i zmartwień. Kość z mojej kości. Dotychczas zawsze myślała to, co chciałam, żeby myślała.

— Nieprawda. Kto ci to wbił do głowy? Rzeka nie szepcze słów ani klątw, zresztą ty nie umiesz jej słuchać. To wszystko nieprawda...

— Zasiądę na tronie mego zmarłego brata — powtarza, nie zwracając na mnie uwagi. — A ty będziesz się z tego cieszyła, gdyż twoim przekleństwem jest wybujala ambicja, tak szepcze rzeka.

Rzucam niespokojne spojrzenie medykwowi. Może Elżbietka ma gorączkę?

— Córko, ludzie nie rozmawiają z rzekami.

— Oczywiście, że rzeka szepcze, a ja ją słyszę! — odpowiada na moje wcześniejsze tłumaczenia.

— Nie ma żadnej klątwy — zaprzeczam bezradnie.

Okręca się na pięcie i przebiega na przełaj przez pomieszczenie, zostawiając za sobą wilgotny ślad trenu, dopada okna i wygląda na zewnątrz. Z doktorem Lewisem idziemy spiesznie za nią, bojąc się, że postradała zmysły i jest nieobliczalna, może nawet myśli o skrzywdzeniu siebie albo innych. Muszę jednak przystanąć w pół kroku, kiedy dociera do mnie słodkie zawrodozenie znad Tamizy, tęskny zaśpiew, pieśń żałobna, nuty tak żałosne, że muszę zakryć uszy rękoma, aby się odgrodzić od tego przeszywającego duszę dźwięku. Zerkam na doktora Lewisa, ów wszakże kręci tylko głową, gdyż jedyne co słyszy, to wiwaty i trąbki, i werble, i łopot proporców na barkach wiozących dworzan na koronację. Wszelako widzi łzy w oczach Elżbietki, widzi, że zasłaniam uszy, trzymając się z dala od otwartego okna, i taktownie się oddala.

— To nie dla ciebie — mówię, krztusząc się własnym żalem.
— Och, Elżbietko, ukochana córko, to nie jest przeznaczone dla ciebie. To pieśń Meluzyny, pieśń, którą nam śpiewa, ilekroć ktoś z naszej rodziny umiera. To nie ostrzeżenie dla ciebie ani nie klątwa na cię rzucona... To pieśń żałobna za duszę mego syna Ryszarda Greya, słyszę to wyraźnie. Za duszę jego i mego brata Antoniego. Za Antoniego, któremu przysięgała chronić przed złem...

Medyk, który odszedł na parę kroków i mimo wszystko mnie słyszy, blednie.

— Niczego nie słyszę poza wiwatami wznoszonymi na cześć nowego króla...

Elżbietka już jest u mojego boku, już patrzy na mnie stalowymi oczyma pociemniałymi niczym chmura burzowa zapowiadająca szkwał na morzu.

— Twego brata? Jak to?

— Mój brat Antoni hrabia Rivers i syn Ryszard Grey zginęli na rozkaz Glouceстера, tak jak niegdyś poległ mój ojciec i brat Jan na rozkaz wydany przez Jerzego księcia Clarence — wieszczę. — Yorkowie to żadne krwi bestie i Gloucester okazał się nie lepszy od swego głupiego brata. Jeden po drugim ograbili mnie z męskich krewnych i złamali mi serce. Słyszę to. Słyszę. O tym właśnie szep-

cze rzeka. Meluzyna lamentuje nad śmiercią mego syna i mego brata...

Elżbietka zbliża się jeszcze bardziej. Znow jest moją córeczką, opuściła ją już cała wściekłość. Delikatnie kładzie mi dłoń na ramieniu.

— Pani matko...

— Uważasz, że na tym poprzestanie? — wybucham, tracąc kontrolę nad sobą. — Gloucester ma mojego syna, królewskiego syna. Skoro ważył się odebrać mi Antoniego, skoro śmiał zabrać mi Ryszarda Greya, sądzisz, że zawaha się przed ograbieniem mnie również z Edwarda? Dzisiejszego dnia pozbawił mnie brata i dorosłego syna. Nigdy mu tego nie wybaczę. Nigdy mu tego nie zapomnę. Jeśli o mnie chodzi, już jest martwy. Będę się przyglądać, jak czeźnie, jak zawodzi go prawe ramię mdlejące pod ciężarem miecza, jak obraca się w poszukiwaniu przyjaznej duszy niczym zagubione dziecko na polu bitwy. Będę się przyglądać jego upadkowi i nawet nie drgnie mi powieka...

— Ssz... — ucisza mnie Elżbietka. — Pani matko, przysłuchaj się, co mówi rzeka.

Nic innego nie powstrzymałoby tego potoku słów. Nie zważając na świdrujące dźwięki, podbiegam do okna, przykładam twarz do otworu, czuję, jak ciepłe letnie powietrze uderza mnie w policzki i czoło, znajdując drogę do wnętrza dusznej krypty. W dole woda szmerze cicho, pluskając o kamienne nabrzeże. W nozdrza uderza mnie zapach zgnilizny i błota, charakterystyczny dla odpływu, lecz mimo to wody Tamizy toczą się, jakby mi przypominały, że i życie musi dalej się toczyć; jakby potwierdzały, że Antoni odszedł, że mój syn Ryszard Grey odszedł, że Ryszard Shrewsbury odpłynął z nurtem, by poszukać schronienia pod dachem obcych ludzi, lecz mimo to pływ się zmieni, znow nadejdzie wysoka fala i my także możemy być górą.

Z niektórych barek dobiega głośniejsza muzyka — możnowładcy radują się na perspektywę panowania króla Ryszarda Yorka. Aż trudno mi uwierzyć, że nie słyszą zawrozenia rzeki, że nie zdają sobie sprawy, iż wszystko światło opuściło świat z chwilą zgonu Antoniego i mego... mego syna.

— Nie chciałyby, abyś się smuciła z jego powodu — mówi do mnie cicho Elżbietka. — Wuj Antoni bardzo cię kochał, pani matko. Z pewnością nie chciałyby, abyś po nim płakała.

Przykładam dłoń do jej policzka.

— Pragnąłyby, abym się podniosła po tym ciosie i zapewniła wam, dzieciom, bezpieczeństwo pośród mielizn życia — zgadzam się z nią. — Na razie pozostaniemy w sanktuarium, ale klnę się na Boga, wyjdziemy stąd i upomnimy się o swoje dziedzictwo, gdy nadejdzie czas. Możesz to nazywać przekleństwem wybujałej ambicji, jeśli sobie życzysz, lecz bez tej klątwy nie miałabym sił do, dalszej walki. A ja muszę walczyć. I muszę wygrać. — Biorę głęboki oddech i kontynuuję: — Jeśli będziemy musieli pożeglować do Flandrii, pożeglujemy. Jeśli będziemy musieli kąsać jak osaczone psy, pokąsamy naszych wrogów. Jeśli przyjdzie nam się ukrywać w Tournai i żyć jak zwykli ludzie, żywiąc się złowionymi w Skaldzie węgorzami, uczynimy i to. Gloucesterowi nie uda się nas zniszczyć. Nikomu nie uda się nas zniszczyć. W swoim czasie podniesiemy znów głowy. Jesteśmy potomkami boginki Meluzyny, cofamy się jak fala i jak fala wracamy. Gloucester się o tym przekona. Zyskał nad nami przewagę, gdyśmy zostali wyrzuceni na suchy brzeg, lecz role się odwróciła i kiedyś zalejemy go niczym powódź.

Dopóki przemawiam, dopóty czuję się bardzo odważna, wszakże z chwilą gdy milknę, poddaję się rozpacz i żałobie po mym synu Ryszardzie Greyu i po mym bracie, mym ukochanym bracie Antonim. Wspominam małego Ryszarda Greya, gdy siedział wysoko w siodle na grzbiecie królewskiego rumaka, a przedtem trzymał mnie za rękę, gdyśmy stali przy trakcie, czekając na orszak Edwar-da. Mój chłopczyk, mój cudny chłopczyk, którego ojciec poległ na polu bitwy, walcząc z jednym z braci Yorków, stracił życie z rozkazu drugiego. Wspominam panią matkę opłakującą swego syna Jana i mówiącą mi, że kiedy niewiasta szczęśliwie przeprowadzi dziecko przez meandry dzieciństwa, myśli, że już nic mu nie grozi. Lecz okazuje się, że na tym świecie nikt nie może się czuć bezpieczny. Nikt nie może się czuć bezpieczny na ziemi, gdzie brat zwraca się przeciwko bratu, kuzyn przeciwko kuzynowi, gdzie ani na chwilę nie

odkłada się miecza, gdzie nie sposób zaufać prawu. Wspominam mego syna dziecięciem w kołysce, brzdącem uczącym się chodzić i chwytającym się kurczowo moich dłoni, kiedyśmy wędrowali w tę i we w tę, w tę i we w tę po galeryjce domu w Grafton, aż w krzyżach mnie bolało od ciągłego schylania się, wreszcie młodzieńcem, którym się stał na drodze ku wiekowi męskiemu, nim zdążył się przeistoczyć w dobrego człowieka, na jakiego się zapowiadał... Antoni zaś — ów Antoni, który pragnął się udać na pielgrzymkę do Jeruzalem i byłby spełnił swoje marzenie, gdybym go nie powstrzymywała — odkąd pamiętam, był mym najwierniejszym, najzaufańszym przyjacielem i doradcą. Mój mąż Edward nie mylił się, nazywając go największym poetą i najwspanialszym rycerzem na swoim dworze. Tymczasem jego brat, Ryszard York książę Gloucester, urządził ucztę dla obojgu w Stony Stratford, gdzie spotkali się w drodze do Londynu, i prawił banały o Anglii rządzonej wspólnie przez Riversów i Plantagenetów, o wspólnym dziedzicu obu rodów: moim synu Edwardzie, którego obiecał usadzić na tronie. Antoni nie był głupcem, a jednak mu zaufał. Dlaczego miałby nie ufać? W końcu byli krewniakami, towarzyszami broni, walczyli ramię w ramię przeciwko temu samemu wrogowi. Razem udali się na wygnanie i razem tryumfalnie powrócili do Anglii. I jeden, i drugi był wujem i opiekunem następcy tronu.

Nazajutrz po uczcie, kiedy Antoni zszedł na dół karczmy, w której nocowali, by posilić się przed dalszą drogą do stolicy, zastał drzwi zamknięte na cztery spusty i żadnego ze swoich ludzi w zasięgu wzroku. Za to Gloucester i Buckingham, odziani i uzbrojeni jak do walnej bitwy, w otoczeniu żołnierzy o kamiennych twarzach, czekali na dziedzicu. A potem zabrali go, zabrali mego brata Antoniego i mego syna Ryszarda Greya oraz sir Tomasza Vaughana, zarzucając im wszystkim zdradę, mimo że każdy był najwierniejszym sługą młodego króla.

Uwięziony Antoni, oczekując na wykonanie wyroku śmierci, zatrzymuje się na parę chwil przy zakratowanym oknie i nasłuchuje, czy przypadkiem nie rozlegnie się dźwięczna słodka pieśń Meluzyny. Jakież jest jego zdziwienie, gdy nie spodziewając się niczego

usłyszeć, wyławia delikatne brzmienie dzwonów i niewieście zawo-
dzenie. Potrząsa w zdumieniu głową, chcąc się pozbyć dzwonienia
w uszach, lecz pieśń staje się coraz wyraźniejsza. Nieziemski głos
przyprawia go o uchybiający powadze chwili chichot. Mój brat
nigdy nie dawał wiary legendzie o istocie, która była na poły nie-
wiastą, na poły wodnym stworzeniem, a przy tym przodkinią jego
rodu, a mimo to w tamtej chwili czerpie otuchę z jej śpiewu wiesz-
czącego mu śmierć. Pozostaje przy oknie i skłania głowę ku zimne-
mu murowi. To że słyszy ten głos, donośny i czysty, niosący się
wokół blanków zamku Pontefract, nareszcie go przekonuje, że dar
jego matki, jego siostry i jego siostrzenicy nie jest żadnym wymy-
słem, tylko faktem, co one zawsze utrzymywały, a czemu on nigdy
w pełni nie wierzył. Żałuje, iż nie może im teraz tego powiedzieć.
Wie, że będą potrzebowały uciekać się do swoich zdolności, jeśli
mają przeżyć. Jeśli ma przetrwać ród Riversów, który przyjął swoje
miano w hołdzie dla przodkini, wodnej boginki. Jeśli dzięki nim
mają zachować życie dwaj ostatni potomkowie linii Plantagenetów.
Wszelako — skoro Meluzyna śpiewa dla niego, niedowiarka
— z pewnością kieruje tymi, którzy nasłuchują jej rad i ostrzeżeń.
Wbrew temu co go czeka, Antoni uśmiecha się szeroko, ponieważ
ów czysty, wibrujący śpiew daje mu nadzieję, że Meluzyna będzie
się dalej opiekować jego siostrą i siostrzeńcami, zwłaszcza chłop-
cem, którego ukochał szczególnie, Edwardem, nowym królem
Anglii. Uśmiecha się również dlatego, że w głosie Meluzyny rozpo-
znaje głos swojej matki.

Dzielący go od egzekucji czas spędza nie na modlitwie, nie
na użalaniu się nad sobą, lecz na pisaniu. W ostatnich godzinach
swego życia nie jest awanturnikiem i podróżnikiem, nie jest
rycerzem, nie jest nawet bratem ani wujem, tylko poetą. Później,
kiedy przekazują mi to, co napisał, dostrzegam, że gdy stanął oko
w oko ze śmiercią ciała, ale i wszelkich ziemskich nadziei, zrozu-
miał, że to wszystko marność. Ambicja, władza, nawet korona, oku-
piona przez naszą rodzinę tak wielkim kosztem — Antoni pojął pod
sam koniec życia, że nic z tego się naprawdę nie liczy. Mimo to
nie odszedł w zgorzknieniu, lecz kpiąc z ludzkiej głupoty, także
z własnej.

*Nieco zadumy,
Więcej żałości,
Rozpamiętuję
Me ułomności;
Świat jest pełen
Zła i chciwości,
Lecz nie ja.
Co mnie czeka?*

*Kres przyjemności
Ku memu strapieniu,
Lecz nie masz leku,
By ulżyć cierpieniu;
Tak w tym transie
Po prostu tańczę,
W ramiona śmierci
Ciało swe oddaję.*

*Myśl ta mi świta,
Żem jest skazany,
Dzięki niej jestem
Z nadziei wyprany;
Widzę też wyraźnie,
Że dziś nie dla mnie
Łaski fortuny miłe,
A nawet przeciwnie.*

Te słowa są ostatnimi, które spływają z jego pióra o świtanii, zanim przychodzą, aby go wyprowadzić i ściąć na rozkaz Ryszarda Yorka księcia Gloucester, lorda protektora i regenta królestwa, odpowiedzialnego za bezpieczeństwo moje i wszystkich mych dzieci, zwłaszcza zaś za bezpieczeństwo i przyszłość następcy tronu, księcia Edwarda, prawowitego króla Anglii.

Czytając później balladę Antoniego, dochodzę do wniosku, że najbardziej przypadają mi do gustu wersy: *Że dziś nie dla mnie/ Łaski fortuny miłe A nawet przeciwnie.*

Zaiste, obecną porą fortuna odwróciła się od nas, Riversów — co do tego mój brat się nie pomylił.

Mnie zaś pozostaje znaleźć sposób na to, jak żyć dalej bez niego.

Coś uległo zmianie w relacji pomiędzy Elżbietka i mną. Moja dziewczuszka, moja najstarsza latorośl po królu, moja pierwsza córka nagle dorosła i oddaliła się ode mnie. Dziecko, które miało mnie za skarbnicę wszelkiej wiedzy, które wierzyło, iż zawiadamuję wszystkim, nagle przedzierzgnęło się w młodą niewiastę, osieroconą przez ojca i powątpiewającą we własną matkę. Uważa, iż źle czynię, upierając się, by pozostać za murami sanktuarium. Wini mnie za śmierć wuja Antoniego. Oskarża — aczkolwiek bezgłośnie — o to, że nie pośpieszyłam na ratunek jej braciszкови Edwardowi, zaś młodszego Ryszarda wysłałam w ciemną noc bez należytej ochrony, pozwalając, by opiekę nad nim przejęła rzeka. Podaje w wątpliwość, że znalazłam dla swego drugiego syna bezpieczną kryjówkę za granicą, i nie ma większych nadziei na to, że nasz podstęp z przebranyim paziem się uda. Wyraziła na głos przekonanie, że skoro posłałam Edwardowi fałszywego brata do towarzystwa, z pewnością brak mi konceptu na ściągnięcie go do domu. Nie wydaje jej się, by Tomasz Grey zdołał zebrać wystarczające siły w naszej sprawie. W istocie obawia się, iż nie ma już dla nas ratunku.

Od poranka, kiedy odezwała się do nas rzeka, i następującego po nim popołudnia, kiedyśmy się dowiedziały o losie Antoniego i Ryszarda Greya, Elżbietka mi nie ufa. Nie twierdzi już, że nasza rodzina jest przeklęta, mimo to widzę w jej pociemniałych oczach i bladej twarzy wielki smutek i troskę. Bóg mi świadkiem, że jej nie przeklęłam ani nie znam nikogo, kto by zrobił coś podobnego dziewczęciu tak wspaniałemu jak ona, ale nie mogę przymykać oczu na oczywistą prawdę: moja córka wygląda, jakby ktoś przytknął jej do czoła ubrudzony inkaustem kciuk i odcisnął piętno skazujące ją na ciężkie życie.

Gdy ponownie odwiedza nas doktor Lewis, proszę go, aby ją zbadał i ocenił, czy nie dręczy jej jakaś choroba. Elżbietka praktycznie przestała jeść i niknie w oczach.

— Trzeba jej wolności — odpowiada z prostotą medyk. — Mówię to jako lekarz, który wie, co jest dla was dobre. Twoje dzieci i ty sama, wasza miłość, powinnyście jak najszybciej opuścić sanktuarium. Powinnyście się znaleźć na świeżym powietrzu i korzystać z miłej letniej aury. Elżbietka jest delikatnym dziewczęciem, być może potrzebuje znaleźć się poza murami najbardziej z was wszystkich. Trzeba jej słońca, trzeba jej towarzystwa. To młoda niewiasta i jako taka zamiast smuć się bez ustanku, powinna tańczyć i bawić się. Powinna planować swą przyszłość, snuć marzenia o zaręczynach, a nie siedzieć tutaj i zamartwiać się, czy czeka ją śmierć.

— Otrzymałam wiadomość od króla. — Zmuszam się, by wypowiedzieć ten tytuł, jakby Gloucester nań zasługiwał, jakby korona na jego głowie i krzyżmo na piersi sprawiły, że stał się czymś więcej niż zwykłym zdrajcą. — Jego wysokość nalega, abym zabrała ze sobą księżniczki do jakiejś letniej rezydencji na prowincji, gdzie będą mogli do mnie dołączyć książęta.

— Zrobisz, jak radzi? — pyta z napięciem doktor Lewis.

— Pierwej muszę zobaczyć swoich synów. Obaj muszą zostać mi przywróceni. W przeciwnym razie jak mogę mieć pewność, że nie złego nie spotka mnie ani moich pozostałych dzieci? Jak dotąd obietnica nie została dotrzymana...

— Miej się na baczności, wasza miłość, miej się na baczności... — szepcze medyk. — Zdaniem mojej pani księżę Buckingham obawia się, iż twoim synom grozi... — Urywa, jakby następne słowa nie chciały mu przejść przez gardło. — Śmierć. Henry Stafford jest tym strwożony i chętny uwolnić obu książąt i oddać ich pod twoją słuszną opiekę, o ile zgodzisz się zagwarantować mu bezpieczeństwo i pozycję, kiedy dojdiesz z powrotem do władzy. Jeżeli obiecasz mu swą przyjaźń do grobowej deski, odzyskawszy co twoje. Lady Stanley własnym słowem potwierdza ważność tego paktu. Trzy znaczne rody: Staffordów, Riversów i Lancasterów przeciwko uzurpatorowi na tronie.

Kiwam głową. Spodziewałam się takiego rozwoju wypadków.

— Czego on dokładnie chce? — pytam otwarcie.

— By jego córka, jeśli mu się urodzi, poślubiła twego syna, młodego króla Edwarda — odpowiada. — By wcześniej on sam został

mianowany lordem protektorem i regentem królestwa do czasu, aż król osiągnie pełnoletność. By dostał od ciebie rozległe ziemie na północy, te same, które wcześniej były pod władzą Ryszarda Yorka. Jeżeli uczynisz go równie potężnym księciem, jakim twój małżonek uczynił młodszego brata, on obiecuje zdradzić swego przyjaciela i ocalić twych synów.

— A czego ona chce? — pytam spokojnie, jak gdybym się nie domyślała, jak gdybym nie wiedziała, że przez minione dwanaście lat dzień w dzień modliła się o to, by móc sprowadzić swego syna z wygnania z powrotem do kraju. Henryk Tudor to jej jedyne dziecko, jedyny dziedzic rodzinnej fortuny i tytułu po jej zmarłym mężu. Cokolwiek Małgorzata Beaufort zdobędzie w życiu, nie będzie mieć dla niej znaczenia, jeżeli nie ściągnie syna do Anglii i nie zapewni mu schedy po ojcu.

— By jej syn odzyskał tytuł i mógł dziedziczyć majątek, a jej szwagier, Jasper Tudor, objął znów we władanie swoje ziemie w Walii. Lady Stanley pragnie, aby obydwóm było wolno wrócić z wygnania do Anglii, aby Henryk poślubił twą córkę Elżbietkę oraz aby został wyznaczony na następcę tronu po twoich synach — wyrzuca z siebie pośpiesznie doktor Lewis.

Nie zastanawiam się ani chwili. Czekałam tylko na podanie warunków, a to co usłyszałam, nie odbiega zbyt od moich przewidywań. Nie musiałam się uciekać do swego daru czytania przyszłości, wystarczył zdrowy rozsądek, postawienie się w sytuacji lady Małgorzaty i zapytanie samej siebie, co ja bym uczyniła w jej położeniu. Jest żoną trzeciego co do wielkości możnowładcy w Anglii, pozostaje w sojuszu z drugim, zamierza zaś wystąpić przeciwko najpierwszemu.

— Zgoda — mówię krótko. — Przekaż księciu Buckingham i lady Stanley, że się zgadzam na ich propozycję. Jednakże żądam, by synowie zostali niezwłocznie przekazani w moje ręce.

Nazajutrz rano przychodzi do mnie Lionel z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Przy bramie wodnej czeka na ciebie gość — oznajmia. — Prosty rybak. Przywitaj go po cichu, siostró. Pamiętaj, że dyskret-

cja to największa niewieścia zaleta... — Potakuję skinieniem i ruszam w stronę tylnych drzwi. Lionel kładzie mi dłoń na ramieniu, nie jak biskup, raczej jak brat. — Tylko nie piszcz jak dzierlatka — upomina mnie jeszcze.

Wymykam się za drzwi, schodzę po stopniach wiodących do katakumb i na koniec wydostaję się ciasnym korytarzykiem pograżonym w półmroku, jeśli nie liczyć dziennego światła docierającego przez otwór na jego końcu. Przy małej przystani kołysze się na falach łódka z siecią zwiniętą na rufie. U wejścia do katakumb czeka mężczyzna w utyłanej pelerynie i czapie naciągniętej nisko na twarz. Nic wszakże nie jest w stanie zatuszować jego okazałego wzrostu. Uprowadzona przez Lionela pohamowuję rodzący się okrzyk, zaś od wpadnięcia gościowi w ramiona powstrzymuje mnie unoszący się z peleryny rybi odór. Odzywam się cichym głosem:

— Bracie, jakże się cieszę, że cię widzę.

Spod otoka czapy błyskają ciemne oczy i reszta twarzy mojego brata Ryszarda Woodville'a, po łotrzykowsku zamaskowanego brodą i wąsami.

— Dobrze się miewasz? — pytam zszokowana odmianą w jego aparycji.

— Nigdy nie miałem się lepiej — odpowiada beztrasko.

— Ale wiesz, co spotkało naszego brata Antoniego? — dopytuję. — I mego syna Ryszarda Greya?

Potakuje, poważniejąc nagle.

— Dowiedziałem się dzisiejszego ranka. Poniekąd dlatego tu jestem. Przykro mi, Elżbieto. Bardzo mi przykro z powodu twojej straty...

— Teraz ty jesteś hrabią Rivers — mówię. — Trzecim w kolejności. Zostałeś głową rodziny, Ryszardzie. Wygląda na to, że u nas dość szybko to idzie... — otrząsam się na wspomnienie śmierci papy i najstarszego brata. — Bądź tak dobry i utrzymaj swój tytuł nieco dłużej.

— Zrobię co w mojej mocy — obiecuje. — Bóg wie, że dziedziczyć ten tytuł po dwóch szlachetnych ludziach. Być może zdołam utrzymać go dłużej, lecz nie sądzę, bym sprawił się lepiej niż oni. Ale do rzeczy... Szykuje się rebelia. Posłuchaj tylko. Uzurpator

poczuł się na tronie na tyle pewnie, że wyrusza w letni objazd królestwa, aby pokazać się poddanym.

Z trudem się opanowuję, by nie splunąć do wody.

— Aż dziw, że jego wierzchowiec z królewskich stajni nie zrzuci go z siodła!

— Jak tylko wyjedzie z Londynu, zabierając ze sobą gwardzistów i przybocznych, wpadniemy do Tower i oswobodzimy młodego Edwarda. Książę Buckingham opowiedział się po naszej stronie, a to człęk godny zaufania. Wprawdzie będzie musiał pojechać wraz z całym dworem, a być może uzurpator zabierze ze sobą również Stanleyów, wszelako lady Małgorzata pozostanie w Londynie i wyda rozkazy wiernym jej ludziom, aby przyłączyli się do nas. Już udało jej się umieścić zauszników w twierdzy...

— Jakie mamy siły?

— Prawie setkę chłopca. Uzurpator mianował dowódcą londyńskiej twierdzy sir Roberta Brackenbury'ego, tak że możemy mieć nadzieję, że Edwardowi nie spadnie włos z głowy. Brackenbury to przyzwoity człowiek, nigdy by nie skrzywdził chłopca, w dodatku księcia powierzonego jego pieczy. Wśród sług królewskich apartamentów Tower znajduje się parę przekupionych przeze mnie osób. Otworzą przed nami drzwi, kiedy usłyszą umówione hasło.

— A potem?

— Wyślemy cię do Flandrii razem z córkami. Edward dołączy do was w drodze albo już na miejscu. Czy dostałaś jakieś wieści od tego człowieka, który miał się zaopiekować małym Ryszardem? Wiadomo, że dotarł bezpiecznie?

— Nic o nim nie wiem — odpowiadam zaniepokojona. — Co dzień wypatrywałam posłańca z wiadomością, lecz żaden nie nadzedł. A powinien był, upłynęło przecież dość czasu od dnia, w którym wypłynęli na Tamizę. Nie ustaję w modlitwach za niego... Czy brak wiadomości to zła wiadomość? — podnoszę spojrzenie na brata.

— Posłaniec mógł zmitrężyć z takiego czy innego powodu, list mógł się zagubić, to się zdarza — uspokaja mnie hrabia Rivers. — Gdyby coś poszło nie tak, z pewnością posłaliby więcej niż jedną wiadomość. Zatem odbierzesz małego Ryszarda z jego kryjówki

i udasz się z wszystkimi dziećmi na dwór Małgorzatkii. Z chwilą gdy zyskamy pewność, iż jesteś bezpieczna, wznecimy powstanie. Wtedy księżę Buckingham otwarcie opowie się po naszej stronie. Lord Stanley i cała jego rodzina staną za nami, tak jak chce Małgorzata Beaufort. Poza tym co najmniej połowa lordów jest gotowa zwrócić się przeciwko uzurpatorowi, tak twierdzi Buckingham. Rodzony syn Małgorzaty Beaufort, Henryk Tudor, poderwie własną armię w Bretanii i przybije do brzegów Walii.

— Kiedy? — aż sapię z wrażenia.

Hrabia Rivers ogląda się za siebie. Na Tamizie jak zwykle roi się od barek, łodzi i stateczków handlowych, pomiędzy którymi kursują mniejsze jednostki.

— Księżę Gloucester... — urywa i obdarzywszy mnie ciepłym uśmiechem, ciągnie: — Król Ryszard ma opuścić Londyn pod koniec lipca. Wówczas bez chwili zwłoki uwolnimy młodego Edwarda i wyekspedujemy go w drogę za wami, odczekamy, powiedzmy, jakieś dwa dni, po czym mając pewność, że orszak uzurpatora nie ściągnie posiłków, uderzymy z zaskoczenia.

— A co z Edwardem, naszym bratem?

— Edward zbiera ludzi w hrabstwie Devon i Kornwalii. Tomasz Grey robi to samo w Kencie. Buckingham zapewni nam wzmocnienie z hrabstwa Dorset i Hampshire, zaś Stanley przywiedzie swoich krewniaków rodem ze środkowej Anglii. Małgorzata Beaufort z synem zwołają pod broń całą Walię w imieniu Tudorów. Wielu lordów mianowanych przez twego męża jest gotowych stanąć w obronie jego synów.

Skubię skórki przy paznokciu, zastanawiając się, jaką decyzję podjąłby w tych warunkach mój nieżyjący mąż — mamy ludzi, broń, środki i poparcie w południowej i środkowej Anglii.

— Musimy pokonać uzurpatora, zanim ściągnie posiłki z północy — decyduję.

Hrabia Rivers szczerzy się do mnie z łobuzerskim uśmiechem.

— Ano musimy — przyznaje. — I zrobimy to, ponieważ mamy wszystko do zyskania, a nic do stracenia. Ryszard York odebrał koronę naszemu dziedzicowi, nic gorszego nie może nas spotkać.

— Nic gorszego nie może nas spotkać... — powtarzam i czując dreszcz przebiegający mi po krzyżu, składam go na karb utraty mego ukochanego brata Antoniego i Ryszarda, syna po Greyu. — Nic gorszego nie może nas spotkać. Rzeczywiście trudno sobie wyobrazić większą stratę.

Hrabia Rivers ujmuje mnie brudną dłonią za rękę.

— Bądź gotowa do podróży, gdy tylko prześlę ci wiadomość — mówi na koniec. — Dam ci niezwłocznie znać, kiedy księżę Edward będzie wolny.

Kiwam głową i odwróciwszy się, wracam w mury sanktuarium.

LIPIEC 1483 ROKU



Stoję przy oknie z podróżną peleryną zarzuconą na ramiona, ze szkatułką kosztowności w rękach, z córkami gotowymi do drogi. Żadna z nas nic nie mówi; milczymy już od dłuższego czasu. Czekamy. Wytężamy słuch, by usłyszeć coś — cokolwiek — lecz dochodzi nas tylko miarowe chłopotanie fal Tamizy uderzających o mury sanktuarium i sporadyczny okrzyk czy wybuch śmiechu od strony miasta. Elżbietka obok mnie przeży się niczym struna lutni, przepełniona niepokojem.

Z odrętwienia wyrwa nas nagły hałas. Odwracam się gwałtownie i widzę, że to mój brat Lionel wybiega z korytarzyka wiodącego do katakumb, zatrzaskuje za sobą drzwi i zakłada rygle i zasuw.

— Ponieśliśmy klęskę — mówi dysząc i szybko dodaje: — Woodville'owie są bezpieczni, Tomasz Grey także. Udało im się uciec w dół rzeki. Nie zdobyliśmy Białej Wieży.

— Widziałeś mojego syna? — pytam, nie odrywając od niego spojrzenia.

Potrząsa przecząco głową.

— Wiem, że trzymają tam dwóch chłopców. Byliśmy tak blisko, że słyszałem, jak ludzie uzurpatora wykrzykują rozkazy, aby zabrać chłopców głębiej, do lepiej strzeżonej komnaty. Boże, siostrze, przebac mi. Znalazłem się na wyciągnięcie ręki od następcy tronu, tylko grube drzwi mnie od niego dzieliły, lecz nie byłem w stanie ich sforsować...

Opadam na ziemię, kiedy nogi odmawiają mi posłuszeństwa, a zmartwiałe dłonie wypuszczają szkatułę z klejnotami. Elżbietka

z poszarzałą twarzą obraca się do sióstr i po kolei zaczyna je rozdzwiewać z pelerynek, które następnie starannie składa, jak gdyby miało znaczenie, aby się nie pomięły, czekając do następnej okazji.

— Mój syn... — szepczę. — Mój syn...

— Dostaliśmy się do Tower przez bramę wodną i pokonaliśmy pierwsze obwałowania, zanim w ogóle się spostrzegli. Wbiegaliśmy po schodach na blanki, kiedy ktoś uderzył na alarm, i mimo że pędziliśmy ile tchu w płucach, nie zdążyliśmy do wrót Białej Wieży przed ich zamknięciem na głucho. Zabrakło paru uderzeń serca, parunastu kroków. Tomasz wypalił w stronę zamka i wszyscy potem napierali barkiem, lecz dobrze się zabarykadowali w środku. Z kolei za nami nadbiegali strażnicy. Stawiliśmy im czoło jak jeden mąż, podczas gdy Tomasz Grey i ludzie przysłani przez Stanleya usiłowali wyważyć drzwi albo zdjąć je z zawiasów, ale okazały się zbyt solidne...

Przerywam mu.

— Lord Stanley przysłał swoich ludzi, tak jak obiecał?

— Zarówno on, jak i Buckingham dotrzymali słowa. Oczywiście nikt nie nosił liberii, lecz wszyscy mieli przypięte do strojów białe różę. Dziwne uczucie, zobaczyć znów białą różę... Jeszcze dziwniejsze, próbować włamać się do miejsca, które należy do nas. Wołałem do księcia Edwarda, żeby nie tracił ducha, że wkrótce po niego przyjdziemy, że nigdy byśmy go nie zawiedli... Nie mam pojęcia, czy cokolwiek z tego usłyszał...

— Jesteś ranny! — Dopiero teraz dostrzegam rozcięcie na jego czole.

Lionel ociera krew, jakby to była sadza.

— Nieważne. Żałuję, że tam nie zginąłem, zamiast przychodzić do ciebie z gołymi rękami.

— Nie waz się mówić o śmierci — mówię cicho. — Módlmy się, aby był cały i zdrow i aby nie przstraszyło go zamieszanie. Módlmy się, by zabrali go do lepiej strzeżonej komnaty, a nie całkiem gdzie indziej, gdzie nigdy go nie znajdziemy.

— To potrwa najwyżej miesiąc — zapewnia mnie. — Nasz brat, hrabia Rivers, prosił, by ci to przekazać. Twój stronnicy się zbroją, podczas gdy uzurpator kieruje się na północ w otoczeniu ledwie

garstki gwardzistów. Buckingham i Stanley są w jego świetle i będą go odwozić od powrotu do Londynu. Przekonają go, aby jechał dalej na północ, do rodzinnego Yorku. Tymczasem Jasper Tudor stawia żagle u wybrzeży Bretanii i niebawem wyląduje w Walii. Już wkrótce rozegra się decydująca bitwa. Kiedy uzurpator zginie, klucze do Tower znów znajdą się w naszych rękach.

Nieoczekiwanie odzywa się Elżbietka. Prostuje się, trzymając w rękach równo złożone okrycia dziewczynek, i pyta oziębłym tonem:

— Ufasz swoim nowym przyjaciółom, pani matko? Tym wszystkim sojusznikom, którzy biorą twoją stronę, lecz nie potrafią odnieść zwycięstwa? Tym, którzy są gotowi ryzykować życie, aby oddać koronę młodemu Edwardowi, mimo że parę tygodni temu świętowali i ucztowali po koronacji księcia Gloucester? Doszły mnie słuchy, że lady Stanley niosła tren nowej królowej Anny, tak jak kiedyś nosiła twój. Że nowa królowa ucałowała ją w oba policzki, witając na swoim dworze. Lady Małgorzata była honorowym gościem podczas koronacji mego wuja, a teraz zwołuje przeciwko niemu ludzi? Działa na naszą korzyść? Księżę Buckingham był twoim podopiecznym, który nigdy cię nie lubił, a znenawidził za to, że wydałaś go za moją ciotkę Katarzynę, teraz zaś przeszedł na twoją stronę i nagle zapałał do ciebie sympatią? Czy tak wyglądają prawdziwi sprzymierzeńcy? A może raczej lojalni słudzy nowego króla, myślący tylko o tym, jak by cię zwabić w pułapkę? Z pewnością wszyscy oni prowadzą podwójną grę i bez wątpienia towarzyszą nowemu królowi, ucztując z nim w Oksfordzie. Nikt z nich nie znalazł się w Tower, by z narażeniem życia próbować oswobodzić z niewoli mojego brata.

Patrzę na nią równie chłodno, jak ona do mnie przemawia.

— Nie wybiera się sojuszników — rzucam. — Zresztą żeby ocalić syna, zawarłabym pakt z samym diabłem.

Pokazuje mi cień skwaszonego uśmiechu.

— Być może już to zrobiłaś...

SIERPIEŃ 1483 ROKU



Nadchodzi pełnia lata i nawet mój brat biskup opuszcza sanktuarium i Londyn, aby dołączyć do pozostałych braci oraz zgromadzonych przezeń sprzymierzeńców szykujących się do ostatniego zrywu w tej rebelii przeciwko uzurpatorowi. Pod jego nieobecność dopada mnie dojmujące uczucie samotności. Elżbietka utrzymuje dystans i milczenie, tak że nie mam z kim dzielić swoich obaw. W dole rzeki, w Tower, mój drogi syn nadal pozostaje więźniem, a Jemma przynosi z londyńskich ulic plotki, że nikt nie widuje już księcia Edwarda i pazia przebranego za jego młodszego brata Ryszarda, do niedawna bawiących się otwarcie na porośniętym zieloną trawą dziedzińcu twierdzy. Urządzali tam sobie turnieje łucznicze, lecz od pewnego czasu dwa dziecięce łuki leżą porzucone i nieużywane. Od czasu naszej próby wtargnięcia do Tower obaj są przetrzymywani wewnątrz murów, a ja coraz częściej myślę o pladze przynoszonej do Londynu przez upalne powietrze i zagrożeniu czającym się w ciasnych, dusznych pomieszczeniach twierdzy.

Któregoś popołudnia pod koniec sierpnia od strony rzeki dochodzi głośny okrzyk przepływającego pod oknami wioślarza, więc wypycham okiennice na zewnątrz i wyglądam, spodziewając się jakiegoś podarunku. Dobrzy ludzie przywożą nam od czasu do czasu kosz ze świeżo złowionymi rybami, lecz tym razem mężczyzna ma w rękę jakąś kulę.

— Umiesz łapać piłkę, wasza miłość? — woła na mój widok.

Uśmiecham się, przypominając sobie zabawy z braćmi w Grafton.

— Tak, umiem — odpowiadam.

— No to łap! — woła ponownie i miota we mnie białą kulą. Obły przedmiot mknie ze świstem, tnąc powietrze, i gładko mieści się w niewielkim otworze okiennym, gdzie pochwytyję go, wyciągnąwszy przed siebie obie dłonie. Zadowolona ze swego refleksu śmieję się głośno, czując radość z niespodzianej rozrywki. Wtem spostrzegam, że kulka, piłka czy cokolwiek to jest, zostało owinięte kartką papieru. Natychmiast wyglądam za okno, lecz ani łodzi, ani mężczyzny już nie ma.

Odwijam papier i wyglądam go dłonią, po czym przykładam do serca, a potem do ust, aby uciszyć wrywający mi się z piersi płacz, gdyż od pierwszej chwili rozpoznaję krągłe dziecinne pismo mego młodszego syna po królu. Tekst, z początku w miarę wyraźny, z każdym kolejnym słowem staje się mniej czytelny, jakby był pisany w pośpiechu.

Najdroższa Pani Matko!

Bądź pozdrowiona i niech Pan Bóg Ci błogostawi. Nie wolno mi do Ciebie pisać ani często, ani długo, nie mogę też powiedzieć Ci, gdzie dokładnie się znajduję, na wypadek gdyby list został skradziony, ale wiedz, że dotarłem na miejsce cały i zdrow i dosyć mi się tutaj podoba. Opiekują się mną dobrzy ludzie i już nawet nauczyłem się wiosłować łódką, a opiekunowie mówią, że jestem grzeczny i przydatny. Za jakiś czas będę musiał ich opuścić, ponieważ nie są w stanie sami nauczyć mnie wszystkiego, co mi potrzebne, i myślą o tym, by wysłać mnie na nauki, jednakże będę do nich wracał na każde lato i znów łowił węgorze, które są całkiem smaczne, jeśli człowiek już się do nich przyzwyczai, no chyba że wcześniej zawezwiesz mnie z powrotem do siebie.

Przekaż moje pozdrowienia siostrom oraz wyrazy miłości i szacunku memu bratu i królowi.

Podpisano:

Twój syn, Ryszard Shrewsbury książę Yorku.

PS. Chociaż teraz mam na imię Piotr i pamiętam, żeby zawsze reagować, kiedy tak mnie wołają. Moja opiekunka, która jest bardzo miła, nazywa mnie swoim małym Perkinem, a mnie to wcale nie przeszkadza.

Czytam cały list przez Izy, po czym ocieram oczy i czytam go ponownie. Uśmiecham się na myśl, że mój mały książę okazał się dla kogoś „przydatny”, i biorę głęboki oddech, by powstrzymać płacz na myśl o tym, że jakaś inna niewiasta nazywa go „swoim małym Perkinem”. Czuję żal, że został mi odebrany w tak młodym wieku, lecz usiłuję sobie przetłumaczyć, że przynajmniej jest bezpieczny — z tego powinnam się cieszyć, gdyż mały Ryszard jest jedynym z moich dzieci, któremu udało się oddalić od niebezpieczeństwa, na jakie naraża je przynależność do tej rodziny, życie w tym kraju, gdzie wojna nigdy się nie kończy. Chłopiec, który w głębi duszy pozostał Ryszardem, lecz który odpowiada na zawołanie „Piotr”, pójdzie do szkoły, będzie uczył się języków, muzyki i innych przedmiotów i przede wszystkim będzie czekał. Jeśli wygramy, wróci do Anglii jako książę krwi; jeśli przegramy, przypadnie mu rola broni, o której nie wiedzą nasi wrogowie: chłopca w ukryciu, cierpliwie wyczekującego swej szansy następcy tronu, nemezis ich przebrzmiałych ambicji, mojej zemsty. Mój mały Ryszard i jego potomkowie będą nawiedzali niczym duchy każdego króla, który zasiądzie na tronie Anglii wbrew prawu sukcesji.

— Matko Boska, czuwaj nad nim — szepczę z twarzą ukrytą w dłoniach, z powiekami mocno zaciśniętymi, by nie uронić ani jednej łzy więcej. — Meluzyno, chroń mego syna.

WRZESIEŃ 1483 ROKU



Co dzień docierają do mnie wieści o przygotowaniach naszych ludzi nie tylko w tych hrabstwach, gdzie działają moi bracia, lecz także w pozostałych, w całym niemal królestwie. W miarę jak rozprzestrzenia się wiadomość o tym, że Ryszard York przywłaszczył sobie koronę, coraz więcej zwykłych ludzi — drobnych szlachetków i kupców, jak również lepszych od nich, mistrzów gildii i dziedziców, a nawet niektórzy możnowładcy — zaczynają zadawać sobie pytania. Jak młodszy brat mógł wyciągnąć rękę po tron należący się z prawa najstarszemu synowi króla? Dlaczego człowiek miałby oddawać ducha Stwórcy z wiarą, skoro coś takiego może się zdarzyć i przejść bez kary? Po cóż się starać, czynić swoją rodzinę potężniejszą, jeśli najmłodszy brat, cherlak z miotu, tylko czyha, by zająć miejsce głowy rodu z chwilą, kiedy ta osłabnie?...

Poza tym w wielu, wielu miejscach, któreśmy odwiedzili z Edwardem za jego życia, zapamiętano go jako przystojnego mężczyznę, mnie zaś jako urodziwą żonę i królową, i wciąż mile się tam wspomina wdzięk naszych córek oraz siłę i błyskotliwość naszych synów. Ci, którzy nazywali nas złotą parą królestwa, którzy dziękowali nam za przywrócenie pokoju w Anglii, którzy byli wdzięczni za pewną sukcesję za sprawą licznego przychówku, teraz się oburzają, że nie mieszkamy w swoich pałacach, a nasz najstarszy syn został pozbawiony tronu.

Raz za razem piszę list do mego syna, jego wysokości króla Edwarda V, lecz wiadomości wracają do mnie nieotwarte i nieprze-

czytane. Nikt nie zadaje sobie trudu, by złamać pieczęć i zapoznać się z treścią. Przeszłam mnie nawet szpiegować. Całkiem jakby komuś zależało na tym, by zaprzeczyć jego obecności w królewskich apartamentach Tower. Nie mogę się doczekać początku walk, które przyniosą mu wolność; życzyłamby sobie, by doszło do nich jak najrychlej. Dlaczego nie uderzymy od razu, zamiast przyglądać się beczynnemu, jak Ryszard York chętnie przejeżdża przez całą Anglię, zatrzymując się po kolei w Oxfordshire, Gloucestershire, potem w Pontefract i Yorku, gdzie ogłasza swego chorowitego syna księciem Walii? Nadaje mu tytuł mojego Edwarda, jak gdyby ten już nie żył. Dowiedziawszy się o tym, cały dzień spędzam na klęczkach, modląc się o szansę na zemstę za ten afront. Nie śmiem nawet myśleć, że za tym postępkami może się kryć coś więcej niż obelga pod naszym adresem. Nie zniosłabym choćby cienia podejrzeń, że tytuł księcia Walii istotnie był wolny, ponieważ mój drogi Edward nie żyje.

Elżbietka przychodzi do mnie przed wieczerną i pomaga mi wstać na nogi.

— Wiesz, co twój wuj dzisiaj uczynił? — pytam ją.

Odwraca się ode mnie.

— Wiem — odpowiada bez drżenia w głosie. — Miejski herold wykrzykiwał wiadomość do zdarcia gardła. Było go słyszeć nawet tutaj, za murami opactwa.

— Chyba nie otwierałaś drzwi na zewnątrz? — pytam z niepokojem.

Moja córka wzdycha głęboko.

— Nie, nie otwierałam drzwi. Nigdy ich nie otwieram.

— Gloucester najpierw zawłaszczył sobie koronę twego ojca, a potem odział syna w szaty twego brata. Zapłacił za to głową

— syczę.

— Czy nie dość ludzi zginęło do tej pory?

Biorę ją za rękę i odwracam ku sobie, tak że teraz nie ma wyjścia i musi spojrzeć mi prosto w twarz.

— Mówimy o tronie Anglii, o dziedzictwie twego brata — przypominam jej.

— Mówimy raczej o śmierci naszej rodziny — sprzeciwia się głucho. — Oprócz synów masz też córki, wiesz? Czy choć przez

chwile pomyślałaś, co się stanie z ich dziedzictwem? Gnieźdzymy się tu niczym szczury od początku lata, podczas gdy ty spędzasz czas na modlitwie o zemstę. Twój najukochańszy syn jest albo więźniem, albo trupem, nawet nie masz pewności, czym z dwojga złęgo. Drugiego odesłała precz w mrok nocy. Nie wiemy, gdzie jest ani czy wciąż żyje. Łakniesz tronu, mimo że być może nie masz syna, by go na nim posadzić.

Wypuszczam bezwiednie wstrzymywane powietrze i odstępuję krok do tyłu.

— Elżbieto!

— Chciałabym, abyś posłała memu wujowi list z informacją, że przyjmujesz do wiadomości jego panowanie — oświadczaj lodowatym tonem, tak samo zimnym jak jej dłoń w moich rękach. — Chciałabym, abyś go poinformowała, że jesteś gotowa przystać na jego warunki... jakiegokolwiek zaproponuje. Chciałabym, abyś go przekonała, że może nam pozwolić żyć jak zwykłej rodzinie w starym domu w Grafton, z dala od Londynu, z dala od spisków i knowań, i widma śmierci. Jeżeli poddasz się teraz, mali Edward i Ryszard będą mieli szansę do nas wrócić.

— Dla mnie to by oznaczało powrót do miejsca, w którym wszystko się zaczęło! — wykrzykuję.

— A nie byłaś tam szczęśliwa, mieszkając z matką i ojcem, i z pierwszym mężem, który dał ci Tomasza i Ryszarda Greyów? — pyta szybko, tak szybko, że nie mam czasu przygotować nowych argumentów.

— Tak — przyznaję wzięta przez zaskoczenie. — Tak, byłam tam szczęśliwa.

— Niczego więcej dla siebie nie pragnę — zapewnia. — Niczego więcej nie pragnę dla swoich siostr. Ty jednak wolisz uczynić nas dziedziczkami swej drogi przez mękę. Ja wolałabym być dziedziczką tych dni, które przeżyłaś, nie będąc królową. Nie zależy mi na koronie, pragnę poślubić mężczyznę, który będzie mnie kochał, i odwzajemnić jego miłość z nieprzymuszonej woli.

Spoglądam na nią ostro.

— Tym samym zaprzeczyłabyś, że jesteś córką swego ojca, że jesteś moją córką, że wywodzisz się z dynastii Plantagenetów, żeś

księżniczką krwi. Równie dobrze mogłabyś być służką taką jak Jemma, skoro nie dbasz o to, by przewyższyć samą siebie, by sięgać po niespotykane zaszczyty, które masz pod nosem!

Elżbietka nie ucieka wzrokiem pod wpływem mego palącego spojrzenia.

— Wolałabym być służką niż tobą! — wyrzuca, a w jej głosie brzmi pogarda, jaką może odczuwać tylko dziewczyna w jej wieku. — Nasza Jemma jest wolna, może wracać do domu na noc i spać we własnym łóżu, może odmówić pracy ponad siły, może uciec i nająć się na służbę u innego pana. Natomiast ty jesteś przykuta do tronu Anglii i z nas również uczyniłaś jego niewolnicę.

Prostuję ramiona.

— Jak śmiesz tak do mnie mówić! — srozę się.

— Mówię to, co myślę — wypala.

— Zatem myśl sobie, co chcesz, lecz język trzymaj na wodzy. Nie życzę sobie cierpieć nielojalności od rodzonej córki!

— Nie jesteśmy na wojnie. Nie praw mi więc o lojalności! Zresztą co mi zrobisz? Może pozbawisz głowy za zdradę?

— Jesteśmy na wojnie — oświadczam spokojnie. — A ty nie zdradzisz ani mnie, ani swego urodzenia.

Nawet o tym nie wiedząc, nie rozmiyam się wcale z prawdą. Kiedy wypowiadam te słowa, nasza armia wykonuje pierwszy ruch. Rebelia wybucha w hrabstwie Kent, po czym jak ogień przenosi się do sąsiedniego Susseksu. Księżę Norfolk, ów John Howard, który odwiedził mnie z innymi lordami w sanktuarium, a potem niósł koronę podczas koronacji uzurpatora, pozostaje wierny swemu panu i prowadzi swych ludzi na południe, powstrzymując naszych, przez co nie mogą połączyć sił z towarzyszami broni z zachodnich hrabstw—Norfolk blokuje trakt na wysokości Guildfordu. Jeden z ludzi wymyka się pod osłoną mgły i ciemności, pożyczca małą łódź i udaje się Tamizą do Londynu, gdzie dociera pod bramę wodną opactwa.

— Jakie wieści? — pytam przez odsłonięte okienko w drzwiach wiodących do katakumb. Nie śmiem ich otworzyć czy choćby uchylić z obawy, że zardzewiałe zawiasy zapiszczą przeraźliwie, a poza tym nie znam człowieka, który stoi po drugiej stronie.

— Przybywam złożyć ci wyrazy szczerego współczucia, wasza miłość — zaczyna niezręcznie. — A także zapytać, gdyż moi towarzysze i ja musimy to wiedzieć, czy teraz już mamy popierać Henryka Tudora. Czy taka jest twoja wola, miłościwa pani?

— Co? Jak to? — Nic nie rozumiem. — O czym ty mówisz?

— Bóg świadkiem, żeśmy się modlili za młodego króla, każdego dnia zapalali zań świeczkę, i teraz wszyscyśmy w Reigate niezwykle smutni, że nie zdążyliśmy mu przyjść z pomocą. My...

— Zaraz! — przerywam mu. — Jedną chwileczkę. Co ty właściwie próbujesz mi powiedzieć, dobry człowieku?

Jego szeroka ciastowata twarz z wolna nabiera wyrazu zdumienia.

— Na Boga, nie mów, miłościwa pani, żeś nic nie wiedziała i że jam jak ostatni głupiec wszystko wypaplał... — Mnie w dłoniach czapkę, od której odpada wyliniałe piórko i lekko wirując, szybuje ku mokrym kamieniom. — Och, wasza miłość... co za głupiec ze mnie! Powinienem był najpierw porozmawiać z kim innym... — Wytrzeszcza oczy, usiłując wypatrzeć mnie za gęstą kratownicą małego okienka. — Wezwij którą dworkę — prosi. — Nie mdlej mi tutaj, miłościwa pani...

Ucapiam się palcami kratownicy, czując, jak wszystko wokół zaczyna się kołysać.

— Nie zemdlej — obiecuję spierzchniętymi wargami. — Czy ty twierdzisz, że młody król Edward został stracony?

Nieszczęśnik potrząsa głową.

— Wiem tylko, że nie żyje. Niech Bóg cię błogosławi, słodka pani, i niech mi wybaczy, żeś przyniósł ci złą nowinę. Taka zła nowina i ja ci ją przynoszę! A tytkośmy chcieli się dowiedzieć, jakie są teraz twoje rozkazy.

— Czyli nie został stracony?

Ponownie potrząsa głową.

— Nie było publicznej egzekucji. Biedni chłopcy... Nikt nie wie niczego na pewno. Powiedziano nam tylko, że obaj książęta stracili życie, niech Bóg czuwa nad ich duszyczkami, i że powstanie będzie się toczyć, tak jak zaplanowano, przeciwko Ryszardowi Yorkowi, który nadal pozostaje uzurpatorem, tyle że teraz wyniesiemy na

tron Henryka Tudora, bo to najlepsze, co możemy zrobić dla Anglii.

Śmieję się chrapliwym śmiechem pozbawionym wesołości.

— Syna Małgorzaty Beaufort? W miejsce mojego syna?

Mężczyzna rozgląda się niepewnie wokół, szukając pomocy, wyraźnie przestraszony nutą szaleństwa w moim głosie.

— My niewinni, wasza miłość. Przysięgaliśmy uwolnić książąt z Tower. Poderwaliśmy się do walki z twoim imieniem na ustach, miłościwa pani, i z imieniem młodego króla Edwarda. Ale nie wiemy, co począć teraz, kiedy nie stało żadnego z książąt. John Howard pilnuje traktu, więc nie mogliśmy się przedostać do obozu twego brata i jego zapytać o dalsze rozkazy. Uradziliśmy, że wymknę się cichaczem i przedostanę do Londynu, by poradzić się ciebie.

— Kto wam powiedział, że moi synowie nie żyją?

Żołnierz zastanawia się przez chwilę.

— Jakiś człowiek księcia Buckingham. Ten sam, który przywiózł nam złoto i broń dla tych, co szli z gołymi rękami. Rzekł nam, że możemy ufać jego panu, który obrócił się przeciwko uzurpatorowi Ryszardowi Yorkowi za to, że ten kazał zamordować chłopców. Mówił, że jego pan był wiernym sługą księcia Gloucester, gdyż myślał, że ten jest uczciwym protektorem książąt po królu Edwardzie, lecz gdy się dowiedział, że chłopcy zginęli z jego rozkazu, porzucił służbę u niego w te pędy. Twierdził, że księżę Buckingham wie o wszystkim, co robi i mówi uzurpator, ale śmierci chłopców nie mógł zapobiec. — Podnosi na mnie niespokojne spojrzenie. — Niech Bóg doda ci sił, wasza miłość. Na pewno nie potrzebujesz której ze swoich dworek?

— Usłyszałeś to wszystko z ust człowieka przysłanego przez księcia?

— Poczciwa dusza, mówił szczerze jak na spowiedzi. Sypnął dodatkowym złotem, żeby nasi mieli za co wychylić zdrowie księcia Buckingham. Jak się rozgadał, powiedział, że Ryszard York w sekrecie kazał zabić obu chłopców, zrobił to, zanim jeszcze wyruszył na objazd królestwa, i że jak jego pan o tym później usłyszał, po-przysiągł, że strąci uzurpatora z tronu, że nie zniesie ani chwili dłużej panowania mordercy i że każdy prawy chrześcijanin powi-

nien wystąpić przeciwko człowiekowi, który splamił sobie ręce krwią niewinnych dzieciak... Napomknął nawet, że sam byłby lepszym królem od Ryszarda, bo i ma prawo upomnieć się o tron.

Chyba wiedziałabym, gdyby mój syn zginął? Słyszałam śpiew Meluzyny w dzień śmierci mego brata. Gdyby umierał mój najdroższy potomek, następca tronu Anglii, dziedzic rodu, chybabym o tym wiedziała? To niemożliwe, żeby odebrano mu życie parę mil od miejsca, w którym się znajduję, i żebym ja nic nie poczuła!... Dlatego nie wierzę w ani jedno słowo żołnierza. I nie uwierzę, że Edward jest martwy, dopóki nie zobaczę jego martwego ciała. Mój syn żyje. Nie może być inaczej. Nie dopuszczę do siebie myśli o jego śmierci dopóty, dopóki nie ujrzę go na katafalku.

— Posłuchaj mnie — odzywam się, przywierając twarzą do kratownicy i gwałtownie wyrzucając z siebie słowa. — Wracaj, skąd przybyłeś, i powiedz swoim towarzyszom, że muszą walczyć za księżętą, gdyż ci żyją. Książę się pomylił: uzurpator nie kazał ich zamordować. Wiem to, w końcu jestem ich matką. Gdyby ci nie uwierzyli, dodaj, że nawet jeśli zginął Edward, młodszy Ryszard jest w bezpiecznej kryjówce. Wyjdzie z niej w swoim czasie i upomni się o tron, który mu się należy. Dlatego kiedy dostaniecie rozkazy do wymarszu, nie wahajcie się i walczcie mężnie i z dumą, bo trzeba wam zniszczyć uzurpatora Ryszarda i uwolnić moich synów i mnie.

— A księżę Buckingham? — pyta żołnierz skonfundowany sprzecznymi informacjami. — A Henryk Tudor?

Krzywię się i zbywam te dwa miana machnięciem ręki.

— Nasi lojalni sojusznicy — mówię, nie czując już dawnej pewności. — Nie zawieź mnie, a szczerze cię wynagrodzę, jak każdego, kto dzielnie przeciwstawi się uzurpatorowi i będzie walczył w mojej sprawie i za księżąt z Tower.

Kłania się niezgrabnie i zbiega po mokrych schodkach, by wskoczyć do chyboczącej się na falach łódki. Po chwili połyka go mrok i snująca się nad rzeką mgła. Czekam jakiś jeszcze czas, aż plaśnięcia wiosła całkiem umilkną, po czym wpatruję się w ciemną powierzchnię Tamizy.

— Książę... — szepczę. — Książę Buckingham rozpowiada wszystkim, że moi synowie nie żyją. Czemu to robi? Przecież przy-

sięgał, że ruszy im na ratunek. Przecież dostarcza złoto i broń na użytek rebelii. Czemu mówi żołnierzom w tej samej chwili, kiedy wzywa ich do walki, że książęta z Tower nie żyją?

Spożywam wieczerzę w towarzystwie swoich córek i tych paru sług, którzy zostali z nami za murami sanktuarium, ale nie umiem się skupić na słowach Biblii, odczytywanych uważnie przez siedmioletnią Annę, ani na odpowiedziach pozostałych dziewczynek, skrupulatnie odpytywanych przez Elżbietkę na temat tego, co właśnie usłyszały. Jestem równie niebaczna na to, co się dzieje przy stole, jak wierząca się na kolanach piastunki najmłodsza Brygida. Nie potrafię myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, skąd wzięła się plotka o śmierci moich synów.

Wysyłam dzieci wcześniej spać, gdyż nie mogę znieść harmideru towarzyszącego zazwyczaj ich zabawom czy śpiewom. Do białego rana przemierzam pomieszczenie służące mi za komnatę prywatną, stąpając po jedynej desce, która nie skrzypi, od ściany do okna wychodzącego na rzekę i z powrotem, i nie przestając się zastanawiać, czemu mój szwagier miałby pozbawić życia książąt właśnie teraz, gdy uzyskał wszystko, co sobie zamierzył. Przecież namówił radę królewską, by ogłosiła ich bękartami, przeforsował w parlamencie uchwałę uznającą moje małżeństwo z królem za nieważne. Obwieścił, iż jest jedynym prawowitym następcą tronu, i włożył koronę na swoją ciemnowłosą głowę. Jego słabująca żona, Anna Neville, została koronowana na królową Anglii, i odbyła się inwestytura ich syna, Edwarda Middlehama, na księcia Walii. Wszystko to zdarzyło się, podczas gdy ja chroniałam się w sanktuarium, a mój syn był przetrzymywany w Tower. Gloucester zatryumfował nad nami; czemuż miałby chcieć naszej śmierci t e r a z? Po co ryzykowałyby piętno dzieciobójstwa, skoro wszem wobec wiadomo, że książęta pozostają w jego pieczy? Są świadkowie, którzy mogą potwierdzić, że Ryszarda Shrewsbury zabrał do Tower wbrew mojej woli, a zresztą sam kardynał ręczył, że mojemu synowi nie stanie się krzywda.

Z drugiej strony, Gloucester nie należy do osób, które wahają się przed podjęciem drastycznych kroków, gdy zachodzi taka koniecz-

ność. Kiedy wraz z braćmi doszedł do wniosku, że stary król Henryk musi umrzeć, spotkali się we trzech przed drzwiami jego komnaty, mając smutne oblicza, lecz mocne postanowienie. Tacy już są mężczyźni z rodu Yorków — złe uczynki nie spędzają im snu z powiek, aczkolwiek dokonują ich sami, nie rękoma innych ludzi. Także Gloucester nie ryzykowałby niepotrzebnie najmowania kogoś do zamordowania książąt krwi, przekupywania straży, pozbywania się ciała. Na własne oczy widziałam, jak zabija: własnoręcznie, znienacka, nieomal otwarcie, bez cienia wstydu. Człowiek, który rozkazał ściąć sir Williama Hastingsa na walającym się po dziedzińcu Tower kłocu drewna, nie miałby oporów przed przytrzymaniem na twarzy małego chłopca wypchanej pierzem poduszki. Gdyby więc mój syn faktycznie miał zginąć, jestem przekonana, iż zginąłby z ręki swego wuja. W najgorszym razie uzurpator wydałby rozkaz i osobiście dopilnował jego wykonania.

To wszystko wzięte razem utwierdza mnie w przeczuciu, że ów żołnierz z Reigate naprawdę się mylił i mój syn Edward nadal żyje. Zarazem jednak — gdy tak wędruję od ściany do okna i wyglądam na pogrążoną w ciemnościach i mgłę rzekę — nie umiem na dobre oddalić od siebie obawy, że to ja się mylę, że moje wnioski są niesłuszne, że niesłuszna jest nawet moja wiara w Meluzynę. Być może Gloucester wyznaczył kogoś do zamordowania chłopców. Być może młody Edward umarł, a ja o tym nic nie wiem, ponieważ utraciłam swoją zdolność wysaną z mlekiem matki. Być może niczego już nie mogę być pewna.

O świtaniu nie potrafię znieść dłużej samotności, toteż posyłam po doktora Lewisa. Słudze przykazuję, by wyciągnął go z najgłębszego snu i przywiódł do mnie czym prędzej, gdyż jestem śmiertelnie chora. Do czasu gdy medyk lady Stanley pojawia się w opactwie, moje słowa oblekają się w ciało — rzeczywiście trawi mnie gorączka z niepokoju.

— Wasza miłość?... — wita mnie niepewnie doktor Lewis.

W blasku świec zdaje się wymizerowana, włosy mam w nieładzie, na siebie ledwie zarzuconą pelerynę.

— Musisz wprowadzić swoich zaufanych ludzi do Tower i zapewnić opiekę memu synowi, skoro nie jesteśmy w stanie go uwol-

nić — rzucam bez żadnych wstępów. — Lady Małgorzata musi użyć swoich wpływów, jeśli trzeba, powołać się na nazwisko swego męża, byle ochronić księżętę. Edward i Ryszard Shrewsbury znaleźli się w niebezpieczeństwie. W wielkim niebezpieczeństwie...

— Otrzymałaś jakieś nowe wieści?

— Rozeszła się pogłoska o śmierci moich synów — odpowiadam matowym głosem.

Doktor Lewis nie wydaje się zaskoczony moimi słowami.

— Niech Bóg broni, wasza miłość, lecz to chyba nie tylko pogłoska... Księżę Buckingham przepowiedział, że tak się stanie. Mówił nam, że uzurpator jest zdolny pozbawić życia swoich bratanków, byle włożyć koronę.

Wzdrygam się ledwie zauważalnie, tak jakbym wyciągnęła rękę i w ostatniej chwili zobaczyła, że miejsce, którego zamierzałam dotknąć, jest zajęte przez wygrzewającego się w słońcu jadowitego węża.

— Tak... — rzekę nagle znużona. — To właśnie usłyszałam, i to z ust człowieka pozostającego pod rozkazami księcia Buckingham.

Medyk czyni znak krzyża na piersi.

— Boże, miej nas w swojej opiece...

— Jednakże moim zdaniem do najgorszego jeszcze nie doszło i wciąż jest czas, byśmy mogli zapobiec królobójstwu.

Spogląda na mnie zafrasowany.

— Obawiam się, wasza miłość, że to próżne nadzieje i że księżęta już nie żyją, a my nie możemy zrobić nic, by ich wybawić z opresji. Przyjmij wyrazy najgłębszego współczucia, wasza miłość... — skłania głowę.

— Dziękuję — odzywam się głucho. W skroniach pulsuje mi krew, nie potrafię zebrać myśli. Czuję się tak, jakbym patrzyła na węża, a on bez mrugnięcia powieką odwzajemniał zimne spojrzenie.

— Prośmy Boga, by wszczęta rebelia strąciła z tronu uzurpatora i człowieka zdolnego do zadania śmierci własnym bratankom. Najwyższy musi stanąć po naszej stronie przeciwko takiemu Herodowi.

— O ile to Ryszard York jest winny śmierci moich synów.

Podrywa na mnie wzrok, jakbym powiedziała coś niesłychanego, mimo że informacja o zamordowanych dzieciach nie zrobiła na nim większego wrażenia.

— Któż by inny? — oburza się. — Kto inny byłby zdolny do czegoś podobnego? Kto inny by na tym zyskał? Kto jak nie on wydał rozkaz ścięcia sir Williama Hastingsa, hrabiego Rivers i Ryszarda Greya? Kto jak nie książę Gloucester jest oprawcą twojej rodziny i twym największym wrogiem, wasza miłość? Chyba nie podejrzewasz nikogo innego!

Czuję, że zaczynam drżeć na całym ciele i że do oczu cisną mi się łzy, których nie sposób powstrzymać.

— Sama już nie wiem... — odpowiadam z wahaniem. — Po prostu czuję pewność, że mój syn nie umarł. Wiedziałabym, gdyby tak się stało. Matka zawsze to wie. Spytaj lady Stanley, powie ci, że poczułaby, gdyby Henryka Tudora spotkała śmierć. Matkę i dziecko łączy niezrozumiała dla innych więź. Przynajmniej Ryszard Shrewsbury jest bezpieczny...

Chwyta przynętę; w jego zamglonych oczach rozpala się błysk podejrzliwości.

— Doprawdy? — naciska, chcąc mnie pociągnąć za język. Ja jednak powiedziałam wystarczająco dużo.

— Obaj są bezpieczni — poprawiam się szybko. — Powiedz mi, skąd czerpiesz pewność o ich śmierci?

Kładzie rękę na grzbiecie mojej dłoni.

— Nie chciałem cię wcześniej zasmucać swymi podejrzeniami, wasza miłość, ale żadnego z książąt nie widziano od dnia wyjazdu uzurpatora z Londynu. Książę Buckingham i lady Stanley zgodnie twierdzą, że Gloucester pozbawił ich życia, zanim udał się w objazd królestwa. Nikt z nas nie był w stanie ich ocalić. Kiedyśmy próbowali się wdrzeć do Białej Wieży, już dawno nie żyli.

Wrywam dłoń i przykładam ją do rozpalonego czoła. Tak bardzo chciałabym znów jasno myśleć. Przypominam sobie Lionela, który mówił mi, że na własne uszy słyszał, jak gwardziści pokrzykują za wrotami Tower, by zabrać chłopców do lepiej strzeżonych komnat; który zapewniał mnie, że był na wyciągnięcie ręki od Edwarda,

lecz dzieliły ich grube drzwi. Dlaczegoż więc doktor Lewis mnie zwodzi?

— Czy nie byłoby lepiej, gdyby książę Buckingham zatrzymał swoje niesprawdzone podejrzenia dla siebie? — pytam. — Moi krewni, przyjaciele i stronnicy wzywają ludzi pod broń z myślą, by ocalić książąt uwieczonych w Tower. Jeśli rozejdzie się wieść o ich śmierci, któż zechce walczyć w przegranej sprawie?

— Prawda powinna wyjść na jaw — rzecze medyk gładko, na-
zbyt gładko.

— Dlaczego? Dlaczego prawda ma wyjść na jaw teraz, przed bitwą?

— Aby wszyscy się dowiedzieli, że to uzurpator wydał rozkaz — odpowiada doktor Lewis. — Że książę Gloucester ponosi winę. Ludzie poderwą się do walki, by dokonać zemsty.

Myśli mam zmacone, nie umiem się w tym dopatrzeć ani krztyny sensu. Wyczuwam kłamstwo, lecz nie potrafię go nazwać. Wszakże coś jest nie tak, wiem to na pewno.

— Ale któż by wątpił, że Gloucester ponosi winę? Jak sam powiedziałeś, zamordował moich krewnych. Czemu mielibyśmy się przyznawać do naszych obaw, konfundować prostych ludzi?

— Nikt by nie wątpił — potwierdza. — Nikt z wyjątkiem Ryszarda Yorka nie byłby zdolny do podobnego czynu. Nikt z wyjątkiem niego nie odniósłby korzyści ze zbrodni wołającej o pomstę do nieba.

Podrywam się na równe nogi, potrącając stół i przewracając świecznik.

— Nic już nie rozumiem! — wybucham.

Doktor Lewis rzuca się, aby podnieść świecę, nim ogień narobi szkód, i chybotliwy płomień wydobywa z mroku jego prawdziwą twarz. Przez jedną krótką chwilę medyk lady Stanley wygląda tak jak tamtego pierwszego dnia, gdy mała Cecylia oznajmiła, że za drzwiami czai się sama Śmierć. Sapię ze strachu i cofam się o krok, podczas gdy on wciąż walczy z przewróconym lichtarzem. Uporawszy się z zadaniem, pozostaje w pozycji stojącej, jako że ja, królowa wdowa, nadal stoję.

— Możesz odejść — wyrzucam z siebie zdania bez ładu i składu. — Źle się czuję. Nie umiem zebrać myśli. Zostaw mnie...

— Współczuję ci twojej straty, wasza miłość. Może podam ci wywar z ziół ułatwiający zasypianie? — ofiarowuję się.

— Nie, nie chcę spać. Dziękuję, że przyszedłeś na moje wezwanie. — Biorę głęboki oddech i odsuwam kosmyki włosów, które opadły mi na twarz. — Uspokoiłeś mnie swoją mądrością. Już się tak nie denerwuję.

Doktor Lewis zdaje się zaskoczony.

— Ale przecież ja nie powiedziałem nic takiego...

Potrząsam głową. Marzę o tym, aby już sobie poszedł.

— Wysłuchałeś moich trosk — mówię. — Tak postępuje prawdziwy przyjaciel.

— Zaraz po pierwszej mszy pomówię z lady Małgorzatą i opowiem jej o twoich zmartwieniach. Poproszę, by posłała swoich ludzi do Tower i wywiedziała się nowin na temat ksiąząt. Jeśli żyją, znajdują się pod dobrą opieką. Będziemy ich od tej pory chronić.

— Przynajmniej Ryszard jest bezpieczny — wrywa mi się nierozważnie.

— Bezpieczniejszy od brata?

Uśmiecham się tajemniczo.

— Doktorze, gdybyś miał dwa niezwykle cenne klejnoty, czy umieściłbyś oba w jednym skarbczyku?

— Zatem Ryszarda nie było w Tower?... — Jego głos jest nieledwie szeptem, błękitne oczy wpatrują się we mnie z napięciem, jedna noga podryguje mu z napięcia.

Przykładam palec do ust.

— Sza!

— Ale przecież dwóch chłopców zginęło w łożu...

Doprawdy? Och, doprawdy? Skądże masz taką pewność, doktorze? Gdy te myśli przebiegają mi przez głowę, na zewnątrz pozostaję jak z kamienia. Medyk lady Stanley kłania mi się i pośpiesznie kieruje się do wyjścia.

— Przekaż lady Małgorzacie, iż błagam ją, by zaopiekowała się moim synem w Tower, jakby to było jej rodzone dziecko — wołam za nim.

Doktor Lewis obraca się w progu, kłania ponownie i znika za drzwiami.

Kiedy budzą się dzieci, mówię im, że jestem chora, i pozostaję w swojej komnacie. Nawet zatroskaną Elżbietkę odsyłam od progu ze słowami, że potrzeba mi odpoczynku. Nie zamierzam jednak spać — pragnę zrozumieć, co się naprawdę stało. Trzymając głowę w dłoniach, przechadzam się boso po tej samej linii, po której stapałam nocą, aby nikt nie usłyszał, iż nie leżę w łożu. Przetrzęsam umysł w poszukiwaniu wskazówek. Znalazłam się sama w świecie zaludnionym przez przebiegłych konspiratorów. Książę Buckingham i lady Stanley działają razem, a może tylko tak udają, w rzeczywistości zaś każde sobie rzepkę skrobie. Z pewnością oboje udają lojalność wobec mnie, choć niewykluczone, że faktycznie pozostają wiernymi sługami, a ja niesprawiedliwie ich osądzam. Zataczam koła, nie umiejąc zdecydować się na żadną wersję, i raz po raz pociągam się za włosy na skroniach, jak gdyby dolegliwy ból mógł przejaśnić mi umysł.

Rzuciłam urok na Glouceстера, uzurpartora i tyrana, lecz teraz jego śmierć nie jest pierwszej wagi, może zaczekać. Wprawdzie uwięził moich synów, ale nie on rozpuszcza plotki o tym, że nie żyją. Przetrzyzymał książąt w Tower wbrew ich woli, wbrew mojej woli, jednakże nie uczynił nic, by przygotować lud na ich zgon. Zarówno koronę Anglii, jak i księstwo Walii dla syna zabrał nam podstępem i oszustwem. Wcale nie musiał zabijać Edwarda i Ryszarda, by osiągnąć to, co sobie zamierzył. Zatrzyumfował nad krwią swego brata, nie przelewając jej więcej. Zyskał wszystko to, na czym mu zależało, nie brudząc sobie rąk. Po cóż więc miałyby teraz zabijać kóregokolwiek z moich synów? Gloucester poczuł się pewniej na tronie, rada królewska zaakceptowała go jako swego monarchę, możnowładcy uznali go za swego suzerena, wyruszył otwarcie na objazd Anglii i poddani witają go wszędzie wiwatami. Trwają przygotowania do rebelii, którą wznieciłam, lecz Ryszard York jest przekonany, że Norfolk już sobie z nią poradził, tłumiąc ją w zarodku. W swoim mniemaniu jest bezpieczny. Będzie więził moich synów dopóty, dopóki nie przyznam swojej porażki, do czego w gorących słowach namawia mnie Elżbietka.

Tymczasem księciu Buckingham przysługuje prawo do tronu, gdyby wymarcu uległa linia Ryszarda Yorka — i pod warunkiem że

obaj moi synowie byliby martwi. Jego prawa są nic niewarte, póki żyją Edward i Ryszard Plantagenet. Wszelako gdyby chorowity syn Ryszarda III wyzionał ducha, a sam Ryszard III zginął na polu walki, zaś księżę Buckingham poprowadził zwycięskie powstanie przeciwko uzurpatorowi, wówczas mógłby sięgnąć po koronę. Nikt nie mógłby zaprzeczyć, że Henry Stafford jest następny w kolejce do tronu, zwłaszcza gdyby było powszechnie wiadomo, że synowie Edwarda IV nie żyją. Buckingham zachowałby się podobnie jak mój mąż swego czasu, z tą tylko różnicą, że wtedy w Tower wciąż żył pretendent do tronu. Dlatego — kiedy wkroczył do Londynu na czele zwycięskiej armii — pierwsze kroki skierował do twierdzy, gdzie wraz z braćmi pozbawił życia obłąkanego Henryka VI, nie zważając na to, że ów miał nie więcej siły niż niewinne chłopię. Natomiast kiedy Buckingham pokona Ryszarda III, uda się do Tower, zapowiadając, że wydobędzie na światło dzienne prawdę o tym, co spotkało książąt. Nastąpi dramatyczna pauza w wydarzeniach, gdy wszyscy wstrzymają oddech z przejęcia, wspominając złowieszcze plotki, po czym zwycięzca wyłoni się z trzewi twierdzy z grobową miną, obwieszczając, że odkrył martwe ciała moich synów pochowane pod płytami dziedzińca bądź ukryte w lochu bez okien i wszystko świadczy o tym, iż zginęli z ręki swego podłego wuja Ryszarda. To właśnie się kryje za rozpuszczanymi przezeń teraz pogłoskami. Jego chęć ogłoszenia się królem, tak żeby nikt nigdy nie miał mu nic do zarzucenia.

Poza tym Buckingham jest konstabłem Anglii, w związku z czym dysponuje kluczami do bram Tower.

Skubię skórki przy paznokciu, stojąc naprzeciwko okna. To tyle jeśli chodzi o księcia Buckingham. Idźmy dalej, do mojej drogiej przyjaciółki, lady Małgorzaty Stanley i jej syna Henryka Tudora. Ci dwoje są potomkami dynastii Lancasterów. Niewykluczone, że lady Małgorzata uznała, iż nastał w Anglii odpowiedni czas, by przywrócić panowanie Lancasterów. Na razie musi działać wspólnie z Buckinghamem i moimi sojusznikami; młody Tudor nigdy by nie zdołał przywieść do Anglii wystarczająco wielu rekrutów z zagranicy, aby samodzielnie pokonać Ryszarda III. Większość życia spędził na wygnaniu — to jego być może jedyna szansa na powrót do ojczy-

zny i objęcie panowania. Byłby głupcem, gdyby ryzykując życie, wystąpił przeciwko uzurpatorowi, licząc na coś mniej niż korona. Jego ojczym jest największym sprzymierzeńcem Ryszarda III, krewni i powinowaci znaleźli swoje miejsca na dworze uzurpatora. Lady Małgorzata wybłagała u króla łaskę i możliwość powrotu syna do Anglii, zyskała zgodę na przekazanie mu swych majątków jako dziedzictwa po ojcu. Czyż mogę oczekiwać, że lekką ręką wystawi na szwank szanse swego syna, po to by zadowolić moje pragnienie ujrzenia na tronie któregoś z synów po Edwardzie? Znacznie bardziej prawdopodobne, że uczyni wszystko, aby to jej syn został następnym królem Anglii. Dlatego oboje, Henry Stafford i Małgorzata Beaufort, rozpuszczają pogłoski, iż moi obaj synowie zginęli na rozkaz Ryszarda III.

Pozostaje pytanie, czy Henryk Tudor jest dość bezwzględny, by wmaszerować do londyńskiej twierdzy rzekomo z zamiarem uratowania obu książąt, za których do tej pory dzielnie walczył, po czym zamordować ich z zimną krwią i ogłosić, że znalazł ich martwych. A także czy jest możliwe, aby podzielił łupy ze sprzyjającym mu Buckinghamem, rozdierając królestwo na dwoje, bądź — gdyby Buckingham poległ na polu bitwy — okazał się jedynym poważnym pretendentem do tronu, niekwestionowanym przez nikogo. I czyjego matka odważy się wysłać sługi do Tower nie po to, by chronili moich synów, lecz by ich udusili nocą; czy stać na coś takiego ja, niewiastę niewątpliwie pobożną i bojącą się Boga; czy Małgorzata Beaufort jest gotowa na wszystko w imię dobra swego syna, nawet na pozbawienie z premedytacją życia moich dzieci. Nie znam odpowiedzi na żadne z tych pytań. Jedyne co wiem na pewno, to że książę Buckingham i lady Stanley rozsiewają pogłoski o śmierci młodego króla i jego brata, nie ustając w przygotowaniach do rebelii przeciwko uzurpatorowi, zaś ich człowiekowi, doktorowi Lewisowi, wymusnęło się, że dwaj chłopcy w Tower zostali zamordowani podczas snu. Zaś jedynym człowiekiem, który nie napomyka o tym ani słowem, jedynym człowiekiem, który zdaje się nie mieć żadnej korzyści z ich zgonu, jest mój śmiertelny wróg: Ryszard York książę Gloucester.

Cały dzień biję się z myślami, próbując oszacować grożące nam niebezpieczeństwo, i nawet wieczorem wciąż nie jestem niczego

pewna. Życie moich synów zależy od tego, kogo uznam za wroga, a komu zaufam, mimo to nie potrafię spojrzeć na sprawę jasno. Łudzę się, że moja wzmianka o tym, iż przynajmniej Ryszard Shrewsbury pozostaje z dala od zagrożeń, da nieprzyjacielowi do myślenia i powstrzyma jego akcje. Mam nadzieję, że kupiłam nam trochę czasu.

Postanawiam napisać list do braci powołujących pod broń żołnierzy z południowych hrabstw. Informuję ich, że pośród naszego spisku, całkiem jak wąż w swoim jaju, wykluwa się inna konspiracja. Zapewniam, że Ryszard York pozostaje naszym nieprzyjacielem numer jeden, lecz dodaję, że jego wrogie zamiary mogą się okazać niczym w porównaniu z zagrożeniem, jakie stanowią nasi sojusznicy. Wyprawiam posłańców w drogę niepewną, czy któremukolwiek uda się dotrzeć do naszego obozu na czas. Mimo to nie owijam niczego w bawełnę.

Mam podstawy sądzić, iż obecnie bezpieczeństwo moich synów i moje zależy głównie od tego, czy uda nam się powstrzymać marsz połączonych sił Buckingham i młodego Tudora na Londyn. Gloucester pozostaje naszym wrogiem i uzurpatorem na tronie, lecz ja wierzę, iż Buckingham i Henryk Tudor, wkraczając do stolicy, przyniosą nam zgubę. Trzeba uczynić wszystko, aby temu zapobiec. Zaklinam, dotrzyjcie do Tower przed nimi i ocalcie księcia...

Wieczorem znów stoję przy oknie i wyglądam na przepływającą w dole rzekę. Elżbietka, ułożywszy siostry do snu, otwiera drzwi mojej komnaty i wchodzi do środka z poważną miną.

— O co chodzi, pani matko? — pyta. — Proszę, powiedz mi. Czy otrzymałaś jakieś złe wieści?

— Tak — potwierdzam. — Córko, czy słyszysz ostatnio śpiew rzeki, taki jak wtedy gdy zginęli twój wuj hrabia Rivers i twój przyrodni brat Ryszard Grey?

Elżbietka ucieka spojrzeniem.

— Córko? — ponaglam ją z niepokojem.

— Nie taki jak poprzednio — odpowiada cicho.

— Ale coś słyszysz?

— Bardzo słabo — zastrzega się. — I raczej przypomina to nucenie, kołysankę, niż lament. A ty niczego nie słyszysz?

Kręcę przecząco głową.

— Nie. Przepełnia mnie nazbyt wielki strach o Edwarda.

Podchodzi bliżej i kładzie mi dłoń na ramieniu.

— Czyżby wciąż coś groziło memu braciszкови?

— Obawiam się, że tak. Sądzę, że księżę Buckingham zwróci się przeciwko nam, jak już upora się z uzurpatorem. Napisałam o tym do twoich wujów, lecz nie wiem, czy są w stanie mu przeszkodzić. Stafford zebrał potężną armię. Maszeruje wzdłuż rzeki Severn w Walii i lada dzień ma przekroczyć granicę z Anglią. Nie wiem, co robić. Nie mam pojęcia, co mogłabym stąd uczynić, aby ochronić swego syna, aby ochronić nas wszystkich. Uważam, że powinniśmy powstrzymać Buckinghama, zanim wkroczy do Londynu. Gdybym tylko mogła zaatakować go z zasadzki jeszcze w Walii, Bóg świadkiem, że bym to zrobiła.

Elżbietka z zamyśloną miną odwraca się do okna. Znad rzeki unosi się wilgotne lepkie powietrze.

— Szkoda, że nie pada — odzywa się nie na temat. — Ten gorąc jest nie do wytrzymania. Chciałabym, żeby wreszcie spadł deszcz.

Jak na zawołanie nasze twarze owiewa rześka bryza, po czym kap, kap... rozlega się bębnienie kropel o małe szybki osadzone w ołowianej ramce. Elżbietka wypycha okiennice na zewnątrz, by przyjrzeć się niebu, na którym w dole rzeki zbierają się ciemne burzowe chmury.

Stoimy ramię przy ramieniu i przyglądamy się kroplom łączącym się z wodami Tamizy. Najpierw na powierzchni pojawiają się pojedyncze kręgi, takie same jak wówczas, gdy ryba rzuci się pod wodą, lecz z każdą chwilą jest ich więcej, aż w końcu jedwabista powierzchnia rzeki zdaje się podziurawiona przez deszcz. Nadchodzi burza tak potężna, że z czasem przestajemy widzieć cokolwiek oprócz ściany wody lejącej się z nieba, jakby nad Londynem otwarło się niebo. Ze śmiechem chwytny każda jedną okiennicę i mocując się z porywistym wiatrem, przyciągamy je do siebie, aby się odgrodzić od nawałnicy, po czym — upewniwszy się, że baskwile siedzą dobrze

na swoim miejscu — przechodzimy do pozostałych pomieszczeń, by zapobiec powodzi w krypcie. Na zewnątrz szaleje żywioł, zupełnie jakby mój smutek i niepokój znalazły ujście w burzy łez.

— Ta nawałnica zaleje całą Anglię — wieszczę.

Moja córka potakuje w milczeniu.

Deszcz pada przez całą noc. Elżbietka wdrapuje się za mną do łóżka — jak robiła, będąc małą dziewczynką — lecz żadna z nas nie śpi; leżąc w ciepłej i suchej pościeli, przysłuchujemy się uderzaniu kropli o szyby i mury oraz nieustannemu, niezmordowanemu szumowi fal. W którymś momencie rynny napełniają się wodą i zaczyna się koncert na blachę i krople, do którego wtóru usypiamy niczym dwie boginki przyzwyczajone do dźwięków fontann i nieprzestraszone podnoszącym się poziomem wód.

Kiedy budzimy się o świcie, nadal jest prawie tak ciemno jak w nocy i nadal pada deszcz. To pora przypływu na Tamizie i Elżbietka, która poszła aż do bramy wodnej, mówi, że woda zalewa najwyższe stopnie na przystani. Ruch na rzece zamiera, a te nieliczne barki, które z jakiegoś powodu musiały wypłynąć, poruszają się z trudem, napędzane siłą mięśni wiosłarzy walczących z silnym wiatrem i za workami z piaskiem chroniących się przed sieczącym deszczem. Dziewczynki spędzają cały ranek z nosami przy oknie, przyglądając się spektaklowi na rzece. Zalane deszczem barki płyną wyżej niż zwykle, a wszystkie mniejsze jednostki stoją przycumowane przy drugim brzegu dalej niż zwykle, gdyż rzeka wezbrała i zaczęła się rozlewać na boki. Wkrótce prąd staje się zbyt silny i nawet najbardziej zdesperowani szyprowie zawijają do przystani. Musimy rozpalić ogień, mimo że dochodzi południe — jest ponuro i zimno jak w listopadzie. Aby podnieść dziewczynki na duchu, gram z nimi w karty i pozwalam się ogrywać z miedziaków. Uwielbiam odgłosy i zapach deszczu!

Następną noc również przesypiamy razem, Elżbietka i ja, na poły świdomie przysłuchując się kaskadom wody spływającej z dachów opactwa i bryzgającej na wyłożone kamieniem chodniki. Nad samym ranem rozlega się dźwięk kapiącej ze sklepienia wody. Wstaję, żeby rozpalić na kominku i podstawić ceber pod lecającą już ciurkiem wodę. Elżbietka, która także się zerwała na nogi i zdążyła już otwo-

rzyć okiennice, woła do mnie, iż deszcz pada jeszcze silniej i nie zanosi się na to, aby miał przestać dzisiejszego dnia.

Dziewczynki podejmują zabawę w arkę Noego po tym, jak Elżbietka odczytała im odpowiedni ustęp z Biblii. Ochoczo przygotowują widowisko, angażując wszystkie swoje sterane pobytym w krypcie zabawki oraz robiąc zwierzątka z uklepanych poduszek. Arką jest mój stół, odwrócony do góry nogami i obwiązany od góry do dołu starym prześcieradłem. Pozwalam, żeby jadły posiłki wewnątrz arki, a caując je na dobranoc, zapewniam każdą z osobna, iż potop, w którym brał udział Noe, zdarzył się bardzo, bardzo dawno temu i dobry Pan Bóg nie ześle drugiego nawet po to, by pokarać podłość ich wuja. Wystarczy silny deszcz, który zatrzyma złych ludzi w ich domach, gdzie nikomu nie uczynią krzywdy. Wylane rzeki w całej Anglii nie pozwolą im dotrzeć do Londynu, dzięki czemu będziemy bezpieczni.

Elżbietka przysłuchuje się moim słowom z czającym się na wargach uśmiechem, a następnie, położywszy młodsze siostry spać, bierze świecę i idzie sprawdzić poziom wody w Tamizie.

Wróciwszy, oznajmia, że jest wyższy niż kiedykolwiek. Jej zdaniem rzeka w każdej chwili może się przelać za bramę wodną — wystarczy jeszcze kilka stóp, by wdarła się do korytarza aż pod same stopnie. Nie zagraża nam to bezpośrednio — od katakumb dzielą nas długie kamienne schody. Wszelako biedacy mieszkający nad brzegiem Tamizy z pewnością już pakują dobytek i uciekają z domostw, które zostawiają na pastwę żywiołu.

Nazajutrz rano odwiedza nas Jemma w zakasanej po kolana sukni, ubłoconajak nieboskie stworzenie. W niżej położonych rejonach ulice spływają rwącymi strumieniami, a słyszy się także historie o budynkach porywanych przez nurt oraz o zrywanych w górze rzeki mostach i odciętych od świata wsiach. Najstarsi ludzie nie pamiętają takich deszczów we wrześniu. W dodatku nic nie zapowiada rychłego końca ulewy. Od Jemmy wiemy, że na targach brakuje świeżej żywności, gdyż podmokły trakty i gospodarze nie ściągają już do Londynu ze swymi wozami, mając ręce pełne roboty w gospodarstwach. Podrożał chleb, ponieważ zaczyna brakować mąki, a poza tym niektórzy piekarze nie są w stanie napalić w zawil-

goconych piecach mokrym drewnem. Jemma zostaje u nas na noc, albowiem nie chce ryzykować powrotu do domu przez zalane miasto.

Następnego dnia wciąż leje jak z cebra, a dziewczynki wyglądające przez okna nie mogą narzekać na nudę. Utopiona krowa nie na żarty przeraża najmłodszą Brygidę. Wezbrana Tamiza niesie ze sobą wyrwcone do góry kołami wozy, belki ze zburzonych domów i całą masę innych różności. Od strony bramy wodnej dochodzi miarowe dudnienie, jak gdyby coś ciężkiego uderzało o metalową kratę. Brama wodna jest bramą tylko z nazwy, gdyż nie powstrzymuje przeleważącej się przez nią kipieli. Elżbietka odbyła swą zwyczajową wędrówkę i doniosła, że cały korytarz jest już zalany i widać tylko górną część żelaznej kratownicy oraz skrawek szarego nieba ponad nią. Poziom rzeki podniósł się chyba o całe dziesięć stóp i jeśli tak dalej pójdzie, woda wedrze się do katakumb i wypłucze odpoczywających snem wiecznym zmarłych.

Nie wypatruję posłańca od moich braci. Nie spodziewam się, by komukolwiek udało się przedrzeć do Londynu przez zalane wodą niziny Anglii. W istocie nie potrzebuję od nich listu, aby wiedzieć, co się dzieje. Rzeki wystąpiły z brzegów przeciwko Buckinghamowi, fala nie sprzyja Henrykowi Tudorowi; deszcze siekają ich połączoną armię, zalewiska bronią jedyne prawdziwego księcia Walii i króla Anglii.

PAŹDZIERNIK 1483 ROKU



Uzurpator Ryszard, wstrząśnięty zdradą przyjaciela i człowieka, którego wyniósł do godności konstabla Anglii, w mgnieniu oka pojmuje, że siły zebrane przez księcia Buckingham są wystarczające, by roznieść w pył jego gwardię przyboczną. Musi powołać pod broń wasali, każdego zdolnego do noszenia oręża mężczyznę w królestwie, powołując się na święty obowiązek obrony monarchy. Stawiają się na jego wezwanie, aczkolwiek bez nadmiernego entuzjazmu. Książę Norfolk powstrzymał rozwój rebelii w południowych hrabstwach, lecz wie, że Buckingham zbiera wojsko w Walii, a Henryk Tudor niebawem przybędzie tam z Bretanii. Jeśli przywiedzie ze sobą tysiąc chłopów, siły będą wyrównane. Jeśli uda mu się skrzyknąć więcej zwolenników, Ryszard III stawi czoło przeważającej sile wroga, walcząc o życie z opatrnością i armią Jaspera Tudora, jednego z najwaleczniejszych wodzów, jakimi mogła się poszczycić dynastia Lancasterów w historii.

Król maszeruje do Coventry, trzymając blisko u swego boku lorda Stanleya, małżonka lady Małgorzaty i ojczyma Henryka Tudora. Co dziwne, o synu lorda Stanleya, baronie Strange, zaginął wszelki śluch. Jego słudzy twierdzą, że zgromadził ogromną armię swoich wasali i lenników, która właśnie zmierza, aby się oddać pod dowództwo suzerena barona Strange. Niestety Ryszard III nie wie, kogo baron Strange uważa za swego suzerena.

Z Coventry uzurpator podejmuje forsowny marsz na południe w celu odcięcia swego zdradzieckiego sojusznika od posiłków nadcią-

gających z Kornwalii. Przewiduje, że Buckingham w końcu zdecyduje się przekroczyć linię rzeki Severn, gdzie ku swemu zdziwieniu napotka opór królewskiej armii oczekującej go w sieczącym deszczu.

Jego oddziały brną mozolnie w błocie, w jakie zamieniły się przejezdne niedawno trakty. Większość mostów została zmyta przez falę powodziową i ludzie muszą nadkładać drogi, by znaleźć miejsca choć trochę przypominające brody. Wierzchowce dowódców i kapitanów gwardii z kłaskaniem wyciągają kopyta z lepkiego błota; prości żołnierze idą przed siebie z opuszczonymi głowami i przymkniętymi powiekami, przemoczeni do suchej nitki. Nocą w obozowiskach nie sposób rozpaścić ognia, ponieważ wszystko wokół jej przemoczono na wskroś.

Nie zmieniając ponurego wyrazu twarzy ani na jotę, Ryszard III zagrzewa swoją armię do dalszego wysiłku, jedyną otuchę czerpiąc z faktu, że jego niegdysiejszy przyjaciel, człowiek, któremu zaufał i którego ukochał ponad wszystkich innych, również z trudem toruje sobie drogę wśród grzęzawisk, ryzykuje życie, aby się dostać na drugi brzeg rzeki, co rusz ociera zalewający oczy deszcz. Aura nie sprzyja rebeliantom, myśli w duchu król. Aura nie sprzyja młodemu księciu, nie zaprawionemu w boju tak jak on. Aura nie sprzyja nikomu, kto uzależnił zwycięstwo kampanii od zagranicznych sprzymierzeńców. Buckingham musiał już porzucić nadzieję, że Henryk Tudor postawił żagle w czas sztormu, a nawet że Riversowie zaczęli na południu Anglii przybędą w porę.

Nieoczekiwanie uzurpator otrzymuje krzepiące wieści. Buckingham musi się zmierzyć nie tylko z nieustającym ani na chwilę żywiołem, lecz także z podgryzającymi go członkami klanu Tomasz Vaughan skróconego o głowę. Vaughanowie to stary walijski ród, wiodący prym w okolicy i z pewnością nie darzący sympatią Henry'ego Stafforda. Ów zaś srodze się przeliczył, sądząc, że będą patrzyli obojętnie lub wręcz okażą mu poparcie, gdy się zbuntuje. Nie zapomnieli, że to on oddzielił Tomasza Vaughana od jego młodszego pana, Edwarda V, a potem kazał go ściąć. Czają się za każdym zakrętem, za każdym pagórkiem, za każdym drzewem z bronią naszykowaną do strzału, gotowi powalić pierwszy szereg żołnierzy i rozpłynąć się w walijskiej mgłę. W każdej dolince, w każdej gęst-

szej kępie drzew kryją się młodzieńcy miotający z procy kamieniami, szyjący strzałami, dźgający dzidami ścianę deszczu, aż ludzie Buckinghama zaczynają rozumieć, że ostrza, kule i krople deszczu to jedno i że walczą z przeciwnikiem równie niematerialnym jak woda, z przeciwnikiem, od którego nie ma ucieczki, z przeciwnikiem, który jest nieubłagany jak sam żywioł.

Książę Buckingham co rusz pcha posłańców w głąb Walii, robi co może, by połączyć swoje siły z siłami wiernymi Tudorom, lecz jego zwiadowcy padają, ledwie znikną z oczu głównej kolumnie. Powoli zaczyna do niego docierać, że w szeregach znajduje się mniej walecznych żołnierzy, niż obiecywała lady Stanley. Co gorsza, każdej nocy, na każdym postoju, czasem nawet w środku dnia ludzie się wymykają, powodując topnienie armii. Rozniosła się plotka, że Buckingham to pechowy dowódca, że jego kampania z góry skazana jest na niepowodzenie. Co dzień — kiedy rozlega się dźwięk trąbki wzywający do wymarszu — zaciężnych zdaje się mniej niż poprzedniego dnia i Staffordowi, który przejeżdża konno rozmokłym, podmytym traktem wzdłuż kolumny, zabiera coraz mniej czasu poruszanie się od awangardy do ariergardy. Gdy zagrzewa swoich ludzi do dalszego wysiłku, obiecując im wspaniałe zwycięstwo, nikt nie spogląda mu w twarz. Żołnierze trzymają głowy nisko spuszczone, jakby jego gromkie zachęty i tłuczenie deszczu o zbroję zlewały się w jeden bezsensowny hałas.

Buckingham nie może wiedzieć tego na pewno, lecz podejrzewa, że Henryk Tudor, sojusznik, którego zamierza zdradzić, również przegrywa walkę z nieprzerwanym deszczem. Lancasterowski pretendent do tronu stoi na kotwicy w porcie, powstrzymywany na miejscu przez te same nawałnice, które rozpraszają ludzi księcia na Wyspach. Ma na swoje rozkazy pięć tysięcy najemników, potężną armię, niepokonaną armię opłaconą i uzbrojoną przez księcia Bretanii — dość, by w pojedynkę podbić Anglię. Ma walecznych rycerzy, wierzchowce i działa armatnie, a także pięć okrętów — to wyprawa jak się patrzy, której pisane jest zwycięstwo — tyle że sprzysięgły się przeciwko niemu wiatr i ulewne deszcze. Okręty zamocowane w osłoniętej od otwartego morza zatoczce miotają się i chyboczą w porywach docierającego aż nad ląd szkwału, napręża-

jąc liny kotwiczne i grożąc ich zerwaniem w każdej chwili. Żołnierze, upakowani ciasno pod pokładem na krótką przeprawę przez Kanał, rzygają jak małe koty nękani chorobą morską i cierpią katusze z powodu uwięzienia. Henryk Tudor tkwi na posterunku na nabrzeżu i chodząc w tę i w tę z niecierpliwością dzikiego zwierza zamkniętego w klatce, wypatruje przerwy w chmurach, zmiany kierunku wiatru. Tymczasem niebiosa bezlitośnie wylewają na jego miedzianą głowę swoje żale. Horyzont jest aż czarny od burzowych chmur, wiatr nieubłaganie wieje od morza, nieustannie od morza, kołyszając jego okrętami i sprawiając, że drewniane konstrukcje z jękiem ocierają się o skalne klify zatoki.

Henryk Tudor wie, że po przeciwległej stronie Kanału decyduje się jego przeznaczenie. Jeżeli Buckingham pokona uzurpatora na własną rękę, on utraci ostatnią szansę na koronę. Jeden fałszywy pretendent zastąpi drugiego na tronie, on zaś zostanie skazany na dożywotnie wygnanie. Dlatego za wszelką cenę musi się znaleźć na polu bitwy, musi pozbawić życia zwycięzcę, kimkolwiek ów będzie. Jest świadom, że musi bezzwłocznie pożeglować do wybrzeży Anglii i zarazem że nie może tego zrobić w takich warunkach. Nie może ruszyć się z miejsca.

Wszelako książe Buckingham o tym nie wie, w istocie nie ma pojęcia o niczym, co znajduje się dalej niż na wyciągnięcie ręki, gdyż tylko tak daleko sięga jego wzrok w ulewie. Jego działania sprowadzają się do mozolnego marszu przed siebie i nieoglądania się za siebie — jeśli zdarzy mu się rzucić spojrzenie przez ramię, zdaje mu się, że pozostali przy nim wyłącznie przybocznicy; resztki stopniastych szeregów mającą gdzieś we mgle za ścianą wody. Żołnierze są wycieńczeni, od wielu dni nie mieli w ustach ciepłego posiłku, z trudem wyciągają nogi z błotnistej mazi po kolana, a kiedy dowódca mówi im, że niebawem dotrą do brodu i pokonają rzekę, by stanąć już po angielskiej, Bóg da — suchszej stronie, kiwiają tylko niemrawo głowami, lecz nie wierzą mu.

Bród, który Buckingham obiecuje swoim ludziom już od wielu mil, znajduje się za najbliższym zakrętem traktu. W tym miejscu rzeka Severn robi się płytsza i wystarczająco wąska, aby prawie suchą nogą armia mogła się przedostać na drugi brzeg i nareszcie zacząć

walczyć z prawdziwym wrogiem, a nie tylko z żywiołem. Dno koryta rzeczno jest tam twardsze, kamieniste, równe niczym dobrze utrzymany trakt, a woda głęboka raptem na paręnaście cali. To przeprawa znana okolicznym mieszkańcom od wieków: wrota do Anglii. Po walijskiej stronie stoi karczma, a po angielskiej leży mała wioska. Oczywiście wszyscy się spodziewają, że przy takiej aurze wody będzie więcej niż zazwyczaj. Może nawet karczmarz obłożył budynek workami z piaskiem... Jednakże kiedy dochodzi ich ogłuszający ryk wody, zatrzymują się w pół kroku jak jeden mąż, nie tając strachu.

Bród zniknął. Wokół jak okiem sięgnąć nie ma skrawka suchego łądu. Rozszalała rzeka pochłonęła walijską karczmę i angielską wieś po drugiej stronie. W rzeczy samej trudno w ogóle mówić o rzece — koryto poszerzyło się na tyle, że przypomina raczej jezioro albo moczary. Nie sposób ocenić, gdzie biegł główny nurt. To już nie rzeka, prędzej morze pośrodku wyspy — z własnymi prądami i szkwałami. Woda połknęła ziemię. To już nie Walia ani Anglia — to woda, tryumfująca woda. Żywioł przejął tutaj panowanie i nie znajdzie się śmiałek gotowy mu się przeciwstawić.

Nie może być mowy o przeprawie. Ludzie rozglądają się dokoła siebie w poszukiwaniu znajomych punktów odniesienia — nadaremno. Nie pozostał nawet ślad po szlaku wiodącym od traktu do brodu — wszystko zalała woda. Nagle ktoś krzyczy i pokazuje ręką, myśląc, że wypatrzył drugi brzeg — tymczasem są to czubki drzew wystające nad powierzchnię wirującej, bulgoczącej wody. Rzeka Severn zatopiła las i teraz widać tylko najwyższe korony starych walijskich dębów. Świat całkiem się zmienił. Nie może być mowy o spotkaniu dwu armii. Rebelia księcia Buckingham upadła.

Henry Stafford nie wypowiada ani słowa, nie wydaje ani jednego rozkazu. Po prostu wykonuje lekki ruch, unosząc dłonie jakby w geście poddania — nie ku swoim podwładnym, lecz ku powodzi, która go pokonała. Można odnieść wrażenie, że przyznaje laur zwycięstwa potędze żywiołu. Szarpie wodze i zawróciwszy konia, oddała się od kipieli, a żołnierze w żaden sposób go nie powstrzymują. Wiedzą, że już po wszystkim. Wiedzą, że powstanie się zakończyło, nim w ogóle na dobre zaczęło, za sprawą wezbranych rzek wezwanych chyba przez samą boginkę wody.

LISTOPAD 1483 ROKU



Jest ciemno, dochodzi pomoc. Klęczę, opierając dłonie na krawędzi łoża, i modłę się przed udaniem na spoczynek, kiedy nagle rozlega się pukanie do głównych drzwi. Serce podskakuje mi do gardła, przed oczyma stają synowie, zaczynam drżeć z ekscytacji, że nareszcie do mnie wrócili. Podnoszę się na nogi, narzucam pelerynę na grube nocne gieżło, okrywam rozpuszczone włosy kapturem i biegnę ku drzwiom.

O tej porze na ulicach miasta panuje cisza, choć przez cały dzień aż buzowało na nich od przekazywanych z ust do ust wieści o powrocie króla Ryszarda do Londynu i od niekończących się spekulacji, jakie kroki podejmie przeciwko rebeliantom, czy włamię się do sanktuarium i otwarcie zarzuci mi udział w spisku — teraz gdy zdobył już pewność, że nastawiłam poddanych przeciwko niemu. Gloucester musi o tym wiedzieć, podobnie jak musi znać nazwiska moich sprzymierzeńców: lady Małgorzaty Stanley i wiarołomnego księcia Buckingham.

Z kolei ja nie mam pojęcia, jaki los spotkał moich bliskich. Czy żyją, czy zostali pojmani, czy zginęli moi ukochani bracia i mój najstarszy syn po Greyu, Tomasz, którzy wyruszyli razem z rebeliantami poderwanymi do walki w hrabstwach Kentu i Hampshire. Dochodzą mnie różnorakie pogłoski — że zbiegli do Bretanii, aby się przyłączyć do armii Henryka Tudora; że polegli w walce; że zostali ścięci na rozkaz uzurpatora; że zmienili barwy i teraz służą pod Ryszardem III. Nie mając wyjścia, czekam, aż nadejdą sprawdzone informacje z głębi królestwa.

Niekończące się deszcze zrujnowały londyńskie ulice, biegnące za miastem trakty, mosty na rzekach, nawet całe wsie, odcięły od świata liczne miasteczka. Wiadomości docierają do stolicy tylko sporadycznie i często sobie przeczą, tak że nikt nie może być pewny, co jest prawdą, a co wymysłem. Wszelako nawałnice powoli ustają, niebo się przejaśnia, na grząską ziemię spada coraz mniej wody. Kiedy rzeki wrócą do utartych koryt, posłańcy zaczną śmigać wzdłuż i wszerz Anglii, przynosząc wieści także o moich bliskich i stoczonych przez nich bitwach. Oby potwierdziła się wiadomość o tym, że opuścili królestwo i poszukali schronienia za granicą. Plan przewidywał, że w razie klęski schronią się na dworze siostry Edwarda, Małgorzatkę Burgundzką, odnajdą mego syna Ryszarda Shrewsbury ukrytego we Flandrii i będą prowadzić dalsze działania przeciwko uzurpatorowi z dobrowolnego wygnania. Nawet przez chwilę nie mieliśmy wątpliwości, że jeśli Ryszard York wygra, zaciśnie na królestwie i poddanych pięść tyra.

Pukanie do drzwi staje się coraz bardziej natarczywe, w końcu ktoś energicznie potrząsa kołatką. To nie może być strwożony uciekinier szukający bezpiecznej przystani, a zatem to nie mój drogi syn wracający do domu. Ostrożnie podchodzę do wrót odgradzających kryptę od świata zewnętrznego i odsuwam okienko zasłaniające kratownicę. Po drugiej stronie stoi mężczyzna mniej więcej tego wzrostu co ja, także w kapturze zarzuconym na głowę.

— Tak? — pytam krótko.

— Muszę się widzieć z królową wdową — szepcze. — Przynoszę wieści największej wagi.

— Królowa wdowa to ja — obwieszczam. — Mów, co masz do powiedzenia.

Zerka na boki.

— Siostrze, wpuść mnie dalej... — prosi.

Ani przez chwilę nie myślę, że to jeden z moich braci.

— Nie jestem twoją siostrą — odpowiadam szorstko. — Za kogo się bierzesz?

Odrzuca na plecy kaptur i unosi trzymaną w ręku pochodnię, tak że płomień oświetla jego przystojną twarz. Rzeczywiście, nie jest

moim bratem, tylko szwagrem, moim zaprzysiężonym wrogiem. To Ryszard York.

— Za króla — rzecze z czarnym humorem.

— Cóż, ja nie — wzruszam ramionami, ani myśląc z nim żartować. Mimo to wybucha śmiechem, jakbym powiedziała dowcip.

— Stało się — informuje mnie. — Już po wszystkim. Zostałem namaszczonej i ukoronowany, a twoja armia poszła w rozsypkę, rozgromiona na cztery wiatry. Jestem królem, czy ci się to podoba czy nie. Przychodzę sam, bez broni. Wpuść mnie, siostrze, dla dobra nas wszystkich...

Ignorując to, co było, spełniam jego prośbę. Odbijam rygle mniejszych drzwi i wpuszczam go za próg. Wślizguje się zwinnie do środka, ja zaś na powrót mocuję zasuwę i pytam:

— Czego chcesz? Miej baczenie, wystarczy, że krzyknę, a zlecą się uzbrojeni słuźący. Rozdzieliła nas krew, Ryszardzie. Zabiłeś mego brata i mego syna. Nigdy ci tego nie wybaczę. Przekląłam cię za to, coś im uczynił.

— Nie oczekuję twego przebaczenia — mówi. — Nawet mi na nim nie zależy. Sama wiesz najlepiej, jak daleko się posunęłaś w działaniach przeciwko mnie. Byłabyś mnie zamordowała, gdyby nadarzyła ci się sposobność. Wypowiedzieliśmy sobie wojnę, wiesz to równie dobrze jak ja. I dokonałaś zemsty. I ty, i ja wiemy, jak bardzo przez ciebie cierpię. Dręczą mnie bóle w piersi, a prawe ramię odmawia mi posłuszeństwa w najmniej odpowiednich chwilach. Moje prawe ramię — podkreśla — to, którym robię mieczem. Rzuciłaś na mnie klątwę, bym osłabł. Módl się, byś nigdy nie potrzebowała uciekać się pod moją obronę.

Przypatruję mu się uważniej. Choć liczy sobie zaledwie trzydzieści jeden lat, za sprawą ciemnych worków pod oczyma i zmarszczek na twarzy wygląda o wiele starzej. Szczerze mówiąc, wygląda jak ktoś udręczony. Z pewnością boi się, że prawe ramię zawiedzie go w decydującej chwili, na polu bitwy. Przez całe życie ustępowała siłą swoim starszym, lepiej zbudowanym braciom i od wczesnej młodości robił wszystko, aby im dorównać tężyzną i sprawnością. Teraz coś podstępnie pozbawia go tych sił, które posiadał.

Zanim mu odpowiadam, wzruszam lekceważąco ramionami.

— Jeśliś zachorzał, poproś o pomoc medyka. To dziecinne, składać swoją słabość na karb uroków. Pewnie wszystko sobie ubrała.

Ryszard potrząsa głową.

— Nie przyszedłem tu po to, by wylewać przed tobą swoje żale. Przyszedłem w całkiem innej sprawie... — Spogląda na mnie, a ja nie mogę nie zauważyć jego uczciwego spojrzenia, tak bardzo przypominającego mi prostolinijne spojrzenie mego męża Edwarda.

— Powiedz, czy ukryłaś swoich synów w bezpiecznym miejscu?

Serce zaczyna mi bić szybciej, w skroniach odzywa się łomot.

— Czemu pytasz? I to właśnie ty? Ty, którzy ich zabrał ode mnie siłą?

— Mogłabyś choć raz odpowiedzieć na pytanie? Ukryłaś swoich synów w bezpiecznym miejscu, tak czy nie?

— Nie! — wyrzucam z siebie gwałtownie. Czuję, że pierś przepełnia mi szloch zrozpaczonej matki, lecz nie zamierzam okazać słabości przed tym mężczyzną. — Czemu? Czemu o to pytasz?

Wypuszcza wstrzymywane powietrze i oklapnięty przysiadła na zdydlu przy drzwiach, obejmując głowę rękoma.

— Nie ma ich w Tower? Moich synów nie ma w Tower? Nie trzymasz ich pod kluczem?... — Kiedy kręci przecząco głową, zarzucam go dalszymi pytaniami: — Zgubiłeś ich? Zgubiłeś moich synów?

Potakuje w milczeniu.

— Miałem nadzieję, że ich uwolniłaś i wywoziłaś z Londynu... — wyjaśnia po chwili. — Na miłość boską, powiedz mi prawdę! Jeśliś tak zrobiła, nie będę ich ścigał, nie uczynię im krzywdy! Jak chcesz, możesz kazać mi przysiąc na świętą relikwię. Przysięgnę, że zostawię ich w spokoju, gdziekolwiek są. Nawet nie będę chciał znać miejsca ich kryjówki. Tylko powiedz mi, że są bezpieczni... muszę to wiedzieć. Oszaleję, jeżeli się nie dowiem!

Podnosi na mnie wzrok, a ja potrząsam głową, nie mówiąc ani słowa.

Pociera dłońmi twarz, oczy ma czerwone, jakby nie spał od wielu dni.

— Udałem się prosto do Tower — tłumaczy, nie odrywając palców od twarzy. — Ledwie znalazłem się w Londynie, pierwsze

kroki skierowałem do twierdzy. Dręczyła mnie obawa... Wszyscy w Anglii mówią, że chłopcy nie żyją. Ludzie na usługach Małgorzaty Beaufort rozpowiadali, że książęta są martwi. Henry Stafford zmienił twoją armię w swoją, by walczyć o koronę dla siebie, i również mówił wszystkim, że Edward i Ryszard, synowie poprzedniego króla, zginęli z mojej ręki i że trzeba to pomścić. Ogłosił, że poprowadzi wojsko przeciwko mnie, aby zadośćuczynić za śmierć następcy tronu i księcia Yorku.

— Nie zamordowałeś ich?

— Nie. Czemu miałbym ich mordować? Zastanów się! Zastanów się dobrze! Dlaczego miałbym odbierać życie twoim synom, a moim bratankom? Zwłaszcza teraz?... Kiedy twoi buntownicy próbowali zająć Tower, kazałem swoim ludziom przenieść chłopców do wewnętrznych komnat i dobrze pilnować w noc i w dzień, tak że nie mógłbym ich skrzywdzić, nawet gdybym bardzo chciał. Strażnicy nie opuszczali ich ani na chwilę, ktoś by się dowiedział, ktoś inny by rozniósł wiadomość. Wystarczyło mi, że ogłosiłem ich bękartami, pozbawiając cię honoru. Twoi synowie nie stanowią dla mnie większego zagrożenia niż twoi pokonani bracia.

— Kazałeś ściąć Antoniego! — syczę.

— On stanowił dla mnie zagrożenie — oznajmia rzeczowo Ryszard. — Mógł zebrać armię i poprowadzić ją przeciwko mnie. Wiedział, jak to zrobić, miał szanse na zwycięstwo. Był lepszym żołnierzem niż ja. Twoi synowie nie są ani żołnierzami, ani dowódcami. Twoje córki również nimi nie są. Nie zagrażają mi w niczym, a ja nie zagrażam im. Nie mam powodu pozbawiać ich życia.

— W takim razie gdzie się podzieli? — zawodzę. — Gdzie jest mój najdroższy Edward?...

— Nie wiem... — odpowiada żałośnie. — Nie wiem nawet, czy żyją czy są martwi. Ani kto zlecił ich morderstwo bądź pojmanie. Sądziłem, że ty mogłaś mieć z tym coś wspólnego. Dlatego tutaj przyszedłem. Ale skoro twierdzisz, że ich nie uwolniłaś z Tower, kto ich stamtąd zabrał? Czy to możliwe, że znaleźli się na łasce i niełaskę któregoś z moich wrogów jako zakładnicy?...

Potrząsam bezradnie głową; sama nie wiem, co myśleć. To najpoważniejsze pytanie, jakie zadano mi w życiu, lecz ja jestem otępiała z żalu i tęsknoty.

— Nie wiem... Nie potrafię zebrać myśli... — sapię z desperacją.

— Skup się! — poleca mi. — Znasz swoich sojuszników. Swoich sekretnych przyjaciół. Sprzymierzeńców twojej, a wrogów mojej sprawy. Domyślasz się, do czego są zdolni. Wiesz, co ci obiecywali. Orientujesz się, na czym polegał zawiązany przeciwko mnie spisek. Połącz fakty...

Przykładam dłonie do czoła i zaczynam się przechadzać w tę i z powrotem. Być może Ryszard York kłamie w żywe oczy, zamordował mojego Edwarda i nieszczęsnego przebranego za księcia pazia, a przyszedł tu po to, żeby zrzucić winę na innych. Chociaż jak sam przyznaje, nie miał powodu brudzić sobie rąk krwią książąt, a poza tym gdyby faktycznie to zrobił, czemu nie miałyby głosić tego otwarcie i z właściwym mu cynizmem? Któż by śmiał się poskarżyć nań teraz, gdy zdławił rebelię w zarodku, nie ponosząc prawie żadnych strat? No więc dlaczego w ogóle ze mną rozmawia? Kiedy jego brat, a mój mąż Edward pozbawił życia starego króla Henryka, przynajmniej pokazał zwłoki ludowi. Wyprawił pogrzeb jak należy. Zamordowanie poprzedniego władcy miało sens, dobitnie bowiem świadczyło o wygaśnięciu jego linii. Gdyby Ryszard York faktycznie zabił moich synów po to, aby położyć kres linii zapoczątkowanej przez mojego Edwarda, rozgłosiliby ich śmierć wszem wobec, po czym po tryumfalnym wjeździe do Londynu oddałby mi ciała chłopców, abym mogła urządzić im godny pochówek. Mógł przecież twierdzić, że malcy zachorzel i pomarli albo jeszcze lepiej że to Buckingham wdarł się podstępem do Białej Wieży i wydusił ich jak pisklęta w gnieździe. Z łatwością mógł obwinie o podły uczynek swego rywala i ogłosić w królestwie żałobę.

Zatem może to jednak książę Buckingham ich zabił, może jak zwykle w plotce tkwi ziarno prawdy? Pozbywszy się obu chłopców, znalazłby się o dwa miejsca bliżej tronu. Albo lady Stanley kazała pozbawić życia moich synów, by ułatwić przejęcie korony swojemu jedynakowi, Henrykowi Tudorowi? Fakt, że najbardziej korzystają na śmierci młodego Edwarda i Ryszarda Shrewsbury właśnie Staf-

ford i lady Małgorzata. Pierwszy staje się od razu następcą tronu po uzurpatorze i jego synu; druga ma szansę zostać królową matką. Ale czy niewiasta, nawet taka jak Małgorzata Beaufort, jest zdolna zabić dwoje dzieci, w dodatku zapewniając mnie o swojej przyjaźni? Czy można aż tak nagiąć chrześcijańskie zasady i własne sumienie? I czy nawet ktoś tak fałszywy i podstępny jak Buckingham byłby w stanie odebrać życie siostrzeńcom żony, twierdząc, że uczyni wszystko, aby ich uratować z rąk tyrana?

— Szukałeś ich ciała? — pytam słabym głosem.

— Kazałem przetrząsnąć każdy zakamarek twierdzy i przesłuchać służących i strażników. Wszyscy utrzymują, że chłopcy położyli się grzecznie spać jednej nocy, a nazajutrz rano nigdzie ich nie było.

— To twoi słudzy, twoi strażnicy! — wybucham. — Wykonują twoje rozkazy! Mówią, co chcesz usłyszeć! Moi synkowie zaginęli, znajdując się pod twoją pieczęcią... Czy naprawdę chcesz, abym ci uwierzyła, że nie maczałeś w tym palców? Chcesz, bym dała wiarę, że po prostu zniknęli?

Ryszard York potakuje z powagą.

— Pragnę, byś zrozumiała, iż umarli bądź zostali porwani bez mojej wiedzy, bez mojego pozwolenia, bez mojego rozkazu, najpewniej gdym się szykowałem do bitwy dziesiątki mil od Londynu. Gwoli ścisłości, do bitwy z twoimi braćmi. Tej konkretnej nocy.

— To znaczy której?

— Tej, gdy zaczęły się deszcze.

Kiwam głową, wspominając ciche zawodzenie, kołysankę, którą słyszała Elżbietka, a na którą ja pozostawałam głucha.

— A, wtedy...

Spogląda na mnie błagalnie.

— Zatem wierzysz mi, że nie przyłożyłem ręki do śmierci twych synów?

Patrzę wprost na niego — na mężczyznę, którego kochał i któremu ufał mój mąż. Na mężczyznę, który pozbawił życia hrabiego Rivers i Ryszarda Greya. Na mężczyznę, który być może kazał zamordować najdroższego mi Edwarda i przebrane za jego młodszego brata niewinne chłopię.

— Nie — odpieram zimno. — Nie wierzę ci, ponieważ ci nie ufam. Jednakowoż nie mogę mieć pewności, jak było naprawdę. Niczego nie jestem już pewna...

Rozkłada ręce, akceptując ten w jego mniemaniu niesprawiedliwy wyrok. Po chwili znów się odzywa, z wahaniem, jakby mówić raczej do siebie niż do mnie.

— Ja czuję się bardzo podobnie. Niczego już nie wiem, nikomu nie ufam. Podczas tej bratobójczej wojny zabiliśmy także pewność i pozostała nam tylko wzajemna podejrzliwość.

— Co zamierzasz? — pytam.

T- Nic. Zupełnie nic — postanawia. Głos ma znużony, cienki. — Nikt nie odważy się postawić mi zarzutów prosto w twarz, mimo że za plecami wszyscy będą mnie podejrzewali o najgorsze. Ja wszakże będę milczał, pozwalając ludziom myśleć, co tylko chcą. Nie mam pojęcia, co się przytrafiło twoim synom, lecz gdybym to powiedział głośno, i tak nikt by mi nie uwierzył. Dlatego będę milczał jak głaz. Gdybym miał obu żywych, mógłbym ich pokazać światu i udowodnić swoją niewinność. Gdybym miał choć zwłoki, też bym je pokazał ludowi i obarczył winą Buckingham. Ale że nie mam twoich synów ani żywych, ani martwych, nie jestem w stanie się bronić. Rozniesie się wieść, że zabiłem dwóch małych chłopców powierzonych mojej pieczy. Poddani nazwą mnie potworem...

— Urywa na parę chwil. — Cokolwiek dobrego bym uczynił w dalszym życiu, ta sprawa będzie rzucać na mnie mroczny cień. Zostanę zapamiętany przez potomnych głównie z powodu strasznej zbrodni. — Potrząsa głową. — Lecz ja tego nie zrobiłem i nie wiem, kto to zrobił... Nie wiem nawet, czy ktokolwiek to zrobił. — Zapada głucha cisza, którą znów przerywa Ryszard. — A co ty zamierzasz, siostrze?

— Ja?

— Ukryłaś się tutaj, kiedyś myślała, że twoim córkom może się stać krzywda, podobnie jak twym synom w Tower — przypomina mi. — Najgorsze już się wydarzyło. Ich bracia zniknęli. Co zamierzasz począć z dziewczynkami i z sobą? — dopytuje. — Nie ma powodu, żebyście dalej się chroniły w sanktuarium: przestałyście być członkami rodziny królewskiej, nie macie już pośród siebie na-

stępcy tronu mogącego sięgnąć po moją koronę. Jesteś teraz zwykłą niewiastą z samymi córkami.

Gdy to mówi, z nową siłą zdaje sobie sprawę z utraty mego drogiego syna Edwarda, i z piersi wydziera mi się jęk, a podbrzuszem zaczynają targać bolesne skurcze, jakbym znów go wydawała na ten okrutny świat. Opadam kolanami na kamienną posadzkę i zginam się wpół. Zdaje mi się, że słyszę własne jęki, i czuję, jak się kołyszę w przód i w tył, w przód i w tył.

Ryszard York nie śpieszy ze słowami otuchy, nawet nie pomaga mi powstać. Zostaje tam, gdzie jest — na zydłu przy drzwiach, opierając ciemnowłosą głowę na złączonych rękach, przyglądając się, jak zawodzę niczym wieśniaczka, która właśnie się dowiedziała o śmierci swego pierworodnego. Nie odzywa się słowem, by zmniejszyć moje cierpienie. Pozwala mi płakać. Po prostu siedzi obok mnie przez długi czas i pozwala płakać...

W końcu ujmuję skraj peleryny i ocieram twarz z łez, po czym podpierając się dłonią o zimny kamień, wstaję na nogi.

— Przykro mi z powodu twojej straty — rzecze do mnie sztywno, jak gdybym zaledwie przed chwilą nie klęczała przed nim zapłakana, z kosmykami włosów lepiącymi się do mokrych policzków. — Nie przyłożyłem do niej ręki ani myślą, ani słowem, ani uczynkiem. Zasiadłem na tronie, nie robiąc krzywdy żadnemu ze swych bratanków. Nie miałem zamiaru ich krzywdzić. Z prawego czy nieprawego łoża, byli synami mojego brata Edwarda. Kochałem ich, jakby byli moimi synami. Kochałem ich za niego. A Bóg świadkiem, że darzyłem swego najstarszego brata szczerą miłością.

— Przynajmniej w to potrafię uwierzyć — wtrącam równie sztywno.

Ryszard York powstaje z miejsca.

— Zatem opuścisz teraz sanktuarium? — ponawia pytanie. — Niczego więcej nie osiągniesz, pozostając za jego murami.

— Niczego — powtarzam za nim matowym głosem. — Zaiste niczego...

— Zawrzyjmy umowę — proponuje. — Przynęknę ci bezpieczeństwo i dobre traktowanie twoich córek, jeśli zdecydujesz się pokazać światu. Starsze dziewczęta mogą się stawić na dworze, będą

traktowane z należnymi honorami jako moje bratanice. Jeśli chcesz, możesz im towarzyszyć. Dopilnuję, by powychodziły korzystnie za mąż, oczywiście za twoją zgodą.

— Wolałabym wrócić do naszego starego domu — mówię — i zabrać je wszystkie ze sobą.

Kręci lekko głową.

— Przykro mi, ale to niemożliwe. Starsze córki przyślesz na mój dwór, a sama zamieszkas w Heytesbury pod opieką sir Johna Nesfielda. Nie mogę pozwolić, byś żyła pośród krewnych i dawnych dzierżawców, byś... — waha się, nim dokończy: — Byś znów zebrała armię wiernych ci ludzi i wystąpiła przeciwko mnie. Dlatego pozostaniesz z dala od potencjalnych spiskowców. Nie chodzi o to, że nie ufam tobie osobiście. Nie ufam nikomu. Nie wolno mi nikomu ufać.

W korytarzyku rozlegają się ciche kroki. Ryszard podrywa się, obraca w miejscu i dobywając sztyletu, przybiera obronną postawę. Podchodzę do niego, niepewnie stawiając nogi, i wciąż słaba kładę mu dłoń na podniesionym ramieniu. Opada jak pod uderzeniem młota. Przypomina mi się kłątwa, którą na niego rzuciłam w zapamiętaniu.

— Spokojnie — mówię cicho. — To tylko jedna z dziewcząt.

Cofa się o krok, chowając sztylet za siebie, i w tej samej chwili z cienia wychodzi Elżbietka. Staje obok mnie odziana podobnie jak ja — w nocne gieżło i narzuconą na wierzch pelerynę, jedynie zamiast kaptura ma na głowie schludny czepek. Jest mojego wzrostu. Obrzuca wuja poważnym spojrzeniem i dyga przed nim lekko.

— Miłościwy panie...

Ryszard ledwie odwzajemnia ukłon, patrzy na nią z zachwytem.

— Aleś wyrosła, Elżbietko... — mówi. — Bo jesteś księżniczką Elżbietka, prawda? Właściwie prawie cię nie znam. Ostatnio widziałem cię, jak byłaś małą dziewczynką, a teraz... proszę, proszę...

Zerkam na stojącą koło mnie córkę i ze zdumieniem spostrzegam, że rumieniec barwi jej lica, sięgając coraz wyżej. Elżbietka czerwieni się pod wpływem palącego spojrzenia króla. Przykłada dłoń do czoła, poprawia pelerynę, z pewnością żałując, że nie jest odziana jak należy i że wystąpiła boso niczym służka albo niesforny brzdąc.

— Wracaj do swojej komnaty — przykazuję jej ostro.

Dyga ponownie i okręca się, by zniknąć w mrocznym korytarzyku, posłuszna jak zawsze, lecz przystaje w drzwiach z pytaniem na ustach:

— Chodzi o mojego brata Edwarda? Czy nic mu nie jest?

Ryszard York spogląda na mnie z wahaniem, nie wiedząc, czy można powiedzieć jej prawdę.

— Wracaj do swojej komnaty — powtarzam. — Później ci wszystko opo...

— Księżniczko — wpada mi w słowo Ryszard.

Moja córka zatrzymuje się w pół ruchu, mimo że wydałam jej wyraźne polecenie, by zostawiła nas samych, i odwraca się twarzą do króla.

— Słucham, miłościwy panie?

— Z wielką przykrością muszę cię zawiadomić, że obaj twoi bracia zniknęli z londyńskiej twierdzy, i pragnę cię zapewnić, że nie miałem z tym nic wspólnego. Nie ma ich nigdzie na terenie Tower i nikt nie umie mi powiedzieć, czy są żywi czy umarli. Przyszedłem tutaj, do twojej matki, by sprawdzić, czy to przypadkiem nie ona rozkazała ich uwolnić i ukryć z dala od stolicy.

Szybkie spojrzenie, które Elżbietka posyła w moją stronę, nie zdradza mu niczego. Wiem, iż po głowie chodzi jej jedna myśl: że przynajmniej jej drugi brat, Ryszard Shrewsbury książę Yorku, pozostaje na wolności cały i zdrow u dobrych ludzi we Flandrii. Na szczęście jej twarz pozostaje bez wyrazu.

— Moi bracia zniknęli? — powtarza pytająco.

— Niewykluczone, że obaj już nie żyją — dopowiadam głosem zachrypłym od płaczu i przepełniającego mnie bólu.

— A ty, miłościwy panie, nie wiesz, co się z nimi stało? — dąży dalej Elżbietka.

— Bóg świadkiem, że bardzo bym to chciał wiedzieć... Nie mając pewności co do ich losów, wszyscy uznają ich za zmarłych i obciążą winą mnie.

— Książęta znajdowali się pod twoją pieczęcią — przypominam mu po raz wtóry. — Zresztą po co ktoś miałby ich porwać jako zakładników i do dziś nie zdradzić się z tym ani słowem?

W najlepszym razie pozwoliłeś, by ich porwano lub zabito, gdyż taki byłeś zajęty przygotowaniem do walki o tron, który z prawa należał się mojemu najstarszemu synowi po królu — ciągnę bezlitośnie.

Ryszard York potakuje skinieniem, jakby był gotów wziąć na siebie taką część winy, po czym obraca się, by odejść.

— Nie znajduję przebaczenia dla krzywd, któreś wyrządził mnie i moim bliskim — przestrzegam go. — Ktokolwiek przyczynił się do śmierci moich synów, zostanie pokarany klątwą na wiele pokoleń w przód, tak że żaden z pierwotnych ludzi winnych tej zbrodni nie dostąpi zaszczytu przejęcia schedy po ojcu. Ktokolwiek odebrał mi syna, poczuje na własnej skórze, jak to jest stracić ukochane dziecko, z którym wiąże się przyszłość rodu. Ktokolwiek zamordował młodego Edwarda, dożyje swych dni, tęskniąc za zmarłym potomkiem. Pochowa swego pierwotnego i będzie go opłakiwał, co i tak jest lepsze od tego, co mnie spotkało. Ja nawet nie mogę pogrzebać ciała swojego syna.

Mężczyzna stojący już w progu wzrusza ramionami.

— Przeklnij każdego, kto to zrobił — rzuca obojętnie. — Zniszcz jego ród. Nie kiwnę nawet palcem, ponieważ to przez niego straciłem dobre imię i spokój ducha.

— Obie go przeklniemy — włącza się Elżbietka, podchodząc bezgłośnie do mego boku i obejmując mnie w pasie. — Zapłaci za to, że odebrał nam naszego Edwarda. Jeszcze pożałuje, że podniósł nań rękę. Okrutnie pożałuje za swoją straszliwą zbrodnię. Do końca życia będą go dręczyły wyrzuty sumienia. Kimkolwiek jest, nawet jeśli nigdy nie poznamy jego imienia.

— O nie, właśnie że się dowiemy, kto to jest — wtóruję jej niczym czarownica na sabacie. — Dowiemy się, widząc śmierć jego potomków. Gdy umrze jego syn i dziedzic, będziemy miały pewność, kto się poważył odebrać życie młodemu Edwardowi. Gdy będą umierać jego pierwotni wnukowie, będziemy miały pewność, że rzucona nań klątwa działa pomimo upływu lat, pomimo odchodzenia w niepamięć kolejnych pokoleń. Aż w końcu wygaśnie zapoczątkowana przez niego dynastia. A wcześniej, po tym jak okrutnik pochowa pierwszego syna, przytłoczy go brzemień straty. Takiej sa-

mej straty, jakiej myśmy doznały. I będzie wiedział, że nasza klątwa go dosięgła, że zabrała mu to, co on odebrał nam.

Moja córka kończy za mnie:

— Kiedy w jego rodzie pozostaną same niewiasty i dziewczynki, wtedy będziemy miały pewność...

Ryszard York wychodzi za drzwi i spoglądając na nią przez ramię, z krzywym uśmieszkiem pyta:

— Nie wiesz jeszcze, że tylko jedna rzecz jest gorsza od niespełnionego życzenia? Tak było w moim wypadku. Życzyłem sobie być królem i oto nim jestem, i spełnione życzenie nie przyniosło mi ani odrobiny radości. Elżbietko, czy matka nie przestrzegła cię, aby uważać na to, czego sobie życzysz? Nie mówiła ci nigdy: uważaj, czego sobie życzysz, córko, bo może się spełnić?...

— Owszem, mówiła — odpowiada mu spokojnie. — Dlatego niczego sobie nie życzę, odkąd przywłaszczyłeś sobie koronę mego ojca, zabiłeś mi wuja i zabrałeś ukochanych braci.

— Twoja matka dobrze by więc zrobiła, przestrzegając cię jeszcze przed mocą rzucanych klątw. — Zwraca się do mnie z gorzkim uśmiechem na wargach. — Czyż nie pamiętasz szkwału wezwanego, by przeszkodzić Warwickowi? Nikt inny nie był zdolny wyposażyć nas w taką broń. To musiałaś być ty. Wiatr zapobiegł przybiciu jego floty do Calais i spowodował, że córka Warwicka, Izabela, poroniła dziecię na pokładzie. — Potakuję skinieniem, wspominając dawne dzieje. — W takim razie z pewnością pamiętasz również, że nawałnica nie ustała jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wyrządziwszy szkodę naszemu przeciwnikowi, i omal nie zatopiła twego męża i nas wszystkich, którzyśmy z nim wtedy byli.

— To prawda — potwierdzam cicho.

— Wasze klątwy działają zbyt długo i uderzają w niewłaściwych ludzi — oznajmia Ryszard York. — Być może któregoś dnia pożałujesz, żeś osłabiła mi prawe ramię. Być może kiedyś nawet pożałujesz śmierci czyjegoś syna i dziedzica. Także w prawie rzucona klątwa może okazać się niesłuszna z perspektywy czasu.

Król Ryszard III dosięga karzącą ręką możnowładców i przywódców rebelii; monarcha okazuje łaskę tylko pomniejszym wasa-

lom i zwykłym żołnierzom, wybacząc im, że dali się wprowadzić w błąd. Kiedy odkrywa, iż Małgorzata Beaufort — małżonka jego sprzymierzeńca — pozostawała w centrum skierowanego przeciwko niemu spisku i była pośrednikiem pomiędzy swoim synem a księciem Buckingham, odsyła ją z dworu do domostwa lorda Stanleya z przykazaniem, by ów trzymał ją pod kluczem i miał na nią baczenie. Jej stronnikom: biskupowi Mortonowi i doktorowi Lewisowi, udaje się zbiec z kraju. Natomiast mój ocalały syn, Tomasz Grey, ląduje w Bretanii na dworze Henryka Tudora. Pretendenta Lancasterów otaczają sami młodzi ludzie, buntownicy w głębi serca, przepełnieni **ambicją** i pragnieniem zwycięstwa.

Mój szwagier król Ryszard skarży się na Tomasza Greya, nazywając go rebeliantem i cudzołożnikiem, jak gdyby zdrada i miłość były równoważnymi zbrodniami w jego oczach. Oskarża mojego syna o zdradę stanu i wyznacza cenę za jego głowę. Tymczasem ów pisze do mnie z Bretanii list, w którym zapewnia, iż gdyby tylko Henrykowi Tudorowi udało się wtedy przybić do brzegów Anglii, powstanie przeciwko uzurpatorowi potoczyłoby się po naszej myśli. Niestety deszcze i porywiste wiatry — któreśmy wywołały wspólnie z Elżbietką, żeby pokrzyżować szyki Buckinghamowi — najpierw uniemożliwiły wypłynięcie w morze, a potem rozproszyły flotę na Kanale. Przez nas młody mężczyzna, który przyrzekał nam ratunek, omal nie zginął w morskich odmętach. Obecnie Tomasz jest przekonany, że Henryk Tudor dysponuje wystarczającą siłą, by pokonać nawet władcę z domu Yorków. Zapewnia, że jego mocodawca wyruszy do Anglii, jak tylko aura zacznie mu sprzyjać, i że wonczas bez wątpienia odniesie zwycięstwo.

Niezwłocznie chwytam za pióro i odpisuję synowi.

...Po czym natychmiast koronuje się na króla. Nie musząc nawet przez chwilę udawać, iż broni dziedzictwa moich synów...

Wkrótce nadchodzi odpowiedź od Tomasza, w której potwierdza on, że Henryk Tudor walczy wyłącznie w swoim imieniu — być może robił to już w przeszłości, a na pewno zamierza robić w przy-

szłości. Wszelako księżę — jak chce, by się do niego zwracano — przejmie koronę po Edwardzie Yorku i poślubi Elżbietkę York, czyniąc ją królową Anglii, zaś ich syn zostanie królem Anglii. Tomasz Grey przypomina mi, że mój syn Edward miał zostać królem, a teraz Elżbietka ma szansę zostać królową, i pyta, czy może zapewnić księcia o tym, że jego siostra wyjdzie zań, jeśli uda mu się pokonać uzurpatora. Między wierszami daje mi do zrozumienia, że tym sposobem nasi krewni i sojusznicy przeszliby na zwycięską stronę. Natomiast całkiem otwarcie zapytuje, czy widzę jakąś inną szansę dla siebie i jego przyrodnych sióstr, dopóki Ryszard III zasiada na tronie, a my kryjemy się w krypcie opactwa westminsterskiego.

Kreślę odpowiedź pośpiesznie, by dotarła do niego jak najrychlej.

...Przełącz księciu, że moje słowo, dane lady Małgorzacie, nadal jest wiążące. Elżbietka zostanie jego żoną, o ile uda mu się pokonać Ryszarda i włożyć koronę Anglii. Niech Yorkowie i Lancasterowie przestaną wreszcie ze sobą walczyć i żyją w pokoju, kończąc wojnę dwu róż: białej i czerwonej...

Zamieram na chwilę z uniesionym nad kartką papieru gęsim piórem, po czym dopisuję:

Zapytaj go także, czy jego matce wiadomo coś o losie mego drogiego syna Edwarda.

GRUDZIEN 1483 ROKU



Wyczekuję do przesilenia zimowego, przynoszącego najkrótszy dzień i najdłuższą noc w roku, po czym czekam jeszcze równo do północy, kiedy niebo jest najciemniejsze, i dopiero wtedy narzucam na ciepłą suknię grubą pelerynę, biorę do ręki kaganek i idąc korytarzykiem, po drodze pukam do drzwi komnaty Elżbietki.

— Już czas — odzywam się. — Chcesz też pójść?

Moja córka jest już gotowa. Spod obszernej peleryny z kapturem wystaje tylko czubek jej nosa i dłoń trzymająca świecę.

— Oczywiście — odpowiada. — To również moja strata. Ja także łaknę zemsty. Ci, którzy pozbawili życia mojego brata, postawili mnie o krok bliżej tronu, o krok dalej od życia, jakie mogłabym wieść jako siostra króla, oraz w samym środku śmiertelnego niebezpieczeństwa. Nie mam im za co być wdzięczna. W dodatku mój brat był zaledwie małym chłopcem, wątłym i przestraszonym. Potrzeba kogoś o sercu z kamienia, by podnieść rękę na młodego monarchę i tego nieszczęsnego pazia przebranego za księcia Yorku. Ktokolwiek ich zamordował, w pełni zasługuje na to, by dosięgła go klątwa. Przeklnę go z własnej woli.

— Klątwa dotknie nie tylko jego — przypominam jej — lecz także jego syna i wnuka. To co dzisiaj uczynimy, zakończy jego ród.

Jej zielone oczy lśnią w blasku świecy niczym ślepiea polującego kota.

— Niech się stanie — szepcze, jak miała w zwyczaju szeptać jej babka Jakobina Luksemburska, ilekroć komuś złorzeczyła lub błogosławiła.

Idę przodem, prowadząc przez zaułki krypty, w dół po stopniach prowadzących do katakumb, przez kamienne korytarze ciągnące chłodem nawet przez grube podeszwy pantofli, aż dobiega nas chłopot fal rozbijających się u bramy wodnej.

Wspólnymi siłami otwieramy żelazną kratownicę. Rzeka płynie wartko i wysoko z powodu przypiływu i zimowych roztopów, jej powierzchnia jest ciemna i błyszcząca, w ciemnościach zdaje się gładkim mrocznym zwierciadłem gotowym połączyć cały świat. Wszelako to nic w porównaniu z powodzią, którąśmy spowodowały, aby utrzymać połączone siły Buckinghamama i Henryka Tudora z dala od Londynu przed zaledwie paroma miesiącami. Gdybym była wiedziała, że tamtej nocy ktoś wyprawił się do Tower z myślą, by pojmać mego syna, byłabym wsiadła do pierwszej lepszej łodzi i popłynęła mu na ratunek. Przebyłabym wpław rwący nurt, byle go ocalić.

— Co zrobimy? — pyta Elżbietka, dygocząc z zimna i ze strachu.

— Nic nie będziemy robić — rzekę. — Po prostu opowiemy Meluzynie o tym, co nas spotkało. To nasza przodkini, nasza przewodniczka. Odczuje naszą stratę jak własną, zupełnie jakby sama straciła swego syna i dziedzica. Odszuka tego, kto go nam zabrał, i w swoim czasie pozbawi go potomka. — Podaję Elżbietce ukrytą w dłoni kartkę papieru. — Przeczytaj głośno i wyraźnie, co tu napisano — instruuję, odbierając z jej ręki kaganek.

Staję obok, przyświecając oboma płomieniami, podczas gdy ona czyta:

— Wiedz, że nasz drogi syn Edward był niesłusznie więziony w londyńskiej twierdzy przez swego wuja Ryszarda Yorka, zwałcego się królem. Wiedz, żeśmy posłały mu do towarzystwa biedne chłopię przebrane za jego młodszego brata Ryszarda Shrewsbury, którego z kolei wyekspediowałyśmy bezpiecznie do Flandrii, gdzie roztoczyła nad nim opiekę rzeka Skalda. Wiedz, że ktoś przyszedł do Tower i albo porwał naszego Edwarda, albo zabił go we śnie,

lecz Meluzyno! nigdzie nie możemy go znaleźć ani nie zostało nam pokazane jego ciało. Same nie jesteśmy w stanie się dowiedzieć, kto jest winien zbrodni i wymierzyć mu sprawiedliwości, ani też... jeżeli nasz syn żyje... odnaleźć go i sprowadzić do domu, gdzie jego miejsce... — Głos zaczyna jej drżeć, a ja muszę wbić paznokcie w skórę, aby się nie rozpłakać. Po chwili przerwy, już spokojniejszym tonem, Elżbietka podejmuje: — Wiedz, że nie ma sposobu na znalezienie zadośćuczynienia za krzywdę, która nas spotkała, toteż zwracamy się z tym do ciebie, nasza pani matko, i zanosimy naszą prośbę do twych wód. Spraw, aby ten, kto odebrał nam syna i dziedzica, stracił swojego syna i dziedzica. Wiedz, że nasz książę zginął, nim wkroczył w wiek męski, nim został ogłoszony królem Anglii, mimo iż narodził się po to, aby być mężczyzną i monarchą. Dlatego odbierz zbrodniarzowi jego dziecię, gdy wciąż będzie chłopięciem, zanim dostąpi zaszczytów i obejmie panowanie na swych włościach. A potem odbierz mu także wnuka, żebyśmy miały pewność, kto był winnym zbrodni pojmania bądź zabójstwa naszego Edwarda, żebyśmy wiedziały, że ta klątwa zadziałała, a straszny czyn został pomszczony... — Kończąc czytać, Elżbietka ma oczy pełne łez.

— Teraz złóż tę kartkę jak papierowy statek.

Moja córka skwapliwie zaczyna giąć papier i po chwili trzyma w rękach idealną miniaturową kopię okrętu. Wraz z dziewczynkami nabierała wprawy w puszczeniu papierowych łódek na rzece, odkądśmy się znalazły w tutejszym sanktuarium, z Tamizą za oknami.

Oddaję jej kaganek.

— Podpal — polecam szeptem.

Posłusznie przykładą dziób okrętu do ognia i obie patrzymy, jak papier zaczyna czernieć i palić się kopcącym płomieniem.

— Oddaj go Meluzynie.

Elżbietka pochyla się i ostrożnie woduje płonący okręt na falach matki angielskich rzek.

Okręcik kołysze się, płomyk przygasa na jedno uderzenie serca, po czym rozjarza się jeszcze silniej. Nurt porywa papierową łódeczkę, wiry nią obracają, coraz bardziej oddalając od brzegu. Przez mgnienie oka widzimy ogień i jego odbicie, klątwę i jej odbicie, aż

w końcu okręciak nabiera prędkości i chybcząc się i kręcąc szaleńczo, nikt nie w ciemnościach. Choć wyteżamy wzrok, nie widzimy nic oprócz mroku. Wiemy jednak, że Meluzyna wysłuchała prośby i zabrała naszą kłatwę do swego podwodnego królestwa.

— Stało się — mówię, obracając się i przytrzymując uchylone wrota bramy wodnej.

— To wszystko? — pyta z niedowierzaniem Elżbietka, jak gdyby się spodziewała, że zobaczy, jak żegluje w dół Tamizy usadowiona w zagłębieniu muszli po sercówce.

— To wszystko — potakuję. — To wszystko, co jestem władna uczynić teraz, gdy zostałam królową niczego i matką nikogo. Mogę już tylko rzucać uroki. Lecz Bóg jeden wie, że akurat to zawsze dobrze mi wychodziło.

BOŻE NARODZENIE 1483 ROKU



Udaję wesołość przez wzgląd na córki. Posyłam Jemmę po altembas i potem szyjemy im nowe suknie, które wkładają w dzień Bożego Narodzenia, głowy zdobiąc ostatnimi brylantami ze szkatuły wyniesionej przeze mnie z pałacowego skarbcza; przemyślnie robią z nich tiary przypominające małe korony, tak że wyglądają jak prawdziwe księżniczki. Gospodarze z poskromionego hrabstwa Kent zapewniają nam prowiant na świąteczną ucztę: starego kapłona, cienkie wino i lekko czerstwy chleb. Same sobie kolędujemy, wystawiamy przedstawienia, wznosimy toasty za zdrowie i długie życie. Kiedy dziewczynki w końcu kładą się spać, są przeschęśliwe, zupełnie jakby zapomniały o dworze ojca w czas świąt Bożego Narodzenia i Epifanii, o którym zagraniczni ambasadory powiadali, że w całej Europie nie widzieli wspanialszego; o tym, że ich rodzice byli najcudowniejszą parą królewską, jaką od wieków widziała Anglia.

Najstarsza Elżbietka długo w noc siedzi ze mną przy kominku, łuskając orzechy i ciskając łupiny w płomienie, które rozbłyskują ognistą czerwienią i strzelają głośno.

— Doszły mnie słuchy, że Henryk Tudor ogłosił się królem Anglii i twoim narzeczonym w bretońskiej katedrze w mieście Roazhon. Chyba winnam ci gratulacje — przerywam przeciągające się milczenie.

Elżbietka patrzy na mnie przekornym wzrokiem.

— Iluż to ja miałam narzeczonych! — wykrzykuje. — Byłam już zaręczona z bratankiem hrabiego Warwick, a potem jeszcze z na-

stępcą tronu Francji, pamiętasz? Ty i papa wołaliście mnie nawet „La Dauphine”, musiałam pobierać nauki francuskiego i oczywiście bardzo zadzierałam nosa. Było nie było, miałam zostać królową Francji! Sądziłam, że to pewne, a tymczasem spójrz na mnie... Myślę więc, że na gratulacje przyjdzie czas, kiedy Henryk Tudor przybije do brzegów Anglii, rozegra tę swoją bitwę, koronuje się na króla, po czym osobiście poprosi mnie o rękę. Wtedy być może poczuję się czyjaś narzeczoną.

— Mimo wszystko najwyższy czas, abyś wyszła za mąż — gderam pod nosem, przypominając sobie rumieniec, który ją oblał, gdy jej wuj Ryszard napomknął, że bardzo wydorosłała i prawie jej nie poznaje.

— Nie mogę wyjść za mąż dopóty, dopóki pozostajemy w sanktuarium — stwierdza bez ceregieli.

— Henryk Tudor nie może się poszczycić wieloma wygranymi bitwami — rozmyślam na głos. — Większość życia spędził, uciekając przed naszymi szpiegami, nigdy nie stanął do otwartej walki. Jedyna potyczka, w jakiej brał udział, odbyła się pod wodzą przegranego Williama Herberta, jego ówczesnego opiekuna, a potem miał tylko szczerą chęć bronić naszej sprawy. Kiedy przybije do wybrzeży Anglii z zamiarem wzięcia cię za żonę, nasi sprzymierzeńcy w okamgnieniu oddadzą się pod jego komendę. Wielu pójdzie też pod rozkazy nowego pretendenta z czystej niechęci do uzurpatora, mimo że nie mają pojęcia, kto zacz Henryk Tudor. Ci, którzy zostali pozbawieni swoich majątków, przejętych przez zauszników Ryszarda III, również są gotowi wstąpić w szeregi jego armii. Nieudane powstanie pozostawiło wielki niesmak wśród poddanych. Twój wuj wygrał wprawdzie jedną bitwę, ale utracił zaufanie ludu. Szermuje słowami takimi, jak wolność i sprawiedliwość, lecz w istocie rozdaje ziemie i zaszczyty swoim ziomkom z północy i wspólnie z nimi rządzi, nie troszcząc się o resztę. Czegoś takiego nikt łatwo nie wybacza. Zatem twój narzeczonny będzie dysponował potężną armią tutaj, w królestwie, przybędzie z własnym wojskiem z Bretanii, lecz koniec końców wszystko będzie zależało od tego, czy okaże się równie odważny na polu bitwy jak Ryszard. Twój wuj to zaprawiony w boju stary wyga. Od wczesnej młodości bił się, jak Anglia

długa i szeroka, mając za wzór twego ojca. Henryk to przy nim młokos i nieopierzone piskłę.

— Wszelako jeśli wygra i dotrzyma danego mi słowa, zostanę królową Anglii. Pamiętasz, matko? Któregoś dnia ci powiedziałam, że będę królową Anglii. Zawsze to czułam. Takie jest moje przeznaczenie. Nigdy jednak nie było to moją ambicją.

— Wiem... — potakuję łagodnie. — Ale skoro takie jest twoje przeznaczenie, nie masz innego wyjścia, jak tylko mu się poddać i wypełnić swój obowiązek. Będiesz dobrą królową, jestem o tym przekonana. Mogę ci służyć radą, gdybyś zechciała.

— Pragnęłam poślubić ukochanego mężczyznę, tak jak ty poślubiłaś swojego ojca — wyznaje nieoczekiwanie Elżbietka. — Moim marzeniem było wyjść za mąż z miłości za kogoś, kogo znam i szanuję, a nie za obcego człowieka tylko dlatego, że tak postanowiły nasze matki.

— Ty w przeciwieństwie do mnie urodziłaś się księżniczką — przypominam jej. — A zresztą ja pierwszego męża poślubiłam, ponieważ tak kazał mi ojciec. Dopiero kiedy zostałam wdową, było mi wolno wybierać. Musisz się więc postarać, aby przeżyć Henryka Tudora. Po jego śmierci będziesz mogła robić, co dusza zapagnie.

Elżbietka tłumi chichot. Najwyraźniej ta myśl bardzo przypadła jej do gustu.

— Twoja babka wzięła ślub z giermkim swego pierwszego męża, ledwie ten oddał ducha Bogu — opowiadam starą rodzinną historię. — Albo inny przykład: lady Małgorzata Beaufort w sekrecie poślubiła nikogo nazwiskiem Tudor i urodziła mu jedyne dziecko. Ja przynajmniej, zostawszy już wdową, miałam dość oleju w głowie, aby się zakochać w królu Anglii i powieść go do ołtarza.

Moja córka zbywa to wzruszeniem ramion.

— Bo ty jesteś ambitna. Ja nie jestem. Ty na pewno byś się nie zakochała w biedaku. Ale ja nie chcę być królową Anglii. Nie chcę zasiadać na tronie mego nieszczęsnego brata. Na własne oczy widziałam, jaką cenę przychodzi zapłacić za zdobytą koronę. Pan ojciec nigdy nie złożył broni, musiał walczyć o utrzymanie tronu, odkąd go objął, a my... popatrz sama... siedzimy w zamknięciu od miesięcy, bo wciąż masz nadzieję na jego odzyskanie. Pragniesz tej

korony tak bardzo, że jesteś gotowa wydać mnie za księcia z dynastii Lancasterów.

Potrząsam głową.

— Jak tylko twój wuj przyśle propozycje małżeństwa dla ciebie i starszych dziewczynek, wyjdziemy stąd. Obiecuję, Elżbietko. Nie skażę cię na kolejne święta w sanktuarium.

— Wcale nie musimy wychodzić stąd w chwale — kontruje Elżbietka. W jej głosie pobrzmiwają płaczliwe nutki. — Mogłybyśmy zamieszkać w jakimś miłym domu i żyć jak zwyczajna rodzina.

— Dobrze, zobaczymy... — mówię, ani przez chwilę nie uważając, że to możliwe. Wywodzimy się od Plantagenetów. Jakże mogłybyśmy choćby marzyć o życiu zwykłych ludzi?

STYCZEŃ 1484 ROKU



W pierwszych dniach nowego roku otrzymuję list od swego syna Tomasza Greya wysiany z prowizorycznego dworu Henryka Tudora w Bretanii. Datowany jest na dzień Bożego Narodzenia tysiąc czterysta osiemdziesiątego trzeciego roku.

...tak jak obiecał, potwierdził swoje zaręczyny z Twą córką Elżbietą York w katedrze w Roazhon. Przy tej samej okazji upomniał się o koronę Anglii, a my wszyscy jak jeden mąż okrzyknęliśmy go królem Henrykiem VII. Jakeśmy stali, złożyliśmy mu hołd lenny i przysięgę na wierność, w tym i ja. Ktoś z tłumu spytał go, jak niby chce zasiadać na tronie, skoro młody król Edward V może wciąż żyć i mieć się dobrze, tylko czekając sposobności, aby się upomnieć o swoje dziedzictwo. Zaczął odpowiadać tak, że aż nastawiłem uszu. Otóż rzekł, że ma niezbite dowody na to, iż młody król nie żyje, i że serce krwawi mu z tego powodu, jak również że powinniśmy hurmem pomścić śmierć następcy tronu i pokarać mordercę — uzurpatora Ryszarda. Osobiście zapytałem, o jakich dowodach mówi, i przypomniałem o matczynym cierpieniu, gdy nie stanie nawet ciała po synu, by móc je pochować, ani żadnych pewnych wieści na temat ewentualnych kolei losu po porwaniu. Ponownie z mocą zapewnił, patrząc mi prosto w oczy, że wie z całą pewnością, iż siepacze Ryszarda zamordowali obu chłopców w Tower, przykładając poduszki do ich małych twarzy-

czek, kiedy spali, po czym zakopali ich zwłoki u podnóża schodów.

Wziąłem go na stronę i napomknąłem, że przecież można znaleźć sługi będące świadkami tego uczynku bądź przepłacić obecne i kazać im odnaleźć zakopane ciała, jeśli tylko rzeknie mi, o które dokładnie schody w twierdzy chodzi. Dodałem, że jeśli odnajdziemy ciała ksiąząt, nim zacznie się jego inwazja na Anglię, będziemy mogli otwarcie oskarżyć Ryszarda o dziecko- i królobójstwo i wtedy wszyscy przejdą na naszą stronę, pozostawiając go opuszczonym i bezbronnym. Które schody? pytałem. Gdzie znajdują się ciała? Skąd o tym wiadomo?...

Pani Matko, brak mi Twojej zdolności wejrzenia w głąb ludzkich stwardniałych serc, lecz umiem powiedzieć, że w tamtej chwili było w nim coś, co mi się ani trochę nie spodobało. Odwrócił nagle wzrok i bąknął, że to już bez znaczenia, gdyż sam o tym pomyślał wcześniej i dowiedział się, iż jakiś duchowny, dobry samarytanin, zadbał o godny pochówek i oddał ciała ksiąząt rzece. Chciałem poznać imię tego księdza, lecz go nie znał. Chciałem się dowiedzieć, skąd ów ksiądz usłyszał o tajemnym grobie i czemu oddał ciała rzece, zamiast zanieść je przed Twoje oblicze. Chciałem, by mi wytłumaczył, od kiedy to chrześcijański pochówek polega na wrzuceniu zwłok do wody. Zapytałem wprost, w której części Tamizy zostali złożeni, lecz tego także nie umiał mi powiedzieć. Na koniec zażądałem odpowiedzi, od kogo to wszystko wie, i usłyszałem, że od swojej matki, lady Małgorzaty Stanley, której ufa bezgranicznie. Skoro ona twierdzi, że tak właśnie było, on nie ma co do tego cienia wątpliwości.

Ja natomiast wątpliwości mam co niemiara. Bardzo chciałbym wiedzieć, co Ty o tym sądzisz.

Wrzucam list w płomień na kominku. Następnie zasiadam za stołem, sięgam po nowe gęsie pióro, ostrzę dudkę, zamaczam ją w kałamarnicy i poskubawszy wargami łaskoczącą chorągiewkę, zaczynam pisać.

...Zgadzam się z Tobą. Henryk Tudor i jego stronnicy musieli przyłożyć rękę do śmierci mego syna. Skąd indziej by wiedział, że księżęta z Tower nie żyją i jak zginęli? Ryszard obiecał puścić nas wolno jeszcze tego miesiąca. Opuść nowego uzurpatora i wracaj do domu. Król okaże Ci łaskę i znów będziemy razem. Bez względu na przysięgi składane przez Henryka w katedrze, bez względu na liczbę wasali, którzy złożyli mu hołd lenny, Elżbietka nigdy nie wyjdzie za mąż za człowieka, który z zimną krwią zamordował jej brata. Zresztą jeśli to faktycznie on, ciąży na nim rzucona przez nas klątwa sięgająca trzeciego pokolenia jego rodu. Żaden pierwotny potomek pici męskiej z linii Tudorów nie osiągnie dorosłości, jeżeli to Henryk maczał palce w zabójstwie mojego syna Edwarda...

Po święcie Trzech Króli otrzymuję najgorsze wieści z możliwych. Parlament, który zebrał się znów w Londynie, podjął uchwałę, że Ryszard III jest władającym z woli Boga i ludu monarchą, a moje małżeństwo z poprzednim królem było nieważne, co czyni ze mnie zwykłą ladcownicę, a z moich dzieci bękarty. Gloucester już wcześniej wymógł podobne oświadczenie na radzie królewskiej. Obecnie ma ono moc prawa, przyjętego jak wiele innych przez powolne kukiełki uzurpatora mieniające się parami królestwa.

Nie wystosowuję oficjalnego sprzeciwu do żadnej z izb parlamentu i nie zwołuję do swego boku przyjaciół, by stanęli w mojej obronie. To pierwszy podjęty przeze mnie krok na długiej drodze wychodzenia z ukrycia, które stało się naszym więzieniem. To krok prowadzący do tego, byśmy — jak chce Elżbietka — stali się „zwyyczajnymi ludźmi”. Skoro prawo stanowi, że jestem tylko wdową po sir Johnie Greyu i byłą kochanicą Edwarda IV, skoro to samo prawo stanowi, że dzieci, które mi pozostały, to Tomasz Grey po pierwszym mężu i parę dziewczynek urodzonych z nieprawego łoża, skoro to wszystko prawda — nie jesteśmy dla nikogo zagrożeniem i nasze życie ma małą wartość, powinno być więc wszystkim bez różnicy, czy żyjemy czy nie, czy pozostajemy w lochu czy na wolności. Nie powinno nikogo interesować, gdzie mieszkamy ani co robimy. Już to czyni nas wolnymi.

Za najważniejsze zaś — aczkolwiek nie mówię tego głośno nikomu, nawet Elżbietce — uważam to, że jeśli zamieszkamy gdzieś na uboczu, mój drugi syn Ryszard, przechrzczony na Piotra, będzie mógł do nas dołączyć po jakimś czasie. Z chwilą gdy zrzeknę się swoich praw do korony, odzyskam syna. Z chwilą gdy on przestanie być księciem krwi, będzie mógł do mnie wrócić. Skoro był Piotrem... Perkinem... mieszkającym z ubogą rodziną w Tournai we Flandrii, czemu nie miałby być Piotrem przybywającym z gością do mego domu w Grafton, moim ulubionym paziem, moim najbliższym towarzyszem, moim sercem, moją duszą?...

MARZEC 1484 ROKU



Otrzymuję wiadomość od lady Małgorzaty. Od dłuższego już czasu zastanawiałam się, kiedy odezwie się do mnie ta moja najdroższa przyjaciółka i sojuszniczka. Zaplanowane przez nią wzięcie szturmem Tower nie powiodło się haniebnie. Henryk Tudor rozgłasza wszem wobec, że moi synowie nie żyją, i twierdzi, że jego rodzona matka zna okoliczności towarzyszące ich śmierci oraz miejsce pochówku obu książąt. Rebelia, której lady Małgorzata była mózgiem, zakończyła się niepowodzeniem i rzuciła na wielu cień podejrzenia. Mimo to lord Stanley pozostaje w łaskach u króla Ryszarda III, jakby nie było tajemnicą poliszynela, że jego żona opowiedziała się po stronie rebeliantów. Jak widać, Małgorzata Beaufort jest niegodnym zaufania przyjacielem i wątpliwym sprzymierzeńcem. Zdaje się wiedzieć wszystko, nie robić nic i zawsze unikać kary.

W swoim liście wyjaśnia, że nie pisała tak długo ani nie odwiedzała mnie w Londynie, ponieważ małżonek założył na nią areszt domowy. Okazuje się, że lord Stanley pozostał lojalny wobec króla, biorąc jego stronę w niedawnych walkach. Okazuje się również, że syn lorda Stanleya, baron Strange, skrzyknął niewielką armię w imię poparcia dla Ryszarda Yorka i wszelkie szeptane wiadomości na temat tego, że zamierzał wesprzeć Henryka Tudora, były nieporozumieniem. Wierność suzerenowi jednego i drugiego nie podlega dyskusji. Tyle że jest dość świadków zdolnych poświadczyć, że lady Małgorzata przyjmowała gońców z Bretanii i posyłała tamże

swoich ludzi, ponaglając Henryka Tudora, aby się upomniał o koronę Anglii dla siebie. Znaleźliby się nawet szpiedzy, którzy by potwierdzili, że jej doradca i spowiednik, biskup Morton, namówił księcia Buckingham, aby się zwrócił przeciwko uzurpatorowi. Być może jest też ktoś gotów przysiąc, że Małgorzata Beaufort zawarła ze mną pakt, na którego mocy jej syn Henryk Lancaster ma poślubić moją córkę Elżbietę York. Dowodem na to byłby ów pamiętny grudniowy dzień, kiedy Henryk Tudor złożył w bretońskiej katedrze przyrzeczenie, iż zostanie mężem mojej córki oraz królem Anglii, a wszyscy w jego świcie, w tym mój najstarszy syn Tomasz Grey z druhami, opadli przed nim na kolano i ślubowali mu wierność.

Wyobrażam sobie, że lord Stanley musiał użyć całej swojej elokwencji i daru przekonywania, aby zapewnić podejrzliwego monarchę, że choć jego żona jest intrygantką i buntowniczką, on sam ani przez chwilę nie rozważał korzyści, jakie przyniosłaby mu intronizacja pasierba. A jednak mu się udało. Thomas *Sans changer* Stanley nadal się cieszy królewskimi łaskami, mimo iż jego małżonka lady Małgorzata trzymana jest w zamknięciu, w czterech ścianach mężowskiego domostwa, i została pozbawiona prawa do własnych sług i prowadzenia korespondencji z kimkolwiek — zwłaszcza z rodzonym synem — jak również odarta z godności, majątków i dziedzictwa po poprzednich mężach. Które, nawiasem mówiąc, trafiły do lorda Stanleya, pod warunkiem iż uda mu się poskromić połowicę.

Jak na niewiastę o wielkich wpływach zdaje się tylko z lekka przygaszona przez to, że znalazła się pod kluczem, pozbawiona bogactwa i ziem, i musiała złożyć obietnicę, iż ani nie napisze do nikogo słowa, ani nie będzie znów spiskować. Najwyraźniej ma pełne prawo czuć się pewna siebie wbrew wszystkiemu, gdyż oto wysłała list i od nowa knuje. Z tego wnoszę, że Thomas *Sans changer* Stanley pozostaje wierny wyłącznie samemu sobie — o co zawsze go podejrzewałam — i jak zwykle działa na dwa fronty: przysięga wierność lenniczą suzerenowi, a równocześnie przymyka oko na żonine knowania.

Małgorzata Beaufort pisze kwiecistym stylem, poddając się łatwo emocjom. Złożona we dwoje sztywna kartka papieru jest upstrzona

plamami, jak gdyby zrosiły ją obficie łzy szczęścia na myśl o małżeństwie naszych dzieci. Spoglądam na rozmazaną smugę inkaustu z niesmakiem i staram się nie dotykać jej opuszkami palców. Nawet gdybym nie podejrzewała lady Małgorzaty o najpodstępniejszą ze zdrad, nie dałabym się na to nabrać.

Najjaśniejsza Pani, Droga Siostró!

Tak chyba powinnam się do Ciebie zwracać jako do matki księżniczki, którą poślubi mój syn, zostając Twym zięciem.

Wielce zasmuciła mnie wiadomość przekazana mi przez mojego syna o tym, że Tomasz Grey uznał za stosowne opuścić królewski dwór w Bretanii i trzeba go było usilnie przekonywać, aby zmienił zdanie w tej materii. Najjaśniejsza Pani, Droga Siostró, o co też mogło chodzić Twemu najstarszemu? Może mogłabyś przypomnieć mu, że dobro Waszej rodziny i naszej to jedno i że mój Henryk uważa go za swego najbliższego druha? Błagam Cię, przykaż mu jak na kochającą macierz przystało, aby zniósł dzielnie trudy niemiłego nam wszystkim wygnania i wymuszonej rozłąki, mając na uwadze wielką nagrodę, która go czeka w chwili tryumfu naszej wspólnej sprawy. Jeżeli trapią go jakieś obawy bądź też leży mu coś na sercu, powinien o tym szczerze porozmawiać z Henrykiem Tudorem, który z pewnością zdoła rozwiać jego wątpliwości. Na tym świecie aż roi się od podłych plotek, lecz wierzaj mi, Twój Tomasz nie powinien się okazać słabego ducha właśnie teraz, gdy chwila zwycięstwa jest bliska.

Do narzuconego mi bezdusznie azylu nie dochodzą nowinki z wielkiego świata, ale nawet tutaj dotarły mnie słuchy, że tyran Ryszard zamierza wezwać na swój dwór najstarsze z Twych córek. Zaklinam Cię na wszystkie świętości: nie posyłaj ich tam! Henryk nie życzyłby sobie, aby narzeczona, której ślubował małżeństwo, przebywała na dworze jego śmiertelnego wroga, wystawiając się na nieprzystojne pokusy, Ty zaś z pewnością czujesz odrazę na myśl o swej córce w łapach mężczyzny, który pozbawił życia Twych dwóch synów. Nie wydawaj swoich dziewcząt w ręce człowieka, który nie zawahał się skrzywdzić ich

braci! Przypuszczam zresztą, że same nie mogłyby znieść jego widoku. Już lepiej przymuś je do pozostania w murach sanktuarium, niż gdyby miały całować mu dłoń i być na rozkazy jego królowej. Wierzę, iż jesteś podobnego zdania: coś takiego po prostu nie mieści się w głowie.

Dla własnego dobra zatrzymaj córy przy sobie czy to na prowincji, jeśli Ryszard puści was wszystkie wolno, czy to w sanktuarium, jeśli tego nie uczyni mimo obietnic, i czekaj z nimi tego szczęśliwego dnia, kiedy Twoja Elżbietka zostanie koronowana na królowę Anglii i stanie się również moją ukochaną córką.

Twoja najwierniejsza przyjaciółka w całym świecie, pozostająca w niewoli całkiem jak Ty,

Lady Małgorzata Stanley.

Zanoszę list Elżbietce i przyglądam się, jak w miarę lektury jej uśmiech się poszerza, aż w końcu moja córka wybucha serdecznym śmiechem.

— O Boże! Co za gargulec z niej!

— Elżbietko! — napominam ją ze srogą miną. — Bacz, co mówisz. To twoja przysłała świekra!

— Tak, wiem... „Tego szczęśliwego dnia"! — prycha. — Dlaczego nie chce, byśmy się udały na dwór króla? I o jakich nieprzy stojnych pokusach w ogóle myśli?

Odbieram jej list i raz jeszcze czytam całość uważnie.

— Twój wuj z pewnością wie, że zaręczyłaś się z Henrykiem, pyszałek rozgłosił to wszem wobec, czemu więc wiadomość nie miałyby dotrzeć do Londynu? Ryszard musi się domyślać, że teraz Riversowie i ich poplecznicy sprzymierzą się z pretendentem Lancasterów. To co zostało z dawnego domu Yorków, stoi murem za tobą, jako żeś jedyną spadkobierczynią króla Edwarda. Zatem w interesie uzurpatora byłoby ściągnąć na swój dwór ciebie i twoje siostry, by was powydawać za mąż za jego sojuszników. W ten sposób Henryk Tudor ponownie znalazłby się sam, a wy, potomkinie Plantageneta, wiodłybyście żywot u boku ostatnich mężów. Ostatnie zaś, czego życzyłyby sobie lady Małgorzata, to abyś poszła

w tany z jakimś yorkistowskim szlachetką pod okiem Ryszarda, robiąc z jej syna głupca, pozostawiając go bez narzeczonej i bez stronników.

Wzrusza na to ramionami.

— Jeśli tylko nareszcie stąd wyjdziemy, mogę zamieszkać nawet w największej głuszy, pani matko — oświadcza.

— Wiem. Ale Ryszard chciałby widzieć ciebie i twoje najstarsze siostry na swoim dworze, gdzie mógłby was pokazać ludziom, zaświadczać o swej prawości. Dlatego ty, Cecylia i Anna udacie się do Windsoru, natomiast Katarzynka i Brygidka zostaną ze mną. Dzięki temu poddani się przekonają, że ufam mu na tyle, aby powierzyć jego opiece rodzone dzieci. A poza tym wolę, żebyście się obracały w kręgach dworskich, niż siedziały w Grafton na głuchoj prowincji.

— Dlaczego? — pyta, wbijając we mnie świdrujące spojrzenie. — Powiedz mi dlaczego, pani matko. Czuję, że znów coś knujesz, a ja nie chcę się obudzić w samym środku jakiegoś spisku.

— Jesteś dziedziczką dynastii Yorków — mówię twardo. — Do końca życia będziesz w centrum jakiegoś spisku.

— A ty gdzie się udasz? Czemu nie zamieszkaasz z nami na dworze królewskim?

Potrząsam smutno głową.

— Nie zniósłabym widoku tej patykowatej Anny Neville na mym miejscu, noszącej moje suknie przykrojone na jej miarę i obwieszonej moimi klejnotami. Nie umiałabym dygać przed nią i nazywać jej królową Anglii. Nie zrobiłabym tego, nawet gdyby odmowa kosztowała mnie życie. Ryszard York także nie jest dla mnie królem. Znałam i kochałam prawdziwego króla. Byłam prawdziwą królową. Tych dwoje to dla mnie para zwykłych uzurpatorów. Nie chcę na nich patrzeć.

Milknę na chwilę, żeby zebrać rozpierzchające się myśli.

— Mam zostać oddana pod opiekę sir Johna Nesfielda, który pilnował nas tutaj przez krótki czas. Zamieszkaam pod jego dachem w Heytesbury, gdzie jak sądzę, będę się dobrze czuła. Wy zaś udacie się na dwór i nabierzecie nieco dworskiej ogłady. Najwyższy czas opuścić dom i zaznać dorosłego życia.

Elżbietka zbliża się z miną jak u malej dziewczynki i całuje mnie w policzek.

— Chyba spodoba mi się to bardziej od ciągłego uwięzienia — mówi cicho. — Chociaż nie wyobrażam sobie rozłąki z tobą. Nigdyśmy się nie rozstawały... — urywa nagle, jakby coś sobie właśnie uświadomiła. — A ty? Nie będziesz się czuła samotna? Nie będziesz za nami tęsknić?

Kręcąc przecząco głową i szepcząc jej do ucha:

— Nie będę sama, gdyż wierzę, że nasz Ryszard wróci do domu. Wierzę, że znów go niebawem ujrzę.

— A Edward? — pyta również szeptem.

Nie unikam jej pełnego nadziei wzroku.

— Elżbietko... Moim zdaniem Edward nie żyje. Nie wydaje mi się możliwe, aby ktoś go porwał i nie przyznał się do tego, nie skontaktował się z nami w sprawie okupu czy jakiegokolwiek innej... Uważam, że Buckingham i Henryk Tudor zamordowali obu chłopców w Tower, nie wiedząc, iż udało nam się przeszmugłować Ryszarda za granicę i ukryć w bezpiecznym miejscu. Uczynili to, aby otworzyć sobie drogę do tronu, obciążając winą za śmierć brataników uzurpatora Ryszarda. Jeżeli jednak mój mały Edward żyje, dobry Bóg sprowadzi go do mnie. Ja zaś do końca życia będę zostawiać w oknie pałacą się świeczkę i nie domykać drzwi, na wypadek gdyby mój syn szukał domu.

Oczy nabiegają jej łzami.

— Ale już nie wierzysz, że wróci?

— Nie wierzę.

KWIECIEŃ 1484 ROKU



Mój nowy dom w Heytesbury jest położony w ładnej okolicy hrabstwa Wiltshire na południowym zachodzie Anglii, z jego okien otwiera się widok na bezkresne doliny Salisbury Plain, zaś John Nesfield okazuje się wyrozumiałym opiekunem. Dostrzega korzyści płynące z przebywania u boku króla i bynajmniej nie zamierza mnie niańczyć. Gdy tylko zyskuje pewność, że na nic się nie skarzę ani też nie planuję ucieczki, zbiera się do odjazdu do Sheriff Hutton, gdzie Ryszard tworzy swój północny dwór. Uzurpator urządza tam pałacyk, który ma dorównać Greenwich, i zbiera hołdy od okolicznych lordów darzących szacunkiem jego i kochających jego żonę, ostatnią z rodu Neville'ów.

Przed wyjazdem Nesfield wydaje odpowiednie dyspozycje, tak że wolno mi zarządzać domostwem pod jego nieobecność, i rychło otaczają mnie meble i przedmioty przywiezione na moje polecenie z dawnych apartamentów królewskich. Otwieram komnatę dziecinną z prawdziwego zdarzenia dla najmłodszych córek i najmuję dla nich nauczyciela. Stajnie zapełniam kupionymi końmi czystej krwi, ogrodnikom przykazuję uprawiać swoje ulubione owoce.

Po bardzo długim czasie spędzonym w krypcie opactwa westminsterskiego budzę się co rano z uczuciem lekkości i radości, że w każdej chwili mogę otworzyć drzwi i wyjść na świeże powietrze. Wiosna nastaje wczesna i ciepła i już samo przysłuchiwanie się ptasim trelom oraz przejażdżki wierzchem wywołują we mnie euforię równą powtórnym narodzinom. Własnoręcznie podkładam

kacze jaja pod kwoki i wkrótce przyglądam się rządкови puchatych kuleczek kolebiących się na boki za przybraną matką. Zaśmiewam się do teraz na widok kaczątek wpadających jedno po drugim do wody w stawiku, podczas gdy kwoka nerwowo bije skrzydłami, próbując je zawrócić na brzeg. Obserwuję pasące się na wybiegu źrebaki i dyskutuję z koniuszym na temat tego, które z nich nadadzą się pod wierzch, a które trzeba sposobić do wozu. Wybieram się nawet na pola z pasterczykiem, żeby zobaczyć nowo narodzone jagnięta, a potem jeszcze mówię pastuchowi, kiedy najlepiej oddzielić cielaki od matek. Powoli staję się tym, kim byłam kiedyś: angielską panią na włościach znającą się na podległej jej ziemi.

Katarzynka i Brygidka nie mogą się nacieszyć wolnością. Co dzień przyłapuję je na czymś zabronionym: a to kąpią się w rwącym strumieniu za domem, a to gramolą się na stogi siana, niweczając pracę innych, a to wdrapują się na jabłonie, niszcząc delikatne kwiaty, a to wybiegają w pole i z piskiem wracają do ogrodzenia, kiedy potężny byk leniwie podnosi łeb i spogląda na nie, puszczając parę z nozdrzy. Wszelako nie karzę ich za te wybryki. Zachowują się jak jałówki po raz pierwszy wypuszczone z zagrody na pastwisko. Brykają i biegają, nie mogąc się nadziwić błękitowi nieba i rozległości otaczającego świata. Każda z nich je za dwie. Nieustannie zaglądnają do kuchni i żebrzą u kucharek o smakołyki, a te wraz z mleczarkami z upodobaniem karmią je świeżo ukręconym masłem rozsmarowanym na gorącym wciąż chlebie. Moje córki znów są beztroskimi dziećmi, przestały nareszcie być bladolicymi więźniami obawiającymi się światła dnia.

Zsiadam właśnie z wierzchowca po porannej przejażdżce, gdy z zaskoczeniem spostrzegam, że do głównej bramy zbliża się John Nesfield we własnej osobie. Zauważywszy mnie, kieruje się prosto na dziedziniec przed stajniami, zeskakuje z siodła i rzuca wodze stajennemu. Widząc jego przygarbione ramiona i spuszczone wzrok, domyślałam się, że stało się coś złego. Moja ręka bezwiednie wędruje do końskiej szyi, palce się zaciskają na wełnistej grzywie klaczy.

— O co chodzi, sir Johnnie? Masz czegoś niezwykle poważną minę... — zagajam. >

— Uznałem, że powinienem przyjechać i osobiście przekazać ci wieści — odzywa się głucho.

— Elżbietka? Coś złego spotkało moją córkę?

— Twoja córka nie doznała najmniejszego szwanku — zapewnia mnie pośpiesznie. — Chodzi o syna Ryszarda. Niech Pan Bóg ma go w swojej opiece, niech mu błogosławi i przyjmie go w swoim królestwie.

W skroniach rozlega się ostrzegawcze tętnienie.

— Edward Middleham nie żyje? — pytam.

— Od małości był słabego zdrowia — odpowiada Nesfield łamiącym się głosem. — Nigdy nie wyrósł na silnego chłopca. Ale podczas nadania tytułu książęcego wyglądał całkiem dobrze i już zaczynaliśmy mieć nadzieję, żeśmy doczekali następcy tronu...

— urywa nagle, najpewniej przypomniawszy sobie, że ja również miałam syna zwanego księciem Walii, który miał objąć tron po ojcu.

— Przykro mi — dodaje — nie było moją intencją... — Chrząka.

— Miłościwy pan ogłosił żałobę. Pomyślałem, że powinnaś o tym wiedzieć.

Kiwam głową z powagą, lecz w duchu nie przestaję roztrząsać wszystkich możliwości. Czy ta śmierć to sprawka Meluzyny? Czy nasza klątwa zaczęła zbierać żniwo? Czy ta wiadomość jest dowodem na to, co kiedyś powiedziałam — gdy umrze syn i dziedzic mordercy, dowiem się, kto stał za śmiercią młodego Edwarda? Czy to znak od boginki i przodkini rodu Riversów, że Ryszard York jest winny zabójstwa mego syna i dziedzica?

— Bezwłocznie pošlę swoje kondolencje królowi Ryszardowi i królowej Annie — mówię na głos i odwracam się w stronę domu.

— Nie ma następcy tronu... — powtarza zmartwiały John Nesfield, jakby nadal nie wierzył w wiadomość, którą mi przywiózł.

— Wszystko na darmo... wszystko co zrobił, wszystko cośmy zrobili... obrona królestwa, przyjęcie korony, walka, układy... wszystko nadaremno, skoro nie zostawi po sobie potomka i dziedzica.

— Tak — potwierdzam, a słowo to ciąży mi w ustach jak kamień. — Wszystko nadaremno. A teraz stracił jedyne go syna i jego ród wymrze.

Dowiaduję się od Elżbietki, że cały dwór popada w żałobę niczym w otwarty grób, całkiem jakby nikt nie umiał żyć choćby chwili dłużej bez młodego księcia. Ryszard zabrania śmiechu i muzyki i wszyscy muszą chodzić wokół niego na paluszkach ze spojrzeniem utkwionym w ziemi. Nie może być mowy o grach i rozrywkach, mimo iż z każdym dniem aura robi się cieplejsza, a dwór znajduje się w samym sercu zieleniącej się Anglii. Choć otaczają ich zachęcające wzgórza i dolinki wypełnione łowną zwierzyną, nikt nawet nie myśli o urządzeniu polowania. Ryszard III jest niepokieszony. Tuzin lat małżeństwa z Anną Neville przyniósł mu tylko jednego potomka, który właśnie oddał ducha Bogu. Wydaje się niemożliwe, aby teraz nagle mieli począć kolejne dziecko, a nawet gdyby tak się stało, niemowlę w kołysce to jeszcze nie księżę Walii, nie w tym dzikim królestwie, w które zamieniliśmy Anglię my, Yorkowie. Ryszard jak nikt inny wie, że księżę musi być wystarczająco duży i silny, by — gdy przyjdzie jego czas — walczyć o swoje prawa, walczyć o swoje życie, jeżeli ma zostać królem.

Król wyznacza na następcę tronu syna po swym zmarłym bracie Jerzym księciu Clarence —jedyne go chłopca noszącego miano York po imieniu, przynajmniej jedyne go, o jakim wie świat. Wszelako już po paru miesiącach dochodzą mnie słuchy, że go wydziedziczył. Nie czuję zdziwienia. Wydobywszy się z żałoby, Ryszard z pewnością zrozumiał, że Edward Plantagenet, tytułowany znów tylko hrabią Warwick, jest zbyt słaby na ciele i umyśle, aby utrzymać tron, o czym wszyscyśmy od dawna wiedzieli. Księża Clarence charakteryzowała dość fatalna mieszanina cech takich, jak niesłychana próżność, wygórowana ambicja i czyste szaleństwo — toteż jego syn bez dwóch zdań nie nadaje się na króla. Jako dziecko Edward Plantagenet był słodkim, wечно uśmiechniętym, aczkolwiek niezbyt rozgarniętym pucołowatym cherubinkiem. Ktoś, kto chce nosić koronę Anglii, musi zaś być szybki niczym wąż i przebiegły niczym lis. Musi być księciem urodzonym i wychowanym na królewskim dworze, od małości przygotowywanym do roli monarchy. Musi być człowiekiem nawykłym do niebezpieczeństwa, zaprawionym w pojedynkach i walecznym. Dlatego nieszczęsny przygłupi syn Jerzego nigdy by sobie nie poradził. Lecz powstaje pytanie: jeżeli nie on, to kto?

Gdyż król musi wyznaczyć swego następcę, a ta dynastia jest pozbawiona potomków płci męskiej — o tyle, o ile wiadomo Ryszardowi. Tylko ja mam pewność, że na podobieństwo postaci z bajki w kryjówce w Tournai pozostaje prawdziwy książę, żyjący u ubogich ludzi, uczący się z ksiąg i nut, poznający zagraniczne języki, dyskretnie chroniony przez panującą na dworze Burgundii ciotkę. Gałązka dynastii Yorków, zapuszczająca korzenie w obcej ziemi i nie rzucająca się w oczy. Mój syn Ryszard Shrewsbury ostał się jedynym żyjącym następcą tronu i gdyby tylko jego wuj o tym wiedział, być może wyznaczyłby go na swojego dziedzica i spadkobiercę.

Dlatego piszę list do Elżbietki.

...Odkąd doszły mnie wieści z dworu królewskiego, jedno nie daje mi spokoju. Jak sądzisz, czy śmierć syna Ryszarda to znak od Meluzyny, że to uzurpator jest winien morderstwa chłopców z Tower? Widujesz go codziennie, więc umiesz ocenić, czy zdaniem króla to nasza klątwa go dosięgnęła. Czy Ryszard III wygląda na człowieka, który sprowadził nieszczęście na własną rodzinę? Czy może raczej uważasz, że śmierć Edwarda Middleham to czysty przypadek i kto inny pozbawił życia naszego Edwarda, i zemsta wciąż jeszcze się nie dokonała i nie dokona, póki nie szczną jego syn i wnuk?...

STYCZEŃ 1485 ROKU



Jest mroźne styczniowe popołudnie dwie niedziele po Epifanii. Niecierpliwie wyczekuję powrotu córek z królewskiego dworu. Spodziewałam się ich w południe, toteż w miarę upływu czasu drepczę na progu coraz bardziej nerwowo, chuchając na obleczone w rękawiczki palce u rąk, chcąc zapewnić sobie ciepło także po zachodzie słońca, którego czerwieniejący niczym róża Lancasterów koniuszek znika właśnie za położonymi na zachodzie wzgórzami. Wtem słyszę tętent od strony traktu i kiedy podnoszę wzrok, przekonuję się, że nareszcie się doczekałam — nadciąga uzbrojona kawalkada, iście królewska, a pośrodku niej podskakują trzy znane mi sylwetki odziane w bogate podróżne suknie. Po paru chwilach wierzchowce zatrzymują się na wprost mnie, dziewczęta zsuwają się niezgrabnie z siodeł i już mogę ucałować zaróżowione zmarznięte policzki i trzymać zgrabiałe dłonie, wykrzykując, jak bardzo wyrosły i jak wypiękniały.

Wsypują się do wielkiej sali i rzucają na podaną wieczerzę, jakby głodowały od kilku dni, ja zaś z przyjemnością im się przyglądam, gdy jedzą. Dochodzę do wniosku, że Elżbietka nigdy nie wydawała mi się śliczniejsza. Rozkwitła w oczach, opuściwszy sanktuarium i wyzbywszy się ciągłego strachu, co naturalnie było do przewidzenia. Ma zdrowe lica, oczy jej błyszczą, a szaty!... Z niedowierzaniem obrzucam ją jeszcze jednym spojrzeniem od stóp do głów. Te hafty, te materie, te zdobienia szlachetnymi kamieniami... Podobne suknie nosiłam, kiedy byłam królową.

— Dobry Boże, Elżbietko... — mówię do niej. — Skąd masz takie wspaniałe stroje? Wyglądasz jak królowa Anglii.

Zerka na mnie i uśmiech zamiera jej na wargach. Równocześnie Cecylia parska głośno, na co Elżbietka napada na nią:

— Milcz, jakeśmy się umówiły!

— Elżbietko! — upominam najstarszą córkę.

— Pani matko, nie zdajesz sobie sprawy, jak ona potrafi zaleźć za skórę. Nie nadaje się na damę dworu królowej. To bezwstydną plotkara!

— No, dziewczęta... Zdecydowałam się posłać was na dwór królewski, żebyście nabrały ogłady, a nie stały się kłótlive niczym kumoszki.

— Zapytaj ją, pani matko, czy nabrała ogłady — odzywa się donośnym szeptem Cecylia. — Zapytaj ją...

— Zrobię to, kiedy zostaniemy tylko we dwie, a wy dawno będziecie już spały — rzekę stanowczo. — Co nastąpi raczej prędzej niż później, biorąc pod uwagę wasze zachowanie. — Odwracam się od Cecylii i dalsze słowa kieruję do najmłodszej córki. — Anno... — Dziewczynka podnosi na mnie spojrzenie. — Uczysz się pilnie z ksiąg i nut?

— Tak, pani matko — odpowiada grzecznie. — Ale w trakcie obchodów świąt Bożego Narodzenia dano nam wolne i wraz z siostrami udałam się do Westminsteru.

— A my tutaj mieliśmy pieczone prosię — informuje gości Brygidka. — Katarzynka zjadła tyle marcepanu, że aż się pochorowała.

Elżbietka śmieje się i napięcie znika jej z twarzy.

— Tęskniłam za wami dwiema, potworki — mówi z uczuciem.

— Po wieczerzy zagram wam coś i jeśli chcecie, będziecie mogły potaćzyć.

— A może zagramy w karty? — podsuwa Cecylia. — Na królewskim dworze gra w karty znów jest dozwolona.

— Czy to znaczy, że król przemógł żałobę? — pytam. — I królowa Anna także?

Cecylia rzuca tryumfujące spojrzenie starszej siostrze, która spieka raka.

— O, tak — odpowiada mi niesforna Cecylia głosem wibrującym od powstrzymywanego śmiechu. — Najjaśniejszy pan zdaje się całkiem wyleczony z żałoby. To doprawdy zdumiewające. Zgodzisz się ze mną, Elżbietko?

Moja wyrozumiałość, której nigdy nie mam za wiele, gdy przychodzi do niewieścich złośliwostek, nawet prawionych sobie w żartach przez rodzone córki, kończy się raptownie.

— Dość tego — mówię ostro. — Elżbietko, przejdź do mojej komnaty. A wy — wiodę groźnym spojrzeniem po spuszczonych głowach pozostałych czterech córek — możecie dokończyć wieczrę i udać się na spoczynek. Cecylia zaś zastanowi się nad mądrością przysłowia o tym, że mowa jest srebrem, a milczenie złotem.

Powstaję ze swego miejsca i energicznie wychodzę z wielkiej sali. Nie oglądając się za siebie, czuję, że Elżbietka niechętnie idzie w moje ślady. Kiedy zamykamy się w mojej komnacie prywatnej, pytam ją bez ogródek:

— Córko, powiedz mi, w czym rzecz.

Przez uderzenie serca zdaje mi się, że okaże krnąbrność, lecz oto nagle zaczyna drżeć niczym osaczona łania i rzecze cicho:

— Tak bardzo potrzebowałam twojej rady, pani matko... Nie mogłam jednak prosić o nią w liście. Musiałam poczekać do naszego spotkania. Zamierzałam o wszystkim ci powiedzieć po wieczery. Nawet przez chwilę nie myślałam o tym, by cię zwodzić...

Siadam na krześle i gestem wskazuję, by zajęła miejsce obok mnie. Elżbietka z gracją przysiada na niższym zydłu i kontynuuje zwierzenia:

— Mój wuj Ryszard... — szepcze. — On... Och, pani matko. On jest dla mnie wszystkim.

Na te słowa zamieram w bezruchu. Tylko moje dłonie drgają lekko i muszę je zacisnąć, wbijając sobie paznokcie w ciało, aby się nie odezwać. Pozwalam Elżbietce mówić dalej.

— Okazał mi wiele dobroci, kiedyśmy pojawiły się na dworze, a potem wręcz wychodził z siebie, bym poczuła się wygodnie w roli dworki królowej Anny. Najjaśniejsza pani jest niezwykle miła i wielką przyjemnością jest jej służyć, mimo to król często mnie wzywał i pytał, jak sobie radzę... — urywa na chwilę. — Chciał też wiedzieć,

czy tęsknię za tobą, i dawał do zrozumienia, że jesteś mile widziana na jego dworze, że zawsze znajdzie się tam dla ciebie miejsce i możesz być pewna godnego przyjęcia. Mówił też o moim ojcu... Twierdził, że papa byłby ze mnie bardzo dumny, gdyby mógł mnie teraz zobaczyć. Usłyszałam od niego nawet, że poniekąd przypominam mu papę. Och, pani matko... To taki cudowny mężczyzna. Wprost nie mogę uwierzyć, że on... że on...

— Ze on...? — powtarzam jak echo.

— Że on o mnie dba.

— Naprawdę? — Robi mi się zimno, po krzyżu przebiegają ciarki, zupełnie jakby lodowaty strumień wody spłynął mi wzdłuż stosu pacierzowego. — Naprawdę o ciebie dba?

Potakuje z entuzjazmem.

— Królowej nigdy nie darzył prawdziwą miłością — mówi szybko. — Czuł się w obowiązku poślubić Annę Neville, by ocalić ją przed swoim bratem Jerzym. — Zerka na mnie. — Z pewnością pamiętasz tę historię... Groziło jej, że wpadnie w jego pułapkę i skończy w klasztorze. Książę Clarence zamierzał okraść ją z dziedzictwa po ojcu.

Kiwam głową. Nie całkiem tak było, ale rozumiem, że wersja Ryszarda bardziej się nadaje do robienia wrażenia na niedoświadczonej młódce.

— Król wiedział, że jeśli Jerzy „zaopiekuje się” Anną, ograbi ją z majątku. A ona bardzo chciała wyjść za mąż. Dlatego uznał, że najlepsze co może zrobić, to ją poślubić. I jak pomyślał, tak uczynił. Dla jej bezpieczeństwa. Po to, by mogła zatrzymać swoje ziemie i nie musiała się już o nic martwić.

— Ach tak.

Przypominam sobie raczej, że Jerzy miał już jedną dziedziczkę Neville'ow, a Ryszard sprzątnął mu sprzed nosa drugą, po czym warczeli na siebie jak dwa wściekłe kundły, użerając się o majątek po Warwicku. Lecz oczywiście król chciał się przedstawić w lepszym świetle i opowiedział mojej córce chwytającą za serce historię o rycerzu i damie w opresji.

— Królowa Anna jest chora — dodaje Elżbietka, spuszcza głowę i zniżając głos do szeptu. — Nie da mu więcej potomków,

król nie ma co do tego wątpliwości. Pytał swoich medyków, a ci zapewnili go, że królewska małżonka nie jest już zdolna do poczęcia dziecka. Ryszard zaś musi zostawić po sobie dziedzica. Pytał mnie nawet, czy moim zdaniem to możliwe, że jeden z naszych chłopców umknął przeznaczeniu...

Uwaga mi się wyostrza; niemal czuję, jak umysł krzesa iskry niczym ostrze na osełce.

— Co odpowiedziałas?

Elżbietka spogląda na mnie z rozbrajającym uśmiechem.

— Powierzyłabym mu swój największy sekret, zawierzyłabym mu prawdę, lecz domyślałam się, iż wołałabyś, abym skłamała — rzecz słodkim głosem. — Powiedziałam mu więc, że wiemy jedynie to, co usłyszałyśmy od niego. A on na to powtórzył z bólem serca, że nie ma pojęcia, co się stało z książętami z Tower. I zaraz dodał, że gdyby się znaleźli, gdyby doszły go słuchy o miejscu ich pobytu, uczyniłby ich swymi dziedzicami. Pomyśl tylko, pani matko. Król Ryszard oświadczył mi, że gdyby mógł, ruszyłby im na ratunek i wyznaczył na swych następców.

Doprawdy? myślę. Któż może mi zagwarantować, że zamiast tego nie wysłałby rzeźmieszka, by poderznął im gardła?

— Dobrze to słyszeć — mówię głośno. — Mimo to nie wolno ci się zdradzić z wieściami o naszym Ryszardzie. Nie potrafię jeszcze zaufać królowi, nawet jeśli ty już mu ufasz.

— Ufam! — wykrzykuje z egzaltacją. — Ufam mu. Zawierzyłabym mu własne życie. Nigdy... nigdy nie znałam mężczyzny takiego jak on...

Powstrzymuję się przed zgryźliwą uwagą, że w gruncie rzeczy nie znała przed nim żadnych mężczyzn. Większość swego życia spędziła jak porcelanowa księżniczka trzymana w szkatule ze złota. Pełnoletność osiągnęła jako więzień w sanktuarium, widując tylko matkę i siostry. Jedyni mężczyźni, z którymi miała wtedy do czynienia, byli albo sługami, albo duchownymi. Nic nie przygotowało jej na to, by umiała sobie poradzić z awansami przystojnego, niestarego mężczyzny oddziałującego na jej emocje, uwodzającego ją skrycie, nakłaniającego do pokochania go młodzieńczą miłością.

— Jak daleko to się posunęło? — pytam otwarcie. — Jak daleko posunęło się to, co was łączy?

Odwraca głowę.

— To skomplikowane... — zaczyna ostrożnie. — Bardzo mi żal królowej Anny.

Potakuję. W głębi duszy jednak wiem, że ów żal dla rywalki nie powstrzyma Elżbietki przed odebraniem tamtej męża. W końcu jest moją córką. A ja nie zawahałam się przed niczym, by zaspokoić swoje miłosne pragnienia.

— Jak daleko się to posunęło? — pytam po raz wtóry. — Sądząc z tego, co sugerowała Cecylia, krążą o was plotki.

Elżbietka pąsowieje.

— Cecylia nie ma o niczym pojęcia. Widzi tyle, ile widzą inni, i puchnie z zazdrości, że znalazłam się w centrum uwagi. Widzi, że królowa mnie faworyzuje i pożycza mi swoje suknie i klejnoty. Że traktuje mnie jak córkę i namawia, bym zamiast niej tańczyła z królem, jemu zaś przykazuje zabierać mnie na spacer i na przejażdżki, kiedy sama czuje się zbyt słaba, by opuścić komnatę sypialną. Naprawdę, pani matko. To królowa zachęca nas, byśmy spędzali ze sobą więcej czasu. Królowa Anna powiada, że nikt nie potrafi odwrócić jego uwagi od ponurych myśli i rozweselić go tak jak ja. Dworzanie szepczą po kątach, że najjaśniejsza pani okazuje mi zbytek łaski. Że najjaśniejszy pan jest dla mnie za dobry. Że choć jestem tylko dworką, traktują mnie, jakbym była...

— Kim?

Zwiesza niżej głowę i szepcze:

— Pierwszą damą w królestwie.

— Z powodu sukien? Z powodu uwagi?

Potakuje skinieniem.

— Ta suknia należy do niej — mówi wstydliwie. — Mam też inne, uszyte na wzór jej sukien. Życzeniem królowej Anny jest, byśmy ubierały się podobnie.

— Królowa Anna nalega, byś ubierała się jak ona? — Elżbietka przytakuje. Chyba nie zdaje sobie sprawy, że jej relacja wzbudza we mnie rosnący niepokój. — Wydaje rozkazy, by szyto ci stroje z wybranych przez nią tkanin i według ustalonych przez nią krojów?

Moja córka bezradnie wzrusza ramionami i bąka:

— Oczywiście ona wygląda w nich znacznie gorzej niż ja...

Nie musi mówić nic więcej. Bez trudu wyobrażam sobie Annę Neville przytłoczoną żałobą, chorą, znużoną życiem obok mojej rozkwitającej córki.

— A kiedy wchodzicie do wielkiej sali, idziesz tuż za nią? Masz pierwszeństwo we wszystkim przed innymi dworkami?

— Więcej nawet. Gdy królowa nie wieczerza w wielkiej sali, co zdarza się ostatnio coraz częściej, ja zajmuję miejsce obok króla. Nikt już nie wspomina o uchwale, która uczyniła z nas, dzieci twoich i papy, bastardów. Wszyscy traktują mnie jak księżniczkę.

— Zatem królowa Anna każe ci dotrzymywać mu towarzystwa, pozwala zajmować własne miejsce i nie ma nic przeciwko temu, by widział to cały dwór? Ona, a nie Ryszard? Co się dzieje, kiedy jesteście tylko we dwoje?

— Mówi mi, że mnie kocha — odpowiada ledwie słyszalnie. Stara się zachować skromność, lecz z jej oczu bije duma i radość. — Ze jestem pierwszą miłością jego życia. I ostatnią.

Wstaję z krzesła i podszedłszy do okna, odsuwam grubą kotarę, by móc popatrzeć na upstrzone punkcikami gwiazd niebo nad równiną Wiltshire. Zdaje mi się, że przejrzałam, do czego naprawdę dąży Ryszard. Ani przez chwilę nie wierzę, iż zakochał się w mojej córce, a jego żona każe szyc dla niej suknie z miłości.

Otóż Ryszard rozgrywa okrutną partię z moją córką w roli pionka. Zamierza wyzuć ją z honoru i zrobić głupca z Henryka Tudora, który buńczucznie przysięgał w bretońskiej katedrze uczynić Elżbietkę swoją żoną i zostać królem Anglii. Młody Tudor dowie się — tak szybko, jak szybko szpiegom Małgorzaty Beaufort uda się wsiąść na statek i pożeglować za Kanał — iż jego narzeczona zakochała się w jego wrogu i przez cały dwór uznawana jest za kochankę uzurpatora, ma nawet błogosławieństwo umierającej królowej. Ryszard jest zdolny to zrobić, byle zniszczyć pretendenta do swojego tronu, i to nawet kosztem pohańbienia własnej bratanicy. To normalne, że Anna macza w tym palce, miast sprzeciwić się mężowi. Obie Neville'owny od pierwszych chwil małżeństwa lizały buty swoim panom i władcom. Anna uległa Ryszardowi we wszystkim

od samego początku. Zresztą nie ma wystarczająco silnej pozycji, aby mu się przeciwstawić. Ryszard to król. Ich jedyny syn nie żyje, a ona jest już jałowa. Z pewnością modli się tylko o to, aby jej nie odprawił. Choć zwa ją królową, nie ma żadnej władzy — nie dała królowi silnego potomka i dziedzica, królewska kołyska od lat stoi pusta, medycy twierdzą, iż nigdy już nie pocznie dziecka. Zabrakło jej atutów, o ile kiedykolwiek jakieś miała. Obecnie nie ma nic — ani nadziei na dziecko, ani własnego majątku. Właściwie jest już jedną nogą w grobie lub w klasztorze. Musi robić dobrą minę do złej gry i być posłuszna swemu mężowi, sprzeciw tylko by pogorszył jej położenie. Przypuszczam, iż nawet współdziałł w zniszczeniu reputacji mojej córki przyniesie jej co najwyżej honorowe unieważnienie małżeństwa.

— Poprosił cię, żebyś zerwała zaręczyny z Henrykiem Tudorem? — pytam.

— Nie! Jedno z drugim nie ma nic wspólnego!

— Aha — kiwam głową. — Ale zdajesz sobie sprawę, jakie upokorzenie czeka twojego narzeczonego, gdy sprawa się wyda?

— I tak nie zamierzam za niego wyjść! — krzyczy. — Nienawidzę go. Wierzę, że to on nasłał ludzi, by zamordowali naszych chłopców. Miał zdobyć Londyn i włożyć koronę. Wiedzieliśmy o tym. Dlatego przywołałyśmy deszcze... Ale teraz... teraz...

— Teraz co?

— Ryszard obiecał, że odprawi Annę i ożeni się ze mną — wyrzuca z siebie na jednym wydechu. Twarz promienieje jej szczęściem. — Obiecał, że uczyni mnie swoją królową i mój syn zasiądzie na tronie papy. Utrwalimy dynastię Yorków, a biała róża na wieki stanie się symbolem Anglii. — Waha się przez chwilę. — Wiem, że mu nie ufasz, pani matko. Lecz to właśnie jest mężczyzna, którego kocham. Nie mogłabyś mu zaufać i pokochać go przez wzgląd na mnie?

Coś mi podpowiada, że to najstarsze i najtrudniejsze z pytań, jakie padają pomiędzy matką i córką. „Nie mogłabyś pokochać go przez wzgląd na mnie?”.

Nie. Ponieważ to właśnie jest mężczyzna, który przez całe życie zazdrościł memu mężowi Edwardowi, który kazał ściąć mego brata

Antoniego i mego syna Ryszarda Greya, który zajął tron należący się z prawa memu synowi Edwardowi i który naraził na śmiertelne niebezpieczeństwo moich dwóch książąt. Nie wolno mi zdradzić się z prawdą przed tym najbardziej prawdomównym z moich dzieci. Nie wolno mi się otworzyć przed najbardziej otwartą ze wszystkich moich córek. Albowiem zakochała się w moim wrogu i oczekuje szczęśliwego zakończenia.

Rozpościeram ramiona.

— Zawsze najbardziej mi zależało na twoim szczęściu — kłamię więc. — Skoro cię kocha i obiecuje ci wierność, a ty kochasz jego, niczego więcej nie mogłabym dla ciebie pragnąć.

Wpada mi w objęcia i składa głowę na moim ramieniu. Lecz nie daje się całkiem zwieść, moja krew. Podnosi na mnie spojrzenie i z uśmiechem mówi:

— Będę królową Anglii. Przynajmniej to powinno cię zadowolnić.

Córki pozostają ze mną prawie miesiąc i pędzimy razem życie zwykłych ludzi, czego niegdyś pragnęła Elżbietka. W drugim tygodniu ich pobytu sypie śnieg, a gdy któregoś ranka znów się przejaśnia, odszukujemy w stajniach sanie Nesfielda, zaprzęgamy cztery konie pociągowe i udajemy się z wizytą do sąsiadów. Przed nocą okazuje się, iż nie możemy wrócić do domu, ponieważ rozpuściły się roztopy. Nazajutrz brniemy po kostki w wodnistej brei, gdyż gospodarze nie byli w stanie pożyczyć nam koni pod wierzch, i na zmianę dosiadamy na oklep jedyne go z naszych czterech koników przyzwyczajonego do jazdy pod siodłem. Choć powrót do domu zabiera nam prawie cały dzień, pozostajemy w dobrym nastroju i nawet mamy siłę śpiewać.

Pod koniec drugiego tygodnia przybywa posłaniec z dworu, przynosząc dwa listy: jeden dla mnie, drugi dla Elżbietki. Wołam córkę do swojej komnaty, odciągając ją od reszty dziewcząt, które wzięły we władanie kuchnię, gdzie przygotowują marcepanowe smakołyki na wieczerzę. Zasiadamy na przeciwległych krańcach długiego stołu i zrywamy pieczęcie.

Do mnie napisał sam król.

...Spodziewam się, że Elżbietka rozmawiała już z Tobą o wielkiej miłości, którą ją darzę, i chciałbym wyjawić Ci swoje plany. Moja żona niebawem ogłosi, że nie jest zdolna począć następcę tronu, i wycofa się do klasztoru w Bermondsey, zwalniając mnie z przysięgi małżeńskiej. Zwrócę się do Watykanu po stosowną dyspensę i poślubię Twą córkę Elżbietkę, czyniąc ją swoją królową. Tobie przyznam tytuł królowej matki i zwrócę Ci pałac w Sheen i Greenwich, wyznaczając pensję w odpowiedniej wysokości. Twoje pozostałe córki zamieszkają z Tobą na dworze, Ty zaś będziesz miała ostatnie słowo w sprawie ich małżeństw. Wszystkie będą traktowane jak księżniczki i siostry królowej Anglii, wywodzące się z dynastii Yorków.

Jeżeli któryś z Twoich dwóch synów przebywał dotąd w ukryciu, możesz już po niego postać bez obaw. Wyznaczę go na następcę tronu do czasu, aż Elżbietka urodzi mi pierwszego męskiego potomka.

Aczkolwiek poślubię Elżbietkę z miłości, z pewnością potrafisz dostrzec, że nasze małżeństwo stanowi rozwiązanie kłopotów nas wszystkich. Tuszę, że otrzymam Twoje błogosławieństwo, lecz wiedz, że wprowadzę swój pian w życie z Twoją zgodą lub bez niej.

Twój kochający krewniak

Ryszard Rex.

Czytam list raz, a potem jeszcze raz, rozciągając wargi w uśmiechu na tracące fałszem sformułowanie: „rozwiązanie kłopotów nas wszystkich”. Ryszard chyba przez to rozumie zakończenie rodzinnej wendety, która spowodowała śmierć hrabiego Rivers i Ryszarda Greya i przymusiła mnie do podżegania do rebelii przeciwko niemu oraz do rzucenia klątwy na niego i na jego prawe ramię. Lecz Ryszard to nieodrodny syn domu Yorków — a ci sięgają po zwycięstwo jak po swoje — a w dodatku to co proponuje w liście, jest korzystne zarówno dla mnie, jak i dla moich dzieci. Skoro mały Ryszard może wreszcie powrócić bezpiecznie do domu i żyć po książęcemu na dworze swej siostry królowej, osiągnęłam wszystko, com sobie ślubowała, i mój brat i synowie nie zginęli na darmo.

Podnoszę wzrok i zerkam na siedzącą przy drugim krańcu stołu Elżbietkę. Moja córka jest cała spłoniona, w oczach migoczącej łzy.

— Prosi cię o rękę? — pytam ją delikatnie.

— Przysięga, że mnie kocha. Zapewnia, że za mną tęskni. Pragnie, abym wróciła na dwór. Pyta, czy nie mogłabyś przyjechać ze mną. Chce, aby wszyscy się dowiedzieli, że zostanę jego żoną. Twierdzi, że królowa Anna zgodziła się usunąć w cień...

Kiwam głową raz po raz.

— Nie chcę się z nią spotkać, toteż nie pojedę z tobą ani nie pokażę się na dworze, póki ona tam jest — odpowiadam. — Ty możesz wrócić, lecz pamiętaj, by postępować dyskretnie. Nawet jeżeli królowa cię poprosi, byś dotrzymała Ryszardowi towarzystwa, nie wolno ci zostawać z nim sam na sam. Ani też zajmować jej miejsca przy wysokim stole... — Widzę, że zamierza protestować, więc unoszę rękę. — Elżbietko, po prostu nie chcę, by okrzyknięto cię jego kochanicą, skoro masz być jego żoną.

— Ale ja go kocham — rzecze bezradnie, jakby tylko to się liczyło.

Spoglądam jej prosto w twarz, czując, że spojrzenie mi twardnieje.

— Wolno ci go kochać — mówię — lecz jeżeli chcesz, by się z tobą ożenił i uczynił cię swoją królową, będziesz musiała bardziej się postarać. Samo kochanie nie wystarczy.

— On też mnie kocha — szepcze, przykładając list do serca.

— Być może, ale nie poślubi cię, jeśli dotrą do niego plotki na twój temat. Jeszcze żadna niewiasta nie została królową Anglii tylko dlatego, że była godna miłości. Musisz to dobrze rozegrać.

Elżbietka nabiera powietrza do płuc, jakby szykowała się do walki. Choć młoda i niedoświadczona, nie jest głupia. W jej żyłach płynie krew moja i Yorków.

— Powiedz, co powinnam zrobić — prosi.

LUTY 1485 ROKU



Żegnam się z córkami w ponury lutowy dzień na progu domostwa w Heytesbury, przyglądając się, jak ich orszak wjeżdża stępa w spowijającą wszystko mgłę. Po chwili nikną w mlecznym oparze postaci moich trzech najstarszych córek, przepadają jak kamień w wodę, jakby połąknęła je chmura. Wkrótce cichnie i milknie zupełnie tętent końskich kopyt.

W domu robi się nadspodziewanie cicho. Czując już ogarniającą mnie tęsknotę za Elżbietką, Cecylią i Anną, zwracam myśli ku swoim chłopcom — ku zmarłemu w niemowlęctwie Jerzemu, ku zagubionemu Edwardowi, ku nieobecnemu Ryszardowi. O księciu Edwardzie nie miałam żadnych konkretnych wiadomości, odkąd trafił do Tower, o jego młodszym bracie zaś — od tamtego pierwszego listu, w którym pisał, że całkiem mu się podoba u nowej rodziny i że pamięta, by odpowiadać na wołanie Piotr.

Wbrew wrodzonej ostrożności, wbrew własnym obawom dopuszczam do siebie nadzieję. Zaczynam myśleć, że kiedy król Ryszard poślubi Elżbietkę i uczyni ją swoją żoną i królową, będę mogła wrócić na dwór i zająć należne mi miejsce królowej matki. Dopiero gdy się upewnię, iż mogę ufać swemu zięciowi, pošlę po syna do Flandrii.

Jeżeli król Ryszard dotrzyma słowa i wyznaczy go na następcę tronu, odzyskamy to, co zostało nam zabrane — mój syn będzie księciem, a córka królową. Wyjdzie nie całkiem, jakeśmy sobie z moim drugim mężem zamierzeli, kiedyśmy mieli pod swymi skrzy-

dłami młodego księcia Walii i księcia Yorku, pewni jak para głupców, że będziemy żyć wiecznie. Lecz wyjdzie tylko nieznacznie gorzej. Jeżeli moja córka poślubi ukochanego mężczyznę i stanie się królową Anglii, a mój syn będzie następcą tronu i w swoim czasie włoży koronę swego ojca i wuja, nie będzie wcale tak źle.

Kiedy już się znajdę na dworze królewskim i odzyskam pozycję i władzę, wyślę zaufanych ludzi, by odkryli miejsce pochówku mego syna Edwarda — bez względu na to, czy pochowano go u podnóża schodów w Tower (jak twierdził Henryk Tudor) czy w rzece (jak zaraz się poprawił), czy jego małe ciało porzucono w jakimś ciemnym lochu czy ukryto pod ciężkim kamieniem kaplicy. Znajdę zwłoki swojego syna i wytropię morderców. Dowiem się, co naprawdę zaszło — czy został napadnięty i zginął przez przypadek w trakcie szamotaniny, czy został porwany i zmarł z choroby i złej opieki, czy pozbawiono go życia na terenie Tower i tam pogrzebano (jak utrzymuje Henryk Tudor, powołując się na słowa swej matki lady Małgorzaty). Poznam jego ostatnie chwile, złożę go do grobu z honorami i zamówię mszę za jego duszę odprowadzaną od dziś do końca świata.

MARZEC 1485 ROKU



Elżbietka przesyła mi krótką wiadomość na temat pogarszającego się stanu zdrowia królowej Anny. Nie pisze nic więcej — w istocie nie musi pisać nic więcej — obie jesteśmy świadome, że jeżeli królowa umrze, nie będzie potrzeby unieważniania małżeństwa ani odsyłania jej do klasztoru; zostanie odsunięta w najprostszy i najwygodniejszy sposób. Królową dotknęła choroba ze smutku — płacze bez przerwy i bez powodu, a Ryszard do niej nawet nie zagląda. Moja córka odnotowuje to niczym wierna dworka, lecz nie wspomina, czy wymyka się z komnaty cierpiącej, by przechadzać się z królem po ogrodach i wyprawiać na konne przejażdżki; czy jaskry kwitnące przy żywopłotach i stokrotki rozsypane po trawnikach przypominają im, że pory roku następują po sobie, a życie jest ulotne i radosne, tak jak ich wspomnienie wywołuje w królowej myśl, że życie jest ulotne i przepełnione smutkiem.

Któregoś ranka w środku marca budzę się i widzę, że niebo jest nienaturalnie ciemne, a słońce przesłania czarny krąg. Kury nie opuszczają kurnika, kaczki wkładają głowy pod skrzydła i drzemią na brzegu strumienia. Zabieram swoje dwie najmłodsze córki na zewnątrz, gdzie przechadzamy się niespokojnie, obserwując konie na łące, to kładące się na ziemi, to znów wstające na nogi, jak gdyby nie wiedziały, czy jest dzień czy noc.

— Czy to znak od Pana Boga? — pyta Brygidka, która jako jedyna z moich dzieci we wszystkim dopatruje się woli Najwyższego.

— To znak od niebios — mówię. — Widywałam wcześniej coś podobnego, tyle że nocą, gdy za obręczą ciemności zniknął księżyc. Nie bójcie się, to minie.

— Czy to znak dla dynastii Yorków? — chce wiedzieć Katarzynka. — Jak ten pod Mortimer's Cross, kiedy ukazały się trzy słońca?

— Nie wiem — odpowiadam szczerze. — Ale nie sądzę, by którakolwiek z nas znalazła się w niebezpieczeństwie. Chybabyście poczuły o tutaj, w sercu, gdyby coś zagrażało waszym siostrom?

Brygidka na chwilę się zamyśla, po czym potrząsa zdecydowanie główką i oświadcza:

— Wiedziałabym o tym wyłącznie wtedy, gdyby Pan Bóg do mnie przemówił. Gdyby odezwał się głośno i ksiądz potwierdził, że to był on.

Mała nudziara.

— Zatem skoro nic nie czujesz, z pewnością jesteśmy bezpieczne — stwierdzam. Mnie także nie nachodzą żadne złe przecucia, mimo iż przyćmione słońce sprawia, że świat wokół zdaje się niesamowity i wrogi.

Dopiero po trzech dniach do Heytesbury przybywa John Nesfield z dzierżącym czarny sztandar chorążym na przedzie orszaku, przywożąc wieści o zgonie królowej Anny, która odeszła z tego padołu po długiej chorobie. Po drodze do mnie zdążył poinformować pół hrabstwa, a to samo czynią inni wysłańcy króla jak Anglia długa i szeroka, podkreślając, że choroba była długa i ciężka, znośząca ją w pokorze królowa zasłużyła sobie na miejsce w niebie, a król Ryszard nie posiada się z rozpaczony po utracie ukochanej żony.

— Niektórzy powiadają, że została otruta... — Kucharka swoim zwyczajem strzępi sobie język. — Przynajmniej takie słuchy krążą na targu w Salisbury...

— To śmieszne! — wykrzykuję. — Któż by chciał otruć królową Annę?

— Ano powiadają, że sam miłościwy pan — odpowiada kucharka, przekrzywiając głowę i robiąc mądrą minę, jakby pozjadała wszystkie rozумы i wyznawała się na sprawach wielkiego świata.

— Król? Król by miał zamordować swoją wieloletnią małżonkę, ot tak? Kto śmie tak twierdzić?

Kucharka kręci głową.

— W Salisbury mało kto ma dobre słowo dla miłościwego pana — zauważa. — Z początku wszyscy go lubili, bo myśleli, że zaprowadzi ład i porządek i ulży niedoli zwykłego człowieka, ale odkąd zaczął rządzić razem z paniskami z północy, to... Przypisują mu najstraszniejsze uczynki.

— Jak ktoś znowu będzie ci opowiadał takie rzeczy, powiedz mu, że królowa zawsze była słabego zdrowia i że nie doszła do siebie po stracie syna — przykazuję stanowczo.

Kucharka szczerzy do mnie nierówne zęby.

— A o tym, kto może zostać następną królową, mam nic nie mówić, tak?

Zatyka mnie. Nie miałam pojęcia, że plotki z dworu dotarły aż tutaj.

— O tym ani słowa — rzekę głucho.

Wyczekiwałam tego listu, odkąd sir John przywiózł wiadomość o śmierci królowej i odkąd się dowiedziałam, że nawet ptaszki w Anglii ćwierkają o tym, że moja córka ma zostać żoną Ryszarda I jego królową. Tak jak poprzednio list jest cały zroszony łzami lady Małgorzaty Beaufort.

Do Lady Elżbiety Grey

Milady!

Doniesiono mi, iż Twoja córka Elżbieta, ogłoszona przez Parlament bastardenem króla Edwarda IV, zgrzeszyła przeciwko Panu Bogu, łamiąc dane przyrzeczenie, i zhańbiła się, ulegając własnemu wujowi, uzurpatorowi Ryszardowi, i dopuszczając się uczynków tak niewłaściwych i sprzecznych z naturą, że same anioły odwróciły od niej swój opiekuńczy wzrok. Mając powyższe na uwadze, doradziłam swemu synowi Henrykowi Tudorowi, jedynemu prawowitemu królowi Anglii, aby nawet nie myślał o wstąpieniu w związek małżeński z niewiastą potępioną przez parów królestwa i własne zachowanie, oraz już poczyni-

łam kroki mające na celu doprowadzenie do jego ożenku z niewinnym dziewczęciem wysokiego stanu zasługującym na miano dobrej chrześcijanki.

Żal mi Cię, iż pośród swego wdowieństwa i upokorzenia musisz schylać głowę ze wstydu raz jeszcze, cierpiąc kolejny smutek, hańbę rodzonej córki, toteż masz moje słowo, iż nie zapomnę o Tobie w swoich modlitwach, kiedy będę się wstawiała u Najwyższego za prostymi i próżnymi duszyczkami tego świata.

Pozostaję Twoją przyjaciółką w Jezusie Chrystusie, do którego zanoszę modły, byś chociaż na starość dostąpiła prawdziwej mądrości i niewieściej godności.

Lady Małgorzata Stanley.

Wybucham śmiechem na pompatyczność tej niewiasty, lecz kiedy śmiech przemija, ogarnia mnie chłód, cień dreszczu, przecucie przecucia. Lady Małgorzata przez całe życie czekała chwili, by wydrzeć tron, na którym zasiadałam ze swym królewskim małżonkiem. Mam wszelkie podstawy sądzić, że jej syn Henryk Tudor nie spocznie, dopóki nie spełni jej marzenia — będzie nazywał się królem Anglii, będzie zwoływał do swego boku wyrzutków i peniaczy, wszystkich tych, którzy z jakichś powodów nie mogą lub nie chcą żyć w kraju. Będzie stanowił nieustanne zagrożenie dla dynastii Yorków do dnia, w którym wyzienie ducha, toteż może lepiej by się stało, gdyby go przymuszono, aby stanął w polu wcześniej i wcześniej stracił życie.

Ryszard III, zwłaszcza mając po swojej stronie moją córkę i pozostałych Riversów, zdoła stawić czoło wszelkim zarzutom oraz odniesie zwycięstwo nad Henrykiem bez względu na to, jakie ów zbierze siły. Dlaczego więc delikatne mrowienie na karku podpowiada mi, że tak się nie stanie? Ponownie biorę list do ręki i niemal czuję żelazną determinację bijącą od tej następczyni rodu Lancasterów. Tę niewiastę przepełnia duma. Przez niemal trzy dekady żywiła się wyłącznie swoją ambicją. Powinnam chyba wykazać się większą przezornością teraz, gdy uznała, że jestem tak bezsilna, iż już nawet nie musi udawać przyjaźni.

Zastanawia mnie, kogo upatrzyła sobie na następną kandydatkę na żonę swego syna. Domyślam się, że mierzy wysoko, być może znów chodzi jej po głowie któraś z córek Czarnego Williama, być może nawet jakaś europejska księżniczka. Tyle tylko że żadna z nich nie zapewni pretendentowi Tudorów miłości Anglików i lojalności yorkistów. Małgorzata Beaufort może sobie syczeć jak rozżłoszczona żmija, lecz to nie ma żadnego znaczenia. Jeżeli Henryk myśli poważnie o władaniu Anglią, musi sprzymierzyć się z Yorkami. Czy tego chcą czy nie, muszą mieć z nami do czynienia — tak albo inaczej.

Chwytam za pióro.

Droga Lady Stanley!

Doprawdy wielce mi przykro, iż dajesz wiarę podłym plotkom i oszczerstwom i na tej podstawie wątpisz w dobre imię, zacność i najlepsze intencje mojej córki księżniczki Elżbiety, której reputacja jest jak zawsze bez skazy. Nie wątpię, iż krótka chwila refleksji spowodowana przez mój list przywróci w Was obojgu przekonanie, iż w całej Anglii nie znajdzie się dziedziczka domu Yorków o znaczniejszej pozycji.

Elżbietka pozostaje w łaskach swego wuja Ryszarda, tak samo jak pozostawała w łaskach świętej pamięci królowej Anny, jej ciotki, co jest zrozumiale samo przez się i tylko najpodlejsze pogłoski dochodzące z rynsztoka mogą sugerować choćby cień zdróżności we wzajemnych stosunkach króla i bratanicy.

Dlatego wnoszę, iż zaręczyny pomiędzy Elżbietą York i Henrykiem Lancasterem są nadal obowiązujące z racji niezliczonych korzyści, jakie sobą przedstawiają, i będę tego zdania do chwili, w której otwarciem poinformujesz mnie o zerwaniu ich przez Waszą stronę, co wydaje mi się tak nieprawdopodobne, że bez obaw zasyłam Ci swoje najlepsze życzenia. Z całego serca dziękuję Ci za pamięć o nas w modlitwach, które z pewnością zostaną wysłuchane przez Najwyższego, jako że suplikantem jest tak korna i szanowana niewiasta.

Elżbieta Regina.

Podpisuję się „Elżbieta Regina”, choć ostatnimi czasy zaniechałam tego zwyczaju. Składając kartkę papieru i lejąc wosk, w którym następnie odciskam swą pieczęć, uśmiecham się na ten przejaw arogancji.

— Elżbieta Regina — szepczę do trzymanego w dłoniach listu.
— Będę tytułowana królową matką, podczas gdy ty nadal będziesz tylko lady Stanley, matką syna poległego na polu bitwy. I co na to powiesz, stary gargulcu?

KWIECIEŃ 1485 ROKU



„Pani Matko, musisz natychmiast przybyć na dwór” — bez żadnych wstępów zaczyna Elżbietka swój list, cały w kleksach, wyraźnie pisany w pośpiechu, złożony we czworo i podwójnie zalakowany.

... Sprawy przybierają zły obrót. Jego wysokość uważa, iż musi udać się do Londynu i twarzą w twarz powiedzieć lordom, że mnie nie poślubi, że nigdy nawet nie zamierzał pojąć mnie za żonę — po to, by zdusić zataczające coraz szersze kregi plotki O tym, iż otruł królową Annę. Niegodziwcy twierdzą, iż tak desperacko pragnął młodej żony, że nie chciał czekać na jej naturalną śmierć ani dyspensę papieską. On zaś postanowił, że położy temu kres, oświadczając, że nie jest ani nigdy nie był dla mnie nikim więcej jak tylko troskliwym wujem.

Mówiłam mu, iż nie ma potrzeby składać takiej deklaracji I moglibyśmy po prostu przeczekać najgorsze, pozwalając plotce przycichnąć, lecz on słucha tylko tego, co doradzają Richard Ratcliffe i William Catesby, oni zaś są zdania, że północ zwróci się przeciwko niemu, jeśli prędko nie oczyści się z zarzutu skrzywdzenia swojej żony i dalej będzie kłosał jej pamięć. Nazwisko Neville'ów wciąż wywołuje silne emocje w Northumberlandii.

Co gorsza, twierdząc, że to dla mojego dobra, pragnie odprawić mnie z dworu, choć nie zamierza wyrazić zgody na to, abym wróciła do Ciebie. Zamiast do Heytesbury chce mnie

wysłać do lady Stanley i jej męża lorda Stanleya — najokropniejszych chyba ludzi w Anglii! Utrzymuje, że sir Thomas jest jedną z nielicznych osób, której może powierzyć moje bezpieczeństwo — cokolwiek przyniesie przyszłość — natomiast moja reputacja nie będzie budziła wątpliwości, skoro przyjmie mnie pod swój dach sama znana z pobożności lady Małgorzata.

Pani Matko, musisz temu zapobiec. Nie mogę u nich zamieszkać; lady Małgorzata będzie mnie zadrezczać, ponieważ jest przekonana, iż złamałam słowo dane jej synowi, i z pewnością nienawidzi mnie w jego imieniu. Musisz napisać do wuja Ryszarda albo jeszcze lepiej, przybyć niezwłocznie na dwór i wytłumaczyć mu, że możemy być ze sobą szczęśliwi, że wszystko może dobrze się ułożyć, że po prostu trzeba pozwolić, by plotki osłabły i ścichły zupełnie, i dopiero potem wrócić do sprawy małżeństwa. Najjaśniejszy pan niema doradców z prawdziwego zdarzenia, nie ma rady królewskiej, która przysłużyłaby mu się swoją mądrością i doświadczeniem; jest skazany na tych dwóch nieudaczników, których za plecami nazywają Szczurem i Kotem, a którzy drżą na myśl, iż mogłabym wykorzystać swoją władzę przeciwko nim za to, co uczynili naszym krewniakom.

Pani Matko, ja go kocham. Jest moją jedyną radością w życiu. Ja zaś jestem jego i sercem, i myślą, i uczynkiem. Powiedziałaś mi kiedyś, że żadna niewiasta nie została królową Anglii tylko dlatego, że była godna miłości. Nie wiem, co mam robić. Nie mogę zamieszkać u Stanley ów. Co ja pocznę?

Gwoli prawdy, ja także nie mam pojęcia, co powinna zrobić, biedactwo. Zakochała się w mężczyźnie, którego przeżycie zależy od tego, czy zdoła zapewnić sobie poparcie angielskich lordów; gdyby jej wybranek ogłosił teraz, zanim zwłoki jego żony ostygły w grobie, że ma zamiar poślubić swoją bratanicę, cała północ odwróciłaby się od niego, przechodząc na stronę Henryka Tudora. Tamtejsi ludzie nie zniosą zniewagi rzuconej Annie Neville, żywej czy martwej, i powstaną jak jeden mąż przeciwko Ryszardowi III, który przecież zawsze — jeszcze jako książę Gloucester — czerpał

swoją siłę z północy. Król nie odważy się więc rzucić wyzwania swym poplecznikom z Yorkshire, Kumbrii czy Northumberlandii. Nie może nawet o tym myśleć w chwili, gdy Henryk Tudor gromadzi armię i tylko czeka wiosennych pływów i wiatrów.

Każę posłańcowi posilić się w kuchni, przyłożyć gdzieś głowę na noc, po czym z samego rana oczekiwać odpowiedzi, którą powiezie na dwór królewski. Wydawszy polecenia, udaję się nad strumień i wsłuchuję w cichy szmer wody płynącej po białych kamieniach. Łudzę się, że przemówi do mnie Meluzyna bądź że wypatrzę kraniec nitki zwieńczonej małą złotą koroną, lecz koniec końców wracam do domu równie mądra, jak tu przyszedłam, tak że zasiadając do pisania listu do Elżbietki, mogę się posiłkować wyłącznie swoim doświadczeniem zdobytym podczas lat spędzonych na dworze Edwar-da i wewnętrznym rozeznaniem na temat tego, do czego jest zdolny jego najmłodszy brat.

Córko!

Wyobrażam sobie, jaka jesteś strapiona — Twoja troska bije z każdego słowa. Odwagi. Nadchodząca pora roku przyniesie odpowiedzi, a do lata wszystko ulegnie odmianie. Udaj się zgodnie z życzeniem króla do Stanleyów i postaraj się wywrzeć na nich jak najlepsze wrażenie. Lady Małgorzata to bogobojna i niezwykle zdeterminowana niewiasta, nie mogłabyś marzyć o lepszej niż ona opiekunce, jeżeli naprawdę zależy Ci na zduszeniu skandalu w zarodku. Jej reputacja rzuci na Twoją osobę dobre światło — postronnym znów będziesz się wydawać niepokalana niczym dziewica, którą w istocie musisz odgrywać, cokolwiek się dalej wydarzy.

Jeśli polubisz lady Małgorzatę, jeśli zapałasz do niej cieplejszym uczuciem, tym lepiej dla Ciebie. Mnie nie udało się ta sztuka mimo dłuższego okresu spędzonego w jej towarzystwie, lecz pamiętaj: przynajmniej żyj z nią w zgodzie i pozostawaj w poprawnych stosunkach. Wszystko wskazuje na to, że nie spędzisz z nią wiele czasu.

Ryszard pragnie Cię trzymać w bezpiecznym miejscu, z dala od skandalu, z dala od zagrożenia, póki Henryk Tudor nie

sięgnie po koronę i o wszystkim nie rozstrzygnie wynik bitwy. Kiedy to nastąpi i Ryszard wygra — w co usilnie wierzę — będzie mógł Cię sprowadzić z powrotem na dwór i poślubić w ramach świętowania zwycięstwa.

Najdroższa Cóрко! Nie spodziewam się, byś w przyszłości mile wspominała czas spędzony u Stanleyów, lecz to wymarzona rodzina opiekunów dla Ciebie, jeżeli wszyscy mają dalej wierzyć, iż jesteś narzeczoną Henryka Tudora i żyjesz w czystości. Gdy będzie już po bitwie, a pretendent do tronu zostanie zabity, nikt nie poważy się rzec na Ciebie złego słowa, zaś przeciwy północy Ryszard będzie mógł zwyczajnie zignorować. Tymczasem jednak sprawiaj wrażenie w oczach lady Małgorzaty, że cieszysz się perspektywą ożenku z jej synem i że całą sobą pragniesz jego zwycięstwa.

Wiem, że to nie będzie łatwe, lecz pamiętaj — Ryszard musi mieć wolne ręce i głowę, aby móc zebrać armię i stoczyć bitwę. Sprawą mężczyzn jest walczyć, natomiast sprawą niewiast czekać i snuć plany. Oto nadszedł czas, byś Ty czekała na swego ukochanego i snuła swoje plany. Nie zapominaj jednak że okoliczności zmuszają Cię, abyś była ostrożna i przebiegła.

Uczciwość przestała być najwyższą cnotą.

Przesyłam Ci wyrazy miłości i błogostawieństwo.

Twoja Matka.

Wybudzam się wcześniej, przed świtem. Pociagam nosem, jak gdybym była królikiem przycupniętym na skokach pośród otwartej łąki. Coś się dzieje, czuję to. Nawet tutaj, w głębi ładu, w Wiltshire, poznaję, że wiatr się zmienił; nieomal wyczuwam woń morskiej soli w powietrzu. Wiatr wieje z południa, dokładnie z południa — to idealny wiatr do inwazji na Wyspy, pozwalający bezpiecznie i bez kłopotów przybić do brzegów Anglii. Przymknawszy powieki, widzę skrzynie z bronią ładowane na pokłady okrętów, mężczyzn zbiegających trapami i wykrzykujących rozkazy, rozwijane proporce nadyające się na dziobach, stawiane żagle, żołnierzy czekających na znak, by zająć miejsca pod podkładem. Wiem już, że Henryk zgro-

madził swoją armię, że jego okręty stoją w porcie, a kapitanowie obliczają kurs na Anglię. Pretendent Lancasterów jest gotów upomnieć się o swoje.

Żałuję, iż nie potrafię przewidzieć, gdzie wyląduję. Zresztą on sam pewnie tego jeszcze nie wie. Jego ludzie odwiążą cumy, podniosą kotwice, postawią wszystkie żagle i półtuzin okrętów Tudora wyruszy z bezpiecznego portu w Bretanii. Znalazłszy się na otwartym morzu, złapią wiatr w żagle, płótno i liny będą trzeszczeć przy silniejszych podmuchach, pokłady będą się to wznosić, to opadać na wzburzonych falach, lecz marynarze postarają się ze wszystkich sił. Być może skierują się wprost do południowej Anglii — rebeliantów na ogół spotyka ciepłe przyjęcie w Kornwalii i Kencie — bądź też popłyną do wybrzeży Walii, gdzie zawołanie „Za Tudora!” może im zdobyć kolejne tysiące ochotników. Cokolwiek postanowią, o wszystkim zadecyduje wiatr, a ludzie będą mogli tylko trzymać zaciśnięte kciuki, wypatrując brzegu. Kiedy go wreszcie dostrzegą, nawigatory obliczą położenie i wskażą bezpieczne miejsce do lądowania.

Ryszard nie jest głupcem — z pewnością spodziewał się inwazji, odkąd na Kanale ustały zimowe sztormy. Ściągnął na swój wielki zamek w Nottingham, w sercu Anglii, dokąd zwołuje posiłki i gdzie mianuje dowódców, przygotowując się do bitwy, której wyczekuje od minionego roku. Byłaby rozegrała się już wtedy, gdyby nie deszcze, któreśmy sprowadziły z Elżbietka, by utrzymać Buckinghama z dala od Londynu i od naszego chłopca, i które przy okazji uniemożliwiły odbicie od wybrzeży Francji flocie Henryka.

Tego roku syn Małgorzaty Beaufort przybywa ze sprzyjającym wiatrem; bitwa się odbędzie. Tudor jest ostatnim potomkiem dynastii Lancasterów, zatem zanosi się na ostatnie starcie w wojnie krzyżowniców. Nie mam cienia wątpliwości, że wygra York, jak prawie zawsze. Ryszard Neville odszedł, nie żyją nawet jego córki, Izabela i Anna; nie ma już wielkiego dowódcy lancasterów. Jest tylko Jasper Tudor i jego bratanek naprzeciwko króla Ryszarda i jego wasali. Zarówno Ryszard York, jak i Henryk Tudor nie mają potomków. Obaj wiedzą więc, że walczą wyłącznie w swojej sprawie. I jeden, i drugi ma świadomość, że wraz z jego śmiercią umrze odwieczna animozja pomiędzy domem Yorków i Lancasterów. Za mojego życia

stoczono w Anglii wiele bitew, lecz żadna z nich nie była tak klarowna jak ta. Widzi mi się, że walka będzie krótka i brutalna jak nigdy i zakończy się śmiercią jednego z pretendentów oraz utwierdzeniem drugiego w roli króla Anglii, zaś ręka mojej córki przypadnie w udziale niekwestionowanemu zwycięzcy.

Widzi mi się również, że gdy opadnie szal bitewny i zostaną policzone straty, Małgorzata Beaufort przywdzieje żałobną czerń i zacznie opłakiwać swego poległego syna.

Jej smutek będzie początkiem nowego życia dla mnie i mojej rodziny. Teraz mogę posłać po swego syna Ryszarda. Już czas.

Wyczekiwałam tej chwili od dwóch długich lat, odkąd wysłałam mojego drogiego chłopca za granicę, do Flandrii. Dzień w dzień dopracowywałam plan, który nareszcie mogę wprowadzić w życie. Piszę do sir Edwarda Bramptona, lojalnego yorkisty, obrotnego kupca, światowca, a czasem także pirata. Do człowieka, który ceni smak przygody i nie unika ryzyka.

Zjawia się na moje wezwanie tego samego dnia, kiedy w kuchni krążą gorące plotki o przybiciu Henryka Tudora do brzegów Walii. Okręty pretendenta zostały zepchnięte przez wiatr aż na wody zatoki Milford i teraz jego armia maszeruje przez Pembrokeshire, powołując kolejnych żołnierzy pod swój sztandar. Ryszard kończy zaciąg w Anglii i opuszcza w bojowym szyku Nottingham. Znowu mamy wojnę i nikt nie wie, co ona przyniesie.

— Burzliwe czasy nastały — zagaja sir Edward wytwornie.

Spotykamy się z dala od domostwa, na drugim brzegu strumienia, gdzie gaik wierzbowy odgradza nas od traktu. Nasze wierzchowce zgodnie skubią soczystą trawę, podczas gdy my oboje wypatrujemy błysku troci pod powierzchnią wody. Dobrze zrobiłam, wybierając na miejsce spotkania to ustronie — sir Edward to uderzający mężczyzna, bogato odziany, kruczowłosa. Zawsze należał do moich ulubieńców i był chrześniakiem mego męża Edwarda, którego wziął na świadka konwersji z judaizmu i kochał jak ojca. Nie zawahałabym się mu zawierzyć własnego życia ani czegoś odeń cenniejszego. Nie zawahałam się powierzyć mu dowództwa nad stateczkiem mającym przewieźć mego syna Ryszarda Shrewsbury na

drugą stronę Kanału i nie waham się teraz, kiedy mam go poprosić, by przywiózł go stamtąd z powrotem.

— Nastąpiły czasy — odpowiadam — które odwrócą fortunę na lepsze dla mnie i moich bliskich.

— Jestem do twoich usług, wasza miłość — zapewnia. — Kraj pograżony w takim chaosie pośród przygotowań do wojny, że chyba mógłbym spełnić każde twoje życzenie i pozostać niezauważony.

— Wiem. — Uśmiecham się do niego. — Nie zapomniałam, że kiedyś niezauważony przewiozłeś mego syna do Flandrii...

— Co mogę uczynić tym razem? — pyta, przechodząc do rzeczy.

— Możesz się udać do miasteczka Tournai we Flandrii — mówię wolno. — Odnaleźć Pont-des-Trous. Mężczyzna opiekujący się bramą wodną nosi miano Jehan Werbecque.

Kiwa głową, dając znak, że zakonotował to sobie.

— Czego mam u niego szukać? — zadaje pytanie ściszym głosem.

Ledwie potrafię zdradzić sekret, który utrzymywałam w tajemnicy przed wszystkimi przez tak długi czas.

— Mojego syna — wykrztuszam. — Mojego syna Ryszarda. Odszukasz go i sprowadzisz do mnie do domu.

Edward Brampton podnosi na mnie poważny wzrok. Jego duże brązowe oczy pobłyskują podnieceniem.

— Czy to bezpieczne? — dopytuje. — Czy jest pewność, że zostanie mu przywrócony tytuł książęcy i że obejmie tron po ojcu? — Nie spuszcza ze mnie spojrzenia. — Czy dobiłaś targu z królem Ryszardem i syn mego ojca chrzestnego w swoim czasie włoży koronę Anglii?

— Z Boską pomocą — odpowiadam — tak.

(Mełuzyna, niewiasta, która nie umiała wyrzucić z pamięci swego pierwotnego żywiołu, zostawiła synów z mężem i odeszła z samymi córkami. Chłopcy wyrosli na mężczyzn i książąt 'Burgunda, chrześcijańskich władców. (Dziewczynki odziedziczyły po matcejeżdźdośćwidzenia przyszłości i rozumienia rzeczy niepojętych przez ludzki rozum (MeCuzyna nigdy więcej nie zobaczyła swojego męża, nigdy też nie przestała za nim tęsknić. A on w godzinie swojej śmierci usłyszał jej śpiew. Zrozumiał

wonczas to, co ona zawsze iiHedziała: że nie ma znaczenia, iż żona jest na poły wodną istotą, a mąż cały człowiekiem. Jeśli łączy ich prawdziwa miłość, wtedy nie — ani datura, ani nawet sama Śmierć — nie jest w stanie kh rozdzielić.

Nadchodzi północ, pora, którą uzgodniliśmy, i rozlega się ciche pukanie do kuchennych drzwi. Zbliżam się do nich, osłaniając dłonią płomień świecy, który rzuca chybotliwe cienie na ściany i sufit. Kuchciki leżą pokotem pod ścianami sieni, z szelestem moszcząc się w słomie. Zaspany pies podnosi łeb i odprowadza mnie spojrzeniem, lecz nikt poza tym mnie nie widzi.

Noc jest ciepła i spokojna, płomień nie przygasa w chwili, kiedy otwieram drzwi i spoglądam wprost na postawnego mężczyznę i stojącego obok niego chłopca, najwyżej dwunastoletniego.

— Wejdźcie — szepczę. Prowadzę ich w głąb domu, po drewnianych schodach do swojej komnaty, gdzie płoną szczapy drewna w kominku i liczne kandelabry i czekają kielichy z nalany winem. Tam odwracam się znowu ku nim, odstawiam kaganek drżącą ręką i uważnie przyglądam się chłopcu, którego przywiódł do mnie sir Edward Brampton. — To ty? To naprawdę ty?...

Wyrósł, głową sięga mi prawie do ramienia, lecz poznałabym go wszędzie: jego złote włosy i brązowe oczy, które odziedziczył po ojcu. Uśmiecha się w ten sam zawadiacki sposób i po chłopięcemu spuszcza głowę. Gdy wyciągam do niego ręce, wpada mi w objęcia, jakby wciąż był małym chłopcem, moim drugim synem, moim wyteśknionym dzieckiem, które narodziło się w czas pokoju i dostatku i dlatego miało świat za przyjazne miejsce.

Wciągam jego zapach, jakbym była zwierzątkiem szukającym swoje młode. Jego skóra pachnie tak samo jak kiedyś. Włoski ma wysmarowane dorosłą pomadą, a ubranko przeszło wonią soli morskiej od długiej podróży, lecz skóra na karku i za uszami pachnie tak samo jak kiedyś, pachnie moim chłopcem, moim dzieckiem, moim maleństwem. Poznałabym go wszędzie nawet z zamkniętymi oczyma.

— Mój syn — mówię i czuję, jak pierś zalewa mi fala nieopisanego ciepła, a serce przepełnia miłość. — Mój syn — powtarzam wzruszona. — Mój mały Ryszard...

Obejmuje mnie ciaśniej w pasie i przytula się mocno.

— Pływałem statkami, zwiedziłem kawał świata. Nauczyłem się trzech języków... — relacjonuje z przejęciem, mając twarz przyciśniętą do mego ramienia.

— Dzielny chłopiec...

— Teraz mi się tam nawet podoba. Z początku było mi trochę tęskno. Ale uczyłem się muzyki i retoryki. Umieję grać na lutni, i to całkiem niezłe. Napisałem nawet dla ciebie piosenkę...

— Mój dzielny chłopiec...

— Mam teraz na imię Pierś. To Piotr po ichniemu. Ale wszyscy wołają mnie zdrobniale Perkin. — Odrywa się nagle i zagląda mi w oczy. — A jak ty będziesz do mnie mówić?

Potrząsam głową. Nie jestem w stanie dobyć głosu.

— Pani matka przez jakiś czas będzie się do ciebie zwracała twoim nowym imieniem, Pierś — odpowiada mu sir Edward stojący nieopodal przy kominku. — Twoja przygoda jeszcze się nie skończyła. Na razie więc zatrzymasz imię, które przywiozłeś z Tournai.

Chłopiec kiwa potakująco głową. Dostrzegam, że kwestia tożsamości znaczy dla niego tyle co wierzchnie okrycie — może ją wkładać lub zdejmować w zależności od potrzeby. Wspominam człowieka, który zmusił mnie, bym wysłała tego księcia w ciemną noc, na wygnanie, gdzie zamieszkał w domu prostych ludzi, a na nauki chadzał jak zwykły żak, i myślę sobie, że nigdy tego nie wybaczę — kimkolwiek ów człowiek jest. Moja klątwa go dosięgnie, straci wszystkich pierworodnych do trzeciego pokolenia w przód, a mnie nawet nie tkną wyrzuty sumienia.

— Zostawię was samych — mówi w pewnej chwili sir Edward, jak zawsze taktowny.

Przenosi się do swojej komnaty, a ja siadam na krześle przy kominku i gestem pokazuję, by Ryszard przysunął sobie zydeł i spoczął koło mnie. Siedzimy długo w milczeniu, on przechyla się do tyłu, żebym mogła pogłaskać go po włosach. Nagle odwraca się i zaczyna mówić, wyjaśniać mi różne rzeczy. Rozmawiamy o jego wyprawie, o tym, co wydarzyło się pod jego nieobecność, o tym, czego się dowiedziało, mieszkając za granicą. Nie wiódł życia godne-

go księcia, lecz odebrał przyzwoitą edukację dzięki trosce swojej ciotki, a siostry Edwarda, Małgorzatką Burgundzkiej, która posyłała mnichom hojne kwoty jako stypendium za naukę biednego chłopca. Zastrzegła przy tym, że podopieczny musi poznać łacinę i prawo, historię i podstawy rządzenia, geografie, a także — zapewne przez wzgląd na pamięć mojego brata Antoniego — zapewniła mu preceptora, który uczył go dodatkowo filozofii starożytnych, arytmetyki i innych dziedzin specyficznych dla Arabów.

— Jej wysokość księżna Małgorzata mówiła mi — kontynuuję opowieść podekscytowany — że kiedy dorosnę, wrócę do Anglii i obejmę panowanie jak mój ojciec. Powtarzała mi, że niektórzy królowie czekali znacznie dłużej niż ja i mieli mniejsze szanse. Jako przykład podawała Henryka Tudora. Mówiła: popatrz tylko na niego, uciekł z Anglii, gdy był małym chłopcem, a teraz wraca tam z armią, mając nadzieję na koronę!

— Całe życie spędził na wygnaniu — potakuję. — Oby dobry Bóg sprawił, że ciebie to nie spotka.

— Będziemy obserwować zmagania na polu bitwy? — pyta z chętnym uśmiechem.

— Nie — odpowiadam. — Pole bitwy to nie miejsce dla takiego chłopca jak ty. Ale kiedy wuj Ryszard tryumfalnie powróci do Londynu, dołączymy tam do niego i do twoich sióstr.

— I wtedy będę mógł wrócić do domu, na dwór? Zostać z wami na stałe?

— Tak — potwierdzam. — Tak. Znowu będziemy razem, tak jak powinniśmy.

Wyciągam rękę i odsuwam mu z oczu płową grzywkę. Wzdycha i kładzie mi głowę na kolanach. Przez parę uderzeń serca siedzimy bez ruchu. Słyszę wokół odgłosy starego drewnianego domu szykującego się na nocny spoczynek. Gdzieś w ciemnościach za oknem pohukuje sowa.

— A co z moim bratem Edwardem? — pyta nagle. — Zawsze miałem nadzieję, że i jego gdzieś ukryłaś.

— Księżna Małgorzata nic ci nie powiedziała? A sir Edward?

— Mówili tylko, że nie wiedzą, że nikt nie wie. Pomyślałem więc, że ty będziesz wiedziała, tak jak wiedziałaś o mnie.

— Obawiam się, że Edward nie żyje — odpowiadam cicho.
— Ze został zamordowany przez ludzi na usługach księcia Buckingham i pretendenta Henryka Tudora. Obawiam się, że straciliśmy twego brata...

— Kiedy dorosnę, pomszczę jego śmierć — zapowiada, dumnie unosząc głowę. W tej chwili wygląda jak prawdziwy księżę z dynastii Yorków.

Kładę mu dłoń na ciemieniu.

— Kiedy dorośniesz i zostaniesz królem, będziesz mógł żyć w pokoju. To ja się zemszczę. Ty zapomnij o zemście raz na zawsze. Tó koniec. Zresztą już zamówiłam msze za duszę Edwarda...

— Ale nie za moja! — wpada mi w słowo z łobuzerskim uśmiechem.

— Owszem, za twoją także, ponieważ muszę zachowywać pozory, zupełnie jak ty. Muszę udawać, że zaginałeś i nie wiem, gdzie się podziewasz. Lecz ilekroć się za ciebie modliłam, wiedziałam, że jesteś bezpieczny i że wrócisz do domu. Natomiast modły odmawiane przez siostrzyczki z klasztoru w Bermondsey na pewno ci nie zaszkodzą.

— Najlepiej niech się modlą o mój bezpieczny powrót do domu!
— mówi rezolutnie.

— O to właśnie codziennie proszą Najwyższego — odpowiadam. — Wszyscy się o to modliliśmy trzy razy dziennie, poczynszy od dnia, w którym nas opuściłeś. A ja myślałam o tobie w każdej chwili swego życia.

Ponownie kładzie mi głowę na kolanach, ja zaś gładzę jego jasne włosy. Z tyłu, za uszami, kręca się lekko, a złapane w dwa palce, tworzą złote pierścienie... Dopiero kiedy rozlega się ciche jak u szczeniaczka pochrapywanie, ze zdumieniem spostrzegam, że przesiadzieliśmy tak pół nocy i mój syn śpi jak kamień. I teraz, czując ciężar jego rozgrzanej głowy na swoich kolanach, nareszcie zaczynam pojmować, że naprawdę do mnie wrócił. Syn wrócił do matki. Księżę wrócił do królestwa. Trzeba tylko rozegrać jeszcze jedną bitwę, trzeba wygrać, a biała róża Yorków ponownie zakwitnie pośród zieleni Anglii.

OD AUTORKI

Niniejsza powieść, pierwsza z trylogii o Plantagenetach, powstała w wyniku mojego odkrycia najbardziej interesującej i zmuszającej do myślenia królowej Anglii: Elżbiety Woodville. Historia jej życia opowiedziana na kartach „Białej królowej” w większości oparta jest na faktach i tylko uzupełniona fikcją literacką — Elżbieta Woodville bowiem wiodła życie wykraczające daleko poza ramy nawet mojej wyobraźni! Rzeczywiście była słynną pięknoscią i potomkinią książąt Burgundii, którzy pieczołowicie podtrzymywali rodzinną tradycję mówiącą, iż ich ród założyła przed wiekami Meluzyna, boginka żywiołu wody. Dość szybko zrozumiałam, że poprzez tę postać — raczej lekceważonej i niezbyt poważanej monarchini — zdołam opowiedzieć na nowo historię królowej Anglii będącej potomkinią boginki i córką kobiety, której wytoczono proces o uprawianie czarów.

Zafascynowana średniowiecznym pojmowaniem magii, jak również tym, co ono mówi o potędze kobiet, i świadoma uprzedzeń żywionych do silnych kobiet bez względu na okres historyczny, od razu wiedziałam, że to żyzny teren dla mnie jako badaczki i pisarki — co okazało się prawdą.

Z całą pewnością wiemy, że Elżbieta Woodville poznała Edwar-da, zwracając się do niego z prośbą o pomoc finansową, i że tych dwoje pobrało się w sekrecie, aczkolwiek wizja ich spotkania na trakcie pod rozłożystym dębem (który nawiasem mówiąc, wciąż stoi w wiosce Grafton Regis w Northamptonshire) należy już do ludo-

wej legendy i może się rozmijać z prawdą. To, że dożyła sztyletu, by obronić się przed gwałtem, było ówczesną pogłoską i nie ma możliwości potwierdzenia bądź odrzucenia tej informacji. Jednakże większa część ich wspólnego życia jest dobrze udokumentowana, a ja skrupulatnie zapoznałam się ze źródłami i posiłkowałam się faktami, gdziekolwiek się dało. Naturalnie od czasu do czasu musiałam dokonać wyboru pomiędzy dwiema sprzecznymi i konkurującymi ze sobą wersjami, kiedy indziej znów uzupełnić luki w przekazach fabułą i wyjaśnieniami sprokurowanymi w mojej głowie.

Z drugiej strony, ta książka częściej ociera się o fikcję niż moje poprzednie powieści, jako że chronologicznie znalazłam się w odleglejszej przeszłości niż era Tudorów i materiały źródłowe obejmują tylko wrywki ówczesnej historii. W dodatku Anglia pozostawała wtedy w stanie permanentnej wojny i wiele decyzji było podejmowanych *ad hoc*, nie pozostawiając śladu w dokumentach z epoki. Co więcej, niektóre najważniejsze kroki poczyniono wskutek sekretnych knowań, a mnie pozostało tylko domyślać się łańcucha zdarzeń, skutków i przyczyn. Dla przykładu — brak niezbitych dowodów na spisek Buckingham, lecz wiadomo, że lady Małgorzata Stanley, jej syn Henryk Tudor, Elżbieta Woodville i wspomniany książę Buckingham byli prowodyrami rebelii przeciwko Ryszardowi III. Oczywiście każde z nich kierowało się innymi pobudkami. Do czasów współczesnych przetrwały tylko przekazy na temat posłańców kursujących między tymi osobami i szcątkowy zarys spisku, natomiast jaką strategię przyjęto i kto był mózgiem całej operacji, pozostaje wciąż tajemnicą. Uważnie przyjrzałam się zachowanym materiałom i wyciągnęłam wnioski z wyniku działań spiskowców, po czym zaprezentowałam możliwą moim zdaniem wersję wydarzeń. Rzecz jasna' nadprzyrodzony element dodany do poświadczonych przekazami niekończących się deszczów jest czysto fikcyjny, choć przez to wcale nie mniej interesujący i wyobrażanie go sobie sprawiło mi wiele radości.

Tak samo nie sposób powiedzieć na pewno — nawet teraz, po wysnuciu setek teorii — co dokładnie się stało z książętami z Tower. Pozwalam sobie wysunąć hipotezę, że Elżbieta Woodville postarała się o bezpieczną kryjówkę dla swego drugiego syna, księ-

eia Ryszarda, po tym jak jej pierwszy syn, książę Edward, został jej odebrany. Nie wierzę, by zechciała oddać młodszego syna w ręce człowieka, którego podejrzewała o uwięzienie starszego z chłopców. Dość prowokacyjne przypuszczenie — wyrażane przez wielu poważnych historyków — że książę Ryszard uszedł z życiem, nasunęło mi myśl, że matka zamiast niego wysłała do Tower podmieńca. Gwoli uczciwości muszę jednak poinformować czytelników, że nigdzie nie ma na to dowodów.

Nie wiadomo też, w jaki sposób książęta zginęli (o ile tak się stało) ani kto wydał rozkaz ich zamordowania; pomimo upływu ponad pięciu wieków nie znaleziono szczątków, które zidentyfikowano by jako ciała książąt. W swej powieści sugeruję, że to nie Ryszard III kazał ich zabić, gdyż nic by mu z tego nie przyszło, a wręcz mogłoby mu zaszkodzić. Uważam również, że Elżbieta Woodville nigdy nie oddałaby pod jego pieczę swoich córek, gdyby podejrzewała, że skrzywdził jej synów. W dodatku najwyraźniej odwołała swego najstarszego syna, Tomasza Greya, z bretońskiego dworu Henryka Tudora, co być może świadczy o jej rozczarowaniu pretensją Tudora do tronu i o sojuszu z Ryszardem III. Wszystko to pozostaje jedną wielką tajemnicą, a ja po prostu dodaję swoją wizję do wielu wcześniejszych zaproponowanych przez historyków w pracach, których część została wyszczególniona w bibliografii.

Pozostaję dłużniczką profesora Davida Baldwina, autora książki pt. „Elizabeth Woodville: Mother of the Princes in the Tower”, zarówno za przejrzysty i przesycony współczuciem portret królowej zawarty we wspomnianej pracy, jak i za rady odnośnie do mojej powieści. Jestem również wdzięczna niezliczonym badaczom i amatorom historii, których zainteresowanie wynika z zamiłowania do tej epoki — odtąd dzielę je z nimi i bardzo bym chciała zarazić nim swoich czytelników.

Więcej informacji na temat materiałów źródłowych oraz powstawania „Białej królowej” można znaleźć na mojej stronie PhilippaGregory.com, gdzie podaję także szczegóły seminariów związanych z powieścią, odbywających się w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych i innych krajach oraz w Internecie.